



**NORA ROBERTS**  
**MIŁOSC NA ZAMOWIENIE**

*1. POKOCHAĆ JACKIE*

*2. OLŚNIENIE*

## *POKOCHAĆ JACKIE*

*Z chwilą, gdy zobaczyła ten dom, zakochała się w nim. Piękne wnętrza, rozległy ogród, basen - od razu wiedziała, że to idealne miejsce do pisania nowej książki. Jednak nie dane jest jej długo cieszyć się tym doskonałym azylem, gdyż niespodziewanie zjawia się w nim przystojny intruz – właściciel domu. Jedyne, co teraz Jackie MacNamara, pisarka romansów, musi zrobić, to przekonać upartego Nathana Powella, że długie i szczęśliwe życie rozpoczyna się w jego własnym domu – i w jej ramionach...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W tym domu Jackie zakochała się od pierwszego wejrzenia. Nigdy zresztą nie kryła się z tym, że często się zakochiwała. I to nie dlatego, że łatwo było zrobić na niej wrażenie. Brało się to raczej stąd, że jako osoba nadwrażliwa była szczególnie podatna na wszelkiego rodzaju nastroje, w tym również te napływające z zewnątrz.

Dom, który tak ją zachwyił, emanował intensywną aurą, i to daleką od spokoju. Uznała, że to dobrze. Błogi spokój zadowoliłby ją na dzień czy dwa, później jednak przerodziłby się w nudę. Tutaj urzekła ją przede wszystkim surowa bryła budynku, w której łagodnie sklepione, łukowate okna i drzwi stanowiły zaskakujący kontrast.

Na tle białych, połyskujących w słońcu ścian, ostro rysowała się hebanowa stolarka. Jackie nigdy nie uważała, świat dzieli się na czarne i białe, a dom ten stanowił dla niej niezbity dowód na harmonijne współistnienie tych przeciwstawnych elementów.

Olbrzymie okna wychodziły zarówno na zachód, jak i na wschód, hojnie wpuszczając do wnętrza słońce. Egzotyczne rośliny o nasyconych barwach bujnie kwitły w ogrodzie i w masywnych glinianych donicach na tarasie. Pomyślała, że muszą wymagać starannej pielęgnacji - zwłaszcza teraz, podczas przedłużających się upałów i suszy. Ona jednak lubiła zajmować się ogrodem, szczególnie gdy w zamian mogła spodziewać się nagrody.

Przez szerokie szklane drzwi popatrzyła na przejrzystą taflę basenu wyłożonego ceramicznymi kafelkami. O niego także trzeba będzie dbać, ale i tu wysiłek musiał się opłacić. Niemal czuła słodki aromat kwiatów, unoszący się w powietrzu, zaś oczyma duszy widziała już siebie opalającą się na leżaku - samą wprawdzie, skłonna była jednak zaakceptować tę drobną niedogodność.

Za basenem i stromym, trawiastym zboczom rozciągało się morze o ciemnej, tajemniczej toni. W oddali motorówki śmigały z hałasem, który wydał jej się pochrzypiający. Oznaczał, że w pobliżu są ludzie, z którymi można nawiązać kontakt, a zarazem nie są oni na tyle blisko, żeby zakłócić jej spokój.

Wrzynające się w głąb lądu kanały przypominały Jackie Wenecję oraz wyjątkowo miły miesiąc, który spędziła tam jako nastolatka. Pływała wtedy gondolami i flirtowała zawięciem z ciemnookimi gondolierami. Floryda wiosną nie była może aż tak romantyczna jak Włochy, mimo to absolutnie wystarczała jej do szczęścia.

- Ależ tu pięknie! - Odwróciła się i spojrzała w głąb zalanego słońcem salonu. Na ciemnoszarym dywanie stały dwie kremowe sofy. Pozostałe meble, wykonane z drewna

hebanowego, podkreślały męski charakter tego wnętrza. Musiała przyznać, że zarówno domowi, jak i jego otoczeniu trudno byłoby cokolwiek zarzucić - każdy szczegół znamionował absolutną perfekcję.

Uśmiechnęła się do mężczyzny stojącego w niedbalej pozie przy alabastrowym kominku. W wymiecionym do czysta palenisku umieszczono doniczkę z maleńkim świerkiem. Mężczyzna miał na sobie biały strój safari, jakby celowo dobrany do pozy i wnętrza. Jackie знаła Fredericka Q. MacNamare na tyle dobrze, by podejrzewać, że nie jest to dziełem przypadku.

- No więc, kiedy mogę się wprowadzić? Uśmiech rozjaśnił puciołowatą, chłopięcą twarz Freda.

- To cała ty, moja miła Jackie. Zawsze taka impulsywna. - Fred miał również lekko zaokrągloną sylwetkę, gdyż notoryczny brak ćwiczeń fizycznych rekompensował sobie wyłącznie poganianiem kelnerów i taksówkarzy. Podeszedł wolno do Jackie. Ruchy miał pełne leniwej gracji, tak dobrze udawanej, że z biegiem lat zdążyła mu wejść w krew. - Nie byłaś jeszcze na piętrze.

- Obejrzę je, jak się rozpakuję.

- Jackie, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. - Poklepał ją pobłażliwie po policzku - jak starszy, bardziej doświadczony kuzyn trzpiotowatą kuzyneczkę. Nie miała mu tego za złe. - Nie chciałbym, żebyś za parę dni zaczęła żałować swojej decyzji. Zwłaszcza że masz tu spędzić ponad trzy miesiące. I to sama.

- Muszę przecież gdzieś mieszkać. - Machnęła smukłą ręką. Na palcach zaśniły drogocenne pierścionki: dowód iż umiłowała piękno w każdej postaci. - Jeżeli naprawdę mam zamiar cokolwiek napisać, powinnam być sama, ale nie muszę w tym celu wynajmować mansardy. Równie dobrze mogę zamieszkać i tutaj... - Urwała. Kuzyn kuzynem, ale w przypadku Freda nie powinna pozwalać sobie na przesadną szczerość. Nie dlatego, żeby go nie lubiła, bo zawsze miała do niego słabość, zdążyła jednak zauważyć, że nigdy nie mówił wprost i lubił kręcić.

- Naprawdę jesteś gotów wynająć mi ten dom?

- Oczywiście, że tak. - Głos Freda był równie miły, jak jego twarz. Przynajmniej tak się wydawało. - Właściciel przyjeżdża tu tylko zimą, i to raczej sporadycznie. Na pewno wolałby, żeby rezydencja nie stała pusta. Wprawdzie obiecałem Nathanowi, że popilnuję domu do listopada, ale potem wynikła ta nagła sprawa w San Diego, a pewnych rzeczy nie da się, niestety, przełożyć na później. Sama wiesz, jak to jest.

Jackie doskonale wiedziała, jak to jest. U Freda „nagła sprawa” z reguły oznaczała, iż musiał się ukrywać albo przed zazdrosnym mężem, albo przed prawem. Fred, mimo mało atrakcyjnej powierzchowności, wciąż miał kłopoty z zazdrosnymi mężami, natomiast nawet jego imponujące nazwisko nie było w stanie zapewnić mu wystarczającej ochrony, ilekroć popadał w konflikt z prawem.

Nie powinna o tym zapominać, ale Jackie nie zawsze kierowała się rozsądkiem. Poza tym ten dom, ze swoim wyglądem i atmosferą, już zdążył ją zauroczyć.

- Jeżeli właściciel naprawdę chce, żeby ktoś tu zamieszkał, zrobię to z przyjemnością. Gdzie masz umowę, Fred? Chciałabym ją jak najszybciej podpisać. Potem mogłabym się rozpakować i wykąpać w basenie.

- Skoro jesteś tego absolutnie pewna... - Fred już wyjmował z kieszeni stosowny formularz. - Wolałbym na przyszłość uniknąć przykrych scen. Takich jak wtedy, kiedy kupiłaś ode mnie porsche.

- Jakoś nie wspomniałeś nawet, że skrzynia biegów trzymała się na klej.

- Ach, o to niech się martwi nabywca - powiedział z uśmiechem, wręczając jej srebrne pióro z monogramem.

Zawahala się na ułamek sekundy. Ogarnęły ją złe przecucia. Przecież ma do czynienia z kuzynem Fredem! Specjalistą od błyskawicznych transakcji oraz okazji, których „nie sposób przegapić”. Wtem z oddali nadleciał ptak i wypełnił ogród radosnym trelem. Uznała to za dobry znak. Złożyła zamaszty podpis pod umową najmu, po czym sięgnęła po książeczkę czekową.

- Trzy miesiące, po tysiąc miesięcznie, tak?

- Plus pięćset dolarów kaucji - szybko dorzucił Fred.

- W porządku. - Całe szczęście, pomyślała, że kochany kuzynek nie doliczył sobie jeszcze prowizji. - Zostawisz mi jakiś numer albo adres, żebym w razie czego mogła skontaktować się z właścicielem?

Fred spojrział na nią, zdezorientowany, a potem obdarzył ją tym swoim ujmującym uśmiechem niewiniątka.

- Mówiłem mu już, że zaszły pewne zmiany. Nie musisz się o nic martwić, kotku. To on będzie się z tobą kontaktował.

- Świetnie. - Nie zamierzała zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami. Była wiosna, a ona miała nowy dom i nowe plany. - Możesz być spokojny, wszystkiego dopilnuję. - Pogłaskała wielką, chińską urnę. Zacznie od tego, że wstawi w nią świeże kwiaty. - Zostaniesz do jutra, Fred?

- Och, bardzo bym chciał - zapewnił ją kuzyn. Czek spoczywał już bezpiecznie w jego kieszeni, a on miał wielką ochotę pieszczotliwie go poklepać. - Chętnie bym z tobą wymienił rodzinne plotecki, ale muszę złapać najbliższy samolot na wybrzeże. Aha, byłbym zapomniał - będziesz musiała wkrótce wybrać się na targ, Jackie. W kuchni są wprowadzić podstawowe produkty, ale nic więcej. - Podszedł do swoich bagaży. Nawet mu nie przyszło do głowy, że mógłby pomóc kuzynce wnieść jej walizki na górę. - Klucze są na stole. Baw się dobrze. Pa!

- Dziękuję. - Kiedy chwycił torby, otworzyła przed nim drzwi. Jej zaproszenie, by został jeszcze na jeden dzień, było szczere, mimo to odmowę przyjęła z pewną ulgą. - Dzięki, Fred. Jestem ci naprawdę zobowiązana.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kotku. - Nachylił się, żeby ją pocałować. Poczula aromat drogiej wody kolońskiej. - Pozdrów ode mnie rodzinę, kiedy ich zobaczysz.

- Nie omieszkam. Jedź ostrożnie - rzuciła za nim, gdy podchodził do lśniącej limuzyny, białej jak jego tropikalny garnitur.

Fred włożył walizki do bagażnika, a potem zasiadł za kierownicą i pomachał leniwie na pożegnanie.

Po jego odjeździe wróciła do salonu, żeby się w spokoju napawać samotnością i poczuciem niezależności. Oczywiście taka sytuacja nie była dla niej niczym nowym. Przecież skończyła dwadzieścia pięć lat, często podróżowała, miała swoje mieszkanie i własne życie. Mimo to każdy początek zwykła traktować jako zapowiedź fascynującej przygody.

A wracając do dzisiejszego dnia.. . jaki to był właściwie dzień? Dwudziesty piąty, a może dwudziesty szósty marca? Potrząsnęła głową. To i tak bez znaczenia. Liczy się tylko to, że dzień ten miał być początkiem jej literackiej kariery. To właśnie dziś miała się narodzić sławna pisarka - Jacqueline R. MacNamara.

To brzmi całkiem niezłe, pomyślała i postanowiła natychmiast rozpakować nowiuteńką maszynę do pisania, żeby móc się zabrać za pierwszy rozdział. Uśmiechnięta, chwyciła energicznie dwie najcięższe walizki i ruszyła na górę.

Aklimatyzacja nie zajęła jej dużo czasu. Szybko przyzwyczała się do południowego klimatu, do nieznanego domu i nowego porządku dnia. Wstawała o świcie, jadła śniadanie składające się ze szklanki soku i kilku grzanek albo coli i zimnej pizzy, jeśli to akurat miała pod ręką. Nabierała też coraz większej wprawy w posługiwaniu się maszyną i pod koniec trzeciego dnia pisała już dość biegle. Po południu robiła sobie przerwę, żeby wykąpać się w basenie i poopalać, wymyślając przy okazji kolejną scenę albo niespodziewany zwrot akcji.

Opalała się szybko i na ładny brąz. Zawdzięczała to włoskiej prababce, która dokonała wyłomu w czysto irlandzkich szeregach rodziny MacNamarów. Jackie była całkiem zadowolona ze swojej ciemnej karnacji i ze śmiechem wspominała kremy i maseczki, które wciąż podsuwała jej matka. „Dobra cera i ładne rysy to podstawowe atrybuty piękności, Jacqueline. Anie styl, moda czy makijaż” - zwykła przy tym mawiać Patricia MacNamara.

Jackie miała dobrą cerę i ładne rysy, mimo to nawet zakochana matka musiała przyznać, że jej córka nigdy nie będzie klasyczną piękną. Odznaczała się za to zdrową, zmysłową urodą. Twarz miała trójkątną, a nie owalną, usta raczej szerokie niż wypukłe, a oczy wręcz za duże i na dodatek... . piwne. Znowu ta włoska krew. Bo reszta rodziny odziedziczyła po irlandzkich przodkach oczy o barwie morskiej zieleni lub lazurowego błękitu. Włosy Jackie były brązowe. Jako nastolatka ochoczo eksperymentowała z płukankami i pasemkami, wprawiając tym matkę w zażenowanie, jednak w końcu postanowiła poprzestać na tym, czym obdarzyła ją natura. Polubiła nawet swoje włosy, a dodatkowym ich atrybutem stało się to, że układały się w naturalne fale, dzięki czemu nie musiała tracić cennego czasu na zbyt częste wizyty u fryzjera. Ostatnio zdecydowała się na dość krótką fryzurę, w której bujne loki lśniąco, ciemnobrązową aureolą otaczały smagłą twarz Jackie.

Była zadowolona, że obcięła włosy - miało to swoje zalety przy codziennych kąpielach w basenie. Później wystarczyło tylko potrząsnąć głową i przeczesać je palcami, żeby przywrócić fryzurze właściwy kształt.

Każdego ranka, zaraz po wstaniu, rzucała się do maszyny, a po południu pływała w basenie, żeby po obiedzie znowu wrócić do pisania. Zaś wieczorami pracowała w ogrodzie, patrzyła z tarasu na morze albo czytała książkę. A kiedy szczególnie dużo czasu spędziła przy maszynie do pisania, fundowała sobie kąpiel z hydromasażem, po której czuła się rozkosznie odprężona.

Dom zamykała na noc starannie, bardziej z uwagi na właściciela niż z obawy o własne bezpieczeństwo. Potem kładła się do łóżka w pokoju, który sobie wybrała, z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zасыpiając, nie mogła się doczekać, co przyniesie kolejny dzień.

Ilekróć wracała myślami do kuzyna Freda, na jej twarzy pojawiał się uśmiech. Może jednak rodzina myliła się w jego ocenie? Wprawdzie nieraz zdarzyło mu się zapędzić któregoś z łatwowiernych krewnych w ślepy zaułek, jednak proponując dom na Florydzie, zdecydowanie wyświadczył Jackie przysługę. Trzeciego dnia wieczorem, zanurzając się w piennej kąpieli, pomyślała, że właściwie powinna wysłać mu kwiaty.

Należało mu się to, bez dwóch zdań.



Był śmiertelnie zmęczony, a zarazem szczęśliwy, że wreszcie dotarł do domu. Ostatni etap podróży zdawał się nie mieć końca. Nie wystarczało mu już to, że po sześciu miesiącach znowu postawił stopę na amerykańskiej ziemi. Pierwszy atak zniecierpliwienia przeżył na lotnisku w Nowym Jorku. Był wprawdzie na miejscu, ale jakby nie do końca. Po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwolił sobie na myśli o własnym domu, własnym łóżku. O swoim prywatnym sanktuarium i azylu.

Lot opóźnił się o godzinę, a on w tym czasie krążył po hali odlotów, zgrzytając zębami. A kiedy wreszcie samolot wzniósł się w górę, przez całą drogę spoglądał na zegarek, żeby sprawdzić, ile jeszcze czasu będzie musiał spędzić w powietrzu.

Lotnisko w Lauderdale także nie oznaczało jeszcze kresu podróży. Minioną zimą spędził w Niemczech i miał po dziurki w nosie mrozów i śnieżycy. Jednak ciepłe, wilgotne powietrze i widok palm tylko go rozdrażniły, bo wciąż jeszcze nie był w domu.

Kazał postawić samochód na lotnisko i kiedy wreszcie rozsiadł się w znajomym wnętrzu, poczuł, że znowu zaczyna być sobą. W jednej chwili zapomniał o wielogodzinnym locie z Frankfurtu do Nowego Jorku. Opóźnienia i nadszarpnięte nerwy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Oto znów siedział w swoim wozie, za kierownicą i za dwadzieścia minut miał być w domu. Kiedy wieczorem położył się spać, zaśnie we własnym łóżku, w swojej pościeli. Świeżo wypranej i wymaglowanej przez panią Grange, która miała przygotować wszystko na jego powrót. Tak przynajmniej zapewniał go Fred MacNamara.

Nathana ogarnęły wyrzuty sumienia na myśl o Fredzie. Może niepotrzebnie nalegał, żeby Fred jeszcze przed jego powrotem opuścił dom? Jednak po sześciu miesiącach intensywnej pracy w Niemczech nie miał ochoty z nikim dzielić domu. Marzył o odpoczynku w samotności. Będzie oczywiście musiał skontaktować się z Fredem i podziękować mu za to, że zechciał pilnować jego rezydencji, oszczędzając mu tym samym wielu zbędnych komplikacji. Nathan bardzo nie lubił kłopotów, dlatego uznał, że Fredowi MacNamarze należą się podziękowania.

Zrobi to w najbliższych dniach, pomyślał, wsuwając klucz do dziurki frontowych drzwi. Najpierw jednak porządnie się wyśpi.

Pchnął drzwi, zapalił światło i patrzył. Po prostu patrzył, chłonąc wzrokiem każdy szczegół. Nie ma to jak być u siebie - w domu, który sam zaprojektował, zbudował i urządził.

Dom wyglądał tak samo jak w dniu, kiedy go opuścił.

Nie... wcale nie tak samo! Potarł zmęczone oczy i raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.

Kto przesunął chińską wazę pod okno i włożył do niej irysy? I dlaczego półmisek z miśnieńskiej porcelany stoi teraz na stole, a nie na półce? Zacisnął wargi. Z natury pedant, natychmiast dostrzegł, że mnóstwo przedmiotów zmieniło swoje miejsce.

Musi powiedzieć o tym z panią Grange. Ale nie teraz. Później. Takie drobiazgi nie powinny zakłócić mu radości z powrotu do domu.

Przez moment walczył z pokusą, żeby udać się prosto do kuchni i napić się czegoś mocniejszego, pomyślał jednak, że wszystko w swoim czasie. Chwycił walizki i ruszył na górę, napawając się każdą minutą samotności i ciszy.

Przekroczył próg sypialni, zapalił światło i stanął jak wryty. Kiedy ochłonął, odstawił walizki, podszedł powoli do łóżka i stwierdził, że jest bardzo niestarannie posłane. Komoda w stylu chippendale, którą kupił u Sotheby'ego przed pięciu laty, zastawiona była całą baterią słoiczków i buteleczek. Pokój pachniał zupełnie inaczej, i to nie tylko z powodu różyczek w kryształowym kielichu, którego miejsce - a pamięć na pewno go nie myli - było na etażerze w salonie. Unosił się w nim zapach pudru, kremów i perfum. Niezbyt silny, a jednak irytujący. Na prześcieradle dostrzegł plamę ze szminki. Nachylił się, a potem krzywiąc się, podniósł z podłogi mikroskopijne koronkowe majteczki.

Pani Grange? Nie, to śmieszne, wręcz absurdalne! Pocziwa, przysadzista pani Grange za nic w świecie nie wcisnęłaby się w coś takiego. Może to Fred miał gościa...? Skłonny był mu to wybaczyć, jednak dlaczego musiało się to odbywać akurat w jego sypialni?! I czemu Fred nie spakował i nie zabrał jej rzeczy?

Nagle obudziła się w nim dusza artysty i architekta. Wyobraźnia podsunęła mu wizerunek wysokiej, piersiastej kobiety, hałaśliwej i bezczelnej. I zawsze skorej do zabawy. Musi być rudowłosa, pomyślał, o białych, drapieźnych zębach i wyzywającym spojrzeniu. W sam raz dla Freda, więc w zasadzie nie powinien mieć mu tego za złe. Jednak umowa brzmiała, że dom zostanie zwolniony i wysprzątnany na jego powrót.

Po raz ostatni rzucił okiem na flakoniki na komodzie. Pani Grange będzie musiała to wszystko wyrzucić. Bezwiednym ruchem wsunął majteczki do kieszeni i wyszedł z sypialni, żeby sprawdzić, co jeszcze zmieniło miejsce podczas jego nieobecności.

Jackie leżała w szkarłatnej wannie z hydromasażem. Oczy miała zamknięte i w rozmarzeniu nuciła jakąś piosenkę. Miniony dzień uznała za bardzo udany. Przelewała myśli na papier w tempie tak zawrotnym, że aż przerażającym. Pomyślała, że to dobrze, iż na miejsce akcji wybrała Arizonę - odległą, surową i kamienistą. W takie tło doskonale wpasowywała się para głównych bohaterów - niezłomny mężczyzna i naiwna z pozoru kobieta.

Kamienisty trakt wiódł ich na spotkanie romansu, ale oni jeszcze o tym nie wiedzieli. Jackie uwielbiała cofać się w pionierskie czasy, lubiła pustynny upał i zapach potu. Oczywiście na każdym kroku na bohaterów czyhało niebezpieczeństwo, a za każdym zakrętem czekała ich nowa przygoda. Bohaterka powieści, wychowana w klasztorze, przeżywała katusze, jednak znosiła je bez szemrania. Była dzielna i wytrwała. Jackie nie potrafiłaby pisać o kobiecie bez charakteru.

Na myśl o mężczyźnie mimowolnie się uśmiechnęła. Widziała go tak wyraźnie, jakby się nagle zmaterializował i leżał teraz obok niej w wannie. Miał gęste, czarne włosy, połyskujące w słońcu miedzianymi refleksami, kiedy zdejmował kapelusz. Na tyle długie, żeby kobieta mogła chwycić ich całą garść. Mięśnie miał stwardniałe od jazdy w siodle, ciało ogorzałe i smukłe.

Kłopoty, które były jego specjalnością, wycisnęły piętno na surowej twarzy o wydatnych kościach policzkowych, ocienionych zarostem, którego nie chciał mu się golić. Jego usta były skore do śmiechu i potrafiły pobudzać serca kobiet do szybszego bicia. A oczy... Ach, oczy miał wręcz cudowne - szare w ciemnej oprawie, z drobnymi zmarszczkami w kącikach. Spoglądały zimno, kiedy pociągał za cyngiel. A gdy kochał się z kobietą, błyszczały z pożądania. Wszystkie kobiety w Arizonie durzyły się w Jake'u Redmanie. Jackie także była w nim troszeczkę zakochana. Co w tym zresztą złego? Czy nie stawał się tym samym postacią bardziej autentyczną? Skoro potrafiła go sobie tak wyraźnie wyobrazić, że wzbudzał w niej żywsze uczucia, czy nie świadczyło to dobrze o jej literackim talencie? Jake Redman nie miał oczywiście kryształowego charakteru. Daleko mu było do tego. Dopiero zakochana w nim kobieta miała uzmysłwić mu jego zalety i zaakceptować je wraz z wadami. Jednak zanim to nastąpi, Jake miał jeszcze pannie Sarah Conway porządnie zaleźć za skórę. Jackie już nie mogła się doczekać, co będzie dalej. Prawie słyszała jego głos, kiedy mówił. .

- Co pani tu robi?!

Powoli otworzyła oczy i ujrzała obiekt swoich marzeń. Jake?! A może to gorąca woda uderzyła jej do głowy i rozmiękczyła mózg? Wprawdzie jej bohater nie nosił garnituru z krawatem, rozpoznała jednak to mroczne spojrzenie zwiastujące burzę z piorunami. Zastygła w osłupieniu i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

Włosy miał wprawdzie krótsze, ale tylko nieznacznie, a ciemny zarost ocieniał mu policzki. Przetarła oczy, a potem zamrugała, bo chlor zaczął ją piec pod powiekami. Mężczyzna wciąż stał tam, gdzie poprzednio.

- Czyja śnię?

Nathan przyjrzał jej się uważnie. Wprawdzie nie była to rudowłosa seksbomba z jego wyobrażeń, tylko fertyczna brunetka o sarnich oczach, jednak bez względu na wszystko, nie powinna znajdować się w tym miejscu.

- Wtargnęła pani na teren cudzej posiadłości. To wbrew prawu. A tak w ogóle, kim pani jest?

Ten głos! Debry Boże! Nawet głos był taki sam. Jackie potrząsnęła głową i spróbowała wziąć się w garść. Bez względu na to, jak bardzo prawdziwy wydawał się jej bohater na papierze, nie mógł przecież nagle ożyć i stanąć przed nią w garniturze za co najmniej pięćset dolarów. Prawda była taka, że ona, Jackie MacNamara, znalazła się sam na sam z obcym mężczyzną, i to w ogromnie krępującej sytuacji.

Przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć chwyt, których nauczyła się na kursie karate, ale kiedy znów popatrzyła na szerokie bary mężczyzny, doszła do wniosku, że to nie wystarczy.

- Kim pan jest? - zapytała wyniosłym tonem, żeby ukryć strach.

- To ja panią pytam, kim pani jest - odparował. - Ja jestem Nathan Powell.

- Ten architekt? Zawsze podziwiałam pańskie projekty. Widziałam Ridgeway Center w Chicago i.. . - Uspokojona, zaczęła się podnosić, kiedy nagle uświadomiła sobie, że jest naga, więc z powrotem opadła na dno wanny. - Ma pan godny podziwu dar łączenia funkcji estetycznej z użytkową.

- Miło mi to słyszeć. A teraz.. .

- Ale co pan tu robi?

Mężczyzna znów zmrużył oczy i Jackie zobaczyła, że celują w nią niczym dwa rewolwery.

- To ja panią o to pytam, bo to mój dom.

- Co?! - Próbowwała zebrać myśli. - To pan jest tym znajomym Freda? - Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się. - Czyli wszystko jasne.

Uroczy dołeczek pojawił się w kąciu jej ust. Nathan zauważył go, ale wcale go to nie rozbroiło. Był pedantycznym samotnikiem i nie przywykł do tego, żeby nieznajome kobiety przesiadywały w jego wannie.

- Może i jasne, ale nie dla mnie. Boże, zaczynam się powtarzać. Kim pani jest, u diabła?!

- Ach, przepraszam. Jestem Jackie - powiedziała, a kiedy uniósł bez słowa brwi, z uśmiechem dodała: - Jacqueline MacNamara. Kuzynka Freda. - Wyciągnęła ku niemu mokrą rękę.

Nathan popatrzył na drobną dłoń z lśniącymi pierścionkami, ale jej nie uścisnął. Bał się, że jeśli to zrobi, nie zapanuje nad sobą i jednym szarpnięciem wyciągnie tę obcą kobietę z wanny.

- Panno MacNamara, mogę zapytać, dlaczego kąpie się pani w mojej łazience i sypia w moim łóżku?

- To pana sypialnia! Przepraszam. Fred nic mi nie mówił, więc wybrałam sobie pokój, który mi się najbardziej spodobał. Fred jest teraz w San Diego.

- A co mnie to obchodzi! - Boże, co się z nim dzieje?! Uważał się za człowieka cierpliwego i wyrozumiałego, a teraz przekonał się, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu. - Pytam panią po raz ostatni, co pani robi w moim domu?

- Wynajęłam go od Freda. To pan o tym nie wie?

- Co takiego?!

- Trudno rozmawiać, kiedy ta maszynka tak hałasuje. Chwileczkę. - Wyłączyła urządzenie do hydromasażu, zanim on zdążył to zrobić. - Jakby tu powiedzieć.. . nie spodziewałam się wizyty, więc nie jestem odpowiednio ubrana. Mogę pana na chwilę przeprosić?

Wzrok Nathana mimowolnie powędrował ku wannie. W pieniającej się kąpieli dostrzegł zarys biustu. Zacisnął zęby.

- Zaczekam w kuchni. I niech się pani pospieszy. Po jego wyjściu Jackie głęboko odetchnęła.

- No tak, tego się można było spodziewać po Fredzie - burknęła, wyskakując z wanny.

Nathan tymczasem nalał sobie podwójną porcję dzinu z tonikiem. Więc tak miał wyglądać jego powrót do domu?

Wprawdzie niejedynemu mężczyźnie byłoby zadowolony, gdyby po ukończeniu wielkiego projektu i okresie ciężkiej pracy zastał w wannie nagą kobietę, niestety, on się do takich mężczyzn nie zaliczał. Pociągnął długi łyk, a potem oparł się z westchnieniem o blat. Co robić? Uznał, że najpierw musi się pozbyć tej Jacqueline MacNamara.

- Panie Powell?

Podniósł wzrok i zobaczył ją w progu. Wciąż ociekała wodą. Zmierzył ją wzrokiem od długich, opalonych nóg, poprzez pasiasty krótki szlafroczek aż po wilgotne, kręcone włosy. Uśmiechnęła się, a na jej twarzy znów ukazał się dołeczek. Nathan nie był pewny, czy mu się to podoba. Kobieta z takim uśmiechem mogła bez trudu wyprowadzić mężczyznę w pole.

- Musimy porozmawiać o pani kuzynie.

- Tak, o Fredzie. - . Jackie z uśmiechem pokiwała głową i zajęła ratanowy stołek przy barku. Zdecydowana była zachowywać się możliwie jak najbardziej swobodnie i naturalnie. Nie miała przecież nic do stracenia. I tak pewnie za chwilę wyładuje za drzwiami, z walizką w ręku. - Niezły z niego numer, co? Jak się poznaliście?

- Przez wspólnych znajomych. - Nathan skrzywił się i pomyślał, że będzie musiał również porozmawiać z Justine. - Miałem wyjechać do Niemiec na kilka miesięcy, więc pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby ktoś tu mieszkał w tym czasie. Polecono mi Freda. A ponieważ znałem jego ciotkę.. .

- Patricię? To moja matka.

- Nie, Adele Lindstrom.

- Ach, ciotkę Adele. To siostra mojej mamy. - W oczach Jackie pojawił się łobuzerski błysk. - Wspaniała kobieta.

Nathan udał, że nie słyszy znaczącej nutki w jej głosie.

- Pracowałem ostatnio z Adele nad pewnym projektem w Chicago. To z jej polecenia zdecydowałem się wpuścić tu Freda pod moją nieobecność.

Jackie przygryzła wargi. Pierwszy objaw zdenerwowania. I choć nie była tego świadoma, zostało jej to zapisane na plus.

- Więc on nie wynajmował tego domu od pana?

- Wynajmował? Oczywiście, że nie.

Jackie zaczęła nerwowo bawić się pierścionkami. Nie patrz na nią, pomyślał. Każ jej się spakować i wynosić, zanim będzie za późno. Żadnych wyjaśnień, żadnych przeprosin, a za dziesięć minut będziesz leżał w swoim łóżku. Usłyszał własne westchnienie. Mało kto wiedział, że był w sumie człowiekiem dobronim i naiwnym.

- Tak pani powiedział?

- Najlepiej będzie, jak wszystko panu opowiem. Czy i ja mogę się czegoś napić?

Kiedy wskazała na jego drinka, zmarszczył gniewnie brwi. Był znany z doskonałych manier, a tu taka gafa! Nawet jeśli ta kobieta nie jest jego gościem, noblesse oblige.. . Bez słowa przyrządził drinka, a potem usiadł naprzeciwko.

- Tylko proszę krótko i zwięźle.

- Dobrze. - Jackie pociągnęła łyk ze szklanki. - Fred zadzwonił do mnie w zeszłym tygodniu. Dowiedział się od rodziny, że szukam mieszkania na kilka miesięcy. Jakiegoś miłego, spokojnego miejsca do pracy. Jestem pisarką - dorzuciła z dumą. Ponieważ nie doczekała się żadnej reakcji, wypłała kolejny łyk i mówiła dalej: - W każdym razie, Fred powiedział mi, że zna odpowiednie miejsce. Twierdził, że wynajmuje ten dom, a kiedy mi go

opisał, nie mogłam się już doczekać, żeby go zobaczyć. To naprawdę piękny i starannie zaprojektowany dom. Teraz, kiedy już wiem, kim pan jest, wszystko stało się jasne. Ten styl, ten wdzięk, te przestrzenie.. . Gdybym nie była tak skupiona na swoich sprawach, rozpoznałabym pańską rękę. Przecież zaliczyłam kilka semestrów architektury u LaFonta, na Columbia University.

- To musiało być ciekawe. U LaFonta?

- Tak. Cudowny stary gąsior, prawda? Taki pompatyczny i przekonany o własnej wartości.

Nathan uniósł brwi. Sam studiował kiedyś u LaFonta - Boże, jak to było dawno temu! - więc doskonale wiedział, że ten „stary gąsior” przyjmował tylko najbardziej utalentowanych studentów. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nie da się wciągnąć w żadne pogawędki. - Wróćmy do pani kuzyna, panno MacNamara.

- Mam na imię Jackie. - Znów ten sam uśmiech z dołączkiem. - No więc, gdyby nie to, że mi tak ogromnie zależało, pewnie bym mu podziękowała. Ale on tak gorąco namawiał, że w końcu przyjechałam, a kiedy obejrzałam to miejsce, zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Fred powiedział mi, że musi natychmiast wyjechać w interesach do San Diego, a właściciel - czyli pan - nie chce, żeby dom stał pusty. Podejrzewam, że to nieprawda, że zimą wpada pan tu z wizytą od czasu do czasu.

- Niestety, nieprawda. - Nathan wyjął z kieszeni papierosa. Wprawdzie udało mu się ograniczyć palenie do dziesięciu sztuk dziennie, ale tym razem okoliczności w pełni go usprawiedliwiały. - Mieszkam tu przez cały rok, z wyjątkiem podróży służbowych. Umowa między mną a Fredem była taka, że sprowadzi się na czas mojej nieobecności. Dwa tygodnie temu zadzwoniłem do niego, żeby go uprzedzić o powrocie. Miał się skontaktować z panią Grange i zostawić jej swój aktualny adres.

- Kto to jest pani Grange?

- Moja gosposia.

- Nic mi nie mówił o gosposi.

- Wcale mnie to nie dziwi - rzekł Nathan, po czym dopił drinka. - Wróćmy teraz do pani.. . Jackie.

- Podpisałam umowę najmu - powiedziała z westchnieniem. - I wypisałam Fredowi czek. Zapłaciłam za trzy miesiące z góry, plus kaucja.

- Przykro mi. - Nie może sobie na to pozwolić, żeby mu było przykro! - Nie podpisała pani umowy z właścicielem.

- Ale z pana pełnomocnikiem.. . To znaczy, myślałam że on jest pańskim pełnomocnikiem. Kuzyn Fred potrafi być bardzo przekonujący. - Zauważyła, że słuchał jej bez uśmiechu. Szkoda, że nie potrafił dostrzec całego komizmu tej sytuacji. - Panie Powell, to znaczy Nathan.. . przecież to oczywiste, że Fred oszukał nas oboje, ale musi być na niego jakiś sposób. A jeżeli chodzi o te trzy i pół tysiąca.. .

- Ile? - zdumiał się Nathan. - Zapłaciła mu pani trzy i pół tysiąca dolarów?!

- Uznałam, że to rozsądna cena. - Pomyślała, że lepiej z nim nie żartować. - Przecież to piękny dom, z basenem i oranżerią. A wracając do meritum, może prędzej czy później uda nam się przy pomocy rodziny coś z niego wydusić. Natomiast w tej chwili pytanie brzmi, jak rozwikłać tę skomplikowaną sytuację.

- Skomplikowaną sytuację?

- Nasz jednoczesny pobyt w tym domu.

- O, to proste. - Nathan wyjął kolejnego papierosa i pomyślał, że jej stracone pieniądze to nie jego problem. - Mogę pani polecić kilka całkiem przyzwoitych hoteli.

Jackie znowu się uśmiechnęła. Nie żywiła co do tego wątpliwości, ale nie miała też najmniejszego zamiaru wyprowadzać się do żadnego z nich. Dołeczek wciąż był na swoim miejscu, gdyby jednak Nathan przyjrzał jej się uważniej, dostrzegłby w piwnych oczach determinację.

- Owszem, to rozwiązałyby pana problem, ale nie mój. Bo ja mam umowę.

- Ma pani tylko bezwartościowy świstek papieru.

- Bardzo możliwe. - W zamyśleniu zabębniła palcami w blat. - Studiował pan prawo? Kiedy byłam w Harvardzie.. .

- Studiowała pani w Harvardzie?

- Bardzo krótko. - Machnęła lekceważąco ręką. - Tak czy owak, o ile się orientuję, nie tak łatwo będzie mnie stąd wyrzucić. - Obróciła w palcach szklanke. - Oczywiście gdyby pan podał mnie do sądu, wciągając w to kuzyna Freda, w końcu tę sprawę by pan wygrał. Tego jestem pewna. Ale póki co - ciągnęła, nie dopuszczając go do słowa - spróbujmy znaleźć jakieś wyjście, które byłoby do przyjęcia dla nas obojga. Musi pan być bardzo zmęczony.

- Zmieniła temat tak gładko, że Nathan spojrzał na nią w osłupieniu. - Proponuję, żeby pan poszedł teraz na górę i dobrze się wyspał. Sen jest najlepszym lekarstwem na wszystkie problemy, prawda? A jutro zastanowimy się nad tym, co dalej.

- Nad czym się tu zastanawiać, panno MacNamara? Niech pani spakuje swoje rzeczy.

- Wsunął rękę do kieszeni i natrafił na cienką koronkę. Zaciskając ze złości usta, wyjął majteczki.



- Czy to pani bielizna?

- Tak, dzięki. - Nawet się nie zarumieniła. - Trochę za późno na to, żeby wzywać policję i próbować im wszystko wyjaśnić. Wyobrażam sobie, że fizycznie byłby pan w stanie mnie usunąć, ale później sam by się za to znenawidził.

Załatwiła go. Nathan doszedł do wniosku, że musiała mieć znacznie więcej wspólnego ze swoim kuzynem niż tylko nazwisko. Spojrzał na zegarek i zaklął. Było już grubo po północy, a on nie miał serca wyrzucić jej za drzwi. Na domiar złego był tak zmęczony, że zaczynał widzieć podwójnie, więc jak mógł znaleźć stosowne argumenty?

- Dam pani dwadzieścia cztery godziny, panno MacNamara. To brzmi rozsądnie.

- Wiedziałam, że okaże pan rozsądek. - Znowu się uśmiechnęła - A teraz proszę się położyć, a ja zamknę dom.

- Przecież pani śpi w moim łóżku!

- Nie rozumiem.

- Zajęła pani moją sypialnię.

- Ach tak? - Jackie podrapała się w głowę. - Jeżeli to ma dla pana takie znaczenie, mogę zabrać swoje rzeczy.

- Nie trzeba. - Może to tylko koszmarny sen? Jakies halucynacje? Rano obudzi się i wszystko będzie jak dawniej. - Prześpię się w jednym z pokoi gościnnych - dorzucił.

- To całkiem niezły pomysł. Wygląda pan na kompletnie wykończonego. Dobranoc.

Patrzył na nią bez słowa przez całą minutę, a kiedy wreszcie zniknęła, Jackie położyła głowę na stole i zachichotała. Już ona policzy się z Fredem. Ale póki co, musiała przyznać, że od miesięcy nie znalazła się w bardziej zabawnej sytuacji.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Nathan się obudził, na Wschodnim Wybrzeżu było już po dziesiątej rano, jednak koszmar wcale nie minął. Uświadomił to sobie w chwili, gdy jego wzrok padł na prążkowaną tapetę w pokoju gościnnym. Cóż z tego, że był w swoim własnym domu, skoro został zepchnięty do pozycji gościa?

Walizki, otwarte, lecz wciąż nie rozpakowane, stały na mahoniowej komodzie pod oknem. Przez rozsunięte zasłony słońce padało na pedantycznie złożone koszule. Nathan zawahał się. Nie będzie rozpakowywał walizek, póki nie znajdzie się w swoim pokoju.

Ma przecież prawo do własnej szafy.

Pomyślał, że Jacqueline MacNamara co do jednego miała rację. Po dobrze przespanej nocy czuł się o całe niebo lepiej, a i umysł funkcjonował znacznie sprawniej. Raz jeszcze przebiegł w myślach wszystkie wydarzenia minionej nocy - od chwili gdy wszedł do domu aż do momentu, kiedy zwałił się jak kłoda na łóżko w pokoju gościnnym.

Właśnie wtedy dotarło do niego, że postąpił jak ostatni głupiec, bo trzeba było od razu pokazać jej drzwi. Ale to da się jeszcze naprawić. I to im prędzej, tym lepiej.

Ogolił się, po czym schował wszystkie przybory do kosmetyczki. Niczego nie będzie rozpakowywał, póki nie będzie mógł odłożyć swoich rzeczy na miejsce, w przeznaczonych dla nich szufladach i szafkach. Potem przebrał się w bawełniane spodnie i koszulę i poczuł, że jest gotowy do akcji. Jednak zanim wyrzuci ze swojego łóżka tę apetyczną brunetkę, wzmocni się małą kawą. To nigdy nie zaszkodzi.

Był w połowie schodów, kiedy poczuł ten zapach. Kawa. Świeża, mocna kawa. Już miał się uśmiechnąć, gdy przypomniał sobie, kto musiał ją zaparzyć. Utwierdziło go to tylko w raz powziętym postanowieniu, więc energicznie ruszył na dół. Z kuchni napłynęła fala innych zapachów. Bekon? Rzeczywiście, bekon. Usłyszał też głośną, rytmiczną muzykę. Najwyraźniej ktoś tu czuł się jak u siebie w domu.

Co prawda, koszmar trwa, ale zaraz się skończy.

Zdecydowanym krokiem wmaszerował do kuchni, gotów od progu wytoczyć działo.

- Dzień dobry. - Jackie powitała go promiennym uśmiechem. Na jego widok przyciszyła radio, ale go nie wyłączyła. - Nie wiedziałam, jak długo będziesz spał, lecz pomyślałam sobie, że nie należysz do tych, którzy wylegują się w łóżku do południa, więc zaczęłam robić śniadanie. Mam nadzieję, że lubisz naleśniki z jagodami. Wskoczyłam rano

na targ i kupiłam świeże jagody. - Zanim zdążył coś powiedzieć, wetknęła mu do ust soczystą jagodę. - Siadaj. Należę ci kawy.

- Panno MacNamara.. .

- Bardzo proszę, mam na imię Jackie. Ze śmietanką?

- Nie, bez. Nie rozwiązałyśmy wczoraj pewnej kwestii, dlatego musimy zrobić to teraz.

- Absolutnie tak. Mam nadzieję, że lubisz bekon dobrze wysmażony? - Postawiła porcelanowy talerz na serwetce. Kątem oka zauważyła, że się ogolił. Bez cienia zarostu na policzkach nie przypominał już tak bardzo jej bohatera, Jake'a. Tylko oczy wciąż miał dokładnie takie same. Pomyślała, że powinna mieć się na baczności.

- Dużo o tym myślałam, Nathan, i wydaje mi się, że znalazłam idealne rozwiązanie. - Nalała odrobinę oleju na patelnię i podkreśliła gaz. - Wypałeś się?

- Owszem. - Tak mu się przynajmniej wydawało zaraz po wstaniu, ale teraz znowu poczuł się gorzej.

- Mama mi zawsze powtarzała, że najlepiej śpi się we własnym domu, ale mnie to nie dotyczy. Mogę spać byle gdzie. Chcesz gazetę?

- Nie. - Napił się kawy, zajrzał do filiżanki i upił kolejny łyk. Może to tylko złudzenie, ale była to najlepsza kawa, jaką pił w swoim życiu.

- Kawę kupuję w małym sklepiku w mieście - wyjaśniła Jackie, jakby czytała w jego myślach, po czym wprawnym ruchem wylała ciasto na patelnię. - Sama rzadko piję kawę. Dlatego zresztą uważam, że trzeba kupować najlepszą. - Gotowy do jedzenia? - Nim zdążył odpowiedzieć, zsunęła naleśniki na talerz. - Masz stąd piękny widok. - Nalała drugą filiżankę i usiadła obok niego. - Posiłek w takiej scenerii to prawdziwa ucztą, także dla ducha.

Nathan bezwiednie sięgnął po butelkę słodkiego syropu. Nie zaszkodzi zacząć dzień od dobrego śniadania.

Potem, oczywiście, wyrzuci tę pannę MacNamara bez zwłoki.

- Jak długo już tu jesteś?

- Zaledwie od paru dni. Fred zawsze potrafił doskonale zgrać wszystko w czasie. Jak tam naleśniki? Smakują?

Pomyślał, że wypada oddać jej sprawiedliwość.

- Są przepyszne. A ty nie będziesz jadła?

- Jestem już właściwie po śniadaniu. - Mówiąc to, sięgnęła po chrupiący plasterzek bekonu. - Gotujesz sobie sam?

- Tylko jeżeli na opakowaniu jest przepis. Czyżby miało to oznaczać zapowiedź zwycięstwa?

- Ja jestem świetną kucharką.

- Pewnie kończyłaś najlepsze kursy?

- Och, chodziłam na nie tylko przez pół roku - odparła z uśmiechem. - Żeby nauczyć się podstaw. Później postanowiłam sama eksperymentować. Gotowanie również może być pasjonującą przygodą.

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiale. Dla niego gotowanie było męką, która nieodmiennie kończyła się klęską.

- A ta twoja pani Grange? - ciągnęła Jackie. - Czy ona przychodzi codziennie, żeby ci posprzątać i ugotować?

- Nie, tylko raz w tygodniu. - Naleśniki wprost rozplywały się w ustach. Nathan odprężył się i spojrzał na ogród. Jackie miała rację, widok był rzeczywiście piękny. Pomyślał, że nigdy dotąd śniadanie nie sprawiło mu takiej przyjemności. - Sprząta, robi zakupy na cały tydzień i przygotowuje jakąś zapiekankę na kilka dni. A czemu pytasz?

- Bo to ma pewien związek z naszym małym dylematem.

- To tylko twój dylemat.

- Wszystko jedno. Zastanawiam się, jak to z tobą jest, Nathan. Twoje budowle są dowodem na to, że nie jest ci obce poczucie stylu i harmonii, jednak nie potrafisz powiedzieć, czy wyznajesz także zasadę fair play. - Sięgnęła po dzbanek z kawą. - Należę ci jeszcze jedną filiżankę.

Nathanowi w jednej chwili odechciało się jeść.

- Do czego zmierzasz?

- Straciłam trzy tysiące pięćset dolarów - odparła, żując plasterek bekonu. - Mimo to nie zamierzam ci wmawiać, że na skutek tego będę zmuszona handlować ołówkami na rogu ulicy. Istotna jest tu nie kwota, tylko zasada. A ty jesteś człowiekiem z zasadami, prawda?

O co jej właściwie chodzi? Nathan bez słowa wzruszył ramionami.

- W dobrej wierze zapłaciłam za to, żeby przez trzy miesiące móc tu mieszkać i pracować.

- Jestem pewny, że twoja rodzina zatrudnia doskonałych adwokatów. Czemu wobec tego nie podasz do sądu kuzyna Freda?

- MacNamarowie nie rozwiązują rodzinnych spraw w taki sposób. Ale oczywiście policzę się z nim, i to kiedy będzie się tego najmniej spodziewał.

Zimny błysk w jej oczach upewnił Nathana, że dotrzyma słowa. Mimowolnie poczuł coś na kształt podziwu.

- Życzę ci powodzenia, ale twoje rodzinne kłopoty to nie moja sprawa.

- Twoja, jeżeli w ich centrum znajduje się twój dom. Chcesz jeszcze naleśnika?

- Nie, dziękuję - odparł o pół sekundy za późno. - Panno.. . Jackie, będę z tobą absolutnie szczerzy. - Rozsiadł się wygodniej, żeby spokojnie i rzeczowo przekazać jej ostateczną decyzję. Gdy z uwagą zwróciła na niego piwne oczy, powinien się domyślić, że nie pójdzie mu tak gładko.

- W Niemczech ciężko pracowałem. Przede mną kilka wolnych miesięcy, które zamierzam spędzić we własnym domu i w samotności, nie robiąc absolutnie nic.

- A co budowałeś?

- Gdzie?

- No, w Niemczech.

- Kompleks rozrywkowy, ale to nie ma nic do rzeczy. Może wydam ci się bezduszny, ale nie czuję się odpowiedzialny za sytuację, w jakiej się znalazłaś.

- Bezduszny? Wcale nie. - Jackie poklepała go po ręce, po czym dolała mu kawy. - Niby czemu miałbyś się tym przejmować? Powiadasz, kompleks rozrywkowy. To bardzo ciekawe. Chętnie o tym posłucham, ale później. Rzecz w tym, Nathan.. . - Urwała, żeby dolać sobie kawy.

- Tak naprawdę jedziemy na tym samym wózku. Oboje chcieliśmy spędzić najbliższe miesiące w samotności, a Fred nam wszystko popsuł. Lubisz kuchnię orientálną?

Nathan poczuł, że traci grunt pod nogami. Oparł się mocniej łokciami o blat.

- Przepraszam, ale co to ma do rzeczy?

- Musi coś mieć, skoro o to pytam. Masz jakieś ulubione potrawy? Albo takie, których szczególnie nie lubisz? Ja mogę jeść wszystko, ale są ludzie o zdecydowanych preferencjach.

- Jackie otoczyła dłońmi filiżankę i założyła nogę na nogę. Miała na sobie jaskrawoniebieskie szorty z wyhaftowanym flamingiem. Nathan patrzył przez dłuższą chwilę na różowego ptaka, a potem odwrócił wzrok.

- Lepiej powiedz, o co ci chodzi, póki jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach.

- Ten dom jest wystarczająco duży, żeby nam obojgu zapewnić to, czego chcemy - powiedziała spokojnie i znów pomyślała, że Nathan ma oczy Jake'a. - Podobno jestem idealną współmieszkanką. Jeżeli chcesz, mogę ci przedstawić referencje. W końcu studiowałam na paru uczelniach i mieszkałam w paru akademikach. Potrafię być schludna, cicha i nie rzucać się w oczy.

- Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć.

- Ale to prawda. Zwłaszcza kiedy pochłania mnie własny projekt, tak jak teraz. Całymi dniami piszę, a ta książka to w tej chwili najważniejsza sprawa w moim życiu. Chętnie ci coś więcej opowiem, ale później.

- Z przyjemnością posłucham.

- Masz subtelne poczucie humoru, Nathan. Uważaj, żebyś go nie stracił. Tak czy inaczej, głęboko wierzę w coś takiego jak aura. Ty jako architekt pewnie też.

- Znowu zgubiłem wątek. - Nathan odsunął filiżankę. Jeszcze jedna kawa, a gotów przyjąć do wiadomości jej argumenty.

- Mówię o tym domu - cierpliwie wyjaśniła Jackie, a Nathan doszedł do wniosku, że wszystkiemu winne są jej oczy. Miały w sobie coś, co zmuszało go, by jej słuchał, podczas gdy rozum podpowiadał mu, żeby zatkał uszy i uciekał, gdzie pieprz rośnie.

- Co z tym domem?

- On zdecydowanie ma w sobie coś. Odkąd tu zamieszkałam, robota idzie mi jak z płatka. Obawiam się, że gdybym się teraz wyprowadziła, mogłoby mi się skończyć natchnienie. Wolalabym nie ryzykować, dlatego skłonna jestem pójść na kompromis.

- Ty jesteś skłonna pójść na kompromis? - powtórzył powoli Nathan. - To ciekawe! Mieszkasz w moim domu bez mojej zgody i gotowa jesteś pójść na kompromis?

- To chyba fair? - Jej słowom towarzyszył promienny uśmiech. - Ty nie gotujesz, a ja tak. Dlatego do końca mojego pobytu będę przygotowywać posiłki dla nas obojga, i to na mój koszt.

Słuchając jej, pomyślał, że to całkiem rozsądna propozycja.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony, ale ja nie potrzebuję ani kucharki, ani współlokatorki.

- Skąd możesz to wiedzieć? Przecież nie miałeś dotąd ani jednej, ani drugiej.

- Czego potrzebuję - to świętego spokoju - powiedział, wyraźnie akcentując każde słowo.

- Ależ oczywiście, że tak.

Mimo iż nawet go nie dotknęła, poczuł się, jakby go pogłaskała po głowie. Zaciśnął usta.

- Zawrzyjmy pakt, Nathan. Będziemy nawzajem respektować swój spokój. - Wychyliła się i spontanicznym gestem nakryła dłonią jego dłoń. - Wiem, że nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, ale zależy mi na tej książce. Chciałabym ją jak najprędzej skończyć i czuję, że uda mi się to pod warunkiem, że zostanę w tym domu.

- Chcesz mi wmówić, że jeśli nie, literatura amerykańska poniesie niepowetowaną stratę? I to oczywiście z mojej winy.

- Nie, nigdy w życiu, daleka jestem od tego. Chociaż, gdyby się zastanowić, jest w tym pewna racja. Proszę cię tylko o jedno - żebyś dał mi szansę. Przecież chodzi wyłącznie o kilka tygodni. Jeżeli w którymś momencie dojdiesz do wniosku, że doprowadzam cię do szału, wyjadę bez słowa.

- Jacqueline, znam cię zaledwie od kilku godzin, a już zdążyłaś doprowadzić mnie do szału.

Choć nic w jego tonie na to nie wskazywało, poczuła, że szala zwycięstwa zaczyna przechylać się na jej stronę.

- Mimo to zjadłeś wszystkie naleśniki - zauważyła mimochodem.

Nathan skruszony spojrzał na pusty talerz.

- Od dwudziestu czterech godzin nie jadłem nic poza tym, co podali w samolocie.

- Poczekaj, aż spróbujesz mojego ciasta. I gofrów. Przemyśl to sobie, Nathan. Obiecuję, że póki tu będę, nie otworzysz ani jednej puszki.

Wbrew woli przypomniał sobie wszystkie żalose posiłki, które sam sobie przygotował, a także inne, równie niejadalne, dostarczane mu w styropianowych pojemnikach.

- Będę się stołował poza domem.

- W zatłoczonych restauracjach? Tam na pewno znajdziesz upragniony święty spokój. Jeżeli przyjmiesz moją propozycję, będziesz jadał w luksusowych warunkach.

Musiał przyznać, że nienawidził restauracji. Po pobycie w Niemczech miał ich po dziurki w nosie. Znów pomyślał, że jej propozycja brzmi rozsądnie. Przyszło mu to tym łatwiej, że wciąż miał w ustach smak wspaniałych naleśników.

- Chcę, żebyś zwolniła mój pokój.

- Żaden problem.

- I nie znoszę rozmów przy śniadaniu.

- Co za mruk! Ja za to chcę codziennie korzystać z basenu.

- Zgoda - powiedział.

Wyciągnęła rękę, czując, że gest ten będzie miał dla niego zasadnicze znaczenie. I nie myliła się. Nathan jakby się zawahał. W tej sytuacji sięgnęła po ostateczny argument.

- Gardziłbyś sobą, gdybyś mnie wyrzucił.

Zmarszczył brwi, ale jego dłoń już dotknęła wyciągniętej dłoni. Drobnej i ciepłej, o zadziwiająco mocnym uścisku. Oby nie dożył dnia, w którym pożałuje tej umowy.

- Idę wziąć kąpiel - burknął.

- Dobra myśl. Powinieneś się rozluźnić. A tak przy okazji, co mam przygotować na lunch?

- Może być niespodzianka - odparł, nie odwracając się. Po jego wyjściu Jackie sięgnęła po talerz i odtańczyła triumfalny taniec.

Chwilowe zaćmienie umysłu. Jak zareagowałiby na tę wiadomość jego wspólnicy czy rodzina? Jak taki argument zabrzmiałby w sądzie? Nathan Powell, lat trzydzieści dwa, konserwatysta, obiecujący architekt, ma pod swoim dachem zupełnie obcą kobietę.

Przy tym słowo „obcą” niekoniecznie znaczyło, że jej nie znał. Chodziło raczej o to, że obce było mu wszystko, co sobą reprezentowała. Jackie wydała mu się dziwna. Doszedł do tego wniosku po południu, kiedy zobaczył, jak po lunchu medytowała nad basenem. Siedziała po turecku, z odchyłoną do tyłu głową, rękami na kolanach i zamkniętymi oczyma. Widok ten go przeraził. Czyżby recytowała mantrę? Czy są jeszcze ludzie, którzy to robią?

Musiał chyba nie być przy zdrowych zmysłach, kiedy godził się na taki układ. A wszystko przez ten jej uśmiech i naleśniki z jagodami. Widocznie nie zdążył się jeszcze zaaklimatyzować po podróży, pomyślał, nalewając sobie szklanek mrożonej herbaty, do której Jackie przyrządziła wyjątkowo pyszną sałatkę ze szpinaku. W końcu nawet inteligentny, wykształcony mężczyzna może czasami paść ofiarą zmęczenia, zwłaszcza po długim locie przez Atlantyk.

Dwa tygodnie... W zasadzie zgodził się tylko na dwa tygodnie. Po ich upływie będzie miał prawo grzecznie, acz zdecydowanie pokazać jej drzwi. W tym czasie zrobi to, co powinien uczynić poprzedniego wieczora - upewni się, czy nie gości u siebie jakiejś hochsztaplerki.

Przy telefonie w kuchni - podobnie jak przy wszystkich aparatach w tym domu - leżał oprawiony w skórę notes z adresami. Przerzucił kartki i zatrzymał się przy literze „L”. Jackie była na górze i pisała - o ile oczywiście istniała jakakolwiek książka. Pomyślał, że zadzwoni, dowie się, jak sprawy stoją, a potem zadecyduje, co dalej.

- Rezydencja Lindstromów.

- Mówi Nathan Powell. Czy mógłbym prosić panią Adele Lindstrom?

- Zaraz ją poproszę.

Czekając, aż Adele podejdzie do telefonu, Nathan sączył herbatę przez słomkę. Świeży napój to jednak coś znacznie smaczniejszego niż rozpuszczone kryształki ze słoika. Wyjął z kieszeni papierosa.

- Nathan, mój drogi, co słyhać?



- Witaj, Adele. U mnie wszystko w porządku. A u ciebie?

- Lepiej być nie może, chociaż ostatnio jestem zawałona robotą. Jesteś w Chicago?

- Nie, u siebie. Właśnie wróciłem z Niemiec. Twój bratanek Fred był.. . pilnował mi domu.

- Ach tak, przypominam sobie. - W słuchawce zapadła długa, znacząca cisza. - Czy Fred coś nabroił?

Nabroił? Nathan potarł czoło, a potem zdecydował, że nie będzie obarczać Adele nadmiarem szczegółów.

- Mamy tu małe zamieszanie. Jest u mnie twoja siostrzenica.

- Moja siostrzenica? Ale która, bo mam ich kilka? Jacqueline? Pewnie Jacqueline. Przypominam sobie, że Honoria, matka Freda, mówiła mi, że Jackie wyjeżdża na południe. Mój biedaku, wygląda na to, iż masz dom pełen MacNamarów.

- Fred jest w tej chwili w San Diego.

- Gdzie? W San Diego? A co wy robicie w San Diego? Nathan jakoś sobie nie przypominał, żeby Adele Lindstrom zawsze była aż tak roztargniona.

- To Fred jest w San Diego. Tak mi przynajmniej powiedziano. A ja jestem na Florydzie z twoją siostrzenicą.

- Ach tak?! - wykrzyknęła Adele tonem, który mocno zaniepokoił Nathana. - To się świetnie składa! *Zawsze*, mówiłam, że nasza mała Jacqueline potrzebuje solidnego, dobrze ustawionego mężczyzny. To trzpiotka, ale bardzo inteligentna i o złotym sercu.

- Z całą pewnością tak. - Nathan uznał, że najwyższy czas wszystko wyjaśnić. - Ona znalazła się tu w wyniku nieporozumienia. Wygląda na to, że Fredowi coś się pomyliło. Chyba zapomniał, kiedy wracam i.. . zaproponował Jackie, żeby się tu wprowadziła.

- Ach, już rozumiem. - Na szczęście Nathan nie mógł zobaczyć błysku rozbawienia w oczach Adele. - Co za krepująca sytuacja! Mam nadzieję, że jakoś z tego wybrnęliście.

- Mniej więcej. Matka Jackie to twoja siostra?

- Tak. Jackie fizycznie bardzo przypomina Patricię. Obie mają w sobie to „coś. „ Jako dziecko byłam piekielnie zazdrosna o siostrę. A co do reszty, nie wiadomo, do kogo jest podobna.

Nathan powoli wydmuchał kłąb dymu.

- To mnie wcale nie dziwi.

- A co ona teraz robi? Maluje? Ach, nie. Już wiem. Ostatnio podobno pisze.

- Tak przynajmniej twierdzi.

- Jestem pewna, że to będzie świetna powieść. Ona potrafi opowiadać takie wspaniałe historie.

- O to mogę się założyć.

- No cóż, mój drogi. Jestem pewna, że się dogadacie. Jackie potrafi sobie owinąć wszystkich wokół małego palca. Nie mówiąc już o tym, że obie z Patricia zawsze marzyłyśmy, żeby wyszła za mąż za kogoś odpowiedniego.

To naprawdę urocza dziewczyna. Trochę szalona, ale urocza. Nadal jesteś kawalerem, prawda?

Nathan wznosił oczy do nieba i pokręcił głową.

- Tak. Miło było cię słyszeć, Adele. Powiem twojej siostrzenicy, żeby się z tobą skontaktowała, kiedy tylko znajdzie sobie jakąś metę.

- Bardzo bym się ucieszyła. Chętnie ją zobaczę. I ciebie też, Nathan. Odezwij się koniecznie, gdy znowu będziesz w Chicago.

- Nie omieszkam. Trzymaj się, Adele.

Marszcząc brwi, odłożył słuchawkę. Teraz miał przynajmniej pewność, że jego niepożądana lokatorka rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Tylko co z tego? Mógł wprawdzie znowu spróbować z nią porozmawiać, ale na samą myśl o tym rozboleła go głowa. Może to zakrawa na tchórzostwo, ale postanowił do końca dnia udawać, że Jacqueline MacNamara po prostu nie istnieje.

W pokoju na piętrze Jackie zawzięcie stukala w maszynę. Myśli o Nathanie ani razu nie przeszkodziły jej w tym zajęciu. A jeśli nawet raz czy dwa stanął jej przed oczyma, był tak podobny do Jake'a, że nie potrafiła ich odróżnić.

Czasami, kiedy jej palce na moment zwalniały i myślami wracała do chwili obecnej, świadomość, że naprawdę pisze książkę, napawała ją radością. Po raz pierwszy w życiu robiła coś z autentycznym zaangażowaniem, nie traktując tego jak zabawę.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że cała rodzina plotkuje na jej temat. „Takie wychowanie, takie wykształcenie, a biedna dziewczyna nie wie, co z tym zrobić”. Teraz wreszcie mogła ich zapewnić, że odnalazła powołanie.

Odchyliła się na krześle i przygryzając wargi, przeczytała świeżo napisaną scenę. Uznała, że jest bardzo dobra. Jednak tam, w Newport, rodzina i tak będzie z powątpiewaniem kręcić głową. Co z tego, że jedna scena jest dobra, czy nawet cały rozdział? Mała Jackie jeszcze nigdy nie doprowadziła niczego do końca.

Była to prawda. Kiedy postanowiła zająć się renowacją domów, kupiła zrujnowany dwór i z zapalem zajęła się jego remontem. Wkrótce stała się murarzem, hydraulikiem,

elektrykiem i malarzem w jednej osobie. Pierwsze piętro wyszło rewelacyjnie, ale w tym czasie Jackie zdążyła już stracić serce do tej roboty. Wprawdzie i tak sprzedawała dom z dużym zyskiem, ale pozostałe kondygnacje kończył kto inny.

Tym razem miało być inaczej.

Oparła głowę na łokciach. Ile razy już to mówiła? Studio fotograficzne, lekcje baletu, warsztat garncarski. Ale powieść to naprawdę coś innego. Nareszcie zrozumiała, że wszystko, co robiła w przeszłości, miało ją doprowadzić do obecnego etapu w życiu.

Tym razem dopilnuje, żeby ten projekt zrealizować do końca. Nic, co dotąd robiła, nie pochłaniało jej tak absolutnie i bez reszty. Z tym że opinia rodziny nie miała dla niej większego znaczenia. Mogli sobie uważać ją za niepoważną dziwaczkę. Rzeczywiście, była taka, teraz jednak postanowiła znaleźć w życiu cel. Nie można przecież wiecznie być dzieckiem.

Amerykańska epopeja.. . Dźwięk tych słów wprawił ją w błogi nastrój. Chociaż tak naprawdę nie o to chodziło, bo już sama idea wielkiej amerykańskiej epopei niosła w sobie zapowiedź straszliwej nudy. Ma to być po prostu dobra książka - taka, z którą każdy chętnie usiądzie wieczorem w fotelu. Jackie wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Zrozumiała to dopiero teraz.

Pisanie przychodziło jej bez trudu. Posuwała się do przodu szybciej, niż się spodziewała. Cały pokój zavalony był podręcznikami i książkami, które mogły jej się przydać w pracy. Jackie skrupulatnie przestrzegała jednej zasady - że człowiek musi być ekspertem w dziedzinie, którą sobie wybrał.

Nigdy by też nie przypuszczała, że sam proces tworzenia może sprawiać taką radość. Zamknęła oczy i pomyślała o Jake'u. Mimowolnie przed oczyma stanął jej Nathan. Czy to nie dziwne, że był taki podobny do bohatera jej opowieści? Zaczyna to wyglądać na zrządzenie losu. A Jackie wierzyła w przeznaczenie - choć nie bez zastrzeżeń - zwłaszcza odkąd ukończyła kursy astrologii.

Oczywiście Nathan nie był swobodnym, beztroskim rewolwerowcem. Wręcz przeciwnie, był rozbijającym konserwatywny i z całą pewnością uważał się za człowieka zorganizowanego i praktycznego. Natomiast raczej nie uważał się za artystę, choć zdaniem Jackie, był artystą, i to utalentowanym. Trzymał się za to ściśle wyznaczonych planów, co wzbudzało w niej szacunek, bo sama nigdy w życiu nie była w stanie zaplanować i wykonać czegokolwiek do końca. A autentycznym podziwem napawała ją świadomość, że Nathan doskonale wiedział, czego chce, i potrafił to osiągnąć.

Miło było także na niego popatrzeć. Zwłaszcza kiedy się uśmiechał. Robił to z pewnym ociąganiem, przez co jego uśmiech wydawał się Jackie jeszcze bardziej rozbajający. Pomyślała, że postara się sprawić, by uśmiechał się jak najczęściej.

Nie powinno być z tym większych kłopotów. Nathan z pewnością miał dobre serce. Gdyby było inaczej, już pierwszego wieczoru pokazałby jej drzwi. Nie zrobił tego, choć ewidentnie miał na to wielką ochotę. Tym samym zasłużył sobie u niej na duży plus. Z tego też powodu postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby ich wspólny pobyt pod jednym dachem przebiegał możliwie bezboleśnie.

Bo wbrew temu, co powszechnie głosiła, Jackie wolała towarzystwo, nawet przymusowe, niż samotność.

Oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę, że nic nie ucieszyłoby bardziej Nathana niż jej wyjazd, tego jednak życzenia nie zamierzała na razie spełnić. Najpierw musi skończyć książkę - i to tutaj, w tym domu, w którym zaczęła ją pisać.

Postanowiła jak najmniej wchodzić Nathanowi w drogę, a także serwować mu jak najlepsze posiłki.

Mimowolnie, zerknęła na zegarek. Zaklęła, po czym wyłączyła maszynę. Jak można myśleć o obiedzie, kiedy Jake właśnie wpadł w ręce wojowniczych Apaczów? Niestety, umowa jest umową, dlatego burcząc gniewnie pod nosem, Jackie pomaszerowała do kuchni.

Znowu zaatakowały go zapachy. Nathan siedział w swoim gabinecie, pogrążony w fachowej lekturze. Lubił to miejsce, o wykładanych drewnem ścianach, z wyblakłym perskim dywanem na podłodze. Szklane drzwi wychodziły na patio, za którym rozpościerał się ogród. Tu był jego azyl, przepojony zapachem skóry i zalany słońcem wpadającym przez szyby. Jeżeli mężczyzna nie potrafi odizolować się w swoim gabinecie, to nigdzie nie potrafi być sam.

Tego dnia niemal udało mu się zapomnieć o Jackie MacNamarze oraz jej cwanim kuzynie. Słyszał wprawdzie, jak ta pisarka krząta się po kuchni, ale to zignorował. Świadomość, że jest to możliwe, sprawiła mu pewną satysfakcję. Służąca. Będzie uważał ją za służącą, i nic więcej.

A potem napłynęły te drażniące, smakowite zapachy. Znowu zabrzmiało radio. I to bardzo głośno. Będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Zaczął się wiercić w fotelu, próbując się skupić.

Co to jest? Kurczak? Wrócił do przerwanej lektury, ale zgubił wątek. A może by tak zamknąć drzwi? Nie przepadał przecież za przebojami, których Jackie właśnie słuchała. A

gdyby tak spróbował polubić ten rodzaj muzyki? Odłożył czasopismo na biurko i ruszył w stronę kuchni.

Musiał mówić do Jackie dwa razy, żeby go usłyszała. Potrząsając patelnią, odkrzyknęła:

- Jeszcze tylko kilka minut! Chcesz wina?

- Nie. Chcę, żebyś ściszyła radio.

- Że co?

- Ścisz to. - Pomrukując z obrzydzeniem, Nathan podszedł do głośnika i wcisnął guzik. - Czy nie wiesz, jakie to szkodliwe dla uszu?

Jackie raz jeszcze potrząsnęła patelnią, po czym zgasiła płomień.

- Kiedy gotuję, zawsze słucham głośnej muzyki. To daje mi natchnienie.

- No to zainwestuj w słuchawki - zaproponował. Wzruszyła ramionami, a potem zdjęła pokrywkę z garnka z ryżem.

- Przepraszam. Myślałam, że lubisz muzykę, skoro w każdym pomieszczeniu masz głośniki. A jak ci minął dzień? Udało ci się choć trochę odpocząć?

Co takiego było w jej tonie, że nagle poczuł się jak stetryczały staruszek?

- Dziękuję, wszystko w porządku - burknął.

- To dobrze. Mam nadzieję, że lubisz chińską kuchnię. Moja przyjaciółka otworzyła uroczą orientálną knajpkę w San Francisco. Udało mi się wydebić od jej kucharza kilka przepisów. - Jackie nalała mu wina. Tym razem wzięła jeden z angielskich, kryształowych kieliszków. A potem zręcznie przrzuciła potrawkę z kurczaka na półmisek z ryżem. - Nie miałam czasu, żeby przygotować jakiś wymyślny deser, ale w piekarniku jest ciasto. Jedz, bo ci wystygnie - dodała, oblizując palce.

Nathan poczuł się nagle bardzo zmęczony. Usiadł i pomyślał, że jednak musi coś zjeść. Nabił kawałek kurczaka na widelec i popatrzył na Jackie. Sprawiała wrażenie osoby, której nikt i nic nie jest w stanie zbić z pantalnyku. Za chwilę okaże się, czy to prawda.

- Rozmawiałem wczoraj z twoją ciotką - powiedział, kiedy usiadła obok niego przy barku.

- Naprawdę? Z ciotką Adele? - zdumiała się Jackie. - I co? Dała mi dobre referencje?

- Mniej więcej.

- Sam sobie napytałeś biedy - stwierdziła, po czym rzuciła się najedzenie z zapalem osoby obdarzonej niezłym apetytem.

- Nie rozumiem.

- Zobaczysz, że będą plotki. Lindstromowie powiedzą o wszystkim MacNamarom. A ci pewnie zaraz powtórzą O'Brianom. Siostra mojego ojca jest po mężu O'Brian. - Jackie nabrała na widelec trochę ryżu zabarwionego szafranem. - Nie ja będę za to odpowiedzialna.

Nathan poczuł, że znowu nie nadąża za tokiem jej myśli.

- O czym ty mówisz?

- O ślubie.

- O jakim znów ślubie?

- Naszym. - Podniosła do ust kieliszek i z uśmiechem upiła łyk. - Co myślisz o tym winie?

- Wróćmy do ślubu. Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, ale jestem pewna, że już dwie minuty po rozmowie z tobą ciotka Adele zaczęła obdzwaniać całą rodzinę, żeby wszystkich poinformować o naszym romansie. A ludzie chętnie jej słuchają, chociaż nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego. Jedz, bo ci kurczak wystygnie!

Nathan odłożył widelec i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie dałem nikomu żadnych podstaw do podejrzeń, że coś jest między nami - zauważył z wymuszonym spokojem.

- To prawda. - Jackie ze współczuciem ucisnęła mu dłoń. - Poinformowałaś tylko ciotkę Adele, że tu mieszkam. - Na dźwięk zegara poderwała się i wyjęła ciasto z piekarnika.

- Powiedziałem jej, że zaszło pewne nieporozumienie - dorzucił, kiedy znów usiadła obok niego.

- Ciotka ma bardzo wybiórczą pamięć. - Jackie włożyła do ust sporą porcję potrawy. - Ale się nie przejmuj i nie czuj się zobowiązany. Jak sądzisz, może należało dodać więcej imbiru?

- Czemu miałbym się przejmować?

- Wobec mnie nie masz żadnych zobowiązań. - Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Mam nadzieję, że to ci nie popsuło apetytu. Nie martw się, poradzę sobie z rodziną Czy mogę zadać ci pewne osobiste pytanie?

Nathan znów sięgnął po widelec.

- Proszę bardzo.

- Czy jesteś z kimś związany? Nawet jeżeli to coś niezbyt poważnego?

Podobał jej się, kiedy tak mrużył te swoje szare oczy, Ich spojrzenie przeszywało człowieka na wylot.

- Nie - odparł po dłuższym namyśle, wybierając prawdę. - To niedobrze! - Jackie zasepiła się na chwilę. - Byłoby lepiej, gdybyś kogoś miał. Ja już coś wymyślę. Nie będziesz protestował, jeżeli powiem rodzinie, że kochasz się.. . na przykład.. . w jakiejś pani oceanolog? Nathan mimowolnie się roześmiał i sięgnął po kieliszek.

- Bynajmniej.

Nie spodziewała się, że jego śmiech zrobi na niej takie wrażenie. Poczła lekki niepokój, ale zaraz się otrząsnęła.

- Fajny z ciebie facet, Nathan. Pewnie nie wszyscy tak sadzą, ale ja znam cię lepiej niż inni. Pozwól, że dołożę ci jeszcze kurczaka.

- Nie, sam sobie nałożę.

To był błąd - nieopatrzny ruch, wskutek którego ludzie zderzają się w progu albo trącają łokciami w zatłoczonej windzie. Mimowolny i zaraz puszcany w niepamięć.

Kiedy oboje jednocześnie poderwali się i sięgnęli po talerz, ręce ich się spotkały, a ciała zderzyły. Nathan chwycił Jackie za ramię, żeby ją podtrzymać. Jednak żadne z nich ani nie przeprosiło, ani się nie uśmiechnęło.

Jackie na moment zabrakło tchu. Serce załomotało, jakby miało rozsadzić pierś. Wcale jej to zresztą nie zdziwiło. Bo choć kontakt był czysto przypadkowy, a okoliczności raczej komiczne niż romantyczne, miała wrażenie, jakby czekała na to przez całe życie.

Pomyślała, że na zawsze zapamięta dotyk ręki Nathana, gorące męskie ciało, o które się otarła. Zapamięta też wyraz zdumienia w jego oczach, a także aromat przypraw i wina. Nie zapomni ciszy, która nagle zapadła, jakby cały świat wstrzymał na moment oddech.

Co się z nim dzieje, do cholery? Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Trzymał Jackie mocniej, niż powinien, jakby do niej lgnął - a przecież to czysty absurd! Jednak bez względu na to, jak bardzo wydawało się to nonsensowne, spoglądał teraz w jej piwne, rozmarzone oczy. Czy głupotą było wierzyć, że maluje się w nich szczerłość? Znów poczuł ten delikatny zapach, który wypełniał jego sypialnię, kiedy wrócił do domu, a teraz unosił się także w pokoju gościnnym. Usłyszał drżący oddech Jackie. A może swój własny?

I nagle poczuł, że jej pragnie jak niczego dotąd w swoim życiu. Trwało to tylko przez chwilę, ale wstrząsnęło nim do głębi.

Odskoczyli od siebie jak na komendę. Jackie chrząknęła. Nathan głośno odetchnął.

- Nałożę ci, dla mnie to żaden kłopot - powiedziała, lekko zdyszana.

- Dzięki.

Podeszła do pieca i spróbowała swobodnie odetchnąć. Nakładając na talerz kolejną porcję kurczaka, zadawała sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby w porę zrezygnować z tej przygody.



## ROZDZIAŁ TRZECI

„Ilekoć na nią patrzył, działo się z nią coś dziwnego. Coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyła. Serce szybciej biło jej w piersi, dłonie wilgotniały. A wszystko to z powodu jednego spojrzenia. Oczy miał takie ciemne, spojrzenie przenikliwe. Patrzył na nią, a jej wydawało się, że potrafi przejrzeć ją na wskroś.

Nonsens! Przecież ten człowiek obracał się w świecie, w którym kulą wymierzano sprawiedliwość; który brał to, co tylko zechciał, nie odczuwając przy tym najmniejszych wyrzutów sumienia. A ją przez całe życie uczono, że granica między dobrem a złem jest wyraźnie wytyczona i nie wolno jej przekraczać.

Uczono ją też, że największym grzechem jest zabójstwo, a on przecież zabijał i na pewno nieraz jeszcze zabije. Skoro to wszystko wiedziała, powinna jak najszybciej o nim zapomnieć. Rzecz w tym, że nie chciała, bo obchodził ją, pragnęła go i był jej potrzebny”.

Jackie rozsiadła się wygodniej w fotelu i raz jeszcze przeczytała opis sprzecznych uczuć, jakie targały duszą Sarah. Jak młoda dziewczyna, wychowana w klasztorze, ma ustosunkować się do człowieka, przez całe życie kierującego się obcymi jej zasadami, których ani nie pochwałała, ani nie rozumiała?

Ich miłość nie mogła rozkwitnąć bez przeszkód, była jednak możliwa. Reprezentowali dwa światy, dwa systemy wartości, przeciwstawne ambicje. Nielatwo im będzie przewyciężyć te różnice. Powieść nie będzie ograniczać się do opisu wewnętrznych rozterek jej bohaterów. Będą w niej również pojedynki rewolwerowców, zdrada, porwanie i zemsta. Chodzi o to, żeby wciąż trzymać czytelnika w napięciu. Jednak zasadniczym wątkiem miała być miłosna historia pary bohaterów. Proces przemian, jakie w nich zachodziły, wzajemne docieranie się i kompromis, który miał ostatecznie scementować ich związek.

Jackie nie myślała o ich uczuciu w kategoriach pojęć rodem z końca dwudziestego wieku. Słowa mogą się z czasem zmieniać, ale miłość zawsze pozostanie miłością.

Nagle uświadomiła sobie, że czegoś podobnego pragnie dla siebie. Kogoś, kogo pokocha i kto odwzajemni jej miłość. Mężczyzny, z którym będzie mogła snuć plany na przyszłość. Czy to nie dziwne, że wymyślając fikcyjny związek na papierze, zapragnęła nagle, by coś takiego spotkało ją w rzeczywistości?

Nie szukała przy tym ideału, bo sama była pełna wad. A poza tym, taki ideał szybko musiałby ją znudzić. Nie marzyła o człowieku, z którym zgadzałyby się pod każdym względem.

Czy jej marzeniem był mężczyzna światowy? Raczej nie, choć mogłoby ją to nawet bawić przez jakiś czas. Ale taki elegant nigdy nie wyrzuciłby śmieci, nie potrafiłby też naprawić zepsutego kontaktu.

Wrażliwiec? Powtórzyła w myślach to słowo i przed oczami stanął jej mężczyzna czuły i troskliwy, piszący z zapalem kiepską poezję. Rogowe okulary, miodowy głos. Taki człowiek dobrze rozumiałby potrzeby i nastroje kobiety. Pomyślała, że mogłaby go nawet polubić. Do czasu. Póki tą swoją wrażliwością nie zaczęłby doprowadzać jej do szału.

Namiętny kochanek także mógł być całkiem niezły. Porywałby ją w ramiona i kochał się z nią na wypalonych słońcem łąkach. Jednak w którymś momencie przestałoby to być takie zabawne.

Mężczyzna, którego byłaby w stanie pokochać, powinien być dowcipny, inteligentny, godny zaufania, a zarazem odrobinę nieprzewidywalny.

W tym cały kłopot, pomyślała. Mogła wyliczyć dziesiątki cech, które bawiłyby ją w mężczyźnie, nie potrafiła jednak podać takiej ich kombinacji, dzięki której ktokolwiek zdołałby przykuć ją do siebie na dłużej. Westchnęła i wzrok jej poszybował ku oknu. Może jeszcze nie dojrzała do tego, żeby myśleć o ślubnych obrączkach? Może w ogóle nigdy nie będzie na to gotowa?

Bez trudu mogła za to wyobrazić sobie siebie w małym domku nad wodą, opisującą miłosne przygody innych. Całymi dniami wymyślałaby nowe postacie i miejsca akcji, odgrywając przy okazji rolę dobrej cioci małych MacNamarów. Pomyślała, że nie byłoby to w sumie takie złe.

Oczywiście nie oznaczałoby to wcale, że raz na zawsze odcina się od rodzaju męskiego. W końcu każdy spośród mężczyzn, z którymi kiedykolwiek była związana, charakteryzował się co najmniej jedną z cenionych przez nią zalet. Poza tym lubiła ich, a w niektórych nawet się trochę podkochiwała. Zresztą, zakochiwanie się przychodziło jej łatwo, podobnie jak odkochywanie, po którym nie pozostawały w jej duszy blizny. Czyli nie mogły to być prawdziwe romanse, bo po prawdziwym romansie zawsze w sercu pozostaje zadra. Musi - jeśli ma z niej kiedyś wyrosnąć kwiat miłości.

Pomyślała, że odkąd zaczęła przelewać słowa na papier, filozofowanie weszło jej w krew. Może to zresztą wyjaśnia jej stosunek do Nathana.

Problem tkwił jednak w tym, że choć nigdy nie miała kłopotów z doborem słów, nie potrafiła opisać uczuć, jakich doznała w tej krótkiej chwili, kiedy ich ręce i ciała się zetknęły.

Co to właściwie było? Zmieszanie, wstrząs, olśnienie, lęk?... Każde z tych uczuć z osobna, ale w co się sumowały?

Nathan podobał jej się, rzecz jasna. I to już od chwili, kiedy uznała go za wytwór halucynacji. W końcu większości kobiet podobają się śniadzi, postawni mężczyźni o surowej aparycji. Bóg jeden wie dlaczego. A jednak ten ulotny moment, przelotny dotyk, świadczyły o tym, że w grę wchodzi coś więcej. Uświadomiła sobie, że pragnie Nathana z mocą, która zazwyczaj przychodzi dopiero w miarę bliższego poznania.

Odnosiła wrażenie, że zna go od dawna i że od zawsze na niego czekała.

On także musiał coś podobnego odczuwać. Była tego pewna. Może chodziło o ten sam rodzaj nagłego oczarowania, ten sam przyływ pożądania? Zresztą, co by to było, widocznie nie sprawiło mu przyjemności, bo starannie unikał jej przez dwa następne dni. Nie było to łatwe, skoro mieszkali pod jednym dachem, a jednak jakoś mu się udawało.

Pomyślała, że to niezbyt grzecznie z jego strony, że wybrał się na cały dzień na wycieczkę łódką, a jej nawet nie zaproponował, choćby z czystej kurtuazji.

Może chciał sobie to wszystko w spokoju przemyśleć? Nathan, zdaniem Jackie, należał do tego typu ludzi, którzy muszą starannie przeanalizować każdą dziedzinę swojego życia, w tym także emocjonalną. To niedobrze, ale w końcu każdy ma prawo do własnych dziwactw.

Zresztą, nie musiał się jej obawiać, bo nie była zainteresowana flirtem z mężczyzną jego pokroju. Oczywiście mógłby mieć powody do obaw, gdyby było inaczej. Kiedy Jackie raz się na coś nastawiła, potrafiła być bardzo uparta. Na szczęście dla nich obojga zbyt pochłaniało ją pisanie, żeby poświęcać Nathanowi więcej uwagi.

Mimowolnie zerknęła na zegarek. Pora na obiad, a on jeszcze nie wrócił do domu. Jego sprawa, pomyślała, chrupiąc serowe chipsy. Zobowiązała się wprawdzie, że Będzie gotować, ale ich umowa nie obejmowała dostarczania potraw. Po powrocie z wycieczki Nathan może sam zrobić sobie kanapki. To już nie jej zmartwienie.

Słyszac warkot motoru, wyjrzała przez okno, a potem z westchnieniem wróciła na miejsce, bo łódź nie zatrzymując się, pomknęła dalej.

To wszystko nie znaczy oczywiście, że Nathan stał się panem jej myśli. Tak naprawdę wcale jej nie zależało, by zaprosił ją na wycieczkę, choć oczywiście byłaby to pewna szansa, żeby się poznać lepiej. Wyłącznie intelektualnie, rzecz jasna.

Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, że lubiła jego śmiech, kiedy na moment pozbywał się wrodzonej rezerwy? Że jego oczy potrafiły patrzeć tak zimno i surowo, by w chwilę później spoglądać na nią ciepło i przyjaźnie? W końcu to tylko mężczyzna, jakich wielu, skupiony na własnej pracy i własnym wizerunku w taki sam sposób, w jaki ona zajęta

była swoją książką i swoją przyszłością. To nie jej kłopot, że ostatnio wydawał się bardziej spięty i jeszcze bardziej samotny. Miała przed sobą inne cele, niż uczyć go radości życia.

Najważniejsze zadanie to ukończyć powieść, sprzedać ją, a potem czerpać korzyści z faktu, że stała się poczytną pisarką. Wyprostowała się w fotelu, wzięła głęboki oddech i z zapalem zabrała się do pracy.

Płynąc po jednym z wąskich, zarośniętych kanałów, Nathan pomyślał, że po to właśnie wrócił do domu. Po ciszę i spokój. Żadnych pilnych terminów, dat, kontraktów i inspektorów, przed którymi trzeba się tłumaczyć. Tylko słońce i woda. Nie chciał teraz myśleć o niczym innym.

Poczuł, że zaczyna na powrót być sobą. To dziwne, że wcześniej nie przyszło mu do głowy, by wziąć łódź i zniknąć na cały dzień. Zgodził się wprowadzić na to, by znieść przez kilka tygodni lokatorkę, ale to jeszcze nie znaczy, że ma murem siedzieć w domu.

Chociaż musiał przyznać, że obecność Jackie nie była mu aż tak bardzo niemiła. Zauważał jej starania, żeby dotrzymać warunków umowy. Całym dniami jej nie widywał - chyba że w kuchni. Przyzwyczaił się nawet do cichego, jednostajnego szumu maszyny do pisania. Kto ją tam wie, tę Jackie, co tak naprawdę pisała, może jakieś bajeczki dla dzieci, ale jednego nie dało się o niej powiedzieć - że nie jest konsekwentna.

Nie dało się zresztą powiedzieć również wielu innych rzeczy, ale prawdziwy problem tkwił w tym, co można było powiedzieć na jej temat..

Na przykład mówiła za szybko. Dziwny zarzut, jednak nie w ustach człowieka, który zwykł prowadzić spokojne, wyważone rozmowy. Kiedy rozmawiali o pogodzie, Jackie nie omieszkała napomknąć mu o swoim krótkotrwałym zainteresowaniu meteorologią, by zniecka zakończyć stwierdzeniem, że lubi, kiedy pada, bo kocha zapach deszczu. Czy ktoś jest w stanie nadążyć za tak pokrętnym biegiem myśli?

Poza tym uprzedzała jego życzenia. Ledwo zdążył pomyśleć, że ma ochotę na drinka, a ona już była w kuchni i otwierała puszkę piwa. Wprowadzić jeszcze mu nie powiedziała, że jest dyplomowanym jasnowidzem, jednak taka perspektywa napawała go niepokojem.

Zawsze też była opanowana i zachowywała się bardzo naturalnie. Trudno zresztą o to żywić do niej pretensje. Rzecz w tym, że im bardziej on stawał się napięty, tym ona była bardziej rozluźniona.

Ubierała się niezmiennie w barwne szorty i przewiewne podkoszulki, nie robiła makijażu i nie układała włosów. Czasami sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zależało jej na wyglądzie, a jego - o dziwo - wcale to nie odstręczało. A przecież dotąd lubił kobiety zadbane i eleganckie.

Czemu więc nie mógł oderwać myśli od tej prostodusznej osóbk, która poza tym, że się myła i uśmiechała, nie robiła nic, żeby mu się spodobać?

Może to dlatego, że była inna? Po krótkim zastanowieniu Nathan odrzucił tę możliwość. Jako człowiek przywykły do pewnych wygód, wolał to, co bardzo dobrze znał. A Jackie była dla niego zupełną nowością. Ktoś mógłby może zarzucić mu zbyt dużą skłonność do rutyny, uważał jednak, że ma do tego prawo. Człowiek zmuszony do częstych podróży, a wraz z tym zmian miejsca i otoczenia, zasługuje na trochę rutyny w życiu prywatnym.

Spokój, samotność, dobra książka, a czasami obiad albo drink w miłym towarzystwie. Czy żąda aż tak wiele? Tymczasem Jacqueline MacNamara dokonała wyłomu w jego zasadach.

Niechętnie się do tego przyznawał, ale zaczynał się przyzwyczajać do jej obecności. Minęło zaledwie kilka dni, a on chyba nawet polubił jej towarzystwo. Dla samotnika to wstrząsające odkrycie.

Otworzył przepustnicę na cały regulator. Łódź pomknęła jak strzała. Może czułby się mniej skrępowany, gdyby Jackie była brzydka albo nudna? Oczywiście jeżeli chodzi o życie towarzyskie, zdecydowanie wolał kobiety atrakcyjne, ale na współmieszkanek - a raczej lokatorkę! - na pewno wybrałby osobę bardziej nijaką.

Rzecz w tym, że bez względu na to, jak bardzo starała się nie wpadać mu w oczy, i tak absorbowała go swoją obecnością. Nie potrafił nie reagować na potoki jej wymowy, promienny uśmiech, jaskrawy strój. Zwłaszcza że pstre szmatki, w jakich paradowała, okrywały co najwyżej dziesięć procent jej ponętnego ciała.

Nagle uświadomił sobie, że jej obecność - choć irytująca i męcząca - sprawia mu jednak pewną przyjemność. Jackie to po prostu taka osoba, z którą człowiek dobrze się bawi.

A on przez ostatnie lata rzadko pozwalał sobie na zabawę. To dlatego, że praca była i będzie jego priorytetem. Zawsze też czuł się odpowiedzialny za to, co robił. Pytany, czy lubi swoją pracę, niezmiennie odpowiadał „oczywiście”. Gdyby było inaczej, nie robiłby tego, co robił.

Mógł zaakceptować słowo „pasjonat”, ale wyrażenie „pracoholik” budziło w nim sprzeciw. Podobnie jak słowo „artysta”, choć uważał się za doskonałego fachowca w swojej branży.

Kochał swoją pracę i dziękował losowi za to, że pozwolił mu znaleźć zawód, w którym mógł się w pełni zrealizować. Mimo ciężkiej, często niemal katorżniczej pracy, nic nie sprawiało mu większej radości i nic bardziej go nie ekscytowało, jak widok gotowej budowli wzniesionej według jego projektu.

Pochłonięty pracą, nie zapominał jednak i o innych dziedzinach życia. Tyle tylko, że żadna z tych dziedzin nie pociągała go tak bardzo jak jego zawód. Lubił też towarzystwo płci pięknej, ale nie spotkał jeszcze takiej kobiety, która mogłaby w jego oczach konkurować z architekturą. I sprawić, żeby nie sypiał po nocach.

Poza Jackie, która go zresztą ani trochę nie obchodziła.

Mrużąc oczy, spojrzął w słońce, a potem zawrócił łódź, tak by poczuć na plecach jego promienie. Głębokie zmarszczki nie zniknęły jednak z jego czoła.

Rozmowy z Jackie przypominały kompletowanie układanek. Od lat nie zmuszał się do równie zawilego myślenia. Jej spontaniczna radość była bardzo zaraźliwa. Od dawna nikt nie karmił go tak dobrze jak ona.

Miała taki ujmujący uśmiech i takie olbrzymie, ciemne oczy, w których często zapalały się złote błyski. A jej usta, różowe i pełne, zawsze były skore do uśmiechu.

Nathan westchnął, a potem spróbował przywołać się do porządku. Fizyczne zalety Jackie nie miały tu nic do rzeczy. Nie powinien w ogóle brać ich pod uwagę.

Ten krótki moment, kiedy ich ręce spotkały się nad talerzem, to czysty przypadek. Nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do takich incydentów. Chwilowe zauroczenie, nic więcej. Najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Nie było w tym żadnej magii. Zresztą, w nic takiego przecież nie wierzył. Miłość od pierwszego wejrzenia to wymysł poetów, i to zazwyczaj kiepskich. To po prostu pożądanie, tyle że ubrane w piękniejsze słówka.

Jego uczucia, o ile w ogóle zasługiwały na miano uczuć, także były tylko nagłym przyływem pożądania. Doznaniem czysto fizycznym, które bez trudu można wymazać z pamięci.

Pomyślał, że gdyby Jackie mogła poznać jego myśli, to by go wyśmiała. Zacisnął usta i z ponurą miną ruszył w drogę powrotną.

Jackie usłyszała warkot łodzi, gdy na dworze zaczynało zmierzchać. Była pewna, że to Nathan. Przez ostatnie dwie godziny pilnie nasłuchiwała, czy wraca. Mimowolnie odetchnęła z ulgą. Więc jednak nie przytrafił mu się żaden z tych okropnych wypadków, których wizje podsuwała jej wybujała wyobraźnia. Nie został również porwany dla okupu. Wrócił do domu, cały i zdrowy, a ona chętnie na powitanie spuściłaby mu lanie.

Dwanaście godzin! - pomyślała, skacząc do basenu. Nie było go przez całe dwanaście godzin! Ten człowiek wyraźnie zatracił wszelkie poczucie przyzwoitości.

Oczywiście ani trochę się nie denerwowała. Za bardzo absorbowano ją pisanie, żeby poświęcać temu odludkowi swój bezcenny czas. Jeżeli nawet o nim myślała, to tylko przelotnie, czyli co pięć minut przez ostatnie dwie godziny.

Nie była ani trochę zła czy zaniepokojona. W końcu to jego życie i wolno mu robić to, na co ma ochotę, myślała, energicznie rozgarniając ramionami taflę wody. Dlatego nie będzie czyniła żadnych wyrzutów. Nie piśnie ani słówka.

Wynurzyła się przy brzegu basenu i oparła łokciami o krawędź.

- Trenujesz przed olimpiadą? - rozległ się głos Nathana. Stał kilka kroków przed nią, ze szklanką musującego płynu w ręku. Zamrugła, a potem spojrzała na niego, marszcząc czoło.

Miał na sobie zaprasowane w kant szorty i koszulkę polo, tak nieskazitelnie czystą, że musiała chyba pochodzić prosto ze sklepu. Nathan Powell w stroju niedbałym, pomyślała złośliwie.

- Nie wiedziałam, że już wróciłeś - skłamała, patrząc na jego stopy. Niestety, nigdy nie potrafiła kłamać w żywe oczy.

- Wybrałem się na krótką wycieczkę - powiedział i nagle dotarło do niego, że Jackie jest wściekła. Myśl ta sprawiła mu satysfakcję. - Jak ci minął dzień? - zapytał wbrew własnym zasadom, nakazującym unikać grzecznościowych pogawędek.

- Byłam bardzo zajęta. - Jackie odepchnęła się od brzegu i zaczęła leniwą rundkę wokół basenu. Niebo na wschodzie przyobkleło się już granatem, tylko wiązka ostatnich promieni słońca ozłacała basen i ogród. Patrząc na Nathana, pomyślała, że jego uśmiech nie budzi w niej zaufania, a jednak wyraźnie jej się podoba. Bo czy może być coś nudniejszego niż męczyzna, któremu kobieta może bezgranicznie zaufać?

- A ty jak się bawiłeś? - zapytała.

- Odpoczywałem. - Poczł nieprzewartą chęć, by pobaraszkować z nią w basenie. Woda była pewnie chłodna i miękka - jak jej skóra. Miły akcent na zakończenie upalnego dnia.

Okrążając basen, Jackie nie spuszczała wzroku z Nathana. Jak na niego, sprawiał wrażenie dość odprężonego. Zdażyła już go . poznać na tyle, by wiedzieć, że często bywał spięty, a stan ten utożsamiał z głębokim poczuciem odpowiedzialności. Uśmiechnęła się i w jednej chwili wybaczyła mu całodniową nieobecność.

- Zrobić ci omlet?

- Co? - zapytał niezbyt przytomnie, wpatrzony w jej kostium.

Jackie miała na sobie dwa cieniutkie paseczki materiału. Woda i blask zachodzącego słońca sprawiły, że materiał połyskiwał złościście na jej skórze, ale doprawdy niewiele skrywał.. .

- Jesteś głodny? - spytała. - Mogę ci zrobić omlet.

- Nie, nie. Dziękuję. - Pociągnął łyk, bo nagle zaschło mu w gardle, a potem odstawił szklankę na stolik i wsunął ręce do kieszeni. - Robi się chłodno. - Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

- I ty mi to mówisz. - Jackie odrzuciła włosy do tyłu i zręcznie wyskoczyła na brzeg basenu.

Zobaczył, że jest szczupła. Nawet chuda, pomyślał. Jak to możliwe, że ktoś tak chudy może być taki wysportowany? W gasnącym świetle dnia kropelki wody połyskiwały na jej skórze jak szklane paciorki.

- Zapomniałam ręcznika. - Wzruszyła ramionami, a potem się otrząsnęła.

Nathan odwrócił wzrok. Lepiej na nią nie patrzeć, skoro wewnętrzny głos podpowiada mu, że bardzo łatwo byłoby zerwać z niej te dwa skrawki materiału, a potem znów wciągnąć ją do wody.

- Pójdę do siebie - wykrztusił po chwili. - Mam masę zaległej lektury.

- Ja też. Teraz czytam westerny. Znasz może Zane'a Greya albo Louisa L'Amoura? - Mówiąc to, szła w jego kierunku, a on jak zafascynowany patrzył na kropelki drżące na jej włosach i rękach. - Mocna rzecz. Dam ci, kiedy już sama przeczytam.

Sięgnęła po pustą szklankę. On też. Po raz drugi ich palce zetknęły się i splotły. Nathan poczuł, jak jej dłoń nagle zamiera. Więc ona także poczuła to samo? Ten nagły wstrząs, nagły... kontakt, jeżeli można to tak nazwać.

Czyli nie działo się to tylko w jego wyobraźni. Puścił szklankę i cofnął się, a Jackie powtórzyła jego ruchy. Szklanka niebezpiecznie zbliżyła się do krawędzi stołu. Chwycili ją jednocześnie i jednocześnie zastygli.

Co za komiczna sytuacja! Jackie nerwowo zachichotała. W oczach Nathana dostrzegła lustrzane odbicie swoich uczuć: gorące, obezwładniające pożądanie.

- Wygląda na to, że przydałby nam się choreograf - mruknęła.

- Ja wezmę szklankę - drewnianym głosem powiedział Nathan.

Jackie powoli odetchnęła, a potem błyskawicznie podjęła decyzję.

- Lepiej byłoby mieć już to za sobą - wypaliła.

- Ale co?

- Pocałunek. To naprawdę bardzo proste. Wciąż się zastanawiam, jakby to było, a wiem, że i ty myślisz o tym samym - ciągnęła rzeczowym tonem. - Nie uważasz, że byłoby lepiej, gdybyśmy wreszcie przestali zaprzętać tym sobie głowy? - Oblizła spierzchnięte nagle wargi.



Nathan odstawił szklanę i zmierzył Jackie uważnym spojrzeniem. Uznał, że nie była to propozycja romantyczna, a jednak całkiem rozsądna, i ten właśnie argument przeważał szalę.

- Podchodzisz do tego dość pragmatycznie - zauważył.

- Czasami bywam pragmatyczna. - Jackie zadrżała, chyba z zimna. - Posłuchaj, wszystko przemawia za tym, że kiedy już będziemy mieli ten pocałunek za sobą, przestanie to mieć aż takie znaczenie. Wyobraźnia wyolbrzymia pewne sprawy. Przynajmniej w moim przypadku. - Posłała mu promienny uśmiech, a w kąciку jej ust pojawił się znajomy dołeczek.

- Bez obrazy, ale nie jesteś w moim typie. Ja w twoim chyba też nie.

- No, raczej nie - burknął urażony. Jackie ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Sam widzisz. Więc pocałujmy się, a potem wszystko wróci do normy.

Nie potrafił zdecydować, czy powiedziała to umyślnie, jednak jej rzeczowy, przyjazny ton uraził jego męską dumę. Jak mogła być taka pewna, że jego pocałunek spłynie po niej jak woda po gęsi? Wszystko wróci do normy? To się jeszcze okaże!

Spojrzał na nią chmurnym wzrokiem, a ona zbyt późno zrozumiała wymowę tego spojrzenia.

Poczuła, jak dłoń Nathana wsuwa się w jej włosy, gdy przyciągał ku sobie jej głowę. Jednak choć instynkt nakazywał jej się cofnąć, postanowiła stawić czoło wyzwaniu. Przynajmniej się bliżej i uniosła głowę. Wyobrażała sobie, że ich pocałunek będzie ciepły, przyjazny i całkiem zwyczajny. Tymczasem, nie po raz pierwszy w życiu, rzeczywistość przekroczyła jej wyobrażenia.

Kiedy dotknął ustami warg Jackie, pod jej powiekami wytrysły snopy barwnych fajerwerków. Mruknęła cicho, nie w proteście, a raczej mile zaskoczona, po czym przywarła do niego i poddała się wszechogarniającemu uczuciu rozkoszy.

Nathan pachniał wodą, i to nie chlorowaną z basenu, tylko czystą wodą z ciemnej rzeki, wpadającej rwącym nurtem do morza. Nocne powietrze było chłodne, jednak nie zimne. Tuląc się do Nathana, Jackie czuła miękkość jego koszuli, ciepło jego rąk, jego ciała.

I nagle uświadomiła sobie, że czekała na to przez całe życie. Właśnie na coś takiego.

Nathan, w przeciwieństwie do Jackie, od razu przestał myśleć - albo tak mu się przynajmniej zdawało. Pocałunek Jackie miał smak mleka z miodem i korzennymi przyprawami. O takim boskim napoju marzy samotny pielgrzym na wypalanej słońcem pustyni.

W ostatnim przeblysku rozsądku pomyślał, że wcale nie chciał trzymać Jackie w objęciach, a przynajmniej nie tak mocno. Nie miał też zamiaru pozwalać własnym dłoniom, by tak swobodnie błądziły po jej ciele. Tymczasem najwyraźniej stracił nad nimi panowanie.

Plecy Jackie były gładkie i szczupłe. Przesunął po nich dłonią i poczuł, że drży po jego dotykem. W nagłym przypiływie namiętności pogłębił pocałunek, który jego samego zaskoczył zaborczością. Ciche westchnienia Jackie jeszcze bardziej rozbudziły jego pożądanie.

A Jackie tuliła się do niego, oddając mu pocałunek. Ciało miała miękkie, lecz nie bezwolne. Jej hojność była wręcz porażająca. Podobnie jak targające nim pokusy.

Jackie pomyślała, że na zawsze zapamięta te chwile, aż po najdrobniejsze szczegóły. Upojny aromat kwiatów, ciche bzyczenie owadów, kojący plusk wody. Nigdy nie zapomni ich pierwszego pocałunku, który rozpoczął się o zmroku, by przeciągnąć się w noc.

Z rękami w jego włosach, z uśmiechem na twarzy, wydała bezwstydną, radosną westchnienie.

- Jak ja kocham niespodzianki - szepnęła.

Niestety, Nathan nie mógł powiedzieć tego o sobie. Szybko cofnął rękę, którą już zamierzał zanurzyć w jej włosach, by z irytacją stwierdzić, że dłoń mu drży. Co za upokarzające odczucie! Oto pragnął czegoś, na co wcale nie miał ochoty.

- A teraz, skoro zaspokoiliśmy ciekawość, nie powinniśmy już mieć z tym żadnych problemów - rzekł.

Spodziewał się, że Jackie się obrazi. I rzeczywiście, zobaczył nagły błysk furii w jej oczach. Były takie wyraziste, że gdy po ułamku sekundy spojrzała na niego z wyrzutem, ugodziła go w samo serce. A później w jej oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Lepiej się o to nie zakładaj, Nathan. - Poklepała go po policzku, choć tak naprawdę miała ochotę walnąć go pięścią w zęby, po czym odwróciła się i pomaszerowała do domu.

Już ona mu pokaże, pomyślała, zasuważąc za sobą z trzaskiem szklane drzwi. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dosypie mu trucizny do jajek! Sam się o to prosił. Kiedy zejdzie na śniadanie - wyniosły i elegancki, w starannie wyprasowanych beżowych szortach i koszulce - ona, jak zwykle, poda mu na półmisku smażony bekon oraz grzanki z jajkami sadzonymi, nafaszerowanymi cyjankiem.

Nathan sięgnie po kawę, bo zawsze zaczyna dzień od kawy, a potem pokroi wędlinę. Ona nałoży sobie kilka plasterków, żeby nie wzbudzać podejrzeń, po czym zaczną gawędzić o pogodzie. „Straszna dziś wilgoć w powietrzu, prawda? Chyba zanosi się na deszcz”.

A kiedy on zacznie jeść jajko, ona, złana zimnym potem, będzie czekać.. .

Za chwilę Nathan będzie więc się na podłodze, chwytając się za gardło i rozpaczliwie walcząc o oddech. W jego wybałuszonych oczach odmaluje się przerażenie, kiedy w ostatnim przeblýsku świadomości pojmie sens jej triumfalnego uśmiechu. A wtedy, w ostatnim tchnieniu, będzie ją błagał o przebaczenie.

Nie, pomyślała, to jednak nie jest wystarczająco wyrafinowana zemsta.

Jackie niezachwianie wierzyła w celowość zemsty. Ludzie, którzy zbyt łatwo wybaczaali i zapominali, zasługiwali, jej zdaniem, na lekceważenie. Sama była wprawdzie gotowa przebaczyć drobne przewinienia lub mimowolne przykrości, jednak te wielkie, wyrządzone z rozmysłem, zdecydowanie domagały się rewanżu.

Dlatego też miała szczerzy zamiar odpłacić Nathanowi Powellowi pięknym za nadobne.

To facet zimny jak gład, pozbawiony ludzkich uczuć, powtarzała sobie. Po prostu sztywniak. Jednak w głębi duszy w to nie wierzyła. Na swoje nieszczęście zdążyła już poznać jego dobroć i wielkoduszność. Mimo że usiłował zachowywać dystans, nie brakowało mu wrażliwości.

Czy za dużo spodziewała się po pocałunku? Może była bardziej impulsywna niż inni, reagowała bardziej spontanicznie? Jednak Nathan musiał także coś odczuwać. Żaden mężczyzna nie przytula się bez powodu do kobiety tak kurczowo, jakby spadał w przepaść.

Jeżeli rzeczywiście poprzedniego wieczora wzbudziła w nim żywsze uczucia, już ona się postara, żeby nie mógł o nich zapomnieć i cierpieć. Wdepcze go w ziemię, i to z najwyższą satysfakcją. Odtrąci go, a on dopiero wtedy naprawdę jej zapragnie.

Marszcząc brwi, zapatrzyła się w strumień pary buchającej z czajnika. Nie chodzi wcale o to, że spodziewała się jego hołdów, choć od czasu do czasu ona również, jak każda kobieta, potrzebuje odrobiny uwielbienia.

Między nią a Nathanem nieoczekiwanie zrodziło się coś szczególnego i niepowtarzalnego. Choć po jednym pocałunku nie miała prawa oczekiwać zapewnień o miłości aż do grobowej deski, Nathan nie powinien przejść nad tym do porządku dziennego.

Jeszcze jej za to zapłaci, myślała z furją, zalewając wrzątkiem zmieloną kawę. Zapłaci za to wzruszenie ramionami, za udaną obojętność, a także za bezsenną noc, jaka potem nastąpiła, podczas której, rzucając się na łóżku, rozpamiętywała każdą sekundę spędzoną w jego ramionach.

Rozgrzewając patelnię, zaczęła żałować, że nie jest piękna. Jak te olśniewające blondyny o posagowych kształtach i wydatnych kościach policzkowych albo te drobne, kruche brunetki o lazurowych oczach i porcelanowej cerze. Marszcząc czoło, usiłowała przejrzeć się w błyszczącym, stalowym garnku. Niestety, odbicie było niewyraźne i mocno zniekształcone.

Wciągnęła policzki, a potem energicznie wydmuchała powietrze. Skoro nie potrafi zmienić aparycji, postara się przynajmniej zrobić z niej jak najlepszy użytek. Nathan Powell, mężczyzna z kamienia i stali, już wkrótce zacznie jeść jej z ręki.

Usłyszała, jak wszedł do kuchni, ale odczekała jeszcze chwilę, zanim się odwróciła. Podkoszulek na cieniutkich ramiączkach odsłaniał jej opalone plecy. Po raz pierwszy od wielu dni zrobiła dyskretny makijaż: odrobina różu na policzkach, usta pociągnięte błyszczkiem i subtelne cienie na powiekach.

Rzuciła mu promienny uśmiech i omal nie Wybuchnęła gromkim śmiechem, bo Nathan wyglądał naprawdę koszmarnie!

A czuł się jeszcze gorzej. Gdy Jackie przewracała się z boku na bok w swoim łóżku, on robił to samo u siebie, klnąc jak szewc. Na wspomnienie jej radosnego śmiechu chciało mu się wyć i zgrzytać zębami.

Jeden pocałunek, i wszystko wróci do normy? Chętnie by ją udusił własnymi rękami. Odkąd tak bezczelnie wpakowała się w jego życie, nic już nie odbywało się normalnie. Nigdy nie przeżywał takich mąk, nawet jako napalony nastolatek, kiedy wyobraźnia musiała mu wystarczyć za brak doświadczenia. Z biegiem lat zdobył to doświadczenie, dlatego teraz nieustannie myślał tylko o tym, jakby to było mieć Jackie w łóżku.

- Dzień dobry, Nate! Kawy?

Co takiego? Nate? Postanowił, że nie będzie się kłócić, więc skinął tylko głową.

- Proszę. Świeżo zaparzona, dokładnie taka, jaką lubisz. - Głos miała tak słodziutki, że lada moment gotowe jej wyrosnąc anielskie skrzydła. - Dziś rano jadłospis przewiduje jajka na bekonie. Będą gotowe za pięć minut.

Nathan wypił pierwszą filiżankę i odstawił. Nagle poczuł delikatną woń perfum. Kiedy Jackie dolewała mu kawy, przyjrzał jej się ukradkiem.

Czy mu się tylko zdawało, czy rzeczywiście wyglądała wyjątkowo ładnie tego ranka? Jak ona to robiła, że miała zawsze taką świeżą cerę? A te jej włosy, w tak naturalny sposób zwijające się w loki bez względu na to, czy kręciła się po kuchni, czy drzemała na kanapie.

Mógłby przysiąc, że nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak świetnie wyglądał już z samego rana. Właściwie to oburzające, że ona wygląda tak świeżo, podczas gdy on czuje się wymięty i znużony.

Mimowolnie zerknął na jej usta. Co ona z nimi zrobiła, że były takie wilgotne i błyszczące?

- Pani Grange dziś przychodzi - powiedział.

- Ach tak? - Jackie z uśmiechem przewróciła plasterk bekonu. - To świetnie. Czyli wszystko wróciło do normy. - Jedną ręką rozbiła jajko i wrzuciła je na rozgrzaną patelnię. - Jakie masz plany co do lunchu?

Żółtko nie rozpląnęło się, a białko było ładnie ścięte. Niezła sztuczka, pomyślał Nathan. Pewnie miała dziesiątki takich w zanadru.

- Dzisiaj zostaję w domu. Mam mnóstwo telefonów do załatwienia.

- To dobrze. Postaram się przygotować jakieś specjalne menu. - Odwróciła się i uważnie mu się przyjrzała.

- Wiesz co, Nathan, marnie dziś wyglądasz. Źle spałeś tej nocy?

- Miałem masę papierkowej roboty. Położyłem się bardzo późno - skłamał, zaciskając ukradkiem pięści.

- Za dużo pracujesz. - Jej głos ociekał współczuciem.

- Dlatego jesteś taki spięty. A gdybyś tak spróbował jogi? Na przemęczenie; nie ma nic lepszego niż odrobina ćwiczeń i medytacji. W ten sposób człowiek najlepiej się relaksuje.

- Ja najlepiej relaksuję się przy pracy.

- Grube nieporozumienie. - Jackie ustawiła przed nim talerz. - Prawda wygląda tak, że wprawdzie praca cię pochłania, dzięki czemu nie myślisz o kłopotach, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że rozwiązałeś swoje problemy. Wiesz co, zrobię ci masaż.

Jeszcze nie skończyła mówić, a już ugniatała mu kark i ramiona, śmiejąc się w duchu z tego, że już przy pierwszym dotknięciu Nathan podskoczył jak oparzony.

- Masaż jest dobry na wszystko - ciągnęła, podczas gdy jej palce znęcały się nad jego napiętymi mięśniami. - Przynosi ulgę i ciału, i duszy. Wystarczy trochę oliwy, kojąca muzyka i będziesz potem spać jak dziecko. Jesteś taki spięty, że masz guzy na plecach.

- Nic mi nie jest - syknął. Jeszcze chwila, a złamię widelec. Ta kobieta ma cudowne ręce. To jakaś magia. - Ja nigdy nie bywam spięty.

Jackie zmarszczyła brwi, a jej ręce na chwilę się zatrzymały. Czy on w to naprawdę wierzy? Może i tak. Skoro zawsze jest spięty, przywykł uważać to za stan normalny.

- Po porządnym masażu mięśnie mam miękkie jak masło - powiedziała. - Mam też cudowny olejek. Hans mi go polecił.

- Jaki Hans? - wyrwało mu się bezwiednie.

- Mój masażysta. Norweg o rękach artysty. Nauczył mnie najlepszych technik.

- Założę się, że tak - mruknął Nathan.

Jackie uśmiechnęła się złośliwie za jego plecami.

Boże, kto by się spodziewał, że ten człowiek ma takie muskuły? Nigdy by nie podejrzewała, że pod tymi konserwatywnym strojami kryje się tak atletycznie umięśniona sylwetka. Ubiegłej nocy, kiedy trzymał ją w objęciach, była zbyt oszołomiona, żeby zwrócić na to uwagę. Powiodła rękami po jego ramionach.

- Jesteś fantastycznie zbudowany - powiedziała. - Czego, niestety, nie mogę powiedzieć o sobie. Chodziłam przez jakiś czas na siłownię, ale, jak widać, bez widocznych rezultatów. Tyle tylko, że się obficie pociłam.

Dosyć tego, pomyślał Nathan. Jeszcze jeden uścisk tych smukłych palców, a gotów popełnić jakieś niewybaczalne głupstwo. Odwrócił się na stolku i chwycił ją za rękę.

- Co ty wyprawiasz?!

Serce podskoczyło jej w piersi, zaraz jednak przypomniała sobie, że jej nadrzędnym celem jest zemsta.

- Próbuję ci pomóc, Nate - powiedziała łagodnie. - Człowiek spięty źle trawi.

- Nie jestem wcale spięty. I nie mów do mnie Nate!

- Przepraszam. Wiesz, że do twarzy ci z takim spojrzeniem? O, takim.. . - Chciała wykonać jakiś gest, ale Nathan trzymał ją mocno za rękę.

Nakazał sobie cierpliwość. Postanowił policzyć w myślach do dziesięciu, doszedł jednak tylko do czterech.

- Uważaj, Jackie! Jak pamiętasz, umówiliśmy się na okres próbny. Nie wiem, jaką prowadzisz grę, ale radzę ci, skończ z tym.

- Ja prowadzę jakąś grę? - Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach po raz pierwszy pojawił się zimny błysk, który z jakichś niepojętych powodów podniecił Nathana. - O czym ty mówisz?

- Co takiego masz na ustach?

- Ach, to? - Jackie koniuszkiem języka oblizała wargi. - Przecież każda kobieta ma prawo od czasu do czasu się umalować. Nie podobam ci się?

O nie, pomyślał, nie będzie się poniżał, odpowiadając na takie pytania.

- Masz też coś na oczach.

- Czy kosmetyki są na Florydzie zakazane? Wiesz co, Nate.. . przepraszam, Nathan - zdaje się, że coś ci odbiło. Chyba nie myślisz, że próbuję cię.. . uwieść? - Uśmiechnęła się wyzywająco. - Taki duży, silny mężczyzna potrafi się chyba obronić? Ale jeżeli ci to przeszkadza, obiecuję, że od dziś nie tknę szminki. Co ty na to?

- Kto walczy nie fair, ładuje w błocie. - Jego głos zabrzmiał tak miękko i spokojnie, że Jackie niebacznie uwierzyła, iż nadal to ona pociąga za sznurki.

- Tak mówią - Odrzuciła włosy i spojrzała na niego spod długich rzęs. - Rzecz w tym, że ja też potrafię się bronić.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że źle go oceniła, a takie pomyłki często bywają fatalne w skutkach. Nathan przeszył ją ciężkim spojrzeniem, od którego serce zamarło jej w piersi. Nagle wydało jej się, że to Jake mierzy do niej z obu luf.

Wtedy zrozumiała, że bez względu na to, jakie miała plany, tym razem będzie to coś więcej niż tylko pocałunek. Tym razem to on będzie decydował co, gdzie i jak. Na nic się zda jej paplanina i czarujące śmiechy.

Na dźwięk dzwonka do drzwi żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Serce Jackie znowu ożyło i zaczęło boleśnie łomotać. Więc to dzwonek ją ocalił! Omal nie zachichotała nerwowo. Nagle zrobiło jej się słabo.

- To musi być pani Grange - zauważyła. - Bądź łaskaw mnie puścić, Nathan, to otworzę drzwi. A ty skończ spokojnie śniadanie.

Nathan puścił ją, ale dopiero po najdłuższych dwudziestu sekundach w jej życiu, podczas których gotowa była zapomnieć o dzwonku i zrobić to, co sugerowało jego spojrzenie. A potem odwrócił się do stołu i poczuł, że nie ma już ochoty na kawę, tylko na coś mocniejszego.

Jackie tymczasem wymknęła się z kuchni. Miała nadzieję, że jajka na jego talerzu dawno wystygły.

Panią Grange polubiła niemal od pierwszego wejrzenia. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła tęgą kobietę w kretonowej sukni i adidasach. Pani Grange już od progu zmierzyła ją badawczym wzrokiem.

- No, no.. - mruknęła, wydymając wargi. Jackie z miejsca pojęła aluzję.

- Dzień dobry. Pani Grange, prawda? - Wyciągnęła z uśmiechem rękę. - Jestem Jackie MacNamara. Nathan będzie miał mnie na głowie przez kilka tygodni. Wszystko przez to, że nie ma serca mnie wyrzucić. Jadła już pani śniadanie?

- Godzinę temu. - Starsza pani weszła do domu i postawiła na podłodze okazałą płócienną torbę. - MacNamara. - powtórzyła. - Musi pani być krewną tego, jak mu tam.. ?

Jackie to wystarczyło.

- Przyznaję się bez bicia. To mój kuzyn. Ale już go tu nie ma.

- Mała strata - prychnęła pani Grange, rozglądając się wokoło. Choć zauważyła świeże kwiaty w wazonach, postanowiła wstrzymać się z ostateczną oceną. - Powiem pani to samo co jemu. Po świniach nie sprzątam.

- Ma pani absolutną rację. - Jackie obdarzyła ją promiennym uśmiechem i pomyślała, że jeśli drogi kuzynek Fred próbował oczarować gosposię, to trafił jak kulą w płot. - Mieszkam w pokoju gościnnym, tym biało - niebieskim. Tam też pracuję, więc jeżeli poda mi pani swój harmonogram, usunę się na ten czas, żeby pani mogła w spokoju posprzątać. Lunch zaplanowałam na mniej więcej dwunastą trzydzieści - ciągnęła, a w myślach już układała takie menu, które pozwoliłoby pani Grange pozbyć się kilku kilogramów nadwagi.

Starsza pani znów zacisnęła usta. To rzadki przypadek, żeby pracodawca proponował jej lunch. Na ogół traktowano ją z uprzejmą obojętnością, jak bezduszny automat do sprzątania.

- Przyniosłam kanapki - powiedziała.

- To już od pani zależy, ale miałam nadzieję, że zje pani z nami. Gdyby pani czegoś potrzebowała, będę na górze. Nathan jest w kuchni. Zaparzyłam też świeżą kawę. - Raz jeszcze się uśmiechnęła, po czym ruszyła w stronę schodów.

Przez cały ranek Jackie słyszała szum odkurzacza i ciężkie kroki pani Grange w holu. Z ulgą stwierdziła, że odgłosy te nie przeszkadzają jej w pracy. Prawdziwy pisarz, powinien mieć, jej zdaniem, na tyle żywą wyobraźnię, żeby móc wyeliminować wszelkie przeszkody z zewnątrz. Kiedy wybiło południe, Jake i Sarah stali u progu kolejnej przygody.

Na lunch postanowiła przyrządzić sałatkę jarzynową Włączyła radio i nucąc, zabrała się do roboty. Obmyślała przy tym kolejny rozdział. Kiedy Nathan wszedł do kuchni, przyciszyła radio i postawiła przed nim miskę z sałatką.



- Może być mrożona kawa?

- Dobrze - mruknął obojętnie, lustrując ją zimnym wzrokiem. Jeden fałszywy krok, a zaatakuje ją bez pardonu. Wprawdzie nie potrafił powiedzieć, na czym miałby polegać jej fałszywy krok oraz jego atak, był jednak zdecydowany.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym później skorzystać z telefonu. Oczywiście zapłacę za wszystkie zamiejscowe rozmowy.

- W porządku.

- Dzięki. Myślę, że czas dobrać się Fredowi do skóry.

- Co? - Nathan zastygł z widelcem w pół drogi do ust. - Co ty knujesz?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. O, zdecydowała się pani jednak, pani Grange.

Nathan odwrócił się, zirytowany, i spojrzał na gospozię.

- Pani Grange?

- Proszę, niech pani siada - odezwała się Jackie, zanim zdążył coś więcej powiedzieć. - Mam nadzieję, że będzie pani smakowało. To potrawa syryjska.

Pani Grange wgramoliła się na stołek i z powątpiewaniem popatrzyła na zawartość salaterki.

- Chyba mi nie zaszkodzi?

- Ależ skąd. - Jackie postawiła przed nią szklanekę z mrożoną kawą. - Jeżeli będzie pani smakowało, dam pani przepis. Ma pani rodzinę?

- Chłopaki są już dorosłe. - Pani Grange ostrożnie nabrała na widelec odrobinę sałatki. Ręce miała zniszczone i nie nosiła obrączki.

- Synowie?

Pani Grange pokiwała głową i po raz kolejny podniosła widelec do ust.

- Czterech. Dwaj są już żonaci. Mam też trójkę wnuków.

- Trójkę wnuków! Czy to nie wspaniałe, Nathan? A ma pani ich zdjęcia?

Pani Grange dołożyła sobie sałatki. Nigdy czegoś takiego nie jadła, musiała jednak przyznać, że potrawa była całkiem smaczna.

- W torbie.

- Musi mi pani pokazać. - Jackie usiadła tak, że pani Grange znalazła się między nią a Nathanem, który jadł w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w talerz. - Czterech synów. Pewnie jest pani z nich dumna?

- To dobre chłopaki. - Cień uśmiechu złagodził surowe rysy gospozi. - Najmłodszy jeszcze studiuje. Chce zostać nauczycielem. Mądry chłopiec, nie przysparzał mi

najmniejszych kłopotów. A tamci - urwała, po czym pokręciła głową. - Tak to jest, jak się ma dzieci. Pyszna sałatka, panno MacNamara.

- Mam na imię Jackie. Cieszę się, że pani smakuje. Może jeszcze trochę kawy?

- Nie, lepiej już wrócę do pracy. Wziąć koszule do pralni, panie Powell?

- Gdyby pani mogła.

- Jeżeli nie chce pan teraz pracować, posprzątam pański gabinet.

- W porządku.

Pani Grange odwróciła się do Jackie i spojrzała na nią przyjaźnie.

- Niech pani sobie nie przeszkadza, panno Jackie. Będę się zachowywać cicho jak myszka.

- Dzięki. Może pani już iść. Ja sprzątnę ze stołu. - Kiedy zaczęła zbierać brudne naczynia, Nathan spojrzał na nią z wyrzutem.

- Co tu jest grane?

- Co? - zapytała, przekładając resztki sałatki do mniejszej miski.

- Co to za pomysł z tą panią Grange? Po co to zrobiłaś?

- Chodzi ci o lunch? Pozwolisz, że dam pani Grange resztę tej sałatki? Niech ją weźmie do domu.

- Daj jej, co chcesz. - Nathan wyjął z kieszeni papierosa. - Czy ty zawsze jadasz ze sprzątaczką?

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

- A czemu nie?

Pomyślał, że co by teraz powiedział i tak wyjdzie na snoba, więc wzruszył tylko ramionami i zapalił papierosa. Miał taką głupią minę, że Jackie postanowiła dać mu spokój.

- Pani Grange jest rozwódką czy wdową?

- Co? - Nathan wydmuchał kłęb dymu i potrząsnął głową. - Skąd mam wiedzieć? Może ani to, ani to.

- Zwróciłam uwagę, że mówiła o synach i wnukach, ale ani słowem nie wspomniała o mężu. Czyli chyba nie ma męża. Moim zdaniem, jest rozwódką - dodała po krótkim namyśle.

- Wdowy noszą na ogół obrączki. Nigdy o tym nie rozmawialiście?

- Nie. - Nathan zapatrzył się w swoją kawę. Z jakichś powodów głupio mu było się przyznać, że chociaż pani Grange pracowała u niego od sześciu lat, dopiero pięć minut temu się dowiedział, że miała jakąkolwiek rodzinę. - Rozmowy na tematy prywatne nie należały do jej obowiązków. Poza tym, nie chciałem być wścibski.

- Bzdura. Ludzie lubią rozmawiać o swoich rodzinach. Ciekawe, odkąd ona jest sama?  
- Jackie kręciła się po kuchni. Pierścionki połyskujące na jej palcach świadczyły o zamożności; ruchy miała pewne i zdecydowane. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że musiałabym sama wychowywać dzieci. Myślałeś kiedyś o tym?

- O czym?

- O założeniu rodziny. - Jackie naląła sobie szklanekę mrożonej kawy, żeby ją zabrać na górę. - Mam bardzo tradycyjne wyobrażenia w tym względzie. Biały płot, garaż na dwa samochody, domek oszalowany drewnem i tak dalej. Dziwię się, że jeszcze się nie ożeniłeś, Nathan. Przecież jesteś tradycjonalistą.

W jej tonie było coś drażniącego. Nathan zjeżył się.

- Zapewniam cię, że się orientuję, kiedy ktoś chce mnie obrazić.

- Oczywiście, że tak. - Jackie delikatnie dotknęła jego policzka. - Jesteś tradycjonalistą, ale nie musisz się tego wstydzić. Podziwiam cię, Nathan, naprawdę. Jest coś wzruszającego w mężczyźnie, który zawsze wie, gdzie leżą jego skarpetki. Twoja wybranka dostanie prawdziwy skarb.

Dłoń Nathana zamknęła się wokół jej nadgarstka, zanim Jackie zdążyła się cofnąć.

- Czy ktoś ci kiedyś dał w nos?

- Aż tak źle nie było - zachichotała. - A co? Chcesz się bić?

- Spróbujmy czegoś innego.

Nim zdążyła się zorientować, pociągnął ją tak mocno, że poleciała w jego kierunku. Żeby się nie przewrócić, chwyciła go za ramiona. Tego się po nim nie spodziewała. W tej samej chwili usta Nathana zaczęły miażdżyć jej wargi.

Sam nie wiedział, dlaczego tak postąpił, bo tak naprawdę miał jej ochotę przyłożyć. Oczywiście żaden przyzwoity mężczyzna nie uderzyłby kobiety, dlatego wybrał inny wariant.

Dlaczego mu się wydawało, że pocałunek to dobra zemsta? Teraz, kiedy już zaczął całować, sam siebie nie rozumiał. Jackie nie próbowała z nim walczyć, a jej przyspieszony oddech i kurczowy uścisk świadczył o tym, że wziął ją przez zaskoczenie.

Jednak nie mogła być bardziej zaskoczona niż on sam.

Niech to wszyscy diabli! Nie był przecież namolnym podrywaczem. Wszystko, co teraz robił, wydawało mu się słuszne tylko dlatego, że w grę wchodziła Jackie. To jakieś fatum. Potrafił przecież całymi godzinami rozważać różne warianty i analizować wszystko na zimno, wystarczyło jednak, że dotknął Jackie, a cały rozsądek brał w łeb.

Jak to możliwe, że chociaż nie pragnął Jackie, był zarazem chory z pragnienia. Fascynowała go do tego stopnia, że tracił rozum. Jego życie toczyło się utartą koleiną aż do chwili, gdy poznał Jackie.

Kiedy miażdżył jej usta, usłyszał cichy, stłumiony jęk.

Pomyślała, że o to jej właśnie chodziło. Nareszcie miała go w garści. Kiedy oddawała Nathanowi pocałunek - słodki, gorący i szalony - snuła wizje cierpiącego, pokonanego Nathana.

Jednocześnie wkładała w ten pocałunek całą duszę. Oto spotkała mężczyznę, który mógłby ją pokochać i zaakceptować. Czuła to nawet bez słów. A przecież nie jest ani głupia, ani naiwna. To, co się działo między nimi, zasługiwało na pióro poety. O takie uczucie toczono wojny; ludzie czekali na nie przez całe życie. Jednak nie każdemu było ono dane. Wiedziała o tym, dlatego zarzuciła Nathanowi ręce na szyję, gotowa ofiarować mu siebie całkowicie i bez reszty. Bez żadnych pytań i zastrzeżeń.

Doświadczał czegoś dziwnego. Czuł to, targany namiętnością i pożądaniem. Coś się w nim zmieniało. Kiedy wargi Jackie dotykały jego ust, a jej ciało topniało w jego ramionach, nie potrafił myśleć o niczym innym. Czy to objawy obłędu? Przecież ilekroć zastanawiał się nad bieżącym dniem, brał także pod uwagę jutro. A teraz myślał jedynie o tym, żeby trzymać Jackie w objęciach i delektować się smakiem jej ust. Żeby ją poznawać i odkrywać, powoli, krok po kroku, póki nie będą mieli przed sobą żadnych tajemnic.

Tak, to musiało być jakieś szaleństwo. Czuł to i bał się, a jednak tulił ją do siebie coraz mocniej. Jakby chciał się w niej pogрузić. Co to za dziwnie podniecające uczucie, tak się bez reszty zatracić. Musi położyć temu kres, i to raz na zawsze. Zanim rozpierająca go namiętność stanie się zbyt potężna, by nad nią zapanować.

Odsunął Jackie, szorstko i zdecydowanie, bo bał się, że jeśli się do niego uśmiechnie, to powali go na kolana.

Dawno powinien jej oznajmić, że gra skończona, a ona ma się spakować i jak najszybciej wynosić z jego domu. Rzecz w tym, że nie potrafił. Choć naprawdę tego chciał, nie był w stanie jej odesłać.

- Nathan! - Podniecona i już zakochana, otoczyła dłońmi jego twarz. - Daj pani Grange wolne na resztę dnia. Chcę być tylko z tobą.

Zalała go nowa fala pożądania. Nie znał dotąd kobiety, która potrafiłaby okazywać uczucia tak otwarcie i szczerze. Ta jej bezpośredniość śmiertelnie go przerażała. Zaczerpnął tchu, żeby zyskać na czasie. Nie może przecież przekazywać jej swoich decyzji drżącym głosem.

- Za bardzo wybiegasz w przód - powiedział w końcu. - Chyba nie zapomniałaś o naszej umowie? Nie uważam, żeby romans leżał w twoim interesie. W moim zresztą też nie. Dlatego dziękuję, ale nie skorzystam.

Gdy zbladła, zrozumiał, że to on posunął się za daleko.

- Jackie - powiedział szybko - nie to chciałem powiedzieć.. .

- Naprawdę? Zresztą, wszystko jedno. - Nigdy by nie przypuszczała, że sprawi jej to taki ból. A ona już marzyła o bezgranicznej miłości. Więc to tak, pomyślała, przyciskając rękę do serca. Czyżby taka miłość była tylko wymysłem poetów?

- Jackie, posłuchaj ja.. .

- Nie, wolę nie - przerwała mu z nikłym uśmiechem. - Nie musisz się tłumaczyć, Nathan. To była tylko luźna propozycja. Powinnam wracać do pracy, ale zanim pójde na górę, jest jeszcze jedna rzecz. - Ze stoickim spokojem sięgnęła po szklankę i wylała mu na szorty mrożoną kawę. - Do zobaczenia przy kolacji.

Pracowała jak szalona, tak że prawie nie zauważyła pani Grange, która przyszła zmienić pościel i odkurzyć meble. Odkrycie, że jest bliska łez, napawało ją wściekłością i zdumieniem. Nie miała zresztą nic przeciwko łzom. Czasami nawet lubiła sobie popłakać. Teraz znalazła się w zupełnie innej sytuacji.

Jak on mógł być tak bezduszny i zimny, żeby podejrzewać, iż proponuje mu tylko szybki, poobiedni seks? I jak ona mogła być tak głupia, by pomyśleć, że się zakochała?

Do miłości trzeba dwojga Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Czy nie o tym właśnie traktowała jej powieść? Przecież miłość między parą jej bohaterów nie zrodziła się z jednego pocałunku. Musiało upłynąć wiele czasu, trzeba było pokonać wiele przeszkód, zanim połączyło ich autentyczne uczucie.

Pomyślała, że wciąż popełnia ten sam błąd, wierząc, że wszystko w życiu przychodzi łatwo. Nic dziwnego, że dostała zasłużonego prztyczka w nos. Tylko dlaczego akurat od Nathana? To takie upokarzające!

Za plecami usłyszała trzecie już chrząknięcie pani Grange, która właśnie ścieliła łóżko.

- Strasznie szybko pani pisze - odezwała się sprzątaczką, kiedy maszyna zamilkła - Jest pani sekretarką?

- Nie. - Jackie zmusiła się do uśmiechu. - Szczerze mówiąc, piszę książkę.

- Naprawdę?! - Pani Grange podeszła bliżej. - Sama lubię poczytać coś ciekawego.

Jak dotąd, wszyscy, którym Jackie przyznała się, że pisze powieść, unosili znacząco brwi, przewracali oczami albo robili równie głupie i wymowne miny. Pani Grange okazała się

chlubnym wyjątkiem. Ośmielona, Jackie odwróciła się w stronę pani Grange. Do diabła z Nathanem! - pomyślała. Skoro postanowiła zostać pisarką, dokona tego za wszelką cenę, na przekór niedowiarkom.

- Ma pani w ogóle czas na czytanie? - zapytała.

- Po całym dniu na nogach najbardziej lubię usiąść sobie na godzinkę z dobrą książką.

- Pani Grange zaczęła odkurzać lampę. - A jaką książkę pani pisze?

- Romans, to znaczy romans historyczny.

- Coś podobnego! Uwielbiam książki o miłości. Od dawna pani pisze?

- Jeśli mam być szczerą, to moja pierwsza próba. Przygotowania zajęły mi ponad miesiąc - zbieranie informacji, sprawdzanie dat i tak dalej, a potem skoczyłam na głęboką wodę.

Pani Grange spojrzała na maszynę do pisania.

- Z pisaniem jest pewnie tak samo jak z malowaniem. Człowiek nie chce tego nikomu pokazywać, póki nie skończy.

- Nie, wprost przeciwnie - roześmiała się Jackie. - Marzę o tym, żeby komuś przeczytać to, co do tej pory napisałam. - Oczywiście nie mojej rodzinie, dodała w myślach. Oni widzieli już zbyt wiele projektów, które zaczynała, a których nigdy nie doprowadziła do końca - Chce pani zerknąć okiem na pierwszą stronę?

- Chętnie. - Pani Grange wzięła zapisaną kartkę i trzymając ją na odległość wyciągniętej ręki, zaczęła czytać, poruszając bezgłośnie wargami.

Kiedy się cicho roześmiała, raz i drugi, Jackie odebrała to jako najwyższą pochwałę.

- Zaczęła pani z grubej rury! - stwierdziła z podziwem pani Grange, oddając jej kartkę.

- Porządna strzelanina to jest to! Człowiek zaraz chce wiedzieć, co będzie dalej.

- Taką miałam nadzieję. To na razie tylko robocza wersja, ale idzie mi znacznie lepiej, niż przypuszczałam. Za kilka tygodni chciałabym wysłać gotowy maszynopis do wydawnictwa.

- Chętnie przeczytam całość, kiedy pani skończy.

- Z przyjemnością dam pani do przeczytania - powiedziała Jackie. - Pod koniec każdego dnia sama nie mogę uwierzyć, że napisałam aż tyle stron. - Położyła z wahaniem rękę na stosie kartek. - Na razie nie mam pomysłu, co robić potem, kiedy to będzie skończone.

- Jak to co? Będzie pani musiała wziąć się za następną książkę - stwierdziła pani Grange, jakby to było zupełnie oczywiste, po czym zgarnęła przybory do sprzątanania i wyszła z pokoju.

Ona ma rację, pomyślała Jackie. Nawet jeśli jej się nie powiedzie za pierwszym razem, to jeszcze nie koniec świata. Nikt nie wie tego lepiej niż ona sama. Jeżeli coś idzie dobrze, trzeba się tego trzymać. A nawet jeżeli idzie źle, ale człowiek nadal tego chce, powinien dalej próbować. W końcu musi się udać.

Odwróciła się do biurka i z uśmiechem spojrzała na zapisaną do połowy kartkę. Będzie się odtąd kierowała tą maksymą, i to nie tylko w odniesieniu do swojej pracy, ale również do Nathana.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Był na siebie wściekły, choć znacznie łatwiej i wygodniej byłoby przelać tę wściekłość na Jackie. Przecież nie chciał jej wcale całować, to ona go do tego sprowokowała! Nie miał również zamiaru sprawiać jej przykrości. Tymczasem ona go do tego zmusiła. W ciągu zaledwie kilku dni zmieniła go w kłótliwego gbura, o nadmiernie pobudzonym libido.

A przecież miał o sobie wysokie mniemanie. Uważał się za sympatycznego, mądrego faceta, choć często w pracy bywał przesadnym perfekcjonistą. Potrafił w okamgnieniu zatrudnić kogoś i jeszcze szybciej zwolnić. W interesach często tak bywa. Za to w życiu prywatnym dbał o to, by nie dawać nikomu powodów do skarg.

Ilekczo zawierał znajomość z kobietą, starał się z góry ustalić reguły gry, by w razie zacieśnienia się ich więzi oboje mieli świadomość możliwości i ograniczeń: Nikt nigdy nie ośmieliłby się nazwać go cynicznym uwodzicielem.

Miewał rzecz jasna od czasu do czasu „przyjaciółki”. W końcu u zdrowego, dorosłego mężczyzny to normalne. Jednak za każdym razem starał się, by obie strony podejmowały decyzję świadomie i w pełni odpowiedzialnie. Oczywiście nie mogło też zabraknąć stosownej dozy uczucia, a potem już wszystko toczyło się znanym utartym torem.

Jego wizja dojrzałego, partnerskiego związku zdecydowanie wykluczała obmacywanie się w kuchni, nad półmiskiem sałatki.

Jeżeli jest to staromodne podejście, to gotów się uznać za człowieka starej daty.

Problem polegał jednak na tym, że ich dziki pocałunek znaczył dla niego więcej i wstrząsnął nim bardziej niż którykolwiek z pocałunków w jego wcześniejszych, starannie zaprogramowanych związkach. A on sobie nie życzył, żeby jego życie potoczyło się w niekontrolowany sposób.

Od ojca nauczył się niewiele ponad to, jak wiązać krawat, i że kobiety należy traktować z szacunkiem. Był dżentelmenem i zamierzał nim pozostać, bez względu na okoliczności. Kobiecie należały się róże i komplementy, choćby dlatego, że była słabszą, delikatniejszą istotą.

Był święcie przekonany, że umie postępować z kobietami. Wiedział, jak pokierować znajomością, żeby nie zbroczyć z obranego, kursu i jak ją potem zakończyć bez scen i wzajemnych pretensji. Jeżeli nigdy nie godził się na zbyt bliską bliskość, to miał po temu konkretne powody. Od ojca dowiedział się, że nie należy składać obietnic, których nie zamierza się dotrzymać, jak również angażować się w układy, o których z góry wiadomo, że



się rozpadną. Szczycił się wręcz tym, że po każdym rozstaniu pozostawał ze swoją ekspartnerką w przyjaźni.

Z Jackie było to niemożliwe. Nie mógł się rozstać z nią w przyjaźni, bo nawet nie zdążyli się zaprzyjaźnić. Zdążył za to zrozumieć, że z kobietą jej pokroju nie obejdzie się przy pożegnaniu bez scen i awantur. Przy tym koniec okaże się równie nielogiczny i spektakularny, jak początek.

A on nie lubił osób o żywiołowej osobowości czy wybuchowym temperamencie. Takie cechy przeszkadzały mu w skupieniu.

Postanowił cofnąć się do punktu wyjścia. Zacznie myśleć o następnym projekcie i odświeży dawne kontakty. Miesiące spędzone w Niemczech wyssały z niego całą energię, a na domiar wszystkiego, odkąd wrócił do domu, nie miał nawet dnia spokoju.

Zresztą, to jego wina. Nie zamierzał obarczać nikogo odpowiedzialnością za to, co się stało. Zgodnie z umową, której zamierzał dotrzymać, jego nieproszonemu gościowi pozostał jeszcze tydzień. A potem panna MacNamara raz na zawsze zniknie mu z oczu i z serca. No... w każdym razie z oczu.

Pomyślał, że dobrze mu zrobi kąpiel w basenie. Kiedy wchodził na górę, żeby się przebrać, usłyszał śmiech Jackie. Wzdrygnął się. Czy ta kobieta musi śmiać się tak zaraźliwie? Paplała jak najęta. Drzwi do jej pokoju były otwarte i na korytarzu słyhać było każde słowo. Przystanął i pomyślał, że nikt nie może oskarżyć go o podsłuchiwanie, bo to przecież - do jasnej cholery! - jest jego własny dom.

- Ciociu Honorio, skąd ci to przyszło do głowy? - Skulona w fotelu Jackie przytrzymała brodą słuchawkę, malując sobie przy okazji paznokcie u nóg. - Nie, nie gniewam się na Freda, bo niby czemu? Przecież on mi wyświadczył wielką przysługę. Ten dom jest idealny, właśnie czegoś takiego szukałam. A Nathan, to znaczy właściciel, jest po prostu rozkoszny.

Wyprostowała nogę, żeby obejrzeć swoje dzieło. Zajęta pisaniem i gotowaniem, od tygodni nie znalazła czasu na pedicure. A przecież matka zawsze jej mówiła, że prawdziwa dama powinna być zadbana od stóp do głów.

- Nie, kochana ciociu, świetnie się dogadujemy. Nathan jest trochę odludkiem, więc siedzimy tu tylko we dwoje. Ja gotuję, a on chyba lubi moją kuchnię, bo zaczyna mu rosnać brzuszek.

Nathan, który wciąż podsłuchiwał w korytarzu, machinalnie chwycił się za brzuch.

- Ależ nie, nie mógłby być miłszy. Mam wrażenie, jakby był moim wujem. Zaczyna nawet trochę łysieć, zupełnie jak wuj Bob.

Tym razem obie ręce Nathana powędrowały w górę.

- Cieszę się, że mogłam cię uspokoić. Nie, przekaz Fredowi, że wszystko jest na najlepszej drodze. Jeszcze się z nim nie skontaktowałam, bo nie mam pewności, dokąd go zaniósł.

Na moment, zapadła cisza. Lodowata cisza. Tak przynajmniej odebrał to Nathan.

- Oczywiście, kochana ciociu. Przecież wiem, jaki jest Fred.

Nathan usłyszał ciche pomrukiwania, a potem stłumiony śmiech. Już miał pójść do swojego pokoju, kiedy Jackie znów zaczęła mówić:

- Ach, ciociu, byłabym zapomniała. Jak się nazywał ten wspaniały agent, którego zatrudniłaś, kiedy kupowałaś posiadłość Hawkinsa? - Jackie wyprostowała się w fotelu, by zadać ostatni cios. - To na razie sprawa poufna, ale wiem, że tobie mogę powiedzieć. Niedaleko stąd, na południe, jest takie miejsce, Shutter's Creek. Jest tam dwadzieścia pięć akrów ziemi na sprzedaż. Zachowaj to na razie dla siebie, dobrze? - Urwała i słuchając zapewnień ciotki, nie przestawała malować paznokci. Znała ciotkę Honorię na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej obietnice były niewiele warte. - Wiedziałam, że mogę na tobie polegać. Normalnie by mnie to nie interesowało, bo to same mokradła, ale cały dowcip polega na tym, że Allegheny Enterprises - no wiesz, ta spółka, która buduje te cudowne kurorty.. . Tak, tak, właśnie oni. No więc, wykupują tu wszystkie wolne tereny, zamierzają je osuszyć i zbudować kompleks rozrywkowy, taki jak ten w Arizonie. Nie uważasz, że zamienili ten kawałek pustyni w rajski ogród?

Jackie słuchała jeszcze przez chwilę, póki się nie upewniła, że ciotka połknęła przynętę.

- Skąd wiem? Znajomy szepnął mi słówko. Kupię ten grunt, a potem odsprzedam go Allegheny. Znajomy twierdzi, że dostanę potrójną cenę. Rzeczywiście, to brzmi jak bajka. Ale pamiętaj, ciociu, póki co ani słówka. Chciałabym załatwić formalności, zanim wszyscy się dowiedzą.

Znowu przerwała i z przekrzywioną głową zastanawiała się, czy nie nałożyć trzeciej warstwy lakieru.

- Tak, tak, jestem bardzo podniecona. Tutaj na razie nikt o tym nie wie. Właśnie dlatego nie chcę żadnego pośrednika z Florydy. Nie, nie mówiłam na razie rodzicom. Wiesz, że lubię sprawiać niespodzianki. Ojej, ktoś puka! Muszę kończyć. Ucałowania dla wszystkich. Będziemy w kontakcie. Ciao!

Zadowolona z siebie, Jackie przeciągnęła się w fotelu, a potem zakręciła nim jak karuzelą.

- O, witaj Nathan!

- Nie wiem, skąd masz te informacje - zaczął Nathan bez ogródek - ale te tereny w Shutter's Creek to kolejne wyrzucone pieniądze. Poszukaj sobie lepiej czegoś innego. Przecież to dwadzieścia pięć akrów komarów i błota.

- Wiem. - Jackie bez trudu podniosła stopę do ust i podmuchała na wilgotny lakier. Nathana wcale by nie zdziwiło, gdyby założyła sobie nogę za szyję. - Jeżeli dobrze przypuszczam, to nasz kochany Fred już pojutrze będzie szczęśliwym właścicielem tych komarów. - Uśmiechnęła się, po czym założyła ręce za głowę. - Uważam, że jeśli chce się komuś odplacić pięknym za nadobne, trzeba ugodzić go tam, gdzie go najbardziej zabol. A u Freda takim miejscem jest portfel.

Nathan musiał przyznać, że wywód Jackie zrobił na nim pewne wrażenie.

- Rozumiem - powiedział, wchodząc do pokoju. - Zasiałaś ziarno na jego zgubę.

- Tak jest. Do rana powinno zakiełkować. Paskudna sztuczka, pomyślał Nathan. Wyjątkowo perfidna.

- Skąd wiesz, że on da się na to nabrać?

- Chcesz się założyć? - prychnęła Jackie.

- Nie - odparł po namyśle. - Nie chcę. Ile żądają za akr?

- Ach, tylko dwa tysiące. Fred na pewno zdoła bez trudu wyzebrać, pożyczyć albo wręcz ukraść pięćdziesiąt tysięcy. - Jackie po raz ostatni przyjrzała się swoim paznokciom, po czym zakręciła buteleczkę. - Zawsze spłacam długi, Nathan. Bez żadnych wyjątków.

Było to jawne ostrzeżenie. Nathan uznał, że sobie na nie zasłużył.

- Jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha, wyznam ci, że w życiu nie tknę mrożonej kawy.

Jackie leniwie założyła nogę na nogę.

- To już coś.

- Poza tym, to nieprawda, że łysieję.

Przyjrzała się uważnie jego włosom. Były gęste i ciemne, i takie sprężyste w dotyku.

- Chyba raczej nie.

- Nie mam też brzuszka. Spojrzała w dół, na jego płaski brzuch.

- No, jeszcze nie.

- I wcale nie jestem rozkoszny.

- Może i nie - przyznała ze śmiechem. - Za to nawet dość przystojny i męski.

Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, uznał jednak, że lepiej się poddać.

- Przepraszam - wyrwało mu się mimowolnie. Jackie uśmiechnęła się; wzrok jej złagodniał.

- Bo masz za co - stwierdziła. - Lubisz zaczynać od nowa?

Więc to aż takie proste. Powinien się tego domyślić.

- Właściwie tak.

- No to w porządku.

Kiedy podniosła się z krzesła, przyłapał się na tym, że bezwstydnie gapi się na jej nogi. Cóż... jest tylko człowiekiem.

- Czyli jesteśmy przyjaciółmi? - powiedziała, wyciągając rękę.

Mógłby wymienić całą listę powodów, dla których nie powinni się zaprzyjaźniać, mimo to uścisnął jej dłoń.

- Tak, jesteśmy przyjaciółmi. Pójdiesz ze mną popływać?

- Dobrze. - Chętnie by go ucałowała, zadowolona się jednak uśmiechem. - Daj mi pięć minut. Muszę się przebrać.

Zajęło jej to mniej niż pięć minut. Kiedy podeszła do basenu, Nathan wynurzał się właśnie na powierzchnię. Nim zdążył otrzeć oczy, wskoczyła do wody.

- Cześć!

- Szybka jesteś.

- Nie lubię tracić czasu. - Jackie równym tempem przepłynęła półtorej długości basenu. - Masz fantastyczny basen. To on mnie tak urzekł, że od razu chciałam tu zamieszkać. W moim rodzinnym domu były nawet dwa, więc przywykłam do codziennego pływania. Bardzo by mi tego brakowało.

- Miło mi, że mogłem spełnić twoją zachciankę - powiedział, ale nie zabrzmiało to tak sarkastycznie, jakby sobie życzył. Kiedy Jackie zmieniła styl na grzbietowy, dodał: - Chyba dużo pływasz, prawda?

- Nie tak dużo jak dawniej. Jako nastolatka pływałam przez kilka lat w kadrze junierek. Myślałam nawet o olimpiadzie.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- A potem zakochałam się w trenerze. Miał na imię Hank. - Na wspomnienie młodzieńczego uczucia zamknęła z westchnieniem oczy. - Po tym wszystkim nie byłam już w stanie skoncentrować się na wynikach. Straciłam też chyba formę. Miałam piętnaście lat, a Hank dwadzieścia pięć. Wyobrażałam sobie, że się pobierzemy i będziemy wychowywać przyszłych sportowców, tymczasem jego interesował wyłącznie mój styl grzbietowy. Osiągnęłam najlepszy czas w całym stanie. A wracając do Hanka, miał dwadzieścia pięć lat i bary jak atleta. Zawsze lubiłam barczystych facetów. - Otworzyła na moment oczy, żeby się

przyjrzeć Nathanowi. Ciało miał bardziej opalone i muskularne, niż przypuszczała. - Ty też jesteś nieźle zbudowany.

- Dziękuję. - Nathan doszedł do wniosku, że pływanie obok Jackie to bardzo relaksujące, a zarazem stymulujące zajęcie.

- Hank miał też przepiękne błękitne oczy. Jak gwiazdy. Uwielbiałam o nich rozmyślać.

Nathan poczuł, że budzi się w nim irracjonalna nienawiść do tego Hanka.

- Interesował go tylko twój styl grzbietowy? - rzucił kąśliwym tonem.

- Wyłącznie. Żeby zwrócić na siebie jego uwagę, postanowiłam któregoś dnia udawać, że tonę. Wymyśliłam sobie, że wyciągnie mnie z wody i zacznie mi robić sztuczne oddychanie metodą usta - usta, i wtedy wreszcie zrozumie, że jest we mnie śmiertelnie zakochany. Skąd mogłam wiedzieć, że tego dnia mój tato przyjdzie na basen, żeby popatrzeć, jak trenujemy?

- Rzeczywiście, nikt nie mógł tego przewidzieć.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. No więc, możesz sobie wyobrazić, co się działo, kiedy mój ojciec wskoczył do basenu w trzyczęściowym garniturze, ze szwajcarskim zegarkiem na rękę. Nawiasem mówiąc, po tym wszystkim nigdy już nie był tym samym człowiekiem. Kiedy wyciągnął mnie na brzeg, dostał ataku hysterii. Koledzy z sekcji myśleli, że to na skutek szoku, ale on po prostu zbyt dobrze mnie znał, żeby uwierzyć w to przedstawienie. Jeszcze tego samego dnia przeniósł mnie z sekcji pływackiej do szkółki tenisa, oczywiście prowadzonej przez trenerkę.

- Twój ojciec wygląda mi na mądrego faceta.

- O tak, jest bardzo bystry, jak większość MacNamarów. Jeszcze nikomu nie udało się go przechytryć, a Bóg jeden wie, że nieraz próbowałam. - Westchnęła z rezygnacją - Będzie ze mnie dumny, kiedy mu opowiem, jaki numer wycięłam Fredowi.

- Jesteś bardzo zżyta ze swoją rodziną?

- Bardzo - przyznała. - Czasami nawet aż za bardzo. Może właśnie dlatego musiałam się odizolować, żeby wziąć się za coś nowego. Gdyby wszystko miało pójść po myśli taty, mieszkałabym teraz w Newport z mężem, którego sam by mi wybrał, wychowywałabym jego wnuki i trzymała się z dala od jakichkolwiek kłopotów. A ty, masz jakąś rodzinę na Florydzie?

- Nie.

Jego ton nie pozostawiał cienia wątpliwości. Temat był raz na zawsze zamknięty.

- Chcesz się ścigać? - zapytała, uznając, że w tej sytuacji lepiej nie naciskać.

- A dokąd?

- Do końca basenu i z powrotem.

Nathan otworzył oczy. Jackie unosiła się na wodzie tuż obok niego, z twarzą oddaloną zaledwie o centymetry od jego twarzy. Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby złapał ją za rękę i przyciągnął bliżej, mógłby dotknąć ustami jej warg. Doszedł jednak do wniosku, że wyścigi to znacznie lepszy pomysł.

- Dobrze. - Zamachnął się i wystartował. Kątem oka zobaczył, że Jackie pomknęła przed siebie jak strzała. Uśmiechnął się i przyspieszył tempo.

Wprawdzie minęło kilka lat, odkąd Jackie przestała pływać w reprezentacji, nadal jednak drzemał w niej bojowy duch. Nathan na ogół wolał przegrywać z kobietami. One i tak wiedziały, że robił to umyślnie. A jednak nie miał najmniejszego zamiaru przegrywać z Jackie.

Kiedy dotknęli przeciwległej ściany basenu i zawrócili, płynęli ramię w ramię. Nathan nagle uświadomił sobie, że ciężko będzie ją wyprzedzić. Smukłe ramiona Jackie szybkimi, energicznymi ruchami rozcinały wodę, a jej długie nogi działały jak śruba napędowa. W końcu udało mu się wysforować nieco do przodu, wyłącznie dzięki temu, że miał dłuższe ręce. Wygrał niespełna o pół długości ciała.

- Nie mam kondycji. - Jackie, zdyszana, oparła się o krawędź basenu i spojrzała na Nathana. Po jego lśniącym, muskularnym torsie spływały kropelki wody. Pomyślała, że każda kobieta chciałaby się oprzeć na takim torsie. - Ty za to jesteś w świetnej formie.

- Ty też - wysapał.

- Następnym razem nie dam ci forów.

- I tak cię pokonam - odparł z uśmiechem.

- Może. - Jackie przeczesła palcami włosy, które zwinęły się w urocze pierścionki. -

Dobrze grasz w tenisa?

- Nieźle.

- Możemy któregoś dnia spróbować. - Wyskoczyła z wody i usiadła na krawędzi basenu. - A łacina?

- Co z łaciną?

- Moglibyśmy zrobić sobie sprawdzian ze znajomości łaciny.

Nathan potrząsnął głową, po czym wynurzył się i usiadł obok Jackie.

- Nie znam łaciny.

- Każdy zna chociaż trochę. *Corpus delicti* albo *magna cum laude*. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego mówi się, że to martwy język. Przecież używamy go na co dzień.

- Rzeczywiście, warto by się nad tym zastanowić.

Jackie mimowolnie się roześmiała. Nathan na swój powściągliwy sposób usiłował dać jej do zrozumienia, że brak jej piątej klepki. Kiedy tak siedział obok niej, z ciepłym blaskiem w oczach i półuśmiechem na twarzy, odniosła wrażenie, że zna go od zawsze. A może chciałyby go znać od zawsze.

- Lubię cię, Nathan. Naprawdę.

- Ja też cię lubię. Chyba. - Patrząc na nią, nie sposób było się nie uśmiechnąć. Miała magnetyczną osobowość, skupiającą na sobie uwagę otoczenia. Pomyślał, że przebywanie w towarzystwie Jackie jest jak skok do zimnego jeziora w upalny dzień. Wprawdzie szok dla organizmu, jednak w sumie mile widziany.

Bezwiednym gestem odgarnął jej za ucho mokry kosmyk. Co się z nim działo? Przecież nigdy nieświadomie nikogo nie dotykał. Ledwo musnął jej policzek, a już pojął, że popełnił kolejny błąd. Jak można pragnąć czegoś, czego się nie potrafi określić?

Chciał się odsunąć, ale wtedy Jackie ujęła go za rękę i podniosła ją do ust, muskając wargami jego palce.

- Nathan - odezwała się - czy jest w twoim życiu jakaś kobieta, której powinnam się obawiać?

Nie cofnął ręki. Spletli palce.

- Jak mam to rozumieć?

- Mówiłeś, że teraz nie masz nikogo. A w przeszłości? Nie przeszkadza mi to, że musiałabym z kimś konkurować. Wolałabym jednak wiedzieć.

Nie było nikogo takiego w jego życiu. Jeśli nawet kiedyś istniała jakaś kobieta, wspomnienie o niej zbladło i rozwiało się jak dym. I to go właśnie najbardziej zaniepokoiło.

- Jackie, ciągle mnie wyprzedzasz.

- Naprawdę? - Przynęła usta do jego ust. - Jak myślisz - wyszeptła - ile czasu potrzeba, żebyś mnie dogonił?

Jak to się stało, że nagle obejmował dłońmi jej twarz? Poczul, że woda zaczyna gwałtownie parować z jego skóry. To byłoby takie proste, wręcz naturalne. Ona była chętna, a on jej pragnął. Są dorośli, znają reguły gry i mają świadomość ryzyka. Niczego sobie nie obiecywali, bo i niczego od siebie nie chcą.

Jednak nawet gdy jej wargi rozchyłały się w zetknięciu z jego ustami, nawet kiedy ofiarowała mu samą siebie, czuł, że w tym przypadku nic nie będzie proste.

- Myślę, że nie jestem jeszcze gotowy na romans z tobą - szepnął, popychając ją delikatnie na betonową krawędź basenu.

- No to nie myśl. - Objęła go za szyję. Na to właśnie czekała, ale jak mu to powiedzieć? Jak wytłumaczyć, że czekała na niego przez całe życie? Właśnie na niego. To takie proste i naturalne pragnąć go i poddać się temu pragnieniu.

Już od dzieciństwa wiedziała, że tylko jeden mężczyzna jest jej przeznaczony. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy go spotka i czy w ogóle. Ale jeśli nie, to samotnie przejdzie przez życie, a miłość rodziny i przyjaciół będzie jej musiała wystarczyć. Bo Jackie nigdy nie godziła się na półśrodki.

Teraz jednak on tu był, z ustami na jej ustach i ciałem przy jej ciele. Po co martwić się o to, co wydarzy się jutro, kiedy trzyma w ramionach ucieleśnienie swoich snów?

Tu i teraz było to, czego od zawsze pragnęła. Przyłgnęła do Nathana, szepcząc jego imię, i z radością poczuła, że jej pragnienie zostało odwzajemnione.

Była niepodobna do innych kobiet, ale dlaczego? Zdarzało mu się już nieraz ulec urokom kobiety i jej pożądać, ale nie w taki sposób. Kiedy był blisko Jackie, nie potrafił nawet myśleć. Mógł tylko odczuwać: czułość, namiętność, frustrację, pożądanie. Trzymając ją w ramionach, wyłączał automatycznie mózg, poddając się emocjom.

Czy to dlatego, że stanowiła ucieleśnienie marzeń każdego mężczyzny? Wielkoduszna kobieta o potrzebach i wymaganiach odpowiadających męskim potrzebom i wymaganiom. Kobieta bez zahamowań, która niczego nie udaje. Chciałby wierzyć, że tak właśnie jest. Że to już wszystko. Niestety, zdawał sobie sprawę, że chodzi o coś więcej. I to znacznie więcej.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że krok po kroku zapiera się samego siebie. Przecież do tej pory wiedział, dokąd zmierza i po co. To niemożliwe... to nie w porządku... godzić się na to, żeby wszystko się teraz zmieniło. To znaczy, żeby ona wszystko zmieniła.

Musi z tym skończyć. Tu i teraz. Kiedy ma jeszcze jakiś wybór. Albo kiedy może jeszcze udawać, że go ma.

Powoli i z najwyższym trudem oderwał się od Jackie. Słońce schyliło się ku zachodowi, a jego promienie budziły miedziane refleksy w jej włosach, które nie były tylko brązowe, jak mu się dotąd wydawało, ale mieniły się całą gamą brązów. Były przy tym takie miękkie i ciepłe. Jak jej oczy. Jak jej skóra.

Z trudem oparł się pokusie, by raz jeszcze dotknąć jej policzka.

- Czas wracać do domu.

Pod jego spojrzeniem topniała jak wosk. O co by teraz poprosił, zrobiłaby to bez wahania. Tak wielka jest moc miłości. Zamrugnęła oczami, żeby zejść z obłoków na ziemię. Gdyby wybór należał do niej i tylko do niej, zostałyby na zawsze tam, gdzie teraz, czyli w jego ramionach.



Nie była jednak aż taka głupia. Nathan nie powiedział przecież, że chce ciągnąć to, co się między nimi zaczęło, tylko że chce to zakończyć. Zamknęła oczy, a serce ścisnęło jej się z bólu.

- Idź sam. Ja jeszcze posiedzę trochę na słońcu.

- Jackie!

Otworzyła oczy. Ku jego zdumieniu malowała się w nich wyrozumiałość. Odsunął się, czując, że jeśli będzie zbyt blisko Jackie, nie zdoła utrzymać rąk przy sobie i wszystko zacznie się od nowa.

- Nie lubię niczego zaczynać, póki nie wiem, jak to się skończy.

Jackie zrozumiała go i głęboko westchnęła.

- To niedobrze, Nathan. Nawet nie wiesz, co tracisz.

- Popelniam za to mniej błędów. A ja nie lubię pomyłek.

- Czy ja jestem jedną z nich? - zapytała ze śmiechem, a on odetchnął z ulgą.

- Tak, i to od samego początku. - Odwrócił się do niej. Patrzyła na niego tak jak na przygotowywane przez siebie, skomplikowane danie. - Chyba sama rozumiesz, że byłoby lepiej, gdybyś tu nie mieszkała.

Jackie uniosła brwi, nie przestała jednak przyglądać mu się w skupieniu.

- Wyrzucasz mnie?

- Nie - powiedział zbyt szybko i poniewczasie ugryzł się w język. - Powinienem to zrobić, ale jakoś nie potrafię.

Położyła rękę na jego ramieniu i poczuła, że znów jest spięty.

- Pragniesz mnie, Nathan. Czy to aż tak cię przeraża?

- Nie robię wszystkiego, na co mam ochotę. Jackie zamyśliła się.

- Chyba rzeczywiście tak. Jesteś na to zbyt delikatny. To jedna z tych cech, które mi się w tobie najbardziej podobają. W końcu jednak mnie weźmiesz, Nathan. Bo tak jest nam pisane. Wiemy o tym oboje.

- Nie sypiam z każdą kobietą, która mi się spodoba.

- Miło mi to słyszeć. - Jackie usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. - Sypianie z byle kim niesie ze sobą wiele zagrożeń. - Spojrzała na niego wymownie. - Myślisz, że szłam do łóżka z każdym facetem, który na ranie działał?

Nathan wzruszył ramionami.

- Nic nie wiem o twoim stylu życia - rzekł niechętnie. Czuł się bardzo zażenowany.

- No właśnie - powiedziała. - W tej sytuacji zapomnijmy o seksie. Może romans robi się przez to mniej atrakcyjny, ale to dość rozsądne wyjście. Mam dwadzieścia pięć lat i

zdążyłam się już zakochać wiele razy. Lubię się zakochiwać, tyle tylko, że później nie umiem wytrwać przy danej osobie. Nathan, może ciężko ci będzie pogodzić się z tym, ale nie jestem już dziewicą.

Nathan z ponurą miną potrząsnął głową, a wtedy ona poklepała go po ramieniu.

- Szokujące, prawda? Wyznaję jak na spowiedzi, że żyłam z mężczyzną. A tak naprawdę - z dwoma. Po raz pierwszy zrobiłam to w dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin.

- Jackie.. .

- Wiem - przerwała mu, machnąwszy ręką. - W dzisiejszych czasach to dość późno, ale ja nie lubię podążać za modą. Szalałam na jego punkcie. Znał całego Yeatsa na pamięć.

- To wszystko wyjaśnia.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Po jakimś czasie zajęłam się fotografią. Robiłam nastrojowe, czarno - białe zdjęcia. Bardzo ezoteryczne. Wtedy właśnie poznałam tego faceta. Czarna skórzana kurtka, posępna uroda. - Kiedy to mówiła, w jej oczach nie było już cienia sentymentu, raczej rozbawienie.

- Wprowadził się do mnie i przesiadywał całymi dniami, patrząc ponuro przed siebie. Po kilku tygodniach zrozumiałam, że nie nadaję się na ofiarę. Zostało rai za to kilka fantastycznych zdjęć. Od tamtej pory nikt już nie zrobił na mnie większego wrażenia. Dopiero tobie się to udało.

Nathan milczał. Czegoś tu nie rozumiał. Czemu niby miałby się cieszyć, że w życiu Jackie było tylko dwóch ważnych mężczyzn? I dlaczego był o nich obu zazdrosny? Po chwili znowu spojrzał na Jackie. Światło zmieniło się i ciepłym blaskiem ozłacało jej skórę.

- Zadaję sobie pytanie, czy ty nie masz za grosz sprytu, czy może masz go więcej niż inni?

- Miło jest mieć coś, nad czym można się zastanawiać. Chyba dlatego chcę zostać pisarką. Wtedy człowiek może się zastanawiać od początku do końca. - Umilkła na chwilę, ale u Jackie takie przerwy trwały bardzo krótko. - Nathan, jest jeszcze coś, co mógłbyś rozważyć. Otóż jestem w tobie zakochana.

Po tym wyznaniu wstała, bo wydało jej się, że tak będzie lepiej dla nich obojga.

- Nie chcę, żebyś się tym przejmował - dodała, widząc jego osłupiałą minę. - Rzecz w tym, że ja po prostu nie znoszę, kiedy ludzie udają, że czegoś nie ma. Zwłaszcza jeżeli chodzi o coś miłego. Pójdę się teraz przebrać, a potem zajmę się kolacją.

Zniknęła w głębi domu. Nathan został sam. W głowie miał kompletny mętlik. Czy ktoś poza Jackie potrafiłby powiedzieć coś takiego od niechcienia, a potem po prostu się ulotnić? Nikt. Tylko ona.

Mrużąc oczy, spojrzął na zatokę, w której odbijały się promienie słońca. Jakaś motorówka płynęła na północ. Słyszał nawet szum silnika w oddali. Powietrze było przesycone zapachem wiosny, rozgrzanych słońcem kwiatów, świeżo skoszonej trawy. Dni były coraz dłuższe, a wieczory coraz cieplejsze.

To właśnie jest jego życie, które toczyło się dotąd utartym torem.

Póki nie spadła na niego wiadomość, że Jackie jest w nim zakochana.

Czysty absurd! A skoro tak, czemu wcale go to nie zaskoczyło? Chyba dlatego, że wiąże się to z jej osobowością. On, na przykład, nie zwykł rzucać na wiatr takich słów, jak „miłość”. Jackie słowa i uczucia najwidoczniej przychodziły bez trudu.

Nie miał pojęcia, co Jackie mogła rozumieć przez „miłość”. Pociąg, harmonię dusz, nagłe olśnienie? Dla wielu byłoby to aż nadto. Jackie jest jednak bardzo impulsywna. Czy nie powiedziała mu przed chwilą że zakochiwała się i odkochiwała wiele razy? Może dla niej to po prostu kolejna przygoda?

Wygodniej byłoby mu w to uwierzyć. A skoro tak, to dlaczego na samą myśl o tym ogarniała go złość?

Dlatego, że nie życzył sobie być kolejną przygodą w jej życiu. Wprawdzie nie chciał, żeby była w nim zakochana, ale skoro tak się stało, to chciał, żeby to było autentyczne uczucie.

Wstał i podszedł do muru oddzielającego ogród od skarpy schodzącej do kanału. Kiedyś jego życie płynęło spokojnie jak wody tego kanału. I o to właśnie mu chodziło. Pochłonięty pracą, nie miał czasu zadawać się z impulsywnymi kobietami, które rozprawiają o romansach i miłości.

Może w przyszłości przyjdzie czas na takie sprawy - oczywiście z właściwą kobietą. Elegancką i rozsądną, bo takie zawsze mu się podobały. A jeśli tak, to czemu nagle odniósł wrażenie, jakby myślał o meblu do salonu, a nie o żonie?

To wszystko wina Jackie, uznał ze złością. Po co mu powiedziała, że jest w nim zakochana? To przez nią zaczęło mu się wydawać, że i on.. .

Nie! - zganił się w duchu, po czym zawrócił w stronę domu. Szkoda czasu na tak idiotyczne rozważania, że mógłby być w niej zakochany. Przecież prawie jej nie zna, a poza tym działa mu na nerwy. Może i mu się podoba, ale to tylko dlatego, że jest rzeczywiście

atrakcyjna. Poza tym, w Niemczech był tak zapracowany, że nie miał czasu nawet pomyśleć o kobiecie.

Niestety, to także było kłamstwo. Zdegustowany odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na basen. Prawda wygląda tak, że Jackie zdecydowanie nie jest mu obojętna. Sam nie wiedział dlaczego, a jednak tak było. Uświadomił sobie, że chce z nią spędzić czas, chce się z nią kochać, chce słuchać jej radosnego, zmysłowego głosu.

To nie jest oczywiście miłość, chociaż trzeba przyznać, że jednak trochę mu na niej zależy. To przecież dopuszczalne. Fakt, że mężczyźni zależy na jakiejś kobiecie, wcale jeszcze nie znaczy, że od razu wpadł po uszy.

Ale to wszystko nie dotyczy Jackie.

Przezesął palcami włosy i ruszył w stronę domu. Nie będzie rozmawiać z Jackie na takie tematy - ani teraz, ani nigdy. Bez względu na to, ile go to będzie kosztowało, j ego życie wróci do normy.

Przed wejściem powiedział sobie, że rozsądniej będzie wślizgnąć się bocznymi drzwiami, żeby uniknąć spotkania z Jackie. Zapewnił też sam siebie, że nie jest to wcale oznaką tchórzostwa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jackie ani przez moment nie żałowała, że powiedziała Nathanowi o swoich uczuciach. Nie wycofałaby się, nawet gdyby miała taką szansę. Wyznawała zasadę, że raz podjęte decyzje nie podlegają dyskusji.

A nawet gdyby wstydziła się swoich słów - albo chciała je cofnąć - i tak w niczym nie zmieniłoby to faktu, że powiedziała prawdę. Nie planowała zakochać się w Nathanie, ale skoro już do tego doszło, ta miłość stała się dla niej czymś najpiękniejszym i najważniejszym. Poprzednio najpierw wybierała mężczyznę, który wydawał jej się godny uczucia, a dopiero potem się w nim zakochiwała.

Miłość do Nathana była dla niej samej niespodzianką i zaskoczeniem. Takiej możliwości nie brała pod uwagę. Tymczasem zdarzyło się coś, o czym w głębi duszy marzyła. Wiedziała od dawna, że miłości nie można sobie zaplanować, dlatego zaczynała się obawiać, że już jej w życiu nie spotka.

Oczywiście Nathan nie jest dla niej idealnym partnerem, a przynajmniej nie pod każdym względem, jak to sobie kiedyś wyobrażała. Właściwie nie wiedziała, czy ma te wszystkie zalety, które uznała za pożądane u mężczyzny.

Jednak było to bez znaczenia, bo go kocha.

Postanowiła dać mu trochę czasu - kilka dni, a nawet tydzień - by mógł odpowiedzieć na jej wyznanie w sposób, który uzna za stosowny. Co do niej samej, nie żywiła najmniejszych wątpliwości, że wszystko ułoży się po jej myśli. Kochała Nathana. Los, pod postacią kuzyna Freda, zetknął ich ze sobą, czyli to wszystko, co się stało, było im pisane. Nathan może jeszcze o tyranii wie, ale wkrótce to sobie uświadomi. Ubijając jajka na suflet, pomyślała z uśmiechem, że Nathan potrzebuje właśnie takiej kobiety jak ona.

Mężczyzna racjonalny, konserwatywny i, prawdę powiedziawszy, trochę sztywny, potrzebuje miłości i zrozumienia kobiety, która nie została wyposażona w żadną z tych cech. A ta kobieta, czyli w tym przypadku ona, pokocha tego mężczyznę, czyli Nathana, właśnie za to, że jest, jaki jest. Jego cechy będą ją rozczulać, a zarazem nie pozwoli mu się przesadnie usztywnić.

Już teraz mogła przewidzieć, jak w przyszłości ułoży się ich życie. Z czasem staną się sobie tak bliscy, że będą potrafili czytać nawzajem w swoich myślach. A choć nie zawsze będą we wszystkim zgodni, będą mogli liczyć na wzajemne zrozumienie. On będzie siedział

nad deską kreślarską i chodził na narady, a ona będzie pisać i od czasu do czasu wpadać do Nowego Jorku, żeby zjeść lunch ze swoim wydawcą.

Kiedy Nathan będzie musiał wyjeżdżać służbowo, pojedzie z nim, żeby wspierać go, on także będzie jej pomagał na wszelkie możliwe sposoby. Gdy on będzie projektował kolejny gmach, ona będzie zbierała potrzebne informacje i wertowała fachową literaturę.

Tak będzie, póki na świat nie przyjdą dzieci. Wtedy będą musieli na kilka lat ograniczyć podróże i zająć się rodziną. Jak na razie, Jackie nie chciała sobie wyobrazić ani płci, ani koloru włosów ich dzieci, bo powinno to być najśłodsza niespodzianką. Oczywiście nie wątpiła, że Nathan okaże się czułym i oddanym ojcem.

Ona zawsze będzie przy nim, żeby robić mu rozluźniające masaże, rozśmieszać go, kiedy dopadnie go zły humor; żeby patrzeć, jak rozkwita jego talent. Przy niej Nathan będzie się częściej uśmiechał, a ona dzięki temu stanie się bardziej stateczna. Będą z siebie dumni, a kiedy ona zdobędzie Nagrodę Pulitzera, wypiją butelkę szampana i będą się kochać do białego rana.

Wszystko to jest naprawdę bardzo proste. Musi tylko poczekać, aż Nathan to zrozumie.

Ostry dźwięk telefonu przerwał jej błogie rozmyślanie.

Trzymając miskę pod pachą, podeszła do wiszącego na ścianie aparatu i zdjęła z widełek słuchawkę.

- Halo!

Ktoś się wyraźnie zawahał, po czym w słuchawce rozległ się starannie modulowany, damski głos:

- Czy to rezydencja pana Powella?

- Tak. Czym mogę służyć?

- Chciałabym porozmawiać z Nathanem. Mówi Justine Chesterfield.

Nazwisko nie było Jackie obce. Przypomniała sobie, że świeżo rozwiedziona Justine Chesterfield stała się ostatnio ulubionym tematem towarzyskich rubryk w kolorowych magazynach. Na sam dźwięk tego nazwiska otwierały się wszystkie drzwi w Bridgeport, Monte Carlo i St. Moritz.

Naturalnie odpowiednio do sezonu. Jackie zawsze wierzyła w złe przeczucia, dlatego w pierwszym odruchu chciała odwiesić słuchawkę. Doszła jednak do wniosku, że niczego to nie rozwiąże.

- Oczywiście - odpowiedziała z najwytworniejszym akcentem, na jata było ją stać. - Sprawdź, czy może podejść.

To śmieszne, żeby odczuwać zazdrość na sam dźwięk głosu w telefonie. Tym śmieszniejsze, że Jackie uważała się za osobę niezdolną do tak niskich uczuć. Mimo to z niekłamaną satysfakcją pokazała słuchawce język i dopiero potem poszła poszukać Nathana.

Nie musiała się zbytnio trudzić, bo schodził właśnie na dół.

- Telefon do ciebie. Dzwoni Justine Chesterfield.

- Ach tak. - Nagle ogarnęło go niezrozumiałe poczucie winy. Przecież to tylko stara znajoma - Dzięki - burknął. - Odbiorę u siebie.

Jackie nie została w holu umyślnie. Naprawdę! Czy to jej wina, że nagle zaczęło ją straszliwie swędzieć zagłębienie pod kolanem? Więc przystanąła i zaczęła się drapać, a Nathan wszedł tymczasem do gabinetu i podniósł słuchawkę.

- Halo, Justine? Tak, kilka dni temu. Kto? Nowa gosposia? Nie, to.. . - Czy da się w ogóle wyjaśnić, kto to jest Jackie? - pomyślał. - Miałem zamiar do ciebie zadzwonić. Tak, w sprawie Freda MacNamary.

W końcu Jackie doszła do wniosku, że jeżeli nie przestanie się drapać, skaleczy się do krwi. Chcąc nie chcąc, wróciła do kuchni i przystanąła przy telefonie. Pomyślała, że mogłaby ostrożnie podnieść słuchawkę, żeby tylko sprawdzić, czy Justine nadal jest na linii. Zdjęła słuchawkę z widełek, a potem nagle się rozmyśliła i odwiesiła ją z hałasem.

Nie jest wcale ciekawa, o czym Nathan rozmawia z tą kobietą. Niech sam jej wyjaśni, dlaczego z kimś mieszka. Na myśl o tym roześmiała się, nastawiła głośniejsze radio i podśpiewując, zaczęła kręcić się po kuchni.

Z zapalem kobiety, która lubi gotować, ubijała suflet. Nie będzie trzaskać garnkami i patelniami. Potrafi przecież zapanować nad sobą, choć na ogół nie leży to w jej spontanicznym charakterze. Było nie było, to tylko głupi telefon. Pewnie ta kobieta dzwoni do Nathana, żeby wydebić od niego czek na cele dobroczynne. A może zamierza przebudować swój apartament? Są przecież dziesiątki niewinnych i uzasadnionych powodów, dla których Justine Chesterfield mogła zatelefonować do Nathana.

Najpewniej dzwoni dlatego, że zagięła na niego parol.

- Jackie!

Odwróciła się z niewinnym uśmiechem.

- Skończyłeś? Pogadaliście sobie z Justine?

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wychodzę, więc nie musisz zaprzętać sobie głowy kolacją.

- Aha. - Jackie położyła ogórek na desce i zaczęła go kroić na plasterki. - Zastanawiałam się, czy Justine już się rozwiodła? Który to już raz? Drugi czy trzeci?

- O ile wiem, jest już po rozwodzie. - Nathan zatrzymał się na moment z ręką na klamce i popatrzył na Jackie. Nóż w jej ręce opadał na deskę ze śmiercionośną precyzją. I nagle go olśniło. Przecież to zazdrość! Ma przed sobą kobietę opętaną zazdrością, chociaż naprawdę nie ma w tym jego winy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nie będzie się przed nią tłumaczył. Jeżeli Jackie myśli, że coś go łączy z Justine, tym lepiej dla wszystkich. - Zobaczmy się później.

- Baw się dobrze - rzuciła za nim, po czym huknęła nożem w deskę.

Nie odwróciła się i nie przestała siekać ogórka, póki nie usłyszała, jak zatrząskują się frontowe drzwi. A wtedy odłożyła nóż i jednym ruchem wylała do zlewu ciasto na suflet. Tego wieczoru zjadła na kolację hot doga.

W odzyskaniu równowagi pomógł jej powrót do pracy i kojący szum elektrycznej maszyny do pisania. A jeszcze bardziej pomogło jej wymyślanie nowej postaci. Justine, powiedzmy sobie Carlotta, to przewrotna i wyrachowana burdelmama z miejscowego domu uciech. Serce ma równie fałszywe, jak kolor włosów. Mężczyznami posługuje się jak żetonami w grze.

Jake, naiwny jak każdy mężczyzna, dał się na to nabrać. Jednak Sarah przenikliwym wzrokiem kobiety dostrzegła prawdziwe oblicze Justine... to znaczy Carlotty.

Ze strachu przed rodzącym się uczuciem do Sarah, Jake zwraca się do Carlotty. Co za drań! Koniec końców Carlotta go zdradzi, a jej zdrada będzie niemal kosztowała życie Sarah, ale jak na razie Sarah musi przyjąć do wiadomości okrutną prawdę - mężczyzna, którego pokochała, poszedł do innej kobiety, żeby dać upust namiętności.

Jackie wolałaby, oczywiście, przedstawić Carlottę jako niechlujnego, wyblakłego babsztyla. Zastanawiała się nawet, czy nie obdarzyć ją kurzajką. Jednak brzydka kobieta nie przysłużyłaby się ani Jake'owi, ani jej powieści. Wobec tego podarła pierwszą stronę i od nowa zabrała się do pracy.

Carlotta była olśniewająca - na swój zimny, wyrachowany sposób. Jackie oglądała fotografie Justine na tyle często, żeby móc ją teraz bez trudu opisać. Wysoka i smukła, oczy miała błękitne jak górskie jeziora i drobne, niemal dziecinne usta. Miała też wysmukłą szyję i pszeniczne włosy, lekko wystające kości policzkowe i nogi baletnicy. W swojej powieści Jackie obdarzyła ją nieco bardziej pospolitymi rysami, poza tym dorzuciła parę wad, w tym również skłonność do mocnych trunków.

Po jakimś czasie przekonała się, że zaczyna coraz lepiej rozumieć charakter Carlotty oraz jej potrzebę wykorzystywania mężczyzn i żerowania na ich najniższych instynktach. Odkryła, że Carlotta przeżyła nieszczęśliwe dzieciństwo oraz koszmarnie pierwsze



małżeństwo. Ze zdumieniem stwierdziła, że zaczyna łagodniejszym okiem spoglądać na Justine, mimo iż Carlotta planowała właśnie intrygę, która miała zamienić życie Sarah w piekło.

Kiedy skończyło jej się natchnienie, było już po północy. Zamiast od razu udać się do łóżka, Jackie nałożyła na twarz maseczkę, zrobiła manicure i zaczęła przeglądać zaległe czasopisma. Oczywiście nie znaczyło to wcale, że czekała na powrót Nathana.

O pierwszej zgasła lampkę przy łóżku, a potem długo leżała ze wzrokiem wbitym w sufit.

Może jednak wszyscy mieli rację? Może jest stuknięta? Kobieta, która zakochuje się w kompletnie nią nie zainteresowanym mężczyźnie, sama się prosi kłopoty. A także naraża na różne przykrości. Obojętna reakcja Nathana na jej wyznania była pierwszą większą przykrością, jaka ją w życiu spotkała, i Jackie musiała przyznać, że to doświadczenie nie należało do miłych przeżyć.

Mimo wszystko kochała Nathana całą swoją prostoduszną, żywiołową naturą. Była to całkiem inna miłość niż wcześniejsze uczucie do wielbiciela Yeatsa czy ponuraka w skórzanej kurtce. Gwałtowny skok adrenaliny, jaki odczuwa biegacz na krótkie dystanse, to zupełnie co innego niż przygotowanie do maratonu. Bo choć w maratonie występuje również element podniecenia, najważniejsza jest determinacja płynąca z przeświadczenia, że chce się nie tylko zacząć, ale i dotrzeć do końca tego najdłuższego z dystansów.

Usiadła na łóżku i pomyślała, że przypomina to jej pisanie. Paralele są tu bardzo wyraźne. Dotąd ilekroć coś ją bardziej zainteresowało, zapalała się, mobilizując całą energię, po czym już wkrótce przychodziło zniechęcenie. Typowy słomiany zapach. Jakby przeczuwała, że to coś - choćby nawet bardzo ekscytujące - potrwa bardzo krótko.

Natomiast w przypadku pisania od początku wiedziała, że to jest właśnie to. Była to jej jedyna, a zarazem ostatnia szansa. Tego właśnie szukała i do tego dążyła przez te wszystkie lata najrozmaitszych eksperymentów.

Podobnie rzecz się miała z miłością do Nathana. Dawne romanse okazały się tylko kolejnymi stopniami, po których wznosiła się ku jednemu mężczyźnie, jaki był jej przeznaczony; człowiekowi, z którym chciała spędzić życie.

Czy zgodziłaby się na to, żeby ktoś uniemożliwił jej napisanie książki? Absolutnie nie! Z determinacją zacisnęła usta, po czym znów opadła na poduszki. To samo dotyczy Nathana. Nie dopuści do tego, żeby stanęła między nimi jakaś kobieta. Justine Chesterfield wkrótce się o tym przekona.

Nathan już od ponad godziny siedział w samochodzie, paląc papierosa za papierosem. Czy to nie dziwne, że bał się wejść do własnego domu? Owszem, dziwne, ale prawdziwe. A wszystko przez Jackie, która rezydowała w jednej z sypialni, zamienionej obecnie na gabinet. Marszcząc brwi, pomyślał, że pokój ten już nigdy nie będzie pokojem gościnnym.

Widział światło w jej oknach, potem lampka zgasła. Pewnie Jackie już śpi. On sam za to chyba nie zmruży oka tej nocy.

Najchętniej ruszyłby teraz na górę, prosto do pokoju Jackie i zatracił się w niej bez względu na cenę, jaką przyszedłoby mu za to zapłacić.

Uczucia, jakie do niej żywił, były kompletnie bezsensowne i żadną miarą nie dały się zanalizować. Wciąż miał w oczach tę scenę, kiedy siedzieli nad basenem, a kropelki wody wysychały na jej skórze. W uszach wciąż dźwięczał mu jej głos: „Jestem w tobie zakochana”.

Czy to możliwe, że przyszło jej to tak łatwo? Wygląda na to, że tak. Teraz, kiedy poznał ją bliżej i zaczynał lepiej rozumieć, mógł zaryzykować twierdzenie, że zakochiwanie się i wyznawanie miłości jest dla Jackie czymś równie naturalnym, jak proces oddychania. Rzecz w tym, że teraz zakochała się nie w jakimś obcym mężczyźnie, ale w nim.

Mógłby to oczywiście wykorzystać. Pewnie nawet nie miałyby do niego pretensji. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia mógłby urzeczywistnić swoje marzenia, czyli wejść do jej pokoju i dokończyć to, co zaczęli wcześniej tego wieczoru.

Jednak nie potrafił zapomnieć wyrazu jej oczu. Malowały się w nich ufność, uczciwość i wrażliwość. Jackie uważała się za osobę twardą, która się tak łatwo nie poddaje. I chyba to prawda. Przynajmniej w pewnym stopniu. Jeżeli naprawdę go kocha, to nawet gdyby ją zranił, biorąc to, co zamierzała ofiarować mu z miłości, na pewno nie chciałaby się mścić.

Jak ma z nią postępować?

Wcześniej tego wieczoru wydawało mu się, że wie, co ma robić. Wizyta u Justine była wykalkulowanym posunięciem. Chciał w ten sposób zdystansować się do Jackie i udowodnić im obojgu, że ich związek byłby bezsensowny.

Jednak gdy znalazł się w eleganckim apartamencie Justine, pośród francuskich antyków, nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o Jackie. Na kolację podano wędzonego łososia, przyrządzonego przez kucharkę, a jemu nagle zamarzył się kurczak na ostro, przygotowany przez Jackie.

Uśmiechał się, kiedy Justine, ubrana w luźne białe spodnie, z włosami upiętymi w elegancki węzeł na karku, nalewała mu brandy, ale przed oczyma miał Jackie w króciutkich kolorowych szortach, ze szklanką mrożonej herbaty w ręku.

Rozmawiali o wspólnych znajomych, wymieniali poglądy na temat Frankfurtu i Paryża. Justine miała niski, kojący głos, a jej obserwacje świadczyły o inteligencji i dowcipie. Słuchając jej, myślał jednak o zawitych meandrach i nagłych zwrotach tak charakterystycznych dla rozmów z Jackie.

Justine znał od dawna i bardzo ją cenił. W jej towarzystwie czuł się swobodnie. Przyjaźnili się od dziesięciu lat, znali swoje rodziny, a choć nie zawsze się ze sobą zgadzali, świetnie się rozumieli. A jednak nigdy nie zostali kochankami. Wprawdzie zawsze się sobie podobali, ale częste podróże Nathana oraz małżeństwa Justine skutecznie utrudniły im nawiązanie romansu.

To mogło się teraz zmienić i oboje świetnie zdawali sobie z tego sprawę. Ona znowu była wolna, a on wrócił na dłużej do kraju. Poza tym, Nathan był prawie pewny, że nigdy nie spotka kobiety, która tak dalece odpowiadałaby mu pod każdym względem jak Justine Chesterfield.

A jednak, kiedy siedział w jej pięknym, złoto - białym salonie, tęsknił już za swoją kuchnią i Jackie szykującą jakieś pyszne danie. I niechby nawet to cholerne radio grało na cały regulator.. .

Co się z nim działo? Chyba naprawdę tracił rozum.

Wieczór zakończył się niewinnym, czysto przyjacielskim pocałunkiem. Nathan nawet nie pomyślał, żeby kochać się z Justine. To dziwne, bo przecież po pół roku niemal katorzniczej pracy jest na tyle wyposzczony, że potrzebuje kobiety. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że gdyby się przespał z Justine, czułby się w stosunku do Jackie jak zdrajca.

Tak, bez wątpienia tracił rozum.

Wysiadając z samochodu, pomyślał, że nie będzie się już więcej tym zadręczał. Pójdzie do domu, weźmie gorącą kąpiel i może uda mu się wtedy zasnąć.

Jackie poderwała się na odgłos kroków na dole. Nathan? Przecież nie słyszała nadjeżdżającego wozu. Od godziny wyczekiwała jego powrotu i była pewna, że usłyszałaby go nawet przez sen. Usiadła w nogach łóżka i wyteżyła słuch.

Nic. Cisza.

Jeżeli to Nathan, to dlaczego nie wszedł na górę? Zaniepokojona podeszła na palcach do drzwi i wyjrzała na korytarz.

Jeżeli to Nathan, to dlaczego chodzi po ciemku?

Pewnie to nie Nathan, tylko jakiś złodziej, który musiał obserwować dom od dłuższego czasu, poznał obyczaje jego mieszkańców i wreszcie doczekał się swojej szansy. Zobaczył, że jest sama w domu i śpi, i postanowił się włamać, żeby okraść Nathana.

Jackie odwróciła się w stronę łóżka. Mogła oczywiście zadzwonić na policję, a potem schować się pod kołdrę i czekać na przyjazd radiowozu. W sumie, to całkiem niezły pomysł. Zrobiła krok w stronę telefonu, po czym się zawahała.

Może to tylko podłogi tak skrzypiały, bo dom osiada? Jeżeli Nathan nie miał jej jeszcze dość, to lepiej nie nadużywać jego cierpliwości. Gdyby po powrocie od „tej kobiety” zastał dom pełen policjantów, pewnie dostaliby szalu i kazał jej spakować manatki.

Po krótkim namyśle postanowiła zejść na dół, żeby sprawdzić, czy są powody do paniki.

Powoli zeszła po schodach, przywierając plecami do ściany. Dom był pogrążony w ciemności i ciszy. A przecież gdyby złodziej chciał ukraść rodzinne srebra, musiałby narobić hałasu.

Na półpiętrze powiedziała sobie, że pewnie to tylko jej bujna wyobraźnia. Przez chwilę nasłuchiwała, ale wokół nadal panowała cisza. Postanowiła rozejrzeć się po domu. Wiedziała, że nie zmruży oka, póki nie zaspokoi ciekawości.

Zaczęła sprawdzać kolejne pokoje, zapalając w nich światło. Pogwizdywała przy tym cicho, gdyż doszła do wniosku, że gdyby ktoś się chował w domu, lepiej, by słyszał, że nadchodzi. Jednak wszystkie pomieszczenia, do których zajrzała, były puste.

Przeszła przez salon, minęła gabinet Nathana i garderobę, po czym znalazła się w jadalni i wtedy przyszło jej do głowy, że to niejeden włamywacz, tylko cała banda. Pewnie to ci zabójcy, którzy ostatnio uciekli z więzienia o zastrzonym rygorze w Kentucky. Jej matka chyba się nie myliła się, kiedy zarzucała Jackie, iż ma chorą wyobraźnię.

Kiedy dotarła do kuchni, cały dom tonął w światłach. Sięgnęła do kontaktu i wtedy usłyszała szuranie.

Zadrżała, ale nie straciła przytomności umysłu. Oni musieli być na werandzie - cała szóstka. Ten, który ma bliznę od skroni aż po szczękę, został skazany za bestialskie morderstwa bezbronnych staruszek. Cofnęła się z zamiarem podejścia do telefonu, a wtedy kroki rozległy się całkiem blisko.

Za późno! Chwyciła pierwszą rzecz, jaką miała pod ręką, czyli patelnię, i trzymając ją nad głową, szykowała się na odparcie ataku.

Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zdumione. Czy Nathan, stojący w samych tylko slipach w progu kuchni, czy Jackie zastygła w dziwacznej pozie. Nathan

odskoczył jak oparzony, a ona upuściła z krzykiem patelnię, po czym roześmiała się histerycznie.

- Co to za pomysły? Co ty tu robisz? - Nathan był tak zażenowany, że miał ochotę owinać się ścierką do naczyń.

Jackie zająknęła się i podniosła rękę do ust.

- Wzięłam cię za szóstkę bandziorów o morderczych skłonnościach. Jeden z nich miał bliznę na twarzy, a ten najmniejszy przypominał łasicę.

- I dlatego zeszałaś na dół i postanowiłaś załatwić nas wszystkich patelnią, tak?

- Niezupełnie. - Chichocząc, oparła się o blat. - Przepraszam, to wszystko z nerwów.

- Wiem.

- Zdawało mi się, że w domu jest złodziej, a kiedy byłam już prawie pewna, że go nie ma.. . - Urwała, po czym nagle dostała czkawki. - Przyszło mi do głowy, że to ta banda uciekinierów z Kentucky, pod przewodnictwem niejakiego Bubby. Muszę się czegoś napić. - Sięgnęła po szklankę i naląła sobie wody, podczas gdy Nathan rozpaczliwie usiłował nadażyć za tokiem jej myśli.

- Wydaje mi się, że wreszcie odnalazłaś swoje powołanie - stwierdził, kiwając głową.

- Z taką wyobraźnią zarobisz miliony.

- Dzięki. - Podniosła szklankę do ust i zaczęła popijać wodę drobnymi łydkami, stukając palcami w szkło.

- Co ty wyprawiasz?

- Próbuję powstrzymać czkawkę. - Odstawiła pustą szklankę i odczekała chwilę. - Widzisz? To skutkuje. A teraz kolej na ciebie. Czemu się szwendasz po domu w samych tylko majtkach?

- W końcu to mój dom.

- Racja. Poza tym, masz ładne slipy. Przepraszam, że cię przestraszyłam.

- Wcale mnie nie przestraszyłaś. - Zirytowany schylił się i podniósł patelnię. - Chciałem wziąć kąpiel, ale przedtem miałem zamiar przyrządzić sobie drinka.

- Ach, to wszystko wyjaśnia. - Jackie zacisnęła usta, żeby powstrzymać kolejny atak śmiechu. - Dobrze się bawiłeś?

- Co? Owszem - mruknął nieprzytomnie, bo właśnie dotarło do niego, że Jackie ma na sobie tylko męski podkoszulek z wyblakłym wizerunkiem Mozarta. Szybko przeniósł wzrok na jej twarz, ale niewiele to pomogło. - Nie chcę cię zatrzymywać. Możesz już wracać do łóżka.

- Nic się nie stało. Zrobię ci drinka.

- Sam sobie zrobię. - Chwycił ją za rękę, nim zdążyła otworzyć szafkę.

- Nie złość się. Przecież cię przeprosiłam.

- Wcale się nie złościę. Wracaj do łóżka, Jackie.

- Pójdiesz ze mną?

- Za daleko się posuwasz - odparł, mrużąc oczy.

- To była tylko sugestia. - Na myśl o tym, jak Nathan musi się teraz męczyć, zalała ją fala czułości. Nieszczęsny człowiek honoru, któremu się wydaje, że jego intencje są niehonorowe. - Nathan, czy tak trudno ci zrozumieć, że cię kocham i chcę iść z tobą do łóżka?

Pomyślał, że nie wolno mu dopuścić do tego, żeby jej argumenty zabrzmiały sensownie.

- Trudno mi zrozumieć, jak można uważać, że się kocha kogoś, kogo zna się tylko kilka dni. To nie takie proste, Jackie.

- Czasami bardzo proste. A Romeo i Julia? Nie, kiedy pomyślę o zakończeniu, to jednak zły przykład. - Wpatrzona w jego usta, przypomniała sobie ich ostatni pocałunek. Obwiodła je palcami. - Przepraszam, ale żaden lepszy przykład nie przychodzi mi do głowy, bo myślę teraz o tobie.

Nathan poczuł bolesny skurecz żołądka.

- Jeżeli zamierzałaś wszystko skomplikować, to ci się udało.

Jackie przysunęła się bliżej i uniosła głowę.

- Pocałuj mnie, Nathan. Nawet moja wyobraźnia nie potrafi oddać wszystkich rozkoszy twojego pocałunku.

Zaklął, ale już dotykał ustami jej ust. Z każdą sekundą ich pocałunek stawał się coraz słodszy i bardziej namiętny. Poczuł, że zaczyna przegrywać. Jeśli teraz ulegnie pokusie, może zabraknąć mu sił, żeby się wycofać. Poza tym, czy można przewidzieć, w co się w ten sposób wpakuje?

Jackie jest jak narkotyk. Zwłaszcza dla rozsądnego, racjonalnego mężczyzny, który zawsze twardo stał obiema nogami na ziemi.

Pod koszulką była naga. Miękka i ciepła, i już gotowa na jego przyjęcie. Czuł to, bo jego dłonie błądziły po jej ciele, mimo ostrzegawczego dzwonka, którym posłużył się jego zdrowy rozsądek.

**UWAGA! WCHODZISZ NA WŁASNE RYZYKO!**

Tak, cokolwiek zrobi, zrobi to na własne ryzyko. Dotąd, zanim zdecydował się na pierwszy krok, zawsze staranie rozważał wszystkie za i przeciw, wszelkie plusy i minusy. Teraz jednak ciało Jackie topniało w jego rękach jak wosk, by dać mu rozkosz i zaspokoić

jego pragnienia. Więc po co te wszystkie jałowe rozważania? Wiedział już, że nie da się naukowo przeanalizować tego, co się między nimi działo.

Następny krok wydawał mu się tak dziecinnie prosty. Jackie szeptała jego imię, wodząc rękami po jego plecach i biodrach. Czuł wszystkie krągłości jej ciała, bo i jego ręce gorączkowo błądziły pod rozciągniętym podkoszulkiem z wizerunkiem Mozarta. Jak to możliwe, że jej ciało wydawało mu się tak zaskakujące, a zarazem tak dobrze znajome?

Chciał porwać ją na ręce i zanieść do łóżka, chciał się w niej zatracić - byłoby to takie łatwe. Tuliła się do niego w oczekiwaniu, chętna i gotowa na wszystko. A jednak świadomość, że pragnie jej jak niczego i nikogo na świecie, zaczęła go przytłaczać.

Nagle, gdzieś w najdalszych zakątkach podświadomości, usłyszał huk zatraskiwanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. W ostatnim geście samoobrony odepchnął Jackie.

- Poczekaj!

Otworzyła z westchnieniem oczy.

- Hm? - mruknęła w rozmarzeniu.

Jeżeli nie przestanie patrzeć na niego takim wzrokiem, całkiem się rozklei. Albo zedrze z niej tę symboliczną nocną koszulę.

- Posłuchaj, sam nie wiem, jak do tego doszło, ale trzeba temu położyć kres. Nie jestem hipokrytą, więc nie będę ci wmawiał, że cię nie pragnę. Ale nie jestem wariatem, dlatego nie zamierzam pakować się w coś, co nas oboje unieszczęśliwi.

- Naprawdę uważasz, że gdybyśmy poszli do łóżka, mogłoby nas to unieszczęśliwić?

- Naprawdę tak uważam.

- Ale dlaczego? - nie ustępowała Jackie.

- Bo na tym by się skończyło - odparł i odsunął jej napierające ciało. Kiedy chwycił ją za ramiona, poczuł, że drży. A może to on drżał? - W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca, Jackie. W ogóle dla nikogo. I mnie jest z tym dobrze. Mówię ci to szczerze, chociaż nie wiem, czy jesteś w stanie to zrozumieć.

- Nie, nie potrafię tego zrozumieć. - Wychyliła się i musnęła ustami jego podbródek. - Gdybym w to uwierzyła, powiedziałabym ci, że to bardzo smutne.

- Uwierz w to - rzekł z naciskiem, choć nie był już wcale pewny, czy sam w to wierzy.

- Dla mnie najważniejsza jest praca. Jej poświęcam cały czas, całą uwagę i energię. I to mi odpowiada. Oczywiście krótki romans z tobą mógłby być całkiem przyjemny, ale.. . przecież to nie wszystko, o co ci chodzi, prawda? Z jakichś powodów czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Nie muszę od razu dostać wszystkiego.

- Ale chciałybyś, prawda? Przemyśl to sobie. - Uznał, że musi zachować spokój; musi sprawić, żeby go wsłuchała do końca. - Za sześć tygodni wyjeżdżam do Denver, a stamtąd do Sydney. A potem nie wiem nawet, gdzie będę i jak długo. Podróżuję na tyle często, że niepotrzebna mi ani kochanka, ani świadomość, że gdzieś ktoś na mnie czeka.

Jackie cofnęła się, potrząsając głową.

- Zastanawiam się, co wpłynęło na ciebie, że nie chcesz się sobą dzielić i tak uparcie trzymasz się raz wytyczonej ścieżki. Wąskiej zresztą i prostej jak drut. Jakie to beznadziejnie nudne! - Przyjrzała mu się uważnie, bez gniewu, za to ze współczuciem, którego wcale nie pragnął.

- Nathan, to więcej niż smutne.. . To grzech odtrącać kogoś, kto cię kocha, tylko dlatego, żeby sobie nie zakłócić rutyny.

Otworzył usta. Słowa potoczyły się jak lawina. Powody, wyjaśnienia, gniew, do którego, jak sądził, nie był już zdolny. W jednej chwili lata samokontroli wzięły w łeb.

- Może tak jest, ale to moje życie i ja o nim decyduję.

- Znów ją uraził, tym razem wyjątkowo boleśnie. Zadrzała, a on poczuł, że ból rykoszetem uderzył i w niego. - Zapewniam cię, że gdyby na twoim miejscu była jakaś inna kobieta, łatwiej byłoby mi ją odtrącić. Nie chcę czuć tego, co do ciebie czuję. Rozumiesz?

- Tak, chociaż wolałabym nie rozumieć. - Odwróciła wzrok, a kiedy znów popatrzyła mu w oczy, w miejsce bólu pojawiła się w nich determinacja. - Ty za to nie potrafisz zrozumieć, że ja się nigdy nie poddaję. Może to wina mojej irlandzkiej krwi. To uparta rasa. Chcę cię mieć, Nathan, i bez względu na to dokąd uciekniesz, i tak cię dopadnę. A wtedy wszystkie twoje pedantyczne plany rozsypią się jak domek z kart. - Objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta. - Jeszcze będziesz mi za to dziękował, bo nikt cię nigdy nie pokocha tak jak ja.

Znowu go pocałowała, tym razem delikatnie i czule, a potem odwróciła się do drzwi.

- Jeżeli nadal chce ci się pić, to w lodówce jest świeża lemoniada. Dobranoc.

Patrząc na jej oddalającą się sylwetkę, pomyślał z rozpaczą, że już słyszy szum rozsypujących się kart.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powinna go znienawidzić z całej duszy. Tym destrukcyjnym uczuciem Sarah chciała zablokować wszelkie inne uczucia. Nienawiść pozwoliłaby jej odzyskać panowanie nad sobą - coś, czego rozpaczliwie potrzebowała. Niestety, nie mogła go znienawidzić. Nie potrafiła - mimo świadomości, że Jake spędził noc z inną kobietą, że całował i pieścił jej ciało.

Mogła tylko oplakiwać śmierć miłości, której nie dane było w pełni rozkwitnąć.

Śmierć tym brutalniejszą, że zdarzyła się w momencie, kiedy wreszcie zaczęła sobie wyobrażać, jak mogłoby wyglądać ich życie. Pogodziła się już z myślą, że należeli do siebie mimo oczywistych różnic i ryzyka. Jake zawsze będzie wymierzał sprawiedliwość swoją strzelbą, ale w stosunku do niej będzie łagodny i czuły. Jak dotąd.

Wiedziała, że w jego sercu zajmuje poczesne miejsce. Pod maską szorstkich manier i surowej powierzchowności krył się wrażliwy człowiek, który wierzył w prawo. Odsłonił przed nią tę część swojej natury, a tylko niewielu dane było ją oglądać.

Dlaczego, kiedy zaczynała się ku niemu skłaniać, gotowa zaakceptować go takim, jaki jest, Jake zwrócił się do innej kobiety - i to kobiety lekkich obyczajów?

- Kobieta lekkich obyczajów - powtórzyła Jackie półgłosem. Jeżeli nie potrafi wymyślić nic lepszego, pora odłożyć pióro.

Dzień ten nie należał do najlepszych. Nathan wstał wcześniej i wyjechał, zanim zdążyła przygotować śniadanie. Zostawił jej wiadomość, napisaną pedantycznie równym pismem, że do wieczora będzie poza domem.

Żując batonik i popijając piwo, zaczęła się zastanawiać nad obecną sytuacją. A sytuacja przedstawiała się wybitnie nieciekawie.

Jest zakochana w mężczyźnie, który postanowił trzymać ją - a także swoje uczucia - na dystans. Na przeszkodzie ich miłości stanęła nie jakaś inna kobieta, zatajona śmiertelna choroba czy kryminalna przeszłość, tylko jego najzwyczajniejsze wygodnictwo.

Poza tym, Nathan okazał się zbyt honorowy, żeby wykorzystać sytuację, i zbyt uparty, by przyznać, że są dla siebie stworzeni.

Nie ma dla niej miejsca w jego życiu, pomyślała, wstając od maszyny. Czy on sobie naprawdę wyobraża, że zniechęci ją tym śmiesznym stwierdzeniem? Oczywiście, że nie. Bardziej niepokoi ją za to co innego - to, że w ogóle wygłaszał takie zdania.

Czemu z takim uporem odtrącał miłość, którą dobrowolnie mu ofiarowała? Czemu uparcie tłumił głos własnego serca? Jej rodzina także często bywała irytująca, jednak nikt

nigdy nie wstydził się okazywania uczuć. Dorastała w domu, w którym hojnie obdarzano się miłością. Człowiek, który nie umie kochać, jest martwy. Więc czemu Nathan udawał kogoś, kim nie jest? Bo przecież był człowiekiem wrażliwym, i to bardzo, ale ilekroć do głosu dochodziły uczucia, cofał się i zaczynał wznosić wokół siebie ten idiotyczny mur.

Nie miała żadnych wątpliwości, że ją kochał. Mimo to sprawiał wrażenie, jakby zamierzał z nią walczyć do upadłego. To nic nie da, bo ona nigdy się nie podda, chociaż wie, że ta walka będzie wyjątkowo trudna. Nathan każdym swoim krokiem wstecz, każdym zaprzeczeniem, ranił Jackie i sprawiał jej ból.

Była z nim szczerą, a jednak nic z tego nie wynikło. Spróbowała prowokacji, również bez skutku. Drażniła go, a później okazywała dobrą wolę - i nadal nic. Sama już nie wiedziała, co mogłaby jeszcze zrobić.

Zrezygnowana pomyślała, że chyba powinna się zdrzemnąć. Było już późne popołudnie, a ona pracowała bez przerwy od samego rana. Nie miała ochoty na kąpiel w basenie, ale może gdyby się przespała, udałoby jej się później znaleźć jakieś wyjście. Postanowiła zaufać losowi - w końcu to on ich ze sobą zetknął. Wyciągnęła się na łóżku, zamknęła oczy i już zaczynała zapadać w drzemkę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Pewnie znowu jakiś sprzedawca encyklopedii, pomyślała na wpół przytomnie, przewracając się na drugi bok. A może to trzej faceci w białych garniturach, propagujący turystykę pod namiotem? To mogłoby nawet być dość interesujące. Ziewnęła i wtuliła głowę w poduszkę. Już prawie zasypiała, kiedy poraziła ją potworna myśl: Telegram z domu! Ktoś miał straszny wypadek!

Zerwała się na równe nogi i zbiegła na dół.

- Już otwieram! - zawołała. Odgarnęła włosy i pchnęła drzwi.

Nie był to ani listonosz, ani wędrowny sprzedawca. Za progiem stała Justine Chesterfield! Co za dzień, pomyślała Jackie. Oparła się o futrynę i obdarzyła gościa lodowatym uśmiechem.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. Czy jest Nathan?

- Niestety, nie ma go w domu. - Położyła rękę na klamce. Kusiło ją, żeby zamknąć drzwi, pomyślała jednak, że byłoby to bardzo niegrzecznie. Jak widać, nauki jej matki nie poszły w las. Zaczerpnęła tchu i ze spokojem powiedziała: - Nie mówił, dokąd się wybiera i kiedy wróci, ale może zechce pani poczekać.

- Dzięki.

Obie kobiety obrzuciły się badawczym spojrzeniem, po czym Justine przekroczyła próg.

Wygląda, jakby właśnie zeszła z pokładu luksusowego jachtu, nie bez złośliwości pomyślała Jackie. Wysoka i szczupła, świetnie prezentowała się w białych spodniach i wyciętym w łódkę purpurowym podkoszulku. Na szyi miała dyskretny złoty naszyjnik, a w uszach takie same kolczyki. Włosy, ujęte na skroniach spinkami z masy perłowej, złotą falą opadały na jej ramiona.

Była absolutnie bez zarzutu. Idealnie piękna, idealnie elegancka, idealnie opanowana.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.. - zaczęła.

- Ani trochę - odparła Jackie, prowadząc ją do salonu. W głębi duszy czuła narastającą nienawiść. - Proszę się rozgościć.

- Dzięki. - Justine weszła do pokoju i położyła na stoliku kopertową torebkę z wężowej skórki, idealnie dopasowaną do letnich sandałków. - Pani musi być kuzynką Freda. Jacqueline, prawda?

- Prawda.

- Jestem Justine Chesterfield. Stara znajoma Nathana.

- Poznaję pani głos. - Wyćwiczone maniery nakazały Jackie podać gościowi rękę. Kiedy ich palce się zetknęły, usta Justine drgnęły w uśmiechu. Na całe nieszczęście dla Jackie uśmiech był ujmujący i przyjazny.

- Ja też panią poznaję. Nathan twierdzi, że Fred jest równie pokrętny, jak uroczy.

- Nawet bardziej, niech mi pani wierzy. - Takie kobiety podobały się Nathanowi. Dyskretna elegancja, szyk, nieskazitelne maniery, klasyczna uroda. Tłumiąc westchnienie, Jackie postanowiła odgrywać uprzejmą panią domu. - Czym mogę panią poczęstować? Może coś zimnego do picia? A może woli pani kawę?

- Coś zimnego, o ile nie robi to pani różnicy.

- Ależ skąd. Proszę siadać. Zaraz wracam. Przygotowując w kuchni świeżą lemoniadę i układając herbatniki na szklanym talerzu, Jackie nie przestawała wściekle mamrotać. To prawda, że zajęta pisaniem nie zaprzętała sobie głowy swoim wyglądem. Tym bardziej że Nathana miało przez cały dzień nie być w domu. Ale dlaczego akurat dzisiaj musiała włożyć najbardziej wystrzępione szorty i ohydny sportowy podkoszulek w zielono - żółte pasy? Jediną jej ozdobą były pierścionki na palcach. Na domiar wszystkiego była boso, a krwisty lakier, jakim przed paroma dniami pomalowała paznokcie u nóg, zaczynał się właśnie łuszczyć.

Gwizdnę na wszystko, pomyślała, przeczesując palcami włosy, niech się udławi ta wymuskana damulka!

Była pewna, że Sarah okaże się równie uprzejma dla Carlotty, jednak w głębi duszy czuła, że Sarah miała znacznie lepszy charakter niż Jacqueline MacNamara. Żeby nie dawać Nathanowi powodów do narzekań, wzięła tacę i wróciła do swojego gościa - a raczej do jego gościa.

Słońce i mocne kolory wnętrza stanowiły idealne tło dla urody Justine. Jackie, chcąc nie chcąc, musiała to przyznać.

- Bardzo pani dziękuję - zaczęła Justine. - Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać. Jest pani bardzo zajęta? Nathan mówił mi, że pracuje pani nad książką.

- Tak mówił? - Wiedziona raczej ciekawością niż chęcią pogawędki, Jackie usiadła. Nie sądziła, by Nathan w ogóle zauważył, że cokolwiek pisze. A już na pewno nie przysłoby jej do głowy, iż będzie o tym opowiadał. Tymczasem Justine, podobnie jak pani Grange, potraktowała tę wiadomość z powagą.

- Mówił, że pisze pani powieść i że jest pani bardzo zdyscyplinowana i oddana swojej pracy. Nathan jest wielkim zwolennikiem dyscypliny.

- Zdażyłam to zauważyć. - Jackie nagle odkryła, że sama ma ochotę napić się lemoniady, mimo iż Justine dostarczyła jej wygodnego pretekstu, by wymawiając się pracą, zniknąć na górze. - Tak się akurat złożyło, że kiedy pani zadzwoniła, postanowiłam sobie zrobić małą przerwę.

- Wobec tego dobrze trafiłam. - Justine sięgnęła po herbatnika. Pachniała dyskretnymi, drogimi perfumami. Jej długie, starannie opiłowane paznokcie, polakierowane były na blad różowy odcień. Miała tylko jeden pierścionek - przepiękny opal, otoczony brylantami. - Myślę, że powinnam zacząć od przeprosin.

- Od przeprosin? - zdumiała się Jackie. - Za co?

- Za to nieporozumienie pomiędzy panią a Nathanem. - Mówiąc to, Justine nie bez zazdrości zauważyła, że Jackie ma bardzo piękną cerę, mimo iż nie używa żadnych kosmetyków. - To ja namówiłam Nathana, żeby na czas pobytu w Europie wynajął ten dom Fredowi. Wydawało nam się to idealnym rozwiązaniem, bo Nathan nie chciał, żeby dom stał tak długo pusty, a Fred akurat nie miał nic innego do roboty.

- Fred nigdy nie ma nic do roboty - zauważyła Jackie i nagle spojrzała z sympatią na Justine. Wprawdzie urok Freda nie zadziałał na panią Grange, ale ona była tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę, że Fred potrafi oczarować wszystkie kobiety. - Poza tym, mój kuzyn

jest w stanie przekonać każdego, że wszystko, czego się dotknie, zamienia się w złoto. Pod warunkiem, że pani najpierw za to zapłaci.

- Na to wygląda. - Justine ze współczuciem pokiwała głową. - W pewnym sensie czuję się.. . winna.. . że Fred wyłudził od pani pieniądze.

- Zupełnie niepotrzebnie. - Jackie wsunęła do ust herbatnik. - Znam Freda od urodzenia i powinnam go przejrzeć. Tak czy inaczej - dodała z wystudiowanym uśmiechem - doszliśmy z Nathanem do porozumienia.

- Tak też mi powiedział. - Justine upiła łyk lemoniady i spojrzała na Jackie ponad brzegiem szklanki. - Podobno jest pani pierwszorzędną kucharką.

- Owszem. - Jackie nie zamierzała zaprzeczać, zaczęła się jednak zastanawiać, co jeszcze Nathan powiedział Justine na jej temat. Jeżeli miały ze sobą walczyć, po co to dłużej odwlekać?

- Ja nigdy nie potrafiłam przyrządzić potrawy, która byłaby jadalna. Naprawdę studiowała pani w Paryżu?

- Za którym razem? - Jackie uśmiechnęła się mimo woli. - Nie chciała polubić Justine, musiała jednak przyznać, że ta elegancka i opanowana kobieta miała w oczach jakąś dobroć. A Jackie była szczególnie na to wyczulona.

Justine odpowiedziała uśmiechem. Napięcie opadło.

- Panno MacNamara, Jackie.. . Mówmy sobie po imieniu. Mogę być szczerą?

- To zazwyczaj przyspiesza sprawy, prawda?

- Nie tak sobie ciebie wyobrażałam. Jackie rozsiadła się wygodniej w fotelu.

- A jak?

- Sądziłam, że kiedy już Nathan straci głowę dla jakiejś kobiety, będzie to osoba bardzo wytworna i elegancka. I prawdopodobnie dosyć nudna.

Jackie gwałtownie zakrztusiła się lemoniadą.

- Wróć! Co powiedziałaś? Że Nathan stracił głowę?

- Wpadł po uszy. Nie wiedziałaś o tym?

- Widocznie dobrze się maskuje.

- Dla mnie było to zupełnie oczywiste. Wiem, co mówię, bo siedział przecież u mnie wczoraj do późnej nocy.

Jackie mimowolnie zmieniła się na twarzy; oczy jej zapłonęły.

- Nie, nie, bądź spokojna, zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi. - Justine dyskretnie wzruszyła ramionami. - Na twoim miejscu cieszyłabym się, że dał mi to tak jasno do zrozumienia.

Jackie pomilczała jeszcze przez chwilę, póki się nie uspokoiła. Nieczęsto czuła się jak idiotka, ale kiedy już tak się działo, nie zamierzała się tego wypierać.

- Cieszę się, oczywiście, że dał ci to do zrozumienia i że łączy was jedynie przyjaźń. Doceniam też, że mi o tym wszystkim mówisz. Mogę ci zadać jedno pytanie? Dlaczego byliście tylko przyjaciółmi?

- Nieraz się nad tym zastanawiałam. - Justine sięgnęła po kolejny herbatnik. - Chyba nie było okazji na coś więcej. Ja nie mam natury niezależnej. - Znowu wzruszyła ramionami. - Lubię być zameżna i miałam już kilku mężów. Kiedy poznałam Nathana, byłam mężatką. A gdy się potem rozwiodłam, dzieliły nas tysiące kilometrów. I to się powtarzało przez całe dziesięć lat. Podsumowując, ja byłam zajęta kimś innym, a Nathana pochłaniała praca. Z pewnych powodów taka sytuacja mu odpowiada.

Jackie miała ochotę zapytać, co to za powody. Podejrzewała, że Justine zna odpowiedź. Nie chciała się jednak posuwać zbyt daleko. Jeżeli jej plany w stosunku do Nathana się powiodą, on sam będzie musiał udzielić jej wyjaśnień.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Chyba powinnam ci zdradzić, że ja też nie tak sobie siebie wyobrażałam.

- A czego się spodziewałaś?

- Wyrachowanej uwodzicielki o zimnym sercu, która zagięła parol na mojego mężczyznę. Przez całą ostatnią noc nienawidziłam cię i wyobrażałam sobie najokropniejsze rzeczy na twój temat.

Słyszac to, Justine uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Czyli nie myliłam się w swoich przypuszczeniach, że zależy ci na Nathanie?

- Ja go kocham!

Justine znowu się uśmiechnęła. Jednak na jej twarz padł cień smutku, bardziej wymowny niż słowa.

- Nathan bardzo potrzebuje kobiety. Wprawdzie sam się przed sobą do tego nie przyznaje, ale to prawda.

- Wiem. I tą kobietą będę ja.

- W takim razie życzę ci szczęścia. Powiem ci też, że przyjeżdżając tu, nie miałam takich zamiarów.

- A dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Zaprosiłaś mnie do środka i zaproponowałaś mi coś do picia, chociaż najchętniej posłałabyś mnie w diabły.

Jackie roześmiała się.

- Myślałam, że nie było tego po mnie widać.

- Owszem, było widać. Posłuchaj, Jackie, chociaż moje doświadczenia z mężczyznami nie są wcale takie znów imponujące - a prawdę mówiąc, są raczej przykre - pozwolę sobie udzielić ci pewnej rady.

- Będę ci wielce zobowiązana.

- Są mężczyźni, których trzeba popychać mocniej niż innych. W przypadku Nathana, musisz użyć obu rąk.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Jackie przechyliła głowę i uważnie przyjrzała się Justine. - Wiesz co - odezwała się po namyśle - mam kuzyna. Z drugiej linii, ze strony ojca. Ale nie mówię o Fredzie - dodała szybko. - Jest profesorem Uniwersytetu w Michigan. Lubisz intelektualistów?

Justine odstawiała ze śmiechem szklanę.

- Zwróć się z tym do mnie za pół roku. Teraz jestem na urlopie.

Nathan, który zjawił się w domu po kilku godzinach, nie miał pojęcia o wizycie Justine ani o wnioskach, jakie wyciągnięto pod jego nieobecność. Może to i lepiej.

Już sama świadomość, że jest zadowolony z powrotu do domu, mocno go zaniepokoiła. Była to przy tym zupełnie inna radość niż ta, którą odczuwał po przyjeździe z Niemiec. Wtedy cieszyła go wizja samotności oraz powrót do znajomych miejsc i codziennej rutyny, którą wypracował sobie przed wielu laty. Nie uważał jej zresztą za krepującą - wręcz przeciwnie, dawała mu poczucie bezpieczeństwa i komfortu.

Natomiast teraz jakaś cząstka jego natury, której wciąż nie chciał zaakceptować, kazała mu się cieszyć na myśl o spotkaniu z Jackie. Miło było pomyśleć, że Jackie czeka na niego, że będzie mógł z nią porozmawiać, odpocząć przy niej, a nawet się z nią pokłócić. Tym razem wieczór w domu oferował mu coś trudnego do przewidzenia, a także towarzystwo drugiej osoby - a to była dla niego nowość. Sam nie potrafił powiedzieć, w którym momencie przestało mu przeszkadzać, że Jackie zakłóciła jego samotność.

Gdy otworzył drzwi, usłyszał muzykę. Nie był to jednak rock, jakiego Jackie zazwyczaj słuchała w kuchni, ale sentymentalny walc Straussa. Zmiana radiostacji jeszcze o niczym nie świadczy, pomyślał, ale poczuł lekki niepokój. Przemknął się cichaczem do swojego gabinetu, żeby zostawić teczkę i tuby z odbitkami projektu dla inwestorów z Denver, po czym rozluźnił krawat i skierował się do kuchni. Jak zwykle rozchodziły się smakowite zapachy.

Tego wieczoru Jackie zamiast szortów włożyła dres z miękkiego materiału w kolorze miodu. Strój ten nie uwypuklał jej kształtów, raczej je sugerował, co było znacznie bardziej

podniecające. Miała bose stopy, a w jedno ucho wpięła długi, drewniany kolczyk. Stała przy stole i kroїła świeży chleb. Nathan poczuł nagle przemożną chęć ucieczki. Zły sam na siebie, przekroczył próg.

- Cześć, Jackie!

Wiedziała, że przed sekundą wszedł do kuchni, mimo to udała miłe zaskoczenie.

- O, cześć! - W eleganckim garniturze, z rozluźnionym krawatem, prezentował się tak atrakcyjnie, że aż zrobiło się jej ciepło na sercu. Podeszła i cmoknęła go w policzek. - Jak ci minął dzień?

Nadal nie potrafił jej rozgryźć, ale to już nic nowego. Czuł za to, że ten zdawkowy pocałunek na powitanie to było dokładnie to, czego potrzebował. I właśnie to go zaniepokoiło.

- Miałem masę roboty - odparł.

- Musisz mi o tym opowiedzieć, ale najpierw napij się wina. - Jackie już napełniała dwa kieliszki. - Mam nadzieję, że jesteś głodny. Kolacja będzie gotowa za kilka minut.

Nathan wziął z jej rąk kieliszek. Nie zapytał, jak ona to robi, że zawsze wszystko jest idealnie zgrane w czasie. A może chce przywiązać go do domu?

- Dużo dziś napisałaś?

- Dostyc duzo. - Jackie zaczęła układać w koszyku pokrojone pieczywo. - Po południu ucięłam sobie drzemkę, a potem znowu pisałam. - Uniosła z uśmiechem kieliszek, a on znowu odniósł wrażenie, że jest coś, o czym powinien wiedzieć, ale wolał o to nie pytać. - W przyszłym tygodniu postanowiłam skupić się na pierwszych stu stronach. Chciałabym je skończyć i wysłać do znajomego agenta w Nowym Jorku.

- To dobry pomysł - wykrztusił z trudem, bo nagle ogarnęła go panika. Dlaczego, na Boga?! Przecież chciał, żeby nadal pisała. A im więcej uda jej się napisać, tym mniejsze będzie odczuwał wyrzuty sumienia, kiedy nadejdzie pora, by jej powiedzieć, że czas minął. Mimo to na myśl o tym, że któregoś dnia Jackie uzna, iż napisała już dostyc, i zechce się wyprowadzić, odczuwał paniczny lęk.

- Chyba ci idzie całkiem nieźle?

- Lepiej, niż zakładałam, a jestem z natury optymistką.

- Kiedy zaterkotał zegar, wyłączyła piekarnik. - Pomyślałam, że moglibyśmy zjeść w patiu. Na dworze jest tak przyjemnie.

Kolejny ostrzegawczy sygnał, jednak jakby trochę przytłumiony i mniej natarczywy. Nathan zmarszczył brwi.

- Znosi się na deszcz - mruknął.



- Będzie padać nie wcześniej niż za kilka godzin. - Jackie nałożyła watowane rękawice i wyjęła brytfannę z piekarnika. - Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. To tyrolska zapiekanka z szynką.

Naczynie, pełne przypieczonych kluseczek i kawałków szynki w bulgoczącym sosie, prezentowało się zachęcająco i zgoła niegroźnie.

- Wygląda wspaniale - powiedział.

- To bardzo prosty, austriacki przepis - wyjaśniła Jackie.

Więc stąd te wiedeńskie walce, pomyślał Nathan.

- Weź koszyk z pieczywem, dobrze? Nakryłam już na dworze.

Znowu świetnie to sobie obliczyła. Słońce zaczęło się chować za horyzontem. Chmury, które miały nocą przynieść deszcz, były podświetlone różowo - pomarańczowym blaskiem. Powietrze było chłodne, a delikatny wietrzyk znad oceanu niósł ze sobą słony, ożywczy zapach.

Okrągły stół w patiu został nakryty na dwie osoby. Na kolorowych serwetkach, które Jackie musiała przywieźć ze sobą, ustawiono codzienne białe talerze. Były też kwiaty - bukiet margerytek w kolorowej butelce, która również nie należała do niego, z czego wniosek, że Jackie musiała ostatnio buszować po okolicznych sklepikach.

Nathan zajął miejsce przy stole. Kiedy Jackie zaczęła nakładać zapiekankę, powiedział:

- Jeszcze ci nie podziękowałem za te wszystkie posiłki.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Taka była umowa.

- Wiem, ale widzę, że zadajesz sobie więcej trudu, niż to jest konieczne. Doceniam to.

- To miło z twojej strony. Lubię gotować pod warunkiem, że mam dla kogo. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż gotowanie na jedną osobę.

Wcałe tak nie uważał. Ale to było kiedyś.

- Jackie.. . - zaczął, a ona popatrzyła mu w oczy. Nagle stracił wątek. Westchnął i sięgnął po kieliszek. - Ja.. . to znaczy.. . to wszystko nie tak. Skoro oboje jesteśmy w pewnym sensie ofiarami, chciałbym zawrzeć pokój.

- Myślałam, że już to zrobiliśmy.

- Ale oficjalny.

- Dobrze. - Stuknęła kieliszkiem w jego kieliszek. - Żyj długo i szczęśliwie.

- Co?

- Nic, nic. Po prostu życzę ci wszystkiego najlepszego, Nathan.

- Dzięki. - Bezwiednym ruchem jeszcze bardziej rozluźnił krawat. - Może byś mi opowiedziała o swojej książce?

Po raz pierwszy zobaczył, że Jackie autentycznie zamurowało. Otworzyła usta. Nie po to, żeby coś powiedzieć, tylko ze zdumienia.

- Naprawdę? - wykrztusiła po chwili.

- Tak, chciałbym posłuchać, o czym piszesz. - Nathan sięgnął po kromkę i zaczął ją smarować masłem. - Nie masz ochoty o tym porozmawiać?

- Oczywiście, że mam, ale nie sądziłam, że cię to zainteresuje. Nigdy o to nie pytałeś, nawet o tym nie wspomniałeś. A ja znam siebie i wiem, że zazwyczaj za bardzo się angażuję i tracę dystans do tego, co robię. Dlatego jestem trudnym rozmówcą. Pomyślałam sobie, że lepiej cię w to nie mieszać. Pewnie już i tak doprowadzam cię do szału. Bałam się, że po sześciu miesiącach spędzonych we Frankfurcie i po tej całej historii z Fredem, cokolwiek bym napisała, i tak by ci się nie spodobało. Nathan zadumał się na chwilę.

- Rozumiem - powiedział w końcu, kiwając głową. - Nie masz pojęcia, jak mnie to przeraża, ale cię rozumiem. A teraz opowiedz mi o swojej książce.

- Dobrze. - Jackie oblizła wargi. - Akcja rozgrywa się na terenie obecnej Arizony w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, jakieś dziesięć lat po wojnie meksykańskiej, na terenach przyłączonych do Stanów jako część Nowego Meksyku. Zastanawiałam się, czy nie zrobić z tego sagi rodzinnej i nie zacząć sto lat wcześniej, ale doszłam do wniosku, że chcę od razu przystąpić do rzeczy.

- W osiemnastym wieku nie byłoby to możliwe?

- Oczywiście, że byłoby możliwe. - Jackie zaczęła bezwiednie kruszyć w rękach chleb. - Ale wtedy Jake'a i Sarah nie było jeszcze na świecie. To moi bohaterowie - dorzuciła. - To ma być ich historia, a mnie nie starczyło cierpliwości, żeby zacząć całą opowieść sto lat wcześniej. Jake jest rewolwerowcem, a Sarah wychowanką przyklasztornej szkoły. Zdecydowałam się umieścić ich w Arizonie, bo jest ona jakby kwintesencją Dzikiego Zachodu. Z nią wiążą się legendarne postacie - Earpowie, Claytonowie - miejsca takie jak Tombstone i Tucson, Indianie, głównie Apacze. - Kiedy sobie to wszystko wyobraziła, wstąpił w nią spokój. - Krwawe walki na pograniczu... ..

- Strzelaniny, myśliwi i ataki Indian?

- Tak, właśnie tak. Sarah zjawia się tam po śmierci ojca, który utrzymywał córkę w przeświadczeniu, że jest zamożnym właścicielem dużego domu i kopalni. Sarah dorastała na Wschodzie, gdzie wpajano jej, iż obowiązkiem panien z dobrego domu jest zdobyć stosowne wykształcenie. Po nagłej śmierci ojca przyjeżdża do Arizony i odkrywa, że przez te wszystkie

lata, kiedy żyła we względnym luksusie, jej ojciec prowadził więcej niż skromne życie, przeznaczając cały zysk z niewielkiej kopalni złota na edukację córki.

- Czyli twoja bohaterka zostaje nagle sierotą bez grosza, rzuconą w zupełnie obce środowisko.

- Tak. - Jackie dołała Nathanowi wina. - Jest bezbronna i godna współczucia, a zarazem można ją łatwo wykorzystać. Wkrótce Sarah odkrywa, że jej ojciec wcale nie zginął w kopalni, tylko został zamordowany. Wtedy właśnie poznaje Jake'a Redmana, rewolwerowca i najemnika, który reprezentuje sobą wszystko, czym nauczono ją gardzić. Jake ocalił jej życie podczas najazdu Apaczów.

- Czyli nie jest aż taki zły.

- W gruncie rzeczy ma złote serce - wyjaśniła Jackie. - W tamtych czasach na terenach pogranicza żyło wielu awanturników i poszukiwaczy przygód. Wojna pomiędzy stanami i przemarsze maruderów opóźniały proces stabilizacji, a Apacze wciąż zagrażali. Z tego właśnie powodu Arizona była miejscem szczególnie niebezpiecznym dla panny z dobrego domu, wychowanej w cieplarnianych warunkach.

- Mimo to Sarah zostaje w Arizonie.

- Gdyby uciekła tam, skąd przyjechała, byłaby raczej godna politowania niż współczucia. A to wielka różnica.

Tak czy inaczej, decyduje się pozostać i odnaleźć zabójców ojca. Nie mówiąc już o tym, że wbrew sobie zaczyna się interesować Jakiem Redmanem.

- A on nią?

- Trafiłeś w dziesiątkę. - Uśmiechnęła się do Nathana, obracając w palcach kieliszek. - Jake, jak wielu mężczyzn - a także niektóre kobiety - uważa, że nie potrzebuje nikogo, a tym bardziej kogoś, kto przeszkadzałby mu w jego stylu życia i kazał mu się ustatkować. Jest z natury wolnym strzelcem i zamierza nim pozostać.

Nathan powoli upił łyk wina.

- Mądry facet - powiedział, kiwając znacząco głową.

- Też tak uważałam. - Jackie uśmiechnęła się. - Sarah jest absolutnie zdeterminowana. Kiedy uświadamia sobie, że go kocha i że jej życie bez niego nigdy nie będzie spełnione, postanawia przełamać jego opory. Oczywiście Carlotta robi wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Kto to jest Carlotta?

- Miejskowa kobieta lekkich obyczajów. Carlocie nie chodzi jednak o to, żeby zagarnąć Jake'a dla siebie - choć oczywiście chciałaby go zdobyć. Problem polega na tym, że

Carlotta nienawidzi Sarah i wszystkiego, co ona sobą reprezentuje. Poza tym Carlotta wie, że ojciec Sarah został zamordowany, bo po latach trafił wreszcie na żyłę złota. Dzięki temu kopalnia, którą Sarah odziedziczyła, warta jest majątek. Na razie doszłam do tego miejsca.

- A jak to się skończy?

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz? Przecież jesteś autorką Musisz wiedzieć.

- Nie, wcale nie muszę. Gdybym od początku wiedziała, straciłabym cały zapal. Nie chciałoby mi się codziennie rano wstawać i siadać do pracy. - Podsunęła Nathanowi naczynie z zapiekanką, ale on potrząsnął głową. - Każdego dnia jestem bliżej zakończenia, ale to nie tak jak z twoim projektowaniem budynków. - Wychyliła się do przodu.

- Powiem ci, dlaczego nigdy nie zostałamby dobrym architektem, chociaż to fascynujące zadanie brać pustą działkę i ożywiać ją budowlami według własnego pomysłu.

Nathan słuchał z uwagą. Słowa Jackie tak wiernie odzwierciedlały jego własne poglądy, że chwilami odnosił wrażenie, iż czyta w jego myślach.

- Ty musisz znać z góry wszystkie detale, od A do Z. Zanim wbijesz łopatę w ziemię, musisz wiedzieć, jak to się skończy. Twoim zadaniem jest nie tylko wzniesienie pięknego, funkcjonalnego budynku. Bierzesz również na siebie odpowiedzialność za życie ludzi, którzy będą w nim mieszkać albo do niego przychodzić, którzy będą wspinać się po schodach lub jechać windą. Budynek należy dopracować w najdrobniejszych szczegółach, a twoja wyobraźnia musi uwzględnić bezpieczeństwo i wygodę użytkowników.

- Chyba źle się osądzasz - odezwał się po chwili Nathan. - Myślę, że byłabyś znakomitym architektem.

Jackie uśmiechnęła się.

- To, że rozumiem, nie znaczy wcale, że umiem. Uwierz mi, bo spróbowałam i tego. - Dotknęła jego ręki.

- To ty jesteś znakomitym architektem, bo nie tylko rozumiesz, ale i potrafisz połączyć sztukę z funkcją proces twórczy z jego realizacją.

Nathan patrzył na nią, głęboko poruszony jej intuicją.

- Czy tak samo jest z twoim pisaniem?

- Mam nadzieję. - Odchyliła się na krześle i spojrzała na niebo. Chmur przybywało. Pomyślała, że niedługo zacznie padać. - Przez całe życie miotałam się po omacku, szukając ujścia dla moich sił twórczych. Muzyka, malarstwo, taniec. Moją pierwszą sonatę skomponowałam, kiedy miałam dziesięć lat. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Cóż.. . genialne dziecko.

- Naprawdę? Jackie zachichotała.

- Nie była to jakaś wybitna sonata, ale ja czułam, że muszę czegoś dokonać. Moi rodzice okazywali wiele cierpliwości i wyrozumiałości, choć nie zawsze na to zasługiwałam. Tym razem.. . to pewnie zabrzmiało głupio w ustach osoby w moim wieku, ale tym razem naprawdę chcę, żeby byli ze mnie dumni.

- To wcale nie brzmi głupio - rzekł Nathan. - Przez całe życie czekamy na aprobatę naszych rodziców.

- Czy twoi rodzice żyją?

- Tak - uciął sucho, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, dorzucił uśmiech. - Są bardzo zadowoleni z przebiegu mojej kariery.

- Twój ojciec nie jest architektem? - Jackie doszła do wniosku, że pora trochę przycisnąć Nathana.

- Nie. Jest finansistą.

- O, to nawet zabawne. Wyobrażam sobie, że nasi rodzice musieli się nieraz spotkać na różnych rautach. Najbardziej ze wszystkiego na świecie J. D. interesuje się finansami.

- Nazywasz swojego ojca J. D. ?

- Tylko kiedy myślę o nim jako o biznesmenie. Lubił, gdy wchodziłam do jego gabinetu, siadałam mu na biurku i pytałam: „No i jak, J. D. , kupujemy czy sprzedajemy?”.

- Musisz go bardzo kochać.

- Uwielbiam go. Tak samo zresztą jak mamę, chociaż czasami zrzędzi. Zawsze chciała mnie wysłać do Paryża, żeby mnie tam trochę ucywilizować. - Marszcząc lekko brwi, dotknęła ciemnych kędziorów. - Mama jest przekonana, że Francuzi potrafiliby zrobić ze mnie osobę wytworną i elegancką.

- Mnie się podobasz taka, jaka jesteś - zapewnił Nathan.

Na twarzy Jackie odmalowało się zdumienie.

- To największy komplement, jaki od ciebie usłyszałam - powiedziała.

Spojrzał jej w oczy. Nagle wydało mu się, że słyszy w oddali grzmot.

- Wnieśmy wszystko do środka. Zaraz zaczną padać.

- Dobrze. - Jackie wstała i zaczęła zbierać talerze ze stołu. Czy to nie głupie, że tak bardzo wzruszyły ją słowa Nathana? Przecież nie zachwycił się, że jest piękna i błyskotliwa. Nie wyznał, że ją namiętnie kocha. Powiedział jej tylko, że podoba mu się taka, jaka jest. Jednak dla Jackie miało to olbrzymie znaczenie.

W kuchni sprząтали przez chwilę w zgodnym milczeniu.

- Sądząc po twoim stroju - zaczęła Jackie - chyba raczej nie spędziłeś dzisiejszego dnia na plaży?

- Nie, miałem spotkania z klientami z Denver.

Spojrzała na resztki wina w butelce, uznając, że trzeba je wypić do końca. Rozlała wino do kieliszków.

- Nie mówiłeś mi, co to ma być tym razem.

- Firma S&S Industries otwiera filię w Denver. Potrzebny im biurowiec.

- Zaprojektowałeś już dla nich jeden kilka lat temu w Dallas.

Nathan spojrzał na nią, zaskoczony.

- Tak.

- Czy to będzie projekt według podobnych wytycznych?

- Nie. W Dallas budynek był prosty, futurystyczny. Dużo szkła i stali. Tutaj myślałem o czymś bardziej klasycznym. Linie mają być łagodniejsze, bardziej eleganckie.

- Mogę zerknąć na rysunki?

- Jeżeli chcesz.. .

- Nawet bardzo. - Jackie wytarła ręce w lnianą ściereczkę i podała Nathanowi kieliszek. - Mogę je teraz zobaczyć?

- Oczywiście. - Naprawdę chciał, żeby Jackie je obejrzała. Ciekaw był też jej opinii, co go nawet zaskoczyło, uznał jednak, że będzie się nad tym zastanawiać później. Kiedy ruszyli w głąb domu, chmury do końca zasnuły niebo. Zaczęło się zmierzchać.

Na biurku Nathana panował pedantyczny porządek. Nigdy nie wyszedłby z domu, gdyby wcześniej nie przejrzał wszystkich papierów i korespondencji. Teraz wyjął z tuby projekty i je rozwinął. Jackie, autentycznie zaintrygowana, spoglądała mu przez ramię, zaciskając usta.

- Wnętrze jest z cegły - zaczął Nathan, udając, że nie czuje, jak koniuszki jej włosów muskają go w policzek.

- Linie okrągłe raczej niż proste.

- Trochę w stylu Art Deco.

- No właśnie. - Czemu wcześniej nie zwrócił uwagi na jej delikatny, zmysłowy zapach? Może zdążył już do niego przywyknąć? A teraz poczuł go, bo stała tak blisko? - Okna będą łukowate, a.. . - Urwał, a wtedy ona spojrzała na niego z uśmiechem. Cierpliwość i zrozumienie nie powinny krępować mężczyzny, a jednak Nathan wbił wzrok w papiery na biurku.

- W każdym pokoju biurowym będzie co najmniej jedno okno. Człowiek lepiej pracuje, kiedy nie czuje się zamknięty.

- Masz rację. - Jackie nie przestawała się uśmiechać.

- To piękny budynek - ciągnęła, ale żadne z nich nie patrzyło już na projekt. - Masywny, ale nie przytłaczający. Klasyczny, lecz nie nużący. Detale w różu.. .

- .. . dopasowanym do koloru cegły. - Nathan wbił wzrok w jej usta w odcieniu delikatnego różu. Były tak blisko jego ust.

Znowu zagrzmiało. Tym razem całkiem blisko. Odsunął się, poruszony, i zwinął bez słowa papiery.

- Chciałabym obejrzeć projekt wnętrza.

- Jackie.. .

- To nie fair, zaczynać coś i nie doprowadzić tego do końca.

Nathan skinął głową i rozwinął kolejny rulon. Jackie miała rację. On także wiedział o tym, i to od dawna. Jak się powiedziało A, trzeba też powiedzieć B.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jackie wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Czuła się jak pływak, który wybija się z trampoliny. Klamka zapadła. Nie było już odwrotu.

Na początku tego wieczoru nie podejrzewała, że Nathan pozwoli jej aż tak bardzo zbliżyć się do siebie. Mur, którym się otoczył, zaczynał się jednak kruszyć, a dystans między nimi wyraźnie zmalał. Niełatwo przyszło jej pogodzić się z myślą, że powodem tego jest wyłącznie jego pożądanie. Jeśli to jednak wszystko, co do niej w tej chwili czuł, zadowoli się tym i nie będzie prosić o więcej. W końcu pożądanie to także naturalne, szczere odczucie.

Ona sama nie potrafiłaby bardziej go kochać. Tak przynajmniej sądziła do tej pory, jednak tego wieczoru uświadomiła sobie, że to nieprawda. Im dłużej razem przebywali, tym bardziej go kochała.

Cierpliwa, pełna zrozumienia dla dręczących go wątpliwości, słuchała go teraz z uwagą, gdy objaśniał jej plany kolejnych pięter.

Było to naprawdę wybitne dzieło. Nabyta wiedza i bystre oko Jackie pozwoliły jej to docenić. Ale też i sam Nathan był udanym dziełem natury. Dłonie miał szerokie, o długich palcach, ogorzałe na skutek wielu godzin spędzonych na powietrzu. Były to również wrażliwe dłonie artysty. Głos Nathana miał męskie, głębokie brzmienie, ale nie szorstkie; kulturalne, a przy tym nie afektowane.

Kiedy Nathan pokazał Jackie fasadę budynku, mruknęła z aprobatą i położyła dłoń na jego ramieniu. Niemnący materiał eleganckiego, klasycznego garnituru okrywał twarde jak stal mięśnie.

- Tutaj zaprojektowałem atrium, pomiędzy biurami dyrekcji. - Głos mu się lekko załamał. - Na posadzkach planujemy położyć terakotę raczej niż wykładzinę, żeby nadać wnętrzem chłodny, czysty wygląd. A tutaj.. - Nagle zaschło mu w ustach; mięśnie miał coraz bardziej napięte. Poczł, że musi usiąść.

- A sala konferencyjna? - zapytała Jackie, przysiadając na oparciu jego fotela. Teraz i ona usłyszała grzmot.

- Co? Ach, tak. - Szarpnął krawat, bo wydało mu się, że się dusi, i raz jeszcze spróbował skupić się na projekcie. - Tutaj powtórzymy łuki, ale na większą skalę. Panele będą.. - Urwał. Jakie znaczenie miały w tej chwili panele? Dłoń Jackie spoczywała na jego ramieniu, delikatnie masując napięte mięśnie.

- Co z tymi panelami?



Co z panelami? - pomyślał, patrząc na jej smukły palec z pierścionkiem, sunący po planszy.

- Zdecydowaliśmy się na mahoń z Hondurasu.

- Będzie pięknie. Teraz i za sto lat. A oświetlenie? Boczne?

- Tak. - Podniósł głowę. Tuż nad sobą widział jej uśmiechniętą twarz i lekko nachylone ciało. Projekt nagle przestał się liczyć. - Jackie, tak dłużej być nie może.

- Zgadzam się z tobą - powiedziała, zsuwając mu się na kolana.

- Co robisz? - Żołądek miał ściśnięty jak pięść, mimo to uśmiechnął się.

- Masz absolutną rację, tak być nie może. Czuję, że , jesteś bliski obłędu, tak samo jak ja. A przecież nie możemy do tego dopuścić, prawda? - Pierścionki zamigotały na jej palcach, kiedy odrzucała włosy.

- Raczej nie.

- Dlatego zamierzam położyć temu kres.

- Ale czemu? - Chwycił ją za nadgarstek, bo już zdejmowała mu krawat.

- Tej niepewności, temu „co by było, gdyby”. - Nie zważając na jego rękę, zaczęła rozpinąć mu koszulę. - Przyjemny materiał - zauważyła. - Biorę wszystko na siebie, Nathan. Ty nie masz tu nic do powiedzenia.

- O czym ty mówisz, Jackie? - Kiedy zaczęła zdejmować z niego marynarkę, chwycił ją za ramiona. - Co ty właściwie wyprawiasz?

- Robię z tobą to, na co mam ochotę, Nathan. - Przycisnęła wargi do jego ust.

Chciał się roześmiać, ale z piersi wyrwał mu się stłumiony jęk.

- Nie warto dłużej z tym walczyć. Dobrze o tym wiesz - orzekła, zdejmując mu marynarkę. - Jestem osobą bardzo zdecydowaną.

- Właśnie widzę. - Poczul silne szarpnięcie. To Jackie zdejmowała mu koszulę. - Przestań! Musimy porozmawiać.

- Już dosyć rozmawialiśmy. - Musnęła językiem płatek jego ucha. - Czy ci się to podoba, czy nie, zamierzam cię pojąć, Nathan. - Ugryzła go lekko w ucho. - Nie opieraj się, bo będzie jeszcze bardziej bolało. Tym razem udało mu się roześmiać.

- Jackie, ważę o trzydzieści kilo więcej niż ty.

- No to co z tego - mruknęła i zaczęła rozpinąć mu spodnie.

Zasłonił się obronnym gestem.

- Mówisz poważnie?

Odsunęła się i spojrzała na niego dokładnie w chwili, gdy niebo przecięła pierwsza błyskawica.

- Jestem śmiertelnie poważna. - Nie przestając patrzeć mu w oczy, szarpnęła suwak swojej bluzy. W jej oczach błysnął żar. - Nie wyjdiesz stąd, Nathan, póki z tobą nie skończę. Jeżeli będziesz współpracować, potraktuję cię łagodnie. A jeśli nie.. - Wzruszyła ramionami. Bluza zsunęła jej się do pasa.

Za późno! Za późno, by udawać, że nie chce i nie musi z nią być. Jackie grała z nim w otwarte karty. Godziła się wziąć na siebie całą odpowiedzialność i ewentualne reperkusje. Wzruszało go to, ale przecież nie mógł na to pozwolić.

- Pragnę cię. - Musnął dłońmi jej policzki, a potem zanurzył palce w jej włosy. - Chodźmy na górę.

Czułym, pełnym oddania gestem wtuliła twarz w jego dłoń. Jednak kiedy znów na niego spojrzała, potrząsnęła głową.

- Nie. Zrobimy to tu i teraz. - Przycisnęła usta do jego ust, pozbawiając go tym samym wyboru.

Torturowała go, dręczyła i drażniła. Oplotła jego ciało, a usta miała szybkie i natarczywe. Piły z jego ust i oddawały pocałunki, a potem zabrały się za badanie wszystkich krzywizn i płaszczyzn jego twarzy. Krew tętniła mu w żyłach. Czuł to w skroniach, w łędźwiach, w koniuszkach palców, podczas gdy bezlitosne, czarodziejskie dłonie Jackie błędziły po jego ciele.

Żadnych wahań. Jackie obce było znaczenie tego słowa. Atakowała równie dziko i ognście, jak burza szalejąca za oknami. Nathan przeraził się, a mimo to zamknął Jackie w uścisku i mocno przytulił, próbując przynajmniej częściowo odzyskać kontrolę nad sytuacją. Jackie zmuszała go do przekroczenia granic, które dawno sobie wyznaczył, do pogwałcenia zdrowego rozsądku i wszelkich cywilizowanych zasad.

Słyszał swój własny oddech, szybki i urywany. Czuł, jak bijana niego siódme poty. Rozsadzała go żądza, której nie był w stanie okiełznać. Zdzierał materiał z ramion Jackie, owładnięty jednym pragnieniem - żeby jak najprędzej dobrać się do jej ciała.

- Jackie! - Chłonał ją wszystkimi zmysłami. Więcej.. . jeszcze więcej.. . Nie był w stanie o niczym innym myśleć. Gdyby potrafił, chętnie by ją w siebie wessał. - Jackie! - powtórzył. - Poczekaj chwilę!

Ale ona tylko się roześmiała, z ustami przy jego ustach.

Gdy osuwali się na podłogę, zrywał z niej resztki ubrania.

Palce Jackie nie mogły nadażyć, tak się spieszyła, by usunąć to, co dzieliło ich ciała. Chciała poczuć go całego przy sobie. Kiedy potoczyli się po dywanie, ocierając się o siebie, miała wrażenie, że staje w ogniu.

Myślała, że to ona będzie go zdobywać, uwodzić, prowadzić, tymczasem się myliła. Wszystko potoczyło się w lawinowym tempie, nad którym żadne z nich nie potrafiło już zapanować. Ani ona, ani on.

Spleceni w ciasnym uścisku, tarzali się po podłodze, zaspokajając namiętność, jakiej żadne z nich dotąd nie zaznało. Nie słyszeli deszczu, którym wiatr miotał wściekle o szyby. Coś przewróciło się na stole, a potem potoczyło się i upadło z hukiem na podłogę, ale oni tego także nie usłyszeli.

Nie wymieniali szeptem żadnych obietnic, nie padały między nimi żadne czułe słówka. Tylko zdławione jęki i namiętne okrzyki. Nie było delikatnych pieszczot i niespiesznych pocałunków, tylko instynktowne, przemożne dążenie do zaspokojenia.

Cieężko dysząc, Nathan uniósł się nad Jackie. Kiedy z odrzuconą głową przyjęła go w siebie, ostatnia błyskawica oświetliła jej włosy i twarz.

Cudownie! Kiedy naga, spocona i oszołomiona wtuliła się w Nathana, w głowie dźwięczało jej tylko to jedno słowo. Nigdy dotąd nic nie wydawało jej się tak absolutnie doskonale. Serce Nathana wciąż biło głucho przy jej sercu, a jego oddech ogrzewał jej policzek. Na dworze przestało padać, burza przeszła, tylko w oddali dał się słyszeć zamierający grzmot.

Pomyślała, że akt fizyczny nie był potrzebny, by utwierdziła się w uczuciach, jakie żywiła dla Nathana. Miał on być tylko pogłębieniem jej miłości. Nawet w najśmielszych marzeniach nie potrafiłaby sobie wyobrazić, że będzie aż tak cudownie.

Nathan pozbawił ją sił, a potem tchnął w nią nowe życie.

Bez względu na to, ile razy będą się jeszcze kochali i ile wspólnie przeżyją lat, nigdy nie będzie już tak jak za pierwszym razem. Z zamkniętymi oczyma tuliła się do Nathana, pogrążona w błogostanie.

Nie wiedział, co ma jej powiedzieć, i czy w ogóle jest w stanie mówić. Zawsze mu się wydawało, że zna tego mężczyznę, za jakiego się uważał. Teraz przekonał się, że Nathan Powell, z którym spędził przeważającą część życia, to zupełnie ktoś inny. Ktoś całkowicie odmienny od tego, kto oddawał się żądzy.

Kochając się z Jackie, stracił poczucie czasu, miejsca, a nawet samego siebie. Nigdy dotąd nic takiego mu się nie przydarzyło. I nigdy więcej mu się nie przydarzy. Chyba że z Jackie.

Powinien kochać się z nią bardziej delikatnie, mniej egoistycznie. Gdy jednak zaczął, puściły hamulce i oboje razem stoczyli się w przepaść.

Tego właśnie chciała i on tego chciał. Czy to jednak znaczy, że postąpili słusznie? Nie padły żadne wyznania, żadne pytania. Zapomniał o odpowiedzialności i zabezpieczeniu. Na myśl o tym wzdrygnął się lekko.

Muszą o tym porozmawiać, i to jak najszybciej. Pragnął jej wyznać, że chce, by to, co między nimi zaszło, nieraz jeszcze się powtórzyło. Co, oczywiście, nie znaczy, że proponuje jej trwały związek. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Jackie?

Kiedy odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, załapała go fala niewysłowionej czułości. Nagle zabrakło mu słów. Nachylił się i przycisnął usta do jej warg. To wystarczyło, żeby znów obudziło się w nim pożądanie. Przyciągnął ją bliżej. Wilgotna i ciepła, wtuliła się w niego.

- Kocham cię, Nathan. Nie, nic nie mów. - Delikatnie musnęła wargami jego usta. - Nie musisz nic mówić. To ja chciałam ci to powiedzieć. Chcę się z tobą kochać. Teraz i zawsze.

Powiedziały mu to już jej ręce, a teraz jej usta zaczęły zsuwać się coraz niżej, po szyi i torsie. Jego natychmiastowa reakcja była tak silna, że aż go to samego zaskoczyło.

- Jackie, poczekaj chwileczkę!

- Żadnych uwag. Już raz cię zgwałciłam, a teraz zamierzam to zrobić po raz drugi.

- Bardzo mi miło, ale zaczekaj! - Stanowczym gestem odsunął ją. - Musimy porozmawiać.

- Rozmawiać będziemy na starość, chociaż, zanim zapomnę, muszę ci powiedzieć, że masz fantastyczny dywan.

- Ja też go polubiłem. Poczekaj! - powtórzył, kiedy próbowała się wyrwać. - Jackie, ja mówię serio.

Z ust Jackie wyrwało się drżące westchnienie.

- Naprawdę chcesz rozmawiać?

- Tak.

- No to niech ci będzie. - Ułożyła się wygodniej w jego ramionach. - Strzelaj!

- To już i tak musztarda po obiedzie - zaczął, wściekły na siebie - ale nie chcę po raz drugi popełnić tego samego błędu. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie zapytałem.. . nawet mi nie przyszło do głowy, by zapytać, czy wszystko jest jak trzeba.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała ze śmiechem.

- Och! - Nagle pojęła sens jego pytania. - Dobry z ciebie człowiek. - Mimo przytrzymujących ją ramion zdołała go pocałować. - Tak, tak, wszystko było jak trzeba. Może wyglądam na osobę roztrzępaną, ale taka nie jestem. Zawsze byłam odpowiedzialna.

Zdjęty czułością, otoczył dłońmi jej twarz.

- Nie wyglądasz mi na osobę roztrzępaną. Może się tak zachowujesz, ale jeśli już mowa o wyglądzie - wyglądasz prześlicznie.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Oczy Jackie zalśniły.

- Zawsze chciałam być piękna.

Włosy opadły jej na czoło. Nathan nagle zapragnął je odgarnąć i zanurzyć w nie palce.

- Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, kąpałaś się w mojej łazience. Byłem zmęczony i zły, mimo to pomyślałem, że jesteś bardzo piękna.

- A ja uznałam, że to Jake.

- Co?

- Leżałam w wannie i rozmyślałam o swojej książce i o głównym bohaterze, Jake'u. O tym, jak powinien wyglądać. - Powiodła palcami po jego twarzy. - A kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam ciebie i zrozumiałam: przecież to on! Mój ty bohaterze!

Zakłopotany, otoczył ją ramieniem.

- Nie jestem żadnym bohaterem, Jackie.

- Ale w moich oczach jesteś. - Puknęła się w czoło.

- Zupełnie zapomniałam o cieście.

- O jakim znów cieście?

- Upiekłam na deser szarlotkę. Chcesz, to przyniosę kawałek i zjemy w łóżku?

Uznał, że później zastanowi się nad tym, co Jackie uważa za miłość i kto jest w jej oczach bohaterem.

- Niezła myśl - przyznał.

- Zaraz wracam. - Pocałowała go w czubek nosa, a potem z uśmiechem zapytała: - W twoim łóżku czy w moim?

- W moim. Chcę cię mieć u siebie.

Miło jest poleniuchować, pomyślała Jackie, przeciągając się w pościeli. Miło pospać dłużej po tygodniach rannego wstawania i zasiadania do maszyny.

Zamruczała półsennie - nagle wydało jej się, że ma dwanaście lat i jest sobota. Gdy miała dwanaście lat, najbardziej ze wszystkiego lubiła soboty. Kiedy się poruszyła, natrafiła nogą na Nathana. I z miejsca przestała żałować, że nie ma już dwunastu lat.

- Nie śpisz? - zapytała, nie otwierając oczu.

- Nie śpię. - Objął ją ramieniem.

- A nie chciałbyś wstać?

- To zależy. - Nathan przysunął się bliżej, żeby poczuć jej ciepłe, miękkie ciało. - Nie zostało w łóżku jeszcze trochę tej pysznej szarlotki?

- Nie wiem. Mam sprawdzić? - Zarzuciła prześcieradła na głowę i zaatakowała go.

Ma zdecydowanie więcej energii, niż by wypadało, pomyślał Nathan, kiedy już na nim leżała. Skopane prześcieradła poniewierały się w nogach łóżka. Próbując złapać oddech, spojrzał na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

Była gibka i smukła, i tak przyjemnie zaokrąglona. Skórę miała złocistą, z wyjątkiem jaśniejszego paska na biodrach, pod bikini. Potargane włosy ciemną aureolą otaczały jej głowę.

Zawsze mu się wydawało, że woli kobiety z długimi włosami, jednak krótka, naturalna fryzurka Jackie podobała mu się bardziej, bo mógł bez przeszkód głaskać Jackie po karku. Teraz też tak zrobił, a ona zaczęła mruczeć jak kotka.

Jak powinien teraz postąpić?

Nie miał najmniejszego zamiaru rozstawać się z Jackie. Chciał, żeby z nim została. Potrzebował jej. Potrzebował.. . A przecież dotąd starannie unikał tego słowa. Teraz nie miał pojęcia, co dalej.

Spróbował sobie wyobrazić, co robiłby bez niej jutro, za tydzień, a nawet za miesiąc. W głowie miał kompletną pustkę. A przecież to do niego takie niepodobne. Ale też odkąd poznał Jackie, przestał sam siebie poznawać.

Czego od niego chciała? Nie miał odwagi zapytać jej o to i sam sobą za to gardził. Wiedział już przecież, o co jej chodzi, jakby wszystko dawno zostało rozważone i omówione. Jackie kocha go - przynajmniej na razie. A on.. . musiał przyznać, że mu na niej bardzo.. . zależy. Miłość to słowo, na które nigdy by sobie nie pozwolił. Miłość wiąże się z obietnicami, a on nigdy niczego nie przyrzekał, póki nie miał pewności, że potrafi się wywiązać. Lekkomysłnie złożona obietnica, obietnica bez pokrycia, to coś znacznie gorszego niż kłamstwo.

Pokój tonął w blasku słońca, za oknami śpiewały ptaki. Słuchając ich, pomyślał, że chciałby, by wszystko było dla niego takie proste jak dla Jackie. Miłość, małżeństwo, rodzina. Doskonale wiedział, że sama miłość nie może być gwarancją udanego małżeństwa, a małżeństwo, nawet z dzieckiem, wcale nie musi stworzyć rodziny.

W małżeństwie jego rodziców miłość przestała odgrywać jakąkolwiek rolę. Nikt również nie mógłby nazwać ich trójki rodziną.

Trzymając w objęciach Jackie, pomyślał, że nie jest przecież swoim ojcem. Dołożył wszelkich starań, żeby nie być taki jak ojciec. Rozumiał jednak dumę i ambicje ojca. Sam był równie dumny i ambitny.

Potrząsnął głową. Od ponad dziesięciu lat nie myślał o ojcu ani o braku życia rodzinnego. Zaczął się nad tym zastanawiać dopiero wtedy, gdy poznał Jackie. To dzięki niej rozważał możliwe życiowe rozwiązania, z których świadomie i dobrowolnie zrezygnował. To ona sprawiła, że żałował i pragnął tego, czego dotąd ani nie pragnął, ani nie żałował.

Nie mógł sobie pozwolić na miłość, bo pociągałaby za sobą obietnice. Gdyby ich nie dotrzymał, musiałby sam siebie znienawidzić. Jackie zasługiwała na więcej niż to, co mógł jej zaoferować - albo raczej na to, czego nie mógł jej zaoferować.

- Nathan?

- Hmm?

- O czym myślisz?

- O tobie.

Uniosła głowę, w oczach miała powagę.

- Mam nadzieję, że nie. Zaskoczony, zanurzył palce w jej włosy.

- Dlaczego?

- Czuję, że znów zaczynasz być spięty. - Po raz pierwszy zobaczył, jak cień smutku przemknął przez jej twarz.

- Nie żałuj niczego, bo tego bym nie zniosła.

- Niczego nie żałuję. - Nathan mocno ją objął. - Jak mógłbym czegokolwiek żałować?

Wtuliła twarz w jego szyję, by nie zauważył, że walczy ze łzami, których przyczyny i tak nie potrafiłaby mu wyjaśnić.

- Kocham cię, Nathan, i nie chcę, żebyś miał z tego powodu wyrzuty sumienia albo się zamartwiał. Pozwól, niech wszystko potoczy się własnym torem. Niech będzie, co ma być... co jest nam pisane.

Zajrzał jej przenikliwie w twarz. Oczy miała teraz suche.

- I to ci wystarczy?

- Na dziś wystarczy. - Odpowiedziała uśmiechem, ale nawet on zauważył, że kosztowało ją to sporo wysiłku.

- Nie potrafię powiedzieć, czego będę chciała jutro. Co ty na to, żeby zjeść teraz drugie śniadanie? Nie próbowałeś jeszcze moich gofrów. Robię fantastyczne gofry. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, czy mamy bitą śmietaną. Ewentualnie zrobię omlet, o ile pieczarki

się nie zestarzały. A może po prostu dokończmy szarlotkę? Najpierw popływalibyśmy w basenie, a potem.. .

- Jackie?

- Co?

- Zamilknij!

- Teraz? - zapytała, gdy jego dłoń zsunęła się na jej biodro.

- Tak.

- Dobrze.

Roześmiała się, ale wtedy usta Nathana dotknęły jej warg tak delikatnie i czule, że śmiech przeszedł w jęk. Zamknęła oczy. Była silną kobietą, na swój sposób waleczną, jednak wobec czułości stawała się bezbronna.

On także się tego nie spodziewał. Nie było błyskawic, nie były pioruny. Tylko błoga fala ciepła, która rozlała się po całym ciele, aż do mózgu i serca. A stało się to za sprawą jednego, czulego pocałunku.

Nie myślał nigdy o Jackie jako o kobiecie delikatnej i kruchej, ale teraz taka właśnie była. Topniała w jego objęciach, drobna, uległa i miękka.

Wyrozumiałość. Wiedziała, że jest człowiekiem wyjątkowo wyrozumiałym i cierpliwym, jednak nie w stosunku do niej. Potrafił także okazywać współczucie. Czula to teraz i uznała za dar cenniejszy niż złoto. Znów zatraciła się w miłości. Tym razem jednak był to szaleńczy sprint, do jakiego przywykła, ale powolny, długi dystans, który miał ją zaprowadzić tam, dokąd zawsze chciała dotrzeć.

Zamiast brać ją namiętnie i dziko, Nathan pieścił ją niespiesznie i czule. Skórę miała gładką jak atlas i drżała pod dotykiem jego dłoni. Ta sama kobieta - a jednak zupełnie inna. Hojna i żywiołowa, a zarazem pełna wrażliwości, wobec której odczuwał pokorę i skruchę. Jest taka słodka. Kiedy przycisnął usta do jej piersi, poczuł, jak bije jej serce. Nie łomotało głucho, jak wcześniej, lecz trzepotało niespokojnie.

Przesunął palcem po wnętrzu jej nadgarstka, żeby poczuć, jak bije jej puls. Przez niego - i dla niego. Kiedy splelił dłonie, podniósł do ust jej rękę i ucałował po kolei wszystkie palce.

Ziemia usuwała jej się spod nóg. Przy każdej pieszczocie zapadała się coraz głębiej - w niego. A kiedy zaczął muskać ustami czubki jej palców, skoczyła w przepaść, głową w dół, ufając, że zdołają złapać.



Mógł ją teraz poprosić o wszystko, zażądać wszystkiego. Upojona miłością, spełniłaby każde życzenie, nie myśląc o sobie i o tym, żeby ująć z tego z życiem. Stała się jego więźniem, zakładnikiem ich namiętności.

Nathan poczuł nagle, że zaszła między nimi jakaś zmiana. Był już nie tylko kochankiem, ale i opiekunem; dawcą, a nie tylko biorcą. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęła go radość pomieszana z lękiem. Nie potrafił już myśleć ani o dniu jutrzejszym, ani o przyszłych konsekwencjach. Pragnął jej, pragnął dostać od niej jeszcze więcej, niż otrzymał przed chwilą. Czy to niemożliwe? Wiedział już, że nie zaprotestowałyby, gdyby wziął ją szybko i brutalnie, gdyby zawlókł ich oboje na szczyt, nie bawiąc się we wstępy. Może właśnie ta wiedza, że przyjęłaby go na każdych warunkach, nakazała mu dać jej z siebie wszystko.

Niespieszna miłość niczym słodka tortura. Delikatne muśnięcia. Leniwe pocałunki. Ciche westchnienia rozdzierały ciszę. Nawet słońce jakby pobladło. Szkoda, że nie mógł dać jej teraz kwiatów. Obsypałby ją wonnymi płatkami.. . Ale on miał tylko siebie.

Dosyć.. . Dostała już więcej, niż kiedykolwiek mogła zapragnąć. Powiedziały mu to jej rozchylone usta i tulące go ramiona. Nawet najśmielsze marzenia nie były w stanie sprostać tej cudownej rzeczywistości.

Dłonie miał takie chłodne. Rozkwitała pod ich dotykiem, pełna wewnętrznego spokoju i ciepła. Tym razem nie był to nagły błysk, tylko równy, łagodny płomień.

Tuliła się do niego, przynosząc mu bezwarunkową miłość, czuła i delikatna jak on. Gdy nagle zadrżała, uspokoił ją kojącym szeptem. A wtedy zrozumiała, że choć nigdy nie potrzebowała mężczyzny, bez Nathana nie potrafiłaby już istnieć.

Hojność bez granic. To właśnie otwarcie mu ofiarowała, a on wreszcie przestał się temu dziwić. Nowością była też dla niego świadomość, że sam także potrafi dawać, i to dawać bez zastrzeżeń.

Przepętny czułością, wszedł w nią powoli i delikatnie.

Niespieszne, harmonijne ruchy. Oddech na chwilę zatrzymany w piersi, a potem przemieniony w lekkie jak wiatr westchnienie. Z ustami na ustach kontynuowali miłosny taniec, płynny i elegancki jak wiedeński walc. Stopili się w jedno z muzyką i wirowali, patrząc sobie w oczy, póki taniec nie zakończył się równie łagodnie, jak się zaczął.

Słońce stało wysoko na niebie. Jackie, wtulona w Nathana, patrzyła, jak wiatr porusza firankami. Z ogrodu napływał delikatny zapach kwiatów. Nic konkretnego, po prostu mieszanka zapachów świadczących o wiosnie i budzącym się nowym życiu.

Wspomnienia spędzonych razem chwil drzemały bezpiecznie zamknięte w jej sercu. Wiedziała, że będzie do nich często zaglądać, żeby się nimi wciąż od nowa radować.

- Wiesz, na co miałabym teraz ochotę? - zwróciła się do Nathana.

- Hmm? - Był zbyt oszołomiony, by zwrócić uwagę na to, że jeszcze nie wstał, chociaż właśnie minęło południe.

- Chciałabym poleżeć w łóżku aż do wieczora.

- Zrobiliśmy niezły początek.

Z łobuzerskim uśmiechem przysunęła twarz do jego twarzy.

- A może byśmy.. . - Urwała i zakłęła, bo w tym momencie zadzwonił telefon. - Nathan, to pomyłka - powiedziała, widząc, jak sięga po słuchawkę. - To na pewno jakaś baba o piskliwym głosie, która chce ci zakomunikować, że wygrałeś bezpłatną roczną prenumeratę dziesięciu pism. Musisz tylko zapłacić siedem dolarów miesięcznie za przesyłkę.

Nathan zawahał się.

- A jeżeli nie? - zapytał, choć gotów był w to uwierzyć.

- A jeżeli tak? Czy masz dość charakteru, żeby zrezygnować z dziesięciu czasopism na miesiąc. I to za darmo! Zastanów się, Nathan!

Nathan dłonią zakrył usta Jackie i wcisnął jej głowę w poduszkę.

- Halo!

- Ostrzegałam cię - powiedziała złowieszczym tonem. Tym razem Nathan uciszył ją poduszką.

- Carla?

- Carla?! - powtórzył stłumiony głos spod poduszki. Jacke wysunęła głowę i ugryzła go w ramię.

- Auu! Cholera! Nie, Carla, nie! Ja.. . O co chodzi?

- Położył się na Jackie i unieruchomił ją ramieniem. - Tak, tego się spodziewałem - ciągnął, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe postękiwania szamoczącej się Jackie. - Dobrze, przyspieszymy terminy, o ile to konieczne. Nie, już wydałem dyspozycje. Wyznacz spotkanie na jutro. Na dziewiątą. No to o dziesiątej. I skontaktuj się z Codym - dorzucił. - Też ma tam być. Dobrze, Carla. - Leżąca pod nim Jackie zaczęła głośno dyszeć. - Tak; tak, kilka wolnych dni dobrze mi zrobiło. No to do jutra.

Kiedy się wychylił, żeby odłożyć słuchawkę, Jackie zdołała się uwolnić. Zacerwieniona, walnęła go w głowę poduszką.

- Coś podobnego! - zaczęła. - Chciałaś mnie udusić, żebyś potem uciec z włoską hrabiną i oddać się zakazanej namiętności w hotelu Holiday Inn. Nie próbuj się wypierać - dodała. - Twoje intencje były zbyt oczywiste.

- W porządku. A co to była za hrabina?

- Carla. - Znowu uderzyła go poduszką, po czym Wybuchnęła śmiechem, gdy Nathan chwycił ją za rękę. - Nie, nie, nic z tego. Już za późno. Wszystko postanowione. Zabiję was oboje: ciebie i tę hrabinę. Porażę was prądem, kiedy będziecie się kąpać w pianie. Żaden sąd mnie nie skaze.

- Najpierw cię pošlę na badania psychiatryczne. Zamachnęła się, celując w czułe miejsce. Uchylił się, rzucił ją na materac i przygniótł własnym ciałem. Zaczęli się tarzać po łóżku, trzymając się w objęciach. Nathanowi to już nawet się spodobało, kiedy jeden nieopatrzny ruch Jackie sprawił, że stoczyli się na podłogę.

- Zwariowałaś! - wysapał, rozcierając obolałe ramię. Jackie otoczyła dłońmi jego twarz.

- Powell, jeśli ci życie miłe, mów: kto to jest Carla? Spojrzał na nią. Oczy jej się świeciły, a policzki płonęły z podniecenia. Uśmiechała się. Bezwiednie położył dłonie na jej biodrach.

- Chcesz poznać prawdę?

- Prawdę i tylko prawdę.

- Hrabina Carla Mandolini i ja jesteśmy od lat kochankami. Carla oszukuje swojego męża, hrabiego Mandolini, tego ramola i impotentą, udając moją sekretarkę. Nieszczęsny dureń myśli, że bliźniaki to jego dzieci.

Jaki on jest cudowny, pomyślała Jackie, przysuwając się bliżej.

- Bardzo prawdopodobna historia - powiedziała, a potem długim pocałunkiem zamknęła mu usta.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- To jest porwanie, Nathan. Radzę ci iść dobrowolnie. Nathan, który właśnie owijał się ręcznikiem, popatrzył na Jackie, która bez pukania wkroczyła do łazienki. Właściwie powinien już do tego przywyknąć. Jackie potrafiła pojawiać się jak spod ziemi, w każdym miejscu i o każdej porze.

- A mogę chociaż założyć buty? - zapytał.

- Masz na to dziesięć minut. Już miała wychodzić, kiedy chwycił ją za rękę.

- Gdzie byłaś? - wyrwało mu się i nagle uświadomił sobie, że zaczyna się do niej za bardzo przywiązywać. Kiedy się obudził tego ranka, niewiele brakowało, a zacząłby biegać po domu, próbując ją znaleźć. Byli kochankami dopiero od trzech dni, a on już czuł się opuszczony, gdy rano po otwarciu oczu, nie widział jej obok siebie.

- Niektórzy muszą pracować nawet w sobotę. - Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Był mokry, opalony i prawie całkiem nagi. Nagle zaczęła żałować, że zaplanowała już coś innego.

- Masz być na dole za dziesięć minut. Bo jak nie, to gorzko pożałujesz.

- Coś ty znowu wykombinowała, Jackie?

- Nie masz prawa zadawać żadnych pytań - rzuciła na odchodnym, posyłając mu uśmiech.

Usłyszał, jak lekko zbiega po schodach. Co za niespodziankę chowała w zanadrzu? - pomyślał, sięgając po maszynkę. Dobrze wiedział, że Jackie jest nieobliczalna, a w jej postępowaniu trudno dopatrzeć się logiki. Właściwie powinno mu to działać na nerwy, pomyślał, rozsmarowując pianę na twarzy. Teraz też powinien być zirytowany. Miał już swoje plany na ten dzień.

Najpierw zamierzał spędzić kilka godzin w biurze, żeby ustalić preliminarz w związku z realizacją projektu w Sydney oraz dopracować ostatnie szczegóły inwestycji w Denver. Potem chciał zaprosić Jackie na lunch do miejscowego klubu. Mogliby też pograć w tenisa. Porwania nie uwzględnił w swoich planach.

A jednak wcale nie czuł irytacji. To dziwne. Uważnie obejrzał w lustrze swoją twarz. Czyżby coś się zmieniło?

Nadal był Nathanem Powellem, człowiekiem sumiennym i odpowiedzialnym, który dawno ustalił sobie hierarchię ważności. To nie ktoś obcy spogląda na niego z lustra, tylko dobrze mu znany mężczyzna. Te same oczy, ten sam owal twarzy, czemu więc reaguje

zupełnie inaczej? Co więcej, dlaczego on, skoro zna siebie tak dobrze, nie potrafi zdefiniować swoich uczuć?

Potrząsnął głową, zdezorientowany, po czym otarł z twarzy resztki piany. To jakiś absurd. Jest dokładnie tym samym człowiekiem, co dawniej. Jedyna zmiana w jego życiu to romans z Jackie.

Co miał z nią teraz zrobić?

Chyba rzeczywiście przyszła pora, żeby zadać sobie to pytanie. Im silniej się angażował, tym bardziej był przekonany, że koniec końców sprawi jej ból. Był też pewny, że będzie tego żałował do końca życia. Za kilka tygodni musi wyjechać do Denver. Przed wyjazdem nie zamierza Jackie niczego obiecywać. Jak może wobec tego spodziewać się, że będzie na niego czekała, skoro nie jest w stanie powiedzieć jej tego, co chciałaby usłyszeć?

Założył, że romans z Jackie stanie się jedynie krótkim, barwnym epizodem w księdze jego życia. Wiedział jednak, że będzie często wracał do tych kilku stron.

Tak, pomyślał, zdecydowanie powinni porozmawiać! Musi z nią odbyć spokojną i szczerą rozmowę. I to jak najszybciej. Świat nie składa się wyłącznie z nich dwojga, nawet gdyby on, Nathan, bardzo sobie tego życzył. Poza tym, ich życie nie zaczęło się w momencie spotkania.

Wtarł w twarz płyn po goleniu i poczuł delikatne szczypanie.

- Nathan, czas ci się kończy!

Głos Jackie przerwał jego rozmyślenia. Takie chwile zadumy to także w jego życiu nowość. Odrzucił ręcznik i zaczął się szybko ubierać.

Jackie znalazł w kuchni. Zamykała turystyczną lodówkę. W radiu jakiś zespół z lat pięćdziesiątych śpiewał o miłości aż po grób.

- Znaj moje dobre serce. Dałam ci dodatkowe pięć minut. - Odwróciła się, żeby mu się przyjrzeć. Miał na sobie czarne szorty i białą koszulę, a jego włosy były jeszcze lekko wilgotne. Pokiwała głową z uznaniem. - Jednak się opłacało.

- O co chodzi, Jackie? - zapytał. Jej jawne pochwały nadal wprawiały go w zażenowanie.

- Już ci mówiłam. Porywam cię. - Podeszła bliżej i objęła go. - I nie próbuj uciekać, bo i tak cię dopadnę. - Wtuliła twarz w jego szyję. - Uwielbiam zapach twojej wody po goleniu.

- Co jest w tym pudle?

- Niespodzianka. Usiądź i zjedz zupę mleczną.

- Zupę mleczną?

- Nie samą szarlotką człowiek żyje, Nathan. - Pocałowała go. - Zjedz też banana. - Podeszła do stołu i po namyśle wzięła dwa. Obierając je, zaczęła wyjaśniać swój plan: - Możesz uważać się dziś za mojego zakładnika. W ten sposób ułatwisz mi zadanie.

- Jakie znów zadanie?

- Ciężko pracowaliśmy przez ostatnie dni - no, może z wyjątkiem jednego, pamiętnego dnia. - Uśmiechnęła się i odgryzła kawałek banana. - Ale on też był dość wyczerpujący. Dlatego - poklepała torbę - lodówkę - zabieram cię na wycieczkę.

- Rozumiem. - Nathan wkroił banana do miski z owsianką. - Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

- Nie, byle gdzie. Skończ śniadanie, a ja zaniosę te rzeczy do łodzi.

- Do łodzi? - Nathan zastygł ze skórką od banana w ręku. - Do mojej łodzi?

- Oczywiście. - Biorąc pojemnik, odwróciła się z uśmiechem. - Bardzo cię kocham, Nathan, ale wiem, że nawet ty nie potrafisz chodzić po wodzie. A tak przy okazji, zaparzyłam ci kawę. Pospiesz się, dobrze?

Nathan rzeczywiście się pospieszył, bo znacznie bardziej interesowało go, co też Jackie chowa w zanadrzu niż miska wystygłych płatków. Skończył jeść, wyłączył radio i poszedł sprawdzić frontowe drzwi. Jackie zostawiła je oczywiście otwarte. Zamknął je na klucz i na zasuwę, po czym wyszedł na dwór. Jackie pakowała właśnie wszystko do łodzi. Na głowie miała daszek, chroniący od słońca, w kolorze pomarańczowym, takim samym jak jej szorty i okulary słoneczne.

- Gotowy? - zapytała. - Możesz odcumować?

- Ty kierujesz?

- Oczywiście. Można powiedzieć, że urodziłam się na łodzi. - Wsunęła się za kierownicę i zerknęła przez ramię na wahającego się Nathana. - Możesz mi zaufać. Sprawdziłam trasę na mapie.

- Skoro tak... - Czy miało to znaczyć, że składa swoje życie w jej ręce? Kręcąc głową, odcumował, a potem wskoczył na pokład.

- Masz tu krem z filtrem przeciwsłonecznym. - Podała mu tubkę. - Co byś powiedział na St. Thomas? - zapytała, kiedy odbili od nabrzeża.

- Jackie... .

- Żartuję. Pomyślałam sobie, że to byłaby niezła zabawa, gdybyśmy przepłynęli całą trasę wzdłuż wybrzeża. Wzięlibyśmy sobie urlop na całe lato i po prostu byśmy popłynęli.

On również o tym myślał jako o czymś, na co może znajdzie kiedyś czas. Na przykład na emeryturze. W ustach Jackie zabrzmiało to tak realnie, że gotów był ruszyć w podróż choćby jutro. Prawdę mówiąc, miał nawet na to ochotę.

Spojrzał na Jackie i pomyślał z uznaniem, że świetnie radzi sobie za kierownicą. Może i nie pamięta, żeby zamykać drzwi, ale jak już się za coś weźmie, robi to doskonale. Teraz, z ręką niedbale opartą na kierownicy, zręcznie prowadziła łódź przez wody kanału. Nawet gdy nabrali prędkości, nie poczuł niepokoju.

- Wybrałaś dobry dzień na porwanie.

- Też mi się tak wydaje. - Rozsiadła się wygodniej i posłała mu uśmiech.

Łódź prowadziła się niemal sama. Tak jak Jackie przypuszczała, Nathan utrzymywał ją w idealnym stanie. Była to jedna z jego zalet, które budziły w niej podziw. Nathan z zasady dbał o wszystko, co do niego należało. Ona zaś, jak wielu innych, często zaniedbywała to, co już miała. Musiała przyznać, że nauczyła się od niego dumy posiadacza i łączącej się z tym odpowiedzialności. Pomyślała, że skoro należy teraz do Nathana, może chyba mieć nadzieję, iż będzie dbał o nią z takim samym poświęceniem.

Za bardzo się spieszysz, zganiła się myślach. Jak zwykle zresztą. Rozwaga także była czymś, czego nauczyła się od Nathana. Na razie powinno jej wystarczyć, że przestał patrzeć na nią z przerażeniem za każdym razem, gdy wyznawała mu miłość. Już samo to, że godził się przyjąć do wiadomości jej wyznanie, oznaczało gigantyczny krok w przód. Może przyjdzie czas, gdy Nathan pogodzi się z myślą, że i on jest w niej zakochany.

Zresztą miała niezachwianą pewność, że Nathan ją kocha. Nie były to jedynie pobożne życzenia. Widziała to w jego oczach, kiedy na nią patrzył, czuła, gdy jej dotykał. Właśnie dlatego tak trudno przychodziło jej czekać.

Jackie zawsze domagała się natychmiastowej nagrody. Już jako dziecko uczyła się błyskawicznie i z miejsca wykorzystywała nabyte umiejętności, żeby jak najszybciej zainkasować nagrodę. Dopiero pisząc powieść, odkryła, że wiązać się z tym jeszcze inne przyjemności prócz opowiedzenia ciekawej historii oraz że na pewne rzeczy warto poczekać. Na to, by dostać Nathana, gotowa jest czekać całe życie.

Skręciła w odnogę kanału, której brzegi porastały gęste krzewy. Z trudem mogły tam przepłynąć obok siebie dwie łódki. Woda, ciemna i tajemnicza toczyła swe wody, a oślepiające słońce zwiastowało nadchodzące lato. Ptaki, spłoszone terkotaniem silnika, zerwały się z drzew.

- Płynąłeś kiedyś Amazonką?

- Nie. - Nathan odwrócił się do Jackie. - A ty?

- Jeszcze nie - odparła, wzruszając ramionami, jakby to było jakieś drobne przeoczenie. - Pewnie tam jest tak jak tu. Brunatna woda i groźne bestie kryjące się w gąszczu. Czy tutaj są krokodyle albo aligatory?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Będę musiała to sprawdzić. - Lśniaca, szafirowa ważka przykuła jej uwagę. Przemknęła tuż nad wodą, nawet jej nie drasnawszy, i znikła w szuwarach. - Jak tu pięknie - westchnęła Jackie i raptownie zgasła silnik.

- Co robisz?

- Słucham.

W ciszy, która nagle zapadła, rozkrzyczały się ptaki, a wkrótce owady dołączyły się cienkim chórem. Coś plusnęło raz i drugi - to żaba połknęła muchę na śniadanie. Nawet woda miała swój własny odgłos - niski, mrukliwy, wręcz zachęcający do słodkiego nieróbstwa. Gdzieś w oddali dał się słyszeć szum innej motorówki.

- Dawniej uwielbiałam takie wycieczki - odezwała się Jackie. - Wyciągałam siłą któregoś z braci i.. .

- Nie wiedziałem, że masz braci.

- Mam, i to dwóch. Na szczęście obaj odziedziczyli zainteresowania po ojcu, dlatego ja mogę robić to, na co mam ochotę.

Nie widział jej oczu, gdy to mówiła, ale sądząc po jej tonie, gościł w nich uśmiech.

- Nigdy nie miałaś ochoty robić kariery w rodzinnej firmie?

- Wielki Boże, nie! To znaczy, kiedy miałam sześć lat, chciałam zostać prezesem rady nadzorczej. Potem doszłam do wniosku, że wolę być neurologiem. Tak że w sumie ulżyło mi, kiedy Ryan i Brandon zwolnili mnie od tych wszystkich obowiązków. - Zsunęła tenisówki i pokręciła stopami. - Zawsze uważałam, że trudno być synem wymagającego ojca, nie chcąc przy tym iść w jego ślady. - Rzuciła to jakby od niechcienia. Nathan milczał. Pomyślała, że widocznie trafiła w sedno. Otworzyła usta, żeby o coś zapytać, ale się rozmyśliła. Wszystko w swoim czasie. - W każdym razie, chociaż często musiałam uciekać się do szantażu, by wyciągnąć któregoś z braci na wycieczkę, uwielbiałam siedzieć przy ognisku i słuchać odgłosów przyrody.

- A dokąd jeździłaś?

- Ach, tu i ówdzie. Najbardziej lubiłam wypady do Arizony. Pustynia ma w sobie coś niesamowitego. Zwłaszcza gdy człowiek siedzi nocą przed namiotem, - Uśmiechnęła się. - Oczywiście nigdy nie miałam też nic przeciwko temu, żeby sobie pomieszkać w apartamencie



prezydenckim jakiegoś eleganckiego hotelu. Wszystko zależy od nastroju. Chcesz teraz poprowadzić łódkę?

- Nie. Widzę, że świetnie ci idzie.

- Przykro mi to mówić, ale co ty możesz wiedzieć na ten temat? - Jackie ze śmiechem zapuściła silnik i poprowadziła łódź bocznymi kanałami i przesmykami, a potem, kiedy wypłynęli na szersze wody, parokrotnie okrążyła statek wycieczkowy, machając radośnie do turystów. Przez jakiś czas płynęła jego śladem, oglądając położone nad kanałem rezydencje.

Domy były naprawdę piękne - solidne, z kolumnami i basenami kąpielowymi, otoczone zielenią. Jackie podziwiała zwłaszcza tonące w kwiatkach ogrody. A kiedy mijała ich jakaś łódź, rozśmieszała Nathana wymyślonymi na poczekaniu opowieściami o jej pasażerach.

W końcu zatrzymali się na piknik w cieniu palm i cyprysów. Zaserwowała bulion w papierowych kubeczkach i kraby, które jedli plastikowymi widelczykami, i słodkie, lepkie bezy. Jackie namówiła Nathana, żeby zdjął koszulę i wysmarowała mu plecy kremem, rozważając przy tym możliwość napisania kolejnej książki, której akcja rozgrywałaby się w Everglades.

Zauważyła przy tym, że Nathan jest odprężony. Podobnie jak ona sama - co z kolei Nathan mógł stwierdzić, kiedy to on smarował jej plecy.

Kiedy spakowali resztki jedzenia i naczynia do pojemnika, Jackie ujęła kierownicę, mówiąc, że koniec z porannym nieróbstwem. Zawrócili i popłynęli do portu Everglades, w którym tłoczyły się statki wycieczkowe i eleganckie jachty. Wiał chłodny wietrzyk, a powietrze wibrowało gwarem i śmiechem.

- Byłeś tu kiedyś?! - krzyknęła Jackie.

- Tak, ale nieczęsto tu zaglądam.

- Przecież tutaj jest fantastycznie! Pomyśl tylko o tych wszystkich portach, z których przyplývają te statki. I dokąd później płyną. Setki, tysiące ludzi zawijają tu w drodze do - sama nie wiem.. . Meksyku, a może na.. ?

- Nad Amazonkę?

- Tak. - Zatoczyła ze śmiechem koło, wzniecając pieniste fontanny. - Na świecie jest tyle ciekawych miejsc. Człowiek zbyt krótko żyje, żeby móc wszędzie pojechać.

- Zawrócili pod wiatr. Włosy tańczyły jej wokół twarzy.

- Właśnie dlatego wracam.

- Na Florydę?

- Nie. Do rzeczywistości.

Roześmiała się i pozdrowiła pasażerów płynącej z przeciwka łodzi, a potem ruszyła dalej.

Wczesnym popołudniem przybili do molo. Jackie kazała Nathanowi zacumować łódź, a sama wyjęła ze skrytki torebkę.

- Dokąd teraz idziemy? - zapytał. Wyciągnął rękę i pomógł jej wyskoczyć na brzeg.

- Na zakupy.

- Po co?

- Po byle co. Może nawet po nic. - Trzymając się za rękę, ruszyli wzdłuż promenady. - Wkrótce zaczną się wakacje. Za kilka tygodni zwałą się tu całe tłumy letników.

- Nawet mi o tym nie mów - westchnął z niechęcią.

- Daj spokój, Nathan, nie marudź. Ludzie muszą się gdzieś rozerwać. Pomyślałam sobie, że wtedy w sklepach będzie tłok. Mnie to bawi, ale ciebie nie, dlatego zrobimy to teraz.

- Ale co?

- Pochodzimy sobie po sklepach - wyjaśniła cierpliwie. - Pobawimy się w turystów, kupimy trochę pamiątek, koszulek z nadrukami, a dla ciebie popielniczkę z muszelek.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że o mnie pomyślałaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie. - Cmoknęła go w policzek. - Wydaje mi się, że nieczęsto tu przyjeżdżasz.

- Rzeczywiście, masz rację - przyznał.

- No to pora, żebyś wreszcie polubił takie wyprawy. - Poprawiła pomarańczowy daszek nad czołem. - Słusznie postąpiłeś, przenosząc się na wschód, do Fortu Lauderdale, bo to miejscowość rozwojowa. Ale chyba rzadko spacerowałeś po plaży?

- Myślałem, że idziemy na zakupy, a nie na spacer.

- To przecież to samo. - Jackie objęła go w pasie. - Z tego, co wiem, nie masz ani jednego podkoszulka z emblematem piwa, portretem gwiazdy rocka czy jakimś świńskim cytatem.

- Aż strach pomyśleć, ile przez to straciłem.

- No właśnie. Dlatego pomogę ci naprawić to zaniedbanie.

- Jackie! - Nathan przystanął i położył ręce na jej ramionach. - Proszę cię, darujmy to sobie.

- Jeszcze mi będziesz dziękować.

- Gotów jestem pójść na kompromis. Kupię sobie krawat.

- Pod warunkiem, że będzie na nim goła syrenka.

Jackie znalazła dokładnie to, o co jej chodziło, na obrzeżach Las Olas Boulevard. W labiryncie bocznych uliczek ulokowały się dziesiątki sklepików, w których można było dostać dosłownie wszystko - od masek do nurkowania po prawdziwe szafiry. Jackie wmówiła Nathanowi, że to dla jego dobra, po czym zaciągnęła go do zatłoczonego sklepu, którego drzwi strzegły dwa purpurowe flamingi.

- Stały się zbyt popularne - zwróciła się do Nathana, wskazując ptaki. - Ale i tak je lubię. Och, popatrz, mają tu coś, co zawsze chciałam mieć. Jak myślisz, jaką wygrywa melodię? - Sięgnęła po najohydniejszą rzecz, jaką Nathan w życiu widział - oklejoną muszelkami szkatułkę z pozytywką. Jak się okazało, grała „Moon River”.

- Nie. - Kiedy usłyszała melodię, potrząsnęła głową - Mogę się bez niej obejść.

- Chwała Bogu.

Jackie odłożyła pozytywkę na półkę i zaczęła buszować między regałami, pełnymi równie niegustownych pamiątek.

- Wiem, że wolisz rzeczy estetyczne i harmonijne, ale czasami trzeba wykonać jakiś gest w stronę tego, co brzydkie i bezużyteczne.

- Tak, ale może nie tutaj. Przecież to są prezenty dla dzieci.

- A może to?

- Nie - powiedział, kiedy pokazała mu pelikana zrobionego z muszli ostryg. - Dzięki za pomysł, ale błagam cię, tylko nie to.

- Tylko w celach poglądowych. Musisz przyznać, że to ma w sobie jakiś wdzięk - roześmiała się, bo Nathan uniósł wymownie brwi. - Naprawdę. Wyobraź sobie, na przykład, młodą parę w podróży poślubnej. Chcą sobie kupić jakiś drobiazg, który by im przypominał ich miodowy miesiąc. Potrzebują czegoś, na co będą mogli popatrzeć za dziesięć lat i powspominać ten piękny czas, zanim w ich życiu pojawiły się opłaty za ubezpieczenie i mokre pieluchy. - Uśmiechnęła się do ptaka. - Oto i on.

- Pelikan nie pasuje. Tym bardziej z muszelek.

- Trochę więcej wyobraźni - powiedziała z westchnieniem. - Tego ci wyraźnie brakuje. - Z udanym żalem odstawiła pelikana na półkę, a kiedy Nathan pomyślał, że jest już bezpieczny, zaciągnęła go do wieszaków z podkoszulkami. Najpierw spodobał jej się pomarańczowy, z aligatorem popijającym wino w hamaku. Jednak po namyśle wyciągnęła inny, z wyszczerzającym zęby rekinem w ciemnych okularach.

- To ty - powiedziała ponuro.

- Niby dlaczego?

- Bo nie tylko jesteś drapieżnikiem, ale - jak wszystkie rekiny - jesteś samotnikiem. Ciemne okulary symbolizują potrzebę prywatności.

Nathan obejrzał podkoszulek, marszcząc brwi, a potem stwierdził:

- Wiesz co, nie znalazłem nikogo, kto by dorabiał filozofię do podkoszulków.

- Suknia zdobi człowieka. - Jackie zarzuciła sobie podkoszulek na ramię i dalej buszowała. Kiedy zatrzymała się przy wieszaku z krawatami w jaskrawe rybki, Nathan postawił kategoryczne weto.

- Nie, Jackie, nie ma mowy. Nie włożę tego nawet dla ciebie.

W tej sytuacji Jackie musiała się zadowolić samym tylko podkoszulkiem. A potem przegoniła Nathana przez dziesiątki sklepików, aż wreszcie fluorescencyjne palmy, plastikowe kubki i słomkowe kapelusze zwały mu się przed oczami w jedno. Kupowała według fantazji, nie zwracając uwagi na styl czy pożytek. A na koniec, w przypiływie natchnienia, wysłała ojcu olbrzymią papugę z papiermache.

- Mama na pewno każe mu to wynieść do biura, ale ja wiem, że będzie zachwycony. Tata ma wspaniałe poczucie humoru.

- Czy to po nim je odziedziczyłaś?

- Chyba tak. - Z rękami na biodrach obróciła się wokół własnej osi, żeby się upewnić, czy czegoś nie przeoczyła - Chodźmy jeszcze do tego sklepiku z biżuterią. Może znajdzie się tam coś dla mamy. - Wsunęła kwit do kieszeni i wzięła z rąk Nathana dwa pakunki. - Trzymasz się jeszcze?

- Jeżeli się dobrze bawisz.. .

- Jesteś słodki. - Wychyliła się do przodu, żeby go pocałować. - Kup sobie loda.

- Ty sobie kup.

- Dobrze - roześmiała się Jackie. - Kiedy tylko znajdę coś gustownego dla mojej matki.

Po jakimś kwadransie wybrała hebanową zapinkę, inkrustowaną perłami - elegancką i w doskonałym guście.

Zakup ten uświadomił Nathanowi dwie prawdy - po pierwsze, Jackie rzadko patrzyła na ceny. Tak rzadko, że nabrał pewności, iż cena nie grała dla niej żadnej roli, jeśli się już na coś zdecydowała. A po drugie, zapinka była zarazem tradycyjna i elegancka - jakże niepodobna do pstrej papugi, którą kupiła ojcu.

Czyżby jej rodzice rzeczywiście tak bardzo się od siebie różnili?

Nathan żył w przekonaniu, że dzieci dziedziczą po rodzicach zarówno ich zalety, jak i wady. Ale gdzie w tym systemie mieściła się Jackie, która z pewnością w niczym nie

przypominała kobiety noszącej klasyczną, elegancką biżuterię. Na pewno nie miała też zbyt wiele wspólnego z mężczyzną, który całe dorosłe życie spędził w świecie finansjery.

Chwilę później pojawił się zupełnie inny problem - otóż Jackie postanowiła wypożyczyć tandem.

- Jackie, nie uważam, żeby.. .

- Włóż te pakunki do koszyka, Nathan, dobrze? - Poklepała go po rękę i już płaciła za wynajem.

- Posłuchaj, od lat nie jeździłem na rowerze.

- Nie bój się, wszystko sobie przypomnisz. - Po zakończeniu transakcji odwróciła się do niego z uśmiechem. - Siądę z przodu, jeżeli nie czujesz się pewnie.

Może i nie chciała mu dokuczyć, ale Nathan nie dałby sobie uciąć za to głowy. Urażony, wskoczył na przednie siodełko.

- Wsiadaj - powiedział. - Pamiętaj, sama się to prosiłaś!

Okazało się, że Jackie miała rację. Nathan z miejsca sobie wszystko przypomniał. Pedalowali gładko i spokojnie przez uliczki portu aż do falochronu ciągnącego się wzdłuż wybrzeża.

Jackie była zadowolona, że Nathan objął prowadzenie. Dzięki temu mogła bez przeszkód podziwiać piękne widoki. Co zresztą robiłaby także i wtedy, gdyby to ona siedziała z przodu. Musiałaby jednak uważać na samochody i przechodniów. A Nathan z pewnością zrobi to lepiej. Jest bardzo uważny i odpowiedzialny. To kolejny z powodów, dla których go pokochała.

Starając się dopasować rytm do tempa Nathana, patrzyła na jego ramiona. Takie mocne i męskie. Aż chciałoby się wesprzeć na takim ramieniu. To dziwne, bo dotąd nie miała podobnych potrzeb. Obudziły się w niej dopiero wtedy, gdy poznała Nathana.

Z radością skonstatowała, że Nathan, podobnie jak ona, cieszy się z ich wyprawy. Częściej mógłby przeżywać takie miłe dni. Oczywiście nie codziennie, bo pewnie nie zgodziłby się na podobne improwizacje. Ale dość często, pomyślała - i nagle zaczęła żałować, że dzieląca ich odległość nie pozwala na to, by mogła się do niego przytulić.

Nathanowi nigdy nawet nie przyszło do głowy, że mógłby pedałować wzdłuż wybrzeża - i to z przyjemnością! Prawdę mówiąc, rzadko bywał w tej części miasta. Tutaj gromadzili się głównie turyści oraz młodzież. Jackie odkryła przed nim nie tylko nieznanne mu rejony miasta, w którym mieszkał od dziesięciu lat, ale i nowe aspekty życia - a przecież dawno skończył trzydzieści lat.

Zaskakiwała go co chwila, a on nigdy dotąd nie przypuszczał, że niespodzianki mogą kryć w sobie tyle świeżości i uroku. Przez kilka godzin ani razu nie pomyślał o Denver czy o jutrzejszych obowiązkach. Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślał o tym, co będzie jutro.

Liczył się tylko dzień dzisiejszy - jasne słońce, szafirowa woda oraz złocisty piasek. Roześmiane dzieci na plaży, zapach olejków do opalania, spacerowicze na promenadzie, krzyczące mewy.

Po drugiej stronie ulicy ręczniki kąpielowe powiewały na balkonach obskurnego hoteliku. Zapachniało hot dogami. Ktoś sprzedawał dzieciom kolorowe lody na patyku. Nagle sam nabrał ochoty na loda.

Spojrzał w górę. Po niebie szybował kolorowy latawiec w kształcie osy. Właśnie złapał wiatr i wzbijał się ostro w górę. Z małego samolotu posypały się ulotki, reklamujące jedną z lokalnych knajpek.

Nathan chłonał to wszystkimi zmysłami, zastanawiając się, czemu nie doceniał dotąd uroków plaży. Może to dlatego, że był wtedy sam?

Wiedziony impulsem, dał Jackie znak, że chce się zatrzymać.

- Jesteś mi winna lody.

- Pamiętam. - Lekko zeskoczyła z siodełka, pocałowała go, a potem podeszła do sprzedawcy. Zakup lodów zajął jej znacznie więcej czasu niż wybór broszki za pięćset dolarów. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydowała się na lody czekoladowo - waniliowe z orzechami.

Schowała drobne monety do kieszeni, odwróciła się i spojrzała na Nathana. Trzymał w ręku duży, pomarańczowy balonik.

- Pasuje do twojego stroju - powiedział, zawiązując jej wstążkę wokół nadgarstka.

Nagle zachciało jej się płakać. Pod powiekami poczuła wzbierające łzy. Wprawdzie była to tylko kolorowa gumowa kula na sznurku - ale jednak symbol! Wiedziała już, że kiedy powietrze ujdzie z balonika, zachowa go między stronicami książki jak zaszuszoną różę.

- Dzięki - wyszeptała, wręczyła mu lody, po czym zarzuciła mu ręce na szyję.

Przytulił ją mocno, starając się nie okazywać zmieszania. Jak należy postępować wobec kobiety, która płacze z powodu głupiego balonika? Myślał, że będzie się śmiała. Całując ją w skroń, przypomniał sobie, że Jackie jest osobą absolutnie nieprzewidywalną.

- Nie ma za co - mruknął.

- Kocham cię, Nathan.

- Chyba rzeczywiście tak - przyznał, wstrząśnięty, a zarazem dziwnie rozradowany. Co ma począć z tą kobietą? Z nimi obojgiem?

Jackie dostrzegła zmarszczone brwi i delikatnie pogłaskała go po policzku. Jest jeszcze tyle czasu. Mnóstwo czasu, powiedziała sobie, wzdychając w duchu.

- Lody ci się topią! - Pocałowała go w usta. - Może usiądziemy na chwilę? A potem przebierzesz się w nową koszulkę.

Nathan z czułością otoczył dłońmi jej twarz. Jackie jest naprawdę urocza. Justine nie myliła się - wpadł po uszy.

- Nie mam zwyczaju przebierać się na ulicy. Jackie wzięła go z uśmiechem za rękę.

Zjedli lody i posiedzieli na ławeczce, a kiedy pedałowali z powrotem do miasta, Nathan miał na sobie podkoszulek z rekinem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jackie, stojąc w progu, patrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem. Kiedy znalazł się w uliczce, pomachała Nathanowi ręką. Przez chwilę w ciszy poranka słychać było tylko zamierający odgłos silnika. Potem usłyszała śmiechy i gwar - to dzieci z sąsiedztwa wsiadały do szkolnego autobusu. Trzasnęły drzwi, padły ostatnie napomnienia i pożegnania, po czym autobus także odjechał.

Miłe odgłosy, pomyślała Jackie, opierając się o framugę. Jest coś kojącego i przyjemnego w ich codziennej powtarzalności.

Zaczęła się zastanawiać, czy podobnie reagują żony żegnające mężów po wspólnym wypiciu porannej filiżanki kawy, a przed rozpoczęciem dnia pracy. Czy one także czuły zadowolenie, że bezpiecznie wyprawiły męża do pracy, a z drugiej strony żal na myśl o tym, że nie będzie go w domu przez wiele godzin?

W końcu odeszła od drzwi - oczywiście zapominając o tym, żeby je zamknąć - i ruszyła w głąb domu. Po drodze przypomniała sobie, że nie jest przecież żoną i dla własnego dobra nie powinna nawet o tym myśleć. Nathan, co by mówić, nie dojrzał jeszcze do ślubnych obrączek.

Zresztą, nie powinno to mieć dla niej większego znaczenia.

Poszła na górę. Pani Grange zaczęła już sprzątać w kuchni, a ona sama miała dość pracy na cały dzień. Wieczorem, po powrocie Nathana, zjedzą kolację i pogawędzą, jak stare, dobre małżeństwo.

Czemu tak jej na tym zależy?

Czuła się z Nathanem szczęśliwa, znacznie szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Bez niego takie szczęście nie byłoby możliwe. Nathan troszczył się o nią i nawet jeśli wciąż robił to w pewnych ściśle określonych przez siebie granicach, i tak dawali sobie nawzajem znacznie więcej niż inni ludzie.

Nathan, na przykład, znacznie częściej się śmiał. Świadomość, że jej to zawdzięcza, napawała Jackie radością. Kiedy go obejmowała, nie był już taki spięty. Ciekawe, czy wiedział też, że obejmuje ją i tuli przez sen? Chyba raczej nie. To jego podświadomość pogodziła się już z tym, że należeli do siebie. Że są dla siebie stworzeni. Jednak jeszcze trochę potrwa, zanim Nathan to sobie uświadomi.



Dlatego musi być cierpliwa. Dopiero znajomość z Nathanem uzmysłowiła jej, jak wielkie są pokłady jej cierpliwości. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że natura obdarzyła ją taką zaletą.

Pod wpływem Nathana bardzo się zmieniła, z czego on pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy. Ona sama uświadomiła to sobie dopiero niedawno. Zauważyła, że częściej myśli o przyszłości i nie potrzebuje już różowych okularów. Zaczęła też doceniać rolę planowania - oczywiście nadal cieszyły ją miłe niespodzianki - rozumiała jednak, że szczęście i powodzenie nie zawsze zależą jedynie od impulsu.

Zaczęła inaczej patrzeć na życie. Wreszcie do niej dotarło, że odpowiedzialność niekoniecznie musi ciążyć. Może ona również sprawiać satysfakcję i dawać poczucie spełnienia. Doprowadzanie pewnych rzeczy do końca także stanowi istotny element życia. Nawet jeśli tempo trochę osłabło, a entuzjazm opadł. Nathan jej to pokazał.

Trochę wątpiła, czy potrafi mu to wytłumaczyć w taki sposób, by ją zrozumiał i zechciał jej uwierzyć. W końcu nie dała dotąd nikomu powodów do przypuszczenia, że potrafi być wrażliwa, godna zaufania i wierna. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Usiadła przy maszynie i spojrzała na kopertę leżącą obok stosu zapisanych kartek. Po raz pierwszy w życiu postanowiła poddać się próbie, aby się sprawdzić. Żeby udowodnić samej sobie, iż można na niej polegać. I nie tylko samej sobie, ale również Nathanowi i całej rodzinie.

Nie miała, niestety, żadnych gwarancji, że agent - choć życzliwie do niej nastawiony - przyjmie jej propozycję i uzna książkę za wartą publikacji. Choć nie obawiała się ryzyka, zawahała się przed następnym krokiem, jakim było włożenie maszynopisu do koperty.

Tym razem autentycznie bała się zaryzykować. Prawdę mówiąc, była śmiertelnie przerażona. I nie chodziło już tylko o opowiadzenie zajmującej historii od początku do końca. Gra toczyła się o jej przyszłość. Kiedyś naiwnie sądziła, że wszystko w jej życiu samo się ułoży. Teraz rozumiała, że jeśli w tej chwili zawiedzie, sama sobie będzie winna.

Nie mogła już, jak w innych przypadkach, twierdzić, że znalazła coś, co ją na jakiś czas bardziej zainteresowało.

Wiedziała już, że pisanie jest jej prawdziwą pasją i - choć może zabrzmie to głupio - wierzyła, iż sukces lub porażka jej książki są nierozzerwalnie związane z jej osobistym sukcesem lub porażką, czyli z Nathanem.

Zamknęła na moment oczy, zacisnęła kciuki i odmówiła pierwszą modlitwę, jaka przyszła jej do głowy - traf chciał, że było to „Aniele Boży” - a następnie wrzuciła kopertę do torby i przyciskając ją do piersi, zbiegła na dół.

- Pani Grange, muszę na chwilę wyjść. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Gospoia nawet na nią nie spojrzała.

- Miłej zabawy - mruknęła.

W piętnaście minut było po wszystkim. Jackie stała przed budynkiem poczty, przekonana, że popełniła życiowy błąd. Powinna jeszcze raz przejrzeć pierwszy rozdział. A teraz było już za późno. Zaklejona i ostemplowana koperta powędrowała do jakiegoś pracownika poczty, którego nawet nie знаła.

Nagle doszła do wniosku, że nie rozwinęła pewnych interesujących wątków, a charakterystyka szeryfa była niedopracowana. Powinien żuć tytoń. Tak! - a ona po prostu zapomniała. Wystarczyło zapchać mu usta prymką tytoniu, a książka z całą pewnością stałaby się bestsellerem.

Zawróciła w stronę drzwi, a potem się cofnęła. Pomyślała, że robi z siebie idiotkę. Jeżeli się nie uspokoi, gotowa się pochorować. Czując dziwną miękkość w kolanach, przysiadła na krawężniku i ukryła twarz w dłoniach. Kości zostały rzucone. Maszynopis ruszył w drogę do Nowego Jorku. Ze zdumieniem przypomniała sobie, że kiedyś planowała uczcić to szampanem. Teraz nie miała ochoty na żadne celebracje. Marzyła już tylko o jednym - żeby powlec się do domu i zagrzebać w łóżku.

A jeśli się myliła? Czemu nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się pomylić - co do książki, Nathana, co do samej siebie? Trzeba być patentowanym osłem, żeby postawić wszystko na jedną kartę, nie zostawiając sobie furtki.

Włożyła całe serce w tę książkę, a potem wysłała ją obcemu człowiekowi, który będzie o wszystkim decydował. Ona, jako autorka, nie będzie miała prawa głosu. Biznes to biznes.

Oddała swoje serce Nathanowi. Podała mu je jak na dłoni i próbowała mu je wmusić. Gdyby chciał jej teraz zwrócić to serce, choćby zrobił to delikatnie i taktownie, i tak byłoby już złamane.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Prychnęła, zdegustowana i otarła je wierzchem dłoni. Co za żaloszny widok! Oto dorosła kobieta siedzi na krawężniku i płacze, bo coś może się nie ułożyć po jej myśli. Wytarła nos i podniosła się. Cóż, jeśli jej się nie powiedzie, będzie musiała się z tym pogodzić. Zanim to nastąpi, spróbuje zrobić wszystko, żeby wygrać.

W południe Jackie siedziała przy barku w kuchni, oglądając najświeższe zdjęcia wnuków pani Grange.

- Ładne chłopaki. Ten tutaj, to.. . Lawrence, prawda?

- Tak, to jest Lawrence. Ma trzy latka. Niezły numer. Jackie uważnie przyjrzała się fotografii przedstawiającej małego urwisa o umorusanej buzi.

- To musi być niezły czaruję. Często ich pani widuje?

- Och, od czasu do czasu. Ale o wiele za rzadko. Dzieciaki tak szybko rosną. O, to jest Anne Marie, jest do mnie bardzo podobna. - Pani Grange postukała palcem w fotografię dziewczynki ubranej w niebieską sukienkę z falbankami. - Trudno w to uwierzyć - poklepała się po tęgim udzie - ale byłam kiedyś niczego sobie. I o parę kilo lżejsza.

- Nadal jest pani przystojną kobietą. - Jackie podsunęła jej talerz sałatki i szklanę soku. - Poza tym, ma pani wspaniałą rodzinę.

Pani Grange pokiwała głową.

- Rodzina potrafi człowiekowi wiele wynagrodzić. Miałam osiemnaście lat, kiedy uciekłam z Clintem. Powiem pani, że było na co popatrzeć. Gibki jak wąż, a przebiegły jak dwa węże. - Zachichotała, jak to stara kobieta, która opowiada o błędach młodości. - Można powiedzieć, że wpadłam po uszy. - Jadła przez chwilę w milczeniu, a potem, zachęcona życzliwym uśmiechem Jackie, mówiła dalej: - Dziewczyny w tym wieku nie mają za grosz rozumu, a ja nie byłam żadnym wyjątkiem. Mówili mi, żeby się nie spieszyć, ale kto by tam słuchał.

- Ludzie, którzy to mówią, pewnie sami nigdy nie mieli na tyle szczęścia, żeby wpaść po uszy.

Rozumowanie Jackie przypadło pani Grange do gustu. Uśmiechnęła się z aprobatą.

- Racja, i nie mogę powiedzieć, że bym żałowała, chociaż mając dwadzieścia cztery lata wylądowałam w ciasnym mieszkanku bez męża i bez grosza przy duszy, za to z czwórką maluchów, które musiałam nakarmić. Clint zostawił nas na lodzie, tak z dnia na dzień.

- Współczuję pani. To musiało być straszne.

- No, bywałam w lepszej sytuacji. Czasami człowiek dostaje to, o co sam się prosił.. A ja przecież sama się prosiłam o Clint Grange'a, tego podłego gada.

- Co pani zrobiła, kiedy was zostawił?

- Najpierw płakałam przez całą noc i pół dnia. To mi nawet dobrze zrobiło, kiedy się tak nad sobą poużalałam, ale później dotarło do mnie, że moi chłopcy potrzebują matki, a nie jakiejś płaczki. Pomyślałam, że trzeba coś zrobić z tym bałaganem, w który sama się wpackowałam. No i zaczęłam chodzić po domach i sprzątać. Minęło dwadzieścia osiem lat, a ja dalej sprzątam. - Rozejrzała się po lśniącej kuchni i z satysfakcją pokiwała głową. - Dzieciaki dorosły, dwójka ma już własne rodziny. Można by powiedzieć, że Clint

wyświadczył mi przysługę, ale gdybym go spotkała na ulicy, na pewno bym mu za to nie dziękowała.

Jackie zrozumiała ostatnią część zdania, ale nie pierwszą. Mężczyzna, który porzucił żonę z czwórką małych dzieci, zasługiwał w najlepszym przypadku na stryczek.

- Dlaczego pani uważa, że mąż wyświadczył pani przysługę? - zapytała ze zdumieniem.

- Gdyby został z nami, nie byłabym tą samą matką i tym samym człowiekiem. Jedni zmieniają losy innych, kiedy się pojawiają w ich życiu, a inni, kiedy z niego znikają, - Pani Grange odsunęła pusty talerz. - Zapewniam panią, że nie uroniłabym jednej łzy, gdybym się dowiedziała, że stary Clint zebrze w rynsztoku.

Jackie roześmiała się.

- Powiem pani, że bardzo panią polubiłam.

- Ja też panią lubię, panienko Jackie, i mam nadzieję, że dostanie pani to, czego pani szuka u pana Powella. - Wstała, a później zawahała się. Była niezbyt skora do pochwał. - Pani należy do tych, co to zmieniają ludzkie życie, kiedy się w nim pojawiają. Pani zrobiła dużo dobrego dla pana Powella.

- Mam nadzieję, bo bardzo go kocham. - Jackie z westchnieniem oddała pani Grange zdjęcia. - To nie zawsze wystarczy, prawda?

- Lepsze to niż nic. - Gospośia poklepała Jackie po ramieniu i wróciła do swoich obowiązków.

Jackie pomyślała przez chwilę, pokiwała głową, a potem udała się na górę i ze zdwojonym zapalem zabrała się do pracy.

Pani Grange dawno już poszła, a Jackie wciąż siedziała w swoim pokoju. Wieczorem, po powrocie do domu, Nathan zastał ją przy maszynie. Była tak pochłonięta pisaniem, że zupełnie straciła rachubę czasu.

Zaintrygowany, przystanął w progu i przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Nigdy dotąd nie widział jej przy pracy, bo ilekroć wchodził na górę, odwracała się od maszyny, jakby podświadomie wyczuwając jego obecność.

Teraz palce jej śmigały po klawiszach jak w transie, po czym zamierały na moment, by znów podjąć galop. Co jakiś czas Jackie przerywała i zastygała ze wzrokiem wbitym w okno. Potem znowu zaczynała pisać, to marszcząc czoło, to się uśmiechając i pomrukując coś pod nosem.

Po jej prawej stronie leżał gruby plik kartek. Była to kopia tekstu, wysłanego do Nowego Jorku, o czym Nathan nie wiedział. Mimo to nagle przeraził się, że Jackie mogła już

być bliżej końca niż początku. Czy to nie egoizm z jego strony? Przecież dla niej to takie ważne. Zrozumiał to tego wieczora, kiedy przeczytała mu fragmenty swojej powieści. W tej sytuacji powinien raczej cieszyć się, że idzie jej tak dobrze, a nie martwić się, że już wkrótce skończy. Cóż, kiedy nie potrafił. Dla niego koniec powieści oznaczał również koniec ich romansu. I to on będzie tą stroną, która go zakończy.

Jackie mieszkała w jego domu od miesiąca. Tylko miesiąc, pomyślał, przeczesując z westchnieniem włosy. Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie zdołała przewrócić jego świat do góry nogami? On zaś, mimo wszystkich postanowień i planów, zakochał się w niej, co tylko pogorszyło sprawę. A skoro ją kochał, chciał przed nią roztoczyć miliardy nierealnych obietnic. Małżeństwo, rodzina, miłość aż po grób. Długie lata wspólnie przeżywanych nocy i dni. Co jednak mógł jej zaproponować? Jedyne ból i rozczarowanie.

Na szczęście od wyjazdu do Denver dzieliły go tylko dwa tygodnie. Już teraz związane z tym przygotowania zatrzymywały go w biurze do późnego wieczora. Za niespełna dwa tygodnie wsiądzie w samolot i odleci na zachód, daleko od Jackie. Pomyślał, że gdyby jej nie kochał, obiecałby jej złote góry, byle tylko mieć pewność, że zastanie ją w domu po powrocie.

Jednak Jackie zasługiwała na coś lepszego. Dlatego, wbrew sobie, postanowił nie dopuścić do tego, żeby zadowolila się półśrodkami.

A miał na to już tylko dwanaście dni.

Podszedł cicho do Jackie, a kiedy jej palce zatrzymały się na chwilę, położył dłonie na jej ramionach. Jackie poderwała się, wydając okrzyk przerażenia.

- Przepraszam - powiedział ze śmiechem. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Przestraszyć? Przez ciebie o mało nie umarłam ze strachu! - Opadła na krzesło, trzymając się za serce. - Czemu tak wcześniej wróciłeś?

- Przecież jest już po szóstej.

- Ach tak. To dlatego tak strasznie bolą mnie plecy. Słyszac to, Nathan zaczął delikatnie masować jej ramiona. Była to jedna z rzeczy, której się od niej nauczył.

- Od której piszesz?

- Nie wiem. Straciłam rachubę czasu. O tak.. . tutaj.. . dobrze.. . - westchnęła i poruszyła się na krześle. - Po wyjściu pani Grange miałam nastawić budzik, ale Burt Donley pojechał do miasta i.. . zapomniałam.

- Kto to jest Burt Donley?

- Człowiek wynajęty przez Samuela Carlsona. - Odwróciła głowę i spojrzała z uśmiechem na Nathana. - Burt zamordował ojca Sarah na polecenie Carlsona. On i Jake mieli

ze sobą na pieńku jeszcze od czasów Laramie. To wtedy Burt zabił najlepszego przyjaciela Jake'a, oczywiście strzałem w plecy.

- Oczywiście. - Nathan pokiwał głową.

- A jak tobie minął dzień?

- Bez większych atrakcji. Żadnych strzelanin, żadnych spotkań ze stęsknionymi kobietami.

- Masz szczęście, bo właśnie poczułam się bardzo stęskniona. - Wstała i zarzuciła mu ręce na szyję. - Pójdę na dół i zobaczę, co mamy na kolację. Pogadamy później.

- Jackie, naprawdę nie musisz codziennie gotować.

- Taka była umowa.

Zamknął jej usta pocałunkiem, znacznie dłuższym i bardziej namiętnym, niż miał to w planie. Kiedy się odsunął, zobaczył w jej oczach to ciepłe, rozmarzone spojrzenie, które zdążył pokochać.

- Nie uważasz, że wszystkie punkty naszej umowy wzięły w łeb?

- Lubię dla ciebie gotować, Nathan.

- Wiem - mruknął i poczuł się nagle bardzo nędznie. - Oboje mamy za sobą ciężki dzień. - Przyciągnął ją bliżej, pragnąc poczuć zapach jej włosów i ucałować jej skroń. Jego ręce bezwiednie wślizgnęły się pod bluzkę Jackie. - Chętnie sam bym ci coś przyrządził, ale boję się, że nie wzięłabyś tego do ust. W ostatnich czasach zrozumiałem, że moja kuchnia jest nie tylko zła, ale wręcz żenująca.

- Moglibyśmy zamówić pizzę.

- Świetny pomysł. - Nathan pociągnął ją w stronę łóżka. - Dopiero za godzinę.

- To jeszcze lepszy pomysł - przyznała Jackie, topniejąc w jego uścisku.

Później, grubo później, kiedy słońce już zaszło, a cykady rozpoczęły swoją serenadę, siedzieli w patiu nad pustym opakowaniem po pizzy, z kieliszkami wina w dłoniach. Milczeli i było im z tym dobrze. Zdążyli się już nasycić miłością i jedzeniem i czuli się jak stare, dobrane małżeństwo, które rozumie się doskonale nawet bez słów.

Księżyc, jasny i okrągły, zalewał wszystko hojnie swoją poświatą. Jackie wygodnie rozparła się w fotelu, wyciągnęła nogi i przymknęła oczy. Czowała się cudownie, mogłaby tak siedzieć całymi godzinami. Choćby do końca życia.

- Wiesz, co sobie pomyślałam, Nathan?

- H i M ? - Spojrzał na nią pytająco. W świetle księżycy wyglądała zupełnie inaczej niż w dzień. Pomyślał, że choć najlepiej zapamięta ją w blasku słońca, tryskającą energią,

czasami będzie wspominał ją właśnie taką, rozkosznie odprężoną, skapaną w srebrzystej poświacie.

- Słuchasz mnie?

- Nie, patrzę. Czasami jesteś naprawdę prześliczna. Uśmiechnęła się nieśmiało, a potem wychyliła się i wzięła go za rękę.

- Mów mi takie rzeczy, a w ogóle nie będę w stanie myśleć.

- Naprawdę wystarczy ci tak niewiele?

- Chcesz posłuchać, jaki mam pomysł?

- Nigdy nie jestem tak do końca pewny, czy chcę usłyszeć, jaki masz pomysł.

- Ale to dobry pomysł. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy wydać przyjęcie.

- Przyjęcie?

- Tak. Chyba wiesz, co to jest przyjęcie, Nathan? Towarzyskie spotkanie, często z muzyką, jedzeniem i piciem, podczas którego grupa ludzi zbiera się w celach rozrywkowych.

- Owszem, słyszałem o czymś takim.

- No to pierwsza przeszkoda już za nami. Minęło kilka tygodni, odkąd wróciłeś z Europy, a jeszcze nie spotkałeś się ze swoimi przyjaciółmi. Masz chyba jakichś przyjaciół, prawda?

- Paru może i mam.

- Druga przeszkoda też zaliczona. - Wyciągnęła leniwie nogi i pogłaskała go stopą w łydkę. - Jako człowiek sukcesu i ostoja naszego społeczeństwa - bo tak jest na pewno - masz obowiązek zabawiać ludzi od czasu do czasu.

Nathan uniósł brwi.

- Nigdy nie byłem niczyją ostoją, Jackie.

- I tu się mylisz. Każdy, kto tak nosi się jak ty, jest ostoją. - Uśmiechnęła się z uczuciem, że mile go polechtała. - Mężczyzna w każdym calu wytworny i elegancki - to właśnie ty, kochanie. Ostoją władzy i konserwatyzmu. Republikanin.

- Skąd wiesz, że jestem republikaninem?

- Nathan - powiedziała z wyrozumiałym uśmiechem - nie dyskutujmy o tym, co oczywiste. Miałeś kiedyś zagraniczny samochód?

- A co to ma do rzeczy?

- Tak naprawdę, nic. Twoje przekonania polityczne to wyłącznie twoja sprawa. - Poklepała go po ręce. - Jeżeli o mnie chodzi, jestem politycznym agnostykiem. O ile tacy w ogóle istnieją. Ale poczekaj, bo zbaczamy z tematu.

- Co nowego chcesz mi jeszcze powiedzieć?

- Wróćmy do sprawy przyjęcia. - Jackie zaświeciły się oczy. - Widziałam te twoje grube notatniki z adresami przy każdym telefonie. Jestem pewna, że da się z nich wybrać wystarczającą liczbę zabawowych ludzi, który chętnie przyjdą na każdą imprezę.

- Zabawowych ludzi? A co to takiego?

- Żadne przyjęcie nie uda się bez nich. To nie musi być nic wielkiego - wystarczy trochę gości, trochę kanapek i dobry nastrój. W twoim przypadku mogłoby to być przyjęcie powitalno - pożegnalne.

Nathan spojrział na nią uważnie. Jej słowa były żartobliwe, ale z oczu wyczytała powagę. Więc ona także myślała o jego wyjeździe do Denver. To takie do niej podobne - nie mówić wprost i nie zadawać żadnych pytań. Ścisnął ją mocno za rękę.

- Myślałaś o jakimś terminie?

Uśmiechnęła się. Skoro temat wyjazdu Nathana został wreszcie poruszony, mogła już zepchnąć go na dno podświadomości.

- Co powiesz na przyszły tydzień?

- Dobrze. Zadzwoń do agencji.

- Nie, przyjęcie to prywatna sprawa.

- I masa pracy.

Pokręciła głową. Nie potrafiła mu wyjaśnić, że potrzebowała czegoś, czym mogłaby zająć myśli.

- O nic się nie martw, Nathan. Jedno co umiem naprawdę, to organizować przyjęcia. Masz za zadanie zawiadomić znajomych, a ja zorganizuję całą resztę.

- Skoro tego chcesz.

- Chcę, i to bardzo. A teraz, kiedy już wszystko ustaliliśmy, może poszlibyśmy się wykapać?

Nathan spojrział na basen. Wyglądał tak zachęcająco, wręcz kusząco. Leniuchowanie także miało swoje uroki.

- Idź sobie popływać. Ja musiałbym się przebrać, a to dla mnie zbyt skomplikowane.

- Po co się przebierać? - Jackie wstała i jednym ruchem zrzuciła szorty.

- Jackie.. .

- Nathan.. . - powtórzyła, naśladując jego ton - pływanie nago przy świetle księżyca to jedna z największych przyjemności, jakie znam. - Cieniutkie majteczki upadły na podłogę, obok szortów. Już tylko obszerny podkoszulek okrywał uda Jackie. - Masz tu swój własny basen, tak doskonale odizolowany, że sąsiedzi musieliby chyba wejść na drabinę i wziąć



lornetki, gdyby nas chcieli podglądać. - Zrzuciła podkoszulek i stanęła przed nim naga, jak ją Pan Bóg stworzył. - A nawet gdyby rzeczywiście chcieli, niech sobie popatrzą.

Nathanowi zaschło w ustach. Przecież powinien się już do tego przyzwyczaić. Przez ostatnie tygodnie zdążył wielokrotnie obejrzeć każdy centymetr jej ciała. A jednak na widok Jackie, upozowanej na brzegu basenu, połyskującej w świetle księżyca, serce zaczęło mu głucho walić w piersi, jakby był nastolatkiem na pierwszej randce.

Jackie wyprostowała się, uniosła ręce, po czym wykonała skok do wody, żeby po chwili wynurzyć się ze śmiechem.

- Boże, tego mi właśnie było potrzeba. Kiedy jeszcze mieszkałam w domu, wymykałam się do ogrodu o pierwszej w nocy, żeby sobie tak popływać. Mama była przerażona, mimo że naszą posiadłość okalał dwumetrowy mur, a basen dodatkowo zasłaniały drzewa. Moim zdaniem, pływanie nago o pierwszej w nocy ma w sobie coś niebywale dekadentckiego. No to jak, przyłączysz się do mnie?

Nathan już i tak miał kłopoty z oddychaniem, więc tylko potrząsnął głową. Gdyby teraz wskoczył do basenu, daleko by nie dopłynął.

- I ty mi mówisz, że nie jesteś ostoją społeczeństwa? - roześmiała się Jackie. - No cóż, chyba będę musiała okazać się stanowcza, oczywiście dla twojego własnego dobra. - Podniosła z westchnieniem rękę i wycelowała w niego palcem. - W porządku, Nathan, wstawaj, tylko powoli! I pamiętaj, żadnych gwałtownych ruchów!

- Miej litość, Jackie!

- To nie są żarty - ostrzegła go. - Wstawaj i trzymaj ręce tak, żebym je mogła widzieć.

Dlaczego to robił? Może dlatego, że była pełnia. Posłusznie wstał i czekał na dalsze polecenia.

- Dobra, rozbieraj się! - Jackie oblizwała wargi. - Tylko powoli!

- Czyś ty zwariowała?!

- Nie błagaj o litość, Nathan, to żalosne. - Udała, że odwodzi kurek. - Nie wiesz, co kula z trzydziestki ósemki może zrobić z człowiekiem? Daję słowo, że to przykry widok.

Nathan wzruszył ramionami, po czym zdjął koszulę. Pomyślał, że ostatecznie może wejść do wody w szortach.

- Nie masz dość odwagi, żeby użyć trzydziestkę i ósemki.

- Lepiej się o to nie zakładaj - powiedziała szorstko, ale usta drgnęły jej w uśmiechu. - Jeszcze jeden krok w majtkach, a rozwalę ci kolano. Wtedy dopiero zrozumiesz, co to ból.

Nie ulegało wątpliwości - Jackie jest stuknięta. Mimo to nagle zdecydował się - zdjął szorty i pomyślał, że będzie zaskoczona, kiedy dołączy do niej w wodzie.

- Dobrze, bardzo dobrze - rzekła, lustrując go spojrzeniem. - A teraz reszta.

Patrząc jej w oczy, zsunął slipy.

- Wstydu nie masz - zauważył.

- Ani trochę. Pomyśl, jaki z ciebie szczęściarz. - Mówiąc to, gestykulowała ze śmiechem wyimaginowaną bronią. - A teraz wejdź do basenu, Nathan.

Wskoczył do wody i podpłynął do Jackie. Kiedy się wynurzył, zobaczył uśmiechniętą Jackie, unoszącą się na wodzie.

- Rzuciłaś broń - zauważył.

Z udanym zdziwieniem spojrzała na swoją otwartą dłoń.

- Rzeczywiście - przyznała.

- Muszę cię zrewidować, czy nie ukrywasz gdzieś noża - Zwrócił się w jej stronę, ale ona była szybsza. Zanurkowała głęboko i przepłynęła pod Nathanem. Kiedy wypłynął, była już o dwa metry przed nim.

- Nie trafiłeś - powiedziała z triumfalnym uśmiechem, czekając na jego kolejny ruch.

Zaczęli powoli krążyć wokół siebie, patrząc sobie w oczy. Jackie mocno przygryzła wargi, bo czuła, że jeśli zacznie się śmiać, kompletnie się pograży. Nathan był świetnym pływakiem, ale Jackie liczyła na swoją szybkość i zwinność.

Wypływała do przodu, robiła uniki. Zwodziła go i prowokowała. Przez następne kilka minut słychać było jedynie bzyczenie owadów i chlapanie wody. Nagle Nathan doznał olśnienia. Wystawił rękę z wody, jakby w niej coś trzymał.

- Zobacz, co znalazłem!

To wystarczyło, żeby rozśmieszyć Jackie. Wybuchnęła głośnym śmiechem. Nathan dogonił ją w dwóch ruchach.

- Oszust! Oszukałeś mnie! - Śmiejąc się, wyciągnęła ręce, żeby go objąć. A wtedy on chwycił ją mocno za włosy. Zdumiona tym szorstkim gestem, spojrzała mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, pozbawiło ją tchu. Tym razem to jej zaschło w gardle.

- Nathan.. . - tylko tyle zdołała wyjąkać, bo zaraz potem jego usta zaatakowały jej wargi.

Namiętność, jaka ich ogarnęła, była znacznie silniejsza i bardziej szalona niż kiedykolwiek przedtem. Nathan poczuł, że nerwy ma napięte do ostateczności. Jackie słyszała rozpaczliwe bicie swojego serca, tuż przy jego sercu, kiedy wpijał jej się w usta, jakby chciał ją całą pochłonąć. Język wdzierał się w głąb ust, pobudzany jej stłumionymi jękami. A jej ciało, z początku napięte jak struna, nagle zwiotczało, i wtedy oboje zanurzyli się pod wodę.

Zamknęła się nad nimi jak sklepienie. Ruchy ich stały się powolne, choć nie mniej zdecydowane. Chłodna, ciemna toń długo pieściła ich ciała, aż w końcu, spragnieni powietrza, wynurzyli się na powierzchnię, wciąż ciasno spleceni.

W Jackie wstąpił nowy duch. Przywarła do Nathana z odrzuconą głową, a on uniósł ją wysoko, tak by móc ssać jej chłodne, mokre piersi. Przy każdej pieszczocie czuła, jak jej puls zaczyna bić nowym, szaleńczym rytmem. Wbiła kurczowo paznokcie w jego ramiona, zostawiając na nich czerwone półksiężyce. A potem usta Nathana znów zaatakowały jej wargi.

Zanurzyła ręce pod wodę i zaczęła wodzić nimi gorączkowo po jego ciele. Poruszali się w zwolnionym tempie, ale myśl wyprzedzała każdy ruch, a pragnienie stawało się coraz silniejsze.

Nathan sięgnął pod wodę i natrafił na ciało Jackie - chłodne i zachęcające. Kiedy jej dotknął, wykrzyknęła jego imię. Ten dźwięk, rozlegający się w nocnej ciszy, wzmógł jeszcze jego szaleństwo. Przyparł ją do ściany basenu, a ona otworzyła się, drżąc z oczekiwania. Kiedy w nią wszedł, jęknęła z rozkoszy. Ręce opadły jej bezwładnie do wody, a Nathan już w niej był, tulił ją i poruszał się w jej wnętrzu.

Jej uniesiona ku górze twarz promieniała w świetle księżyca jakimś egzotycznym pięknem, ale Nathan mógł już tylko wtulić się w zagłębienie jej ramienia i dać się ponieść fali.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pewne osoby urodziły się po to, żeby bawić innych. Jackie zdecydowanie należała do grona tych osób. Dlatego nawet przykra świadomość, że Nathan za kilka dni wyjeżdża, nie zdołała zabić w niej postanowienia, że przyjęcie musi się udać.

Nadal pisała po osiem, a czasami nawet dziesięć godzin dziennie, zatracając się w innych czasach, innym romansie. A kiedy nie była przykuta do maszyny, układała menu i przygotowywała listy zakupów.

Uparła się, że sama zajmie się kuchnią, zdecydowała się jednak zatrudnić do pomocy i podawania panią Grange, której syn, przyszły nauczyciel, miał stanąć za barem.

Z radością powitała również Nathana. Zjawił się w kuchni na kilka godzin przed przyjęciem, i podwijając rękawy, zaproponował pomoc w przygotowywaniu zakąsek. Okazał się pełnym entuzjazmu, choć niezbyt zręcznym pomocnikiem, ale Jackie uznała, że jest rozczulający, i taktownie ukryła mizerne efekty jego wysiłków na samym spodzie tacy.

Z natury optymistka, założyła, że pogoda im dopisze, dlatego kazała wystawić stoliki do ogrodu, tak by goście mogli przechadzać się pod kolorowym lampionami. Ta niezachwiana wiara została wynagrodzona, kiedy po bezchmurnym dniu nadeszła ciepła, gwiazdzista noc.

Dawniej nie zwykła martwić się o to, czy przyjęcie się uda, jednak nie tym razem. Chciała, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik; chciała udowodnić Nathanowi, że pasuje do niego wszędzie, nie tylko w łóżku.

Miała na to już tylko kilka dni. Potem rozdzielią ich tysiące kilometrów. Czy mogła o tym nie myśleć? Co gorsza, Nathan nigdy jej nie powiedział, czego tak naprawdę od niej chce; czego chciałby dla nich obojga. Mimo to nie potrafiła uwierzyć, że nadal nie uznawał pojęcia „na zawsze”.

Nigdy też nie powiedział, że ją kocha. Ilekroć sobie o tym przypominała, serce ścisnęło jej się z bólu. Jednak nieraz okazywał jej uczucie - tyle tylko, że na inne sposoby. Na przykład często dzwonił do niej w ciągu dnia, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. Przynosił jej kwiaty - ze swojego ogrodu albo kupione na ulicznym straganie - akurat wtedy, gdy bukiety w wazonach zaczynały więdnąć. A kiedy kończyli się kochać, przygarniał ją czule do siebie i trwali tak jeszcze przez długie chwile, w błogim spełnieniu.

Pocieszała się myślą, że kobieta nie potrzebuje słów, kiedy ma wszystko, czego pragnęła.

A jednak tak bardzo chciała usłyszeć to najważniejsze wyznanie!

Z westchnieniem pomyślała, że, jak na razie, będzie musiała się zadowolić tym, co ma.

Ostatnią godzinę przed rozpoczęciem przyjęcia poświęciła wyłącznie sobie. Była to jedna z zasad, którą Jackie przejęła po matce. Nathanowi powiedziała, żeby zostawił ją na ten czas samą, bo będzie jej tylko przeszkadzał. Tkwiła w tym cząstka prawdy, ale Jackie chciała go również zaskoczyć. Nie życzyła sobie, by Nathan krok po kroku oglądał wszystkie prozaiczne przygotowania. Woląca zademonstrować mu ich końcowy efekt.

Pierwsza na liście była gorąca kąpiel z bąbelkami. Jackie zanurzyła się w wannie, nastawiła radio, a potem długo leżała ze wzrokiem wbitym w rozgwieżdżone niebo, po którym pojedyncze, drobne chmurki, przesuwają się jak kłębuszki cukrowej waty.

Po kąpeli zrobiła staranny makijaż. Chciała podkreślić swoją egzotyczną urodę i kiedy na zakończenie obejrzała twarz w lustrze, pod każdym możliwym kątem, z zadowoleniem stwierdziła, że udało jej się osiągnąć zamierzony efekt. Potem wtarła perfumy w kremie, a wreszcie sięgnęła po suknię, którą kupiła poprzedniego dnia.

Kiedy gotowa wyszła z pokoju, Nathan był już na dole. Usłyszała, jak rozmawiał z panią Grange, słyszała także szorstkie odpowiedzi gospośki. A ponieważ zawsze lubiła wielkie wejścia, położyła dłoń na poręczy i filmowym krokiem zaczęła schodzić na dół.

Jeżeli liczyła, że zrobi wrażenie, nie doznała zawodu. Nathan podniósł wzrok i na jej widok urwał w pół słowa. Skupiona na nim, nie zauważyła wysokiego, jasnowłosego chłopaka, stojącego obok pani Grange. Nie zauważyła także, że i on otworzył usta ze zdumienia.

Nic dziwnego - wyglądała tego wieczoru wręcz zjawiskowo. Twarz jej zdominowały oczy, podkreślone całą paletą brązowych cieni. Włosy - udane połączenie natury i sztuki fryzjerskiej - ciemną falą otaczały twarz. W uszy wpięła olbrzymie srebrne gwiazdy. A usta, dyskretnie pociągnięte błyszczkiem, były jedną kuszącą obietnicą.

Kiedy Nathan zdołał wreszcie oderwać wzrok od jej twarzy, żeby ocenić resztę, doznał kolejnego wstrząsu.

Jackie miała na sobie śnieżnobiałą suknię, zmysłowo otulającą jej ciało od biustu do kostek. Zrezygnowała z wieczorowej biżuterii, tylko nagie ramiona przyozdobiła tuzinem cieniutkich, srebrnych bransoletek.

Zatrzymała się u stóp schodów, po czym obróciła się z uśmiechem wokół własnej osi, odsłaniając przy tym rozcięcie z tyłu sukni, sięgające do pól uda.

- Jak ci się podoba?

- Jesteś zachwycająca.

Teraz ona z kolei przyjrzała mu się uważnie. Nikt nie potrafił nosić czarnego garnituru z taką klasą jak Nathan. Jego szerokie ramiona i muskularne ciało wyglądały w tym konserwatywnym stroju prowokacyjnie. Podeszła bliżej, żeby go pocałować. A potem, trzymając go za rękę, zwróciła się do pani Grange:

- Dziękuję, że zgodziła się pani pomóc nam dzisiejszego wieczoru. A to pewnie pani syn? Charlie, tak?

- Tak, proszę pani. - Młodzieniec ujął wyciągniętą rękę. Dłoń miał spoconą. Matka nie powiedziała mu, że panna Jackie to istna bogini.

- Miło mi cię poznać, Charlie. Twoja mama dużo mi o tobie opowiadała. Chodź, pokażę ci, gdzie urządziłam bar.

Chłopak stał jak oniemiały. Pani Grange dała mu kuksańca pod żebra.

- Ja mu pokażę wszystko co trzeba. Idziemy. Charlie poszedł z matką, której palce wpijały mu się w ramię, ale zanim odszedł, raz jeszcze rzucił Jackie rozmarzone spojrzenie.

- Chłopakowi na twój widok oczy wyskoczyły z orbit - stwierdził Nathan.

Jackie ze śmiechem ujęła go pod ramię.

- Miło mi to słyszeć.

- Mnie też zupełnie zatkało. Po prostu odebrało mi mowę.

Spojrzała mu w oczy. Sandaalki na wysokich obcasach sprawiły, że byli teraz niemal równego wzrostu.

- Bardzo miło mi to słyszeć.

- Jak ty to robisz, że nieustannie mnie zaskakujesz?

- Robię, co mogę, to wszystko.

Tego wieczoru Jackie pachniała jakoś inaczej - bardziej zmysłowo i upajająco. Nathan powiódł dłonią po jej nagim ramieniu.

- Wiesz co, nasze przyjęcie jeszcze się nie zaczęło, a już chciałbym, żeby się skończyło. Coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy w życiu. Co ty zrobiłaś z twarzą? - zapytał nagle.

- Tajemnica zawodowa, ale to nadal jestem ja, Nathan.

- Wiem. - Objął ją w talii. - Waśnie dlatego chciałem, żeby już było po przyjęciu.

- Mam pomysł. - Jackie objęła go za szyję. - Jak już będzie po wszystkim, urządzimy sobie nasze prywatne, dwuosobowe przyjęcie.

- Liczę na to. - Nathan dotknął ustami jej warg i w tym momencie rozległ się dzwonek.

- Zaczynamy! - powiedziała Jackie. Trzymając się za rękę, podeszli do drzwi.

W ciągu godziny dom zapełnił się ludźmi. Wszyscy chcieli się nie tylko zabawić, ale przede wszystkim poznać nową przyjaciółkę Nathana. Jackie doskonale zdawała sobie z tego sprawę, nie czuła się jednak urażona. Ona także była bardzo ciekawa jego przyjaciół i znajomych.

Wkrótce przekonała się, że Nathan znał najrozmaitszych ludzi - od sztywniaków z rezerwą po dusze towarzystwa. Wystarczył jeden uśmiech, a z miejsca znalazła bratnią duszę w Codym Johnsonie, architekcie, który dołączył do firmy Nathana przed dwoma laty. Cody zwykł się ubierać w zniszczone skórzane buty i spłowiałe dżinsy. Tego wieczoru, żeby zadośćuczynić elegancji, włożył do nich marynarkę. Jackie, której brat uwielbiał ten sam styl i te same marki, doskonale wiedziała, że tego rodzaju stroje kosztują krocie. Cody uściskał jej dłoń i oczyma ciemnymi jak jej własne zlustrował ją od stóp do głów.

- Czekałem na tę okazję, żeby móc ci się przyjrzeć - rzekł, mrugając znacząco.

- Żeby sprawdzić prywatne gusta szefa?

- Coś w tym rodzaju. - Cody nadal trzymał ją za rękę, nie było w tym jednak cienia zalotności. Jackie odniosła wrażenie, że opierał on swoje opinie zarówno na tym, co widział, jak i na dotyku. - Jedno trzeba Nathanowi przyznać - zawsze miał doskonały gust. Wiedziałem, że jak już spojrzysz więcej niż raz na jakąś kobietę, musi to być osoba wyjątkowa.

- Rozumiem, że miał to być komplement.

- Można by tak powiedzieć. - Cody rzadko prawił komukolwiek komplementy. - Cieszę się, bo Nathan jest moim przyjacielem. I to najlepszym. Chcesz się tu zainstalować na dłużej?

Jackie uniosła brwi. Wprawdzie wołała pytania wprost, nie czuła się jednak w obowiązku udzielić mu takiej samej odpowiedzi.

- Widzę, że nie zwykłeś owijać w bawełnę?

- Po prostu nie lubię tracić czasu.

Pomyślała, że Cody jej się podoba. Z dłonią wciąż w jego dłoni, spojrzała na Nathana.

- Tak - powiedziała - chcę się tu zainstalować na dłużej. Cody uśmiechnął się tym swoim kpiącym, aroganckim uśmiechem, któremu nie potrafiła się oprzeć prawie żadna kobieta. Pewnie dlatego, że nigdy nie było wiadomo, co Cody tak naprawdę myśli.

- Wobec tego, pozwól, że postawię ci drinka - powiedział.

Ujęła go pod ramię i ruszyli w stronę baru.

- Znasz Justine Chesterfield?

Cody głośno się roześmiał. Jackie podobał się jego śmiech, jak również lekko zrudziałe od słońca, ciemne włosy opadające na czoło.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że można w tobie czytać jak w otwartej księdze?

- Po prostu nie znoszę tracić czasu.

- Doceniam to. - Cody przystanął przy barze i z rozbawieniem spojrzął na chłopaka, który rozmodlonym wzrokiem wpatrywał się w Jackie.

- Znam Justine. Miła osoba, ale jak na mój gust za bogata.

- Masz kogoś?

- To zależy. Nie masz przypadkiem siostry?

Jackie odwróciła się ze śmiechem i zamówiła szampana. Żadne z nich nie zauważyło, że Nathan przygląda im się z daleka, marszcząc brwi.

Nie był z natury zazdrosny. Zazdrość uznawał za uczucie wyjątkowo głupie i bezproduktywne. A człowiek opętany zazdrością zmieniał się w żalosego idiotę.

Nathan nigdy w życiu nie chciałby nim zostać. Gdy jednak patrzył na Jackie z Codym, czuł się jak zazdrosny idiota. A tego rodzaju odczucia nie można ani polubić, ani zlekceważyć.

Niepokój potęgowało jeszcze podejrzenie, że Cody jest znacznie bardziej w typie Jackie niż on sam. Cody doskonale pasowałby na rewolwerowca. Zabijaka o złotym sercu z powieści Jackie - Jake Redman. Przecież to wykapany Cody - o kocich, leniwych ruchach, wysportowanej sylwetce i spłowiałych od słońca włosach, które zawsze prosiły się o fryzjera. No i ten jego przeciągły akcent, który Nathanowi wydawał się dotąd kojący. Nagle poraziła go myśl, że być może taki sposób mówienia wydaje się kobietom podniecający. A przynajmniej niektórym kobietom.. .

Do tego wizerunku Cody'ego należałoby jeszcze dodać pozorną bez troskę, kompletny brak poszanowania dla konwenansów oraz nieomyślne oko, szczególnie wyczulone na piękno. Szybkie samochody, zabawa do późnej nocy i światła jupiterów. Taki właśnie jest Cody.

Coraz bardziej zdenerwowany, Nathan spróbował skoncentrować się na czymś innym i z wymuszonym uśmiechem zwrócił się do inżyniera o piskliwym głosie, który od dłuższego czasu chciał z nim porozmawiać. Udając, że go słucha, kątem oka zarejestrował, jak Jackie odpowiada uśmiechem na szeroki uśmiech Cody'ego, i poczuł, że ma ochotę ich oboje udusić.

To śmieszne, pomyślał. Dopił drinka i machinalnie sięgnął po papierosa. Ostatnimi czasy rzadko czuł potrzebę, żeby zapalić. Cody jest jego przyjacielem, i to pewnie najlepszym, jakiego kiedykolwiek miał. A Jackie.. . Kim jest dla niego Jackie?



Kochanką, przyjaciółką, towarzyszką. Rozrywką i - choć może zabrzmieć to dziwnie - również opoką. To rzeczywiście dziwne, że można tak myśleć o kimś, kto zachowuje się jak motyl. Jackie potrafiła być lojalna, kiedy ktoś na to zasługiwał, i silna, gdy zaszła taka potrzeba. Jednak bez względu na to, jak bardzo była solidna, nie miał prawa żądać od niej wierności. Dla jej własnego dobra. Nie chciał przecież jej wiązać ani zawężać jej horyzontów.

Czy aby na pewno?

Przerwał inżynierowi w pół zdania, podając jakąś błahą wymówkę i ruszył w stronę Jackie.

Znowu się śmiała - śmiech wciąż tańczył w jej oczach, kiedy spojrzała na niego ponad krawędzią kieliszka.

- Nathan, nie wspomniałeś, że twój znajomy należy do tego typu mężczyzn, przed którymi matki zwykły ostrzegać córki. - Mówiąc to, ujęła Nathana za rękę bezwiednym gestem, świadczącym o pewnej intymności.

- Pozwolę sobie potraktować to jako komplement. - Cody uniósł w toaście kieliszek wódki. - Bardzo udane przyjęcie, szefie. Zdążyłem już pochwalić twój gust.

- Dzięki. Posłuchaj, stary, na dworze stoły uginają się od jedzenia. Znajac twój wilczy apetyt, dziwię się, że jeszcze cię tam nie ma.

- Już lecę. - Cody mrugnął znacząco do Jackie, po czym się oddalił.

- Nie było to zbyt taktowne z twojej strony - zauważyła Jackie.

- Już i tak zajął ci dość dużo czasu. Jackie ze śmiechem pokręciła głową.

- Jesteś rozbijający. - Musnęła wargami jego usta. - Nie wszystkim kobietom podobają się zaborczy mężczyźni. Mnie wprowadzcie tak, nawet bardzo, ale wszystko ma swoje granice.

- Chciałem tylko.. .

- Nic nie mów. - Znow go pocałowała, po czym ujęła go pod rękę. - Będziemy jeszcze trochę udzielać się towarzysko czy od razu rzucamy się na jedzenie? Muszę ci powiedzieć, że umieram z głodu.

Nathan podniósł jej rękę do ust. Nagły przyływ zazdrości - o ile to była zazdrość - nie znaczył wcale, że musi wyglądać i zachowywać się jak idiota. To tylko jeszcze jedna z tych rzeczy, które powinien przemyśleć.

- Rzucamy się na jedzenie - zdecydował. - Trudno udzielać się towarzysko z pustym żołądkiem.

Wieczór okazał się bardzo udany. W ciągu kilku następnych dni Jackie i Nathan odebrali wiele telefonów i listów z podziękowaniami. Przyszło też kilka zaproszeń. W zasa-

dzie Jackie powinna być ogromnie zadowolona. Poznała znajomych i współpracowników Nathana i zyskała ich sympatię. Ale przecież to nie o nich jej chodziło. liczył się tylko Nathan, a on wyjeżdżał za kilka dni do Denver.

Nie mogła już sobie powtarzać, że później o tym pomyśli. Nie w sytuacji, kiedy miał już kupiony bilet na samolot. Sama była w Denver tylko jeden raz w życiu. Siedziała na stadionie i kibicowała szkolnej drużynie. Wtedy bardzo jej się tam podobało. Teraz nienawidziła Denver - i jako miasta, i jako symbolu.

Wyjazd Nathana to już tylko kwestia godzin, a oni nadal niczego nie ustalili. Raz czy dwa Nathan próbował z nią poważnie porozmawiać, ale ona nie podjęła tematu. Może to i tchórzostwo, jeśli jednak zamierzał się jej pozbyć, chciała przynajmniej wykorzystać do maksimum czas, który im został.

Teraz nie dało się już dłużej odkładać nieuniknionej rozmowy. Nathan będzie musiał podać jej powody swojej decyzji. Jeżeli już jej nie chce - albo nie chce sobie na to pozwolić, żeby ją przy sobie zatrzymać - musi jej wyjaśnić dlaczego.

Przystanęła przed drzwiami sypialni, wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i weszła do pokoju.

- Przyniosłam ci kawę.

Nathan podniósł wzrok znad walizek.

- Dzięki. - Kilka razy w życiu wydawało mu się, że jest nieszczęśliwy. Mylił się, dopiero teraz zrozumiał, co czuje człowiek naprawdę nieszczęśliwy.

- Może ci w czymś pomóc? - Jackie podniosła do ust filiżankę. Łatwiej prowadzić decydujące rozmowy, jeżeli się przy tym robi coś tak błahego, jak, na przykład, picie kawy.

- Nie, dziękuję. Już prawie skończyłem.

Pokiwała głową i przysiadła na brzegu łóżka. Wolą nie krążyć po pokoju, bo wtedy pewnie roztrzaskałaby filiżankę o ścianę. Prawdę mówiąc, miała na to wielką ochotę.

- Nie powiedziałeś mi, na jak długo wyjeżdżasz.

- Bo nie wiem, ile to potrwa. - Dawniej nie miał nic przeciwko pakowaniu. Ot, po prostu jedna z nudnych, ale koniecznych czynności. Teraz czuł, że nienawidzi pakować walizek. - Może trzy, a może nawet cztery tygodnie. Jeżeli nie wynikną jakieś komplikacje, niewykluczone, że uda mi się wszystko załatwić za jednym zamachem.

Znów podniosła filiżankę do ust. Kawa miała wyjątkowo gorzki smak.

- Mam tutaj czekać na twój powrót?

To takie do niej podobne: żadnych wymagań czy próśb - tylko proste pytanie. Chciał wykrzyknąć: „Tak. Proszę, tak!”, ale zamiast tego powiedział:

- To zależy od ciebie.

~ Nie. Oboje doskonale wiemy, co czuję i czego chcę. Nie robiłam z tego tajemnicy. - Urwała na moment, zastanawiając się, czy nie naraża na szwank swojej dumy. Jednak nie czuła się upokorzona - Porozmawiajmy teraz o tym, co ty czujesz i czego ty chcesz.

W oczach Jackie malowała się powaga. Na ustach nie igrał nawet cień uśmiechu. Nathan nagle zatęsknił za jej promiennym ożywieniem, które stanowiło największą ozdobę, jak u innych kobiet klejnoty.

- Wiele dla mnie znaczyysz, Jackie, więcej niż ktokolwiek inny.

To zdumiewające, że w swojej desperacji gotowa była zadowolić się tymi nędznymi okruchami. Obiecała sobie jednak, że zmusi go do pełnej szczerości i nie mogła teraz ustąpić. Uniosła brwi i nie spuszczać z niego wzroku, zapytała:

- I co w związku z tym?

Nathan dołożył do walizki jeszcze jedną czystą koszulę. Pragnął użyć właściwych słów, powiedzieć to, co należy. Przez ostatnią dobę układał sobie w głowie, co powie i co zrobi. Pozwolił sobie nawet w myślach na moment szaleństwa, w którym zawłókł Jackie na lotnisko i zmusił, żeby z nim poleciała. Na pelikanie z muszelek.

Nadeszła decydująca chwila. To już nie fantazja, tylko rzeczywistość. Jeżeli nie może nic Jackie zaproponować, powinien przynajmniej być wobec niej szczery.

- Nie mogę cię prosić, żebyś tu została i czekała na mnie, nie wiedząc, co będzie potem. Nie tego dla ciebie pragnę.

Ubodła ją jego szczerość. Zrozumiała, że Nathan nie zamierzał kłamać ani pocieszać jej złudną nadzieją.

- Nie mówmy o mnie; pomówmy teraz o tobie. Chciałabym, żebyś mi powiedział, czego pragniesz dla siebie. Czy tego, co miałeś wcześniej? Ciszy i świętego spokoju, życia bez żadnych komplikacji?

Czy nie tak? Gdy to powiedziała na głos, takie życie przestało mu się nagle wydawać wygodne i upragnione. Zapachniało stagnacją i nudą. Jednak tylko takie życie znał i tylko takiego się nie obawiał.

- Nie mogę dać ci tego, czego pragniesz - odparł, starając się zachować spokój. - Nie mogę ci zaproponować małżeństwa, rodziny i dożywotnich zobowiązań, bo ja w takie rzeczy nie wierzę, Jackie. Dlatego wolę cię zranić teraz, niż ranić cię systematycznie aż do końca życia.

Milczała przez chwilę z obawy, żeby nie powiedzieć za dużo. Współczuła mu z całego serca. Jego słowa wyraźnie świadczyły o tym, jak bardzo jest zagubiony i nieszczęśliwy. Jednak choć cierpiała razem z nim, nie żałowała, że poruszyła ten temat.

- Czy było ci w życiu aż tak źle? - zapytała. - Czy miałeś aż tak nieszczęśliwe dzieciństwo?

Trafiła w sedno. Omal nie krzyknął z bólu. I z gniewu.

- To nie ma nic do rzeczy!

- Ależ ma i oboje o tym wiemy. - Wstała. Musiała zmienić pozycję, bo narastające napięcie zdawało się ją rozsadzać. - Nathan, nie twierdzę, że jesteś mi coś winien, choć ludzie często uważają, że są sobie coś winni. Jestem zdania, że jeśli robi się coś dla kogoś lub coś komuś daje, należy to robić dobrowolnie i bezinteresownie albo wcale. Dlatego nie ma mowy o żadnych zobowiązaniach. - Usiadła, nieco spokojniejsza, po czym ciągnęła: - Uważam jednak, że należą mi się wyjaśnienia.

Nathan wyjął papierosa, zapalił i zajął miejsce na przeciwległym końcu łóżka.

- Zgoda. Masz prawo wiedzieć dlaczego. - Milczał przez dłuższą chwilę, próbując dobrać właściwe słowa, jednak nie dały się z góry zaplanować, więc po prostu zaczął mówić: - Moja matka pochodziła z zamożnej i doskonale ustawionej rodziny. Oczekiwano po niej, że wyjdzie dobrze za męża, czyli odpowiednio do swojej sfery. Wpajano jej to od urodzenia.

Jackie uniosła brwi, ale usiłowała być sprawiedliwa.

- Nie jest to niczym aż tak niezwykłym, zważywszy na czasy.

- Racja, ale jej rodzina przywiązywała do tego szczególną wagę. Mój ojciec nie pochodzi z tak dobrej rodziny, zyskał sobie jednak reputację człowieka ambitnego i wielce obiecującego. Podobno był bardzo dynamiczny i miał charyzmatyczną osobowość. Kiedy matka zakochała się w nim, jej rodzina nie okazała wprawdzie zachwyty, ale i nie protestowała. Żeniąc się, mój ojciec dostał dokładnie to, czego chciał: doskonałe koneksje oraz świetnie wychowaną żonę, która potrafiła przyjmować gości i miała dać mu spadkobiercę.

Jackie spojrzała w pustą filiżankę.

- Rozumiem - mruknęła i chyba rzeczywiście zaczynała wszystko rozumieć.

- Ojciec nie kochał matki. Ożenił się z nią z czystego wyrachowania.

Znów przerwał i zapatrzył się w smugę dymu unoszącą się do sufitu. Czy w tym tkwiło sedno sprawy? Czy to właśnie zniszczyło życie jego rodziców, a przede wszystkim wywarło zgubny wpływ na jego psychikę? Wzruszył bezradnie ramionami. To już przeszłość, historia.

- Nie wątpię, że ojciec był na swój sposób przywiązany do matki. Ale to człowiek, który nie potrafi nic z siebie dawać. Miał za to obsesję na punkcie fortuny i kariery. Interesy zmuszały go do częstego przebywania poza domem. Kiedy się urodziłem, ofiarował matce szmaragdowy naszyjnik w nagrodę za to, że dała mu syna.

Jackie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tonie Nathana było tyle goryczy, że się rozmyśliła. Czasami lepiej tylko słuchać.

- Matka uwielbiała ojca. Wręcz bałwochwalczo. Jako dziecko miałem niańkę, pielęgniarkę i ochroniarza. Tylko dlatego, że matka bała się nawet pomyśleć, co zrobiłby ojciec, gdyby coś mi się przytrafiło. Drżała o mnie nie dlatego, że jestem jej synem, ale przede wszystkim dlatego, że jestem jego synem. Jego symbolem i spadkobiercą.

- Och, Nathan... - zaczęła Jackie, ale on tylko potrząsnął głową.

- Sama mi to powiedziała, mniej więcej tymi słowami, kiedy miałem jakieś pięć czy sześć lat. Znacznie więcej odsłoniła później, gdy przestała go kochać. Jako dziecko, widywałem rodziców bardzo rzadko. Matka za wszelką cenę starała się być idealną żoną i damą z towarzystwa, a ojciec nieustannie podróżował w interesach, podpisując kolejne kontrakty. Jego wyobrażenia o obowiązkach ojcowskich sprowadzały się do sporadycznych kontroli moich postępów w szkole oraz kazań na temat odpowiedzialności i honoru rodziny. Rzecz w tym, że on sam nie miał za grosz honoru. - Nathan urwał i powoli zgniótł papierosa w popielniczkę. - W jego życiu pojawiały się również inne kobiety. Matka o tym wiedziała, ale udawała, iż tego nie dostrzega. Ojciec powiedział mi kiedyś, że to nie były poważne związki. Że mężczyzna, który często przebywa poza domem, ma pewne potrzeby.

- Naprawdę tak ci powiedział? - Jackie była autentycznie wstrząśnięta.

- Tak. Kiedy miałem szesnaście lat. Pewnie uważał, że tak wyglądają męskie rozmowy. Matka dawno już przestała go kochać i żyliśmy pod jednym dachem jak trójka uprzejmych, kompletnie obcych sobie ludzi.

- Nie mogłeś zamieszkać z dziadkami?

- Moja babcia już w tym czasie nie żyła. Szkoda, bo ona by mnie pewnie zrozumiała. Chociaż nie mam pewności. Dziadek za to uważał małżeństwo moich rodziców za bardzo udane. W końcu matka nigdy się nie skarżyła, a ojciec spełnił pokładane w nim nadzieje. Myślę, że dziadek byłby przerażony, gdybym nagle stanął na progu i powiedział, że nie mogę mieszkać z rodzicami. A poza tym, przez większość czasu i tak tkwiłem w domu sam.

Stąd ta obsesyjna potrzeba odosobnienia, pomyślała Jackie. Teraz już mogła go zrozumieć. Jednak taka samotność w toksycznym otoczeniu musiała wywrzeć bardzo zły wpływ na młodego chłopaka.

- To musiało być dla ciebie straszne.

Pomyślała o swojej rodzinie - zamożnej, szczęśliwej i szanowanej. W ich domu nigdy nie zalegał martwy spokój, jaki panował w domu małego Nathana. Jej dom tętnił życiem i śmiechem. Oczywiście nie brakowało konfliktów, ale po każdej kłótni szybko następowała zgoda.

- Nathan - odezwała się po namyśle - czy próbowałeś im kiedykolwiek powiedzieć, co czujesz?

- Raz. Byli oburzeni. Zarzucili mi niewdzięczność, a także brak taktu! No bo jak można w ogóle poruszać takie tematy? Nauczyło mnie to jednego: nie należy bić głową o mur, tylko poszukać sobie innej drogi.

- Jakiej?

- Studia, realizacja ambicji. Nie mogę powiedzieć, że w tym momencie ojciec i matka przestali dla mnie istnieć jako rodzice, ale zrewidowałem swoją skalę wartości. Kiedy robiłem maturę, ojciec jak zwykle uganiał się po świecie za kolejnym intratnym interesem. Wakacje spędziłem w Europie, więc gdy znowu się spotkaliśmy, byłem już studentem. Dowiedział się, że studiuje architekturę, i przyjechał, by mi przypomnieć, gdzie jest moje miejsce. Chciał oczywiście, żebym poszedł w jego ślady. Tego po mnie oczekiwał. Tego żądał. Przez osiemnaście lat żyłem w jego cieniu, kompletnie przytłoczony jego wizerunkiem, jaki stworzyliśmy sobie razem z matką. Ale we mnie coś się już zmieniło. Kiedy postanowiłem zostać architektem, moje marzenia nagle go przerosły.

- To ty dorosłeś - wtrąciła Jackie.

- W każdym razie na tyle, żeby móc mu się przeciwstawić. Zagroził, że przestanie dawać mi pieniądze. Przypomniał o zobowiązaniach względem rodzinnych interesów. Tyle tylko znaczyła dla niego rodzina. Interesy. Matka oczywiście poparła go w całej rozciągłości. Z chwilą gdy jej uczucia dla niego umarły, zupełnie przestałem ją obchodzić. Dla niej byłem już tylko synem swojego ojca; człowieka, który stał się jej obojętny, a nawet wrogi.

- Chyba jesteś niesprawiedliwy, Nathan. Przecież twoja matka.. .

- Powiedziała mi wyraźnie, że nigdy mnie nie chciała. - Nathan sięgnął po kolejnego papierosa i przełamał go na pół. - Że gdybym się nie urodził, jej małżeństwo miałoby szansę przetrwać. Nieobarczona dzieckiem, mogłaby towarzyszyć ojcu w jego licznych podróżach.

Jackie zbladła. Nie wierzyła własnym uszom. Jak ktoś mógł być tak okrutny dla własnego dziecka?

- Oni na ciebie nie zasługują - powiedziała łamiącym się głosem, po czym wstała, żeby go przytulić.

- Nie w tym rzecz. - Zatrzymał ją zdecydowanym gestem. Bał się, że jeśli Jackie go obejmie, po raz pierwszy w życiu się załamie. Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiał, nie przechodził przez to wszystko krok po kroku. W dniu, w którym sprzeciwiłem się ojcu, podjąłem decyzję. Nie mam, nie miałem i nie chcę mieć rodziny. Babcia zostawiła mi pieniądze, które umożliwiły mi kontynuowanie studiów. Wziąłem je - dzięki temu od ojca nie potrzebowałem ani centa. Od tamtej pory wszystko robiłem na swój rachunek. I to się nie zmieniło.

Opuściła rękę. Zrozumiała, że Nathan nie chce, aby go pocieszać. Choć serce wyrывało jej się do niego, rozum podpowiadał, że widocznie nie o taką pociechę mu chodzi.

- Nie widzisz, że oni nadal układają ci życie? - odezwała się, wzburzona. - Uważasz, że skoro ich małżeństwo było złe. to znaczy, że małżeństwo samo w sobie jest czymś złym?

- Małżeństwo samo w sobie nie jest niczym złym. Natomiast ja nie nadaję się do małżeństwa. - Nagle zapłonął gniewem. Jakim prawem Jackie zmusza go, by rozdrapywał stare rany? - Czy tobie się wydaje, że ludzie dziedziczą po rodzicach tylko ciemne oczy albo dołek w brodzie? Nie bądź głupia, Jackie! Oni przekazują nam znacznie więcej. Mój ojciec jest egoistą. Ja też jestem egoistą, ale przynajmniej mam na tyle rozumu, żeby zdawać sobie sprawę, iż nie mam prawa zmuszać siebie, ciebie i dzieci, które byśmy mieli, do takiego piekła, przez jakie sam przeszedłem.

- Rozumu?! - wykrzyknęła Słynny temperament MacNamarów wziął górę nad dobrym wychowaniem. - Masz czelność wygadywać takie bzdury i jeszcze twierdzić, że dyktuje ci je rozum? Przecież ty nie masz za grosz rozumu! Czy gdyby twój ojciec był Kubą Rozpruwaczem, chodziłbyś i tylko myślał, komu by tu wyprać flaki? Mój ojciec uwielbia surowe ostrygi, a mnie robi się niedobrze na ich widok. Czy to znaczy, że jestem adoptowanym dzieckiem?

- To jakiś absurd!

- Absurd? - prychnęła z oburzeniem. - Nie potrafisz dostrzec absurdu, nawet jeśli cię w oczy kole. Dlatego powiem ci, co to jest absurd. Jeżeli dwie osoby się kochają, a jedna z nich nie chce przyjąć tego do wiadomości ze strachu, że coś może się nie udać, może nie wyjść idealnie - to jest czysty absurd. - Sięgnęła po pierwszą rzecz, jaką miała pod ręką - traf chciał, że była to dziewiętnastowieczna wenecka waza - i zamachnęła się.

- Ja nie mówię o ideałach. Jackie, cholera, odłóż to! Ale było już za późno. Waza z brzękiem roztrzaskała się o podłogę.

- Oczywiście, że mówisz o ideałach. Sam jesteś jak jeden chodzący ideał. Idealny Nathan Powell. Każdą minutę życia masz zaplanowaną aż do śmierci. W twoim życiu nie ma już na nic miejsca.

- Uspokój się! - Chwycił ją za rękę, zanim zdążyła dobrać się do innych wartościowych przedmiotów. - Już samo to, co właśnie zrobiłaś, wystarczy jako dowód, że mam rację. Lubię planować, lubię mieć wszystko dopięte na ostatni guzik, lubię doprowadzać wszystko do końca. A tobie nigdy się to nie udało.

Uniosła dumnie głowę. Oczy miała suche. Łzy przyjdą później, całe fontanny łez.

- Byłam ciekawa, kiedy wreszcie rzucisz mi to w twarz. W jednym rzeczywiście masz rację, Nathan. Świat składa się z dwóch gatunków ludzi - rozważnych i nierozważnych. Ja należę do tych drugich, i to mi odpowiada. Co jednak nie znaczy, że mam prawo uznać ciebie, człowieka rozważnego, za istotę niższego gatunku.

Nathan zachnął się. Nie przywykł do walki - chyba że chodziło o materiały budowlane albo warunki, w jakich miała pracować jego ekipa.

- To nie miała być obelga.

- Nie? Może i nie, ale zrozumiałam aluzję. Nie jesteśmy ulepieni z jednej gliny i chociaż oboje potrafimy iść na pewne kompromisy, nigdy nie będziemy tacy sami. Co nie zmienia faktu, że cię kocham i chcę spędzić z tobą życie. - Chwyciła go za koszulę. - Nie jesteś swoim ojcem,, Nathan, a ja z całą pewnością nie jestem twoją matką! Nie pozwól im, żeby po raz kolejny w życiu wyrządzili ci krzywdę! Żeby nam wyrządzili krzywdę!

Nakrył dłońmi jej ręce.

- Gdybyś nie była dla mnie taka ważna, może bym nawet zaryzykował. Powiedziałbym: „W porządku, skoro tak bardzo tego chcemy, co nam szkodzi spróbować”. Ale mnie za bardzo zależy na twoim szczęściu.

- Za bardzo ci zależy na moim szczęściu! - wykrzyknęła, ostatkiem sił powstrzymując łzy. - Niech cię wszyscy diabli, Nathan! Za to, że jesteś takim tchórzem! Nawet teraz nie masz odwagi się przyznać, że mnie kochasz!

Obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Po chwili na dole trzasnęły frontowe drzwi.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Murarze stracili dwa dni z powodu deszczu. Uruchamiam drugą zmianę.

Nathan stał na placu budowy, mrużąc oczy od słońca, które wreszcie wyjrzało zza chmur. W Denver było zimno - wiosna długo nie chciała nadejść. Pojedyncze kwiatki, które odważyły się wyrzeć spod ziemi, zostały brutalnie wdeptane w błoto. Za rok, na wiosnę, tereny wokół budynku zostaną uporządkowane i obsadzone bujną roślinnością. Patrząc na rozrytą ziemię i surowy szkielet budowli, Nathan już to wszystko widział oczyma duszy.

- Trzeba przyznać, że roboty postępują bardzo szybko, mimo tak złej pogody. Masę zrobiłeś w trzy tygodnie.

- Cody, w kapeluszu z szerokim rondem i kowbojskich butach, patrzył na belki i dźwigary. W przeciwieństwie do Nathana, nie widział skończonego dzieła. Wolał ten etap robót, w którym miał jeszcze wpływ na końcowy efekt.

- Nieźle to wszystko wygląda - stwierdził z satysfakcją.

- Ty za to wyglądasz okropnie.

- Miło cię znowu usłyszeć, Cody. Brakowało mi ciebie. - Nathan zaczął przeglądać notatki, zawierające szczegółowy plan i terminy robót.

- Widzę, że trzymasz rękę na pulsie. Jak zwykle - mruknął Cody.

- Aha. - Nathan wyjął papierosa i osłonił dłonią zapalniczkę.

W świetle płomienia Cody dostrzegł sine cienie pod oczyma przyjaciela i głębokie zmarszczki wokół ust. Prawdziwy mężczyzna, zdaniem Cody'ego, mógł wyglądać źle tylko z jednego powodu - z powodu kobiety.

Nathan schował zapalniczkę do kieszeni.

- Inspektor budowlany powinien podpisać protokół jeszcze dziś.

- Bóg z nim. - Cody poczęstował się papierosem. - Podobno wyjeżdżasz?

- Może. - Jeden z robotników miał przenośne radio, nastawione na cały regulator.

Nathanowi przypomniała się Jackie i jej muzyka w kuchni. - Co słyhać w domu? Są jakieś problemy?

- W interesach? Nie. - odparł Cody. - Chciałem ciebie o to samo zapytać.

- Od dawna nie byłem w domu. Zapomniałeś? Są jakieś wiadomości z Sydney?

- Za sześć tygodni możemy wchodzić na plac budowy. Nathan zaciągnął się papierosem, a potem odłamał filtr.

Patrząc na niego, Cody pomyślał, że jeśli ktoś chce się zabić, powinien to zrobić od razu.

- Jakieś nieporozumienia z Jackie? - zapytał.

- Czemu pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś od przyjazdu nie przespał jednej nocy. - Cody wyjął z kieszeni zapalki, spojrział z uśmiechem na logo klubu widniejące na pudełku, a potem potarł zapalkę o jego krawędź. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie ma o czym mówić.

Cody uniósł tylko brwi i wciągnął w płuca kłęb dymu.

- Jak uważasz, szefie.

Nathan zaklął głośno, ale zaraz się zmięgował.

- Przepraszam, stary.

- Nie ma sprawy. - Cody postać jeszcze przez chwilę, paląc papierosa i przyglądając się robotnikom. - Mam ochotę na kawę i jajka. - Wdeptał niedopałek w błoto. - Chodź, to ci postawię. W końcu to ja trzymam kasę.

- Równy z ciebie gość, Cody - burknął Nathan, jednak ruszył za przyjacielem do jego furgonetki.

Po dziesięciu minutach siedzieli obaj w obskurnym lokalu, gdzie menu było wypisane kredą na tablicy, a kelnerki nosiły jaskraworozowe spódniczki. Przy barze jakiś łysy mężczyzna drzemał nad wystygłą kawą i pełną popielniczką w kształcie siodła. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli.

- Ty to zawsze potrafisz znaleźć elegancki lokal - rzekł z przekąsem Nathan, kiedy siadali przy stoliku. Nagle przyszło mu do głowy, że Jackie na pewno by się tu spodobało.

- To nie jest wliczone w cenę, synu. - Cody rozparł się w krzesło i z uśmiechem patrzył, jak jedna z kelnerek wykrzykuje zamówienie do ponurego mężczyzny obsługującego grill.

Bez pytania postawiono przed nimi dzbanek z kawą. Cody nalał sobie i z uznaniem popatrzył na parujący kubek.

- Chodź sobie sam do tych twoich cudacznych francuskich restauracji. Nigdzie nie umięją parzyć takiej kawy jak w barach szybkiej obsługi.

Jackie umiała parzyć taką kawę, pomyślał Nathan i nagle odechciało mu się pić.

Cody posłał uwodzicielski uśmiech tlenionej blondynce, która przystanęła z bloczkiem w ręku przy ich stoliku.

- Proszę niebieski półmisek. Dwa razy.

- Dwa niebieskie półmiski - powtórzyła kelnerka, zapisując zamówienie.

- Ale na jednym talerzu, kochanie - dorzucił Cody. Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie, po czym bez skrępowania stwierdziła:

- Jest u ciebie co karmić, złotko.

- I o to chodzi. Dla mojego kumpla to samo. Kelnerka spojrzała na Nathana i doszła do wniosku, że to jej dobry dzień. Dwóch takich klientów w jej rewirze - chociaż ten czarny wygląda, jakby miał ciężką noc. I to co najmniej od tygodnia. Uśmiechnęła się do Nathana, odsłaniając przy tym krzywe zęby.

- Jakie mają być te jajka, kotku?

- Lekko ścięte - wtrącił się Cody - i nie wyciśnij całego tłuszczu z frytek.

Kelnerka zachichotała i piskliwym głosem krzyknęła w stronę kuchni:

- Dwa razy podwójny półmisek. Jajka ścięte, ale bez przesady.

Nathan uśmiechnął się mimo woli.

- Co to jest ten niebieski półmisek?

- Dwa jajka sadzone, smażony bekon, frytki, herbatniki i kawa bez ograniczeń. - Cody sięgnął po papierosa, po czym położył nogi na krześle stojącym obok krzesła Nathana.

- Dzwoniłeś do niej?

Nie było sensu udawać, że nie chce o tym mówić. Gdyby rzeczywiście tak było, mógł przecież bez trudu znaleźć jakąś wymówkę, żeby zostać na budowie. Przyszedł do baru tylko dlatego, że liczył na szczerą przyjaciela, bez względu na to, czy prawda będzie miła, czy nie.

- Nie, nie dzwoniłem.

- Pokłóciliście się?

- Trudno to nazwać kłótnią. - Nathan przypomniał sobie porcelanowe skorupy na podłodze. - A może to była kłótnia? Sam nie wiem.

- Zakocham często się kłóć. Nathan znowu się uśmiechnął.

- Ona pewnie też by tak powiedziała.

- To rozsądna kobieta. - Cody nalał sobie drugi kubek kawy. Zauważył przy tym, że Nathan jeszcze nie tknął swojej. - Nie wiem, o co wam poszło, ale sądząc po twojej minie, to ona wygrała.

- Mylisz się. Żadne z nas nie wygrało.

Cody milczał przez chwilę, stukając łyżeczką w stół w rytm piosenki z grającej szafy.

- Mój stary posyłał matce kwiaty, kiedy się poprzytykali - powiedział w końcu. - To zawsze skutkowało.

- To nie takie proste.

Cody poczekał, aż postawią przed nimi dwa olbrzymie talerze, puścił oko do kelnerki i rzucił się najedzenie.

- Nathan - zaczął z pełnymi ustami - wiem, że jesteś człowiekiem skrytym. Szanuję twoją prywatność. Przez ten czas, kiedy z tobą pracuję, dużo się od ciebie nauczyłem, zwłaszcza jeżeli chodzi o organizację, kontrolę i profesjonalizm. Wydaje mi się, że staliśmy się dla siebie kimś więcej niż tylko współpracownikami. Masz jakiś kłopot z kobietą, wal, bracie. Kto cię lepiej zrozumie niż drugi mężczyzna? Co, oczywiście, nie znaczy, że znam się na kobietach lepiej niż ty.

Przed zakurzoną witryną baru zatrzymała się z piskiem mała furgonetka.

- Jackie chciała jakiejś wiążącej decyzji, a ja nie mogłem jej tego dać.

- Nie mogłeś? - Cody posmarował herbatnik miodem. - A może raczej nie chciałeś?

- Nie w tym przypadku. Z pewnych przyczyn, o których wolałbym nie mówić, nie mogłem obiecać jej małżeństwa i rodziny. A ona tego pragnie. Tego potrzebuje. Chciała, żebym jej to przyrzekł, a ja nie składam obietnic bez pokrycia.

- No cóż, to twoja decyzja. - Cody nabił na widelec soczysty plaster bekonu. - Wydaje mi się, że nie jesteś szczęśliwy. Jeżeli jej nie kochasz.. .

- Nie powiedziałem, że jej nie kocham.

- Nie powiedziałeś? Musiałem cię źle zrozumieć.

- Posłuchaj, Cody, małżeństwo jest czymś bardzo ryzykownym nawet wtedy, gdy dwoje ludzi myśli tak samo, ma takie same poglądy i zwyczaje. Natomiast gdy różnią się oni od siebie tak bardzo jak Jackie i ja, coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ona chce mieć dom i dzieci i nie przerażaj jej związane z tym zamieszanie. Ja tygodniami bywam w podróży, a kiedy wracam do domu, chcę - urwał, bo sam już nie wiedział, czego chce. A przecież dawniej doskonale to wiedział.

- Tak, to rzeczywiście poważny problem. - Cody pokiwał głową. - Ciąganie za sobą kochającej kobiety, zmuszanie jej, żeby dzieliła z tobą te anonimowe pokoje w hotelach i samotne posiłki, to byłaby wielka niewygodna. Trzymanie jej w domu, żeby czekała na twój powrót, to byłaby wręcz męka.

Nathan oderwał wzrok od okna i spojrzał z wyrzutem na przyjaciela.

- To byłoby w stosunku do niej nie fair.

- Pewnie masz rację. Lepiej być samotnym i nieszczęśliwym, niż zaryzykować szczęście we dwoje. Jajka ci stygną, szefie.

- Szanse na udane małżeństwo są pół na pół.

- Tak, statystyki to parszywa rzecz. Człowiek się zastanawia, po co ludzie w ogóle ryzykują.

- Ty jakoś nie zaryzykowałeś.

- Tylko dlatego, że nie znalazłem odpowiednio wrednej baby. - Cody z uśmiechem zmiotł z talerza resztki bekonu i jajka. - Chyba zajrzę do Jackie w przyszłym tygodniu - rzucił, a widząc nagle pobladłą twarz Nathana, dodał: - Posłuchaj, stary, jeżeli kobieta wnosi światło w życie mężczyzny, a on ucieka do cienia, powinien wiedzieć, co ryzykuje. Czy naprawdę chcesz, żeby ktoś inny z tego skorzystał?

- Posuwasz się za daleko, Cody!

- Nie. To ty posunąłeś się za daleko. - Cody wychylił się do przodu. Na jego twarzy odmalowała się powaga. - Coś ci powiem, Nathan. Jesteś świetnym facetem i genialnym architektem. Nie kłamiesz i nie idziesz na skróty. Walczysz o swoich ludzi i o swoje zasady. Nie jesteś na tyle tępy, żeby nie iść na kompromis, kiedy zajdzie taka potrzeba. Bez niej nadal będziesz takim samym człowiekiem, ale z nią możesz stać się kimś o całe niebo lepszym. Ona bardzo dużo dla ciebie zrobiła.

- Wiem. - Nathan odsunął na bok nietknięty talerz. - Ja jej po prostu nie chcę skrzywdzić. Gdyby to ode mnie zależało.. .

- To co?

- Chodzi o to, że bez niej wcale nie jest mi lepiej. - Bóg jeden wiedział, jak ciężko było mu się do tego przyznać. - Ale jej może być lepiej beze mnie.

- Myślę, że tylko ona może coś na ten temat powiedzieć. - Cody wyjął portfel i przeliczył banknoty. - Zdaje mi się, że jestem tu we wszystkim równie dobrze zorientowany jak ty.

- Co? Tak, oczywiście. I co z tego?

- Mam w pokoju bilet na samolot. Z rezerwacją na pojutrze. Dam ci go w zamian za twój pokój w hotelu.

Nathan osłupiał. Gorączkowo próbował znaleźć jakieś powody, dla których nie mógłby zostawić budowy. Szybko uświadomił sobie, że byłyby to tylko wykręty.

- Zatrzymaj swój bilet - powiedział szorstko. - Jeszcze dziś wyjeżdżam.

- Prawidłowy ruch. - Cody dorzucił suty napiwek do rachunku.

Nathan zjawił się w domu o drugiej nad ranem, po całodziennym podróży. Poleciał do St. Louis, zahaczając o Chicago, gdzie czekał przez dwie godziny na połączenie z Baltimore, skąd dotarł do celu rejsowym poduszkowcem, kursującym co godzinę.

Był pewny, że zostanie w domu Jackie. Myśl ta podtrzymywała go na duchu przez całą drogę. Wprawdzie nikt nie odbierał jego telefonów, ale przecież Jackie mogła pójść na zakupy albo na spacer. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mogłaby wyjechać.

W głębi duszy żywił niezachwianą pewnością, że bez względu na to, co powiedział i na czym sprawy stanęły, Jackie będzie na niego czekała. Była przecież zbyt uparta i zdeterminowana, by machnąć na niego ręką tylko dlatego, że zachował się jak skończony idiota.

Poza tym, kochała go, a kobieta taka jak Jackie jeśli się już zakocha, to na dobre i złe.

On dał jej na razie samo zło, ale jeśli mu pozwoli, spróbuje dać jej to, co najlepsze.

Niestety, Jackie nie było. Zrozumiał to już w chwili, kiedy otworzył drzwi. Dom tchnął szacownym spokojem - zupełnie jak przed jej przybyciem. I ziało z niego samotnością. Zaklął głośno, a potem rzucił się na górę, przeskakując po dwa stopnie i wykrzykując jej imię.

Łóżko zostało starannie pościelone - pewnie przez panią Grange. Ktoś sprzątnął koszulki i buty, które Jackie lubiła rozrzucać po całym pokoju. Wokół panował pedantyczny porządek. Tak pedantyczny, że aż nienawistny. Nie mogąc się pogodzić z prawdą, Nathan podbiegł do szafy i szarpnął drzwi. W środku wisiały tylko jego rzeczy.

Wściekły na Jackie - i na siebie - wpadł do pokoju gościnnego. Tam też zastał starannie wygładzone prześcieradło. Zniknęły książki i papiery, a także maszyna do pisania.

Ogarnął pokój martwym wzrokiem. Jak mógł kiedykolwiek uważać, że miło jest wracać do pustego domu? Znużony przysiadł na brzegu łóżka. W powietrzu unosił się jeszcze zapach Jackie, ale i on wkrótce się ulotni. I ten właśnie zanikający ślad ściał go z nóg.

Wyciągnął się na łóżku. Nie chciał wracać do swojego pokoju, do łóżka, które dzielił z nią przez tyle nocy. O nie, tak łatwo jej się nie uda, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim zapadł w kamienny sen.

- Żeby dorosły facet oszukiwał w scrabbla! To bardziej niż żalosne!

- Nie muszę wcale oszukiwać. - J. D. MacNamara spojrzał na córkę, mrużąc oczy. - „Płaśny” to przymiotnik, inaczej „wdzięczny”. Na przykład w zdaniu: Baletnica wykonała serię płaśnych piruetów.

- Tato, nie wciskaj mi kitu. - Jackie pobłażliwie pokiwała głową. - Zgodziłam się na „ochać”, ale to już przesada!

- To, że jesteś pisarką, wcale jeszcze nie znaczy, iż znasz każde słowo. No, proszę, zajrzyj do słownika, ale ostrzegam cię, jeżeli nie znajdziesz, tracisz pięćdziesiąt punktów.

Jackie zawahała się. Wiedziała, że ojciec potrafi kłamać bez mrugnięcia okiem, ale wiedziała też, że umie w najmniej spodziewanym momencie wygrać. Opuściła z westchnieniem rękę.

- Poddaję się. Umieć plaśnie przegrywać.

- Grzeczna dziewczynka. - Zadowolony z siebie, J. D. zaczął podliczać punkty. Jackie podniosła do ust kieliszek wina i popatrzyła na ojca.

J. D. MacNamara to imponujący mężczyzna. Zawsze o tym wiedziała. Jednak dopiero rozmowa z Nathanem uświadomiła jej, jak cennym skarbem jest jej rodzina. W świecie biznesu ojciec cieszył się opinią człowieka twardego jak stal. Największą przyjemność sprawiało mu przechytrzenie przeciwnika i pokonanie konkurencji. A jednak, kiedy udało mu się wygrać z córką, miał na twarzy wyraz identycznego zadowolenia.

Ojciec po prostu kochał życie, ze wszystkimi jego wzlotami i upadkami. Może i Nathan miał rację, gdy mówił, że dzieci dostają po rodzicach coś więcej niż tylko kolor oczu. Ona odziedziczyła po ojcu tę właśnie radość życia i była mu za to wdzięczna.

- Kocham cię, tato, nawet jeżeli jesteś skończonym szachrajem.

- Ja też cię kocham, Jackie. - J. D. z uśmiechem spojrzał na tabelę punktów. - Mimo to cię zniszczę. Twoja kolejka, kotku.

Jackie założyła nogę na nogę, podparła głowę na łokciu i zapatrzyła się w litery. Pokój był jasno oświetlony - zasłony zaciągano dopiero po zachodzie słońca. Salonik, jak zwykle nazywać go matka, przeznaczono na rodzinne lub nieoficjalne spotkania, mimo to stanowił wzór najlepszego gustu i elegancji.

Zasłony, miękko opadające na podłogę, uszyto z materiału w ten sam dyskretny wzór, jakim obito półokrągłą sofę. Kolekcja kryształów, stanowiąca dumę matki, została usunięta parę lat temu po tym, jak Jackie i Brandon rozbili cukiernicę podczas bójki z jakiegoś błahego powodu. Matka uparła się jedynie, żeby zostawić w saloniku kilka sztuk porcelany.

Olbrzymie, wykuszowe okno z ławeczką wychodziło na wschód. Jako dziewczynka, Jackie zwykle kryła się we wnęce podczas zabawy w chowanego. Jako podlotek, przesiadywała tam często, żeby dumać o swoim ostatnim podboju. Spędziła w tym pokoju wiele godzin - radosnych i smutnych, gniewnych i pełnych nadziei. To był dom, jej dom. Dopiero teraz w pełni to zrozumiała i doceniła.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Przecież pisarki nie powinny mieć kłopotów ze słowami. - Od jakiegoś czasu ojciec po kilka razy dziennie nazywał ją pisarką.

- Zejdz ze mnie, J. D. !

- Ładnie to tak mówić do ojca?! Chyba powinienem przyłożyć ci pasem.

- I komu jeszcze? - zapytała ze śmiechem.

Ojciec uśmiechnął się. Miał pełną, męską twarz, o rumianej, irlandzkiej cerze i jasnoniebieskie, dobrodusze oczy. Ubrany był w garnitur, bo w ich domu zawsze ubierano się elegancko do kolacji, ale kamizelkę miał rozpiętą, a krawat mocno przekrzywiony. W zębach trzymał cygaro, które jego żona tolerowała z wyniosłą rezygnacją.

Jackie ułożyła litery.

- Wiesz co, tato, wcześniej o tym nie myślałam, ale jesteście z mamą tacy różni.

- Hmm? - Ojciec spojrział na nią nieprzytomnie, zajęty wymyśleniem nowego słowa.

- No bo mama jest taka elegancka i dobrze wychowana.. .

- A ja kim jestem? Prostakiem?

- Niezupełnie - mruknęła, a kiedy ojciec się zasepił, podsunęła mu planszę pod nos. -

Mam! Hiperowski!

- A to co znowu? - J. D. postukał placem w planszę. - Nie ma czegoś takiego.

- To z łaciny. Znaczą sprytny, szczwany. Na przykład: „Mój ojciec znany jest ze swoich hiperowskich interesów”.

W odpowiedzi ojciec użył słowa, na dźwięk którego matka cmoknęła wymownie.

- No, sprawdź - zachęcała go Jackie. - O ile chcesz stracić pięćdziesiąt punktów - dorzuciła. - Jak to możliwe, że jesteście z mamą tacy szczęśliwi?

- Pozwalam jej robić to, co umie najlepiej, a ona pozwala mi robić to, w czym jestem najlepszy. A poza tym, nadal szaleję za tą starą dewotką.

- Wiem. - Łzy napłynęły Jackie do oczu. Od jakiegoś czasu pojawiały się jak na zawołanie. - Dużo ostatnio myślałam o tym, co zrobiliście dla mnie i dla chłopaków. A najważniejsze chyba było to, że się kochaliście.

- Jackie, powiesz mi wreszcie, co ci leży na sercu? Pokręciła głową, ale nachyliła się i pogłaskała ojca po policzku.

- Dorosłam tej wiosny, to wszystko. Myślałam, że miło wam będzie to usłyszeć.

- Czy to, że dorosłaś, ma coś wspólnego z tym gościem, w którym się zakochałaś?

- Owszem. Och, jestem pewna, że by ci się spodobał, tato. Jest taki stanowczy i zdecydowany. Czasami nawet za bardzo. Jest poza tym miły i zabawny, na różne dziwne sposoby. I podobam mu się taka, jaka jestem.. - Łzy znów były niebezpiecznie blisko. Na moment podniosła rękę do oczu. - On musi mieć wszystko spisane na liście i zawsze musi się upewnić, że B przychodzi po A. On, och.. . - z westchnieniem opuściła ręce - to człowiek z gatunku tych, co to otwierają przed tobą drzwi nie dlatego, że uważają, iż tak postępuje



dżentelmen, tylko dlatego, że są z natury dżentelmenami. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Mamie też by się spodobał.

- No to w czym problem, Jackie?

- On nie jest jeszcze gotowy, żeby zaakceptować mnie oraz to, co do siebie czujemy. A ja nie potrafię powiedzieć, jak długo będę w stanie czekać, żeby do tego dojrzał. Ojciec zasepił się, a po chwili zapytał:

- To co mam zrobić? Kopnąć go w tyłek?

Jackie Wybuchnęła śmiechem. W jednej chwili znalazła się na kolanach ojca i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dam ci znać, kiedy przyjdzie pora.

Patricia wkroczyła do pokoju - wysoka, szczupła, w jedwabnym kostiumie o bladoniebieskim odcieniu jej oczu.

- John, jeżeli kucharz nie przestanie demonstrować tych swoich humorów, będziesz musiał z nim porozmawiać. Ja już jestem na granicy wytrzymałości. - Podeszła do barku, naląła sobie szklaneczkę sherry, a potem osunęła się na fotel. Skrzyżowała nogi, które jej mąż wciąż uważał za najzgrabniejsze na całym Wschodnim Wybrzeżu, i zaczęła powoli sączyć drinka. - Jackie, znalazłam rewelacyjnego fryzjera w zeszłym tygodniu. Jestem pewna, że działałby cuda na twojej głowie.

Jackie uśmiechnęła się i zdmuchnęła grzywkę z czoła.

- Kocham cię, mammo.

W oczach Patricii zapaliły się ciepłe błyski.

- Ja też cię kocham, córeczko. Chciałam ci powiedzieć, że do twarzy ci z tą opalenizną, ale po tym wszystkim, co przeczytałam na ten temat, zaczynam się obawiać o długoterminowe skutki. - Uśmiechnęła się i przez moment wyglądała zupełnie jak Jackie. - Tak się cieszę, że znowu z nami jesteście. Bez was i chłopców dom wydaje się pusty.

- Nie będziemy jej teraz zbyt często widywać. - J. D. uszczypnął córkę w pośladek. - Jako sławna pisarka, jest bardzo zajęta.

- To dopiero moja pierwsza książka - przypomniała mu Jackie. - Na razie - dodała z uśmiechem.

- Miałam wielką satysfakcję, kiedy mogłam napomknąć Honorii - tak przy okazji, oczywiście - że sprzedałaś maszynopis wydawnictwu. - Patricia upiła łyżeczkę sherry i rozsiadła się wygodniej w fotelu.

- Tak przy okazji?. - J. D. parsknął śmiechem. - Mama nie mogła się doczekać, żeby chwycić za słuchawkę i pochwalić się wszystkim wokoło. Ejże, co ty tam robisz?

Jackie oderwała wzrok od planszy.

- Nic, nic. - Cmoknęła go głośno w policzek. - Przegrałeś. Takie słowo naprawdę nie istnieje.

- To się jeszcze okaże. - Ojciec zepchnął ją z kolan, po czym zatarł ręce. - Siadaj i bądź cicho.

- No wiesz, John! - powiedziała Patricia takim tonem, że Jackie zerwała się i podbiegła, żeby ją uściskać. W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Jackie wyprostowała się, ale matka powstrzymała ją zdecydowanym ruchem ręki.

- Philip otworzy. Popraw włosy, Jacqueline. Jackie posłusznie przeczesała palcami włosy.

- Przepraszam, pani MacNamara. - Siwiejący lokaj wyłonił się z holu. - Jakiś Nathan Powell chce się koniecznie widzieć z panną Jacqueline.

Jackie poderwała się z piskiem, ale matka znowu osadziła ją w miejscu.

- Jacqueline, usiądź i udawaj, że jesteś damą. Philip wprowadzi tego pana.

- Ale.. .

- Siadaj! - odezwał się ojciec. - I bądź cicho!

- Właśnie - mruknęła Patricia, a potem spojrzała na lokaja i skinęła głową.

Jackie z hukiem klapnęła na krzesło.

- I nie miej takiej kwaśnej miny - dorzucił ojciec - bo jeszcze gotów się wystraszyć.

Jackie rzuciła mu wściekle spojrzenie, po czym się uspokoila. Może rodzice mieli jednak rację? Może tym razem powinna się zastanowić, zanim zrobi jakieś głupstwo? Gdy jednak zobaczyła Nathana, byłaby się zerwała z krzesła, gdyby nie to, że ojciec z całych sił nastąpił jej na nogę.

- Jackie! - odezwał się Nathan zdławionym głosem, jakiego dawno u niego nie słyszała.

- Cześć, Nathan. - Jackie wzięła się w garść, wstała i z uśmiechem podała mu rękę. - Nie spodziewałam się twojej wizyty.

- No tak. Bo ja.. . - Nathan zastygł pośrodku wymuskanego salonu. W pomiętym podróżnym stroju, z ozdobionym pstrą kokardą pudełkiem pod pachą, poczuł się jak skończony idiota. - Powinienem wcześniej zadzwonić.

- Nic się nie stało. - Jackie podeszła do niego i jakby nigdy nic ujęła go pod rękę. - Pozwólcie, że wam przedstawię Nathana Powella. A to moi rodzice - J. D. i Patricia MacNamarowie.

J. D. podniósł się z fotela. Jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że nigdy nie widział równie zakochanego i zrozpaczonego człowieka. Wyciągnął rękę, a w jego oczach współczucie mieszało się z ciekawością.

- Miło mi pana poznać. Podziwiam pana prace. - Zmiażdżył w uścisku dłoń Nathana. - Jackie dużo nam o panu opowiadała. Zrobię panu drinka.

Nathan skinął w milczeniu głową, po czym zwrócił się do matki Jackie. Pomyślał, że tak pewnie będzie Jackie wyglądać za jakieś dwadzieścia.. . dwadzieścia pięć lat. Nadal piękna, z porcelanową cerą, pełna gracji, która przychodzi z wiekiem.

- Przepraszam, że wpadłem bez uprzedzenia.

- Nie ma za co - uśmiechnęła się Patricia, ale w głębi ducha była rada, że ten młody człowiek ma dobre maniery. Ona także zdążyła już ocenić gościa. Dostrzegła dobre wychowanie oraz uprzejmość, które bardzo sobie ceniła.

- Proszę, niech pan spocznie.

- Ja.. .

- Proszę. Nie ma to jak szklaneczka whisky. Od razu stawia człowieka na nogi. - J. D. klepnął Nathana po plecach i podał mu drinka. - Więc pan jest architektem? A zajmuje się pan też rewaloryzacją?

- Tak, o ile.. .

- A to się świetnie składa. Chciałbym pogadać z panem o kompleksie budynków, który mam na oku. Na razie to kompletna ruina, ale widzę wielkie możliwości. Powiedzmy, że.. .

- Przepraszam! - Nathan wcisnął J. D. w garść swoją szklaneczkę, po czym chwycił Jackie za rękę i bez słowa wywlókł do ogrodu przez drzwi za kotarą.

- No, no! - Patricia uniosła brwi i kryjąc uśmiech, pociągnęła łyżeczek sherry. Jej mąż wznosił toast whisky, którą wręczył mu Nathan, po czym wlał ją w siebie jednym haustem.

- Nasze zdrowie, staruszko! Za szybki ślub!

Powietrze było balsamiczne, przesycone zapachem kwiatów. Gwiazdy lśniły na wyciągnięcie ręki, księżyc zalewał wszystko srebrzystą poświatą. Jednak Nathan tego nie widział. Zatrzymał się przy białym ogrodowym stoliku, rzucił pakunek i chwycił Jackie w ramiona.

- Przepraszam - zdołał wykrztusić po chwili. - Zachowałem się niegrzecznie wobec twoich rodziców.

- Nic się nie stało. Tak to już bywa - Ujęła w dłonie jego twarz i uważnie mu się przyjrzała. - Wyglądasz, jakbyś był bardzo zmęczony.

- Nie, nie, czuję się świetnie. - Było to jawne kłamstwo. Żeby zyskać na czasie, cofnął się o krok. - Bałem się, że tu także cię nie zastanę.

- Także?

- Nie było cię, kiedy wróciłem do domu. Pojechałem do ciebie, ale tam też cię nie było. Więc przyjechałem tutaj.

- Szukałeś mnie? - zapytała po chwili.

- Od kilku dni.

- Przykro mi. Nie spodziewałam się, że wrócisz tak wcześnie z Denver. W twoim biurze powiedziano mi, że wracasz za tydzień.

- Wróciłem wcześniej niż.. . Dzwoniłaś do biura?

- Tak. Wróciłem wcześniej niż co, Nathan?

- Niż miałem to w planach - wyrzucił z siebie. - Zostawiłem Cody'ego na budowie, wcisnąłem mu w garść projekty, a sam wsiadłem w samolot i wróciłem do domu. Ale tam cię nie było. Zrozumiałem, że odeszłaś.

Omial nie rzuciła mu się ze śmiechem na szyję, zdecydowała się jednak rozegrać partię do końca.

- Myślałeś, że będę na ciebie czekać?

- Tak. Nie. Tak, do jasnej cholery! - Desperackim gestem przeczesał włosy. - Wiem, że nie miałem prawa tego wymagać, ale myślałem, że tam będziesz. Ale kiedy wróciłem, dom był pusty. Nie mogę znieść tej pustki bez ciebie. Bez ciebie nie potrafię nawet myśleć. To wszystko twoja wina! Przez ciebie pomieszało mi się w głowie. - Zaczął nerwowo krążyć tam i z powrotem. Jackie patrzyła na niego ze zdumieniem. Ten Nathan, którego znała, rzadko wykonywał zbędne ruchy. - Za każdym razem gdy coś widzę, zastanawiam się, co byś na to powiedziała. Nie mogłem nawet zjeść niebieskiego półmiska, żeby przy tym nie pomyśleć o tobie.

- To rzeczywiście straszne.. . - Jackie zaczerpnęła tchu, żeby zadać nieuniknione pytanie. - Chcesz, żebym wróciła, Nathan?

- Mam cię błagać na klęczkach?

- Muszę się zastanowić. - Dotknęła pstrej kokardy, zastanawiając się, co jest w pudełku. - Prawdę mówiąc, zasłużyłeś sobie na to, żeby mnie błagać na klęczkach, ale ja nie mam serca, żeby cię do tego zmuszać. - Uśmiechnęła się i grzecznie splotła ręce. - Tak naprawdę, to ja wcale nie wyjechałam.

- Jak to?! Przecież wszystkie twoje rzeczy zniknęły. Dom jest wysprzątany.

- A zaglądałeś do szafy?

- O co ci chodzi? - zirytował się Nathan. - Nic nie rozumiem.

- Ja nie odeszłam od ciebie, Nathan. Moje rzeczy nadal są w pokoju gościnnym, w szafie. Nie potrafiłam zasnąć w twoim łóżku bez ciebie, więc się przeprowadziłam, ale nie wyprowadziłam. Rozumiesz? - Delikatnie dotknęła jego policzka. - Przecież nie mogłam dopuścić do tego, żebyś miał złamane serce.

Nathan chwycił ją kurczowo za rękę, jakby była jego ostatnią deską ratunku.

- No to czemu jesteś tu, a nie tam?

- Chciałam się zobaczyć z rodzicami. Po części z powodu tego wszystkiego, co mi powiedziałeś. Uświadomiłam sobie, że muszę ich odwiedzić, by im podziękować za to, że byli i są tacy cudowni. A po części dlatego, iż chciałam im powiedzieć, że wreszcie przeprowadziłam coś konsekwentnie od początku do końca. - Nerwowo ścisnęła go za rękę. - Sprzedałam moją książkę!

- Naprawdę?! Nawet nie wiedziałem, że ją gdziekolwiek wysłałaś!

- Wolałam o tym nie mówić. Nie chciałam ci sprawić zawodu, gdyby mi się nie powiodło.

- Przecież nie miałbym do ciebie pretensji. - Przyciągnął ją do siebie. Owionął go jej cudowny zapach. W tym momencie zrozumiał, że można wrócić do domu, nawet jeśli dokoła nie ma znajomych ścian. - Tak się cieszę! Jestem z ciebie dumny. Żałuję.. . żałuję, że mnie przy tym nie było.

- Musiałam to zrobić sama, ale następnym razem chcę, żebyś przy tym był.

Ścisnął ją mocniej w talii. Oczy mu pociemniały. Oczy Jake'a, pomyślała, pijana z miłości.

- Więc to naprawdę aż takie proste? - zdumiał się. - Czy rzeczywiście wystarczy ci, że przyjechałem i poprosiłem cię, żebyś ze mną została?

- Tylko to chciałam zawsze od ciebie usłyszeć.

- Nie zasłużyłem na ciebie. Uśmiechnęła się.

- Wiem.

Chwycił ją ze śmiechem i obrócił wokoło, a potem zmiążdżył jej usta w długim, namiętym pocałunku.

- Przyjechałem gotowy składać wszelkiego rodzaju propozycje i obietnice. Nie masz zamiaru o nic prosić?

- Nie powiem, żebym nie chciała ich posłuchać. - Położyła głowę na jego ramieniu. - Może mi powiesz, co chowasz w zanadrzu.

- Chcę być z tobą, ale chcę też, żeby wszystko było jak należy. Żadnych długich rozstań, żadnych niedotrzymanych obietnic. Zdecydowałem się na coś, co powinienem zrobić już rok temu - chcę wejść w spółkę z Codym.

Kiedy popatrzyła mu w oczy, odkrył, że potrafią być równie bystre i przenikliwe, jak oczy jej ojca.

- Słuszna decyzja.

- I to nie tylko zawodowa, ale i osobista. Ja się uczę, Jackie.

- To widać.

- A tak między nami mówiąc, znajdę się dzięki temu pod mniejszą presją i będziemy mogli pomyśleć o założeniu rodziny. Prawdziwej rodziny. Nie wiem, jakim będę mężem czy ojcem, ale.. .

Koniuszkami palców dotknęła jego ust.

- Wspólnie się o tym przekonamy.

- Tak. - Nathan znów chwycił ją za rękę. - Nadal będę musiał podróżować, choć znacznie mniej, ale mam nadzieję, że w miarę możliwości zechcesz mi towarzyszyć.

- Nawet nie próbuj mniej powstrzymać.

- I będziesz mi ciągle przypominać, że rodzina jest na pierwszym miejscu.

- Możesz na mnie liczyć.

- Chciałbym się teraz cofnąć i wyznać ci coś, co powinienem powiedzieć wcześniej. - Puścił jej rękę i odsunął się o krok. - Odkąd cię poznałem, wszystko się zmieniło w moim życiu. Gdybym cię teraz utracił, byłoby to gorsze, niż gdybym stracił wzrok albo rękę, bo bez ciebie nie potrafię już na nic patrzeć, niczego dotykać. Jesteś mi potrzebna. Chcę dzielić z tobą życie. Będziemy się od siebie uczyć, będziemy wspólnie popełniać błędy. A poza tym, kocham cię tak bardzo, że nie potrafię tego wyrazić słowami.

- Myślę, że bardzo ładnie to wyraziłeś. - Jackie pociągnęła nosem, a potem potrząsnęła głową. - Nie chcę się rozplakać. Wyglądam wtedy okropnie, a dziś wieczorem chcę być piękna. Mogę obejrzeć prezent, zanim się rozkleje?

- Lubię, kiedy się rozklejasz. - Nathan obsypał pocałunkami jej twarz. - Kuzyn Fred nawet nie wie, ile mu zawdzięczam.

Jackie uśmiechnęła się przez łzy.

- Kuzyn Fred próbuje teraz znaleźć kupca na dwadzieścia pięć akrów błota.

- Sprzedane! - Nathan ujął w dłonie twarz Jackie. - Kocham cię.

- Wiem, ale możesz mi to wciąż powtarzać.

- Taki mam zamiar, ale najpierw obejrzyj to. - Podał jej pudełko. - Chciałem, żebyś miała coś, co pozwoli ci zrozumieć moje uczucia, nawet jeżeli nie zdołam ich wyrazić słowami. Niech ci to zawsze przypomina, że dałaś mi przyszłość, w którą nigdy nie wierzyłem.

Jackie otarła oczy.

- Umieram z ciekawości. Co to może być? Wprawdzie brylanty są na zawsze, ale muszę przyznać, że wolę kolorowe kamienie. - Niecierpliwym rękami rozerwała papier i wyjęła prezent.

Na moment zapało jej dech w piersi. Zastygła bez ruchu, z twarzą lśniąca od łez w poświacie księżyca. W rękę trzymała pelikana z muszelek. Kiedy wreszcie przeniosła wzrok na Nathana, oczy znów miała pełne łez.

- Nikt mnie tak dobrze nie rozumie jak ty.

- Tylko nie próbuj się zmienić - wyszeptał, tuląc ją do siebie, a wraz z nią tego paskudnego pelikana. - Wracamy do domu, Jackie.

# ***NORA ROBERTS***

## ***OLŚNIENIE***

***BYŁA NAJSEKSOWNIEJSZĄ KOBIETĄ, JAKĄ ARCHITEKT CODY JOHNSON  
KIEDYKOLWIEK WIDZIAŁ NA TERENIE BUDOWY. INŻYNIER ABRA WILSON  
WYRÓŻNIAŁA SIĘ JEDNAK NIE TYLKO NIEZWYKŁĄ URODĄ, ALE RÓWNIEŻ  
SILNĄ WOLĄ I PORYWCZĄ NATURĄ. LECZ ANI JEJ OGNISTY TEMPERAMENT,  
ANI UPREDZENIA W STOSUNKU DO ATRAKCYJNYCH ARCHITEKTÓW NIE  
ZDOŁAJĄ ZNIECHĘCIĆ OCZAROWANEGO NIĄ MĘŻCZYZNY I OSTUDZIĆ JEGO  
UCZUĆ. ZWŁASZCZA ŻE MA ON JUŻ WOBEC ABRY KONKRETNE PLANY...***



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nieznajoma zdecydowanie zasługiwała na to, żeby przyjrzeć się jej dokładniej.

I to nie tylko dlatego, że była jedną z nielicznych kobiet na placu budowy. Męskie oko z reguły chętnie podąża za kobiecą sylwetką - tym chętniej, jeśli pojawia się ona w miejscu uchodzącym za domenę czysto męską. Cody spotykał w pracy kobiety, ale dla niego liczyło się tylko to, czy potrafiły wbić gwóźdź i układać cegły. Ich wygląd i strój były bez znaczenia. Jednak ta kobieta miała w sobie coś, co przykuło jego uwagę.

Styl! Miała niezaprzeczalny styl, mimo iż była w stroju roboczym i stała na kupie gruzu. Zdecydowany styl, znamionujący pewność siebie, która sama w sobie stanowiła pewną klasę i działała na Cody'ego równie silnie - albo niemal tak silnie - jak biały jedwab i czarne koronki.

Cody nie miał jednak czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Przyjechał z Florydy do Arizony, żeby przejąć nadzór nad realizacją poważnego projektu. Zajęło mu to kilka dni i miał teraz masę zaległości do nadrobienia. Od rana zwijał się jak w ukropie, a na domiar wszystkiego dziesiątki szczegółów rozpraszały jego uwagę: krzyki robotników i odgłosy maszyn; wydawane i wypełniane polecenia; dźwigi podnoszące ciężkie stalowe belki, z których formowano szkielet budynku w miejscu, gdzie dotąd były tylko skały; żywe kolory tych skał w palących promieniach słońca, a wreszcie coraz silniej doskwierające pragnienie.

Cody spędził już tyle czasu na najrozmaitszych budowach, że potrafił wybiegać w przyszłość. Nie dostrzegał potu ani wysiłku, ani tego, co laikowi mogło wydawać się chaosem; widział za to ogólną koncepcję i dalekosiężne możliwości.

Teraz przyłapał się na tym, że przygląda się nieznajomej. Jej obecność także stanowiła zapowiedź pewnych możliwości.

Kobieta była wysoka - musiała mieć ponad metr siedemdziesiąt w roboczym obuwiu - była także szczupła, choć bynajmniej nie wiotka. Pod jaskrawożółtą, mokrą od potu koszulką, rysowały się silne, proste ramiona. Cody jako architekt cenił ekonomiczne, proste Unie. Jako mężczyzna zaś z uznaniem patrzył na kształtne biodra nieznajomej opięte obcisłymi spranymi dżinsami. Spod żółtego jak koszulka kasku wysuwał się krótki, gruby warkocz w kolorze mahoniu - drewna, które upodobał sobie dla jego wyjątkowego piękna.

Podsunał wyżej słoneczne okulary, a ukryte za nimi oczy zlustrowany nieznajomą od ciężkich buciorów po żółty kask. Tak, ta kobieta zdecydowanie warta jest tego, żeby jej się przyjrzeć bliżej, pomyślał pełen podziwu dla jej zwinnych, a zarazem oszczędnych ruchów,

kiedy się nachyliła, żeby zajrzeć do wykopu. Na wierzchu tylnej kieszeni spodni dostrzegł wytarty biały kontur - pewnie zwykła chować tam portfel. Praktyczna osóbką, pomyślał. Torebka tylko by jej zawadzała na budowie.

Nieznajoma nie miała delikatnej, bladej cery, właściwej osobom o rudych włosach. Jej skóra miała zdrowy, ciemnozłoty odcień - prawdopodobnie na skutek przebywania pod palącym słońcem Arizony. A zresztą, bez względu na to, skąd się to wszystko brało, Cody z przyjemnością patrzył na jej twarz o zdecydowanych rysach. Podobał mu się jej wyzywający podbródek, lekko wystające kości policzkowe i nie umalowane, wygięte w podkówkę usta.

Nie udało mu się zobaczyć jej oczu z powodu odległości oraz cienia, jaki kask rzucał na jej twarz. Za to głos, którym wydała polecenie, brzmiał wystarczająco dźwięcznie, żeby mógł być słyszany daleko. Jego tembr znacznie lepiej pasował do mglistych, spokojnych nocy niż do znojących, upalnych popołudni.

Cody zatknął z uśmiechem kciuki za pasek i zakołysał się na obcasach. O tak, pomyślał, możliwości są naprawdę nieograniczone.

Kompletnie nieświadoma tego, że stanowi obiekt tak wnikliwej obserwacji, Abra otarła spoczone czoło. Tego dnia słońce paliło wręcz niemiłosiernie. Pot spływał jej po plecach, parował i znów spływał pod koszulką, w rytmicznym cyklu, z którym nauczyła się już żyć.

W tym upale człowiek musi się uwijać jak w ukropie, mimo temperatury dochodzącej do trzydziestu stopni. Każdy dzień jest walką z czasem. Jak na razie wygrywali tę walkę, ale...

Nie, nie ma tu miejsca na żadne ale, pomyślała. Obecna budowa była największym przedsięwzięciem, w jakim dotąd brała udział, i nie zamierzała niczego popsuć. Miał to być jej punkt odbicia do dalszej kariery.

Mimo to, w głębi duszy miała ochotę udusić Tima Thornwaya za to, że zgodził się, by jego firma budowlana, w której Abra pracowała, podjęła się realizacji projektu o tak napiętym terminarzu robót. Kary umowne były niebotyczne, a znając Tima, wiedziała, że skoro ją tu oddelegował, przerzucił tym samym całą odpowiedzialność na jej barki.

Wyprostowała plecy, jakby już czuła na nich jej przytłaczający ciężar. Jeżeli uda się dotrzymać terminów, nie przekraczając przy tym kosztorysu, to będzie cud. A ponieważ nigdy nie wierzyła w cuda, musiała się pogodzić z tym, że ma przed sobą trudne dni. Kompleks wypoczynkowy zostanie wybudowany, i to na czas, nawet gdyby sama miała chwycić za młotek i kielnię. Po raz ostatni dała się zapędzić w kozi róg, przysięgła sobie, patrząc, jak stalowy dźwigar majestatycznie ląduje na swoim miejscu. Potem rozstanie się z firmą Thornwaya i zacznie pracę na własny rachunek.

Była im oczywiście wdzięczna za to, że umożliwili jej start, że pod ich okiem awansowała z asystentki na inżyniera konstruktora. Nigdy im tego nie zapomni. Jednak lojalność obowiązywała ją wyłącznie wobec Thomasa Thornwaya. Po jego śmierci postanowiła jeszcze tylko doprowadzić tę budowę do końca i dopilnować, żeby Tim Thornway nie zrujnował firmy. Jednak nie będzie go przecież prowadzić za rączkę do końca życia!

Przystanęła, żeby wziąć zimny napój z lodówki, a potem kontynuowała obchód, kontrolując układanie stalowych dźwigarów.

Charlie Gray, przydzielony Cody'emu nadgorliwy asystent, pociągnął go za rękaw.

- Mam powiedzieć panie Wilson, że pan tu jest?

Cody przypomniał sobie, że sam kiedyś miał dwadzieścia dwa lata i był bardzo irytujący.

- Chyba widzisz, że ma ręce pełne roboty - powiedział. Wyjął papierosa, a potem przeszukał wszystkie kieszenie, zanim udało mu się znaleźć zapalki. Miały etykietkę jakiejś knajpki z Natchez i były mokre od jego potu.

- Pan Thornway chciał, żebyście się poznali.

Usta Cody'ego drgnęły w uśmiechu. Właśnie myślał o tym, że chyba niezbyt trudno będzie zawrzeć znajomość z Abłą Wilson.

- Wszystko w swoim czasie. - Zapalił zapalkę, machinalnie osłaniając ją dłonią, chociaż powietrze było nieruchome i ciężkie.

- Nie było pana na wczorajszym zebraniu, więc...

- Tak. - No i co z tego, że go nie było? Wprawdzie ośrodek budowano według jego projektu, ale większość prac przygotowawczych nadzorował jego partner. Patrząc na Abłą, Cody zaczął żałować, że się tu wcześniej nie zjawił.

Nieopodal stała duża kempingowa przyczepa. Cody ruszył w jej stronę, a Charlie deptał mu po piętach. Po wejściu do środka Cody wyjął z lodówki piwo, otworzył puszkę i usiadł obok przenośnego wentylatora, gdzie, miał nadzieję, temperatura była o kilka stopni niższa.

- Chciałbym jeszcze raz rzucić okiem na plany głównego budynku.

- Proszę, mam je tutaj. - Charlie, jak posłuszny żołnierz, podał mu tubę z rysunkami, po czym cofnął się i stanął w pozycji na baczność. - Na zebraniu... - urwał i głośno chrząknął - panna Wilson powiedziała, że jako inżynier konstruktor chciałaby wprowadzić kilka zmian.

- Naprawdę? - Cody rozsiadł się wygodniej na wąskiej wersalce. Słońce litościwie wypaliło pomarańczowo - zieloną tapicerkę, która przybrała nieokreślony, za to znacznie

mniej agresywny kolor. Rozejrzał się za popielniczką, a nie znajdując jej, sięgnął po pusty kubek, po czym rozwinął arkusz.

Z przyjemnością popatrzył na swój projekt. Budynek miał kształt kopuły, zwieńczonej latarnią z witrażowego szkła. Umieszczone centralnie atrium otoczono piętrami biur, przez co budowla zyska na przestrzeni. W atrium można będzie odetchnąć. Jaki sens ma przyjazd na zachód, jeżeli człowiek nie poczuje tu szerszego oddechu? Każde biuro będzie miało okna z grubego, przyciemnianego szkła, zatrzymującego słoneczne promienie, a jednocześnie umożliwiającego podziwianie panoramy gór i całego ośrodka.

Zaokrąglony hol na parterze umożliwiał łatwy dostęp do dwupoziomowego baru oraz do oddzielonej szklaną ścianą kawiarni.

Goście będą mogli wjechać szklanymi windami albo wejść kręconym schodami na piętro, do jednej z trzech restauracji, lub udać się jeszcze wyżej, do którejś z sal klubowych.

Cody pociągnął łyk piwa. Projekt, jego zdaniem, łączył w sobie humor i fantazję; stanowił udane zgranie nowoczesności z tradycją. Nie widział w nim nic, co wymagałoby jakichkolwiek zmian. I nie zamierzał się zgadzać na żadne zmiany.

Abra Wilson będzie się musiała z tym pogodzić. Bez względu na to, czyjej się to spodoba, czy nie.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i podniósł głowę. Na widok wchodzącej kobiety pomyślał, że z bliska prezentuje się jeszcze lepiej. Była trochę spocona, odrobinę zgrzana i chyba bardzo zła.

Nie mylił się. Abra była rzeczywiście wściekła. Miała pełne ręce roboty, a przyszło jej jeszcze uganiać się za niesubordynowanymi pracownikami, którzy robili sobie nielegalne przerwy w pracy.

- Co ty tu robisz, do cholery?! - zaatakowała Cody'ego, który właśnie podnosił piwo do ust. - Każda para rąk jest mi teraz potrzebna na budowie! - Wyrwała mu puszkę, zanim zdążył przełknąć. - Thornway nie płaci wam za siedzenie na tyłku. Poza tym tu się nie pije w godzinach pracy. - Odstawiła puszkę na stolik, walcząc z przemożoną chęcią, by ulżyć wyschniętemu gardłu.

- Proszę pani... - próbował bardzo nieśmiało wtrącić Charlie.

- O co chodzi? - ofuknęła go niecierpliwie. - Pan Gray, tak? Chwileczkę. - Wszystko po kolei, pomyślała, ocierając wilgotnym rękawem spocony policzek. - Posłuchaj, koleś - zwróciła się do Cody'ego - jeżeli nie chcesz w tej chwili wylecieć, podnieś tyłek i zgłoś się do brygadzysty.

Cody słuchał jej z wyzywającym uśmiechem. Rozstrojona, resztką sił powstrzymała wybuch wściekłości. Podobnie jak chęć, żeby wyrzucić go pięścią w tę jego beczelną gębę.

Kawał przystojnego drania, pomyślała z niechęcią. Takim facetom zawsze się wydaje, że jednym uśmiechem potrafią zażegnać kłopoty. Zresztą, zazwyczaj mają rację, ale z nią taki numer nie przejdzie. Chociaż lepiej mu nie grozić. Nie chce przecież mieć później do czynienia ze związkami zawodowymi.

- Tu nie wolno nikomu wchodzić - syknęła ze złością, zwijając rozłożone kalki. - Może gdyby ranek przebiegał bardziej gładko, nie byłaby taka żadna krwi. Rzecz w tym, że ten człowiek znalazł się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie. - Nie wolno grzebać w planach. - Ciekawe, pomyślała, jaki kolor mają jego oczy ukryte za ciemnymi szklami? Jeżeli ten facet nie przestanie się tak beczelnie uśmiechać, chyba mu przyłoży.

- Proszę pani... - powtórzył z rozpaczą Charlie.

- Czego chcesz, człowieku? - Brutalnie odepchnęła jego rękę. Do diabła z uprzejmością! Wściekła i zgrzana, z impetem zaatakowała wymarzony cel, na którym wreszcie mogła się wyładować.

- Gray, czy udało ci się wreszcie wyciągnąć tego genialnego architekta z wanny? Thornway chciałby się dowiedzieć, czy prace postępują zgodnie z harmonogramem.

- No więc...

- Chwileczkę - przerwała mu ponownie i zwróciła się do Cody' ego. - Zdaje się, że miało już cię tu nie być. Chyba rozumiesz po angielsku?

- Tak, proszę pani.

- No to zjeżdżaj!

Mężczyzna ruszył się z miejsca, choć wcale nie tak szybko, jak by sobie tego życzyła. Przeciągnął się leniwie jak kot, który chce zeskoczyć z parapetu, po czym wstał. Kiedy przeciskał się między stołem a wersalką, nie przypominał wcale człowieka, któremu grozi utrata pracy. Sięgnął po puszkę z piwem, pociągnął długi łyk, oparł się swobodnie o drzwi lodówki i posłał Abrze rozbrajający uśmiech.

- No, no, Ruda! Ale z ciebie fest kobita!

Abrę замуrowało. Może i budownictwo to domena głównie męska, ale żaden z mężczyzn, z którymi dotąd pracowała, nie odważył się traktować jej protekcyjnie i bez szacunku. On już tu nie pracuje, pomyślała. Nie oglądając się na napięty harmonogram i związki zawodowe, osobiście wręczy mu wypowiedzenie.

- Znajdź swoją śniadaniówkę i zjeżdżaj, ale już! - Wyszarpnęła mu z ręki puszkę i wylała na głowę jej zawartość. Na szczęście dla Cody'ego, został w niej już tylko ostatni łyk.  
- I zgłoś to przedstawicielowi swojego związku.

- Proszę pani... - Charlie był błady jak ściana, głos mu drżał. - Nic pani nie rozumie.

- Idź się trochę przejść, Charlie - odezwał się grzecznie Cody, przeczesując wilgotne włosy.

- Ale... ale...

- No już!

- Tak jest, proszę pana. - Charlie z radością opuścił tonący okręt. Widząc to, a także słysząc, że nazwał tego przystojniaka „panem”, Abra nabrała podejrzeń, że popełniła katastrofalny błąd. Bezwiednie zmrużyła oczy i napięła mięśnie.

- O ile się nie mylę, nie zostaliśmy jeszcze sobie przedstawieni. - Cody zdjął wreszcie okulary. Oczy miał piękne, w odcieniu starego złota. Nie dostrzegła w nich cienia zażenowania czy gniewu. Spoglądały na nią z uprzejmą obojętnością. - Jestem Cody Johnson. Architekt.

Mogła powiedzieć byle co, wymyślić jakieś przeprosiny albo śmiać się z tego nieporozumienia i zaproponować mu piwo. Wszystkie trzy wyjścia przyszły jej do głowy, ale chłodny wzrok Cody'ego sprawił, że je odrzuciła.

- To miło, że pan do mnie wstąpił - powiedziała. Twarda sztuka, pomyślał. Nie zwiódą go jej piękne oczy i zmysłowe usta. To nic, dawał sobie radę z bardziej wojowniczymi egzemplarzami.

- Gdybym mógł przewidzieć, że zostanę tak gorąco powitany, zjawiłbym się znacznie wcześniej.

- Przykro mi, ale musiałam już zwolnić orkiestrę dętą. - Chciała wyjść, żeby ocalić nadwreżoną dumę, ale szybko się przekonała, że aby dotrzeć do drzwi, musi precyzyjnie się obok niego. Ta perspektywa nawet jej się spodobała. Był przeszkodą, a przeszkody są po to, żeby je pokonywać. Zadarła lekko głowę, tak by ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- Są jakieś pytania?

- O tak, kilka. - Na przykład jak mam cię zdobyć? Czy często robisz taką wyzywającą minę? Odkąd to kask może być takim seksownym nakryciem głowy? - Tak pomyślał, a głośno spytał: - Czy masz zwyczaj oblewać piwem swoich ludzi?

- To zależy od ludzi. - Zrobiła krok w stronę drzwi i znów utknęła między Codym a lodówką. Musiałby się odwrócić, żeby ją przepuścić. Odczekał chwilę, patrząc jej w oczy.

Nie dostrzegł w nich lęku czy skrępowania, tylko wściekłość, która go rozbawiła. Uśmiechnął się.

- Ciasno tu... panno Wilson.

Mogła sobie być inżynierem, specjalistą o sporym doświadczeniu, nie przestała jednak być kobietą i czuła teraz nacisk jego ciała - twardych bioder i mięśniowych ud. Jednak błysk rozbawienia w jego oczach skutecznie stłumił wszelkie dalsze doznania.

- To twoje prawdziwe zęby? - zapytała ze spokojem.

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, tak.

- No to się odsuń, jeżeli ci na nich zależy.

Miał wielką ochotę pocałować ją za odwagę, a także po to, żeby poznać smak jej ust. Jednak choć z natury impulsywny, wiedział, kiedy trzeba zmienić taktykę i przestawić się na długofalowy plan.

- Tak jest, proszę pani.

Cofnął się, a ona precyzyjnie przesunęła się obok niego. Wolałaby wyjść na dwór, jednak miała tu jeszcze coś do załatwienia. Przysiadła na brzegu wersalki i rozwinęła kalkę.

- Zakładam, że Gray poinformował pana o szczegółach zebrania, na którym pana nie było.

- Owszem. - Cody wślizgnął się za stół i usiadł. Przyczepa była rzeczywiście bardzo ciasna. Po raz drugi ich uda otarły się o siebie. - Podobno domaga się pani jakichś zmian.

Nie powinna się bronić. To tylko osłabi jej pozycję. Jednak nie mogła się powstrzymać.

- Miałam problemy z tym projektem od samego początku, panie Johnson, i nie robiłam z tego tajemnicy.

- Wiem. Przeglądałem korespondencję. - Wyciągnięcie nóg w tak ciasnej przestrzeni wymagało wręcz akrobatycznej zręczności, a jednak mu się to udało. - Chciała pani projektu typowego dla architektury pustynnej.

Zmrużyła oczy, ale Cody zdążył już dostrzec ich błysk.

- Nie przypominam sobie, żeby padło słowo „typowy”, są jednak konkretne powody, żeby zastosować taki a nie inny styl architektoniczny na tych właśnie terenach.

- Są też konkretne powody, żeby spróbować czegoś nowego. Nie uważa pani? - rzucił jakby od niechcienia, zapalając papierosa. - Spółka „Barrow&Barrow” zamierza stworzyć tu luksusowy ośrodek wypoczynkowy - ciągnął, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Całkowicie samowystarczalny i na tyle ekskluzywny, żeby można było wyciągnąć grube pieniądze z zamożnej klienteli. Chcą, żeby wyglądał zupełnie inaczej niż wszystkie ośrodki

rozrzucone wokół Phoenix i żeby panowała w nim zupełnie inna atmosfera. A ja im to gwarantuję.

- Jednak pewne modyfikacje...

- Nie ma mowy o żadnych modyfikacjach, panno Wilson!

Zacisnęła usta. Co za nadęty bufon! Zresztą jak wszyscy architekci. W dodatku cholernie irytujący. I ten szyderczy sposób, w jaki wymawiał słowo „panno”...

- Tak się niestety złożyło - zaczęła z wymuszonym spokojem - że będziemy zmuszeni pracować razem na tej budowie.

- Co za okrutne zrządzenie losu - mruknął Cody. Puściła tę uwagę mimo uszu.

- Będę szczerą, panie Johnson. Z konstrukcyjnego punktu widzenia pański projekt jest mocno podejrzany.

Cody wydmuchał powoli dym z papierosa. W oczach pani inżynier dostrzegł złote błyski. Jakby nie mogły się zdecydować, czy chcą być zielone, czy szare. Typowe oczy marzycielki. Uśmiechnął się.

- To już pani problem. Jeżeli nie czuje się pani na siłach, Thornway może zatrudnić kogoś innego.

Abra zacisnęła pięści. Miała ochotę wepchnąć mu plany do gardła, żeby się udławił. Niestety, była związana umową.

- Jestem wystarczająco dobra, panie Johnson.

- No to nie powinno być żadnych problemów. - Cody założył nogę na nogę i popatrzył na rozgniewaną kobietę. Z zewnątrz dobiegał jednostajny hałas, świadczący o tym, że budowa jest w toku. Był to odgłos optymistyczny i bardzo produktywny. Przypominał Cody'emu, że jest czas na pracę i czas na przyjemności.

- Może by mnie pani zapoznała z postępem robót? Nie należało to do jej obowiązków. O mały włos byłaby mu to wykrzyczała w twarz. Była jednak związana kontraktem, który pozostawiał bardzo wąski margines dla jakichkolwiek błędów. Spłaci dług wobec Thornwaya, nawet jeśli będzie musiała postępować z tym zarozumiałym architektem ze Wschodniego Wybrzeża w białych rękawiczkach.

- Jak pan już pewnie zdążył zauważyć, zakończono w terminie roboty detonacyjne. Na szczęście udało nam się ograniczyć je do minimum, nie naruszając przy tym integralności krajobrazu.

- Taka była koncepcja.



- Ach tak? - Spojrzała na plany, a potem znów na Cody'ego. - W każdym razie, szkielet głównego budynku powinien być gotowy pod koniec tygodnia. O ile nie będzie żadnych zmian...

- Nie będzie.

- O ile nie będzie żadnych zmian - powtórzyła przez zaciśnięte zęby - pierwsze terminy przewidziane w umowie zostaną dotrzymane. Prace nad poszczególnymi domkami nie rozpoczną się, póki nie zatknjemy wiechy na głównym budynku i nad centrum medycznym. Pole golfowe i korty tenisowe to już nie moja działka. O tym będzie pan musiał porozmawiać z Kendallem. To samo dotyczy architektury krajobrazu.

- Dobrze. Czy kafelki do foyer zostały już zamówione?

- Jestem inżynierem, a nie zaopatrzeniowcem. Tymi sprawami zajmuje się Marie Lopez.

- Będę o tym pamiętał. Mam jeszcze jedno pytanie.

Zamiast skinąć zachęcająco głową, wstała i otworzyła lodówkę. Półki uginały się od kartonów z wodą sodową i sokami oraz butelek ze zwykłą wodą. Zawahała się, a w końcu zdecydowała się na wodę. Przecież chciało jej się pić. Ruch, jaki wykonała, nie miał nic wspólnego z chęcią powiększenia dystansu między nią a tym antypatycznym typem. To był tylko dodatkowy plus. Otworzyła butelkę i nie proponując mu niczego, sama zaczęła pić.

- Słucham.

- Czy to dlatego, że jestem mężczyzną? Że jestem architektem? A może dlatego, że przyjechałem ze Wschodniego Wybrzeża?

Abra pociągnęła długi łyk. Jeden dzień w pełnym słońcu wystarczył, żeby jej uzmysłowić, ile szczęścia kryje się w butelce najzwyczajniejszej wody.

- Proszę mówić jaśniej.

- Czy to dlatego, że jestem mężczyzną, architektem, czy dlatego, że pochodzę ze Wschodniego Wybrzeża ma pani ochotę napluć mi w twarz?

Pytanie samo w sobie nie powinno było jej zirytować. Rzecz w tym, że zadał je z uśmiechem, za który w ciągu minionej godziny zdążyła już go wielokrotnie znienawidzić. Mimo to oparła się swobodnie o blat stołu i zmierzyła Cody'ego pogardliwym wzrokiem.

- Mam gdzieś twoją płć.

Nadal się uśmiechał, ale w oczach mignął mu groźny błysk.

- Lubisz wymachiwać czerwoną płachtą przed bykiem, Wilson?

- Tak. - Teraz przyszła Abry kolej na uśmiech, który wprawdzie zmiękczył wyraz jej ust, ale nie ugasił wyzwania w oczach. - Żeby dokończyć moją odpowiedź... architektki to

często nadęci, rozhisteryzowani artyści, którzy przelewają swoje ego na papier i spodziewają się, że inżynierowie i robotnicy zachowają je dla potomności. Z tym się mogę pogodzić. Mogę to nawet uszanować - kiedy architekt przyjrzy się uważnie krajobrazowi i będzie tworzył raczej w zgodzie z nim niż dla samego siebie. A co do tego, że pochodzi pan ze Wschodniego Wybrzeża, tutaj widzę największy problem. Pan nie rozumie pustyni ani gór, ani tutejszych tradycji. Nie podoba mi się myśl, że siedzi pan sobie pod palmą, ponad trzy tysiące kilometrów stąd, i decyduje o tym, jak tutejsi ludzie mają żyć.

Ponieważ znacznie bardziej zależało mu na niej niż na tym, by się obronić, nie wspomniał, iż już wcześniej trzykrotnie wizytował tereny przyszłej budowy. Przeważająca część projektu powstała tutaj, gdzie w tej chwili siedział, a nie w jego pracowni na Florydzie. Miał swoją wizję, należał jednak do ludzi, którzy raczej wcielają w czyn swoje koncepcje, niż o nich mówią.

- Jeżeli nie chce pani budować, czemu pani to robi?

- Nie powiedziałałam przecież, że nie chcę budować. Uważam tylko, że nie muszę w tym celu tak wiele niszczyć i burzyć.

- Za każdym razem, kiedy człowiek wbija łopatę w ziemię, zabiera trochę tej ziemi. Takie jest życie.

- Za każdym razem, gdy człowiek zabiera trochę ziemi, powinien się zastanowić, co daje w zamian. Tego wymaga moralność.

- Proszę, proszę, inżynier, a do tego filozof. - Drażnił się z nią, i doskonale o tym wiedział. Jeszcze nie dokończył, a już gniewny rumieniec zabarwił jej policzki. - Zanim wyleje mi pani na głowę swoją złość, powiem, że przyznaję pani rację, ale tylko do pewnego stopnia. Nie zgadzam się na żadne neony i plastik. Bez względu na to, czy się to pani podoba, czy nie, to mój projekt. A pani ma go wykonać. Na tym polega pani praca.

- Wiem, na czym polega moja praca.

- No to dobrze. - Jakby wszystko było już ustalone, Cody zaczął zwijać kalki. - Co pani powie na kolację?

- Co takiego?

- Kolacja - powtórzył. Wsunął rulony do tuby i wstał. - Chciałbym zjeść z panią kolację.

Abra nie potrafiła powiedzieć, czy była to najbardziej idiotyczna propozycja, jaką w życiu słyszała, z pewnością jednak mieściła się w pierwszej dziesiątce.

- Dziękuję, nie.

- Przecież nie jest pani mężatką? - Gdyby była, to miałyby zasadnicze znaczenie.

- Nie.

- Ma pani kogoś? - Nawet gdyby miała, to już bez znaczenia.

Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Abra nie zamierzała się z tym kryć.

- To nie pański interes.

- Masz ostry język, Ruda. - Sięgnął po kask, ale go nie założył. - To mi się podoba.

- Jesteś bezczelny, Johnson. A to mi się nie podoba. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce. - Jeżeli będą jakieś pytania w sprawie konstrukcji, jestem w pobliżu.

Nie musiał sięgać daleko, żeby położyć jej rękę na ramieniu. Pod dotykiem jego dłoni sprężyła się jak kotka gotowa do skoku.

- Będę o tym pamiętał. No cóż, zjemy kolację innym razem. Chyba należy mi się piwo.

Abra rzuciła mu ostatnie, miazdzące spojrzenie, po czym wyszła na dwór.

Nie tak go sobie wyobrażała. Był atrakcyjny, to prawda, ale z tym potrafi sobie poradzić. Kiedy kobieta decyduje się działać na terytorium męskim, od czasu do czasu zdarza jej się spotkać atrakcyjnego mężczyznę. Jednak on wyglądał raczej jak członek ekipy niż współwłaściciel jednej z największych spółek architektonicznych w kraju. Jego jasnobrązowe włosy, spłowiałe od słońca, były za długie, skóra zbyt ogorzała, a ciało za bardzo muskularne jak na rozkapryszzonego architekta. A szerokie dłonie, pokryte odciskami, były typowymi dłońmi robotnika. Wzruszyła ramionami, jakby chciała w ten sposób zagłuszyć wspomnienie tych rąk. Doświadczyla ich siły, szorstkości i magnetycznego dotyku. I jeszcze ten głos, ten rozlewny, przeciągły akcent...

Zbliżając się do stalowej konstrukcji budynku, mocniej nasadziła kask na głowę. Taki głos na pewno działa na niektóre kobiety. Ona nie ma czasu, żeby sobie zaprzętać myśli jego południowym akcentem czy bezczelnym uśmiechem. Nie ma też czasu, by myśleć o sobie jako o kobiecie.

Tymczasem on sprawił, że nagle przypomniała sobie, iż nią jest.

Mrużąc oczy pod słońce, patrzyła, jak stalowe belki lądują na dźwigarach. Wcale jej to nie odpowiadało, że Cody Johnson obudził kobiecą stronę jej natury. Słowo „kobieca” zbyt często utożsamiano z „bezbronna” i „zależna”. A ona nie miała ochoty być ani bezbronna, ani zależna. Zbyt długo i nazbyt ciężko pracowała na swoją niezależność. Przelotne drgnienie serca nie mogło mieć na to żadnego wpływu.

Szkoda, pomyślała, że ta puszka z piwem nie była pełna.

Z posępnym uśmiechem przyjrzała się kolejnej belce, która kołysząc się, sunęła w powietrzu. Budowa to coś pięknego. To szczęście móc oglądać, jak rośnie krok po kroku,

piętro za pięciem. To fascynujące, kiedy wielkie, użyteczne przedsięwzięcia przybierają realny kształt. A zarazem to straszne, gdy ceną za postęp jest degradacja środowiska. Nigdy nie potrafiła rozdzielić tych dwóch spraw i właśnie dlatego wybrała zawód, który umożliwił jej kontrolę nad kształtowaniem środowiska.

Natomiast ta budowa tutaj... Potrząsnęła głową, kiedy huk nitownic rozdarł powietrze. Przecież ten projekt to fanaberia człowieka, który był tu obcy - te kopuły, te łuki i spirale. Już nawet nie zliczy, ile nocy spędziła nad rajzbretem, z suwakiem i kalkulatorem, starając się zaprojektować zadowalający system wspomagania. Architekci nie zaprzatają sobie głowy tak przyziemnymi sprawami. Dla nich liczy się tylko estetyka. Tylko ich przerośnięte ego. Mimo to wybuduje ten cholerny ośrodek, pomyślała, kopiąc nogą kawałek gruzu, który leżał na jej drodze. Wybuduje, i to dobrze. Co wcale nie znaczy, że wszystko musi jej się podobać.

Odwrócona plecami do słońca, spojrzała przez teodolit. Musieli sobie poradzić z górą, z nierównym podłożem ze skały i piasku, jednak wszystkie wymiary się zgadzały. Kiedy sprawdziła łuki i kąty, poczuła przypływ dumy. Konstrukcyjna strona budynku - nawet kompletnie tutaj niepasującego - będzie bez zarzutu. Po prostu perfekcyjna.

A perfekcyjność ma wielkie znaczenie. Przez przeważającą część życia Abra musiała się zadowalać drugim gatunkiem. Wykształcenie, umiejętności i zdolności pozwoliły jej wznieść się na wyższy poziom. Już nigdy więcej nie zamierza godzić się na gorszą kategorię. Ani w życiu, ani w pracy.

Nagle poczuła zapach, od którego dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Mydło i pot, pomyślała, wruszając ramionami. Wszyscy na budowie pachnieli mydłem i potem, więc skąd to przekonanie, że to właśnie Cody za nią stoi? A jednak była tego pewna. Dlatego nie odwróciła się, tylko nadal pochylała się nad okularem.

- Jakież problemy? - zapytała, wkładając w te dwa słowa cały bezmiar pogardy.

- Nie wiem, póki nie zobaczę. Można?

- Proszę bardzo - odparła, odsuwając się na bok. - Bądź moim gościem.

Cody podszedł do przyrządu, a ona zatknęła kciuki za pasek i czekała. Nie znalazł żadnych rozbieżności z planem. O ile w ogóle potrafiłby je dostrzec, pomyślała. Nagle usłyszała głośnie krzyki rozlegające się nieopodal. Odwróciła się i zobaczyła dwóch kłócących się robotników. Upał, jak wiadomo, doprowadza temperamety do punktu wrzenia. A to niczego dobrego nie wróży. Zostawiła więc Cody'ego i podeszła do nich, przeskakując przez hałdy ziemi.

- Jeszcze trochę za wcześnie na przerwę - powiedziała ze spokojem, kiedy jeden z robotników chwycił drugiego za koszulę.

- Ten sukinsyn mało mi nie uciął palców tą cholerną belką.
- Jak nie umie zejść z drogi, idiota, niech się potem nie dziwi.

Mężczyźni byli spoceni i wściekli. Awantura wisiała w powietrzu. Abra bez namysłu wkroczyła między nich i odsunęła ich od siebie.

- Uspokójcie się! - powiedziała.
- Nie muszę słuchać tego choler...

- Jego nie musisz słuchać, ale mnie musisz - przerwała mu Abra. - Idźcie się przejść, żeby trochę ochłonać. - Przyjrzała się im obu. - Po godzinach możecie się bić, ile chcecie, wasza sprawa. Ale jeszcze jeden zamach na mój czas, a wylatujecie z budowy. Ty! - Wskazała na robotnika, którego oceniła jako bardziej zapalczywego. - Jak się nazywasz?

Śniady mężczyzna zawahał się, a potem burknął:

- Rodriguez.

- Zrób sobie przerwę, Rodriguez. Idź i wsadź głowę pod pompę. - Odwróciła się, jakby nie miała wątpliwości, że jej polecenie zostanie wykonane bez dyskusji. - A ty?

Tęgi, czerwony na twarzy mężczyzna, wysapał:

- Swaggart.

- Bierz się do roboty, Swaggart. I jeszcze jedno - na twoim miejscu miałabym więcej szacunku dla rąk kolegi. Bo jak nie, to możesz się któregoś dnia nie doliczyć swoich własnych palców.

Rodriguez prychnął gniewnie, ruszył jednak posłusznie w stronę beczek z wodą. Abra przywołała brygadzystę i poradziła mu, żeby na kilka dni rozdzielił obu mężczyzn.

Zdażyła już prawie zapomnieć o Codym, ale kiedy się odwróciła, zobaczyła, że wciąż tkwi przy teodolicie, choć już przez niego nie patrzy. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, i przyglądał jej się uważnie. Gdy się zorientował, że nie zamierza do niego podejść, sam ruszył w jej stronę.

- Zawsze pakujesz się w sam środek awantury?
- Kiedy trzeba, tak.

Nasunął na nos ciemne okulary, żeby jej się lepiej przyjrzeć, a potem znów podniósł je do góry.

- Masz gruz na ramieniu. Nie próbowałaś go strzepnąć?
- Jeszcze nie.
- To dobrze. Będę pierwszy.

- Jak chcesz, możesz spróbować, ale radziłabym ci, żebyś się skupił na projekcie. To mu tylko wyjdzie na dobre.

Na twarzy Cody'ego pojawił się uśmiech.

- Ja potrafię się skupić na kilku rzeczach jednocześnie. A ty?

Zamiast odpowiedzieć, wyjęła chusteczkę i otarła spocony kark.

- Wiesz co, Johnson, twój wspólnik wydał mi się całkiem sensowny.

- Bo taki właśnie jest. - Nim zdążyła zaprotestować, wyjął jej z rąk chusteczkę i zaczął jej delikatnie ocierać skronie. - Nathan uważa cię za perfekcjonistkę.

- A ty jaki jesteś? - Miała ochotę wyrwać mu chustkę. Jego dotyk był zdecydowanie zbyt kojący.

- Sama będziesz musiała ocenić. - Cody spojrział na budynek. Fundamenty były solidne, kąty zachowane, ale to dopiero początek. - Będziemy ze sobą pracować jeszcze przez jakiś czas.

Abra także spojrzała stronę budynku.

- Jakoś to zniosę. O ile ty na to pójdziesz. - Odebrała mu wreszcie chusteczkę i wepchnęła ją do kieszeni.

- Abra! - wymówił jej imię w taki sposób, jakby badał jego smak. - Nie mogę się już tego doczekać. - Musnął kciukiem jej policzek, a ona mimowolnie odskoczyła. - No to do zobaczenia - dorzucił ze znaczącym uśmiechem.

Kretyn, pomyślała i się odwróciła. Idąc w stronę wykopu, czuła lekkie mrowienie skóry, ale starała się je zignorować.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jednej rzeczy Abra szczerze nienawidziła - kiedy ktoś odrywał ją od pracy i kazał jej iść na zebranie. Miała przecież tyle obowiązków! Musiała kontrolować mechaników pracujących przy głównym budynku, doglądać ślusarzy w centrum medycznym oraz wciąż pilnować, żeby Rodriguez i Swaggart nie pozabijali się nawzajem. Oczywiście nie było aż tak źle, żeby nie mogli sobie bez niej poradzić, jednak w jej obecności roboty posuwały się znacznie sprawniej. A tymczasem siedziała w biurze Tima Thornwaya i czekała na jego przyjście.

Nikt nie musiał jej przypominać, jak napięty jest harmonogram. Sama doskonale wiedziała, co robić, żeby ukończyć roboty w terminie. Zawsze miała doskonałe wyczucie czasu.

Każda minuta jej dnia poświęcona była tej inwestycji. Co dzień pociła się na budowie, wśród robotników i sprzętu, doglądając wszystkiego aż po najdrobniejsze detale. Po pracy walała się do łóżka o zachodzie słońca i zasypiała kamiennym snem albo do trzeciej w nocy siedziała nad deską kreślarską, a przy życiu podtrzymywały ją ambicja i całe litry kawy. To był jej projekt, przede wszystkim jej, w znacznie większym stopniu niż Tima Thornwaya. Projekt, który stał się jej osobistą sprawą, choć nie bardzo umiałaby wytłumaczyć dlaczego. Traktowała go jako pośmiertny hołd złożony człowiekowi, który uwierzył w nią i kazał jej sięgać po to, co najlepsze. Dlatego budowa ośrodka wypoczynkowego była w pewnym sensie ostatnią pracą dla Thomasa Thornwaya i Abra chciała wykonać ją perfekcyjnie.

Nie ułatwiał jej tego architekt, który żądał rzadkich i drogich materiałów, ryzykując przekroczenie terminów i kosztów. Wbrew niemu, mimo tych wszystkich marmurowych umywalek i niewymiarowych kafelków, zamierzała wywiązać się z warunków umowy. Oczywiście o ile nie będą jej nieustannie odrywać od pracy i ciągać do biura na jałowe narady.

Podeszła do okna, a potem zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Co za strata czasu - a ona tak bardzo nienawidziła wszelkiego marnotrawstwa. Gdyby nie to, że miała pewną sprawę do omówienia z Timem, znalazłaby pretekst, żeby w ogóle nie przyjść na to spotkanie. Jednak cały kłopot z Timem polegał na tym, pomyślała z gorzkim śmiechem, że nie jest on na tyle bystry, żeby czytać między wierszami. A ponieważ miała pewną konkretną sprawę, przyszła, żeby mu ją osobiście przedstawić. Jednak nie będzie dłużej tkwić tu jak głupia, pomyślała, zerkając na zegarek.

Dawniej ten gabinet należał do starego Thornwaya. Abra lubiła jego chłodne kolory i ascetyczne wnętrza. Wraz z pojawieniem się Tima zaczęły się zmiany. Po pierwsze - wstawiono rośliny, pomyślała, krzywiąc się na widok olbrzymiego fikusa. Nie dlatego, żeby w ogóle nie lubiła roślin czy grubych poduszek. Po prostu tutaj wydały jej się wybitnie nie na miejscu, wręcz irytujące.

Po drugie - te obrazy. Thomas wolał malarstwo indiańskie. Tim zastąpił je abstrakcyjnymi płótnami, które działały na nerwy. Nowy, mięsisty dywan, był koloru łososiowego. Stary Thornway używał skór o krótkim włosiu, w których nie gromadziły się brud i kurz. Jednak Tim rzadko odwiedzał place budowy i raczej nie zapraszał brygadzystów na piwo po godzinach pracy.

Przestań, skarciła się w myślach. Tim po prostu działa inaczej. To jego święte prawo. W końcu teraz to jego firma. To, że kochała i podziwiała ojca, nie znaczy wcale, iż musi dopatrywać się wad w synu.

Niestety, syn ma wiele wad, pomyślała, patrząc na wypolerowany blat biurka. Brakowało mu zapału i pasji ojca. Thomas budował przede wszystkim z miłości do samego procesu twórczego, Tim wyłącznie dla zysku.

Gdyby żył Thomas Thornway, nie szykowałyby się teraz do odejścia. Świadomość, że jest to jej ostatnia praca dla tej firmy, oznaczała zapowiedź wolności. Odchodząc, nie będzie niczego żałowała, a tak pewnie byłoby za życia starego Thornwaya. Teraz mogła już tylko czekać w podnieceniu na to, co przyniesie jej przyszłość. Już niedługo wszystko będzie robić na własny rachunek.

To przerażające, pomyślała, zamykając oczy. Przerażające, a zarazem pociągające. Bo pociąga nas wszystko, co nieznanne. Jak Cody Johnson.

Otrząsnęła się i wróciła do okna. To śmieszne. Ten mężczyzna nie jest ani przerażający, ani taki znów pociągający. Nie jest też żadną niewiadomą. To po prostu zwyczajny facet, i to dość irytujący, jeśli wziąć pod uwagę sposób, w jaki zachowywał się podczas ich spotkania. To jeden z tych, co to doskonale zdają sobie sprawę ze swoich wdzięków i potrafią to wykorzystać. Taki, co to zawsze ma w odwodzie zapasowe wyjście.

Takich facetów jak Cody widziała już nieraz w akcji. W sumie miała szczęście, że tylko raz straciła głowę dla przystojnej twarzy i postawnej sylwetki. Niektóre kobiety nie są w stanie niczego się nauczyć i ciągle wpadają w tę samą pułapkę. Na przykład jej matka, pomyślała, potrząsając głową. Gdyby Jessie Wilson zobaczyła takiego faceta jak Cody, z miejsca wpadłaby po uszy. Na szczęście, w przypadku Abry powiedzenie „Jaka matka, taka córka” okazało się nieprawdziwe.



Cody Johnson nie zainteresował jej jako mężczyzna. Jedynie na płaszczyźnie zawodowej jest go w stanie tolerować - a i to z trudem.

Kiedy wszedł do gabinetu kilka sekund później, ze zdumieniem stwierdziła, iż jej myśli i uczucia dziwnie do siebie nie przystają.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać, Abra. - Tim, nieskazitelnie elegancki w trzyczęściowym garniturze, obdarzył ją wylewnym uśmiechem. - Lunch się trochę przeciągnął.

Abra wymownie uniosła brwi. Przez to spotkanie w środku dnia w ogóle nie zje dziś lunchu.

- Bardziej interesuje mnie to, czemu odwołałeś mnie z placu budowy.

- Pomyślałem sobie, że przyda nam się takie spotkanie we trójkę. - Tim rozsiadł się za biurkiem i wskazał Abrze i Cody'emu krzesła.

- Czytałeś przecież raporty.

- Oczywiście. - Tim postukał palcem w teczkę.

Miał ujmujący uśmiech, który pasował do jego okrągłej twarzy. Abrze nieraz już przyszło do głowy, że dobrze by sobie radził w polityce. Nikt nie potrafił tak gładko udzielać odpowiedzi bez żadnych zobowiązań jak Tim Thornway. - Jesteś świetna, jak zawsze. Jem dziś kolację z Barlowem seniorem i chciałbym przedstawić mu coś więcej niż tylko fakty i liczby.

- Przekaż mu moje obiekcje dotyczące projektu wnętrza głównego budynku. - Abra założyła nogę na nogę i nawet nie spojrzała na Cody'ego.

Tim zaczął się bawić jednym ze swoich markowych wiecznych piór.

- Myślałem, że już to ustaliliśmy. Abra wzruszyła ramionami.

- Zapytałeś, to ci odpowiadam. Możesz mu powiedzieć, że instalacja elektryczna głównego budynku będzie gotowa pod koniec tygodnia. To trudne zadanie, zważywszy na rozmiary i kształt budynku. Nie mówiąc już o tym, że klimatyzacja będzie kosztowała fortunę.

- Fortunę to on ma - wtrącił się Cody. - Moim zdaniem, zależy mu bardziej na stylu niż na oszczędnościach za prąd.

- Racja. - Tim głośno chrząknął; Wszystko wskazywało na to, że kontrakt dla Barlowa przyniesie mu spory zysk. Byle tylko udało się utrzymać tempo prac. - Przejrzałem oczywiście wszystkie raporty i mogę zapewnić naszego klienta, że dostaje najlepsze materiały i najlepszych specjalistów.

- Zaproponuj mu, żeby tu przyjechał i sam sobie wszystko obejrzał - powiedziała Abra.

- Nie wydaje mi się...

- Zgadzam się z panną Wilson - wtrącił się Cody. - Gdyby Barlow miał jakieś zastrzeżenia, im wcześniej się o tym dowiemy, tym lepiej.

Tim zasępił się.

- Przecież plany zostały zatwierdzone.

- Tak, ale na papierze wszystko wygląda inaczej - powiedział Cody, patrząc na Abre. - Ludzie czasami doznają szoku na widok końcowego efektu.

- Oczywiście, oczywiście. Zaproponuję mu to. - Tim postukał piórem o blat. - Abra, w twoim raporcie sugerowałaś przedłużenie przerwy obiadowej do godziny.

- Tak, chciałam porozmawiać z tobą na ten temat. Po kilku tygodniach na placu budowy doszłam do wniosku, że jeżeli upały nie zelżeją, trzeba będzie wydłużyć południową przerwę. Ludzie tego potrzebują.

Tim odłożył pióro i splótł ręce.

- Musisz zrozumieć, że te dodatkowe pół godziny odbije się negatywnie na kosztach i terminach.

- A ty musisz zrozumieć, że nie da się pracować w takim słońcu bez wytchnienia. Zazywanie tabletek z solą nie wystarczy, żeby zregenerować siły. Wprawdzie mamy dopiero marzec i w twoim biurze jest miły chłód, zwłaszcza gdy popijasz sobie martini, ale na zewnątrz panuje morderczy upał.

- Płacimy tym ludziom za to, żeby wyciskali z siebie ostatnie poty - przypomniał jej Tim. - Poza tym chyba zgodzisz się ze mną, że dla nich samych będzie lepiej, jeżeli budynki staną pod dachem, zanim przyjdzie lato.

- Nie będą mogli pracować, jeżeli dostaną udaru albo zawału.

- Nie przypominam sobie, żeby coś takiego miało kiedykolwiek miejsce.

- Jeszcze nie. - To będzie cud, jeżeli uda jej się zachować zimną krew. Tim zawsze był tak nieznośnie pompatyczny. Kiedy żył jego ojciec, mogła omijać go i zwracać się ze swoimi problemami bezpośrednio do szefa. Teraz to on był szefem. Zirytowana, zaczęła od nowa. - Tim, oni naprawdę potrzebują dodatkowej przerwy. Praca w takim upale jest bardzo wyczerpująca. Ludzie słabną, tracą koncentrację, a kiedy człowiek jest rozkojarzony, popełnia błędy - często bardzo groźne.

- Płacę brygadzystom za to, żeby sprawdzali, czy nikt nie popełnia błędów.

Abra zerwała się na równe nogi, bliska wybuchu. Nagle rozległ się spokojny głos Cody'ego:

- Powiem ci, Tim, że ludzie i tak sami przedłużają sobie przerwy w taki upał. Dasz im dodatkowe pół godziny - będą ci wdzięczni, nawet zobowiązani. Nie będą żądać więcej. W rezultacie za jednym zamachem załatwisz dwie sprawy: będziesz miał wykonaną robotę i dobre stosunki między pracownikami.

Tim znów zaczął się bawić piórem.

- To brzmi rozsądnie. Będę o tym pamiętał.

- Mam nadzieję. - Cody wstał z uśmiechem. - Wracam teraz na budowę i zabieram pannę Wilson. A co do ewentualnej współpracy w przyszłości, później o tym porozmawiamy. Dzięki za lunch, Tim.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zanim Abra zdążyła cokolwiek powiedzieć, Cody chwycił ją za łokieć i wyprowadził z gabinetu. Dopiero przy drzwiach do windy udało jej się wyrwać rękę.

- Sama znam drogę - syknęła ze złością.

- Panno Wilson, wygląda na to, że znowu się nie zgadzamy. - Wepchnął ją do windy i nacisnął guzik „garaże”. - Moim zdaniem, przyda ci się mały instruktaż, jak radzić sobie z ptasimi mózdkami.

- Nie musisz mi... - Podniosła głowę i urwała. Jego rozbawiony wzrok był wiernym odbiciem jej własnych uczuć. - Rozumiem, że mówisz o Timie.

- Powiedziałem coś takiego?

- Tak mi się przynajmniej wydawało. Chyba że myślałeś o sobie.

- Decyzja należy do ciebie.

- Twardy orzech do zgryzienia. - Winda zadrżała i zatrzymała się na poziomie parkingu. Abra zablokowała otwarte drzwi i spojrzała na Cody'ego. Błysk w jego czach znamionował inteligencję. Usta świadczyły o dużej pewności siebie. Abra z westchnieniem wyszła z windy.

- No i co? Zdecydowałaś już? - odezwał się za jej plecami.

- Powiedzmy sobie, zdecydowałam, jak mam z tobą postępować.

Kiedy szli pomiędzy samochodami, ich kroki odbijały się echem od ścian garażu.

- To znaczy jak?

- Myślę, że czasami powinno się wylać ci kubek zimnej wody na głowę.

Kąciki ust Cody'ego drgnęły w uśmiechu. Abra znów miała włosy splecione w warkocz. Naszła go ochota, by go rozpleść, pasmo po pasemku.

- To nieładnie z twojej strony.

- Może i tak. - Zatrzymała się przed zakurczonym służbowym wozem. Biała farba łuszczyła się, okna były przyciemnione dla ochrony przed oślepiającym słońcem. Sięgnęła do kieszeni po kluczyki.

- Na pewno chcesz wracać na budowę? Mogę cię odwieźć do hotelu.

- Ta budowa trochę mnie jednak interesuje. Wzruszyła z irytacją ramionami.

- Jak sobie życzysz.

- Dokładnie tak.

Wsiadł do wozu, cofnął fotel i nawet udało mu się wyciągnąć nogi. Abra przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, zgasł, a potem zastartował. Ożyło radio i klimatyzacja. Ryknęła muzyka, ale Abra jej nie ściszyła. Na desce rozdzielczej pyszniła się kolekcja ozdobnych magnesów w kształcie banana, strusia, mapy Arizony, szczerzącego zęby kota i damskiej dłoni o różowych paznokciach. Przytrzymały nabazgrane na skrawkach papieru notatki. Cody zdołał z nich wyczytać, że Abra ma odebrać mleko i chleb oraz sprawdzić, czy nadeszło pięćdziesiąt ton cementu. A także zadzwonić do... Mangi? Przeczytał jeszcze raz, mrużąc oczy. Do Mamy. Miała zadzwonić do matki.

- Ładny wóz - zauważył, kiedy przystanęli na światłach.

- Trzeba by dostroić gaźnik. - Abra wrzuciła jałowy bieg, żeby silnik mógł odpocząć. - Na razie do tego nie doszłam.

Popatrzył na jej rękę, kiedy wrzucała jedynekę i dodawała gazu. Dłoń miała smukłą, o szczupłych, długich palcach. Paznokcie krótko obcięte i nie umalowane. Żadnej biżuterii. Bez żadnego trudu mógł sobie wyobrazić te dłonie zarówno serwujące herbatę w delikatnych porcelanowych filiżankach, jak i naprawiające zepsuty samochód.

- No więc, jak postępowałbyś z Timem? - zapytała.

- Co? - mruknął niezbyt przytomnie, bo właśnie zaczął sobie wyobrazać dotyk tych smukłych, zręcznych dłoni na swojej skórze.

- Mówię o Timie - powtórzyła, dodając gazu. Skręcili na południe, do Phoenix. - Jak ty byś sobie z nim poradził?

W tej chwili bardziej interesowało go pytanie, jak by sobie z nią poradził.

- Odniosłem wrażenie, że reprezentujecie odmienne stanowiska.

- Bystry z ciebie chłopak, Johnson.

- Po co ten sarkazm, Ruda? - Nawet nie zapytał, czy może zapalić, tylko uchylił okno i zaczął szukać po kieszeniach zapalek. - Osobiście jest mi wszystko jedno, ale w kontaktach z Thomwayem oliwa sprawdza się lepiej niż ocet.

Miał rację, absolutną rację. Była zła, że musiał jej o tym przypomnieć.

- On nie jest w stanie zrozumieć żadnej aluzji. Nawet gdybyś go walił młotkiem po głowie. - Podsunęła mu zapalniczkę.

- Może w dziewięciu przypadkach na dziesięć. - Przytknął papierosa do zapalniczki. - Właśnie przez ten dziesiąty przypadek możesz wpakować się w kłopoty.

I żeby cię uprzedzić, wiem, co teraz powiesz. Że gwizdziesz na kłopoty.

Uśmiechnęła się mimo woli i nie zaprotestowała, kiedy przyciszył radio.

- Widziałeś kiedyś konie na paradach, z klapkami na oczach, żeby nie zbaczały z drogi i nie denerwowały się na widok tłumów?

- Owszem. Thornway ma takie same klapki, żeby bez przeszkód podążać drogą, na końcu której czekają na niego pieniądze. Jeżeli chcesz wynegocjować lepsze warunki dla ludzi, materiały lepszej jakości albo cokolwiek, musisz się nauczyć subtelności.

Znów to samo nerwowe wzruszenie ramion.

- Kiedy nie potrafię.

- Potrafisz. Jesteś o wiele bystrzejsza od Thornwaya, Ruda, więc na pewno potrafisz go przechytrzyć.

- On doprowadza mnie do szału. Na myśl o tym... - Znowu wzruszyła ramionami, tym razem z żalem. - Po prostu doprowadza mnie do szału. A kiedy wpadam w szal, mówię, co myślę.

Cody zdążył już to zauważyć.

- Musisz tylko sprowadzić wszystko do wspólnego mianownika. Thornwayowi chodzi wyłącznie o zyski. Jeżeli chcesz, żeby ludzie mieli dłuższą przerwę w południe, nie mów mu, że to dla ich dobra. Powiedz, że to wpłynie dodatnio na wydajność pracy, a tym samym na pomnożenie zysków.

Abra zamyśliła się, a potem z westchnieniem przyznała:

- Powinam ci chyba podziękować za to, że go przekonałeś.

- Nie ma za co. Może wybralibyśmy się gdzieś na kolację?

- Nie - odparła twardo.

- Czemu nie?

- Bo masz ładną buźkę. - Kiedy się uśmiechnął, odpowiedziała krótkim uśmiechem. - Nie ufam facetom o ładnych buźkach.

- To ty masz ładną buźkę. Nie mam ci tego za złe. Nadal się uśmiechała, jednak nie odrywała wzroku od szosy.

- To właśnie nas różni, Johnson.

- Gdybyś zjadła ze mną kolację, moglibyśmy doszukać się paru innych różnic.

To była kusząca propozycja. A nie powinna.

- Po co mielibyśmy szukać innych różnic?

- Dla zabicia czasu. A może by tak... - urwał, bo samochód gwałtownie podskoczył.

Abra zakląła i zjechała na pobocze.

- Złapaliśmy gumę - powiedziała ze złością. - A ja już i tak jestem spóźniona. -

Wygramoliła się z wozu, trzasnęła drzwiami i klnąc jak szewc, podeszła do bagażnika. Zanim Cody zdążył do niej dołączyć, wyjęła zapasowe koło.

- Nie wygląda ani trochę lepiej. - Cody pokręcił głową.

- Muszę zmienić wszystkie opony, ale myślę, że ta powinna jeszcze trochę wytrzymać.

- Wyjęła podnośnik, przykucnęła i podłożyła go pod tył wozu. Cody miał już na końcu języka propozycję, że sam to zrobi, ale przypomniał sobie, że przecież lubi oglądać ją przy pracy. Wobec tego cofnął się tylko trochę, żeby jej nie przeszkadzać.

- Tam, skąd pochodzę, inżynierom dobrze się powodzi - powiedział. - Nigdy nie myślałaś o tym, żeby kupić nowy samochód?

- Ten mi w zupełności wystarcza. - Odkręciła zardzewiałe mutry, a potem sprawnie zdjęła przedziurawioną oponę i założyła nową. Obok przejechał samochód. Silniejszy powiew rozburzył jej włosy.

- Przecież ta opona jest całkiem łysa - zauważył, przyglądając się tej, którą zdjęła.

- Chyba tak.

- Chyba?! Moje tenisówki mają głębsze rowki na podeszwach. Trzeba nie mieć za grosz rozumu, żeby jeździć na łysych oponach. - Obszedł samochód i obejrzał pozostałe koła.

- Te też nie są wiele lepsze.

- Przecież mówię, że przydałyby mi się nowe. - Odgarnęła włosy z czoła. - Nie miałam czasu, żeby się tym zająć.

- To go znajdź.

Stał teraz tuż za nią. Odwróciła głowę i na niego popatrzyła.

- Odsuń się.

- Kiedy pracuję z kimś, kto jest tak nierozważny w życiu prywatnym, zaczynam się zastanawiać, czy nie jest równie lekkomyślny w pracy.

- Ja nie popełniam błędów w pracy. - Abra skończyła przykręcać śruby. Cody miał rację, ale nie zamierzała mu tego powiedzieć. - Przejrzyj raporty.

Podniosła się. Cody chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie. Zachnęła się, raczej zirytowana niż zaskoczona. Nie przeszkadzało jej to, że stoją tak blisko, tylko samo poczucie bliskości.

- A poza pracą?

- Raczej rzadko. - Powinna się odsunąć. W głowie zapaliło jej się ostrzegawcze światełko. Nagle zaschło jej w ustach. Stali twarzą w twarz. Widziała kropelki potu na jego czole i szyi, a on z pewnością widział błysk pożądania w jej oczach.

- Nie lubię się kłócić z kobietą, która trzyma w ręku łyżkę do wyważania kół. - Wyjął jej z ręki narzędzie i oparł o zderzak. Dłonie Abry bezwiednie zacisnęły się w pięści ze zdenerwowania, nie ze złości.

- Po południu przychodzi inspektor.

- O wpół do trzeciej. - Ujął ją za rękę i odwrócił grzbietem do góry, żeby popatrzeć na zegarek. - Masz jeszcze trochę czasu.

- To nie jest mój prywatny czas, tylko czas Thornwaya.

- Jesteś bardzo skrupulatna - rzekł. Spojrzał na łysą oponę i dodał: - Na ogół.

To krępujące uczucie, kiedy serce tłucze się o żebra. Zupełnie jakby biegła. No tak, przecież odkąd go po raz pierwszy zobaczyła, nie przestała uciekać.

- Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, mów - odezwała się szorstko. - Potem muszę wracać do pracy.

- Na razie nic mi nie przychodzi do głowy. - Cody nadal trzymał ją za rękę, muskając kciukiem nadgarstek, tam, gdzie puls bił mocno i zdecydowanie. - A tobie?

- Też nie. - Chciała go obejść, ale jednym ruchem przyciągnął ją do siebie. Przypomniała sobie, że zawsze była kiepska w szachach. Nigdy nie potrafiła przewidzieć konsekwencji najbliższego ruchu.

- O co ci chodzi, Cody? - zapytała z wymuszonym spokojem.

- Sam nie wiem - odparł, równie zdezorientowany jak ona. - Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. - Wolną ręką unieruchomił jej głowę. - Masz coś przeciwko temu? - Zbliżył usta do jej warg.

Właściwie dlaczego wycofała się w ostatniej chwili?

Czując oddech Cody'ego na ustach, zdołała jeszcze położyć mu rękę na piersi i odepchnąć go.

- Mam - odparła i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to kłamstwo. Tak naprawdę nie miała nic przeciwko temu. Co więcej, z wielką ochotą zakosztowałaby jego ust.

Dzieliły ich niespełna centymetry, może nawet mniej. Cody niespodziewanie oblał się żarem. To więcej niż ciekawość, pomyślał zmieszany, po czym cofnął się - tak na wszelki wypadek.

- Nie powinienem pytać - stwierdził. - Następnym razem nie popełnię tego błędu.

Jeszcze chwila, a zaczniesz się trząść. Co za wstyd! Przecież dotąd potrafiła zapanować nad sobą. Szybko nachyliła się nad dziurawą oponą.

- Znajdź sobie kogoś innego, na kim będziesz mógł wypróbować te swoje sztuczki, Cody.

- Nie mam ochoty. - Wziął oponę i włożył do bagażnika, po czym, uprzedzając Abre, schował także podnośnik.

Abra podeszła do drzwiczek. Już miała wsiąść, kiedy minęła ich ciężarówka z przyczepą. Pęd powietrza przycisnął ją na moment do karoserii. Odetchnęła głęboko raz i drugi, żeby się uspokoić. Dłonie miała mokre od potu. Otarła je o spodnie, po czym wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk.

- Nie wyglądasz mi wcale na takiego faceta, co to musi dobijać się do drzwi, których nikt nie chce otworzyć.

- Masz rację - odparł, rozsiadając się wygodnie w fotelu. - Czekam chwilę, a potem sam je otwieram. - Uśmiechnął się przyjaźnie i nastawił głośniej radio.

Inspektor pojawił się przed czasem. Abra była wściekła, choć w sumie nie mogła narzekać, bo protokół z odbioru instalacji elektrycznej został podpisany bez żadnych zastrzeżeń. Po jego odjeździe przeszła przez budynek, którego kształt zaczynał już się wyłaniać, i wdrapała się na drugie i trzecie piętro, żeby sprawdzić izolację i obejrzyć pierwszą warstwę suchego tynku. Robota szła jak w zegarku, co w zasadzie powinno ją cieszyć.

Tymczasem ona nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tej chwili, gdy stali z Codym przy drodze, a jego usta były tak blisko jej ust.

Tkwiąc na platformie, sześć metrów nad ziemią, powiedziała sobie, że jest inżynierem, a nie sentymentalną gęsią. Rozwinęła plany budynku i zaczęła sprawdzać instalację systemu chłodzenia. Przez następne kilka dni będzie musiała skupić się wyłącznie na klimatyzacji. Nie może sobie na to pozwolić, żeby tracić czas na rozważania, jak by to było, gdyby pocałowała się z Codym Johnsonem.

A byłoby z pewnością gorąco. I podniecająco. Patrząc na usta Cody'ego, nie sposób nie pomyśleć przy tym o szkodach, jakie mogą one wyrządzić nerwom każdej chyba kobiety. Ona już miała je w strzępach, a przecież ich wargi nawet się nie zetknęły. Na domiar złego, Cody na pewno się tego domyślał. Mężczyźni jego pokroju doskonale przecież zdają sobie



sprawę z wrażenia, jakie wywierają na kobietach. Trudno zresztą ich za to winić, należy ich jednak unikać. O ile to możliwe.

Zakłęła i zaczęła zwijać rysunki. Nie będzie myślała ani o Codym, ani o tym, co by to było, gdyby zamiast „nie” powiedziała „tak”. Albo gdyby w ogóle nic nie mówiła, tylko zdała się na instynkt.

Przypomniała sobie, że musi obejrzeć windy. Wkrótce zostaną oddane do użytku. Razem z jeszcze jednym inżynierem długo i ciężko pracowała nad ich projektem. To, co teraz znajdowało się na papierze, już wkrótce stanie się rzeczywistością. Lśniące, szklane kabiny, pomkną bezszelestnie w górę i w dół.

Jak niektórzy mężczyźni potrafią to robić, że nagle skacze ci puls, a krew zaczyna tętnić w uszach, chociaż nikt nie słyszy tego oprócz ciebie? I bez względu na to, jak bardzo starasz się to zlekceważyć, katastrofa wisi na włosku. Choć doskonale radzisz sobie z kalkulatorem, nie potrafisz zapanować nad własnym systemem nerwowym.

Niech go piekło pochłonie! Za to wszystko, a także za to, że jej przypomniał, iż jest kobietą. Nie potrafiła zapomnieć, co czuła, kiedy trzymał ją za rękę i patrzył jej w oczy, a jego wargi były o tchnienie od jej ust. To jego wina! Postara się to zapamiętać.

Spojrzała w dół i zobaczyła go na pierwszym piętrze. Rozmawiał z Charliem Grayem. Wskazywał w stronę, gdzie opadające zbocze góry przechodziło w ścianę budynku - a może to ściana przechodziła w zbocze? Nad tym wszystkim zawisnie strop z wypukłego szkła, tworząc kopułę. Jej zdaniem, projekt był równie przesadny, jak niepraktyczny, ale - czego nie omieszkano jej wytknąć - ona ma tylko sprawić, żeby wszystko to zaistniało, a nie krytykować.

Słuchając Graya, Cody potrząsnął głową i podniósł głos, ale Abranie dosłyszała słów. Dostrzegła jednak, że był zirytowany, co sprawiło jej pewną przyjemność.

Niech się złości, pomyślała. Niech sobie wraca do siebie, na Wschodnie Wybrzeże i wreszcie przestanie wchodzić jej w paradę.

Zaczęła iść na dół po schodach ewakuacyjnych. Musiała jeszcze sprawdzić stan zaawansowania prac przy budowie centrum medycznego i obejrzeć wykopy pod pierwszą partię domków. Jeżeli uda się zachować ciągłość robót, dotrzymają terminów. Tim powinien tu być i pilnować harmonogramu. Może zresztą lepiej, że go nie ma? Że cała odpowiedzialność spoczywa na jej barkach? Tim tylko denerwuje ludzi, kiedy pojawia się na budowie w nieskazitelnym garniturze i zaczyna się mądrzyć.

Zerknęła na zegarek i w tym samym momencie usłyszała na górze krzyk. Zdażyła jeszcze dostrzec lecącą wprost na nią metalową śrubę, kiedy ktoś chwycił ją w pasie i

odciągnął na bok. Śruba wylądowała z hałasem o centymetry od jej stóp, wzniecając kurz. Gdyby trafiła ją w głowę, mimo kasku skończyłoby się pewnie na szpitalu.

- Hej? Nic ci się nie stało? - Silne ramiona nie przestawały przyciskać jej do twardego, męskiego ciała. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto to.

- Nic. - Głos jej drżał. Podobnie jak ręce. - Wszystko w porządku. Puść mnie.

- Kto za to odpowiada, do jasnej cholery?! - wrzasnął Cody, nie wypuszczając jej z objęć. Teraz już wiedział, co to znaczy osłabnąć ze strachu. Na widok lecącej śruby zadziałał instynktownie, ale gdy wylądowała u jego stóp, nie wyrządzając nikomu szkody, żołądek podjechał mu do gardła. Wyobraźnia podsunęła mu obraz Abry, leżącej na ziemi z zakrwawioną głową.

Dwaj elektrycy zbiegali już po schodach, równie bladzi jak on.

- To od nas spadło. Nic się pani nie stało, panno Wilson? Potknąłem się o skrzynkę z narzędziami i straciłem śrubę.

- Na szczęście mnie nie trafiła. - Abra spróbowała wyswobodzić się z objęć Cody'ego, ale nie miała na tyle siły.

- Wracajcie na górę i sprawdźcie, czy nic nie leży na platformach i rusztowaniach. Jeszcze jeden taki wypadek i ktoś wyleci z pracy.

- Już się robi, proszę pana.

Młotki, które na moment zamarły bez ruchu, zaczęły stukać ze wzmożonym zapalem.

- Posłuchaj, nic mi nie jest. - To musi być prawda. Nawet jeżeli trzęsą jej się ręce, nie może sobie pozwolić na okazanie słabości. - Poradzę sobie z ludźmi.

- Nie gadaj tyle! - Miał ochotę wziąć ją na ręce, ale odciągnął ją tylko na bok. - Jesteś blada jak ściana. Siadaj! - Popchnął ją na skrzynkę.

Ponieważ nogi miała jak z waty, nie oponowała. Pomyślała, że odetchnie raz i drugi, i przyjdzie do siebie.

- Masz. - Cody wcisnął jej w ręce kubek z wodą.

- Dzięki. - Zmusiła się, żeby pić powoli. - Nie martw się o mnie.

- Gdybym się nie martwił, leżałabyś teraz na ziemi z rozbitą czaszką. - Nie chciał tego powiedzieć, ale był wściekły - wręcz chory z wściekłości, tak jak przedtem ze strachu. Tak niewiele brakowało... Gdyby na nią nie spojrział... - Mógłbym oczywiście stać i przyglądać się, jak śruba rozwała ci czaszkę, ale zrobiło mi się żal świeżego, czystego betonu.

- Nie to chciałam powiedzieć. - Abra wypiła ostatni łyk i zgmiotła w rękę papierowy kubek. Cody prawdopodobnie uratował jej życie. Chciała mu podziękować; naprawdę chciała być miła. I zrobiłaby to, gdyby na nią nie krzyknął. - A zresztą, sama zdążyłabym uskoczyć.

- Tak? Wobec tego następnym razem nie kiwnę palcem. Będę pilnował swoich spraw.

- Tak będzie najlepiej - syknęła, rzucając kubek na ziemię. Wstała, walcząc z kolejnym atakiem mdłości. Mimo dobiegającego zewsząd huku młotów, czuła na sobie spojrzenia robotników. - Po co urządzać scenę.

- Nie masz pojęcia, jakie sceny potrafię urządzać, Wilson. - Miał ochotę pokazać jej, dać upust furii, przemieszanej ze strachem. Niech sobie zobaczy, do czego jest zdolny. Ale Abra była bardzo blada i trzęsły jej się ręce. - Na twoim miejscu porozmawiałbym z majstrem. Niech przypilnuje swoich ludzi, żeby przestrzegali podstawowych zasad bezpieczeństwa.

- Wezmę to pod uwagę. Przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

Palce Cody'ego zacisnęły się mocno wokół jej ramienia. Była mu za to wdzięczna, bo dzięki temu poczuła nagły przypływ energii. Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego. W oczach miał dziką furję. Ten człowiek jest chory z wściekłości, pomyślała. No cóż... Jego sprawa.

- Zostaw mnie w spokoju, Johnson! Ile razy mam ci powtarzać?

Odczekał chwilę, póki nie nabrał pewności, że będzie w stanie mówić spokojnie. W uszach wciąż miał przerażający huk metalu uderzającego o beton.

- Dobrze, ustalmy to raz na zawsze, Ruda. Zostawię cię w spokoju. Nie będziesz mi musiała niczego powtarzać.

Puścił ją. *Zawahala* się, po czym ruszyła w stronę wyjścia.

Nie będzie mu tego musiała powtarzać, pomyślał Cody, patrząc, jak wychodzi z budynku. Jeżeli kiedyś spróbuje, źle to dla niej się skończy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ma tysiąc innych spraw na głowie, pomyślał, wchodząc pod prysznic. Abra Wilson to nie problem. To znaczy, owszem, problem, tyle że nie jego.

Powinno się unikać takich kapryśnych kobiet, zwłaszcza jeśli za ich dziewczęcą urodą kryje się narowisty temperament. Projekt dla Barlowów wystarczająco często przyprawiał go o ból głowy. Nie musi do listy swoich zmartwień dodawać jeszcze tej dziewczyny.

Chociaż tak miło na nią popatrzeć, pomyślał, zakręcając wodę. Ale to, że miło popatrzeć, nie musi wcale znaczyć, że miło z nią obcować. Cody lubił wyzwania, jednak tym razem miał już i bez tego dużo spraw na głowie. Jego wspólnik niedawno się ożenił i właśnie oczekiwał narodzin pierwszego dziecka. W tej sytuacji Cody wziął na swoje barki dodatkowe obowiązki. Firma przeżywała dobrą passę, oznaczało to więc pracę przez dwanaście godzin na dobę. Oprócz nadzorowania projektu dla Barlowa, musiał jeszcze załatwiać niezliczoną liczbę telefonów, wysyłać i odbierać telegramy, podejmować decyzje, rozsądzać spory.

Oczywiście nie protestował przeciwko liczniejszym obowiązkom i przedłużonym godzinom pracy. Był nawet losowi za nie wdzięczny. W jego pamięci nie zatarło się jeszcze wspomnienie chłopaka, który dorastał na ubogiej farmie położonej na błotach między Georgią a Florydą. Chłopak ten pragnął dla siebie czegoś więcej, a mężczyzna, który z niego wyrósł, ciężko na to pracował.

Przebyłem długą drogę, pomyślał, owijając się ręcznikiem. Ciało miał smukłe, a tors opalony. Jego praca nie ograniczała się do ślęczenia nad deską kreślarską i przenoszenia architektonicznych wizji na kalkę. Nadal pracował na powietrzu, choć teraz już nie z konieczności, lecz z wyboru. Dom nad jeziorem na Florydzie zamierzał dokończyć własnymi rękami. W jego przypadku to kwestia dumy, a nie braku funduszy.

Pieniądze były, a Cody nigdy się nie wypierał, że lubi z nich korzystać. Jednak w młodości wszystko robił sam i nie potrafił już zerwać z nawykiem, który wszedł mu w krew. Raczej nie chciał, szybko poprawił się w myślach. Czasami nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wzięcie młotka czy piły do ręki i zabranie się za robotę.

Przejechał palcami mokre włosy. Dłonie miał twarde, pełne odcisków. Jak w młodości. Jeszcze teraz potrafił prowadzić traktor, wołał jednak suwak logarytmiczny albo elektryczną piłę.

Przeszedł z łazienki do sypialni hotelowego apartamentu. Apartament był większy niż dom, w którym się wychował. Z czasem przywykł do dużych przestrzeni, do pewnych

luksusów, nigdy jednak nie uważał, że dane mu są na zawsze. Wychowany w biedzie, nauczył się cenić dobry gatunek, wykwinną kuchnię, markowe wino. Dlatego miał na nie bardziej wyczulone oko niż ktoś, kto urodził się w zamożnej rodzinie. Jednak nad tym się nie zastanawiał.

Liczyły się przede wszystkim talent, praca i ambicja, plus oczywiście łut szczęścia. Cody miał to w pamięci, że szczęście potrafi być zmienne, dlatego nigdy nie uchylał się od pracy.

Przebył długą drogę od chłopaka, który kopał w błocie na ubogiej farmie, do zamożnego architekta, współwłaściciela jednej z najlepszych pracowni w kraju. Teraz mógł już śmiało marzyć, snuć wizje i tworzyć - nie zapominając przy tym, że jeśli chce się urzeczywistnić swoje marzenia, trzeba sobie nieraz pobrudzić ręce. Cody potrafił układać cegły, kiedy było to konieczne, mieszać cement, a także wstrzeliwać nity lub kołki. Żeby zarobić na studia, pracował jako prosty murarz. Lata te dały mu nie tylko praktykę, ale i nauczyły go szacunku dla ludzi, którzy w pocie czoła wznosili budowle.

Znów wrócił myślami do Abry. Potrafiła porozumieć się z robotnikami. Cody z własnego doświadczenia wiedział, że ludzie pochyleni nad deską kreślarską często zapominali o tych, którzy układają cegły i wbijają gwoździe. Ale nie Abra Wilson, zdecydowana na wszystko, byle tylko załatwić swoim ludziom dłuższą przerwę. Codziennie sprawdzała zapasy wody i tabletek z solą.

Potrafiła także bez wahania wkroczyć między dwóch rozgniewanych mężczyzn, żeby zapobiec bóje. Albo wylać niesubordynowanemu robotnikowi piwo na głowę. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Nie ma mowy o picu w pracy! Mówiła to serio.

Cody'emu się to podobało. Nie lubił zbędnych grzeczności. Wolał brutalną szczerłość zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym. Abra nie należała do kobiet, które bawią się we flirty albo prowadzą gierki. Najczęściej mówiła to, co myślała.

Wtedy w samochodzie, na skraju szosy powiedziała „nie”, a przecież doskonale wiedział, że chciała powiedzieć „tak”. Poznanie przyczyn tej sprzeczności będzie ciekawym zadaniem. Szkoda, że ich stosunki muszą się ograniczyć wyłącznie do płaszczyzny zawodowej. Mogliby przecież spędzić ze sobą kilka miłych chwil, pomyślał, przeczesując palcami wilgotne włosy. Kłopot polegał na tym, że Abra była zbyt obowiązkowa, by się odprężyć i dobrze zabawić. Ani na moment nie potrafiła zapomnieć o pracy. A może po prostu była za uczciwa, żeby się godzić na przelotny romans. Nie mógł mieć o to do niej pretensji.

Niepokoili go ciagle tarcia miedzy nimi. Z taré zazwyczaj powstaja iskry, a z iskiek rodzi sie plomien. Niestety, nie mial w tej chwili czasu na gaszenie pozarów.

Spojrzał na budzik na nocnym stoliku i spróbowal obliczyc, która godzina jest w tej chwili na Wschodnim Wybrzeżu. Okazalo sie, ze jest o wiele za pózno, zeby tam dzwonic. Oznaczało to, ze bedzie musial wstac nazajutrz o piątej rano i zalatwic wszystkie konieczne telefony miedzy szóstą a siódmą.

W tej sytuacji postanowil zamowic posilek do pokoju i wczesnie polozyć sie do łózka. Kiedy podniósł sluchawkę, uslyszal pukanie do drzwi.

Spodziewal sie wszystkich - tylko nie Abry.

Stala w progu, balansujac wielką papierową torbą z zakupami. Wlosy miala rozpuszczone - po raz pierwszy niezaplecione czy podpięte spinkami. Opadaly jej na ramiona falą o barwie mahoni. Ubrana byla w dzinsy i podkoszulek, ale ciężkie buciory zamienila na adidasy. I prawie sie usmiechala!

- Cześć! - wykrztusila. To śmieszne, ale nigdy w zyciu nie byla taka zdenerwowana.

- Cześć! - Cody oparl sie o framugę i zlustrowal ja leniwym spojrzeniem. - Przechodzilas obok?

- Niezupełnie. - Zaczela nerwowo grzebac w papierowej torbie. - Mogę wejść?

- Jasne. - Cofnal sie i wpuscil ja do pokoju. Uslyszala, jak drzwi zamykaja sie za jej plecami. Ze strachu serce podskoczyl jej w piersi.

- Ładnie tu.

W saloniku dominowaly barwy pustyni: beze, brazu i fiolety. Na ścianach wisialy szkice, okna ocienialy zaluzje. Pachnialo mydlem. Cody takze pachnial mydlem.

Abra zebrała sie w sobie i zaczęła:

- Przyszlam, zeby cie przeprosic.

Cody mimowolnie uniosl brwi. Widac bylo, ze Abra naprawde stara sie byc uprzejma. Rozbawiony, postanowil jak najdluzej przeciagać tę scene.

- Ale za co?

Zacisnela usta. Jadac tu, zdazyła przygotowac sie i na taki wariant, ze Cody nie bedzie jej niczego ulatwial.

- Za to, ze dzis po poludniu bylam nieuprzejma i niewdzieczna.

Cody wsunal rece do kieszeni szlafroka.

- Tylko dzis po poludniu?

Ostatkiem sil powstrzymala wybuch gniewu. Bez względu na wszystko, nalezaly mu sie przeprosiny.

- Tak. To był szczególny przypadek. Pomogłeś mi, a ja byłam opryskliwa i niemiła. Moja wina i potrafię się do tego przyznać. - Bez pytania podeszła do lady oddzielającej salon od aneksu kuchennego. - Przyniosłam ci piwo.

- Do picia czy do polewania? - zapytał, kiedy wyciągnęła z torby sześciopak.

- To już od ciebie zależy. - Tym razem uśmiechnęła się szeroko, a w jej oczach zapaliły się złociste ogniki. Cody poczuł, że serce zamarło mu na moment w piersi. - Nie wiedziałam, czy już coś jadłeś, więc na wszelki wypadek dorzuciłam hamburgera i frytki.

- Przyniosłaś mi kolację?

Zmieszana, wruszyła ramionami, po czym wyjęła z torby paczkę owiniętą w biały papier oraz styropianowy pojemnik z frytkami. Powie Cody'emu, co ma mu do powiedzenia, choćby miała potem paść trupem. Może zresztą padnie, zważywszy na spojrzenie, jakim ją obrzucił.

- Chciałam ci podziękować za to, że tak szybko zareagowałeś. Nie wiem, czy zdołałabym uskoczyć w porę. Zresztą, nie o to chodzi. Myślę, że to dzięki tobie nic mi się nie stało, a ja zachowałam się niegrzecznie. Chyba byłam w szoku i nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Cody pomyślał, że on także doznał wtedy szoku. Podeszedł do Abry, która stała, mnąc w rękę pustą torbę. Gest ten dobitniej niż słowa świadczył o tym, ile kosztowały ją te przeprosiny. Wziął z jej rąk papier i rzucił go na blat.

- Mogłaś mi to napisać na kartce i wsunąć ją przez drzwi. Jednak to chyba nie w twoim stylu. - Z trudem oparł się pokusie, żeby dotknąć jej włosów. Czuł, że byłoby to ze szkodą dla nich obojga. Gdyby raz zaczął, chciałby jej potem dotykać bez przerwy, a ona i tak sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. Cóż mu pozostało? Wyjął jedną butelkę i spojrzał na etykietę.

- Masz ochotę na piwo?

Zawahała się. Czyżby Cody zamierzał ułatwić jej to przykre zadanie?

- Jasne, że tak.

- A na połówkę hamburgera? Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się.

- Może uda mi się coś przelknąć.

A więc rozejm - bez deklaracji i zbędnych słów. Na tarasie Cody'ego zjedli symboliczną kolację i popili piwem. Na patiu u ich stóp cicho szemrała fontanna. Bujnie kwitły krzewy, a ich upojny zapach wypełniał kwadrat podwórka. Słońce chyliło się ku zachodowi, wiał chłodny wietrzyk.

- Masz tu wygodę jak w domu - odezwała się Abra, sącząc piwo.

Cody pomyślał o swoim domu, o wciąż niepomalowanych ścianach, gdzie wszystko było takie swojskie.

- Niezupełnie, ale prawie.

Abra wyciągnęła nogi w kierunku fontanny. Miała ochotę zanurzyć się w niej i zamknąć oczy. Westchnęła i z żalem odrzuciła ten pomysł.

- Dużo podróżujesz?

- Dostyc dużo. A ty?

- Raczej nie. To znaczy, w granicach tego stanu. Byłam kilka razy w Utah. Lubię mieszkać w hotelach.

- Naprawdę?

Była już na tyle zrelaksowana, że potrafiła zignorować pogardliwy uśmiezek, z jakim zadał to pytanie.

Wbiła zęby w swoją połówkę hamburgera, rozkoszując się smakiem tej mieszanki mięsa, przypraw, sosu i sera.

- Lubię przed wyjściem do miasta wziąć prysznic, a po powrocie znaleźć czysty ręcznik. Lubię, jak mnie ktoś obsłuży i poda śniadanie do łóżka. I tym podobne rzeczy. Ty pewnie też. Nie wyglądasz mi na człowieka, który robiłby coś, czego nie lubi.

- Nie mam nic przeciwko podróżom - odparł Cody. Frytki ociekały tłuszczem i były grubo posolone. Dokładnie tak jak powinny. Wziął dwie. - Lubię tylko wiedzieć, że mam dokąd wracać.

Doskonale go rozumiała, a jednak zdziwiła ją u niego ta sentymentalna potrzeba.

- Zawsze mieszkałeś na Florydzie?

- Tak. Nie powiem, żeby mi odpowiadały śnieżne zimy na północy. Wolę słońce.

- Ja też. - Wepchnęła do ust garść frytek. - Tutaj pada tylko kilka razy do roku. Deszcz to niebywale wydarzenie. - Dokończyła hamburgera, najlepszy posiłek, jaki jadła w ciągu ostatnich tygodni. Może trudno w to uwierzyć, ale towarzystwo Cody'ego nie okazało się wcale takie straszne. Rozsiadła się wygodniej i popijając piwo, czekała, aż zapadnie zmrok. - Chciałabym się wybrać nad ocean.

- Który?

- Wszystko jedno.

Cody zauważył, że w tym świetle jej oczy zrobiły się szare. Szare i lekko rozmarzone.

- Stąd nie jest daleko nad Wschodnie Wybrzeże.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od ciemniejącego nieba. - Zawsze mi się wydawało, że muszę mieć jakiś poważniejszy powód, żeby tam pojechać.



- Urlop?

- Przez ostatnie lata harowałam jak wół. Może żyjemy w czasach wyzwolonych kobiet, ale kiedy jest się kobietą inżynierem, trzeba się często przebijać, żeby osiągnąć pozycję w zawodzie.

- Czemu zostałam inżynierem?

Sięgnęli jednocześnie po frytki. Palce ich musnęły się w przelocie.

- Od dziecka chciałam poznać zasadę funkcjonowania pewnych rzeczy. I dowiedzieć się, co robić, żeby działały jeszcze lepiej. Byłam dobra z matematyki. Podobała mi się logika liczb. Jeżeli połączyć te dwie dziedziny według pewnego wzoru, otrzyma się prawidłową odpowiedź.

- Prawidłowa odpowiedź nie zawsze musi być najlepsza.

Abra uważnie przyjrzała się jego twarzy.

- To sposób myślenia typowy dla artystów. Właśnie dlatego każdy architekt potrzebuje dobrego inżyniera, który by go trzymał w ryzach.

Cody pociągnął łyk piwa i uśmiechnął się.

- Czy tym właśnie się zajmujesz, Ruda? Trzymaniem mnie w ryzach?

- To nie takie proste. Weźmy, na przykład, ten projekt centrum medycznego.

- Wiedziałem, że będziesz chciała o tym porozmawiać.

Rozleniwiona po zaimprovizowanej kolacji, udała, że nie słyszy sarkastycznej nuty w jego głosie.

- Mam na myśli wodospad na wschodniej ścianie.

Jakoś nikt nie zwrócił uwagi na to, że to kompletna fanaberia.

- Masz coś przeciwko wodospadom?

- Jesteśmy na pustyni, Johnson.

- Nie słyszałaś o czymś takim jak oazy? Westchnęła, modląc się w duchu o cierpliwość. To był miły wieczór. Jedzenie było smaczne, a towarzystwo okazało się sympatyczniejsze, niż się spodziewała.

- Zgadza się na tę twoją zachciankę.

- Jestem ci niebywale wdzięczny.

- Pod warunkiem, że umieścisz wodospad na ścianie zachodniej, zgodnie z moimi sugestiami i...

- Ściana zachodnia odpada - przerwał jej Cody. - Okna na ścianie zachodniej mają służyć do oglądania zachodów słońca. Poza tym, najlepsze widoki roztaczają się właśnie na zachód.

- Mówię o logistyce. Pomyśl tylko o instalacji hydraulicznej.

- Zostawiam to tobie. Ty pomyśl o hydraulice, a ja pomyślę o estetyce. Na pewno się dogadamy.

Abra potrząsnęła głową.

- Cody, próbuję ci wytłumaczyć, że ten projekt mógłby być o połowę łatwiejszy, gdybyśmy wprowadzili kilka drobnych modyfikacji.

W jej oczach znowu pojawił się wyzywający błysk. Cody miał ochotę się uśmiechnąć. Ich wspólny wieczór nie byłby kompletny bez chociaż jednej drobnej sprzeczki.

- Jeżeli boisz się ciężkiej pracy, trzeba było sobie wybrać inny zawód.

W oczach Abry zapłonął gniew.

- Nie boję się pracy i jestem bardzo dobra w tym, co robię. To przez takich ludzi jak ty, o nadmiernie wybujałym ego, którzy nie chcą iść na żadne ustępstwa, pewne rzeczy stają się niemożliwe.

Cody także miał temperament. Zdołał jednak nad sobą zapanować.

- To nie moje ego powstrzymuje mnie przed wprowadzeniem poprawek. Gdybym się na nie zgodził, nie byłaby to praca, którą u mnie zamówiono.

- Ty to nazywasz integralnością twórcy. Dla mnie to po prostu ego.

- Mylisz się - rzekł Cody ze zwodniczym spokojem. - Po raz kolejny.

W tym momencie mogła się jeszcze wycofać i spróbować subtelności i taktu, gdyby o tym pomyślała.

- Chcesz mi powiedzieć, że twoja integralność doznałaby szwanku, gdybyś przeniósł ten głupi wodospad ze wschodu na zachód?

- Tak.

- To największy idiotyzm, jaki w życiu słyszałam. Oczywiście typowy. - Wstała i zaczęła krążyć po niewielkim tarasie. - Z tego, co wiem, architekci częściej martwią się o odcień farby niż o wytrzymałość budynku.

Cody wodził za nią wzrokiem. Przemierzała taras długim, swobodnym krokiem wytrwałego piechura. Ta kobieta potrafi dojść do celu, pomyślał. Ale jego tak łatwo nie przeskoczy.

- Masz przykrą skłonność do uogólnień, Ruda.

- Nie nazywaj mnie Ruda - burknęła, po czym urwała pomarańczowy kwiat z krzewu, pnącego się po ścianie. - Będę szczęśliwa, kiedy ta budowa dobiegnie końca, a ja zacznę działać na własny rachunek. Będę sobie wtedy mogła wybrać takiego architekta, jaki będzie mi odpowiadał.

- Powodzenia. Obawiam się, że trudno ci będzie znaleźć kogoś, kto zechce znosić twój ognisty temperament i twoje zrządzenie.

Odwróciła się gwałtownie. Wiedziała, że ma temperament, nie zamierzała się tego wypierać ani za to przepraszać. Ale co do reszty...

- Nie jestem wcale zrzęda! Jeżeli wysuwam propozycję, dzięki której można zaoszczędzić kilkadziesiąt metrów rur, to nie zrządzenie. Tylko egocentryczny, twardogłowy architekt może podchodzić do tego w ten sposób.

- To nie mój problem, panno Wilson. - Cody z zadowoleniem zaważył, że Abra się zachnęła. - Masz niskie mniemanie o ludziach mojej profesji, ale póki wykonujesz swoją, jesteś na nas skazana.

Abra gniewnie zmięła trzymany w ręku kwiat.

- Nie wszyscy z twojej branży to idioci. Tu, w Arizonie, mamy kilku doskonałych architektów.

- Aha, już rozumiem. Po prostu nie lubisz architektów ze Wschodniego Wybrzeża.

Nie pozwoli mu na to, żeby wkładał w jej usta słowa, których nie wypowiedziała, i robił z niej idiotkę.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Tim zdecydował się wziąć firmę spoza tego stanu. Skoro już tak się stało, to przecież robię, co w mojej mocy, żeby z tobą zgodnie współpracować.

- Te twoje moce nie są do końca wykorzystane. - Cody odstawił piwo i wstał. Jego twarz tonęła w cieniu, ale Abra poznała po jego ruchach, że jest zły i gotowy do walki. - Jeżeli masz jeszcze jakieś zastrzeżenia, czemu nie zgłosisz ich teraz, kiedy znajdujemy się tu tylko we dwoje?

Rzuciła na ziemię strzępki kwiatu.

- Dobrze, zrobię tak. Wścieka mnie to, że nie pojawiłeś się na żadnej ze wstępnych porad. Byłam przeciwna zatrudnieniu firmy ze Wschodniego Wybrzeża, ale Tim nie chciał mnie słuchać. To, że byłeś nieuchwytny, pociągnęło za sobą dalsze komplikacje. Musiałam radzić sobie z Grayem, który tylko obgryza paznokcie i grzebie w papierach. Potem pojawiłeś się jak spod ziemi i zacząłeś paradować niczym napuszony indor. A na domiar wszystkiego nie godzisz się na zmianę nawet najmniejszej kreski w tym twoim bezcennym projekcie.

Cody zrobił krok w jej stronę, wychodząc z cienia. Zauważyła, że jest wściekły. W swoim gniewie wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny.

- Po pierwsze, były konkretne powody mojej nieobecności na poradach wstępnych. Powody osobiste, których nie mam obowiązku ci wyjawiać. - Zbliżył się o kolejny krok. - A to, że szef wbrew twoim poradom wybrał naszą firmę, to już twoje zmartwienie, a nie moje.

- Wolę uważać to za jego błąd.

- Twoja sprawa. - Kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę, z trudem opanowała instynktowną chęć ucieczki. Cody patrzył na nią pociemniałymi oczyma. Nie przypominał już beztroskiego kowboja - raczej skupionego rewolwerowca. - A co do Graya, może jest młody i denerwujący, ale jednak ciężko pracuje.

Oblała się rumieńcem wstydu.

- Nie to chciałam...

- Nie mówmy już o tym. - Cody znowu postąpił krok. Zatrzymał się tak blisko, że ich ciała niemal się stykały. Abra patrzyła mu nieustępliwie w oczy, z wyzywająco uniesionym podbródkiem. - Poza tym, wcale nie paraduję tu jak indor!

Omam nie Wybuchnęła śmiechem. Jednak powstrzymała się, rozumiejąc, że byłoby to bardzo ryzykowne posunięcie.

- Chcesz powiedzieć, że nie robisz tego świadomie? Najwyraźniej sobie z niego kpiła. Powiedział mu to błysk rozbawienia w jej oczach. Chciała go ośmieszyć, ale jej się to nie uda.

- Ja tego po prostu nie robię. Za to ty człapiasz jak stary chłop w tych podkutych buciorach i kasku, żeby pokazać, jaka jesteś twarda.

Abra otworzyła usta ze zdumienia, ale tylko na sekundę.

- Nie człapię jak stary chłop i nie muszę niczego pokazywać. Ja tylko wykonuję swoją pracę.

- No to rób swoje, a ja będę robił swoje.

- W porządku. Wobec tego widzimy się jutro rano. Odwróciła się w stronę drzwi. Cody chwycił ją za rękę. Nie potrafił powiedzieć, jakie demony go opętały, ale zatrzymał ją, chociaż najlepszym rozwiązaniem dla nich obojga byłoby, gdyby rozstali się w gniewie. Było już jednak za późno. Stali twarzą w twarz, a dłoń Cody'ego spoczywała na ramieniu Abry. Księżyc rozświetlił wieczorne niebo. Z dołu dobiegł ich perlisty śmiech przechodzącej kobiety.

Tym razem ich starcie zaowocowało iskrą - nie, tysiącem iskier, pomyślał Cody, czując mrowienie skóry. Zalała go fala gorąca. Na razie potrafił jeszcze nad sobą zapanować. Jeśli jednak z iskier buchnie płomień, wtedy...

A niech to piekło pochłonie, pomyślał i nagle zawładnął jej ustami.

Była gotowa. Miała to wyraźnie wypisane na twarzy. Gotowość i pożądanie. W dodatku wcale się tego nie wstydziła.

Ale czy wyjdzie jej to na dobre?

Powinna była zapanować nad sobą; nad swoimi zmysłami. Do tej pory na ogół jej się to udawało. Tymczasem nagle uświadomiła sobie, że instynkt potrafi zwyciężyć rozum.

Obejmowała Cody'ego, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, żeby wyciągała rękę. Tuliła się do niego, choć nie pamiętała, by zrobiła jakiś ruch w jego stronę. Kiedy rozchyliła usta, dała w ten sposób do zrozumienia, że nie tylko pragnie pocałunku, ale wręcz do niego zaprasza. Namiętna odpowiedź Cody'ego okazała się dokładnie taka, jakiej oczekiwała.

Przyciągnął ją do siebie, zdumiony gwałtownością swego pożądania. Kolejną niespodzianką była świadomość, że płomień, który nagle buchnął między nimi, trawił nie tylko jego, ale i ją. Abra nie protestowała, nie próbowała się wyrwać, lecz odważnie odpowiedziała na jego wyzwanie.

Chciwie smakował usta Abry, mając uszy pełne jej gardłowych jęków. Potem zaczął wodzić rękami po ciele dziewczyny, badając jego tajemnice. Nie uciekała przed tymi zaborczymi rękami. Zadrżała, a potem spazmatycznie przywarła do Cody'ego.

Powinna była przewidzieć, że coś takiego nastąpi. Pomyśleć, ale już nie potrafiła. Serce waliło jej jak młotem, nogi miała jak z waty, niemal leciała przez ręce.

Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Cody'emu również brakowało tchu. Gdy ich usta znowu się przybliżyły, okazało się, że oboje równie mocno pragnęli tego ostatniego, pożegnalnego pocałunku. Potem stali długo objęci, serce przy sercu. Gniew stopniał, wypaliła się namiętność, a ich ciała ogarnęła słabość.

- I co teraz? - odezwał się Cody.

Abra bez słowa potrząsnęła głową. Jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć, a zarazem za późno, żeby to tak zostawić.

- Może usiądziesz?

Znów potrząsnęła głową, zanim zdążył podsunąć jej krzesło.

- Nie, nie chcę. - Nigdy by nie przypuszczała, że tak trudno będzie jej odejść. - Muszę już iść.

- Nie odchodź jeszcze. - Zachciało mu się zapalić. Kiedy zaczął szukać papierosów w kieszeniach szlafroka, odkrył, że ręce mu drżą. Napęliło go to zdumieniem, a zarazem wściekłością.

- Musimy coś z tym zrobić, Abra.

Płomień zapalki zamigotał, a potem zgasł. Abra zaczerpnęła tchu. Pomyślała, że płomień szybko się zapala i równie szybko gaśnie.

- Nie powinniśmy byli tego robić.

- To nie ma nic do rzeczy.

Szczerze mówiąc, ubodło ją trochę, że nie zaprotestował. Ale, rzecz jasna, nie mógł. Bo to ona miała rację.

- Myślę, że ma. - Zdesperowana przeczesала palcami włosy. Tak niedawno ręce Cody'ego bawiły się nimi. - Nie powinniśmy byli do tego dopuścić, a jednak stało się. Teraz jest już po wszystkim. Sądzę, że jesteśmy zbyt poważnymi ludźmi, żeby mogło to mieć jakikolwiek wpływ na nasze stosunki służbowe.

- Tak uważasz? Powiniennem być przewidzieć, że potraktujesz to dokładnie tak samo jak błędne zamówienie materiałów na budowę. Może i masz rację, ale jeżeli wierzysz, że to się więcej nie powtórzy, musisz być niemądra.

Należy być ostrożną, bardzo ostrożną. Nie jest łatwo mówić, gdy usta wciąż są wilgotne i obrzmiałe od pocałunków.

- Jeżeli się powtórzy, będziemy musieli coś z tym zrobić, nie mieszając w to naszej pracy.

- W tym jednym chyba jesteśmy zgodni. - Cody powoli wydmuchał kłęb dymu. - To, co zaszło przed chwilą, nie miało żadnego związku z tym, co robimy. Co jednak wcale nie znaczy, że nie będę cię pragnął w godzinach pracy.

Ostrzegawczy dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Wyprostowała dumnie plecy.

- Posłuchaj, Cody, to jest... to była... tylko chwilowa słabość. Może i się sobie podobamy, ale...

- Może?

- Dobrze już, dobrze, niech ci będzie. - Próbowwała znaleźć właściwe słowa. - Muszę myśleć o mojej przyszłości. Oboje doskonale wiemy, że nie ma nic gorszego i głupszego niż romans w pracy.

- Życie jest ciężkie - mruknął Cody. Wyrzucił przez balkon niedopałek papierosa i patrzył, jak ognik szybuje w powietrzu. - Wyjaśnijmy coś sobie, Ruda - powiedział, odwracając się z powrotem do Abry. - Pocałowałem cię, a ty oddałaś mi pocałunek. Musisz przyznać, że było nam obojemu cholernie przyjemnie. Dlatego będę chciał cię znowu całować, gdy tylko to będzie możliwe. Nie tylko całować. I nie mam zamiaru czekać na moment, kiedy tobie będzie wygodnie.

- Zawsze jesteś tą stroną, która podejmuje decyzje? - rzuciła z gniewem. - Tylko ty masz prawo wykonać ruch?

Cody milczał przez chwilę.

- Och, dobrze już, dobrze - westchnął. Wściekłość nie zdołała zahamować potoku gniewnych słów.

- Jakie dobrze, ty bezczelny typie?! Oddałam ci pocałunek, bo chciałam, bo mi to sprawiło przyjemność. Jeżeli znowu cię pocałuję, to z tych samych powodów, a nie dlatego, że zdecydujesz, kiedy i gdzie ma to się stać. Jeżeli pójde z tobą do łóżka, to w myśl tych samych zasad. Jasne?

Cudowna kobieta. Straszliwie irytująca, ale cudowna. I co za imponująca szczerość! Cody uśmiechnął się.

- Jasne i proste jak drut - przyznał. Wyciągnął rękę i odgarnął jej za ucho rudy kosmyk. - Cieszę się, że było ci przyjemnie.

Abra syknęła z wściekłością. Cody uśmiechnął się jeszcze szerzej. Odtrąciła jego rękę i zwróciła się do wyjścia.

- Abra!

Przystanęła w progu, trzymając za klamkę.

- Co?

- Dziękuję za kolację.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za jej plecami, Cody wybuchnął śmiechem. Odczekał, póki nie usłyszał, że zamykają się drzwi na dole, a wtedy wrócił do łazienki, zdjął szlafrok i zanurzył się w wannie. Miał nadzieję, że kąpiel z hydromasażem pozwoli mu ukoić ból, jaki odczuwał w całym ciele po wizycie Abry, a także odświeży mu umysł na tyle, żeby znów był w stanie myśleć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Abra powzięła mocne postanowienie, że jej kontakty z Codym ograniczą się wyłącznie do sfery służbowej. Będzie tak dopóty, dopóki ostatni kafelek nie zostanie przyklejony do ściany.

Będą ze sobą rozmawiali jak inżynier z architektem. O ceglach, podkładach, instalacji elektrycznej, plastikowych rurach, betonie i masie termicznej. A jeśli budowa będzie szła bez przeszkód, rozmowy okażą się zbędne.

To, co przydarzyło im się nocą na tarasie, musiało być chwilowym szaleństwem. Pomyślała, zaciskając pięści, że po raz pierwszy w życiu zareagowała na mężczyznę jak jej matka, czyli z miejsca straciła głowę. Widocznie była znacznie bardziej do niej podobna, niżby się do tego chciała przyznać. Wystarczył atrakcyjny mężczyzna, księżycowa noc, a ona omal nie zrobiła z siebie kompletnej idiotki.

Marszcząc brwi, spojrzała na szkielet budynku, który miał pomieścić gabinety lekarskie. Brygadzysta podszedł i podał jej plik dokumentów do podpisu. Przejrzała je uważnie i postawiła parafkę. Pomyślała, że udało jej się zejść tak daleko głównie dzięki temu, że ani razu nie uległa słabości. A przecież zamierzała osiągnąć jeszcze więcej. Może i odziedziczyła pewne cechy po matce, ale nie chciała żyć tak jak słodka Jessie, niepoprawna, wiecznie zakochana optymistka. Nie wolno dopuścić do tego, żeby jeden moment słabości zadecydował o jej karierze. Co było, minęło, a ona powinna poświęcić się wyłącznie pracy.

Przez cały ranek krążyła pomiędzy centrum medycznym i głównym budynkiem, a przy okazji sprawdzała, jak postępują roboty ziemne przy domkach. Prace nad poszczególnymi sekcjami budowy musiały być doskonale zgrane w czasie, co wymagało nieustannego nadzoru, odpowiedzi na dziesiątki pytań oraz łagodzenia konfliktów.

Odbyła długą telefoniczną rozmowę z inżynierem mechanikiem, zatrudnionym przez Thornwaya. Pracował trochę zbyt wolno jak na jej gust, był jednak specjalistą pierwszej klasy. Zanotowała sobie, że przechodząc obok biur, musi dokładnie obejrzeć izolację kabli wind oraz mechanicznie rozsuwanego sklepienia nad basenem.

Lubiła swoją pracę, traktowała ją poważnie i czerpała z niej wiele satysfakcji. Nie należała do tych inżynierów, którzy uważają, że ich obowiązki kończą się w momencie podpisania papierów i sprawdzenia obliczeń. Chciała, by jej udział w inwestycji dla Barlowa nie zatrzymał się na etapie deski kreślarskiej. Dano jej taką szansę i choć wzdrygała się na



widok każdej łopaty ziemi wywożonej z placu budowy, miała jednak tę satysfakcję, że uczestniczy w kształtowaniu otoczenia.

Tego ranka nikt z jej współpracowników nawet się nie domyślał, co działo się pod tą maską opanowania i kompetencji. Abra chyba po raz pierwszy w życiu była wyraźnie rozkojarzona. Wprawdzie próbowała sobie wytłumaczyć, że jeśli ciągle rozgląda się za Codym, to jedynie dlatego, żeby jej nie zaskoczył. Jednak w południe doszła do wniosku, że Cody najwyraźniej nie zamierza pokazać się na budowie. Uczucie zawodu, jakie ją ogarnęło, potraktowała oczywiście jako objaw ulgi.

Przerwę na lunch spędziła nad planami w przyczepie, z butelką soku pomarańczowego i paczką chipsów. Rozmowa z inżynierem mechanikiem uświadomiła jej, że pozostało jeszcze kilka problemów związanych z konstrukcją rozsuwanego stropu, który Cody zaprojektował nad basenem. Chrupiąc chipsy, wyjęła kalkulator i od nowa zabrała się do obliczeń. Nie byłoby tych problemów, gdyby nie ten nieszczęsny wodospad, który miał spływać po ścianie, do basenu... Potrząsnęła głową i próbowała spojrzeć na to z innej strony. Cody ma manię na punkcie wodospadów, doszła do wniosku. Upiła spory łyk soku. Tak, to po prostu maniak. Wołała myśleć o nim jak o nawiedzonym architekcie, który cierpi na manię wielkości, niż o mężczyźnie, który potrafi całować tak, że kobieta traci rozum.

Da mu to, na czym mu tak bardzo zależy - dostanie ten swój szklany, rozsuwany dach, swoje wodospady, spirale i kopuły. Jego fanaberie posłużą jej za kolejny stopień do kariery. A on niech sobie potem wraca do swoich wilgotnych, pomarańczowych gajów.

Niemal usatysfakcjonowana, naszkicowała kilka detali, a potem wypisała kolumnę cyfr. Nie do niej miało należeć wyrażanie uznania. Jej zadanie polegało na doprowadzeniu do tego, żeby wszystko zaczęło prawidłowo funkcjonować. A w tym była naprawdę dobra.

Kiedy usłyszała, że drzwi się otwierają, nawet nie podniosła głowy.

- Zamykaj szybko, dobrze? Bo wpuścisz upał.

- Dobrze, proszę pani.

Na dźwięk znajomego głosu drgnęła i bezwiednie wyprostowała plecy. W progu stał Cody.

- Nie myślałam, że cię dziś tu zobaczymy.

Cody uśmiechnął się i bez słowa odsunął od drzwi. Do przyczepy wszedł Tim Thornway, a za nim wkroczył William Walton Barlow. Abra wstała i próbowała się wyprostować, co nie było takie łatwe, bo nad głową miała rząd szafek.

- Abra! - Tim wprawdzie wołałby zastać ją po kolana w cemencie albo na rusztowaniach, potrafił jednak jak nikt obrócić każdą sytuację na swoją korzyść. - Jak sam

widzisz, William - powiedział - nasza ekipa mieszka, śpi i jada na miejscu. Pamiętasz pannę Wilson, naszego głównego inżyniera konstruktora?

Siwy, krępy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu wyciągnął rękę.

- Oczywiście że tak. My, Barlowowie, nigdy nie zapominamy ładnej buzi.

Trzeba było przyznać Abrze na plus, że udało jej się zachować kamienną twarz. Nawet wtedy, gdy Cody uśmiechnął się zjadliwie ponad głową Barlowa.

- William uznał, że nadszedł czas, by obejrzał budowę - wyjaśnił Tim. - Oczywiście nie chcemy wam przeszkadzać ani zwalniać tempa prac, ani...

- Nie znam się na budowaniu tych obiektów - przerwał mu Barlow. - Znam się na ich prowadzeniu, ale muszę przyznać, że podoba mi się to, co widzę. - Pokiwał z uznaniem głową. - Te łuki i kopuły. To świadczy o pewnej klasie. A firma Barlow&Barlow angażuje się tylko w inwestycje z klasą.

Abra udała, że nie widzi kpiącego uśmiešku Cody'ego. Wsunęła się zza stołu.

- Wybrał pan wyjątkowo upalny dzień na tę wyprawę, panie Barlow. Może napije się pan czegoś zimnego? Soku albo herbaty?

- Wolę piwo. Zakurzone gardło najlepiej przepłukać zimnym piwem.

Cody otworzył lodówkę i wyjął kilka butelek.

- Chcieliśmy pokazać Williamowi stan zaawansowania robót na budowie centrum medycznego.

- Ach tak? - Abra potrząsnęła przecząco głową, kiedy podsunął jej butelkę. Zauważyła przy tym, że Tim skrzywił się niechętnie. - W samą porę, bo właśnie próbowałam doszlifować detale dachu nad basenem. Udało mi się uzgodnić dziś parę spraw z Laffertym.

Barlow spojrział na rozłożone plany oraz plik kartek, zapisanych kolumnami cyfr.

- Zostawiam to pani. Liczby interesują mnie tylko w książkach przychodów. A pani, jak widzę, zna się na rzeczy. - Machnął ręką, po czym w trzech haustach wychylił pół butelki.

- Thomas zapewniał mnie, że ma pani głowę na karku. I to, jak teraz widzę, ładną głowę na ładnym karku. - Mrugnął do niej porozumiewawczo.

To dość poufale zachowanie nie zirytowało Abry, raczej ją rozśmieszyło. Barlow był w takim wieku, że mógłby z powodzeniem być jej dziadkiem. Miał przy tym wszystkim jakiś rubaszny wdzięk.

- Dziękuję. Wiem, że bardzo pana ceniał.

- Brakuje mi go - powiedział Barlow, a potem zwrócił się do Tima: - Idziemy dalej. Nie traćmy czasu.

- Oczywiście. - Tim odstawił nietkniętą butelkę. - Wydaję dziś kolację dla pana Barlowa. O siódmej. Przyjdź z Johnsonem, Abra.

Chciała się grzecznie wymówić, ale Cody ją uprzedził:

- Podrzucę pannę Wilson. Idźcie już do centrum medycznego, a my was zaraz dogonimy.

- Rozluźnij ten cholerny krawat, Tim - powiedział Barlow, kiedy wyszli na dwór. - Można się udusić w tym upale.

Cody zamknął za nimi drzwi, po czym oparł się o framugę.

- Rzeczywiście masz ładny kark. Na tyle, na ile udało mi się zobaczyć.

Jak to było możliwe, że po wyjściu dwóch osób w przyczepie zrobiło się jakby ciaśniej? Abra nie potrafiła tego wyjaśnić. A przecież była bardzo dobrym inżynierem. Odwróciła się do stołu i zaczęła składać papiery.

- Nie musisz po mnie wstępować dziś wieczorem.

- Rzeczywiście, nie muszę. - Cody przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Źle spał tej nocy, a winą za to obarczał Abreę. Teraz jej postawa wyraźnie dowodziła, że szykuje się do ataku. - Natomiast chcę.

Czy powinna odmówić? W gruncie rzeczy to kolacja służbowa, i w ten sposób należy do tego podejść. Odwróciła się do Cody'ego.

- Dobrze. Podam ci adres. Cody uśmiechnął się.

- Znajdę cię, Ruda. Tak jak ty mnie znalazłaś. Skoro już sam poruszył ten temat, Abra doszła do wniosku, że należy szczerze porozmawiać.

- Dobrze, że mamy chwilę czasu - powiedziała. - Uważam, że powinniśmy sobie wyjaśnić kilka spraw.

- Jakich spraw? - Cody odsunął się od drzwi. Abra cofnęła się nerwowo. - Mieliśmy muła na farmie. Też był taki płochliwy.

- Nie jestem wcale płochliwa. Źle ci się wydaje.

- Dobrze mi się wydaje. - Podeszedł bliżej i chwycił ją za warkocz. - Kiedy cię przyciskam, odnoszę wrażenie że to bardzo przyjemne uczucie.

- To był błąd. - Chciała go obejść, ale on nie puszczał jej warkocza.

- Co?

- Ostatni wieczór. - Musi rozegrać to ze spokojem. Jest przecież osobą z natury spokojną i zrównoważoną. - To nie powinno się było zdarzyć.

- To? - Oczy mu pociemniały, nie było w nich jednak gniewu. Odetchnęła z ulgą. Widocznie Cody'emu także zależało na tym, żeby zachować się rozsądnie.

- Chyba ulegliśmy nastrojowi chwili. Najlepiej będzie o tym zapomnieć.

- Dobrze - powiedział ze zwodniczym uśmiechem. Nie wiedziała, że choć nie był dobrym szachistą, był za to genialnym pokerzystą - Zapomnijmy o ostatniej nocy.

- Może byśmy wobec tego... - zaczęła, zadowolona, że tak łatwo udało im się dojść do porozumienia.

Nie zdążyła dokończyć, bo Cody gwałtownie przyciągnął ją do siebie i zaczął miażdżyć ustami jej wargi. Zastygła bez ruchu. Oczywiście z przerażenia, a także z oburzenia. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyła. Ten pocałunek diametralnie różnił się od tamtego, jaki wymienili w świetle księżyca. Był brutalny i gorący jak słońce palące niemiłosiernie za oknem. Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

Cody pomyślał, że jest mu wszystko jedno. Abra mogła sobie stać i przemądrzałym tonem perorować o błędach. Popełnił już w życiu niejeden błąd i jakoś to przeżył. Być może to ona jest tą największą pomyłką, a z całą pewnością najkosztowniejszą, ale on nie zamierza się wycofać. Doskonale pamiętał uczucie, które go ogarnęło, gdy trzymał ją poprzedniego wieczoru w ramionach. Porażającą namiętność, która zagarnęła ich niczym ogromna fala. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczył. Z żadną kobietą.

- Przestań! - wydyszała, zanim znów zaatakował jej usta. Czowała, że tonie, i nikt nie jest w stanie jej pomóc. Żeby nie pójść na dno, kurczowo do niego przywarła. To nonsens! Utoną oboje! Ten zachłanny pocałunek oznacza ich klęskę. Dlaczego więc odwzajemnia go z takim zapamiętaniem?

Czemu obejmuje Cody'ego i ulegle rozchyła wargi? Dlaczego serce bije jej w piersi jak szalone? To coś więcej niż tylko pokusa, więcej niż akt poddania. Chciała już nie tylko dawać, ale i brać.

Kiedy odsunęli się od siebie, zaczerpnęła spazmatycznie powietrza i oparła się o stół. Nogi miała jak z waty. Nagle dotarło do niej, że popełniła kolejny błąd. W oczach Cody'ego dostrzegła gniew, determinację i pożądanie. Odezwał się jednak stonowanym głosem.

- Wygląda na to, że mamy jeszcze jeden punkt do dyskusji, Ruda. Do zobaczenia o siódmej.

Tego wieczoru Abra co najmniej kilkanaście razy zamierzała zadzwonić do Cody'ego i powiedzieć mu, żeby po nią nie przyjeżdżał. Za każdym razem powstrzymywała ją obawa, że jeśli to zrobi, zostanie to zrozumiane jako przyznanie się, iż coś się między nimi zawiązało. A także, że jest tchórzem. To prawda, że była przerażona. Musiała się z tym pogodzić, choć niechętnie. Jednak Cody nie miał prawa się o tym dowiedzieć.

Zresztą i tak musi być obecna na tej kolacji, pomyślała, robiąc po raz kolejny przegląd garderoby. W zasadzie to nawet nie miała być kolacja, tylko zwykłe spotkanie służbowe. Tyle że wszyscy będą w strojach wieczorowych i będą objadać się kanapkami na eleganckim patiu Tima. Nie zaszkodzi zademonstrować Barlowowi, że jego architekt i inżynier potrafią się dogadać.

Cody Johnson, poza wszystkim, był również jej partnerem przy realizacji tego projektu. Jeżeli nie potrafi sobie z nim poradzić - co wciąż starał się jej udowodnić - nie poradzi sobie także i z tą pracą. Żaden zadufany w sobie architekt ze Wschodniego Wybrzeża nie zmusi jej do przyznania się, że ma jakieś trudności.

A zresztą, pomyślała, zastanawiając się nad wyborem sukienki, na przyjęciu i tak będzie tyle osób, że bez trudu zgubi się w tłumie. To pewne, że nie będzie musiała zamienić z Codym więcej niż kilka słów.

Kiedy rozległo się pukanie, spojrzała na zegarek i zaklęła. Tak długo rozmawiała sama ze sobą, że nie zdążyła się nawet ubrać, a tymczasem dochodziła siódma. Przytrzymując pasek szlafroka, wyszła z zagraconej sypialni do małego saloniku i otworzyła drzwi.

Cody zlustrował wzrokiem jej postać w kusym szlafrocжку i uśmiechnął się.

- Ładna sukienka.

- Nie wyrabiam się - burknęła. - Jedź beze mnie.

- Nie ma mowy. - Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka i rozejrzał się wokoło.

W mieszkaniu Abry, tak przecież pedantycznej i skrupulatnej, panował niesamowity bałagan. Na wyblakłej sofie leżało kilka jaskrawych poduszek, a stosy czasopism piętrzyły się na fotelu, obitym zupełnie nie pasującą tkaniną. Jak na kogoś, kto zarabia na życie przemienianiem rysunków i liczb w strukturę i formę, nie miała pojęcia o dekoracji wnętrz - albo nie przywiązywała do tego wagi. To dziwne, pomyślał Cody. Widział ją przecież przy pracy i podziwiał jej fachowość. Gdyby jej na tym zależało, potrafiłaby przekształcić byle komórkę w zorganizowane, funkcjonalne wnętrze.

Pokój był mniejszy niż jego hotelowa sypialnia, ale nikt nie mógłby go nazwać bezosobowym. Długi stół pod oknem zastawiony był masą zdjęć. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu - oprócz fotografii oraz kolekcji kryształów w oknie, w których odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca.

To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, powiedziało Cody'emu, że choć Abra spędza tu mało czasu, dba jednak o to, co ma dla niej znaczenie.

- Za chwilę będę gotowa - powiedziała. - Jeżeli masz ochotę na drinka, kuchnia jest tam.

Umknęła do sypialni, starannie zamykając za sobą drzwi. Stała przed lustrem i przeczeswała palcami włosy. To absolutnie nie fair, że Cody wyglądał tak seksownie i demonstrował tak niezmaconą pewność siebie. Już i tak źle, że wygląda tak świetnie w stroju roboczym, ale jeszcze gorzej, iż w kremowej marynarce, z ogorzałą twarzą i rozjaśnionymi słońcem włosami prezentuje się jak model. To naprawdę nie fair! Nawet w uroczystym stroju ma w sobie coś z beztronskiego kowboja. Z westchnieniem zadała sobie pytanie, jak ma walczyć ze swoją słabością, jeżeli Cody przy każdym kolejnym spotkaniu wydaje jej się coraz bardziej atrakcyjny?

Niech go wszyscy diabli! - pomyślała, stając przed otwartą szafą. Poradzi sobie i z nim, i ze swoim uczuciem. A to oznacza, że nie włoży na ten wieczór grzecznego granatowego kostiumu. Jeżeli decyduje się igrać z ogniem, musi być stosownie ubrana.

W kuchni Cody odkrył równie skandaliczny bałagan, jak w pokoju. Bałagan, ale nie brud. Widać było, że Abra spędza mało czasu w tym pomieszczeniu. Świadczyły o tym puszki herbatników i kartony ekspresowych herbat na kuchence.

W lodówce znalazł butelkę czerwonego wina, słoik masła orzechowego oraz jedno jajko. Po przeszukaniu szafek udało mu się skompletować dwa różne kieliszki. W szufladzie natknął się na wymięty egzemplarz jakiegoś horroru w wydaniu kieszonkowym.

Upił łyk wina i potrząsnął głową. Może trafi mu się okazja, żeby nauczyć ją czegoś o doborze win. Idąc z kieliszkami do saloniku, nasłuchiwał odgłosów dobiegających zza drzwi sypialni. Wszystko wskazywało na to, że Abra gorączkowo czegoś szuka, wyciągając po kolei wszystkie szuflady. Sącząc z niesmakiem tanie wino, podszedł do stołu i zaczął oglądać fotografie.

Niektóre przedstawiały samą Abre. Na jednej z nich stała, wyraźnie skrepowana, w różowej sukni z organdy. Na innej sfotografowała się z jakąś atrakcyjną blondynką. A ponieważ blondynka ta miała szarozielone oczy Abry, mogła to być jej starsza siostra. Ta sama blondynka znajdowała się na kilku innych fotografiach; na jednej z nich była ubrana w ślubną suknię. Kolejne zdjęcie przedstawiało Abre w kasku. Było też kilka fotografii mężczyzn, wśród których Cody rozpoznał Thornwaya seniora. Czy któraś z nich przedstawia jej ojca? Znow łyknął wina, po czym odwrócił się do drzwi, za którymi nagle zapadła cisza.

- Nalałem sobie wina - zawołał. - Podać ci kieliszek?

- Nie... Tak... Cholera!

- Czyli tak. - Podszedł do drzwi sypialni i mocno je pchnął.

Na widok szczupłej, wysokiej kobiety w czarnej sukni nagle zaschło mu w gardle. Suknia miała głęboki dekolt, ze wstawką haftowaną srebrną nitką. Podobny wzór powtarzał się tuż ponad kolanem. Srebrny szlak przyciągał wzrok, automatycznie kierując spojrzenie na zgrabne nogi w jedwabnych pończochach.

Abra podobała mu się nawet w przepoconym podkoszulku i starych dżinsach. Teraz był wręcz olśniony.

Ona tymczasem mocowała się z zapięciem na plecach.

- Nie mogę sobie poradzić.

Począł, aż puls mu się uspokoił, po czym podszedł, potykając się o jej buciory oraz parę czarnych sandałków na obcasie.

- Co za idiotyczny krój - narzekała Abra. - Człowiek musi się tyle namęczyć, zanim to pozapina. Albo porozpina.

- Tak. - Cody podał jej kieliszki, starając się nie myśleć o tym, że znacznie przyjemniej byłoby pomagać jej przy rozpinaniu niż przy zapinaniu. - Haftka ci się przekreśliła.

- Wiem - prychnęła niecierpliwie. - Możesz mi pomóc?

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze nad toaletką. Zobaczył, że Abra po raz pierwszy, odkąd ją poznał, ma umalowane usta. Pociągnięte szminką były jeszcze bardziej ponętne.

- Chyba tak. Co to takiego, co masz na sobie? Upiła łyk wina, bo nagle i jej zaschło w gardle.

- To chyba jasne. Czarną sukienkę z zepsutą haftką.

- Pytam o zapach. - Nachylił się nad nią.

- Nie wiem. - Najchętniej by się odsunęła, gdyby nie to, że jego palce wciąż majstrowały przy zapięciu. - Mama mi kupiła.

- Chciałbym poznać twoją mamę. Znow upiła łyk.

- Skończyłeś?

- Jeszcze nie. - Przeciągnął dłonią po plecach Abry, a widząc w lustrze jej reakcję, uśmiechnął się. - Jesteś bardzo płochliwa.

- Jesteśmy spóźnieni. - Zmieniła temat.

- Skoro tak, kilka minut nie robi żadnej różnicy. - Kiedy objął ją w talii, spróbowała go odepchnąć. Cody chwycił ją za ręce i unieruchomił je za jej plecami. - W kwestii doboru win nie masz za grosz gustu.

- Odróżniam tylko czerwone i białe - powiedziała. Cody znow objął ją w pasie. Tym razem leciutko, tak że czuła tylko koniuszki jego palców. Jednak się nie odsunęła.

- To tak, jakby powiedzieć, że ja jestem mężczyzną, a ty kobietą. A przecież rzecz nie tylko w tym. - Nachylił się i dotknął ustami jej warg. Dobrze mu się wydawało. Były chętne. Nawet bardzo. - To coś więcej. O wiele więcej.

- Ja zawsze stawiam sprawę jasno, Cody. - Odsunęła się, bo wydało jej się, że podłoga zaczyna falować pod stopami. - Nie jestem jeszcze gotowa.

Gdyby powiedziała „tak” albo „nie”, poradziłby sobie z tym bez problemu. Z jej słów była taka determinacja, że aż się zachnął.

- Na co?

- Na to, co się dzieje. - Uznała, że przyszła pora na bezwzględną szczerość. - Na ciebie i wszystko, co do ciebie czuję.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem zajął jej głęboko w oczy. Odsłaniała się przed nim. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. Jednak zamiast zaatakować, ustąpił pola.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. - Kiedy pogłaskał ją po plecach, kurczowo zacisnęła palce na jego ramionach. - Czuję się osaczona.

- Ja też - mruknął. Odsunął się i poczekał, aż Abra włoży sandaalki. - Abra! - Kiedy na niego popatrzyła, ujął ją za rękę. - To nie koniec. Mam wrażenie, że przed nami długa droga.

Miał rację i to ją najbardziej niepokoiło.

- Wyznam pewną zasadę - powiedziała. - Zanim się za coś wezmę, lubię wiedzieć, jak to się skończy. A z tobą nie potrafię sobie wyobrazić miłego zakończenia. Dlatego nie wiem, czy w ogóle mam ochotę się w to pakować.

- Ruda! - Podniósł do ust jej rękę. - Za późno. Już się w to wpakowałaś.

Kiedy dotarli do posiadłości Thornwayów, przyjęcie było już w pełnym toku. Bufet był obficie zaopatrzone w przysmaki kuchni meksykańskiej, a barek oferował całą gamę trunków. Za białą - różową rezydencją, którą Tim wybudował przed kilku laty dla swojej narzeczonej, rozpościerał się wypielegnowany trawnik, na którym gdzieniegdzie rosły palmy. U stóp łagodnej skarpy połyskiwały wody basenu. Tuż obok wznosiła się altana, po której ścianach pięło się dzikie wino.

W powietrzu unosił się słodki zapach.

Na oszklonym tarasie i trawniku spacerowali liczni goście. Stawiła się cała śmietanka towarzyska Phoenix. Abra, nieco onieśmielona, postanowiła poszukać sobie jakiegoś ustronnego kącika. Lubiała pracować dla eleganckich sfer, ale nie miała pojęcia, jak się bawić z tymi ludźmi.



- Masz, napij się chablis - powiedział Cody, wręczając jej kieliszek. - To kalifornijskie wino. Ma ładną, czystą barwę, mocny aromat i nasycony smak.

Abra podniosła kieliszek do ust.

- Jest białe.

- A twoja sukienka jest czarna. Mimo to nie wyglądasz w niej jak zakonnica.

- Wino jak wino - upierała się, chociaż podniebienie mówiło jej zupełnie co innego.

- Kochanie... - Cody delikatnie powiódł palcem po jej szyi - musisz się jeszcze dużo nauczyć.

- O, tu jesteście! - Podeszła do nich Marci Thornway, od dwóch lat żona Tima. Miała na sobie suto haftowaną tunikę z białego jedwabiu i brylantową obrózkę na szyi. Poklepała Abre po ręce, a potem skierowała szafirowe oczy na Cody'ego. Głos jej ociekał miodem.

- Chyba już rozumiem, czemu się spóźniłaś.

- Cody Johnson, Marci Thornway. - Abra szybko dokonała prezentacji.

- Ach, ten architekt! - Marci ujęła Cody'ego protekcyjnie pod ramię. - Tim tyle mi o panu mówił. Nie wspomniał tylko, że jest pan taki przystojny. - Wybuchnęła melodyjnym śmiechem, który doskonale pasował do jej złotych włosów i drobnej figury. - Mężom trzeba wybaczyć, że czasami zapominają wspomnieć żonom o przystojnych mężczyznach.

- Albo innym mężczyznom o swoich pięknych żonach - kurtuazyjnie zrewanżował się Cody.

Abra wykrzywiła się za plecami Marci i zaczęła wyjadać z kokilki zapiekanekę.

- Pan jest z Florydy, prawda? - Marci wyraźnie zamierzała zaanektować Cody'ego. - Ja wychowałam się w Georgii, w małym miasteczku niedaleko Atlanty. Czasami chce mi się wyć z tęsknoty.

- Zwłaszcza gdy zakwitną magnolie - mruknęła Abra. Odwróciła się i omal się nie zderzyła z Barlowem. - Och, przepraszam, panie Barlow!

- Proszę mi mówić po imieniu. Nałóż sobie więcej, dziecko. Masz, spróbuj tych tortilli. I nie zapomnij o sałatce z fasoli.

Abra z przerażeniem spojrzała na ilości jedzenia, jakie Barlow zgarnął jej na talerz.

- Dziękuję.

- Może usiadłabyś ze mną na chwilę i dotrzymała starszemu panu towarzystwa?

Abra nie potrafiła powiedzieć, czego się spodziewała po tym wieczorze. Z pewnością jednak nie przyszło jej do głowy, że spędzi uroczą godzinę w towarzystwie jednego z najbogatszych ludzi w kraju. Wbrew jej obawom Barlow nie próbował się do niej zalecać,

adorował ją tylko jak stary przyjaciel rodziny, z bezpiecznego dystansu dzielących ich trzydziestu pięciu lat.

Siedzieli na ławeczce nad basenem i rozmawiali o wspólnej miłości do kina. Była to jedyna słabość, na jaką Abra sobie pozwalała. Tylko w kinie mogła spędzać wolne chwile bez poczucia, że traci czas.

Jeżeli od czasu do czasu słuchała Barlowa mniej uważnie, to nie dlatego, żeby jej rozmówca był nudny, ale dlatego, że zbyt często z tłumu gości wylawiała wzrokiem Cody'ego w towarzystwie Marci Thornway.

- Ale ze mnie egoista - stwierdził Barlow, kiedy dopił drinka. - Zająłem ci tyle czasu, a ty powinnaś bawić się z młodzieżą.

- Ach nie - zaprotestowała z uśmiechem. - Tak miło się z tobą rozmawia. Prawdę mówiąc, nie przepadam za takimi przyjęciami.

- Ładna dziewczyna potrzebuje na przyjęciu kawalera, który by koło niej skakał.

- Nie lubię, jak ktoś koło mnie skacze. - Nagle zobaczyła, że Cody zapala Marci papierosa.

Barlow był bystrym obserwatorem. Popatrzył w ślad za jej spojrzeniem.

- Ale ślicznotka - stwierdził. - Jak porcelanowa figurka. Droga i przyjemna dla oczu. Młody Tim musi nieźle się starać.

- Jest jej bardzo oddany.

- Dziś wieczorem jego dama towarzyszy twojemu architektowi.

- Nie mojemu, tylko waszemu architektowi - poprawiła go Abra. - Oboje pochodzą z południowego wschodu. Na pewno mają ze sobą masę wspólnego.

- Hm? - Barlow podniósł się, wyraźnie rozbawiony. - Chciałbym trochę rozprostować nogi. Może przejdziemy się po ogrodzie?

- Dobrze. - Odwróciła się plecami do Cody'ego i ujęła Barlowa pod rękę.

Co ona za grę prowadzi? - zastanawiał się Cody, patrząc, jak Abra znika z Barlowem w głębi ogrodu. Przecież ten facet mógłby spokojnie być jej ojcem! Przez cały wieczór był świadkiem, jak robiła do niego słodkie oczy.

Tymczasem on wciąż próbował uwolnić się od bluszczu, który nazywał się Marci Thornway. Cody doskonale potrafił rozpoznać kobietę w akcji, a Marci zdecydowanie wysyłała mu przez cały wieczór sygnały. Takie, których nie miał najmniejszej ochoty odbierać. Nawet gdyby Abra nie wpadła mu wcześniej w oko, nigdy nie zainteresowałby się osobą pokroju Marci. Takie kobiety oznaczały poważne kłopoty, i to bez względu na to, czy były mężatkami, czy nie.

Nigdy by też nie posądził Abry o to, że będzie schlebiać jakiemuś starcowi, że będzie się do niego uśmiechać i z nim flirtować. Widział wyraźnie, że Barlow jest nią oczarowany. W pewnym momencie Abra zniknęła wśród róż z jednym z najbogatszych ludzi Ameryki.

Cody zaciągnął się papierosem, a potem, mrużąc oczy, wydmuchał dym. Był pewny, że Abra go pragnęła. Chociaż inicjatywa należała do niego i choć to on ją osaczał, jej reakcja była w pełni spontaniczna i szczerą. Żadna kobieta nie całowała w taki sposób, jeżeli tego nie chciała.

A jednak Abra wycofywała się za każdym razem. Przypuszczał, że chciała zachować ostrożność, że przerażała ją ich obopólna namiętność. Może po prostu źle interpretował jej zachowanie? Może trzymała go na dystans, bo polowała na grabą rybę?

Nie, pomyślał, potrząsając głową. To z jego strony nie fair. Pozwala sobie na takie myśli, ponieważ jest przygnębiony, bo pragnie Abry bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. I wreszcie, bo sam nie wie, co ma z tym wszystkim począć.

- Przepraszam! - przerwał Marci w pół słowa, uśmiechnął się, po czym ruszył w tę stronę, gdzie udali się Abra i Barlow.

Usłyszał stłumiony śmiech Abry, który przypomniał mu szum fal i mgły nad jeziorem, gdzie zbudował swój dom. A potem ją zobaczył. Stała pod jednym z kolorowych lampionów, porozwieszanych w całym ogrodzie. Uśmiechała się, obracając w palcach pomarańczowy kwiat. Taki sam jak ten, który niecierpliwie zgmiotła na jego tarasie poprzedniego wieczoru.

- Sama widzisz, jak to wygląda. - mówił do niej Barlow z uśmiechem. - Niby pełno towaru, ale nie za bardzo jest w czym wybierać.

Roześmiała się i wsunęła mu kwiat do butonierki.

- Przepraszam!

Barlow i Abra odwrócili się jak na komendę. Jakby ich na czymś przyłapał, pomyślał Cody.

- No i jak, Johnson, dobrze się bawisz? - Barlow poklepał go przyjacielsko po ramieniu. - Bawiłbyś się jeszcze lepiej, gdybyś sobie pospacerował w świetle księżycy z taką ładną dziewczyną jak Abra. Młodzi nie mają dziś czasu na romanse. Zostawiam was. Idę się napić piwa.

Jak na tęgiego, starszego człowieka, ruchy miał zdumiewająco energiczne i szybkie. Abra została sam na sam z Codym.

- Pójdę do ludzi... - zaczęła, ale Cody zastąpił jej drogę.

- Jakoś przez cały wieczór nie odczuwałaś takiej potrzeby.

Chciała jak najprędzej uciec z ogrodu, byle dalej od Cody'ego.

- Rozmawiałam z Barlowem - wyjaśniła z uśmiechem. - To bardzo miły człowiek.

- Zauważyłem, że spodobało ci się jego towarzystwo. Łatwo przeskakujesz z kwiatka na kwiatek. Moje gratulacje.

Spojrzała na niego zdezorientowana. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Cody wyjął zapalki i zapalił papierosa.

- Barlow jest grubo po sześćdziesiątce, ale jego miliony mogą ci to osłodzić.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. W sandałkach na wysokich obcasach dorównywała mu wzrostem.

- Nie bardzo cię rozumiem. Wiesz co, odejdz i wróc za chwilę. Może wtedy pojmem, o co ci chodzi.

- Chyba wyrażam się dość jasno. Barlow to bardzo bogaty facet, a przy tym wdowiec od ponad dziesięciu lat. Poza tym zawsze lubił towarzystwo młodych, ładnych kobiet.

Omam nie Wybuchnęła śmiechem. Powstrzymała ją malująca się w jego oczach pogarda. Wtedy uświadomiła sobie, że mówił serio.

- Jedno można na pewno powiedzieć: to mężczyzna który wie, jak należy traktować kobiety. Wybacz, ale wracam do gości.

Zanim zdążyła go wyminąć, chwycił ją za rękę.

- Niczego ci nie wybaczę, Ruda, ale to nie znaczy, że przestałem cię pragnąć. - Odwrócił ją ku sobie. - Nie powiem, żeby mnie to cieszyło, ale skoro tak jest, muszę się z tym pogodzić. Pragnę cię i będę cię miał, bez względu na to, co teraz knujesz w tej twojej wyrachowanej główce.

- Idź do diabła, Johnson! - Próbowała się wyrwać. - Nie obchodzi mnie, czego chcesz ani co o mnie myślisz. Polubiłam pana Barlowa i nie życzę sobie, żebyś uważał go za stetryczalego głupca. Dlatego powiem ci coś. Dzisiejszego wieczoru rozmawialiśmy po prostu jak cywilizowani ludzie na przyjęciu. Bez ukrytych intencji.

- A te bzdury, które usłyszałem, kiedy do was podchodziłem?

- Co? - zawahała się, a potem się roześmiała, ale z jej oczu wzywał chłód. - To był cytat z filmu. Ze starego filmu ze Spencerem Trącym i Katharine Hepburn. Dogadaliśmy się z panem Barlowem, że oboje go uwielbiamy. I powiem ci jeszcze jedno. - Odepchnęła go z gniewem. - Nawet gdyby się do mnie zalecał, to nie twój zakichany interes. Jeżeli podoba mi się z nim flirtować, to moja sprawa. Jeżeli będę miała ochotę na romans - z nim albo z kimkolwiek - nie będę pytać cię o zgodę. - Znowu go popchnęła. - A poza tym może wolę jego szarmanckie zachowanie od twoich grubiańskich manier?

- Uspokój się!

- Nie, to ty się uspokój! - Jej oczy, zielone w świetle kolorowych lampionów, miały błyskawice. - Nie mam zamiaru tolerować takiego chamstwa! Nikt nie będzie mnie tak traktował. Ciebie to też dotyczy. Trzymaj się ode mnie z daleka, Johnson!

Odmaszerowała, a Cody długo stał w miejscu. W końcu cisnął niedopałek na ziemię i zgniół go obcasem.

- Dostałeś za swoje, Johnson - mruknął, drapiąc się po karku. Najchętniej zapadłby się pod ziemię. Niestety, w tej sytuacji, w jaką sam się wpakował, pozostawało mu tylko jedno wyjście.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Początkowo myślał o kwiatach, doszedł jednak do wniosku, że Abra nie należy do kobiet, które miękną na widok kilku róż. Rozważał też proste przeprosiny w rodzaju „Bardzo mi przykro”. Jak przyjaciel przeprosza przyjaciela. Jednak Abra nie uważała go chyba za przyjaciela. Zresztą, na cokolwiek by się zdecydował, chłodem, z jakim go traktowała, zmroziłaby każde słowo, zanim zdążyłoby pokonać drogę od jego ust do jej uszu. Postanowił wobec tego dać jej jedyną rzecz, jaka mogła ją chwilowo zadowolić, czyli trochę swobody.

Przez następne dwa tygodnie pracowali razem, często ramię w ramię, utrzymując przy tym większy dystans niż odległość między Słońcem a Księżycem. Jeżeli potrzebne były jakieś konsultacje, Abra załatwiała to w taki sposób, żeby nigdy nie zostali sam na sam. Z godną podziwu zręcznością potrafiła tak manewrować Charliem Grayem, że zawsze spełniał rolę buforu. Mimo iż nie było to łatwe, udało jej się unikać Cody'ego, kiedy tylko było to możliwe. A on nie robił nic, żeby zmienić istniejący stan rzecz. Rozumiał, że Abra potrzebuje czasu, żeby ochłonąć. Dwukrotnie wyjechał na krótki okres - raz do siedziby firmy w Fort Lauderdale, a raz do San Diego, gdzie miał swój udział w budowie centrum medycznego.

Po każdym powrocie sprawdzał, jaki Abra ma humor, ale ona wciąż była zimna i nieugięta.

Teraz, w kasku na głowie i ciemnych okularach, patrzył, jak szklana kopuła ląduje na szczycie budowli.

- Piękna rzecz. Z klasą. - Barlow spojrział z uśmiechem w górę. Światło słoneczne czerwono - złotymi wiązkami przenikało przez grube szkło.

- William..... - Cody odetchnął, kiedy kopuła wylądowała na budynku jak kapsel na butelce - nie wiedziałem, że wróciłeś.

- Musiałem skontrolować parę rzeczy. - Barlow otarł chusteczką spoconą twarz. - Co za piekielny upał! Mam nadzieję, że klimatyzacja będzie działać sprawnie.

- Zgodnie z planem powinna ruszyć dzisiaj.

- To dobrze. - Barlow obrócił się wokół własnej osi, żeby ogarnąć wzrokiem cały obiekt. To, co zobaczył, wyraźnie mu się spodobało. Budynek przypominał zamek, wytworny i niedostępny, a zarazem niebywale nowoczesny. Podeszedł bliżej, żeby się przyjrzeć szklanemu stropowi, dzięki któremu stroma góra stawała się niemal częścią wnętrza. Osiągnięty w ten sposób dramatyczny efekt na pewno spodoba się gościom, którzy właśnie w tym miejscu będą zgłaszać się do recepcji. Najważniejsze jest pierwsze i ostatnie wrażenie,

pomyślał. Johnson postarał się, żeby wrażenia te były trwałe. Potem specjaliści od krajobrazu posadzą pustynne krzewy i kaktusy, a reszty dokona sama natura. Za półkolistymi oknami od zachodu rozpościerała się pustynia. Wzdłuż ściany robotnicy układali rury, którymi miała popłynąć woda do basenu i wodospadu.

- Dobra robota, chłopcze. - Barlow rzadko szafował komplementami. - Muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości, gdy oglądałem projekt wstępny, ale mój syn się uparł. Posłuchałem go i teraz widzę, że miał rację. Dokonałeś wielkiego dzieła, Cody. Nie każdy, patrząc wstecz na swoje życie, może coś takiego powiedzieć.

- Miło mi to słyszeć.

- Chciałbym, żebyś mi później pokazał resztę. - Poklepał Cody'ego po plecach. - Najpierw powiedz mi, czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można by się napić piwa?

- Chyba da się to załatwić. - Cody zaprowadził go do olbrzymiej lodówki i wyjął dwie puszki.

Barlow wypił haust i odetchnął z ulgą. Na głowie miał szeroki, słomkowy kapelusz. Wyglądał w nim jak stary farmer.

- W przyszłym tygodniu skończę sześćdziesiąt pięć lat, a ciągle uważam, że na upał nie ma nic lepszego od zimnego piwa. - Barlow zwrócił wzrok w stronę budynku centrum medycznego i zobaczył Abreę. - No, może prócz jednej rzeczy. - Parsknął śmiechem, usiadł na skrzyni i rozluźnił kołnierzyk. - Uważam się za dobrego znawcę ludzkiej natury. Chyba właśnie dzięki temu udało mi się zrobić takie pieniądze.

- Aha - mruknął Cody z roztargnieniem. On także zdążył już zauważyć Abreę. Miała na sobie roboczy kombinezon, w którym powinna wyglądać kompletnie bezpłciowo. Tymczasem jednak było zupełnie inaczej. Patrząc na nią, natychmiast przypomniał sobie, jak pięknie i elegancko prezentowała się na przyjęciu w czarnej wieczorowej sukni.

- Czy mi się dobrze wydaje, czy masz na głowie coś więcej niż tylko stal i szkło? - Barlow z błogim westchnieniem wypił kolejny łyk. - Czy ma to może coś wspólnego z tą rudowłosą panią inżynier?

- Może i ma. - Cody wyjął papierosy i poczęstował Barlowa, który pokręcił przecząco głową.

- Musiałem rzucić palenie. Te cholerne konowały nie dawały mi spokoju. Polubiłem tę dziewczynę - jakby nigdy nic wrócił do tematu Abry. - Większość mężczyzn patrzy na urodę, ale ona ma oprócz tego dobrze poukładane w głowie, a także mocny charakter. Gdybym był młodszy, pewnie bym się jej bał. - Zdjął z uśmiechem kapelusz i zaczął się wachlować. - Odniosłem wrażenie, że posprzeczialiście się na tym przyjęciu u Tima Thornwaya.

- Można by to tak określić. - Cody popijał przez chwilę piwo w milczeniu, po czym dorzucił: - Byłem o ciebie zazdrosny.

- Zazdrosny? O mnie?! - Barlow, który właśnie unosił puszkę do ust, musiał ją szybko odstawić, bo byłby ją upuścił. Rycząc ze śmiechu, kołysał się na skrzyni i ocierał chustką twarz. - Zdjąłeś mi z grzbietu najmarniej dwadzieścia lat, synu. Jestem ci bardzo wdzięczny. - Zakrztusił się i zakaszłał, raz i drugi. - Taki przystojny kawał chłopca, a zazdrosny o takiego starca jak ja. - Odetchnął głęboko i oparł się o ścianę, nie przestając się uśmiechać. - Co prawda, bogatego starca, ale ta miła panienska, jak zdążyłem się zorientować, nie przywiązuje wagi do pieniędzy.

- Ta miła panienska - powiedział Cody - o mało nie wybiła mi zębów.

- A nie mówiłem, że to dziewczyna z charakterem?

- Barlow schował chusteczkę do kieszeni i sięgnął po piwo. Z wdzięcznością pomyślał, że życie wciąż niesie ze sobą różne niespodzianki. - Prawdę mówiąc, myślałem o niej jako o dziewczynie dla mojego syna.

- Widząc wzrok Cody'ego, roześmiał się i nasadził kapelusz na głowę. - Nie złość się, chłopcze. Miałem już dość wrażeń jak na jeden dzień. Poza tym zmieniłem zdanie, kiedy zobaczyłem, jak ona na ciebie patrzy.

- To chyba załatwia pewne sprawy.

- W każdym razie między tobą i mną. Powiem ci też, że ugrzęzłeś po pas w ruchomych piaskach.

- Trafne określenie. - Cody wrzucił pustą puszkę do śmietnika. - Masz jakieś sugestie?

- Będziesz potrzebował mocnej liny, żeby się wydostać.

- Mój ojciec zawsze dawał kwiaty - powiedział Cody.

- Kwiaty nigdy nie zaszkodzą. - Barlow podniósł się, posapując z wysiłku. - Dodatkowo trzeba będzie się pokajać - dodał, a widząc minę Cody'ego, roześmiał się. - Jesteś taki młody, synu, musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. - Klepnął Cody'ego w plecy. - Ale się nauczysz. Na pewno się nauczysz.

Nie miał najmniejszego zamiaru kajać się przed Abrą. Co to, to nie! Za to kwiaty wydały mu się dobrym pomysłem. Jeżeli ta kobieta nie ochłonęła przez całe dwa tygodnie, to znaczy, że w ogóle nie ochłonie - chyba że się jej w tym pomoże.

Tak czy inaczej, był jej winien przeprosiny. Z westchnieniem przełożył bukiet tygrysiich lilii z ręki do ręki. Wygląda na to, że od pierwszej minuty ich znajomości nie robią nic innego, tylko wciąż się przepraszają. Po co więc zmieniać przyjętą konwencję? - zasta-



nawiał się, stojąc przed drzwiami jej mieszkania. Jeżeli Abra nie przyjmie teraz jego przeprosin, będzie stał tu i działał jej na nerwy tak długo, póki nie zmięknie.

A tak w ogóle wygląda na to, że jedno, co naprawdę potrafią, to działać sobie na nerwy.

Poza wszystkim brakowało mu jednak Abry. Po prostu się za nią stęsknił. Brakowało mu ich kłótni nad projektem; jej śmiechu, kiedy była odprężona. Brakowało mu też mocnego uścisku jej ramion, kiedy go obejmowała.

Spojrzał na trzymany w rękę bukiet. Tygrysie lilie to słaby sznur, ale lepszy taki niż żaden. Nawet jeżeli ciśnie mu je w twarz, będzie to jakaś odmiana po lodowatej uprzejmości, z jaką traktowała go od pamiętnego przyjęcia u Tima. Zapukał i zaczął się zastanawiać, co ma powiedzieć, żeby go wpuściła.

Jednak to nie Abra otworzyła mu drzwi, tylko przystojna blondynka, której twarz znał z fotografii. Drobna, o różowej cerze, pod czterdziestkę. Ubrana była w ciemnozłoty dres, który znakomicie podkreślał kolor jej włosów i oczu, tak podobnych do oczu Abry.

- Dzień dobry. - Cody uśmiechnął się z uznaniem. Kobieta odpowiedziała zalotnym uśmiechem i podała mu rękę. - Jestem Jessie Peters.

- Cody Johnson. Jestem... współpracownikiem Abry.

- Rozumiem. - Zmierzyła go życzliwym wzrokiem. - Proszę wejść. Lubię poznawać ludzi, z którymi Abra... pracuje. - Może się pan czegoś napije? Abra właśnie weszła pod prysznic.

- Chętnie. - Cody przypomniał sobie wino Abry. - Może coś zimnego.

- Właśnie zrobiłam lemoniadę. Proszę, niech się pan rozgości. - Zniknęła w kuchni. - Czy był pan umówiony z Abłą?

- Nie. - Cody rozejrzał się wokoło i zauważył, że w mieszkaniu zapanował niezwykle porządek.

- Czyli niespodzianka. Uwielbiam niespodzianki. - Jessie wróciła z dwoma szklankami, wypełnionym lodem. - Jest pan inżynierem?

- Architektem.

Jessie zamyśliła się na chwilę, a potem uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Ach, pewnie tym architektem - powiedziała, wskazując Cody'emu fotel, - Abra wspominała mi o panu.

- Założę się, że tak. - Cody odłożył bukiet na świeżo odkurzony stół.

- Nie wspomniała, że jest pan taki przystojny. - Jessie wdzięcznie upozowała się w fotelu. - To do niej takie podobne. Zawsze była skryta. - Drobnią, zgrabną rączką, ujęła swoją

szklankę. Nie nosiła obrączki. Na palcu miała jedynie pierścionek z brylantem. - Pochodzi pan ze wschodu?

- Tak. Z Florydy.

- Floryda nigdy nie kojarzyła mi się ze wschodem - powiedziała. - Jeżeli już, to z Waltem Disneyem.

- Ktoś dzwonił? Ja... ach! - Z sypialni wyłoniła się Abra. Miała na sobie wypchane białe spodnie, rozciągnięty podkoszulek i przydeptane sandały. Wilgotne włosy zwijały jej się wokół twarzy.

- Ktoś do ciebie. - Jessie wstała i sięgnęła po kwiaty. - Z prezentami.

- Tak, widzę. - Abra wsunęła ręce do kieszeni. Jessie z uśmiechem zanurzyła twarz w kwiatach.

Z miejsca zorientowała się w sytuacji.

- Wstawię bukiet do wody, kochanie. Masz jakiś wazon?

- Gdzieś tam musi być.

- Dobrze, poszukam.

Abra odczekała, aż Jessie wyjdzie do kuchni, po czym odezwała się przyciszonym głosem:

- Czego chcesz?

- Chciałem się z tobą zobaczyć.

- No to już mnie zobaczyłeś. - Wstała, zaciskając pięści. - Wybacz, ale jestem bardzo zajęta.

- Chciałem cię też przeprosić - kontynuował Cody. Zawahała się, a potem głośno westchnęła. Ona także poszła do niego kiedyś z przeprosinami, a on je wtedy przyjął. Jedno na pewno potrafiła zrozumieć - że ciężko jest naprawić szkody wyrządzone wtedy, gdy człowieka poniósł temperament.

- W porządku - powiedziała. - Nie ma sprawy.

- Nie chcesz, żebym się wytłumaczył? - Cody zrobił krok w przód.

- Chyba nie. - Cofnęła się szybko. - Najlepiej będzie...

- Znalazłam wazon. - Jessie wróciła do pokoju z butelką po mleku. - To znaczy, coś w tym rodzaju. Ślicznie wyglądają, prawda? - Postawiła kwiaty na stoliku, cofnęła się i popatrzyła na nie z zachwytem. - Pamiętaj, że trzeba zmieniać im wodę, Abra, a kiedy będziesz odkurzać stolik, podnieś wazon.

- Mamo...

- Mamo? Chyba żartujesz? - W głosie Cody'ego zabrzmiało autentyczne zdumienie.

- To najmiłszy komplement, jaki dziś usłyszałam. - Jessie rozpromieniła się. - Gdyby nie to, że ją tak bardzo kocham, zaprzeczyłabym, że to moja córka. - Wspięła się na palce i cmoknęła Abre w policzek, a potem starła ślad szminki. - Miłego wieczoru, kochani. Nie zapomnij do mnie zadzwonić, Abra.

- Już wychodzisz? Przecież dopiero co przyszedłaś!

- Mam masę rzeczy do zrobienia. - Jessie uściśnęła córkę, a potem wyciągnęła rękę do Cody'ego. - Tak się cieszę, że pana poznałam.

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, pani Peters.

- Jessie - poprawiła z miłym uśmiechem. - Lubię, kiedy przystojni mężczyźni mówią mi po imieniu. - Zatrzepotała długimi rzęsami. - Do zobaczenia, córeczko. Ach, póki pamiętam, kończy ci się płyn do mycia naczyń.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Cody zapytał:

- Czy to naprawdę twoja matka?

- Na ogół tak. - Abra przeczesła palcami włosy. Zalotność Jessie zawsze wprawiała ją w zakłopotanie. - Posłuchaj, Cody, doceniam to, że przyszedłeś oczyścić atmosferę.

- A teraz spadaj, tak?

- Nie chciałabym być niegrzeczna. Myślę, że oboje wyczerpaliśmy już swoje zasoby niegrzeczności na ten rok, mimo to uważam, że wszystko byłoby znacznie prostsze, gdybyśmy ograniczyli nasze kontakty do godzin pracy.

- Nigdy nie mówiłem, że chcę, by wszystko było proste. - Cody podszedł bliżej. - Kiedy ujął w palce wilgotny kosmyk jej włosów, Abra spojrzała mu w oczy. - Skoro ty tego chcesz, niech tak będzie. - Patrzę na ciebie i czuję, że cię pragnę. To chyba proste?

- Może dla ciebie - odparła. - Nie mam ochoty wdawać się w szczegóły, ale kiedy ci powiedziałam, że nie jestem jeszcze gotowa, mówiłam prawdę. A poza tym, nie za bardzo się ze sobą zgadzamy. Nie znamy się i nie rozumiemy.

- W takim razie będziemy musieli lepiej się poznać.

- Upraszczasz sprawy.

- Czy nie tego chciałaś?

Zrozumiała, że znalazła się w pułapce. Odwróciła się i usiadła.

- Cody, mówiłam ci, że mam swoje powody, by się z tobą nie wiązać. Ani w ogóle z nikim.

- Nie mówmy o innych. - Cody usiadł naprzeciwko Abry. Nie potrafił zrozumieć, czemu jest taki zdeterminowany. Przecież w tym momencie swojego życia nie ma ani czasu, ani ochoty wiązać się na poważnie i trwale. Nic takiego nie jest mu teraz potrzebne. A raczej

nie było; poprawił się w myślach. Odkąd poznał Abre, wiele się zmieniło. - Posłuchaj, Wilson, czemu nie mielibyśmy podejść do tego racjonalnie? Inżynierowie podobno myślą logicznie.

- Owszem - przyznała sucho.

- Przed nami jeszcze kilka wspólnych miesięcy. Chyba sama rozumiesz, że napięcia między współpracownikami odbijają się negatywnie na ich pracy. Jeżeli będziemy unikać się nawzajem jak podczas ostatnich tygodni, ucierpi na tym projekt.

- Racja, punkt dla ciebie. - Abra uśmiechnęła się. - Jednak nie pójdę z tobą do łóżka tylko po to, żeby rozładować napięcie.

- Miałem cię za osobę szczerze oddaną pracy. - Cody rozparł się wygodnie w fotelu. - Skoro to nie wchodzi w rachubę... - urwał i uniósł pytająco brwi.

- Absolutnie nie.

- To może poszlibyśmy na pizzę, a potem do kina.

- I nic więcej? - zapytała po chwili wahania.

- To będzie zależało...

- Nie. - Abra potrząsnęła głową i sięgnęła po lemoniadę. - Jeżeli naprawdę chcemy się lepiej poznać, jeżeli nasz związek ma wyjść poza płaszczyznę zawodową, muszę mieć pewność, że będziemy się trzymać pewnych zasad. Więc ustalmy te zasady.

- Mam wyjąć notatnik? - zapytał Cody.

- Jak chcesz - odparła uprzejmie. - Możemy spotykać się jako współpracownicy i przyjaciele. Natomiast nie życzę sobie żadnych romantycznych sytuacji.

Cody spojrział na nią, rozbawiony.

- Podaj mi definicję romantycznej sytuacji.

- Chyba zrozumiałeś, o co chodzi, Johnson. Masz rację, mówiąc, że jesteśmy bliskimi współpracownikami i że jeżeli jedno z nas zacznie się dąsać, ucierpi praca. Wzajemne zrozumienie i szacunek mogą wpłynąć dodatnio na nasze stosunki na płaszczyźnie zawodowej.

- Powinnaś to przygotować na piśmie i odczytać na najbliższym zebraniu. - Zanim zdążyła go zaatakować, powstrzymał ją gestem. - W porządku, niech ci będzie. Od dziś jesteśmy kumplami. - Wychylił się i podał jej rękę, a kiedy ją uścisnęła, uśmiechnął się. - W tej sytuacji chyba będę musiał zabrać te kwiaty.

- Ach, nie. Dałeś mi je, zanim ustaliliśmy reguły. - Abra wstała, bardzo z siebie zadowolona. - Ja stawiam pizzę, a ty bilety do kina.

Wyglądało na to, że odtąd wszystko pójdzie jak z płatka. Przez kilka następnych dni Abra wciąż gratulowała sobie w duchu, że tak dyplomatycznie to wszystko rozegrała, ku obopólnemu zadowoleniu. Oczywiście zdarzały się starcia, gdy sprzeczhali się na temat projektu i budowy. Kiedy jednak spotykali się po pracy, zgodnie szli na kolację albo do kina. Nawet jeżeli chwilami Abra pragnęła czegoś więcej, starała się o tym nie myśleć.

Stopniowo dowiadywała się coraz więcej o Codym - o farmie, na której dorastał, o wysiłkach, które podjął, by zdobyć wykształcenie. Wprawdzie Cody nie mówił jej wprost o biedzie w rodzinnym domu i o ciężkiej pracy, ale z czasem nauczyła się czytać między wierszami.

Odtąd zaczęła na niego patrzeć inaczej. Wcześniej widziała w nim tylko pewnego siebie współwłaściciela jednego z najlepszych biur architektonicznych w kraju. Nie brała pod uwagę tego, że podobnie jak ona, osiągnął aktualny status o własnych siłach. Teraz szanowała w nim nie tylko ambicję, ale pracowitość i wytrwałość.

Wolała milczeć na temat swojego życia prywatnego. Natomiast chętnie opowiadała o latach przepracowanych u Thornwaya i o podziwiew, jakim darzyła człowieka, który dał jej szansę. Nigdy jednak nie wspominała swojego dzieciństwa czy rodziny. Cody odnotował to, ale o nic nie pytał. Rodząca się między nimi więź była jeszcze zbyt krucha. Nie chciał nalegać, póki nie wzmocni się fundament, na jakim miał się oprzeć ich związek.

O ile Abra była zadowolona z siebie i z układu, na jaki oboje wcześniej się zgodzili, Cody z każdym dniem czuł się coraz bardziej sfrustrowany. Z trudem opierał się pokusie, żeby dotknąć Abry - choćby tylko pogłaskać jej policzek, przejechać dłonią po włosach czy potrzymać za rękę. Zdawał sobie sprawę z tego, że pierwsza próba będzie zarazem ostatnia. Czasami miał ochotę w ogóle się wycofać i zaprzestać tych platonicznych zalotów. Sęk w tym, że nie potrafił. Spotkania z Abłą stały się nałogiem, z którym nie był w stanie zerwać.

W gruncie rzeczy zaczynał podejrzewać, że ten, kto wymyślił przysłowie, że „lepszy rydz niż nic”, nie znał się na rzeczy.

Abra, trzymając się pod boki, obserwowała pilnie ekipę inżynierów i robotników, pracującą nad mechanizmem rozsuwanego dachu. Szkielet był już gotowy, a samo szkło miało zostać zainstalowane pod koniec tygodnia. Słońce paliło niemiłosiernie, a ona doglądała projektu jak zatroskana kwoka.

- Kochanie!

- Mama? - Zmarszczyła brwi, ale po chwili zdołała się uśmiechnąć. - Co tu robisz?

- Tyle mi opowiadałaś o budowie, że postanowiłam ją w końcu obejrzeć. - Jessie poprawiła zalotnie kask. - Udało mi się namówić pana Blakermana, żeby dał mi dłuższą

przerwę na lunch. - Ujęła córkę pod rękę. - Abra, to cudowne miejsce. Absolutnie cudowne. Co to za dziwne domki, które wyglądają jak szałas z patyków?

- To tak zwane cabanas.

- Ach, wszystko jedno. A ten wielki budynek, który zobaczyłam na początku. Coś niewiarygodnego! Wygląda jak zamczysko z dwudziestego czwartego wieku.

- To chyba mówi samo za siebie.

- W życiu czegoś takiego nie widziałam. Jest taki tajemniczy i majestatyczny. Jak otaczająca go pustynia.

Abra spojrzała z uwagą na matkę.

- Naprawdę?

- O tak. Kiedy to po raz pierwszy ujrzałam, nie mogłam uwierzyć, że moja mała córeczka bierze udział w czymś tak... wspaniałym. - Jessie zajrzała do pustego basenu, wyłożonego mozaiką z kafelków, a jej wzrok spoczął na chwilę z uznaniem na opalonych torsach robotników. - O, basen ma kształt półksiężyca. Świetny pomysł. Widzę, że dominują tu łuki i kopuły. To pomaga stworzyć nastrój relaksu, nie uważasz? I tak powinno być. Jakkolwiek by było, to przecież ośrodek wypoczynkowy.

- Chyba masz rację - mruknęła Abra. Musiała przyznać, choć niechętnie, że argumenty matki zaczynają do niej przemawiać.

- A co to takiego, tam w górze? Abra spojrzała na szklany strop.

- To ruchomy, rozsuwany dach. Szkło będzie przyciemnione, żeby filtrować promienie słoneczne.

- Cudownie! Chciałabym to zobaczyć, kiedy już wszystko będzie gotowe. Masz trochę czasu, żeby mnie oprowadzić? Bo jak nie, to sama się przejdę.

- Nie mogę w tej chwili stąd odejść. Gdybyś zechciała. ..

- O, patrz, idzie ten twój architekt. - Jessie bezwiednie wygładziła spódnice, a jej spojrzenie spoczęło na niższym, tęższym mężczyźnie, towarzyszącym Cody'emu. - Kim jest ten elegancki starszy pań za twoim ukochanym?

- On nie jest moim ukochanym. - Abra szybko rozejrzała się wokoło, żeby sprawdzić, czy nikt nie słyszał uwagi Jessie. - Nie mam i nie potrzebuję ukochanego.

- Martwi mnie to, kochanie. Cierpliwości, nakazała sobie w duchu Abra.

- Cody Johnson jest moim współpracownikiem - podkreśliła z naciskiem.

- Niech ci będzie, kochanie. A ten drugi?

- To pan Barlow. Nasz inwestor.

- Naprawdę? - Jessie już uśmiechała się i wyciągała obie ręce do Cody'ego. - Witam! Właśnie mówiłam Abrze, jak bardzo mi się podoba ten projekt. Jestem pewna, że to będzie jeden z najpiękniejszych ośrodków w Arizonie.

- Dziękuję. Miło mi to słyszeć. Pozwolisz, że przedstawię ci Williama Barlowa. Will, to matka Abry, Jessie Peters.

- Matka Abry? - Barlow uniósł krzaczaste brwi i bezskutecznie spróbował wciągnąć brzuch. - Musiała pani chyba wyjść za mąż, mając szesnaście lat.

Jessie wdzięcznie się roześmiała.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że wpadłam tu bez zapowiedzenia. Abra tyle mi opowiadała o tej budowie, że wprost umierałam z ciekawości. Po prostu musiałam zobaczyć, nad czym moja córka od dawna tak ciężko pracuje. Teraz widzę, że było warto.

- Jesteśmy bardzo zadowoleni z Abry. Może pani być z niej dumna.

- Zawsze byłam z niej dumna. - Jessie zatrzepotała rękami. - Niech mi pan jedno zdradzi, panie Barlow, skąd wziął się pomysł, żeby zbudować tak piękny ośrodek na pustyni?

- O, to długa historia.

- Ach tak. - Jessie spojrzała wymownie na Abre. - Nie chcę was odrywać od pracy. Miałam nadzieję, że Abra oprowadzi mnie, ale widzę, że trzeba to będzie odłożyć na inny dzień.

- Wobec tego pozwoli pani, że ja ją oprowadzę?

- Och, z przyjemnością! - Jessie ujęła Barlowa pod ramię. - Jednak nie chciałabym przeszkadzać.

- Nonsens. - Barlow poklepał ją po drobnej dłoni. - Zostawimy wszystko w dobrych rękach i przejdziemy się po budowie.

Kiedy odchodzili, Jessie zerknęła przez ramię na córkę.

- Znowu zaczyna - mruknęła Abra.

- Ale co?

- Nic. - Z rękami w kieszeniach Abra odwróciła się i spojrzała na robotników. Widok matki w akcji zawsze wprawiał ją w zakłopotanie. - Instalacja elektryczna powinna być gotowa do wieczora - zwróciła się do Cody'ego.

- To dobrze. Powiedz mi, co cię gnębi? Wzruszyła gniewnie ramionami, odtrącając jego dłonie.

- Nic. Mieliśmy pewne problemy.

- Przecież sobie z tym poradziłaś.

- Tak, kosztem czasu i sporych wydatków. Zaraz się pokłóca. Cody już to przeczuwał.  
- Nie męczycię powtarzanie tej samej śpiewki?  
- Gdybyś zmienił nieznacznie stopień nachylenia...  
- Zmieniłyby się wygląd i atmosfera.  
- Nawet mucha przyklejona do twojego szkła nie zauważyłaby tych zmian.  
- Ale ja bym je zauważył. Czemu jesteś taka uparta?  
- To ty jesteś uparty.  
- Nie - wycedził Cody, próbując zachować spokój. - Ja mam po prostu rację.  
- Upierasz się tak samo jak wtedy, gdy zażądałeś, żeby użyć konstrukcji z litego szkła zamiast paneli.

Cody bez słowa ujął Abreę pod rękę i odciągnął na bok.

- Co ty wyprawiasz?!  
- Cicho bądź! - Pociągnął opierającą się Abreę do pustego basenu. Robotnicy, układający kafelki, przyglądali im się z uśmiechem. Otoczył dłońmi jej twarz i przechylił tak, żeby Abra patrzyła w górę. - Co widzisz?

- Niech cię diabli! Niebo! Jeżeli mnie zaraz nie puścisz, to zobaczysz gwiazdy.

- Masz rację. Niebo. Bez względu na to, czy dach jest otwarty, czy zamknięty. Nie panele szklane, nie okna, nie dach, tylko niebo! Wyobraźnia to moja działka, Wilson, a ty masz zrealizować moje wizje w praktyce.

Wyszarpnęła się z jego uścisku. Otaczały ich wysokie ściany basenu. Gdyby go napełniono, znaleźliby się pod wodą. Na razie basen wyglądał jak arena - miejsce ich zmagania.

- Coś ci powiem, mój ty geniuszu. Nie wszystko, co można sobie wyobrazić, da się przekształcić w konkret. Ludzie tacy jak ty słuchają tego niechętnie, ale tak już jest.

- Wiesz, na czym polega twój kłopot, Ruda? Jesteś zbyt przyziemna, żeby marzyć. Zbyt przywiązana do swoich cyferek i kalkulatora. Dla ciebie dwa plus dwa to zawsze cztery, bez względu na to, jak piękne mogłoby być życie, gdyby od czasu do czasu uznać, że to może być trzy. Albo pięć.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to brzmi idiotycznie?

- Tak, ale również intrygująco. Zastanów się nad tym czasami, zamiast z góry ustawiać się na nie.

- Ja niczego nie zakładam z góry. Wierzę w to, co realne.

- To jest realne - powiedział, chwytając ją za rękę. - Drewno, szkło, stal, pot. To jest realne. Podobnie jak to! - Zawładnął jej ustami, zanim którekolwiek z nich zdążyło pomyśleć. Roboty wokół nich zamaryły na dziesięć nieskończenie długich sekund. Żadne z nich tego nie



zauważyło. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Abra nagle uświadomiła sobie, że chociaż basen jest pusty, wpadła po uszy.

Chciała tego. Po co zaprzeczać? Wczepiła się w jego koszulę, ale nie w proteście, tylko zaborczym gestem. Tuliła się do niego, a pożądanie narastało w niej w lawinowym tempie. Realne. Bardzo realne.

Nie miał zamiaru dotykać jej w taki sposób. Brać tego, co miała mu kiedyś ofiarować w wyznaczonym przez siebie czasie. Cierpliwość była jego wrodzoną cechą i to ona zawsze dyktowała mu, co i jak powinien robić. Przynajmniej do tej pory. Teraz te reguły nagle przestały obowiązywać.

Może gdyby reakcja Abry nie była tak spontaniczna, gdyby nie poczuł żaru jej spragnionych ust, zdołałby się jeszcze wycofać. Niestety, podobnie jak Abra, czuł, że idzie na dno. Po raz pierwszy w życiu zapragnął porwać kobietę i uwieść ją w dal, niczym rycerz na białym koniu. Albo pociągnąć ją na ziemię i posiąść jak barbarzyński zwycięzca. Czy też zapalić świece jak poeta i nastawić muzykę. A najbardziej ze wszystkiego pragnął samej Abry.

Kiedy ją odepchnął, zachwiała się, oszołomiona i bez tchu. Już wcześniej ją całował, ale żaden z tamtych pocałunków nie był tak desperacki, namiętny i zaborczy. Przez chwilę patrzyła na niego, a w głowie jej szumiało. Nagle uświadomiła sobie, że można się zakochać nawet wtedy, jeśli się tego nie chce.

- Czy to dla ciebie wystarczająco realne? - mruknął Cody.

Potrząsnęła głową, niezdolna wykrztusić słowa. A potem oblała się rumieńcem, który był kombinacją wstydu, poczucia winy i złości.

- Jak śmiałeś tak się zachować?! I to w takim miejscu!

Cody wsunął ręce do kieszeni, żeby nie ulec kolejnej pokusie.

- Masz jakieś inne miejsce na myśli?

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Johnson - wysapała - albo cię oskarżę o molestowanie w pracy.

Spojrzał jej zimno w oczy.

- Oboje doskonale wiemy, że nie było to żadne molestowanie. To sprawa osobista. Jeżeli nawet będę się trzymał od ciebie z daleka, nic to nie pomoże.

- W porządku - powiedziała przyciszonym głosem, bo ich kłótnia zaczęła już budzić powszechne zainteresowanie. - Skoro to sprawa osobista, niech tak będzie. Bierzmy się do roboty, Johnson. Thornway nie płaci mi za to, żebym traciła czas na kłótnie.

- Dobrze.

- Dobrze - powtórzyła. Wspięła się po schodkach na brzeg basenu i wybiegła z budynku.

Cody patrzył w ślad za nią, kołysząc się na obcasach. Rzeczywiście, wkrótce może się okazać, że oboje przegrywają wyścig z czasem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Abra przystanąła obok przyczepy, żeby sobie obmyć twarz zimną wodą, dochodziła piąta. Od pamiętnej sceny z Codym wszystko zaczęło iść na opak. Jeden z elementów konstrukcji wind okazał się niesprawny, Rodriqwuez i Swaggart znowu się pokłócili, jednemu z cieśli opilek wpadł do oka, a Tim zaczął nagle narzekać na przekroczony budżet.

A początek temu zamieszaniu dała wizyta matki. To oczywiście nie fair, żeby obwiniać Jessie, ale prawda wygląda tak, że ta kobieta przyczyniała się do powstania problemów, które inni musieli później rozwiązywać.

Może nie powinna mieć matce za złe, że zagięła parol na Barlowa, ani martwić się o ewentualne tego skutki? Rzecz w tym, że historia lubi się powtarzać. Ostatnią rzeczą, jaka była teraz Abrze potrzebna, był romans jej inwestora z jej kochliwą matką, której barwne, urozmaicone życie uczuciowe już nieraz przyprawiało Abre o ból głowy.

Nie potrzebuje teraz żadnych życiowych komplikacji - flirtów, romansów, mniej lub bardziej trwałych związków. Ma przed sobą ściśle wyznaczony cel i musi się go trzymać. Dawno już sobie wszystko zaplanowała. Żaden mężczyzna nie może jej w tym przeszkodzić.

A tak w ogóle, co on sobie myśli?

Na myśl o tym, co on mógł sobie wyobrażać, kopnęła ze złością drzwi. Niestety, ona widziała oczami duszy dokładnie to samo.

Eksplodujące fajerwerki, wybuchające wulkany, szalejące tornada. Żywioł i chaos. To właśnie wyobrażała sobie, ilekroć znalazła się w ramionach Cody'ego.

Czy i on czuł to samo? - zastanawiała się, zamykając przyczepę. Czy i on przestawał być sobą, kiedy się spotykali? Czy wszyscy i wszystko wokoło traciło znaczenie?

Nie, oczywiście, że nie, zapewniła samą siebie. Cody to po prostu jeszcze jeden cwany przystojniak. Świat jest pełen mężczyzn jego pokroju. Jej matka mogłaby na ten temat napisać całe tomy.

To jednak nie w porządku, pomyślała, idąc w stronę samochodu. Jessie ma prawo do własnego życia. To również nie fair w stosunku do Cody'ego. Wprawdzie ten ostatni pocałunek to była jego inicjatywa, ale ona nie zrobiła nic, żeby mu zapobiec. Zachowała się równie nierozsądnie i nieodpowiedzialnie, jak on.

Nie powinna była mu na to pozwolić. Do końca dnia dziesiątki razy zadawała sobie pytanie, czemu go nie powstrzymała. Ich pocałunek nie był jedynie wyrazem nieokiełznanej

żądzy, choć tak naprawdę wolałaby, żeby tak było. To było coś cudownego i całkiem niespodziewanego. Coś więcej niż tylko namiętność i pożądanie.

To był jakiś potężny wybuch, dumiała, patrząc na zachodzące słońce. Wybuch, po którym coś się rozchwiało. Chyba na moment straciła równowagę umysłową, skoro zaczęło jej się wydawać, że się zakochała.

A to oczywiście nonsens, pomyślała, szukając w kieszeni kluczyków. Jest na to zbyt rozsądna. A jednak na myśl o tym ogarniał ją niepokój.

Dlatego lepiej się nad tym nie zastanawiać. Jest tyle innych, ważniejszych problemów, związanych z budową. Rozwiąże je wszystkie za pomocą rozumu i kalkulatora. Natomiast problemów z Codym nie da się rozwikłać w ten sam sposób. Dlatego nie będzie się tym zajmować, tylko poczeka, aż sprawy same się ułożą.

Słyszając warkot silnika, odwróciła się i zobaczyła sportowy wóz Cody'ego. Podjechał i zatrzymał się obok niej, wzniesając obłok kurzu.

Cody także dużo rozmyślał tego popołudnia i doszedł do własnych wniosków. Zanim zdążyła usiąść za kierownicą, wysiadł i chwycił Abreę za rękę.

- Jedziemy.

- Właśnie miałam jechać do domu.

- Pojedziemy moim wozem.

- Może ty, bo ja pojedę swoim. - Odwróciła się, żeby wsiąść do samochodu.

Cody wyjął jej z rąk kluczyki i teczki. Kluczyki schował do kieszeni, a papiery rzucił na tylne siedzenie.

- Wsiadaj!

- Co ty sobie wyobrazasz? - Odepchnęła go i sięgnęła po teczki. - Że z tobą pojedę? Jeżeli tak myślisz, to się grubo mylisz.

- Zawsze to samo - powiedział, pociągając ją za rękę. - Nie można inaczej?

- Chyba upadłeś na głowę. - Chciała wyrzucić go łokciem w bok, ale on zdążył ją wcześniej wepchnąć do samochodu i zatrzaskać drzwi.

- Jeżeli spróbujesz wsiąść podczas jazdy, Wilson, gorzko tego pożałujesz - powiedział, patrząc w jej rozplamione oczy.

- Oddaj mi kluczyki!

- Nie ma mowy.

Przez chwilę zastanawiała się, czyby mu ich nie wyrwać, ale raczej nie miała szans.

- Tak mówisz? - rzuciła z wściekłością. - Wobec tego pójdę pieszo. Na pewno trafi mi się jakaś okazja.

- Już ci się trafiła. - Cody cofnął się, żeby obejść wóz i wsiąść z drugiej strony. Abra pchnęła drzwi, ale zdążyła się tylko podnieść, kiedy Cody znów wepchnął ją na fotel.

- Nie boję się ciebie, Johnson!

- A powinnaś. Jesteśmy spóźnieni, a mamy pewien interes do załatwienia. Prywatny interes. - Nachylił się i zapiął jej pas. - Nie rozpinałbym go na twoim miejscu. Jazda może być ostra.

Nim zdążyła uporać się ze sprzączką, Cody już siedział za kierownicą. Bez słowa zapiął jej z powrotem pas, po czym ruszył z piskiem opon.

- Co chcesz mi udowodnić?

- Jeszcze nie wiem - odparł, kiedy wjechali na szosę. - Pojedziemy w jakieś spokojne miejsce i wtedy się zastanowię. - Spod kół unosiły się tumany kurzu. - Tak jak ja to widzę, nasz pierwszy plan nie wypalił, dlatego musimy wrócić do punktu wyjścia.

Wkrótce okazało się, że Jakieś spokojne miejsce” to jego hotel. Kiedy się zatrzymali, Abra wyskoczyła z samochodu i zaczęła uciekać przez parking. Cody dogonił ją i bez słowa przerzucił sobie przez ramię, po czym zaniósł, trzęsącą się z furii, aż pod drzwi swojego apartamentu.

Otworzył je, a po wejściu zamknął na zasuwkę i dopiero wtedy rzucił Abrę na fotel.

- Chcesz drinka? - zapytał. - Bo ja tak. - Podeszedł do barku i otworzył butelkę wina.

- Tym razem napijemy się Chardonnay. Barwa złocista, orzeźwiający smak, trochę cierpkie. Na pewno je polubisz.

Co prawda, mogła wyskoczyć za drzwi, ale nie miała już ochoty na żadne wyścigi. Wstała z godnością.

- Wiesz, czego chcę? - zapytała dziwnie słodkim tonem, który mocno zaniepokoił Cody'ego. - Wiesz, czego bym tak naprawdę chciała? Marzę o tym, żeby zobaczyć, jak dyndasz powieszony za nogi nad ogniskiem. - Podeszła do Cody'ego, który właśnie rozlewał wino do kieliszków. - Nad olbrzymim ogniskiem. Bez dymu, który przytępiłby twoje zmysły. - Oparła się o barenki i przybliżyła twarz do jego twarzy.

- Skoro to niemożliwe, może napiłabyś się wina? Sięgnęła po kieliszek, ale Cody był szybszy. Jego palce zacisnęły się wokół jej dłoni.

- Ruda - powiedział ze spokojem - jeżeli mnie oblejesz, będę musiał sprawić ci baty.

Wyszarpnęła rękę i jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Dzięki za drinka. - Ruszyła do drzwi, ale Cody dogonił ją, zanim zdążyła je otworzyć.

- W ten sposób nigdy się nie nauczysz doceniać dobrych marek. - Wciągnął ją z powrotem do pokoju i popchnął na fotel. - Siadaj - polecił. - Albo porozmawiamy spokojnie, albo dopuszczę do głosu bardziej prymitywne instynkty. Wybieraj.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Dobrze. Sama chciałaś. - Szarpnął ją za rękę i nim zdążyła pisnąć, znalazła się w jego ramionach.

Cody całował ją tak, jakby nigdy nie miał zamiaru skończyć. Jego zaborcze usta brały, co chciały. Jedną ręką obejmował Abreę, a drugą błędził po jej ciele, odkrywając jego tajemnice. Nigdy dotąd tak jej nie dotykał, a jej reakcja była dla nich obojga zaskoczeniem.

Była taka pobudzona. Koniuszkami palców wyczuwał jej galopujący puls. Rozsadzała ją energia, napędzana namiętnością, która i jego wprawiała w trans. Nikomu nie udało się wcześniej rozbudzić w nim takiej gamy uczuć.

Abra nigdy dotąd nie przeżywała takich uniesień. Nigdy i z nikim. Świadomość tego wprawiała ją w euforię. Gotowa była zapomnieć o regułach, które sama przecież dla nich ustaliła. Gdzieś ulotnił się gniew, choć jeszcze przed chwilą trzęsła się z oburzenia. Liczył się tylko obecny moment i dotyk Cody'ego, którego palce wyzwały w jej ciele feerie nieznanych doznań. Chciała, żeby pieszczoty trwały wiecznie, by nigdy nie przestał jej dotykać. Wzdychając z rozkoszy, przywarła do niego, ofiarowując mu siebie.

Gdzieś w głębi pokoju rozdzwonił się telefon, ale oni nie zwrócili na to uwagi, wsłuchani w bicie własnych serc.

Cody oderwał usta od jej warg, żeby zaczerpnąć powietrza, i ukrył twarz w jej włosach. To kolejna rzecz, która przydarzyła mu się po raz pierwszy. Żadnej kobiecie, jak dotąd, nie udało się pozbawić go tchu.

Odsunął Abreę i spojrzał jej w twarz. Oczy miała chmurne i tak bardzo zielone. Pomyślał, że musi być równie oszołomiona, jak on sam. Jeżeli teraz ulegną instynktom, kruchy fundament, jata udało im się wznieść, legnie w gruzach.

- Lepiej porozmawiajmy - odezwał się stłumionym głosem.

Skinęła głową i osunęła się na fotel. Czy jej nogi kiedykolwiek odzyskają dawną siłę?

- Dobrze - wyszeptwała.

Kiedy znów nalewał jej wina, drżały mu ręce. Czy będzie kiedyś w stanie śmiać się z tego? Podał jej kieliszek, po czym wziął swój i usiadł naprzeciwko.

Wreszcie odważyła się na niego popatrzeć. Włosy miał zmierzwione wiatrem, policzki ogorzałe od słońca, ale nie przypominał plażowego playboya. Emanowała z niego energia. Energia i siła, którą poznała już wcześniej. Czowała, że jeśli znów skrzyżują szpady, na pewno

nie uda jej się wygrać teraz, gdy przepelnia go ta moc. . Wzięła głęboki oddech i upiła łyk wina.

- Chciałeś porozmawiać.

Cody nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Pomogło mu to rozładować napięcie.

- Tak. Rzeczywiście.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki mnie tu przywlokłeś.

- A przyszłabyś z własnej woli, gdybym cię ładnie poprosił?

- Nie - odparła. Cień uśmiechu przemknął przez jej twarz. - To jeszcze nie powód, żebyś się zachowywał jak jaskiniowiec i ciągnął mnie za włosy.

Wizja Abry, wleczonej za włosy do jaskini, wydała mu się całkiem interesująca. Nie mógł nie przyznać jej pewnej racji.

- To raczej nie leży w mojej naturze. Mam cię przeprosić?

- Chyba już dosyć przepraszaliśmy się nawzajem. Podobno chciałeś porozmawiać. Zatem rozmawiajmy. W końcu po to tu jestem.

- Świetnie wyglądasz w tym dresie, Ruda. Potrząsnęła głową.

- Jeżeli to wszystko... - Chciała wstać, ale Cody uniósł rękę.

- Wypada chyba wspomnieć, że nasze plany, by ograniczyć wzajemne kontakty do płaszczyzny służbowo - koleżeńskiej, wzięły w łeb.

Abra zapatrzyła się w swój kieliszek. Nie zamierzała zaprzeczać oczywistym faktom.

- Masz rację.

Szukając zapalek, pomyślał, że nie wygląda na zbyt zachwyconą tym odkryciem i przeklął w duchu swój brak taktu. Zaciągnął się głęboko dymem, który miał jej smak.

- Co dalej?

Obrzuciła go uważnym i chłodnym spojrzeniem. Nawet jeśli przeżywała jakieś rozterki, nie dała tego po sobie poznać.

- Przecież to ty podobno masz na wszystko gotową odpowiedź.

- Abra... - Urwał ze strachu, że znów poniosą go nerwy i zacznie domagać się czegoś więcej, niż gotowa jest mu ofiarować. - Chciałaś, żeby wszystko było jasne i proste. - Upił łyk wina. - Chyba dobrze cię zrozumiałem?

Proste? - pomyślała spłoszona. Nic już nigdy nie będzie proste. Ścisnęła w palcach kieliszek, a potem odetchnęła bardzo głęboko i spróbowała wziąć się w garść. Spojrzała na Cody'ego, który był całkowicie opanowany.

- To prawda. Uważam, że żadne z nas nie ma w tym momencie ani czasu, ani ochoty na jakiegokolwiek komplikacje.

Komplikacje... Najchętniej zerwałby się z fotela, chwycił ją i pokazał, jakie życie potrafi być skomplikowane. Ona jednak tchnęła takim spokojem...

- Wobec tego musimy stawić czoło faktom. Po pierwsze, pragnę cię. - Zauważył, że w oczach Abry mignęło coś na kształt lęku, a może namiętności lub nadziei. - Po drugie, ty też mnie pragniesz. - Zgniółł w popielniczce niedopałek. - Biorąc pod uwagę te dwa oczywiste fakty oraz świadomość, że żadne z nas nie jest już dzieckiem, a jesteśmy parą dorosłych, odpowiedzialnych ludzi, zdolnych do przeprowadzenia intelektualnej analizy naszego związku, powinniśmy - jak sama powiedziałaś - otrzymać prostą i jasną odpowiedź.

Nie chciała wcale być intelektualistką. Nie chciała być rozsądna. Po wysłuchaniu argumentów Cody'ego pragnęła już tylko jednego: otworzyć przed nim ramiona i serce. Do diabła z faktami, planami i prostymi odpowiedziami!

Chłodząc wyschnięte gardło zimnym winem, przypomniała sobie, że tak właśnie mówiła jej matka. Ale to, co dobre dla Jessie, nie będzie nigdy dobre w przypadku Abry.

Spojrzała na Cody'ego ponad krawędzią kieliszka. Był z pozoru taki spokojny, opanowany. Nie widać było napięcia, które przecież musiało go wręcz rozsadzać.

Dostrzegła tylko błysk rozbawienia w oczach i swobodną pozę.

- Mam ci to jeszcze raz powtórzyć, Ruda?

- Nie. - Odstawiła kieliszek i złożyła ręce. - Odpowiedź jest prosta. Będziemy mieli romans.

Nie podobała mu się obojętność, z jaką to powiedziała. A przecież trafiła w sedno. Czy nie tego właśnie chciał? Żeby z nią być? A jednak poczuł się dotknięty jej chłodem, i to go bardzo zdziwiło.

- Od kiedy?

Co za pytanie! Abra zacisnęła kurczowo pięści. Jednak to ona zaczęła tę rozmowę, dlatego musi teraz ponieść konsekwencje.

- Chciałabym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nasze sprawy osobiste nie mogą nam przysłonić pracy.

- W żadnym wypadku. Zaczepnęła powietrza i ciągnęła:

- Ważne jest, byśmy oboje zrozumieli, że nie będzie żadnych zobowiązań na przyszłość i żadnych pretensji. Za kilka tygodni ty wracasz na Florydę, a ja zostaję tutaj. Nie ma więc sensu udawać, że będzie inaczej, albo zachowywać się tak, jakby to wszystko miało trwać wiecznie.



- To oczywiście całkiem jasne - przyznał, choć tak naprawdę miał ochotę udusić ją za to, że jest taka spokojna, podczas gdy on marzy tylko o jednym - żeby kochać się z nią teraz do utraty tchu. - Rozumiem, że musiałaś już mieć za sobą podobne doświadczenia.

Nie odpowiedziała. Nie miała obowiązku. Zanim odwróciła wzrok, Cody dostrzegł w jej oczach cień smutku.

- Co się dzieje? - Podniósł się z fotela i przykucnął obok niej. - Ktoś złamał ci serce, Ruda?

- Cieszę się, że tak cię to śmieszy - zaczęła, ale urwała, bo Cody dotknął jej policzka.

- Wcale mnie to nie śmieszy. - Podniósł jej rękę do ust i ucałował. - Zdziwiłbym się, gdybyś mi powiedziała, że jestem twoim pierwszym mężczyzną, niemniej jednak jest mi przykro, że ktoś cię zranił. Było aż tak źle?

Nie spodziewała się po nim takiej wrażliwości. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz ich powodem wcale nie były wspomnienia.

- Nie chcę tym mówić.

Czas goi jedne rany, a inne jątrzy, pomyślał Cody. Będzie musiał wybadać, jak było w tym przypadku, ale jeszcze nie teraz. Jest cierpliwy, może poczekać.

- W porządku. Spróbujmy z innej beczki. Może zjadłabyś ze mną kolację?

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, i uśmiechnęła się blado.

- Nie jestem odpowiednio ubrana na wyjście.

- Kto powiedział, że mamy gdziekolwiek wychodzić? - Wychylił się i musnął ustami jej wargi. - O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że lubisz hotele, bo można sobie zamówić jedzenie do łóżka.

- Rzeczywiście tak mówiłam.

- Możesz wziąć prysznic. Dam ci czyste ręczniki. Uśmiechnęła się, z ustami przy jego ustach. Będzie dobrze. Była niemal skłonna w to uwierzyć.

- To nawet dosyć kusząca propozycja.

- Lepzej nie usłyszysz. - Cody wstał i pociągnął ją za rękę. - W twoim kodeksie nie ma ani słowa o obietnicach.

- Musiałam o tym zapomnieć.

- No to ja ci przypomnę.

- Cody... - urwała, gdy delikatnie przycisnął wargi do jej ust.

- Tylko jedną obietnicę, Abra. Nic ci się nie stanie, jeśli mnie wysłuchasz.

Mówił serio. Poznała to po jego oczach. Za późno, pomyślała, tuląc twarz do jego policzka. Jej serce, którego tak pilnie strzegła, należało już do Cody'ego. A on zrani ją wbrew własnym intencjom, choć nigdy się tego nie domyśli.

Tym razem oboje zareagowali na dźwięk telefonu. Nie wypuszczając Abry z objęć, Cody sięgnął po słuchawkę.

- Tu Johnson. - Słuchał przez chwilę, muskając przy tym ustami skronie Abry. - Lefkowitz, nikt ci nigdy nie mówił, że jesteś matoł? - Puścił niechętnie Abrę i skoncentrował się na rozmowie. - Dostałeś to stanowisko, bo założyliśmy, że potrafisz sobie poradzić z komplikacjami tego typu. Otrzymałeś instrukcje? No to je przeczytaj. - Zaklął i przełożył słuchawkę do drugiej ręki. - Słyszę, co mówisz. Podaj mi numer, a ja postaram się to załatwić. Spróbuj cokolwiek zmienić, to połamię ci ręce. Jasne? To dobrze. Przylecę pierwszym samolotem.

Kiedy się rozłączył, Abra podała mu kieliszek.

- Potrafisz być brutalny, Johnson.

- Dyplomację i takt zostawiam mojemu partnerowi, Nathanowi.

- Słusznie. - Obróciła w palcach nóżkę kieliszka, a potem spytała jakby od niechcenia:

- Wybierasz się w podróż?

- Do San Diego. Nie mogę pojąć, jak kiedykolwiek mogło nam się wydawać, że taki osioł jak Lefkowitz poradzi sobie z tą robotą. Ten facet nie rozumie nawet słowa „niedorzeczny”. - Podeszedł do szafy i wyjął małą torbę. - Jakiś zwariowany inżynier każe mu skorygować projekt. Nawalają też dostawcy, a on nie wie, co robić.

- Projekt jest oczywiście twój? - zapytała z uśmiechem.

- Głównie mój. - Chwycił ją za warkocz i pociągnął tak mocno, że aż pisnęła. - Jedź ze mną Wilson. Mogłabyś mi wskazać punkty, w których ten inżynier ma rację, a ja nie, a potem pokazałbym ci ocean.

Nęcąca propozycja - tak nęcąca, że już gotowa była wyrazić zgodę, kiedy przypomniała sobie, że ma obowiązki na miejscu.

- Nie możemy oboje jednocześnie zostawić budowy. Jak długo cię nie będzie?

- Jakiś dzień czy dwa, chyba że zamorduję Lefkowitza i wsadzą mnie za kratki. - Położył jej dłonie na ramionach. - Czy to wbrew zasadom, że będziesz za mną tęskniła?

- Zastanowię się nad tym - odparła.

Cody przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Przyszło mu nawet do głowy, że mógłby pociągnąć ją na łóżko i zdać się na instynkt, jednak się rozmyślił. Rozumiał, podobnie zresztą jak Abra, co to znaczy odpowiedzialność.

- Muszę się spakować i jechać na lotnisko. Podrzucę cię tam, gdzie zostawiłaś swój samochód.

- Dobrze.

Cofnęła się, a on wciąż trzymał ręce na jej ramionach. To dziwne, pomyślał. Perspektywa podróży nigdy dotąd nie budziła w nim oporów. Tym razem było inaczej. Zupełnie jakby w ciągu ostatnich kilku minut zapuścił korzenie.

- Jestem ci winien prysznic i kolację w pokoju. Przecież nie wyjeżdża na wojnę, pomyślała Abra. To tylko podróż służbowa. Przyjdzie oczywiście taki moment, kiedy Cody wsiądzie w samolot i zniknie na zawsze z jej życia. Jednak jeszcze nie tym razem.

- Nie przejmuj się, Cody. Wyrównamy rachunki po twoim powrocie.

Ku jego wściekłości wyjazd przeciągnął się do trzech dni. Lefkowitz uszedł z życiem jedynie dzięki temu, że zmiany okazały się bardziej skomplikowane, niż Cody przypuszczał. Tkwiał w kolejnym pokoju hotelowym, czekając na samolot. Spakował już wszystkie swoje rzeczy, z wyjątkiem naszyjnika dla Abry. Wyjął go z kieszeni i raz jeszcze mu się przyjrzał.

Kupił go wiedziony impulsem. Szedł właśnie na umówione spotkanie, kiedy wzrok jego przykuł naszyjnik na wystawie jubilera. Nie były to białe brylanty, tylko delikatne, zielononiebieskie klejnoty. W chwili gdy je zobaczył, zrozumiał, że są stworzone dla Abry.

Zamknął wieczko i wsunął pudełko do kieszeni. Pomyślał, że nie jest to chyba rodzaj prezentu, jakim obdarzają się partnerzy w przelotnym związku. Problem polegał na tym, że uczucie, jakie żywił dla Abry, z całą pewnością nie było przelotne.

Nigdy dotąd nie był zakochany, potrafił jednak rozpoznać symptomy.

Niestety, Abra nie była jeszcze gotowa, żeby przyjąć to do wiadomości. Podobnie jak on nie był jeszcze gotów, by jej to wyznać. Słowa takie jak „kocham” potrafiły diametralnie odmienić życie, podobnie jak jedno okno mogło zasadniczo zmienić wygląd całego budynku.

Jeśli to jednak przelotne uczucie? Znał przecież ludzi, którzy zakochiwali się i odkochiwali z równą łatwością. Ale to nie dla niego. Jeżeli jest to szczere, autentyczne uczucie, to chciałby, żeby było też trwałe. Skoro nie projektował budowli, które nie przetrwałyby próby czasu, czy mógł postąpić inaczej, gdy w grę wchodziło całe jego życie?

Spojrzał na zegarek. Samolot odlatywał dopiero za dwie godziny. Wyciągnął się na łóżku, sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Abry. Usłyszał cichy trzask, otworzył usta i już miał coś powiedzieć, kiedy odezwała się automatyczna sekretarka: „Dodzwoniliście się państwo do Abry Wilson. Niestety, nie mogę w tej chwili odebrać. Proszę zostawić wiadomość po długim sygnale, to oddzwonię”.

Czemu nie ma jej w domu? - zadał sobie w duchu pytanie.

- Hej! Miło usłyszeć twój głos, Ruda, ale wolałbym porozmawiać z tobą osobiście. Posłuchaj, jeżeli wrócisz przed siódmą, zadzwoń do mnie do hotelu. Ja... ach, nie znoszę tych cholernych maszynek. Nie wściekaj się, ale naprawdę za tobą tęskniłem. I to bardzo. Wracaj szybko do domu, dobrze?

Rozłączył się, niezadowolony, po czym wykręcił kolejny numer. Damski głos, który się tym razem odezwał, należał do żywej osoby.

- Cody! Masz dla mnie te materiały na temat Monument Valley?

- Ja też się cieszę, że cię słyszę, Jackie.

- Przepraszam. - Jackie roześmiała się i zaczęła z innej beczki. - Jak się masz, Cody? Cieszę się, że cię słyszę.

- Dzięki. A tak przy okazji, wysłałem ci całe pudło ulotek, broszur, zdjęć, albumów i materiałów historycznych o Arizonie.

- Masz moją dozgonną wdzięczność. Jestem w połowie korekty i potrzebne mi dodatkowe informacje.

- Zawsze możesz na mnie liczyć. Lubię obcować ze sławnymi pisarkami.

- Nie jestem jeszcze sławna. Musisz poczekać kilka miesięcy. Powieść ukaże się dopiero w maju. A co słychać w Arizonie?

- Wszystko w porządku, tyle że dzwonię z San Diego.

- Z San Diego? - Cody usłyszał brzęk naczyń i wyobraził sobie Jackie, szykującą w kuchni jakiś egzotyczny posiłek. - Ach, rzeczywiście, zapomniałam. Cody... czy mógłbyś mi przywieźć trochę...

- Daj mi wytchnąć, Jackie. Jesteś bardzo gruba? Oczyma duszy zobaczył, jak kładzie rękę na brzuchu.

- Chyba już tak. Nathan poszedł ze mną w zeszłym tygodniu na badanie. Lekarz dał mu posłuchać, jak bije serce dziecka. - Cody usłyszał jej ciepły śmiech. - Od tej pory to już nie ten sam człowiek.

- Czy on tam jest?

- Nie, właśnie wyszedł. Potrzebowałam świeżego koperku do kolacji, a on stwierdził, że gdybym poszła do sklepu, dziecko mogłoby się zmęczyć, więc poszedł sam.

- Przecież Nathan nie potrafi odróżnić koperku od zwykłego chwastu.

- Wiem. - W tym słowie kryły się całe pokłady miłości. - Czy to nie cudowne? Kiedy wracasz?

- Nie wiem. Zastanawiam się, czy... czy nie zostać tutaj do końca budowy.

- Naprawdę? - Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. - Cody, przecucie mówi mi, że w grę wchodzi coś innego, a nie tylko nadzór autorski.

Cody zawahał się przez moment. Miała rację. Tak naprawdę nie dzwonił wcale po to, żeby porozmawiać o centrum medycznym, o ośrodku wypoczynkowym czy jakimś innym swoim projekcie. Zatelefonował, bo potrzebna mu była rozmowa z kimś życzliwym.

- Chodzi o kobietę.

- No nie! Tylko o jedną?! Uśmiechnął się mimo woli.

- Tylko o jedną.

- To poważna sprawa?

- Chyba tak.

Jackie znała go na tyle dobrze, że z miejsca go przejrzała.

- Kiedy mijasz przedstawisz? Chciałabym się jej przyjrzeć i rozłożyć ją na czynniki pierwsze. Kim ona jest? Architektem? Poczekaj, już wiem. To z pewnością jakaś studentka, która sobie dorabia na przyjęciach jako kelnerka.

- Nie, ona jest inżynierem.

Jackie zaniemówiła na dłuższą chwilę.

- Żartujesz?! Przecież ty nienawidzisz inżynierów. Nawet bardziej niż Nathan. Mój Boże, to chyba rzeczywiście miłość.

- Albo miłość, albo udar słoneczny. Posłuchaj, Jackie, chciałem zawiadomić Nathana, że zrobiłem tu porządek i wracam do Phoenix.

- Powtórzę mu. Cody, powiedz mi, jesteś szczęśliwy?

Po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie potrafi udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

- To będzie zależało od mojej pani inżynier. Powiem wprost: szaleję za nią, ale ona daje mi nieźle do wiwatu.

- Jeżeli ona prowadzi jakąś nieczystą grę, przyjadę do Arizony i osobiście połamię jej na głowie przykładnicę.

- Dzięki. To ją powinno nauczyć moresu. Będę pamiętał o twojej propozycji.

- Koniecznie. Powodzenia, Cody.

Abra wróciła do domu przed dziewiątą po miłej, plotkarskiej kolacji z matką. Po takich spotkaniach zawsze targały nią sprzeczne uczucia. Jessie była uroczym kompanem, osobą dowcipną i towarzyską. Nie można było sobie wymarzyć lepszej przyjaciółki.

Jednak te same cechy sprawiały, że Jessie dość lekko podchodziła do życia i skakała z kwiatka na kwiatek, nie doznając przy tym najmniejszego uszczerbku zarówno na ciele, jak i na duszy. Jej obecnym partnerem był W.W. Barlow - albo, jak go nazywała, Willie.

Podczas kolacji Jessie mówiła wyłącznie o nim: jaki jest miły, inteligentny, jaki troskliwy. Abra doskonale знаła te symptomy. Jessie Wilson Milton Peters szykowała się do nowego podboju.

Po wejściu do mieszkania Abra rzuciła torebkę na fotel i zdjęła buty. Jak może zachować profesjonalny dystans do tego, co robi, skoro jej matka wdała się w romans z głównym inwestorem? Przejrzała przyniesione listy, a potem także je odrzuciła. Jak może zachować profesjonalny dystans, skoro sama wdała się w romans z architektem?

W tak krótkim czasie jej życie bardzo się skomplikowało.

Gdyby mogła, chętnie by się wycofała. Do tej pory zawsze potrafiła wykaraskać się z niewygodnych sytuacji. Kłopot jednak polegał na tym, że była już prawie pewna, że jest zakochana w Codym. A to już coś więcej niż niewygodna sytuacja. To sytuacja kryzysowa! Raz w życiu już wydawało jej się, że jest zakochana, ale...

Nie ma żadnych ale, powiedziała sobie. Wprawdzie jej uczucie jest bardziej intensywne, nie może wytrzymać dłużej niż pięć minut, by nie myśleć o Codym, ale to jeszcze nie znaczy, że jest to coś innego niż tamto uczucie sprzed lat.

Tyle że tym razem jest starsza, mądrzejsza i lepiej przygotowana.

Nikt już nie skrzywdzi jej tak jak Jamie Frye. Nigdy więcej nie będzie się czuła taka niedojrzała i bezradna. Jeżeli miłość sprowadza kryzys, poradzi sobie z tym w taki sam sposób, w jaki radziła sobie z kryzysami w pracy. Spokojnie, dogłębnie i skutecznie. Z Codym to inna sprawa, bo poznali się jako równorzędni partnerzy, na jasno określonych zasadach. Najważniejsze, że nie jest taki płytki i gruboskórny jak Jamie Frye. Jest wprawdzie uparty i irytujący, ale nie okrutny. A poza wszystkim to uczciwy człowiek.

Kiedy ją zrani - założyła już, że tak musi się stać - będzie to nagle i nieświadomie. Rany się goją, dobrze o tym wiedziała. Wiedziała też, że będzie wspominała wspólnie spędzone chwile bez żalu i żadnych pretensji.

Weź się w garść, Abra, pomyślała. Przestań o nim myśleć, przestań tęsknić. Napij się kawy i bierz się do roboty.

Przebrała się w rozciągniętą sportową koszulkę, nastawiła ekspres i usiadła przy desce kreślarskiej. Dopiero wtedy zauważyła migające światelko automatycznej sekretarki.

Sięgnęła po biszkopta, którego znalazła w szafce, po czym wcisnęła guzik. Pierwsza wiadomość była od koleżanki z college'u, której nie widziała od tygodni. Postanowiła

zadzwoić do niej nazajutrz. Potem sekretarka Tima zostawiła informację o zebraniu w poniedziałek rano. Marszcząc brwi, zapisała to w kalendarzu. A potem usłyszała głos Cody'ego i zapomniała o bożym świecie.

- ... jeżeli wrócisz przed siódmą...

Spojrzała na zegarek i westchnęła. Było już grubo po siódmej. Cody jest pewnie na jakimś wieczornym spotkaniu. Nawet gdyby spróbowała zatelefonować do hotelu, i tak go pewnie nie zastanie. Z głową podpartą na łokciach słuchała jego głosu:

- Naprawdę się za tobą stęskniłem. I to bardzo. Zadowolona, cofnęła taśmę i raz jeszcze odsłuchiwała całą wiadomość. A potem jeszcze raz, chociaż to może śmieszne.

Przez następną godzinę trochę pracowała i dużo marzyła. Kawa wystygła, a ona na przemian to stukała w kalkulator, to zastanawiała się, jak przywita Cody'ego po powrocie. Będzie musiała pojechać do sklepu i kupić coś szczególnego. Jutro sobota. Cody powinien wrócić do wieczora, a najpóźniej w niedzielę rano. Co znaczy, że będą mieli wiele godzin, a może nawet cały dzień, podczas którego nie będą myśleć o pracy.

Postanowiła zajrzeć rano do jednego z tych małych sklepików i kupić caczuszko z jedwabiu i koronki. Coś, w czym będzie wyglądała seksownie, a zarazem delikatnie i uroczo. Zrobi też sobie maseczkę. Jessie zawsze namawiała ją na wizytę u kosmetyczki. Nie, maseczka to za mało. Pójdzie na całego. Zrobi sobie włosy, paznokcie, czyszczenie skóry, i tak dalej. A kiedy Cody wróci, będzie wyglądała fantastycznie. Jedwab musi być czarny. Albo frywolny dwuczęściowy komplecik, albo elegancka halka.

Trzeba też będzie kupić wino. Co to za gatunek, który tak jej polecał? Chyba będzie się musiała zdać na gust sprzedawcy w sklepie z alkoholami za rogiem. I kwiaty! Wstała i po raz pierwszy od tygodni krytycznym wzrokiem zlustrowała pokój. Boże, ale bałagan! Świece. Chyba ma gdzieś schowane świece. Pograżona w marzeniach zaczęła zbierać porozrzucane buty i ubrania. Kiedy usłyszała pukanie, wrzuciła wszystko do szafy i drzwi dopchnęła kolanem.

- Chwileczkę - zawołała. - Już idę. - Gdzie, u licha, podział się szlafrok? Jest! Leżał straszliwie pomięty pod łóżkiem. Wsunęła jeden rękaw i pobiegła otworzyć.

- Kto tam?

- Zgadnij.

- Cody?!

- Zgadłaś za pierwszym razem - powiedział, gdy otworzyła łańcuch i uchyliła drzwi. Na widok jej spłoszonej miny uśmiechnął się przeciągle i obrzucił ją wymownym spojrzeniem.

Włosy miała związane postrzępioną sznurówką. Resztki makijażu, który sobie zaaplikowała przed spotkaniem z matką, prezentowały się dość żałośnie. Spod rozchyłonego, niemiłosiernie wygniecionego szlafroka, wyzierał koszykarski podkoszulek, oblepiający jej biodra.

- Hej, Ruda! Co to ma być? Idziesz grać w kosza?



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Abra zamrugała ze zdumienia, przekonana, że coś jej się przywidziało.

- Co ty tu robisz?

- Stoję w korytarzu. Wpuścisz mnie?

- Tak, ale... - Cofnęła się. Cody wszedł do pokoju i rzucił torbę na podłogę. Zjawy nie wyglądają tak dobrze. I nie pachną tak ładnie. Abra, zdezorientowana, zerknęła w głąb pokoju na automatyczną sekretarkę.

- Właśnie odsłuchałam twoją wiadomość. Nie mówileś, że już wracasz.

- Bo wtedy nie wracałem. - Zamknął za sobą drzwi. - Ale teraz wróciłem.

Przypomniała sobie o planach, które snuła jeszcze przed chwilą. Ogarnęła wzrokiem panujący w pokoju bałagan i bezradnym gestem przyglądała włosy.

- Trzeba mi było powiedzieć, że wracasz dziś wieczorem. Nie zdążyłam się przygotować.

- O co ci chodzi, Wilson? - Cody wsunął jej ręce pod szlafrok i rozsunął poły. Oczom jego ukazał się koszykarski podkoszulek w zupełnie nowej roli.

- Jest u ciebie jakiś mężczyzna? Gdzie go ukryłaś? W szafie?

- Nie bądź głupi. - Cofnęła się, zgnębiona. Przypomniała sobie, że twarz ma bez cienia makijażu, a włosy... wołała nawet nie myśleć o włosach. Czowała, że wygląda beznadziejnie. No i ten białe - zielony podkoszulek. Tak różny od seksownej bielizny, którą planowała kupić na powrót Cody'ego.

- Niech cię diabli! Trzeba mnie było zawiadomić. Miał ochotę porwać ją w objęcia i zamknąć jej usta pocałunkiem, ale coś w wyrazie jej twarzy go powstrzymało. Może się za bardzo zagalopował, kiedy sobie wyobraził, że będzie równie uradowana, jak on? Może nie powinien zakładać, że będzie czekała cierpliwie na jego powrót?

- Zrobiłbym to, gdybym miał szansę porozmawiać z tobą, a nie z automatyczną sekretarką. A gdzie ty właściwie byłaś?

- Kiedy? Ach! - Potrząsnęła z roztargnieniem głową. - Byłam na kolacji.

- Rozumiem. - Cody wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na pudełeczku z naszyjnikami. Czy mógł sobie rościć jakiegokolwiek prawa do Abry? Na pewno nie!

- Kto to był? Ktoś, kogo znam?

- Moja mama. Z czego się śmiejesz?

- Z niczego.

Zasunęła poły szlafroka i wyzywająco uniosła podbródek.

- Wiem jak wyglądam, Johnson. Gdybyś mnie uprzedził, przygotowałabym się na twój przyjazd. Przepraszam za ten straszliwy bałagan.

- Zawsze masz bałagan - wytknął jej Cody, który już zaczynał wszystko rozumieć. Abra chciała przygotować odpowiednią scenerię na jego powrót, a on wszystko popsuł, bo zjawił się przed czasem.

- Zamierzałam trochę posprzątać. - Kopnęła ze złością but leżący na środku pokoju. - Poza tym mam tylko to ohydne wino.

- Skoro tak, to lepiej sobie pójdę. - Cody zrobił w tył zwrot, a potem nagle się odwrócił, jakby naszła go jakaś myśl. - Zanim wyjdę, powiem ci, jak wyglądasz.

Skrzyżowała ręce na piersiach i zmierzyła go wyzywającym wzrokiem.

- Słucham, ale Ucz się ze słowami.

- Jest tylko jeden sposób, żeby wyrazić to szczerze. - Podeszedł i położył jej dłoń na ramieniu. - Chyba chcesz, żebyśmy byli w stosunku do siebie szczerzy, prawda, Abra?

- Może i tak - mruknęła - ale tylko do pewnego stopnia.

- Muszę ci wobec tego coś powiedzieć, a ty musisz okazać charakter i przyjąć to do wiadomości.

- Dobrze, jestem gotowa. - Wzruszyła niechętnie ramionami. - Wolałabym, żebyś...

Nie udało jej się dokończyć, bo Cody chwycił ją w ramiona i zaczął miażdżyć ustami jej wargi. Rozchyliły się pod naporem jego ust. Jednym ruchem zdarł z niej szlafrok, a potem wsunął jej ręce pod koszulkę i zaczął badać miękkie wypukłości ciała, które przeżyło się pod dotykiem męskich dłoni.

- Cody...

- Cicho! - mruknął, z ustami przy jej szyi. Jęknęła, kiedy chwycił ją za biodra. Zakręciło jej się w głowie i zalała ją fala gorąca. Drżącymi rękami usiłowała ściągnąć z niego marynarkę.

- Pragnę cię - szepnęła, gdy odsłoniła jego tors, zdejmując mu przez głowę koszulkę. Zaborczymi dłońmi powiodła po jego nagim ciele. - Teraz!

Cody nieraz wyobrażał sobie taką sytuację, ale okazało się, że wyobraźnia a rzeczywistość to dwa różne światy. Pożądanie, jakie do siebie czuli, stało się prymitywne, niemal zwierzęce. Do sypialni było tak daleko... Kiedy padli na sofę, Cody był dopiero na wpół rozebrany, ale przy pomocy Abry szybko zrzucił z siebie resztę rzeczy. Dłonie Abry jak szalone błądziły po jego ciele, usta szukały ust, a bijący od niej żar zdawał się trawić ich oboje.

Ze stłumionym jękiem zsunął jej podkoszulek do pasa i wtulił twarz w nagie ciało. Wygięła się w łuk i przywarła do Cody'ego, a on ustami i językiem pieścił jej gładką skórę.

Wokół paliły się wszystkie lampy. W apartamencie piętro wyżej ktoś włączył stereo na cały regulator. Basy wibrowały niskim, namiętym rytmem. Delikatny zapach perfum, którymi Abra spryskała się przed godziną, zmieszał się teraz z zapachem piżma.

Doprowadzała go do szaleństwa. Tylko o tym był w stanie myśleć, gdy ustami wędrował w dół po jej gładkim ciele. Abra z bezwstydną radością witała każde muśnięcie, każdą pieszczotę, a jej urywany oddech brzmiał niemal jak szloch.

Zbyt długo na to czekali - chyba całe życie. A teraz wreszcie byli razem - skończyły się wykręty i usprawiedliwienia. Została tylko gorączkowa niecierpliwość.

Kiedy ostatnie części garderoby znalazły się na podłodze, Abra objęła Cody'ego smukłymi udami. Nie była już w stanie myśleć i nie miała nawet takiej potrzeby. Chciała tylko czuć, chciała też szeptem wyrazić to, co działo się w jej duszy, ale nie potrafiła nawet sformułować słów. Nigdy dotąd nie pałała taką namiętnością.

Płonęła, trawiona pożądaniem i pragnieniem zespolenia. Kiedy instynktownie wyszła im naprzeciw, Cody, jakby czytając w jej myślach, w kilka sekund doprowadził ją na szczyt.

Wykrzyknęła jego imię i osunęła się w otchłań bez dna, a wtedy on pochwycił ją i raz jeszcze wywindował w górę.

W świetle lampy widział kropelki potu połyskujące na jej skórze, szeroko otwarte, nieprzytomne oczy, miedziane włosy, rozrzucone wokół głowy. Spróbował wmówić jej imię, ale nie był w stanie.

Widział, jak Abra szczytuje, czuł jej palce wbijające mu się boleśnie w plecy. A kiedy nie był już w stanie dłużej czekać, wszedł w nią jednym, silnym pchnięciem. Uniosła biodra, żeby go przyjąć, i popędzili oboje ku nieznanym krainom.

Kiedy po chwili osunął się na nią, oszołomiony i na wpół omdlały, nie miał ani energii, ani chęci analizowania tego, co im się przydarzyło.

Abra leżała pod nim ciepła i miękka. Oddech miała powolny i płytki. Poczul, jak jej bezwładna ręka zsuwa się z jego pleców. Słyszał przyspieszone bicie jej serca. Zamknął oczy i nagle odpłynął, ukołyszany jednostajnym rytmem.

Nie padły żadne słowa. Nawet gdyby zechciał jej coś powiedzieć, nie potrafiłby słowami wyrazić tego, co mu zrobiła. Co dla niego zrobiła. Wiedział tylko jedno - że Abra należy teraz do niego, a on zrobi wszystko, by ją przy sobie utrzymać.

Czy to miłość sprawia, że z człowiekiem dzieją się takie rzeczy? Abra na wpół przytomnie zadała sobie to pytanie. Czy to ona daje energię, a potem pozbawia sił tak, że

człowiek staje się bezbronny i kruchy? Wszystkie dotychczasowe doświadczenia bladły w porównaniu z uniesieniami, jakie przeżyła z Codym.

Czy to miłość? - pytała siebie raz po raz. A może to tylko namiętność? Czy w ogóle ma to jakieś znaczenie? Poczwała, jak palce Cody'ego wplątują się w jej włosy i zamknęła oczy. Ma znaczenie, pomyślała, i to kolosalne. Jedno muśnięcie jego dłoni, a ona już miała ochotę odrzucić wszystko, w co dotąd wierzyła, wszystko, co sobie zaplanowała - byle znowu poczuć jego pieczyotę.

Nie zamierzała wypierać się swoich uczuć, a zarazem nie śmiała nawet pomyśleć, co mógł do niej czuć Cody.

- Dobrze się czujesz? - odezwał się, z ustami wtulonymi w jej szyję.

- Nie wiem. - Była to szczerza odpowiedź. Abra zaczerpnęła powietrza i otworzyła oczy. - Chyba tak. - Zobaczyła, że leżą na podłodze. Jak to się stało? - A ty?

- zapytała.

- Dobrze. Pod warunkiem, że nie będę musiał się stąd ruszać przez dwa tygodnie. Ciągłe jesteś wściekła?

- Wcale nie byłam wściekła. - Zadrzała, bo język Cody'ego zaczął kreślić delikatne wzory na jej szyi.

- Chciałam tylko, żeby wszystko było jak należy.

- Jak mam to rozumieć? - Cody dotknął wargami jej ucha.

- Zaplanowałam sobie... - Urwała, bo palce Cody'ego zaczęły pieścić jej sutki. Chciała wyszeptać jego imię, ale szepet zamarł jej na ustach, kiedy ich wargi się spotkały.

- To niesamowite - wymruczał, czując, że jeszcze z niej nie wyszedł, a znowu jest gotowy do miłości. - Naprawdę niesamowite.

Abra była równie zaskoczona, kiedy zagarnęła ich kolejna fala pożądania.

Gdzieś tak pośrodku nocy wylądowali wreszcie w łóżku, ale nie po to, żeby spać. Narastające między nimi od tygodni napięcie osiągnęło tej nocy kulminację. Nie było muzyki, świec, koronek i jedwabiu. Sztuczne podniety nie były im potrzebne.

Energia żywiła się energią, pragnienie pragnieniem, aż w końcu, o najczarniejszej nocnej godzinie, zasnęli strudzonym snem. O świcie znowu zbudził ich głód i wciąż nienasycone pragnienie. Kiedy nasycili się po raz kolejny, zasnęli splecieni w ciasnym uścisku.

Abra obudziła się, kiedy promienie słońca padły na jej twarz. Łóżko obok niej było puste. Nieprzytomna, sięgnęła ręką i mruknęła:

- Cody! - Kiedy z westchnieniem otworzyła oczy, zobaczyła, że jest sama.

Usiadła i rozejrzała się wokoło. Czy to możliwe, żeby jej się to wszystko przyśniło? Nie, to wykluczone. Ukryła twarz w dłoniach i spróbowała się skupić.

Czy Cody ją zostawił? Mógł przecież bez przeszkód wymknąć się nad ranem. A jeśli tak, to co? - pomyślała, opierając się o poduszki. W końcu sami umówili się, że nie będzie żadnych pretensji i zobowiązań. Dlatego też Cody mógł sobie przyjść i odejść, kiedy miał na to ochotę. Podobnie jak ona.

Jeżeli ją to zabolalo, jeżeli pozostało uczucie pustki, to wyłącznie jej wina. Kłopot polegał na tym, że chciała dostać jeszcze więcej. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, że przeżyła taką noc, jakiej mogłaby jej pozazdrościć każda kobieta. Niezapomnianą noc. Jeżeli jej to nie wystarcza - to już jej problem.

- Myślałem, że się obudzisz z uśmiechem - odezwał się Cody od drzwi.

Otworzyła szeroko oczy i nerwowo podciągnęła prześcieradło, żeby zasłonić nagie piersi.

- Byłam pewna, że sobie poszedłeś.

Cody przeszedł przez pokój i przysiadł na brzegu łóżka.

- Dokąd niby miałem pójść? - zapytał, podając Abrze filiżankę kawy.

- Ja... - Nagle zrobiło jej się głupio. Upiła łyk i westchnęła - No, do domu.

Oczy na moment mu pociemniały, a potem wzruszył ramionami.

- Nadal niepochlebnie o mnie myślisz?

- Nie o to chodzi. Sądziłam, że masz coś do roboty.

- Tak. - Cody rozsiadł się na łóżku. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby po nocy z kobietą było mu kiedykolwiek tak lekko na duszy. Podniósł filiżankę do ust. - Wiesz o tym, że kawa zdążyła zwietrzeć?

- Kupiłam za dużą paczkę, a rano nigdy nie mam czasu na kawę. - Pociągnęła kolejny łyk. Tak, najbezpieczniej będzie prowadzić nieobowiązującą pogawędkę. - Chętnie zaprosiłabym cię na śniadanie, ale...

- Wiem. W kuchni nie ma nic oprócz banana i paczki chipsów.

- Są jeszcze herbatniki.

- Owszem, twarde jak kamień. - Cody ujął ją za podbródek. - Spójrz na mnie, Abra.

Podniosła oczy, wyraźnie spłoszona.

- Gdybym wiedziała, że wrócisz, przygotowałabym coś.

- Nie chodzi ci chyba o jajka na bekonie? W czym problem, Ruda?

- Nie ma problemu - odparła z udaną obojętnością. W końcu, czyż nie jest dorosła? Dorosłe kobiety powinny wiedzieć, jak należy się zachować na drugi dzień rano. Co powinna

powiedzieć w biały dzień mężczyźnie, przed którym nocą odsłoniła najmroczniejsze oblicze swych żądz? Mimo wszystko nie potrafiła mu wyznać, że jak dotąd nikt nie dał jej tak wiele i... nie wziął tak wiele.

- Wolałabyś, żebym sobie poszedł?

- Nie - wyrwało jej się nazbyt pospiesznie. - Posłuchaj, nie wiem, co powinnam teraz zrobić, jak się zachować i co powiedzieć. Nie mam zbyt dużego doświadczenia w tym względzie.

- Naprawdę? - Wziął z jej rąk filiżankę i odstawił na stolik. - A jakie masz doświadczenie? - Prawdę mówiąc, nie zamierzał wcale zadać tego pytania. W końcu jej przeszłość nie powinna go obchodzić. Teraz zrozumiał, że musi się dowiedzieć, czy był w jej życiu ktoś, kto przeżył z nią podobną noc.

- To chyba nie miał być żart?

Chwycił ją za ramiona, zanim zdążyła wstać z łóżka.

- Czy ja się śmieję? Odniosłem wrażenie, że oceniasz to, co zaszło między nami, przez pryzmat czegoś, co było wcześniej. To mi się wcale nie podoba.

- Przepraszam - powiedziała sucho.

- To mi nie wystarcza. - Trzymał ją nadal tak mocno, że nie mogła się wyrwać. - Ten facet, ten, który złamał ci serce... opowiedz mi o nim.

Rumieniec gniewu wystąpił jej na policzki. Spróbowała się oswobodzić.

- To nie twoja sprawa.

- Mylisz się, jak zwykle. Ogarnęła ją wściekłość.

- Ja nie pytam cię o kobiety, z którymi miałeś wcześniej do czynienia.

- To prawda, ale możesz zapytać, jeżeli to dla ciebie ważne. A moim zdaniem tak.

- No to się mylisz, bo to nie ma znaczenia. Kłamała. Poznał to po jej oczach i głosie.

- Skoro tak twierdzisz, to czemu jesteś przygnębiona?

- Nie jestem wcale przygnębiona.

- O ile pamiętam, mieliśmy być wobec siebie szczerzy.

- Może i tak. Zapomnieliśmy za to obiecać sobie jedno, że nie będziemy grzebać w swojej przeszłości.

- Tak, to absolutnie fair. - Cody spojrział na nią przeciągle. - Pod warunkiem, że przeszłość nie przeszkadza nam w teraźniejszości. Jeżeli mam być ciągle do kogoś porównywany, chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Chcesz o nim posłuchać? W porządku. - Odsunęła się, owijając prześcieradłem. - Był architektem. - Uśmiechnęła się ponuro.

- Czy to daje ci jakąś podstawę do porównań?

- To ty twierdzisz, że was porównuję - prychnęła. - Możesz oczywiście wyciągnąć z tego wniosek; że mam zwyczaj sypiać z architektami. Kiedy to się zdarzyło, byłam świeżo po studiach i właśnie zaczęłam pracować u Thornwaya. Zostałam asystentką inżyniera przy pewnym drobnym projekcie. James był jego autorem. Przystojny i inteligentny, pochodził z Filadelfii. - Wzruszyła ramionami. - Ja nie byłam tak atrakcyjna jak on.

W jej głosie zabrzmiał tłumiony ból, który ugodził również w Cody'ego. Wstał i wsunął rękę do kieszeni.

- W porządku. Już wszystko rozumiem.

- Nie. - Owinęła się ciasniej prześcieradłem. - Chciałeś wiedzieć, to teraz wysłuchasz mnie do końca. Zaczęliśmy się spotykać i świat nagle wydał mi się piękny. Nie przypominam sobie, żeby mi cokolwiek obiecywał; pozwolił za to wierzyć we wszystko, co chciałam. A ja zawsze chciałam być dla kogoś najważniejsza. Rozumiesz? Chciałam być na pierwszym miejscu.

- Rozumiem - powiedział z przekonaniem. Miał ochotę ją objąć, ale bał się, że go odtrąci.

- Byłam bardzo młoda - ciągnęła Abra - i wierzyłam, że takie rzeczy się zdarzają, więc kiedy mi powiedział, że mnie pragnie, gotowa byłam przyjąć go na każdych warunkach. A gdy poszłam z nim do łóżka, oczyma duszy widziałam już ślubny welon.

- Ale on nie.

- Och, nie tylko to. - Roześmiała się, odrzucając włosy. - Gdyby rzecz polegała tylko na tym, że miałam za duże oczekiwania, mogłabym to jeszcze jakoś przełknąć. Przecież wiesz, że nie lubię się nad sobą roztkliwiać.

- Wiem - odparł, zgodnie z prawdą. - Więc co się stało?

- Któregoś dnia pakowałam walizki na romantyczny weekend we dwoje. Mieliśmy jechać w góry, na narty. Rozumiesz? Miał być śnieg, ogień na kominku, długie noce. Byłam absolutnie pewna, że mi się oświadczy.

Wtedy ktoś do mnie przyszedł. - Niewidzącym wzrokiem spojrzała gdzieś ponad jego głowę. - Byłam już jedną nogą za drzwiami. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybym się trochę bardziej pospieszyła. Tym kimś była jego żona, o której istnieniu zapomniał mi powiedzieć. - Wzięła głęboki oddech i oparła się o wezłowie łóżka. - Najgorsze w tym wszystkim było to, że ona kochała tego drania i przyszła mnie błagać, żebym z niego zrezygnowała. Gotowa była mu wybaczyć. - Ukryła twarz w dłoniach. Przed oczyma znów stanęła jej ta chwila, a wraz z nią powróciło uczucie wstydu i upokorzenia. - Ja nigdy nie potrafiłabym być

tą drugą, Cody. Przez moment myślałam, że ona kłamie. Byłam nawet tego pewna. Ale nie kłamała. Szybko to zrozumiałam. - Bezradnym gestem opuściła ręce. - Stałam i słuchałam, a ona opowiadała mi o sobie i o ich trzyletnim synku. Mówiła, że chce za wszelką cenę uratować swoje małżeństwo. Że przeprowadzili się na zachód, by zacząć wszystko od nowa, bo były już wcześniej takie przypadki. Były inne kobiety. Nie masz pojęcia, jak okropnie się czułam, słuchając tego wszystkiego. Zostałam zdradzona, oszukana, wykorzystana, z olbrzymim poczuciem winy. Ta kobieta płakała i błagała, a ja nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Bo co jej mogłam powiedzieć? Że sypiam z jej mężem? Cody przysiadł na krześle obok łóżka.

- Czy... gdybyś o tym wcześniej wiedziała... związałaś się z nim? - zapytał, uważnie dobierając słowa.

- Nie. Sama zadałam sobie takie pytanie grubo później. Nie. Nie mogłabym... nigdy w życiu.

- Dlaczego więc obwiniasz siebie o coś, na co nie miałaś najmniejszego wpływu? Przecież on was obie oszukał - swoją żonę i ciebie.

- Nie chodzi tu tylko o winę. Z czasem jakoś to wszystko przebolełam. Natomiast nigdy nie potrafiłam sobie wybaczyć mojej naiwności. Jakkolwiek było, sama mu się podłożyłam. Nigdy go o nic nie pytałam. A kto raz się sparzy, na zimne dmucha. Dlatego postanowiłam skoncentrować się na pracy, a romanse zostawiłam Jessie.

W tym momencie do Cody'ego dotarło, że od tamtej pory Abra była sama. Nie było nikogo w jej życiu, póki on nie wtargnął w nie jak czołg. Pomyślał o ich pierwszej nocy. To było takie cudowne, podniecające, wszechogarniające przeżycie - a on nie był ani łagodny, ani czuły. Nie stworzył jej tej aury romantyzmu, której pewnie bardzo pragnęła, choć się jej dobrowolnie wyrzekła.

- Boisz się, że ze mną popełniasz ten sam błąd? - zapytał.

- Ty nie jesteś żonaty.

- Nie i ma innej kobiety w moim życiu. Zapewniam cię, że nie zacząłem tego wszystkiego ani dla rozrywki, ani dla wygody.

Wątku iskierka nadziei nagle buchnęła jasnym płomieniem.

- Nie porównuję cię do Jamesa, no... może troszkę. Chodzi o mnie samą. Czuję się okropnie, bo nie wiem, jak mam się zachować w takiej sytuacji. Moja mama...

- Co z twoją mamą?

Abra ukryła twarz w dłoniach.



- Przez całe życie obserwowałam, jak skacze z kwiatka na kwiatek - odezwała się po chwili. - Przychodziło jej to tak łatwo. Dla niej była to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. Ja taka nie jestem.

Podszedł do niej i delikatnie pociągnął ją za rękę, żeby wstała.

- Nie chcę, żebyś robiła coś wbrew sobie. Nie staraj się być kimś, kim nie jesteś. - Musnął ustami jej wargi. Nie pocałował jej, bo czuł, że skończyłoby się to znowu w łóżku. Abra potrzebowała teraz czegoś więcej, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy. - Chodźmy stąd, Ruda. Jak na dziś, wystarczy. Zaopiekuję się tobą. Chyba mi wierzysz?

- Wierzę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zamknął ją w czułym, przyjaznym uścisku.

- Przed nami weekend. Ubieraj się. Zapraszam cię na śniadanie.

Abra nie mogła się wręcz nadziwić, że Cody w tak naturalny sposób potrafił przeistoczyć się z namiętnego kochanka w sympatycznego kumpla. Jej także, dzięki niemu, przyszło to z łatwością. Myślała o tym, kiedy zasiedli w zakurzonej knajpie, którą Cody wytropił przy szosie.

Znała już jego wilczy apetyt - najedzenie oraz inne przyjemności - więc nawet nie drgnęła jej powieka, kiedy zamówił porcję jak dla dwóch drwali. Dopiero wyprawa na targ, na którą bardzo nalegał, wprawiła ją w osłupienie. Do domu wrócili z zapasami, które, jej zdaniem, normalnemu człowiekowi wystarczyłyby co najmniej na pół roku.

- Co my z tym wszystkim zrobimy? - Rzuciła torby na kuchenny blat i cofnęła się, żeby zrobić miejsce Cody'emu.

- Zjemy to. O różnych porach dnia. - Zaczął rozpakowywać zakupy. - To są tylko podstawowe produkty.

- Chyba dla całej kompanii wojska. - Spojrzała z powątpiewaniem na stos na ladzie. - Umiesz gotować?

- Nie. - Rzucił jej torbę jabłek. - Dlatego kupuję produkty, które nie wymagają gotowania. Albo - wyjął puszkę gulaszu i mrożoną pizzę - coś, co wystarczy podgrzać, i człowiek żyje jak król.

Wstawiła karton mleka, jabłka i pozostałe rzeczy do lodówki. Patrząc na nią, Cody pomyślał, że ceni ją za inne, ważniejsze cechy. Kiedy podał jej paczkę kukurydzianych płatków, schowała i ją do lodówki.

- Lepiej kupować gotowe posiłki na wynos - stwierdziła.

- Tak, ale w tym celu musiałabyś wyjść. - Wziął ją w ramiona i obsypał pocałunkami jej twarz. Jak można nie kochać kobiety, która chowa płatki do lodówki? - Nie wypuszczę cię stąd aż do poniedziałku.

Odepchnęła go ze śmiechem i sięgnęła po bochenek chleba.

- Chciałam kupić czarną jedwabną bieliznę.

- Ach tak? - Cody z uśmiechem pociągnął ją za obszerny dres. - Dla mnie?

- Już za późno. - Dała mu klapsa i wrzuciła chleb do szuflady.

- Pogadajmy o tym. - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - Podobałabyś mi się w czarnym jedwabiu. Pewnie dlatego na tym przyjęciu u Thornwaya zachowywałem się jak zazdrosny głupiec.

- Zazdrosny? - Abra Wybuchnęła śmiechem. Była pewna, że Cody żartuje, dopóki się nie obejrzała i nie zobaczyła jego poważnej miny. - Byłeś zazdrosny? - powtórzyła. - O pana Barlowa?

- Nie mówmy o tym.

- Sądziłam, że świetnie się bawisz.

Cody nachylił się i delikatnie ugryzł ją w kark.

- Zapomnij, że to powiedziałem.

- Mówisz dziwne rzeczy. Stamtąd, gdzie stałam, widziałam wyraźnie, że byłeś bardzo zainteresowany Marci Thornway.

- Miej do mnie choć trochę zaufania. - Jego ręce wślizgnęły się pod bluzę Abry. - A poza tym - kolistymi ruchami zaczął pieścić jej piersi - nie interesują mnie słodkie idiotki.

- A kto cię interesuje? - zapytała, opierając się plecami o drzwi lodówki. Nagle poczuła, że uginają się pod nią kolana.

- Ty, Ruda. - Obdarzył ją przeciągłym pocałunkiem.

- Ty i tylko ty. Powiedz mi - zsunął dłonie na jej biodra - czy robiłaś kiedyś coś konstruktywnego na tym blacie? Krajałaś jarzyny, siekałaś mięso, kochałaś się?

- Na kuchennym blacie? - Otworzyła szeroko oczy, ale znów je zamknęła, kiedy język Cody'ego dotknął jej ucha. - Nie, nic z tych rzeczy.

Znowu działał zbyt pośpiesznie. Za chwilę nie będzie w stanie się powstrzymać i nie poświęci jej tyle uwagi, ile by sobie życzył. Cofnął się niechętnie i uniósł do ust dłoń Abry.

- Trzeba będzie to zapamiętać. Ach, jeszcze jedno, kupiłem ci coś.

- Jeszcze coś? - Zdumiona rozejrzała się po kuchni.

- Co takiego? Może dziesięciokilowego indyka?

- Nie. Przywiozłem to z San Diego.

- Przywiozłeś dla mnie jakąś pamiątkę z San Diego?

- Niezupełnie. Skończyliśmy już rozpakowywać zakupy?

- Mam nadzieję.

- Wobec tego chodź, to ci pokażę.

Pociągnął ją do sypialni, gdzie zostawił swoją torbę. Teraz wyjął z niej małe aksamitne pudełeczko i podał Abrze.

- Prezent dla mnie? - Zmieszana, pogładziła wierzch puzderka. - To miło z twojej strony.

- Nawet gdyby to była popielniczka z napisem „Pozdrowienia z San Diego”?

- Prezent to prezent. - Wychyliła się i musnęła ustami jego usta. - Dzięki.

- Po raz pierwszy zrobiłaś coś takiego - mruknął Cody.

- Ale co?

- Pocałowałaś mnie.

Roześmiała się i chciała cofnąć rękę, ale Cody przytulił ją do swojego policzka.

- Masz krótką pamięć.

- Wcale nie. - Pocałował ją we wnętrze dłoni. - Po raz pierwszy pocałowałaś mnie pierwsza, zanim osaczyłem cię w jakimś kącie. Poza tym nawet nie wiesz, co to jest.

- To nie ma znaczenia. Miło mi, że o mnie pomyślałaś.

- Ach, oczywiście, że o tobie myślałem. - Pocałował ją w rozchylone usta. - I to bez przerwy. - Cofnął się, bo znów poczuł wielką ochotę, żeby porwać Abre w objęcia. - Dałbym ci to wczoraj wieczorem - powiedział, przysiadając na brzegu fotela - ale nie chciałaś mnie wypuścić z rąk.

Spojrzała na niego z zalotnym uśmiechem i usiadła obok.

- Lepiej późno niż wcale - orzekła, otwierając wieczko, po czym zamarła z zachwytu.

Spodziewała się jakiegoś drobiazgu, zabawnego bibelotu, jaki przywozi się przyjaciółce z krótkiej podróży. Tymczasem z pudełka zalśniły ku niej szmaragdowe klejnoty.

- Jakie piękne! - Popatrzyła na niego zachwycona. - Naprawdę prześliczne. Kupiłeś to dla mnie?

- Nie, dla naszego asystenta Charliego. - Wyjął naszyjnik z pudełka i zapiął jej na szyi.

- Myślisz, że będzie mu w nim do twarzy?

- Nie wiem, co powiedzieć. - Powiodła dłonią po kamieniach. - Nikt mi nigdy nie dał czegoś równie pięknego.

- No cóż, chyba będę musiał kupić Charliemu coś innego.

Poderwała się ze śmiechem i pobiegła do lustra.

- Coś cudownego! I lśnią tak pięknie! - Rzuciła mu się w ramiona. - Dziękuję! - Pocałowała go. - Dziękuję. - I jeszcze raz. - Dziękuję.

- Gdybym wiedział, że wystarczy garść błyskotek, zrobiłbym to kilka tygodni wcześniej.

- Możesz się ze mnie śmiać, ile chcesz, ale ja je uwielbiam.

A ja uwielbiam ciebie, pomyślał Cody. Dowiesz się o tym już wkrótce.

- Chcę zobaczyć, jak wyglądają na tobie - powiedział. Patrząc jej w oczy, zaczął ją rozbierać. Z jej twarzy wyczytał zaproszenie. Skorzysta z niego, ale tym razem będzie delikatny i czuły.

- Jesteś taka piękna, Abra.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Co z niego za głupiec, żeby jej tego wcześniej nie powiedzieć. Jakoś nie przyszło mu to do głowy.

- Uwielbiam patrzeć na ciebie w blasku słońca. Gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem, stałaś w pełnym słońcu.

Jednym pociągnięciem rozwiązał tasiemki w pasie. Spodnie zsunęły jej się z bioder. Teraz miała na sobie tylko naszyjnik, połyskujący wokół szyi. Nie rzucił się jednak na nią z pospieszną namiętnością, jakiej się po nim spodziewała. Zamiast tego otoczył dłońmi jej twarz i delikatnie ją pocałował.

Zaskoczona, wyciągnęła rękę.

- Chodźmy do łóżka.

- Mamy czas. - Znowu ją pocałował i znowu, póki nie zabrakło mu tchu. - Bardzo dużo czasu. - Zdjął koszulę i przytulił Abre do nagiego torsu. Drżała, czując, że w jego objęciach mięknie jak wosk i mącą jej się myśli.

Cody nie przestawał jej całować.

- Ja nie... - Odchyliła głowę, kiedy jego pocałunek stał się bardziej namiętny. - Ja nie umiem...

- Nie musisz nic robić. Ja ci pokażę. - Chwycił ją na rękę i tłumiąc pocałunkiem nieśmiałe protesty, zaniósł do łóżka.

Nasycił ją taką czułością, że stała się ciężka jak ołów. Chciała przyciągnąć go i dać mu wszystko, ale on unieruchomił jej rękę i pieścił samymi tylko ustami. Delikatnie, cierpliwie i czule, aż mgła przesłoniła jej oczy, a w ciało wstąpiła rozkoszna błogość.

Nikt nigdy nie traktował jej jak istoty kruchej, pięknej i delikatnej. Dopiero Cody odsłonił przed nią rejony, o których istnieniu nie miała pojęcia. Ich ostatnia noc to były błyskawice i najmroczniejsze pasje. Teraz odczuwała spokój i jakieś niezziemskie światło.

Była taka cudowna. Widział w jej oczach pasję i namiętne pragnienie miłości, nie chciał jednak wykorzystywać jej oddania. Żadne wcześniejsze uczucia nie dały się porównać

do tego, co w tej chwili przeżywał. Ciało Abry rozkwitało jak róża pod jego wargami. Kiedy szeptała jego imię, dźwięk jej głosu poruszał w nim najgłębsze struny. Tylko jej chciał słuchać, i to do końca życia.

Mruknął coś cicho. Usłyszała go i odpowiedziała, ale nie zrozumiała słów. Ręce Cody'ego błędziły po jej ciele, spowijając ją w kokon rozkoszy, jego usta szukały jej warg. Słońce padało na jej omdlałe powieki, zbyt ciężkie, żeby chciały się podnieść, wypełniając oczy czerwoną mgłą. Czas przestał istnieć. Gdyby minęły całe wieki, nawet by tego nie zauważyła.

Czuła szorstki dotyk jego włosów, zapach jego skóry. Wszystko inne przestało się nagle liczyć. Nic nie miało znaczenia, póki Cody z nią był i uczył ją miłości.

Kiedy ostrożnie w nią wszedł, westchnęła błogo. Cody poruszał się niespiesznie, unosząc ją powoli na szczyt rozkoszy. Abra wyszła mu naprzeciw, łącząc się z nim w zgodnym rytmie.

Nie wiedziała nawet, że padły między nimi niezłomne obietnice. Że w tym momencie narodził się trwały, nierozzerwalny związek.

Cody oddychał głęboko, próbując odzyskać równowagę. Ubiegłej nocy wydawało mu się, że Abra doprowadziła go do szaleństwa - i tak zresztą było. Teraz dotarli jeszcze dalej. Wciąż miał w uszach jej szept, a kiedy ich usta się spotkały, stopili się w jedno.

Abra otworzyła na moment oczy. I choć tego nie wiedziała, nigdy w życiu nie była równie piękna. Nie wiedziała także, że odtąd na zawsze zawładnęła ciałem i duszą Cody'ego.

Raz jeszcze wyszeptała jego imię i złączeni w uścisku poszybowali w przestworza.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Abra doszła do wniosku, że bycie zakochaną wcale nie jest takie trudne. Jak się okazało, nie musiała zachowywać się inaczej ani być kimś innym. Nikt nie żądał od niej, by cokolwiek zmieniła - chodziło raczej o to, żeby stała się bardziej otwarta. Jeżeli nawet wydawało jej się przez chwilę, że tego nie potrafi, Cody udowodnił jej, iż nie ma racji. Choćby tylko za to będzie mu dozgonnie wdzięczna.

Jeżeli mogła go kochać, nie zmieniając swojej osobowości, to znaczy, że kiedy się rozstaną, potrafi wziąć się w garść i wrócić do dawnego życia. Czy na pewno? Tak bardzo chciała w to uwierzyć. Musiała w to wierzyć.

Zajechała na parking przed biurami Thornwaya i podzwaniając kluczykami, weszła lekkim krokiem do budynku. Tego dnia słońce wcale nie świeciło jaśniej, dobrze o tym wiedziała. Jednak jej się wydawało, że zalewało świat złotym blaskiem piękniejszym niż zazwyczaj.

To wszystko kwestia perspektywy, powiedziała sobie, idąc przez foyer ku windom. A przecież nikt tak jak ona nie zna się na perspektywie, planowaniu i tworzeniu funkcjonalnych struktur.

**Miłość** również można zaplanować z inżynierską precyzją jak wspaniałą budowlę. Skoro podobają się sobie z Codym, lubią swoje towarzystwo i szanują się, to wystarczy na solidny fundament. Mają także wspólną pasję - budowanie. I nawet jeśli patrzą na nie pod innym kątem, stanowi ona spajające ich ogniwo. Teraz wystarczy tylko wzmocnić szkielet. Po wspólnie spędzonym weekendzie Abra doszła do wniosku, że zrobili duży krok naprzód. Uwolnieni od napięć związanych z pracą, odkryli nowe przyjemności nie tylko w łóżku, ale i poza nim.

Największym zaskoczeniem było uświadomienie sobie, że polubiła Cody'ego. Że łączy ich coś więcej niż tylko namiętność czy miłość. Lubi go za to, kim jest, jak myśli, a także za to, że potrafi słuchać. Nie spodziewała się po nim, że zostanie jej dobrym kumplem - raczej że będzie namiętnym kochankiem. Tymczasem wystarczył jeden weekend, by zrozumiała, że Cody potrafi być i jednym, i drugim.

Wcisnęła guzik windy i przypomniała sobie z uśmiechem, jak wyciągnięci na sofie oglądali w telewizji filmy z Carym Grantem. Albo jak wspólnie przygotowali zakąski i pizzę. Czy też jak wylegiwali się w łóżku w niedzielne popołudnie, gdy radio grało jazz, a w zlewie piętrzyły się stosy brudnych talerzy.

Dzięki Cody'emu poczuła się szczęśliwa. To znacznie więcej, niż się spodziewała. Budowali między sobą więź trwałą i solidną. Gdy się w końcu rozstaną, patrząc wstecz, będzie mogła powiedzieć, że przeżyła coś cudownego.

Drzwi windy otworzyły się. Wsiadła i nagle poczuła, że czyjeś ręce obejmują ją w talii.

- Jedziesz na górę?

Kiedy drzwi się zamknęły, Cody odwrócił Abre twarzą do siebie i pocałował. Zareagowała dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Namiętnie i spontanicznie odpowiedziała na jego pocałunek. Od chwili gdy opuścił jej mieszkanie i pojechał do siebie, żeby się przebrać, minęła zaledwie godzina, ale jemu wydawało się, iż upłynęły całe wieki.

Była jakby stworzona dla niego, pomyślał, przyciskając ją do ścianki kabiny. Odpowiadała mu pod każdym względem, na wszystkie możliwe sposoby. Dlatego musi się zastanowić, co z tym dalej robić.

- Cudownie smakujesz, Ruda - mruknął, a potem cofnął się, żeby na nią spojrzeć. - Poza tym ładnie dziś wyglądasz.

- Dzięki. - Uniosła ręce, żeby zachować rozsądny dystans. - Szybko tu dotarłeś.

- Musiałem się tylko przebrać. Mógłbym to robić u ciebie, gdybyś mi pozwoliła przywieźć trochę moich rzeczy.

Na to nie była przygotowana. Gdyby Cody pomieszkał u niej przez kilka tygodni, po jego wyjeździe mieszkanie stałoby się przeraźliwie puste. Uśmiechnęła się i spojrzała na cyferki nad drzwiami. Winda wciąż stała na poziomie foyer. Najwidoczniej oboje zapomnieli wcisnąć guzik.

- Byłoby mi przykro, gdybyś musiał zrezygnować z obsługi hotelowej i tej uroczej fontanny w patiu.

- Tak. - Czuł, że Abra próbuje się wymigać. Bez względu na to, jak bardzo stali się sobie bliscy, nadal obawiała się zrobić ten ostatni krok i zniwelować dzielącą ich jeszcze odległość. Zrezygnowany przycisnął guzik. Kabina zatrzymała się między piętrami.

- Co robisz?

- Zanim wrócimy do pracy, chciałbym cię o coś zapytać. To sprawa osobista. O ile pamiętam, jedna z zasad brzmiała: nie mieszać przyjemności z pracą.

- Racja.

- W takim razie zjedz ze mną kolację.

Abra z westchnieniem wyciągnęła rękę, żeby znów uruchomić windę. Zanim zdążyła nacisnąć guzik, Cody chwycił ją za nadgarstek.

- Cody, jeżeli chcesz, żebyśmy zjedli razem kolację, nie musisz mnie wieźć w windzie.

- Więc przyjdiesz?

- Chyba że na zawsze utknę między czwartym a piątym piętrem.

- Kolacja będzie u mnie w hotelu - dorzucił Cody, całując ją w rękę. - Zostaniesz na noc?

Było to pytanie, a nie stwierdzenie. Abra uśmiechnęła się.

- Bardzo chętnie. O której?

- Im prędzej, tym lepiej.

Roześmiała się i przycisnęła guzik piętrowości, na którym znajdowały się biura Tima.

- Wobec tego, bierzmy się do pracy.

Tim czekał na nich z kawą i ciasteczkami, za które Abra podziękowała. Już po kilku chwilach zorientowała się, że jest bardzo zdenerwowany, mimo iż był, jak zresztą zawsze, jowialny i wylewny. Tłumiąc zniecierpliwienie, czekała, aż wszystkie szczegóły inwestycji zostaną raz jeszcze omówione. Zaczęła się obawiać, że spóźni się na kolejną inspekcję, zapowiedzianą na dziesiątą.

Kiedy Tim rozwiesił diagram przedstawiający kolejność robót oraz przypuszczalne daty ich ukończenia, westchnęła i poddała się. Będzie miała szczęście, jeżeli zdąży na budowę do południa.

- Jak widzicie - ciągnął Tim - przygotowanie podłoża i wylewanie fundamentów zostało ukończone w terminie. Opóźnienia zaczęły się przy kładzeniu dachów.

- Nie widzę tu większych problemów. - Cody zapalił papierosa i spojrzał na diagram. - Margines wynosi dwadzieścia procent, a my wykorzystaliśmy na razie najwyżej pięć.

- Opóźnione są roboty hydrauliczne przy budowie centrum medycznego.

- Najwyżej o dzień lub dwa - wtrąciła się Abra. - Nadrobimy to, kiedy będziemy podłączać domki. Przy tym tempie robót ośrodek na pewno zostanie oddany do użytku w terminie.

Tim wciąż patrzył na liczby i wykresy.

- Zaczęliśmy zaledwie trzy miesiące temu, a już jesteśmy o dziesięć procent do tyłu. - Podniósł rękę, zanim Abra zdążyła mu przerwać. - Nie wolno zapominać przy tym o budżecie. Jeżeli nie znajdziemy jakiejś metody, żeby zredukować koszty, budżet zostanie przekroczony.

- Budżet to już nie moja działka. - Cody dolał kawy sobie, a potem Timowi, który w ciągu półgodziny zdążył już wypić trzy filiżanki. - Ani Abry. Mogę ci powiedzieć, że



zarówno z moich obliczeń, jak z twojej listy wynika, że trzymamy się wyznaczonych limitów i terminów tak ściśle, jak tylko to możliwe.

- Cody ma rację. Nie mamy większych przestojów. Budowa posuwa się znacznie sprawniej niż inne, na których pracowałam. Materiały zostały dostarczone na czas i w stosownej kolejności. Nawet jeżeli były pewne problemy z dachem nad basenem czy oknami w głównym budynku, to opóźnienia są minimalne. Myślę, że - urwała, bo nagle zadzwonił telefon.

- Przepraszam. - Tim podniósł słuchawkę. - Julie, mówiłem ci, żebyś mnie z nikim nie łączyła, póki... Ach tak, oczywiście. - Szarpnął węzeł krawata, a potem sięgnął po kawę. - Tak, Marci. Jeszcze nie. Mam naradę. - Słuchając, wziął głęboki oddech. - Nie, nie było czasu. Wiem. - Pociągnął spory łyk. - Dobrze. Dziś po południu. Tak, tak. Obiecuję. Posłuchaj - urwał, machinalnie pocierając kark. - Dobrze, w porządku. Zerknę na nie po powrocie do domu. O szóstej. Nie zapomnę. Pa!

Odłożył słuchawkę i z uśmiechem, który wydał się Abrze wymuszony, zwrócił się do niej i do Cody'ego:

- Bardzo was przepraszam. Planujemy mały wyjazd w przyszłym miesiącu i Marci jest ogromnie podekscytowana. - Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na wykres. - Co mówiłaś, Abra?

- Mówiłam, że będziesz zadowolony z tempa robót - odparła, ale odniosła wrażenie, że Tim jej nie słucha.

- Na pewno masz rację. - Tim westchnął, a potem nagle się rozpromienił. - Powinienem mieć pewność, że wszystko idzie jak w zegarku. Doceniam wasze wysiłki. - Wyszedł zza biurka. - Nie chcę was dłużej zatrzymywać. Wracajcie do pracy.

- O co mu właściwie chodziło? - zwrócił się Cody do Abry, kiedy Tim zamknął za nim drzwi.

- Nie wiem. - Abra podeszła w zamyśleniu do windy. - Myślę, że ma prawo się denerwować. To pierwsza większa budowa, którą realizuje sam. Pozostałe inwestycje zostały rozpoczęte jeszcze za życia jego ojca.

- Firma Thornwaya zawsze cieszyła się dobrą reputacją - stwierdził Cody, kiedy wsiedli do windy i zaczęli zjeżdżać w dół. - Co sądzisz o Thornwayu juniorze?

- Wolę nie mówić. - Abra wbiła wzrok w ścianę. - Byłam bardzo przywiązana do jego ojca. Szanowałam go. Naprawdę. On znał się na swoim fachu, a poza tym... wkładał w to całą duszę. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem.

- Tim nie jest taki jak ojciec, ale jego ojcu naprawdę trudno dorównać.

Wyszli z budynku i ruszyli przez parking.

- Jak sądzisz, jaką złożył ofertę Barlowowi?

- Boję się, że mógł sobie zostawić zbyt wąski margines manewru. - Zmrużyła oczy pod słońce i zamyśliła się. - Chyba jednak nie jest na tyle pozbawiony rozumu, żeby chciał zaryzykować straty przy tak gigantycznym przedsięwzięciu. Kary umowne są niebotyczne, to akurat wiem. - Wyjęła z kieszeni kluczyki. - Natomiast jeśli kompleks zostanie ukończony przed terminem, przewidziana jest spora premia.

- Może wobec tego za bardzo liczy na premię. - Cody wzruszył ramionami i oparł się o wóz Abry. - Wydaje mi się, że jego żona to skarbonka bez dna.

Abra prychnęła pogardliwie.

- Ładnie tak mówić o cudzej żonie?

- To tylko moja obserwacja. Ta mała obróżka, którą miała na szyi tamtego wieczoru, kosztowała Tima jakieś pięć, sześć tysięcy.

- Czego? Tysięcy? - Abra, która była już jedną nogą w samochodzie, zamarła ze zdumienia. - To były prawdziwe brylanty? Cody roześmiał się.

- Bystra jesteś, Ruda.

W pierwszej chwili chciała się obruszyć, ale ciekawość wzięła górę.

- No więc były czy nie?

- Takie kobiety jak Marci nie noszą na ogół szkiełek.

- Chyba rzeczywiście nie - przyznała. Ale żeby aż pięć tysięcy dolarów! Nie mogła się z tym pogodzić. Za takie pieniądze można myśleć o kupnie nowszego samochodu albo mebli lub... mogła wyrecytować całą listę wydatków znacznie bardziej sensownych niż ozdoba na szyję.

- Nad czym się tak zastanawiasz?

- Myślę, że on chyba zwariował - odparła. - Oczywiście każdy mężczyzna ma prawo wydawać swoje pieniądze, na co mu się podoba.

- Może uważa, że to dobra inwestycja - stwierdził Cody, a widząc minę Abry, przypomniał sobie niedwuznaczne awanse Marci. - Niektóre kobiety bardzo drogo kosztują, jeżeli chce się je zatrzymać.

- Ach, w końcu to jego problem. - Abra wzruszyła ramionami. - Szkoda czasu na plotki o Timie i jego żonie. Mamy co robić.

- Zdecydowanie tak - zgodził się Cody. - Posłuchaj, muszę wstąpić po drodze w jedno miejsce. Pojedziesz za mną?

Spojrzała na zegarek.

- Tak, ale po co?

- Muszę odebrać jedną rzecz. Będę potrzebował twojej pomocy. - Pocałował ją, po czym wsiadł do swojego wozu.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed hurtownią opon.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zdziwiła się Abra.

- A jak myślisz? - zapytał Cody. - Chyba nie po nowy garnitur dla mnie. - Wyciągnął ją z samochodu i zaprowadził do hali, wypełnionej dziesiątkami rodzajów opon. W powietrzu unosił się zapach gумы i smaru. Za ladą, na której piętrzyły się stopy katalogów, siedział drobny, łysy mężczyzna w okularach.

- Witam, witam! - zawołał, przekrzykując syk pomp i hydraulicznych podnośników. - Czym mogę służyć?

- Widzi pan to? - Cody odwrócił się w stronę okna i wskazał na wóz Abry. - Cztery opony plus jedna zapasowa.

- Ja... - zaczęła Abra, ale sprzedawca już wertował katalogi.

- Proponuję tanie, regenerowane opony, całkiem dobre... - powiedział, mierząc krytycznym wzrokiem wóz Abry.

- Mają być najlepsze i nowe - przerwał mu Cody.

- Cody, przecież to...

- Jest coś odpowiedniego - zapewnił ich szybko sprzedawca, który przestraszył się, że może stracić prowizję.

Cody spojrzał na fakturę i pokiwał głową.

- Chciałbym, żeby wóz był gotowy na piątą. Sprzedawca spojrzał na zegarek, a potem na listę klientów.

- Da się zrobić.

- To dobrze. - Cody wziął z rąk Abry kluczyki i rzucił je na ladę, po czym wypchnął Abre za drzwi.

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęła, kiedy znaleźli się na dworze.

- Kupuję ci prezent urodzinowy.

- Aleja mam urodziny w październiku!

- Z tego wniosek, że zdążyłem.

- Posłuchaj, Cody - zaatakowała go - nie powinieneś podejmować za mnie decyzji! Jak można ciągnąć kogoś na siłę do sklepu i bez jego zgody zamawiać mu opony?

- Lepiej kupić je tutaj niż w supermarkecie. - Przycisnął Abreę do karoserii. - Poza tym, nie ciągnęłam siłą kogoś, tylko ciebie, bliską mi osobę. Nie życzę sobie, żebyś jeździła na łyśnych oponach. To zbyt ryzykowne. Chcesz się o to kłócić?

- Nie - westchnęła, przyznając mu w duchu rację - ale sama bym się tym zajęła.

- Kiedy?

- No, kiedyś... - mruknęła, spuszcżając głowę.

- A tak już jest załatwione. Z najlepszymi życzeniami urodzinowymi.

Machnęła ręką, a potem go pocałowała.

- Dziękuję.

Kiedy Abra dotarła wieczorem do domu, była ledwo żywa. Oczywiście znowu nie udało jej się porozmawiać z inspektorem. Udało jej się za to obejrzeć, jak funkcjonuje rozsuwany strop, a także osobiście się przekonać, że nareszcie wszystkie windy działają bez zarzutu.

Spotkanie z Timem zaniepokoiło ją na tyle, że postanowiła porozmawiać z brygadziwą i skontrolować jego dzienny harmonogram. Miała wyrzuty sumienia, że w rozmowie z Codym wyraziła się o Timie niezbyt pochlebnie. Postanowiła również sama odwiedzić wszystkie stanowiska robót. Z tego powodu dzień pracy przedłużył jej się do szóstej, a odbiór samochodu pochłoniął kolejną godzinę.

- Oni nigdy nie są gotowi na czas - narzekała, przeskakując po dwa stopnie. Kiedy dotarła na swoje piętro, zrozumiała, że jej opóźnienie jeszcze bardziej się powiększy.

- Mama! Nie wiedziałam, że się tu wybierasz.

- Ach, Abra. - Jessie ze śmiechem wrzuciła karteczkę do torebki. - Miałam ci zostawić wiadomość. Spieszysz się?

- Tak. Jestem już solidnie spóźniona. - Abra otworzyła drzwi.

- Czyli przysłałam nie w porę?

- Nie... Tak. To znaczy, za kilka minut wybiegam.

- Nie zajmę ci dużo czasu. - Jessie z westchnieniem zlustrowała wzrokiem bałagan w pokoju. - Coś cię zatrzymało w pracy?

- Tak. - Abra popędziła prosto do sypialni, żeby się przebrać. Nie mogła przecież iść na kolację z Codym w roboczych butach i zakurzonych dżinsach. - A potem musiałam odebrać wóz.

- Znowu się zepsuł?

- Nie, zmieniałam opony. To znaczy... znajomy kupił mi nowe opony.

- Ktoś kupił ci opony w prezencie?

- Aha. - Abra wyjęła z szafy zielone spodnium. - Co o tym sądzisz?

- Na randkę? Świetne. Zawsze miałaś doskonale wycucie koloru. Masz do tego jakieś eleganckie kolczyki?

- Może. - Abra otworzyła szufladę i zaczęła w niej czegoś szukać.

- Czemu ktoś kupił ci opony?

- Bo moje były już całkiem łyse - odparła, grzebiąc między bielizną i skarpetkami. - A on się bał, że będę miała wypadek.

- On? - Jessie nadstawiła ucha. Przestała zbierać porozrzucane ubrania i uśmiechnęła się. - Jakie to romantyczne!

Abra prychnęła pogardliwie i wyjęła z szuflady srebrny kolczyk z koralikami.

- Co ma być takie romantyczne? Opony?

- Martwił się o ciebie i nie chciał, żeby coś złego ci się stało. Czy może być coś bardziej romantycznego?

Abra wrzuciła z powrotem kolczyk do szuflady i zacisnęła wargi.

- Nie myślałam o tym w ten sposób.

- Bo rzadko bywasz romantyczką. - Przewidując z góry odpowiedź, Jessie uniosła rękę. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Że ja zbyt często patrzę na świat z romantycznego punktu widzenia. Taka już jestem, kochanie. Ty znacznie bardziej przypominasz ojca - jesteś praktyczna, rozsądna, bezpośrednia. Może gdyby nie umarł tak młodo... - urwała i zaczęła poprawiać poduszki na sofie. - Cóż... było, minęło, a ja należę do tych kobiet, które nie potrafią żyć bez mężczyzny.

- Kochałaś go? - Abra zaczęła szukać torby. - Przepraszam. - Potrząsnęła głową. - Ja wcale nie chciałam o to pytać.

- Ależ dobrze, że zapytałaś. - Jessie westchnęła, rozmarzona, i zabrała się za składanie bluzek. - Uwielbiałam go. Byliśmy młodzi, biedni jak myszy kościelne i śmiertelnie w sobie zakochani. Czasami myślę, że to były najpiękniejsze lata mojego życia. Nigdy ich nie zapomnę i zawsze będę losowi za nie wdzięczna. Twój ojciec bezustannie mnie rozpieszczał. Dbał o mnie i kochał mnie tak, jak każda kobieta chciałaby być kochana. Do dziś mam wrażenie, że w każdym mężczyźnie, z którym byłam później związana, próbowałam doszukać się jakichś podobieństw do niego. Kiedy umarł, byłaś jeszcze malutka, ale widzę go, ilekroć na ciebie spojrzę.

Abra odwróciła się do matki.

- Nie wiedziałam, że tak bardzo go kochałaś.

- Bo tak łatwo nawiązuję kontakty z innymi mężczyznami? - Mówiąc to, Jessie kilkoma zręcznymi ruchami pościeliła łóżko. - Nie lubię być sama. Dla mnie życie we dwoje jest równie ważne, jak dla ciebie niezależność. Flirt jest mi potrzebny do życia jak powietrze. Wiem, że nadal jestem ładna. - Z uśmiechem spojrzała w lustro i przeczesła włosy. - Lubię ładnie wyglądać. Lubię czuć, że się podobam. Oczywiście, gdyby twój ojciec żył, moje losy ułożyłyby się inaczej. Ale to, że potrafię być szczęśliwa z kimś innym, wcale nie znaczy, że go nie kochałam.

- Jeżeli odniosłaś wrażenie, że chciałam cię skrytykować, to bardzo cię przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru.

Jessie wygładziła kapę na łóżku.

- Prawda wygląda tak, że mnie nie rozumiesz, a i ja często ciebie nie rozumiem. To nie znaczy, że cię nie kocham.

- Ja też cię kocham, mamo, i chciałabym, żebyś była szczęśliwa.

- Och, robię, co mogę. - Jessie roześmiała się i wstawiła buty Abry do szafy. - Zawsze. To jeden z powodów mojej wizyty. Chciałam cię zawiadomić, że wyjeżdżam na kilka dni.

- Ach tak? A dokąd?

- Do Las Vegas. Willie chce mnie nauczyć grać w black jacka.

- Jedziesz z panem Barlowem?

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Jessie. - Willie jest jednym z najmiłszych ludzi, jakich w życiu spotkałam. To dżentelmen w każdym calu. Oczywiście zamówił dla nas osobne pokoje.

- No cóż... - Abra spróbowała pogodzić się z tym, co właśnie usłyszała. - Baw się dobrze.

- Na pewno będę się dobrze bawić. Wiesz co, kochanie, gdybyś odkładała drobiazgi na komodę, byłoby ci je łatwiej znaleźć... O Boże! - Wzrok Jessie padł na naszyjnik. - Skąd to masz?

- To prezent. - Abra z uśmiechem patrzyła, jak matka podbiega do lustra z naszyjnikiem przy szyi. - Ładny, prawda?

- Więcej niż ładny.

- Mnie też bardzo się podoba.

- Nie powinnaś go zostawiać na wierzchu.

- Mam tu gdzieś pudełko. - Rozejrzała się. - Chyba założę go dziś wieczorem.

- Gdyby był mój, nigdy bym go nie zdejmowała. Mówisz, że to prezent. - Jessie odwróciła się od lustra. - Od kogo?

- Od znajomego.

- Daj spokój, Abra...

- No więc, od Cody'ego. Kupił mi go w San Diego.

- No, no... - Jessie ujęła końce naszyjnika. Kamienie zalśniły jak gwiazdy. - Wiesz, co ci powiem, kochanie, takie prezenty mężczyźni dają tylko żonom... albo kochankom.

Abra oblała się rumieńcem. Żeby to ukryć, odwróciła się i zaczęła szczotkować włosy.

- To miła pamiątka od przyjaciela i współpracownika.

- Współpracownicy raczej nie dają sobie kosztownych naszyjników.

- Nie bądź śmieszna. To nie są prawdziwe kamienie. Jessie na moment zamurowało.

- Moja jedynaczka - odezwała się po chwili - a taka niedokształcona.

Abra odwróciła się, rozbawiona.

- Przecież brylanty są białe, prawda? Tak czy owak, to śmieszne twierdzić, że kupił mi brylanty. Przecież to tylko śliczny naszyjnik z kolorowych kamyków.

- Abra, jesteś bardzo dobrym inżynierem, ale czasami mnie martwisz. - Jessie sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej puderniczkę. - To jest szkło - powiedziała, pokazując lusterko. - A to brylanty. - Przejechała naszyjnikiem po lusterku i podniosła je do góry.

- Jest porysowane - powiedziała powoli Abra.

- Oczywiście, że tak. Brylanty rysują szkło. A to, co ty tu masz, to musi być jakieś pięć karatów. Nie wszystkie brylanty są białe.

- O mój Boże!

- Nie miej takiej przerażonej miny. - Jessie zapięła naszyjnik córce, która wciąż stała bez ruchu. - Powinnaś być zachwycona. Wyglądasz w nich przepięknie.

- One są prawdziwe. A ja myślałam, że są po prostu ładne.

- Pospiesz się i podziękuj mu jak należy. - Jessie cmoknęła córkę w policzek. - Możesz mi wierzyć, kochanie, że równie łatwo można zaakceptować to, co prawdziwe, jak i to, co sztuczne. Kto wie to lepiej niż ja?

Cody zaczął się denerwować. Przez ostatnie dziesięć minut co i rusz spoglądał na zegarek. Minęła ósma. Abra miała dość czasu, żeby dojechać do domu, wrzucić kilka rzeczy do torby i pojawić się u niego za piętnaście ósma.

Co się stało?

Chyba ci, bracie, odbiło, powiedział sobie, siadając w fotelu, żeby zapalić papierosa. Może to zresztą normalne u zakochanych? Lepiej, żeby tak było. Nie chciałby uważać się za jedyne durnia na tym świecie.

Postępował dokładnie tak, jak sobie tego Abra życzyła. W pracy zachowywał służbowy dystans i raz czy drugi mało brakowało, a byliby się pokłócili - oczywiście o sprawy zawodowe. Co oznacza, że mimo wszystko nie przestał patrzeć na swoje dzieło z perspektywy artysty. W Abrze, ilekroć nakładała kask, widział potwornie zrzędliviego inżyniera.

Po pracy wolno mu myśleć wyłącznie o Abrze.

Była taka śliczna, kiedy spała. Patrzył na nią przez cały niedzielny poranek, aż wreszcie naszła go chęć, żeby ją pogłaskać. Nawet potworny bałagan w jej mieszkaniu miał dla niego jakiś czar. Podobał mu się sposób, w jaki chodziła i siadała; w jaki przybliżała ku niemu twarz, gdy zaczynała krzyczeć ze złości.

Czyli wniosek z tego jeden - wpadł po uszy. Gdy wreszcie usłyszał pukanie, zerwał się z fotela i w pół sekundy dopadł drzwi.

- Warto było. - Na widok Abry odetchnął z ulgą.

- Ale co?

- Poczekać. - Chwyił ją za rękę i wciągnął do pokoju. Już miał ją pocałować, ale powstrzymała go jej dziwna mina.

- Coś jest nie tak?

- Sama nie wiem. - Minęła go i podeszła do stolika ustawionego przy drzwiach na balkon. Na wykrochmalonym obrusie świece czekały, żeby je zapalić, a schłodzone wino, by je otworzyć.

- Jak ładnie!

- Możemy zamówić kolację, kiedy tylko zechcesz. - Wziął z jej rąk torbę i odstawił na bok. - W czym problem, Ruda?

- Nie wiem, czy to problem... to znaczy, raczej tak. Chyba tylko mój. Gdybym wiedziała... ale ja się na tym nie znam i nie zorientowałam się w porę. Teraz nie mam pojęcia, jak się zachować.

- Aha. - Cody usiadł na sofie i gestem zaprosił Abre. - Opowiedz mi to jeszcze raz, ale ze szczegółami.

Usiadła obok niego. Co za żalorny początek, pomyślała.

- W porządku. Chodzi o to. - Jej dłoń powędrowała do naszyjnika.

- O naszyjnik? - Cody zmarszczył brwi i przesunął po nim palcami. - Myślałem, że ci się podoba.

- Podoba mi się. Nawet bardzo. - Zaczepnęła tchu.



- Jest naprawdę przepiękny, ale sądziłam, że to szkiełka albo... sama nie wiem... jakieś syntetyczne kamienie. Była u mnie przed chwilą mama. Wybiera się do Las Vegas z panem Barlowem.

Cody potarł czoło, próbując nadażyć za jej tokiem myślenia.

- To jest problem?

- Nie, nie. Mama powiedziała mi, że to prawdziwe brylanty, chociaż wcale nie są białe.

- To samo mówił jubiler. No i co z tego?

- Co? - Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. - Nie możesz dawać mi brylantów, Cody.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. - Cody zamyslił się. Doskonale pamiętał, jak zareagowała, kiedy dał jej naszyjnik. Pamiętał jej radość i podniecenie. Zrozumiał, że była zachwycona, chociaż myślała, iż to tylko zwykłe szkiełka. - Intrygująca z ciebie kobieta, Wilson. Byłaś w siódmym niebie, kiedy ci się wydawało, że to świecidełka za pięć centów.

- Wcale tak nie myślałam. Myślałam tylko, że... - urwała i westchnęła z rezygnacją. - Nigdy nie miałam biżuterii z brylantami - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Czyli jestem pierwszy? To mi się podoba! Głodna jesteś?

- Cody, nie słuchasz mnie.

- Odkąd wróciłaś, nie robię nic innego, tylko cię słucham. A przecież miałem zupełnie inne zamiary, jednak właśnie przez wzgląd na ciebie się pohamowałem.

- Nie wiem, czy powinnam zatrzymać ten naszyjnik. Od początku próbuję ci to powiedzieć.

- Dobrze. Nie chcesz, to go zabieram. - Sięgnął do zapięcia. Abra naburmuszyła się.

- Ale ja go chcę - burknęła.

- Co? - Cody z trudem zachował powagę. - Mówiłaś coś?

- Powiedziałam, że go chcę. - Zerwała się i zaczęła krążyć po pokoju. - Wiem, że powinnam go oddać. I miałam ten zamiar. Wolałabym go jednak zatrzymać.

- Urwała i spojrzała z wyrzutem na Cody'ego. - To wstrętne z twojej strony, że postawiłaś mnie w takiej sytuacji.

- Masz rację, Ruda. - Cody wstał, potrząsając głową. - Trzeba być wyjątkowym nikczemnikiem, żeby kupić coś takiego swojej dziewczynie i jeszcze się spodziewać, że się ucieszy.

- Nie to chciałam powiedzieć. Dobrze o tym wiesz.

- Znowu spojrzała na niego, tym razem z gniewem. - Przez ciebie wychodzę na idiotkę.

- Nie przejmuj się. Nie mam ci tego za złe. Abra mimowolnie zachichotała.
- Nie bądź taki z siebie zadowolony. Ja ciągle jeszcze mam ten naszyjnik.
- No popatrz, znowu jesteś górą. Zrezygnowana, zarzuciła mu ręce na szyję.
- Jest taki piękny!
- Bardzo cię przepraszam. - Cody objął ją w talii. - Następnym razem kupę ci jakieś tandetne ohydztwo.

Przechyliła głowę i zajrzała mu w twarz. Czuła, że z niej żartuje, ale miał po temu prawo.

- Powinnam ci też podziękować za te opony.
- Chyba rzeczywiście powinnaś - mruknął, kiedy jej usta dotknęły jego ust.
- Mama powiedziała, że to bardzo romantyczny prezent.
- Lubię twoją mamę. - Powiódł rękami po plecach Abry, a ona obrysowała językiem jego usta.

- Cody...
  - Hm? - W przyływie czułości otoczył dłońmi jej twarz.
  - Nie dawaj mi więcej żadnych prezentów, dobrze? To mnie stresuje.
  - Nie ma sprawy. W rewanżu możesz mi postawić kolację.
- Zanurzyła mu palce we włosy i spojrzała spod opuszczonych rzęs.
- Naprawdę jesteś głodny?
- Jej kolejny pocałunek omal nie powalił go na kolana.
- To zależy - wydyszał.
  - No to zjemy trochę później - wyszeptwała, przyciągając go do siebie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Cody, możesz otworzyć?

Abra siedziała na brzegu łóżka, sznurowując buty. Kiedy usłyszała pukanie, zmarszczyła brwi i spojrzała na zegarek. Nieczęsto miewała wizyty o siódmej rano, a poza tym spieszyła się, bo za chwilę mieli wyjeżdżać na budowę.

Cody wyłonił się z kuchni z filiżanką kawy i poszedł otworzyć. Włosy miał mokre po kąpieli i nie dopiętą koszulę.

- Ach, dzień dobry. - Za drzwiami stała Jessie. Na widok Cody'ego uśmiechnęła się niepewnie.

- Dzień dobry. - Cody cofnął się, żeby ją wpuścić.

- Wcześniej dziś wstałaś.

- Tak. Chciałam złapać Abre, zanim wyjdzie do pracy. Później mam masę innych spraw do załatwienia. - Chrząknęła i zaczęła machinalnie skubać pasek torebki.

- Czy ona gdzieś tu jest?

- W drugim pokoju. - Cody nie bardzo wiedział, jak mężczyzna powinien zachować się w stosunku do matki swojej kochanki o godzinie siódmej rano. - Napijesz się kawy?

- Szczerze mówiąc, wolałabym... Ach, tu jesteś. - Odwróciła się i powitała Abre nerwowym uśmiechem.

- O, mama! - Cała trójka stała przez chwilę w zakłopotanym milczeniu. Abra, mocno zażenowana, wsunęła ręce do kieszeni. - Co robisz w mieście tak wcześnie?

- Chciałam się z tobą zobaczyć, zanim wyjdiesz do pracy. - Jessie zawahała się, a potem spojrzała na Cody'ego. - Może jednak zrobiłbyś mi kawę?

- Oczywiście. - Odstawił filiżankę i poszedł do kuchni.

- Możemy usiąść na chwilę?

Abra bez słowa przysiadła na krześle naprzeciwko sofy. Chyba matka nie zamierza prawić jej kazań dlatego, że zastała u niej mężczyznę?

- Coś jest nie tak?

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Jessie wzięła głęboki oddech, po czym sięgnęła po filiżankę, którą przyniósł jej Cody.

- Może zostawię was same, żebyście mogły porozmawiać w cztery oczy? - zaproponował.

- Nie trzeba. - Jessie uśmiechnęła się. Gdy minęło skrepowanie, poczuła się zadowolona, że jej córka wreszcie ma kogoś. Kogoś, komu bardzo na niej zależy, pomyślała, patrząc na Cody'ego. - Usiądź, Cody. Przepraszam za to poranne najście. Wiem, że spieszycie się do pracy. Nie zajmę wam dużo czasu. - Znowu zaczerpnęła tchu. - Właśnie wróciłam z wycieczki z Williem.

Abra, która zdążyła już pogodzić się z tą myślą, uśmiechnęła się.

- Czy przegrałaś rodzinną fortunę przy zielonym stoliku?

- Nie. - Jessica nabrała nadziei, że wszystko pójdzie łatwiej, niż się spodziewała. - Wysłałam za mąż - wypaliła.

- Co takiego? - Abra aż podskoczyła z wrażenia. - W Las Vegas? Za kogo?

- Jak to, za kogo? Oczywiście za Williego. Zapadła grobowa cisza. Wreszcie Abra przemówiła, dobitnie akcentując każde słowo:

- Wysłałaś za mąż za pana Barlowa?!

- Dwa dni temu. - Jessie wyciągnęła rękę, demonstrując obrączkę z podwójnym rzędem brylancików. - Kiedy uświadomiliśmy sobie, że oboje tego chcemy, nie było na co czekać. W końcu nie jesteśmy już dziećmi.

Abra spojrzała na obrączkę, a potem popatrzyła na matkę.

- Przecież... przecież prawie się nie znacie!

- Przez te ostatnie tygodnie zdążyłam go świetnie poznać. - Widząc pobladałą twarz córki, Jessie zrozumiała, że nie będzie to jednak takie proste. - To cudowny człowiek, kochanie. Człowiek opoka. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że mi się oświadczy, ale skoro to zrobił, powiedziałam „tak”. A ponieważ byliśmy na miejscu, a jest tam ta słynna kaplica... wzięliśmy ślub.

- Dla ciebie to chyba żadna nowość.

W oczach Jessie błysnął gniew, ale jej głos brzmiał spokojnie, kiedy powiedziała:

- Myślałam, że się ucieszysz. Choćby ze względu na mnie. Jestem bardzo szczęśliwa. Jeśli nie potrafisz się tym cieszyć, postaraj się przynajmniej zaakceptować moją decyzję.

- Dla mnie to też nie powinna być żadna nowość - burknęła Abra.

Jessie spochmurniała.

- Willie chciał tu dziś ze mną przyjść, ale mu to odradziłam. Wydawało mi się, że lepiej będzie, jak sama ci o tym powiem. Willie bardzo cię lubi i ceni - jako kobietę i jako inżyniera. Mam nadzieję, że nadal będziesz dla niego miła.

- Lubię pana Barlowa - powiedziała sucho Abra. - W zasadzie nie powinnam chyba być zaskoczona. Życzę wam szczęścia.

Jessie nagle zrobiło się przykro.

- To już coś. - Wstała, okręcając obrączkę na palcu. - Muszę być wcześniej w biurze, żeby przepisać na maszynie wymówienie.

- Rzucasz pracę?

- Tak, przenoszę się do Dallas. Willie ma tam dom.

- Rozumiem. - Abra także wstała. - Kiedy?

- Wylatujemy dziś po południu, bym mogła poznać jego syna. Wracam za kilka dni, żeby dograć wszystkie szczegóły. - Chciała objąć córkę, ale się rozmyśliła. Uznała, że Abra potrzebuje trochę czasu, żeby się oswoić z rewelacjami, jakie usłyszała. - Zadzwońię po powrocie.

- W porządku - szorstko powiedziała Abra. - Baw się dobrze.

Cody odprowadził Jessie do drzwi. W progu dotknął jej ręki.

- Życzę ci szczęścia, Jessie.

- Dziękuję - odparła. Dobrze, pomyślała, że o tej porze biuro jest jeszcze puste. Będzie sobie mogła popłakać. - Dbaj o nią, dobrze? - poprosiła.

Cody zamknął drzwi, a kiedy się odwrócił, zobaczył że Abra stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym pożegnała się z matką.

- Byłaś dla niej niezbyt miła.

- Nie wtrącaj się! - Chciała pobiec do sypialni, ale Cody chwycił ją za rękę.

- Dlaczego? - zapytał, patrząc jej w twarz. Była blada, tylko jej oczy miały błyskawice. - O co ci chodzi, Abra? Nie wydaje ci się, że twoja matka ma prawo wyjść za mąż, za kogo jej się podoba?

- Ależ tak. Zawsze miała takie prawo. Puść mnie. Muszę się przygotować. Za chwilę wychodzę do pracy.

- Nie. - Cody ani myślał jej puścić. - Nigdzie nie pójdziesz, póki mi nie powiesz, o co ci chodzi.

- W porządku. Powiem ci. Chodzi o to, że ona się nigdy ze mną nie liczyła. - W jej głosie dźwięczała taka rozpacz, że Cody zwolnił uścisk. - Zawsze to samo. Ona się nigdy nie zmieni. Najpierw był Jack, czyli mój ojciec. Kiedy umierał, miał dwadzieścia lat. - Chwyliła ze stołu fotografię. - Podobno był jej największą miłością.

- On zmarł wiele lat temu - powiedział spokojnie Cody. - A życie toczy się dalej. Co masz matce za złe?

- Tę liczbę i to tempo. Trudno ich wszystkich zliczyć. Mąż numer dwa, Bob. - Sięgnęła po kolejne zdjęcie. - Miałam sześć lat, gdy uznała, że pora na kolejne małżeństwo.

Trwało jakieś dwa - trzy lata. - Upuściła zdjęcie i wzięła kolejne. - Potem był Jim. Nie wolno nam zapomnieć o Jimie, mężu numer trzy. Przed nim było jeszcze trzech czy czterech innych facetów, tyle że matka nie wzięła z nimi ślubu. Jim miał sklep spożywczy. Poznali się nad kartonem soków owocowych, a pobrali pół roku później. Dokładnie tyle czasu razem wytrzymali. Jim się tak naprawdę nie liczył. Matka nigdy nie nosiła jego nazwiska. Potem był Bud. Poczciwy Bud Peters. Nie mam jego fotografii, ale mam tu zdjęcie Jessie, zrobione w dniu ich ślubu. - Wzięła je, przewracając przy okazji kilka innych. - Bud sprzedawał buty i lubił majsterkować. Był z gatunku tych, co to prochu nie wymyślą, ale go lubiłam. Ona chyba też go lubiła. Była z nim przez siedem lat, a to swoisty rekord. - Odstawiła zdjęcie. - Poczciwy stary Bud. Rekordzista.

- Przecież to jej życie, Ruda.

- To było także i moje życie - prychnęła z furją - Niech to wszyscy diabli! Moje życie! Masz pojęcie, jak to jest, kiedy człowiek tak naprawdę nie wie, jak aktualnie nazywa się jego matka? Albo który „wujek” będzie twoim kolejnym ojczymem? W czyim domu zamieszkaś? Do jakiej szkoły będziesz chodzić?

- Nie. - Cody pomyślał o udanym małżeństwie swoich rodziców, o tym, jak zgraną i stabilną tworzyli rodzinę. - Nie, nie mam pojęcia. Jesteś już dorosłą kobietą, a nie dzieckiem. Małżeństwo twojej matki nie ma wpływu na twoje życie.

- Ale to się ciągle powtarza. Nie rozumiesz? Przez całe życie byłam świadkiem, jak się zakochiwała i odkochiwała w ekspresowym tempie. Za każdym razem, gdy wychodziła za mąż albo się rozwodziła, mówiła to samo: „Tak będzie dla nas najlepiej”. Ale to nigdy nie było najlepsze, a już na pewno nie dla mnie. Teraz znowu przychodzi i mówi mi o wszystkim po fakcie. Zawsze dowiaduję się o wszystkim ostatnia.

Cody przytulił ją mocniej.

- Nawet jeżeli popełnia błędy, nie znaczy to, że cię nie kocha.

- Ach, ja wiem, że ona mnie kocha. - Z chwilą gdy wyrzuciła z siebie wszystkie żale, opuściła ją energia. - Oczywiście na swój sposób - dodała słabym głosem. - Tyle tylko, że ja się nigdy nie liczyłam. Dobrze już, dobrze, już wszystko w porządku. - Odsunęła się. - Masz rację. Jestem przeczulona. Porozmawiam z nią... z nimi... po ich powrocie. - Ukryła na moment twarz w dłoniach. - Przepraszam cię, Cody. Ona znów narozrabiała, a wszystko skupiło się na tobie.

- Nieprawda. Dobrze, że nareszcie to z siebie wydusiłaś.

- Zachowałam się idiotycznie. Jak ostatnia egoistka.

- Nie. Byłaś po prostu szczerą. - Poglaskał ją po policzku, zastanawiając się, jak głębokie blizny pozostawiły w jej sercu tamte lata i ile ran jeszcze się nie zabił. - Chodź do mnie. - Wziął ją w ramiona i tulił, póki nie poczuł, że zaczyna się odprężyć. - Wiesz, że za tobą szaleję?

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem.

- Naprawdę. Pomyślałem, że kiedy tu skończymy, powinnaś wybrać się ze mną na wschód... Na jakiś czas - dodał szybko, żeby jej nie spłoszyć. - Obejrzałybyś sobie dom, który buduję, i mogłabyś go trochę skrytykować. No i zobaczyłybyś ocean.

Czy jeśli pojedzie z nim na wschód, będzie później potrafiła stamtąd wyjechać? Nie chciała teraz o tym myśleć. Nienawidziła końców i pożegnań.

- Bardzo chętnie. - Westchnęła i oparła mu głowę na ramieniu. - Chciałabym, żebyś mi pokazał ocean. Ja nie miałam dotąd możliwości, by pokazać ci pustynię.

- Moglibyśmy się dziś urwać na małą wycieczkę.

Uśmiechnęła się, z ustami wtulonymi w szyję Cody'ego. Była mu bardzo wdzięczna za to, że trwał przy niej. Jego obecność pozwoliła jej wziąć się znowu w garść.

- Raczej nie. Nie mogę przecież zaniedbywać pracy u nowego męża mojej matki.

Kiedy dojechali na miejsce, Abra była już w znacznie lepszym nastroju. Bez Cody'ego zły nastrój mógłby się jeszcze ciągnąć całymi dniami. Wniosek z tego, że miał na nią dobry wpływ. Zamierzała mu to powiedzieć, ale w końcu się rozmyśliła.

Cody, jak na razie, ściśle przestrzegał wyznaczonych przez nią zasad i wydawało się, że mu to wystarcza. Nie było żadnych obietnic, rozmów o przyszłości, żadnego udawania, że „będą żyli długo i szczęśliwie”. A zaproszenie na wschód zabrzmiało tak naturalnie, iż mogła sobie spokojnie na to pozwolić, żeby je przyjąć.

Po przyjeździe na budowę każde z nich - jak zwykle - udało się w swoją stronę. Dopiero noc miała ich znowu połączyć.

Abra zdążyła się już do tego przyzwyczaić i zaczynała nawet na to czekać. Idąc w stronę domków, pomyślała, że to niezbyt rozsądnie, ale skoro zdecydowała się podjąć ryzyko...

- Tunney - przywołała brygadzystę elektryków, którzy pracowali przy domkach. - Jak leci?

- Nieźle, panno Wilson. - Tunney otarł czoło. Był to wysoki i dość tęgi mężczyzna. - Myślałem, że jest pani na razie zajęta gdzie indziej. - Wyjął z kieszeni chustkę i otarł spoconą twarz.

- Chciałam tylko sprawdzić, jak wam idzie. - Podeszła bliżej. - Myśli pan, że uda się zakończyć roboty elektryczne w terminie? Thornway trochę się denerwuje.

- Na pewno zdążymy na czas. Może chce pani rzucić okiem na ten kawałek? - Tunney wskazał na miejsce przyszłego dziedzińca. - Cieśle już zaczynają swoją robotę.

- To dobrze. - Abra ruszyła dalej. - Nie zaglądałam jeszcze... cholera! - Nagle stopa zaplątała jej się w kawałek drutu. - Dlaczego nikt tu nie sprząta? Gdyby inspektor to zobaczył, nieźle by nam się oberwało.

Chciała podnieść drut, ale Tunney ją uprzedził i wrzucił go do kontenera na śmieci.

- Niech pani uważa - powiedział.

- Dobrze. To nowa dostawa? - zapytała, wskazując na trzy olbrzymie szpule. - Póki dostawy przychodzą na czas, nie ma powodów do niepokoju. - Machinalnie oparła się o jedną ze szpul.

Lubiła budowę, lubiła patrzeć, jak posuwają się roboty i jak na jej oczach powstaje coś nowego, co jest efektem połączenia ludzkiej wyobraźni i trudu. To była jej pasja. Tu czuła się w swoim żywiole. Kiedy stojąc pod gołym niebem, ma się jasno nakreśloną wizję przyszłych dokonań, można to uważać za źródło nadziei i satysfakcji.

Jeszcze tego Cody'emu nie powiedziała, ale zaczynała go powoli rozumieć i akceptować tę odrobinę magii i fantazji w jednym z najbardziej surowych, a zarazem najpiękniejszych miejsc w całym kraju. Na wzgórzach wciąż żyły kojoty, na skałach wygrzewały się węże, ale znalazło się także miejsce dla człowieka. Kiedy budowa zostanie zakończona, ośrodek nie tylko stanie się integralną częścią pustyni, ale jeszcze bardziej podkreśli jej piękno.

Cody wiedział to od zawsze, a i ona wreszcie to dostrzegła.

- Ładnie tu będzie, prawda?

- Myślę, że tak - zgodził się Tunney, przestępując z nogi na nogę.

- Odpoczywał pan kiedyś w jednym z takich ośrodków?

- Nie - odparł, ocierając twarz.

- Ja też nie. - Uśmiechnęła się Abra. - My je tylko budujemy.

- Tak.

Tunneya najwyraźniej nie można było zaliczyć do ludzi rozmownych. Abra wyczuła, że zaczął już się niecierpliwić.

- Odrywam pana od pracy - powiedziała. Gdy chciała się wyprostować, zahaczyła nogawką o końcówkę drutu. - Ale dziś ze mnie niezdara - westchnęła. Uprzedzając Tunneya,



nachyliła się, odcepiła drut i przesunęła go między palcami. - Mówi pan, że to świeża dostawa?

- Tak, prosto z ciężarówki. Przywieźli jakąś godzinę temu.

- Niech to diabli! Sprawdził pan to? - Przykucnęła, żeby obejrzeć drut z bliska.

- Nie. Mówiłem, że dopiero co wszystko wyładowali.

- To niech pan teraz sprawdzi. Tunney nachylił się i wziął kabel do ręki.

- To nie jest czternastka! - powiedział.

- Nie. Moim zdaniem, dwunastka.

- Rzeczywiście, proszę pani. - Tunney wyprostował się, zaczerwieniony. - Dwunastka. Abra klnąc, obejrzała pozostałe szpule.

- Przecież to wszystko dwunastki!

Tunney gwizdnął przez zęby i wyjął tabliczkę z papierami.

- Na fakturach są czternastki, panno Wilson. Wygląda na to, że ktoś pomylił zamówienie.

- Powinna była przewidzieć, że to zbyt piękne, by mogło trwać wiecznie. - Abra wyprostowała się i otarła dłonie o spodnie. - Nie możemy tego użyć. To nie jest standardowy przekrój. Trzeba dzwonić do dostawcy. Ma natychmiast dowieźć czternastkę. Nie możemy sobie pozwolić na żadne opóźnienia.

- Jasne, że nie. Z drugiej strony, łatwo się pomylić. Numery są prawie identyczne. - Pokazał Abrze numery na zamówieniu, a potem te, przybite na szpuli. - A na pierwszy rzut oka nie da się odróżnić dwunastki od czternastki.

- Całe szczęście, że poznał pan po dotyku, bo mielibyśmy niezły pasztet. - Przysłaniając oczy, spojrzała w stronę domków. - Czy to mogło być jakieś przeoczenie?

- Wykluczone. Osiemnaście lat robię w tej branży.

- No tak. Mimo to... - urwała, bo nagle usłyszała brzęk tłuczonego szkła, a potem przeraźliwy krzyk. - O mój Boże! - Rzuciła się w stronę budynku centrum medycznego, skąd dochodziły już głośnie nawoływania.

Zdyszana dobiegła na miejsce, przepchnęła się energicznie do przodu i zobaczyła Cody'ego, który klęczał nad zakrwawionym ciałem jednego z robotników.

Serce podeszło jej do gardła.

- Bardzo z nim źle? - Wydawało jej się, że go sobie przypomina. Był bardzo młody - mógł mieć jakieś dwadzieścia lat - śniady i czarnowłosy.

- Nie wiem - powiedział Cody. - Na szczęście oddycha. Na razie. Ambulans jest już w drodze.

- Jak to się stało? - Kiedy podeszła, żeby uklęknąć obok Cody'ego, odłamki szkła zachręściły jej pod podeszwami.

- Był na rusztowaniu we wnętrzu i kończył kłaść kable. Czy stracił równowagę, czy źle stąpił... nie wiadomo. W każdym razie, wyleciał przez okno. - Cody podniósł głowę. Na jego twarzy malowały się wściekłość i przygnębienie. - Spadł z wysokości co najmniej sześciu metrów!

Abra poczuła, że musi natychmiast coś zrobić. Cokolwiek...

- Nie możemy zabrać go z tego szkła?

- Nie wolno go ruszać. Może mieć złamany kręgosłup.

Kiedy usłyszeli zbliżające się syreny, Abra poderwała się.

- Cody, skontaktuj się z Timem. Trzeba go zawiadomić. A wy, ludzie, cofnijcie się. Przepuście karetkę. - Otarła mokre czoło. - Jak on się nazywa?

- To Dave! - krzyknął któryś z robotników. - Dave Mendez.

- Ma jakąś rodzinę?

- Ma żonę - odezwał się jeden ze świadków wypadku, zaciągając się nerwowo papierosem. To, co przydarzyło się Mendezowi, mogło się równie dobrze przydarzyć każdemu z nich. - Nazywa się Carmen.

- Zajmę się tym - powiedział Cody, kiedy sanitariusze kładli Mendeza na nosze.

- Dzięki. Ja pojedę za ambulansem. Ktoś powinien z nim być. - Abra przycisnęła dłoń do boleśnie skurzonego żołądka. - Jak tylko będzie coś wiadomo, dam ci znać. Zamieniła kilka słów z lekarzem i popędziła do swojego samochodu.

Pół godziny później nerwowo krążyła po szpitalnej poczekalni. Było tam więcej ludzi. Jakaś kobieta czekała z nosem w książce. Abra nie mogła się jej nadziwić - sama była bliska obłądu.

Nie знаła Mendeza, a zarazem dobrze go znała. Od lat pracowała z ludźmi takimi jak on. Robotnikami, którzy nadawali realny kształt temu, co ona i Cody wymyślali na papierze.

Mendez nie należał przecież do jej rodziny, a jednak czuła, że łączy ich wszystkich jakaś więź. Przemierzając poczekalnię, modliła się w duchu, żeby wyszedł z tego zdrowy i cały.

- Abra!

- Cody! - ucieszyła się. - Nie myślałam, że cię tu zobaczę.

- Przywiozłem jego żonę. Podpisuje jakieś papiery.

- Czuję się kompletnie bezużyteczna. Nie zdołałam się niczego dowiedzieć. - Desperackim gestem przecesała włosy. - Co z jego żoną?

- Jest przerażona i zrozpaczona, ale jakoś się trzyma. Mój Boże, ona nie ma więcej jak osiemnaście lat.

Abra pokiwała głową i znów zaczęła krążyć po poczekalni.

- Pójdę do niej. Nie powinna być teraz sama. Dzwoniłeś do Tima?

- Tak. Bardzo się zdenerwował. Kazał się informować na bieżąco.

Abra otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Gdyby coś takiego wydarzyło się za życia starego Thornwaya, natychmiast sam przyjechałby na miejsce wypadku.

- Może powinnam porozmawiać z lekarzem. - Już miała wyjść, kiedy do poczekalni weszła młoda kobieta w ciąży.

- Senior Johnson?

Cody otoczył ją ramieniem i posadził na fotelu.

- Abra, to jest Carmen Mendez.

- Pani Mendez. - Abra ujęła ją za ręce. Były drobne jak u dziecka i bardzo zimne. - Nazywam się Abra Wilson. Jestem naczelnym inżynierem na budowie. Zostanę tu z panią, jeżeli pani chce. Czy mam jeszcze kogoś zawiadomić?

- Tak, *mi madre*. - Łzy popłynęły po twarzy młodej kobiety. - Ona mieszka w Sedonie.

- Może mi pani podać numer jej telefonu?

- *Si*. - Kobieta nie przestawała płakać.

Abra podeszła i objęła żonę Mendeza, po czym zaczęła jej coś tłumaczyć po hiszpańsku. Carmen słuchała, kiwając głową i mnąc w rękach chusteczkę, a w końcu coś cicho odpowiedziała. Abra poklepała ją po ramieniu, a potem przywołała Cody'ego.

- Pobrali się niecały rok temu - powiedziała półgłosem, kiedy wyszli na korytarz. - Jest w szóstym miesiącu. Była zbyt przygnębiona, by zrozumieć, co mówił lekarz, ale z tego, co wie, wzięli go od razu na salę operacyjną.

- Chcesz, to pójdę i spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

Abra pocałowała go w policzek.

- Dzięki. O, i masz tu telefon jej matki. - Wyjęła z kieszeni notes, wyrwała kartkę i zapisała numer.

Potem wróciła do Carmen i próbowała ją pocieszyć. Po chwili zjawił się Cody, któremu nie udało się dowiedzieć niczego nowego. Następne kilka godzin spędzili w poczekalni.

Po jakimś czasie Cody przyniósł kawę dla siebie i Abry, a Carmen namówili na filiżankę herbaty.

- Musi pani coś zjeść - nalegała Abra. - Dla dobra dziecka - dodała, ujmując ją za rękę.  
- Przyniosę coś, dobrze?

- Później, jak przyjdzie doktor. Czemu go jeszcze niema?

- Ciężko tak czekać. Wiem coś o tym... - urwała, bo w drzwiach stanął chirurg w poplamionym krwią fartuchu. Carmen także go zobaczyła i kurczowo ścisnęła Abre za rękę.

- Pani Mendez? - Lekarz zbliżył się i przysiadł obok Carmen. - Mąż jest już po operacji.

Zasypała go potokiem hiszpańskich słów.

- Ona pyta, co z nim? - wyjaśniła Abra. - Czy wyjdzie z tego?

- Jego stan jest już stabilny. Chłopak stracił dużo krwi i ma pęknięty kręgosłup. Miał też liczne obrażenia wewnętrzne, a poza tym trzeba mu było usunąć śledzionę. Ale jest młody i silny...

Carmen zamknęła oczy. Niewiele zrozumiała ze słów lekarza, ale jedno na pewno pojęła - że jej David jest ciężko ranny.

- *Por fawor, czy on umrze?*

- Robimy wszystko, co w naszej mocy. Obrażenia były bardzo poważne. Dlatego musi zostać w szpitalu.

- Mogę go teraz zobaczyć? Chociaż na chwilę? - dopytywała się Carmen.

- Niedługo go pani zobaczy. Jak tylko opuści salę pooperacyjną.

- Dziękuję. - Carmen otarła oczy. - Bardzo dziękuję. Poczekam.

Abra chwyciła lekarza za rękaw, zanim wyszedł na korytarz.

- Jakie ma szanse?

- Szczerze mówiąc, kiedy go przywieźli, był w bardzo ciężkim stanie. Bałem się, że może nie przeżyć operacji. Jednak przeżył i, jak już mówiłem, ma silny organizm.

- Będzie mógł chodzić?

- Za wcześnie, żeby wyrokować, ale mam nadzieję, że tak. - Chirurg poruszył palcami, zeszywniałymi po operacji. - Będzie potrzebował intensywnej rehabilitacji.

- Niech ma wszystko, co potrzeba. Pani Mendez nie zna się na ubezpieczeniach, ale Thornway pokrywa wszystkie rachunki.

- Obawiam się, że będzie ich bardzo dużo. Przy odpowiedniej opiece pacjent wróci do zdrowia. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość.

- Dziękujemy za wszystko, panie doktorze.

Abra oparła się o framugę. Była kompletnie wykończona.

- Źle się czujesz? - zaniepokoił się Cody.

- Już mi lepiej, ale byłam przerażona. On jest taki młody.  
- Byłaś dla niej bardzo miła. Abra spojrzała na Carmen.  
- Dziewczyna potrzebowała kogoś, kto by ją pottrzymał za rękę. Na jej miejscu nie chciałabym być sama.

Przecież to jeszcze para dzieciaków. - Znużona, oparła głowę na ramieniu Cody'ego. - Opowiadała mi, jak się cieszyli na to dziecko, jak oszczędzali na meble i jacy byli szczęśliwi, że jej mąż dostał stałą pracę.

- Nie płacz. - Cody otarł jej łzę z policzka. - Wszystko będzie dobrze.  
- Czułam się taka bezradna, a tego nienawidzę.  
- Chodź, odwiozę cię do domu.

Potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że uszły z niej wszystkie siły.

- Nie chcę jej zostawiać samej.  
- Wobec tego poczekajmy, aż przyjedzie jej matka.  
- Dzięki. Wiesz co, Cody?  
- Słucham?  
- Cieszę się, że tu jesteś. Cody objął ją.  
- Prędzej czy później zrozumiesz, Ruda, że tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Cody siedział w mieszkaniu Abry i patrzył, jak śpi zwinęta w kłębek na sofie. Była naprawdę kompletnie wykończona. Nigdy by nie przypuszczał, że tak głęboko potrafi przeżywać cudze nieszczęście. Zaciągając się papierosem, pomyślał, że nie wie o niej jeszcze wielu różnych rzeczy.

Negatywna reakcja na wiadomość o ślubie matki, jakiej był świadkiem tego ranka, otworzyła mu oczy na pewne sprawy. To nie jeden przykry przypadek, nie pojedyncza zdrada, sprawiły, że panicznie obawiała się emocjonalnych związków. Przyczyn tego należało się dopatrywać w całym jej życiu.

Trudno jej było teraz zaufać mężczyźnie, jeśli się wzrastało przy matce, która tak często zmieniała życiowych partnerów. Czy w takiej sytuacji w ogóle można komukolwiek zaufać? A jednak Abra była z nim, mimo ograniczeń, które im obojgu narzuciła. To już coś.

Będzie potrzebował dużo czasu - znacznie więcej, niż przypuszczał - żeby ją do siebie przekonać, ale dokona tego. Bez względu na koszty.

Podniósł się z fotela, podszedł do sofy i wziął Abre w ramiona.

- Co się dzieje? - Obudzona, zamrugała nieprzytomnie.  
- Jesteś wykończona, Ruda. Przeniosę cię do łóżka.

- Nic mi nie jest. - Oparła mu głowę na ramieniu. - Chciałam się tylko chwilę zdrzemnąć.

- Dokończysz drzemkę w łóżku. - Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Usiadł w nogach łóżka i rozsznurował jej buty.

- Miałam sen - mruknęła.

- O czym? - Postawił buty pod łóżkiem, a potem rozpiął jej spodnie.

- Nie pamiętam, ale to był miły sen - westchnęła. - Co ty robisz? Chcesz mnie uwieść? Cody popatrzył na jej smukłe nogi i wąskie biodra, przysłonięte trójkąciem bawełny.

- Nie w tej chwili.

Wtuliła twarz w poduszkę i sennie mruknęła:

- Dlaczego?

- Bo wolę cię uwodzić, kiedy jesteś przytomna. - Okrył ją prześcieradłem, nachylił się i pocałował. Kiedy chciał się cofnąć, chwyciła go za rękę.

- Wcale nie śpię. - Choć oczy miała zamknięte, jej usta się uśmiechały.

Cody usiadł obok i pogłaskał Abreę po głowie.

- Czy to propozycja?

- Uhm. Nie chcę, żebyś teraz odchodził.

- W takim razie nigdzie nie pójde. - Zdjął buty, wślizgnął się pod prześcieradło i objął Abreę.

- Chcesz się ze mną kochać?

- Chcę - mruknął. Ich usta spotkały się w czułym pocałunku.

Pokój wypełnił się złocistą poświatą. Abra tuliła się do Cody'ego jak stęskniona żona, a jej dotyk podniecał go jak pieszczoty kochanki. Nie rozmawiali ze sobą - słowa nie były im już potrzebne.

Usta Abry były miękkie, nabrziałe od snu. Całował je i całował, a ona tymczasem rozpinała mu koszulę. Chciała go dotykać, poczuć pod dłonią twarde mięśnie. To dziwne, ale w jego ramionach czuła się taka bezpieczna. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jest jej to tak bardzo potrzebne. A teraz nagle poczuła się chroniona, rozpieszczana i pożądana. Cody dawał jej to wszystko, choć przecież o nic nie prosiła. Serce biło mu szybko i mocno, zwielokrotniając echem bicie jej serca.

Właśnie o tym marzyła. Nie tylko przyjemność, nie tylko podniecenie, ale i najzwyklejsze poczucie bezpieczeństwa w ramionach ukochanego mężczyzny.

Otoczyła dłońmi jego twarz i spróbowała okazać mu to, czego nie śmiała wyrazić słowami.

Kochali się niespiesznie, na wpół sennie, a mimo to Abra dawała z siebie wszystko, hojnie obdarzając go swoją miłością, słodką i upajającą.

Powoli zapadał zmierzch. Złota poświata zbladła i poszarzała. W ciszy słyhać było tylko szelest prześcieradeł i przyspieszone oddechy kochanków. Oczy Abry świeciły w półmroku, rozpalone pożądaniem.

Patrząc na nią, Cody pomyślał, że na zawsze zapamięta te chwile. Zanurzył palce w jej włosy i napawał się jej widokiem, a potem opuścił głowę i dotknął ustami jej ust.

Jęknęła cicho i przyciągnęła go bliżej. Jego czułość napawała ją lękiem. W oczach miała łzy, gardło ściśnięte. Wymówiła jego imię, wkładając w nie całą miłość, jaka przepelniała jej serce.

Tulili się do siebie jak para rozbitków pośród sztormu. Wciąż siebie spragnieni, nie mogli się sobą nasycić. A kiedy miejsce czułości zajęła namiętność, zaczęli się tarzać po łóżku, wśród zmiętych prześcieradeł. Aż w końcu chwycili się za ręce, spojrzeli sobie w oczy, i Abra osunęła się na Cody'ego, żeby go w siebie przyjąć. Kiedy ją sobą wypełnił, wygięła się w łuk i głośno krzyknęła. Nie bezradnie, lecz triumfalnie.

A potem słońce zgasło i spowiła ich ciemność.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jestem ci bardzo wdzięczna, że zechciałeś mi towarzyszyć.

Cody zerknął spod oka na Abreę. Zajechali właśnie przed hotel, w którym zatrzymali się państwo W.W. Barlow.

- Nie bądź niemądra - powiedział.

- Mówię serio. - Abra nerwowo sięgnęła do naszyjnika. Hotelowy boy podbiegł i otworzył drzwi wozu. - W końcu to mój problem. Rodzinny. - Wysiadła i czekała, aż Cody do niej dołączy. - Naprawdę bardzo nie chciałam iść sama na tę kolację.

Po raz kolejny Cody ze zdumieniem odkrył, że drze mią w niej takie pokłady niepewności. Ona, która nie wahała się wkroczyć pomiędzy dwóch rozsierdzonych robotników, o pięściach jak bochny, bała się teraz rodzinnej kolacji z matką i jej nowo poślubionym mężem.

Potrząsnął głową, schował kwit parkingowy do kieszeni, a potem ujął Abreę pod rękę i wprowadził do foyer.

- Nie jesteś sama. A poza tym nie widzę powodu, żeby traktować to spotkanie jak jakąś ogniową próbę.

- No to czemu już czuję, że będzie gorąco? - spytała, kiedy szli w stronę sali restauracyjnej.

- Nie idziesz na przesłuchanie w Departamencie Stanu, Wilson. Idziesz na kolację z własną matką i jej mężem.

Abra prychnęła śmiechem.

- Mam w tym względzie duże doświadczenie. - W drzwiach sali przystanęła. - Przepraszam. Żadnych uszczypliwych uwag, aluzji, żadnych dąsów. - Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i dumnie uniosła głowę.

Cody otoczył dłońmi jej twarz.

- Jak sobie życzysz. Ale myślałem, że przynajmniej w trakcie przystawek będę mógł pozwolić sobie na dąsy.

Znowu się roześmiała, tym razem szczerze.

- Masz na mnie dobry wpływ, Cody. Niespodziewanie pocałował ją w usta.

- Bo jestem dla ciebie najlepszym partnerem, Ruda.

- Dobry wieczór - powitał ich kierownik sali, cały w uśmiechach. Widocznie miał słabość do zakochanych par. - Stolik dla dwojga?



- Nie. - Cody ujął Abre za rękę. - Jesteśmy umówieni z państwem Barlow.

- Ach tak, oczywiście - promieniał zarządzający. - Właśnie przyszli. Proszę za mną.

Jak na kolację pora była jeszcze dość wczesna, więc restauracja była prawie pusta. Łososiowe obrusy i turkusowe serwetki leżały na stolikach, przygotowanych dla gości, którzy zaczęli się schodzić w ciągu najbliższych dwóch godzin. Pośrodku sali, w cieniu palm, cicho szemrała miniaturowa fontanna. Nie zapalono na razie świec, bo słońce sączyło się jeszcze przez zasłony. Zgodnie z tym, co powiedział szef sali, nowożeńcy siedzieli już przy stoliku, trzymając się za ręce. Barlow zauważył ich pierwszy i z nerwowym uśmiechem poderwał się z krzesła.

- W samą porę. Cieszę się, że udało ci się przyjść.

- Chwył Cody'ego za rękę i mocno nią potrząsnął, a potem niepewnie zwrócił się do Abry - Czy mogę ucałować moją pasierbicę?

- Oczywiście. - Mimo iż słowo „pasierbica” wydało jej się okropne, podsunęła mu policzek. Nieoczekiwanie znalazła się w niedźwiedzim uścisku. Odwzajemniła go - w pierwszej chwili instynktownie, a potem z uczuciem, które ją samą zdumiało.

- Zawsze chciałem mieć córkę - tłumaczył się Barlow, podsuwając jej krzesło - ale nigdy nie sądziłem, że uda mi się to w tak sędziwym wieku.

Abra, lekko skrepowana całą sytuacją, nachyliła się i pocałowała matkę w policzek.

- Ślicznie wyglądasz. Czy wyjazd wam się udał?

- O tak. - Jessie rozłożyła na kolanach serwetkę.

- Czuję, że pokocham Dallas. Mam nadzieję... to znaczy, mamy nadzieję, że znajdziesz czas, żeby nas tam odwiedzić.

- Będzie tam dla ciebie przygotowany pokój. - Barlow rozluźnił krawat. - Żebyś mogła się czuć jak u siebie w domu.

- To miło z waszej strony - mruknęła Abra.

- Dlaczego miło? - Barlow przygładził włosy. - Przecież jesteśmy teraz rodziną.

- Czego się państwo napiją na początek? - Szef sali z uśmiechem nachylił się nad stolikiem. Nieczęsto zdarzało mu się gościć u siebie tak zamożnego człowieka jak Barlow.

- Szampana. Dom Perignon rocznik siedemdziesiąty pierwszy. - Barlow nakrył ręką dłoń Jessie. - Obchodzimy małą uroczystość.

Po odejściu kelnera zapadła przytłaczająca cisza. Cody pomyślał o gwarnych, radosnych posiłkach w swoim rodzinnym domu. Kiedy dłoń Abry odszukała pod stołem jego rękę, postanowił włączyć się do rozmowy.

- Liczę na to, że wpadniecie na budowę przed wyjazdem do Dallas.

- Tak, tak. Miałem takie plany. - Barlow wyraźnie się ucieszył.

Cody rozsiadł się wygodnie i skierował rozmowę na bezpieczny grunt.

Abra nagle zdała sobie sprawę, że matka i Barlow także są spięci. Tylko Cody czuł się swobodnie i starał się podtrzymać konwersację. Jessie gniotła nerwowo serwetkę i od czasu do czasu uśmiechała się z przymusem, a Barlow to szarpał się za krawat i chrząkał, to dotykał ręki Jessie.

Pewnie próbują dodać sobie otuchy, pomyślała Abra. A wszystko z jej powodu. Nagle poczuła się jak ostatnia egoistka. Bez względu na to, co sądziła o obecnym małżeństwie matki z Barlowem, musiała przyznać, że są w sobie zakochani. Swoimi dąsami nie pomoże nikomu, a tylko sprawi wszystkim przykrość. Również samej sobie.

Kiedy przyniesiono butelkę, wszyscy odetchnęli z ulgą. Rozpoczęła się mała dyskusja na temat marki wina, korek wystrzelił niemal bezszelestnie, a na koniec Barlow upił na próbę mały łyk. Kiedy z aprobatą pokiwał głową, szampan został rozlany do kieliszków.

- No tak. - Barlow uśmiechnął się nerwowo.

- Chciałbym wznieść toast - odezwał się Cody.

- Nie, poczekaj. - Abra dotknęła jego ramienia. Zapadła cisza. Jessie i Barlow chwycili się za ręce. - Ja pierwsza chciałabym wznieść toast. - Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Zawsze radziła sobie lepiej z liczbami. - Za wasze szczęście - powiedziała, żałując, że nie potrafi nic lepszego wymyślić. Stuknęła się z matką, a potem z Barlowem. - Mam nadzieję, że będziesz kochał moją mamę tak bardzo jak ja. Cieszę się, że trafiliście na siebie.

- Dziękuję. - Jessie pociągnęła łyk szampana, żeby ukryć wzruszenie, a potem nagle się poddała. - Muszę przypudrować nos. Przepraszam na chwilę.

Odeszła pospiesznie od stolika, a Barlow patrzył za nią z uśmiechem, mrugając oczami.

- To było miłe z twojej strony. Naprawdę miłe. - Ścisnął Abre za rękę. - Będę o nią dbał, możesz być tego pewna. Człowiekowi w moim wieku nieczęsto trafia się szansa, żeby zacząć wszystko od nowa. Zrobię, co w mojej mocy, żeby jak najlepiej wykorzystać tę szansę.

Abra wstała i przytuliła policzek do jego policzka.

- Jestem tego pewna. Zaraz wracam - powiedziała, po czym pobiegła w ślad za Jessie.

- Kiedy na nią patrzę, pękam z dumy - odezwał się Barlow. - Niezła z nich parka, prawda?

- Można tak powiedzieć - zgodził się Cody. Sam także czuł się bardzo dumny.

- A teraz, skoro zostaliśmy sami... Jessie powiedziała mi, że ty i Abra... że jesteście ze sobą...

Cody uniósł z uśmiechem brwi.

- O, widzę, że już wszedłeś w rolę troskliwego tatusia.

Barlow, speszony, zaczął się wiercić na krześle.

- Jak już mówiłem, nigdy dotąd nie miałem córki. A teraz nagle obudziły się we mnie instynkty opiekuńcze. Jessie bardzo zależy na tym, żeby dziewczyna była szczęśliwa i zabezpieczona. Uważa, że Abra żywi do ciebie poważne uczucia. Więc jeżeli ty nie traktujesz jej poważnie, to...

- Kocham ją. - No proszę, powiedział to na głos i nagle poczuł się wspaniale. Napawał się przez chwilę tym uczuciem, podniecającym jak wino. Nigdy by nie przypuszczał, że będzie mu z tym tak dobrze i że tak łatwo przyjdzie mu powiedzieć te słowa. Powtórzył je jeszcze raz - Kocham ją. Chcę się z nią ożenić. - Drugie zdanie było dla niego zaskoczeniem. Nie dlatego, żeby nie planował wspólnej przyszłości. Ale myśl o małżeństwie, z jego trwałością i nieodwracalnością, była dla niego czymś nowym. Niespodzianką, i to miłą.

- No, no... - podwójnie zadowolony, Barlow znowu uniósł kieliszek. - Prosiłeś ją już o rękę?

- Nie... jeszcze nie... Wszystko w swoim czasie. Barlow parsknął śmiechem i poklepał go po plecach.

- Trudno o większego głupca niż młody, zakochany facet. Chyba że w grę wchodzi stary zakochany facet. Pozwól, że coś ci powiem, chłopcze. Człowiek próbuje sobie zaplanować te rzeczy, żeby wszystko było jak należy - właściwy czas, właściwe miejsce, odpowiedni nastrój - ale to się nigdy nie uda. Może jesteś jeszcze zbyt młody, żeby docenić wagę czasu, ale uwierz mi, że nie ma nic gorszego, niż kiedy człowiek patrzy wstecz i widzi, ile tego czasu zmarnował. Ta dziewczyna... moja córka - wypiął dumnie pierś - to prawdziwy skarb. Radzę ci, chwytaj okazję, zanim ktoś inny sprzątnie ci ją sprzed nosa. Napij się. - Dolał Cody'emu szampana. - Łatwiej się oświadczyć, kiedy człowiek jest na luzie. Ja za oboma razem musiałem się upić.

Cody pokiwał z roztargnieniem głową i uniósł kieliszek.

W pokoju dla pań Jessie siedziała na fotelu i siąkała w chusteczkę. Abra rozejrzała się bezradnie wokoło, a potem przysiadła się do niej.

- Czy powiedziałam coś niewłaściwego? Jessie potrząsnęła głową i otarła oczy.

- Nie, powiedziałaś dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Jestem bardzo szczęśliwa. -  
Zarzuciła jej ręce na szyję i rozszlochała się. - Tak się strasznie denerwowałam przed  
dzisiejszym spotkaniem. Bałam się, że mnie znienawidziłaś.

- Nigdy czegoś takiego nie było. Nie mogłabym cię znienawidzić. - Abra poczuła, że i  
jej oczy zachodzą łzami. - Przepraszam. Tak mi przykro, że na początku byłam niemila.

- Nie, wcale nie. Nigdy nie byłaś dla mnie niemila. Tylko na ciebie mogłam zawsze  
Uczyć. Mam wrażenie, że za dużo od ciebie wymagałam. Tak, to prawda - powtórzyła, kiedy  
Abra potrząsnęła głową. - Wiem ile przeze mnie wycierpiałas i jest mi przykro. Żałuję, że nie  
mogę tego cofnąć. - Odsunęła się. Policzki miała zalane, łzami. - Choć, prawdę mówiąc, sama  
nie wiem, czy bym cokolwiek zmieniła w moim życiu, gdybym miała taką szansę. Popełniłam  
tyle błędów, kochanie, a ty musiałaś za nie płacić. - Otarła twarz córki swoją wilgotną  
chusteczką. - Zawsze myślałam przede wszystkim o sobie, i masz prawo mną za to pogardzać.

Czasami rzeczywiście tak było, a niekiedy pogarda była bliższa rozpaczy. Jednak  
dzisiaj Abra nie chciała o tym myśleć. Uśmiechnęła się.

- Pamiętasz tego chłopaka, Boba Hardy'ego, który zepchnął mnie z roweru? Miałam  
wtedy jakieś jedenaście lat. Wróciłam do domu z pokrwawionymi kolanami i podartą bluzką.

- Tego małego chuligana? - Jessie zacisnęła usta. - Chciałam spuścić mu lanie.

Na samą myśl o tym, że Jessie miałyby komukolwiek spuścić lanie, Abra roześmiała  
się.

- Umyłaś mnie, pocałowałaś w podrapane kolana i obiecałaś kupić nową bluzkę. A  
potem pomaszerowałaś prosto do pani Hardy.

- Tak właśnie było. A kiedy... skąd o tym wiesz? Miałas czekać w swoim pokoju.

- Ale poszłam za tobą. - Abra nie przestawała się uśmiechać na to wspomnienie. -  
Ukryłam się w krzakach za drzwiami i podsłuchiwałam.

Jessie zaczerwieniła się i schowała chusteczkę do torebki.

- Słyszałaś, co jej powiedziałam? Wszystko?

- I byłam zaskoczona. - Abra ze śmiechem ujęła matkę za rękę. - Nigdy bym nie  
pomyślała, że znałaś takie słowa, a tym bardziej że mogłabyś ich użyć. I to tak... skutecznie.

- To była stara tłusta wiedźma - prychnęła Jessie. - Jak można tak wychować swoje  
dziecko? Tego bachora, który zepchnął z roweru moją córeczkę.

- Kiedy skończyłaś tyradę, jadła ci z ręki. Jeszcze tego samego wieczoru  
przyprowdziła za ucho swojego synalka, żeby mnie przeprosił. Poczułam się wtedy jak ktoś  
bardzo ważny.

- Teraz kocham cię dokładnie tak samo. A może nawet bardziej. - Jessie delikatnie pogłaskała córkę po głowie. - Nigdy nie wiedziałam, jak postępować z małym dzieckiem. Znacznie łatwiej rozmawia mi się z dorosłą kobietą.

Abra poczuła, że nareszcie zaczyna wszystko rozumieć. Pocałowała Jessie w policzek.

- Tusz ci się rozmazał.

- Ojej! - Jessie spojrzała w lustro i wzdrygnęła się. - Jak ja wyglądam?! Jak mnie Willie zobaczy w takim stanie, gotów uciec, gdzie pieprz rośnie.

- Wątpię, żeby chciał coś takiego zrobić, ale na wszelki wypadek popraw makijaż. A potem wracamy do stolika, bo nam wypiją całego szampana.

- Nie było aż tak źle. - Po wejściu do mieszkania Cody natychmiast zdjął krawat.

- Rzeczywiście, masz rację. - Abra z ulgą zrzuciła buty. Czowała się naprawdę świetnie. Może tym razem małżeństwo jej matki okaże się udane? A może nie? Ale bez względu na to, jak sprawy się potoczą, tego wieczoru matka i córka wreszcie się dogadały. - Prawdę mówiąc, było bardzo miło. Szampan, kawior i jeszcze raz szampan. Czuję, że mogłabym się do tego przyzwyczaić. - Kiedy Cody podszedł do okna, żeby wyjrzeć na dwór, stwierdziła z niepokojem. - Jesteś trochę rozkojarzony.

- Co? - Odwrócił się i spojrzał na nią. Miała na sobie białą sukienkę, przewiazaną w pasie zieloną szarfą. Ilekroć zakładała coś kobiecego, jej uroda powalała go wręcz na kolana. Nie, to nieprawda. Kogo próbuje okłamać? Zawsze robiła na nim niesamowite wrażenie. Nawet w roboczym kombinezonie i ciężkich buciorach.

Pod jego spojrzeniem Abra zmieszana się.

- Byłam przesadnie skupiona na sobie tego wieczoru, mimo to zauważyłam, że nagle zamilkłeś. Co się stało? Coś jest nie tak?

- Nie, nie. Po prostu mam... parę ważnych spraw na głowie. To wszystko.

- Chodzi może o twój projekt? Są jakieś problemy?

- Nie, nie chodzi o projekt. - Podszedł do niej z rękami w kieszeniach. - I może to wcale nie jest problem.

Abrze nagle zlodowaciały dłonie. Cody patrzył na nią przenikliwymi, pociemniałymi oczyma. I był taki poważny. Pewnie chce ze mną zerwać, pomyślała i serce zatrzepotało jej w piersi. Chce teraz wszystko zakończyć i wracać na wschód. Zwilżyła wargi i czekała, gotowa przyjąć najgorszy wyrok. Zawsze sobie obiecywała, że kiedy nadejdzie ten moment, będzie silna. I będzie się starała nie zniszczyć tego, co przeżyli. A teraz nagle poczuła, że ma ochotę umrzeć.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Cody rozejrzał się po pokoju. Panował w nim, jak zwykle, straszliwy bałagan. Nie było ani świec, ani nastrojowej muzyki. A on nie miał dla Abry ani róż, ani pierścionka z brylantem. Z drugiej strony, nie należał do mężczyzn, którzy zwykli na klęczkach prosić o rękę.

- Tak, chyba tak...

Przerwał mu ostry dźwięk telefonu. Abra drgnęła nerwowo. Podeszła jak w transie i podniosła słuchawkę.

- Halo? Tak, tak, już go proszę. - Z pobladłą twarzą podała mu słuchawkę. - Dzwoni twoja matka.

- Mama? - W głosie Cody'ego zabrzmiał niepokój. - Nie, nie. Nie ma sprawy. No i jak? Wszystko w porządku?

Abra odwróciła się. Fragmenty rozmowy wpadały jej do głowy jednym uchem, a wylatywały drugim. Jeżeli Cody chce z nią zerwać, musi być silna i pogodzić się z jego decyzją. Podeszła do okna i zapatrzyła się w ciemność.

Nie, to nie tak. Wszystko od początku było nie tak. Przecież go kocha. A skoro go kocha, dlaczego ma się godzić na to, że to już koniec? I czemu automatycznie zakłada, że Cody chce wyjechać? To okropne, pomyślała, zaciskając powieki. To okropne, że czuje się tak niepewna w stosunku do jedynej osoby, na której jej tak naprawdę zależy.

- Abra?

- Tak? - Odwróciła się. - Wszystko w porządku?

- Na szczęście tak. Podałem mojej rodzinie twój numer i numer do hotelu.

- Dobrze zrobiłeś. - Uśmiechnęła się z przymusem.

- Kilka miesięcy temu mój ojciec miał kłopoty z sercem. Przez moment wyglądało to nawet bardzo groźnie.

Nagły przyptyw współczucia sprawił, że zapomniała o nerwach.

- Och, tak mi przykro. Jak on się teraz czuje?

- Dobrze. Wygląda na to, że już wszystko w porządku. - Cody sięgnął po papierosa. Telefon od matki przyniósł mu ulgę, ale sprawa Abry nadal nie dawała mu spokoju. - Dzisiaj przeszedł szczegółowe badania. Nie ma już powodów do niepokojów. Mama zadzwoniła, żeby mnie natychmiast zawiadomić.

- Tak się cieszę. To musiało być straszne - urwała, bo nagle uderzyła ją pewna myśl. - Kilka miesięcy temu? Czyli akurat wtedy, kiedy mieliśmy wstępne narady?

- Dokładnie tak.

Zamknęła z westchnieniem oczy. Zobaczyła siebie, w tej przyczepie, pierwszego dnia, jak stoi i musztruje Cody'ego, wymyślając mu od rozpieszczonych basałyków.

- To ty powinieneś być mi wtedy wylać piwo na głowę.

Cody podszedł i wziął ją w ramiona.

- Owszem, przyszło mi to nawet do głowy.

- Trzeba mi było powiedzieć.

- To nie była twoja sprawa - przynajmniej wtedy. - Podniósł do ust jej rękę. - Ale teraz wszystko się zmieniło, Abra...

Tym razem na dźwięk telefonu głośno zaklął.

- Wyrwij ten cholerny telefon z gniazdka, dobrze? Roześmiała się i poszła odebrać.

- Halo? Tak, tu Abra Wilson. Pani Mendez? Tak. Jak się czuje pani mąż? To dobrze. Nie, nie ma o czym mówić, to nie był żaden kłopot. Cieszę się, że mogliśmy coś dla państwa zrobić. - Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki, bo Cody podszedł i zaczął całować ją w szyję. - Teraz? Szczerze mówiąc... Nie, nie, oczywiście, że nie. Skoro to takie ważne. Będziemy za jakieś dwadzieścia minut. W porządku. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Cody'ego.

- To była Carmen Mendez.

- Domyśliłem się. Gdzie mamy być za dwadzieścia minut?

- W szpitalu. - Rozejrzała się, szukając torebki. - Zachowywała się bardzo dziwnie. Była bardzo zdenerwowana, chociaż Mendezę wypisali już z oddziału intensywnej terapii i podobno czuje się lepiej. Nalegała, że musi z nami natychmiast porozmawiać. .

- W porządku - westchnął Cody. Skoro Abra mówiąc to, wkładała buty, to znaczy, że podjęła już decyzję. - Pojadę, ale pod jednym warunkiem.

- Mianowicie?

- Że po powrocie nie będziemy odbierać żadnych telefonów.

Mendezę zastali w izolatce. Leżał na wznak, na szpitalnym łóżku, a żona siedziała obok, trzymając go za rękę.

- Dobrze, że państwo przyszli.

- Cieszę się, że pani mąż lepiej się czuje. - Abra położyła dłoń na ramieniu Carmen i spojrzała na leżącego mężczyznę. Był młody, zbyt młody jak na głębokie bruzdy cierpienia, rysujące mu się wokół oczu i ust. - Co możemy dla was zrobić? - urwała speszona, bo nagle oczy Mendezę napęłniły się łzami.

- Nic. *Gracias*. Żona mówiła mi, że pani była tak dobra i została z nią, żeby się wszystkim zająć.

Carmen nachyliła się nad nim i zaczęła mówić coś po hiszpańsku, ale tak cicho, że Abra nie dosłyszała jej słów.

- Si. - Mendez oblizwał wargi. - Byłem pewny że umrę, a nie mogę umrzeć, mając takie grzechy na sumieniu. Wszystko powiedziałem już Carmen. Rozmawialiśmy o tym. - Spojrzał na żonę, która pokiwała głową, jakby chciała mu dodać odwagi. - Postanowiliśmy, że wam o tym powiemy. - Przełknął ślinę i zamknął na moment oczy. - Wtedy nie wydawało mi się to takie złe, a potrzebowaliśmy pieniędzy. Kiedy pan Tunney mnie poprosił, czułem, że to nie jest w porządku, ale zrobiłem to dla Carmen i dziecka. No i dla siebie też.

Abra przysunęła się bliżej. Nad łóżkiem Mendeza wymienili z Codym krótkie spojrzenie.

- O co prosił cię Tunney? - zapytał Cody.

- Tylko żebym nie patrzył w tę stronę. Miałem udawać, że nic nie widzę. Większość kabli, używanych na budowie, to substandard.

Abra poczuła, jak serce osuwa jej się do żołądka, a krew zastyga w żyłach.

- Tunney płacił ci za to, żebyś instalował nienormatywny drut?

- Si. To znaczy, nie wszędzie. Nie wszystkim ludziom można było zaufać. Jak przychodziła dostawa, brał kilku z nas i kazał nam instalować dwunastkę. Płacił nam za to co tydzień. Gotówką. Wiem, że mogę iść za to do więzienia. Żona też wie. Ale postanowiliśmy zrobić, co do nas należy, i powiedzieć prawdę.

- To bardzo poważne oskarżenie. - Abra przypomniała sobie szpule drutu, które sama oglądała. - Ktoś przecież kontrolował te dostawy.

- Si. Tunney załatwił to w ten sposób, że kontrole zawsze przeprowadzał ten sam inspektor. On też był opłacany. Przychodził, kiedy pani i pan Johnson byliście zajęci gdzie indziej. Tak, żebyście niczego nie zauważyli.

- Jak Tunney mógł to załatwić... - Abra zamknęła na moment oczy. - Czy Tunney działał na czyjeś polecenie?

Mendez znów ścisnął żonę za rękę. Tego pytania najbardziej się obawiał.

- Si. Dostawał polecenia. Od pana Thornwaya - wyszeptał. Carmen szybko podsunęła mu kubek z wodą, żeby mógł zwilżyć spierzchnięte usta. - A podmieniali nie tylko kable. Słyszałem to i owo. Trochę betonu, trochę stali, i tak dalej. Trochę - powtórzył. - Nie wszystko. Myślałem, że tak trzeba, bo pan Thornway to wielki przedsiębiorca i zna się na budowie. Ale kiedy opowiedziałem o tym Carmen, uznała, że to wstyd i że tak nie wolno.

- Oddamy te pieniądze. - Carmen odezwała się po raz pierwszy. Oczy miała zalęknione, jak w dniu wypadku, ale jej głos brzmiał mocno i zdecydowanie.



- O to się teraz nie martwicie. - Abra pogłaskała ją po głowie. - Ani o inne rzeczy. Postąpiliście słusznie. Razem z panem Johnsonem zajmiemy się tą sprawą. Może będziemy musieli jeszcze raz z wami porozmawiać. Będziecie też musieli złożyć zeznania na policji.

Carmen położyła rękę na wydatnym brzuchu.

- Zrobimy, co pani każe. *Por favor, senorita* Wilson, mój mąż nie jest złym człowiekiem.

- Wiem. Przestańcie się tym zadręczać.

Abra wychodziła z pokoju z uczuciem, jakby dostała potężny cios w głowę.

- I co teraz zrobimy? - zwróciła się do Cody'ego.

- Musimy się natychmiast zobaczyć z Timem. - Cody położył jej dłoń na ramieniu. - Zadzwoń do Nathana. On też musi o tym wiedzieć.

Abra pokiwała głową. Cody ruszył w stronę automatów telefonicznych.

W drodze do Tima nie rozmawiali ze sobą. Abra myślała wyłącznie o tym, ile serca włożył stary Thornway w swoją firmę, jak budował jej reputację i jak bardzo był z niej dumny. Ona także dzieliła z nim tę dumę. A teraz jego syn w jednej sekundzie zniweczył wieloletnie wysiłki ojca.

- Powinam była się domyślić - mruknęła.

- Jak to? - Cody był zdruzgotany. Jego plany i marzenia także legły w tym momencie w gruzach.

- Tego dnia, kiedy Mendez miał wypadek. Rozmawiałam wtedy z Tunneyem. Przyszła dostawa, którą przypadkowo skontrolowałam. Przysłali same dwunastki. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Tunney wcisnął mi bajeczkę, że ktoś pomylił numery zamówienia. Kiedy rozmawialiśmy o tym, zdarzył się ten wypadek, a potem już do tego nie wracaliśmy. Niech to wszyscy diabli, Cody. Nawet o tym nie pomyślałam.

- Nie miałaś podstaw, żeby go podejrzewać. Albo Thornwaya. - Cody zatrzymał wóz przed rezydencją Tima. - Poczekaj tu. Sam wszystko załatwię.

- Nie. - Abra pchnęła drzwi. - Muszę być przy tym.

Kilka chwil później czekali w przestronnym foyer. Tim zszedł do nich z góry, w eleganckim smokingu.

- Abra, Cody! Co za niespodzianka! Złapaliście nas w ostatniej chwili, bo właśnie wychodzimy z Marci na przyjęcie. Marci jeszcze się ubiera.

- Obawiam się, że się spóźnicie - szorstko powiedział Cody. - Ta sprawa nie może czekać.

- To brzmi poważnie. - Tim zerknął na zegarek, po czym poprosił ich do biblioteki. - Oczywiście dla was zawsze znajdę kilka minut. Marci nigdy nie jest gotowa na czas. - Podszedł do barku. - Co mogę wam zaproponować?

- Wyjaśnienie. - Abra zrobiła krok w jego stronę. Chciała spojrzeć mu w oczy. - Wy tłumacz nam, dlaczego używasz na budowie materiałów nienormatywnych i o zaniżonej jakości.

Timowi zadrżała ręka. Kilka kropel whisky rozlało się na podłogę. To wystarczyło Abrze, żeby się upewnić o jego winie.

- O czym ty mówisz, na Boga?

- O materiałach niezgodnych z zamówieniem. O przekrętach i łapówkach. - Chwyciła go za rękę, kiedy podnosił szklaneczkę do ust. - Mówię o tym, że zniszczyłeś coś, na co twój ojciec pracował przez całe życie.

Tim odwrócił się. Mimo iż w pokoju było chłodno, nad jego górną wargą perlił się pot.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale nie pozwolę się niesłusznie oskarżać. - Jednym haustem wychylił whisky, po czym nalał sobie kolejną. - Wiem, że mój ojciec darzył cię szczególną sympatią, Abra, i że czujesz się związana z moją firmą, ale to cię nie usprawiedliwia. ..

- Uważaj! - Głos Cody'ego zabrzmiał podejrzenie miękko i łagodnie. - Licz się ze słowami, albo połamię ci rękę.

Tim oblał się zimnym potem.

- Nie masz prawa grozić mi w moim własnym domu! - Chciał wybiec z pokoju, ale Cody zastąpił mu drogę.

- Zostaniesz tu i wysłuchasz wszystkiego, co mamy ci do powiedzenia. Zabawa skończona. Wiemy o materiałach, o przekupionych inspektorach, o robotnikach, którym płaciłeś za to, żeby wykonywali twoje polecenia i trzymali gębę na kłódkę. Na twoje nieszczęście okazało się, że niektórzy z nich mają jeszcze sumienie.

- To śmieszne! Jeżeli ktoś oszukiwał na materiałach, dowiem się o tym. Możecie być pewni, że zarządzę śledztwo.

- Tak mówisz? To świetnie. - Abra położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała w oczy. - Wezwij komisję budowlaną.

- Tak właśnie zrobię.

- Teraz! - Ścisnęła go mocniej za rękę, bo próbował się wyrwać. - Na pewno znasz domowy numer inspektora. Możemy się spotkać jeszcze tej nocy.

Tim znów sięgnął po szklanę.

- Nie mam zamiaru przeszkadzać inspektorowi w sobotę wieczorem.

- Myślę, że ta sprawa bardzo go zainteresuje. - Widząc w jego oczach strach, Abra zadała ostatni cios. - A skoro już o tym mówimy, czemu nie miałbyś też zadzwonić do Tunneya? Inspektor na pewno będzie chciał z nim porozmawiać. Mam wrażenie, że Tunney nie zechce wziąć na siebie całej winy.

Tim bez słowa osunął się na fotel. Drobnymi łyżkami opróżnił szklaneczkę aż do dna.

- Moglibyśmy się jakoś dogadać - odezwał się błagalnym tonem. - Biznes to biznes, chyba sami rozumiecie. Czasami trzeba iść na skróty. Ale to przecież nie zbrodnia.

- Powiedz mi dlaczego? - Skoro już usłyszała to, co chciała, nagle opuścił ją gniew. - Czemu zaryzykowałeś wszystko dla kilku dolarów ekstra?

- Kilku dolarów ekstra? - Tim chwycił ze śmiechem butelkę i napełnił sobie szklaneczkę. Już i tak wypił za dużo i za szybko, ale rozpaczliwie potrzebował alkoholu. - To były grube tysiące. Tu trochę obetniesz, tam przykręcisz, i robią się z tego pokaźne sumy. A ja potrzebowałem pieniędzy. - W miarę jak pił, zdawał się uspokajać. - Nie wiecie, jak to jest być synem, od którego wszyscy oczekują, że co najmniej dorówna ojcu. A poza tym jest jeszcze Marci. - Spojrzał w górę, jakby mógł ją zobaczyć w pokoju na piętrze. - Jest piękna, ambitna i ma olbrzymie potrzeby. Im więcej jej daję, tym więcej żąda. Nie mogę sobie na to pozwolić, żeby ją stracić. - Ukrył twarz w dłoniach. - Jeżeli chodzi o ten projekt, złożyłem zaniżoną ofertę. Myślałem, że jakoś to przepchnę. Nie miałem wyjścia. Mam długi, i to u niewłaściwych ludzi. Odkąd przejąłem firmę, wszystko szło nie tak. Na samym projekcie Lietermana straciłem pięćdziesiąt tysięcy. - Podniósł wzrok na Abre, ale ona milczała. - To nie był pierwszy raz. Przez ostatnie dziewięć miesięcy byłem pod kreską. Musiałem to jakoś nadrobić. Wydawało mi się, że to najlepszy sposób. Gdyby mi się udało dotrzymać terminów i obciąć koszty, wyciągnąłbym się z długów.

- A gdyby wysiadła instalacja elektryczna? - wtrącił się Cody. - Albo gdyby konstrukcja nie wytrzymała? Co wtedy?

- Nie musiało tak być. Trzeba było podjąć ryzyko. Nie miałem innego wyjścia. Przecież Marci musi żyć na odpowiedniej stopie. Mam jej powiedzieć, że nie pojedziemy do Europy, bo interesy są zagrożone?

Abra popatrzyła na Tima. Nagle zrobiło jej się go żal.

- Obawiam się, że będziesz jej musiał powiedzieć znacznie więcej.

- Prace na budowie nie zaczną się w poniedziałek, Tim. - Cody poczekał, aż Tim na niego spojrzy. - Nie zaczną się w ogóle, póki nie zostanie przeprowadzone śledztwo. Nawarzyłeś sobie piwa, to je teraz musisz wypić. No to kto zadzwoni do inspektora? Ty czyja?

Tim był już kompletnie pijany. Dzięki temu poczuł się pewniej.

- Nikomu nie mówiliście?

- Jeszcze nie - odparła Abra. - Masz rację, że byłam przywiązana do twojego ojca i do firmy i czuję się za wszystko odpowiedzialna. Dlatego chcę dać ci szansę, żebyś sam naprawił to, co zepsułeś.

Naprawił? - pomyślał w panice firm. Jak, na Boga, można to jeszcze naprawić? Jedna oficjalna inspekcja - i to już koniec.

- Najpierw muszę porozmawiać z Marci. Muszę ją przygotować. Dajcie mi jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Cody zaczął protestować, ale Abra dotknęła jego ręki. Tryby zostały już wprowadzone w ruch, pomyślała. Jeden dzień nie ma większego wpływu na to, co się już zaczęło. Da mu ten dodatkowy dzień, przez wzgląd na pamięć jego ojca.

- Zwołasz zebranie w swoim biurze? Dla wszystkich?

- A mam inny wybór? - wybełkotał Tim. - Przecież tracę wszystko, prawda?

- Może za to odzyskasz szacunek do samego siebie. - Cody ujął Abre za rękę. - Czekam na twój telefon do jutra, do dziewiątej wieczorem. Jeżeli się nie odezwiesz, my zadzwonimy, gdzie trzeba.

Kiedy wyszli na dwór, Abra ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, to straszne!

- I wcale nie będzie lepiej.

- Nie. - Wyprostowała się i spojrzała na dom. W bibliotece wciąż paliło się światło. - To miała być moja ostatnia praca w tej firmie. Nie myślałam, że tak się to skończy.

- Chodźmy.

Tim usłyszał warkot samochodu i poczekał, aż umilknie w oddali. Jego żona, jego piękna, samolubna żona, stroiła się na górze. W nagłym przypływie wściekłości cisnął szklaneczką o ścianę. Nienawidził Marci. I uwielbiał ją. Wszystko, co robił, robił tylko dla niej. Żeby była szczęśliwa. Żeby ją przy sobie utrzymać. Bo gdyby go opuściła...

Nie, nie potrafi znieść tej myśli. Nie potrafiłby też znieść skandalu i oskarżeń. Ukrzyżowaliby go, straciłby firmę, dom i swój status. Straciłby żonę.

Może jest jeszcze jakaś szansa? Przecież zawsze jest jakaś szansa. Potykając się, podszedł do telefonu i wykręcił numer.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Może sprawił to wieczór pełen napięcia, a może to, że musieli być świadkami cudzej rozpaczki i upokorzenia - w każdym razie potrzebowali siebie jak nigdy dotąd. Po powrocie do domu rzucili się bez słowa na łóżko i zaczęli się kochać, żeby dodać sobie odwagi i zablokować gniew oraz uczucie rozczarowania.

Mieli prawo czuć się oszukani. Budowali wspólnie coś pięknego i trwałego - tak im się przynajmniej zdawało. A teraz dowiedzieli się, że zbudowali to na oszustwie i kłamstwie. Dlatego jeśli wyciągali teraz do siebie z rozpaczą ręce, jeśli zachłannie po sobie sięgali, to by się upewnić, że to, co zbudowali tylko dla siebie, nie było kłamstwem. Że było prawdziwe, uczciwe i trwałe.

Czuła to, gdy jego usta łapczywie zawładnęły jej wargami, kiedy spotkały się ich języki, a ciała złączyły w jedno. Jeśli Cody chciał zapomnieć o wszystkim, co znajduje się poza tym pokojem, poza tym łóżkiem, rozumiała go. Ona także tego potrzebowała. Dlatego oddawała mu się całkowicie i bez reszty.

Chciał ją pocieszyć, dodać jej otuchy. Widział, jaka była załamana, kiedy Tim zaczął swoją spowiedź. I choć tego nie powiedziała, czuł, że zdradę Tima potraktowała jak osobistą porażkę. A on nie chciał, żeby tak myślała. Wiedział też, że dopiero rankiem przyjdzie czas na rozmowy, kiedy zadane rany nie będą tak świeże. Dlatego tych kilka najbliższych godzin mogą poświęcić namiętności.

Jej zapach. Pamiętał, jak perfumowała się przed wyjściem na kolację, z roztargnieniem, jakby machinalnie. Zapach zdążył się już ulotnić, był już tylko wspomnieniem na jej skórze, ale właśnie dlatego wydał mu się jeszcze bardziej intymny. Wdychał go, błędząc ustami po jej szyi aż po miejsca, gdzie jej skóra stawała się niewiarygodnie delikatna i miękka.

Jej włosy. Szczotkowała je szybko i niecierpliwie. Nigdy nie była zadowolona z tego, jak wyglądają. Jemu za to zawsze wydawały się istic królewskie. Przeczesując je teraz palcami, napawał się ich wspaniałą bujnością i barwą. Kiedy przekreśliła się na łóżku, zagarniając go pod siebie, jakby nigdy nie miała go dosyć, omotała go nimi jak płaszczem.

Jej usta. Pociągnęła je odrobiną koloru, starła go, a potem znów nałożyła szminkę. Teraz były nagie, gładkie jak jedwab i tak cudownie miękkie. Wystarczyło ich dotknąć, a już rozchylały się w zaproszeniu. A im bardziej prosił, tym więcej dostawał.

Uwięziła go pod sobą i omotała włosami. Zbliżyła wargi do jego ust, dając i czerpiąc rozkosz z pocałunku, z możliwości odkrywania tajników ciała mężczyzny, którego pokochała. Dotykała go i czuła, jak drży. Poznawała jego smak i słuchała westchnień.

Światło w holu wciąż się paliło, dlatego mogła widzieć jego twarz, jego muskularne ciało. A także jego oczy, ciemne i skupione wyłącznie na niej, kiedy znowu zbliżyła usta do jego ust.

Działo się coś dziwnego. Czuła to, choć nie potrafiła tego zrozumieć. W jednej chwili Cody był niecierpliwy i niemal brutalny, a zaraz potem tulił ją i całował, jakby była czymś bezcennym i kruchym. Ale bez względu na to, jak zachłannie brały jego usta i ręce, czuła, że do niego należy. Nie potrafiła już oddzielić pożądania od miłości. Nie odczuwała takiej potrzeby.

A kiedy w nią wszedł, odnalazła zarazem i jedno, i drugie.

Znacznie później obudziła się, bo zaniepokoił ją jakiś odgłos. A może sen? Mrużąc nieprzytomnie, wyciągnęła rękę, ale łóżko było puste.

- Cody?

- Tu jestem.

Stał przy oknie, a koniec jego papierosa jarzył się w ciemności.

- Co ci jest?

- Nic. Nie mogę zasnąć.

Usiadła i odrzuciła włosy. Prześcieradła zsunęły jej się do pasa, odsłaniając piersi.

- Wracaj do łóżka. Nie musimy przecież spać. Cody roześmiał się i zgasił papierosa.

- Nigdy nie myślałem, że spotkam kobietę, która wysysie ze mnie wszystkie siły.

Cisnęła w niego poduszką.

- To miał być komplement?

- Tylko spostrzeżenie. - Podeszedł i usiadł na brzegu łóżka. - Jesteś najlepsza, Ruda. - Mówiąc to, nie miał na myśl seksu.

Zrozumiała go doskonale, więc z uśmiechem powiedziała:

- Cieszę się, że tak uważasz. - Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zmarszczyła brwi. - Po co się ubrałaś?

- Chciałem się trochę przejechać. Nie wiedziałem, czy cię budzić, czy nie.

- Oczywiście, że tak. A dokąd się wybierałaś? Cody ujął ją za rękę.

- Muszę coś obejrzeć, Abra. Może wtedy przestanę na chwilę o tym myśleć.

Ścisnęła go za rękę.

- Pojadę z tobą.

- Nie musisz. Jest bardzo późno... to znaczy, bardzo wcześnie.

- Ale chcę. Poczekasz na mnie?

- Jasne. - Podniósł do ust jej rękę. - Dzięki.

Powietrze było chłodne i przejrzyste, a niebo w górze ciemne, upstrzone gwiazdami. Nie było innych samochodów - wąska wstęga szosy wiła się pomiędzy domami, żeby później wbić się w pustynię. Silnik szumiał jednostajnie i cicho. Przez otwarte okna dobiegło ich wycie kojota.

- Nie jechałam tędy o tej porze. - Abra spojrzała przez okno. Wzgórza w oddali wyglądały jak cienie. - Aż dziwne, że jest tak spokojnie.

- Co w tym dziwnego?

- Że tu od wieków było tak cicho. I jeżeli zrobimy wszystko, jak trzeba, nadal będzie tak cicho.

- W naszej branży ludzie patrzą na niezagospodarowany krajobraz i zaraz myślą, jak by go wykorzystać.

Zmarszczyła brwi i zaczęła szukać w torebce gumki, żeby związać włosy.

- A ty?

Cody milczał przez chwilę, napawając się prędkością, ciszą oraz bliskością Abry.

- Na nizinie nadbrzeżnej rozciągają się tereny, gdzie zarośla są tak gęste, że nic nie widać. Ale nie ma w nich spokoju, bo tętnią życiem. Ludzie poprzecinali je kanałami, lecz pewne rzeczy mają zostać w takim dziewiczym stanie jak dotąd.

Abra związała włosy w koński ogon i uśmiechnęła się.

- Lubię cię, Johnson.

- Dzięki, Wilson. Ja też cię lubię. - Położył rękę wzdłuż oparcia fotela, żeby móc się bawić jej włosami.

- O ile pamiętam, mówiłaś że ośrodek Barlowa miał być twoją ostatnią pracą dla Thornwaya.

- Tak. Myślałam o tym od dłuższego czasu. Kiedy Tim został szefem, doszłam do wniosku, że pora przejść od projektów do czynów. Żałuję, że - urwała i pomyślała, że nie było czego żałować. Więzy z firmą zostały już zerwane.

Cody zrozumiał, co miała na myśli, i zaczął masować jej napięte mięśnie karku.

- Masz już jakąś inną propozycję?

- Nie. Nie złożyłam jeszcze wypowiedzenia i nie rozglądałam się za czymś innym. - Nagle przeraziła się, że Cody mógłby ją ile zrozumieć. - Chcę zostać wolnym strzelcem.



Może nawet otworzę własną firmę. Oczywiście małą. - Wyłączyła radio i spojrzała na Cody'ego.

- Mam odłożoną pewną kwotę na wypadek, gdybym przez jakiś czas nie znalazła pracy.

- Chcesz być samodzielna czy po prostu zmienić otoczenie?

Abra zamyśliła się, a potem potrząsnęła głową.

- Chyba jedno i drugie. Dużo zawdzięczam Thornwayowi. Thornwayowi seniorowi - dorzuciła. - Dał mi szansę i pozwolił się sprawdzić. Ale w ostatnim roku sytuacja się zmieniła. Oczywiście nie wiedziałam... nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, że Tim mógłby pójść na coś takiego, ale i tak sposób, w jaki prowadził firmę, przestał mi odpowiadać. - Spojrzała na wschód, gdzie niebo zaczynało już się rozjaśniać. - On widział tylko księgi rachunków, a nie projekt; listę płac, a nie ludzi, którzy zarabiali te pieniądze. Oczywiście nikt nie bierze się za interes, jeżeli na nim nie zarobi, ale jeżeli myśli się tylko o pieniądzach...

- Wtedy kończy się to tak, jak w tym przypadku.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć. Myślałam, że go znam, ale żeby coś takiego... Powiedz mi, Cody, jak można zaryzykować wszystko, co się ma, dla jakiejś kobiety?

- Myślę, że on ją kocha, i to bardziej, niż powinien.

- Może ona też go kocha? Może ta biżuteria, te samochody i podróże nie miały większego znaczenia?

- Miały, miały. - Cody pogłaskał ją po karku. - Dla kobiet jej pokroju te rzeczy zawsze mają znaczenie. Założę się, że, kiedy sprawa się wyda, Marci Thornway powie mu do widzenia.

- To okrutne. Jest przecież jego żoną.

- Pamiętasz tamto przyjęcie? Wtedy też była jego żoną, co nie przeszkodziło jej zaprosić mnie... powiedzmy sobie na... podwieczorek we dwoje.

- Ach tak! - W jednej chwili ulotniło się całe współczucie dla Marci. - I co? Odmówiłaś jej?

- To nie było trudne. Poza tym miałem co innego na głowie. Tak czy owak, nie możemy obarczać całą winą Marci. Tim po prostu chciał się za szybko dorobić. Może wziął zbyt wielki ciężar na swoje barki? Rozumiem, że dążył do sukcesu, ale powinien mieć świadomość, że nie tędy droga.

- Mówił też coś, że jest winien pewnym ludziom pieniądze - przypomniała Abra.

- Nie byłby pierwszym biznesmenem, który wdał się w konszachty z mafią. I nie on pierwszy stracił z tego powodu. A to co znowu? - Kiedy zbliżali się do bocznej drogi, prowadzącej na budowę, Cody zauważył jakiś samochód. Na skrzyżowaniu kierowca zawahał się, a potem skręcił w prawo i dodał gazu.

- Nie wiem. - Marszcząc brwi, Abra popatrzyła w ślad za znikającymi światłami. - Może to jakieś dzieciaki. Tereny budowy często służą im za miejsce randek.

- Może. Ale, moim zdaniem, jest za późno, żeby jakieś małolaty obściskowały się w samochodzie. - Zwolnił, żeby zjechać z głównej drogi.

- Tak czy owak, przyjechaliśmy tu, żeby się trochę rozejrzeć. Wkrótce się przekonamy, czy to nie byli jacyś wandalę.

Zaparkowali obok przyczepy i wysiedli w milczeniu. Główny budynek, ze swoją imponującą kopułą, rysował się cieniem na tle jaśniejącego nieba. Wyrastał ze skał jak rzeźba - owoc wyobraźni artysty. Jego wnętrze było jeszcze surowe, a otoczenie wokół nieukształtowane, ale Abra zaczynała już to wszystko widzieć tak jak Cody.

W bladej poświacie budowla wyglądała bardziej fantastycznie, a zarazem bardziej solidnie niż za dnia. Nie wtapiała się w skały i piaski i nie harmonizowała z nimi. Można raczej powiedzieć, że wznosiła się na ich tle jak symbol ludzkiej myśli.

Na uboczu, niepołączony jeszcze ukwieconymi ścieżkami, wznosił się gmach centrum medycznego. Podobny do zamku, wyrastał z jałowej ziemi, a jego łuki i zaokrąglenia rzucały wyzwanie surowej naturze. Pierwsze promienie wychyliły się zza horyzontu i odbiły od gładkich ścian.

Cody i Abra stali, i trzymając się za ręce patrzyli na to, co wspólnie stworzyli.

- Trzeba to będzie rozebrać - odezwał się Cody. - Wszystko albo prawie wszystko.

- To nie znaczy, że nie będzie można odbudować. Możemy zrobić to razem.

- Może. - Cody otoczył ją ramieniem. Słońce jeszcze nie wzeszło, a powietrze było chłodne i rześkie. - To nie będzie łatwe. I nie tak szybko.

- Nie musi. - Dopiero teraz Abra zdała sobie sprawę, ile serca włożył Cody w ten projekt. Dla niego nie były to tylko ściany, belki i dźwigary. Była to jego wyobraźnia, praca i jego pasja. Odwróciła się i objęła go. - Chyba pora, żebym ci wyznała prawdę.

Cody pocałował ją we włosy. Mimo chłodu były ciepłe i pachniały słońcem.

- O czym?

- O tym miejscu. - Uniosła ku niemu twarz bez uśmiechu. Oczy miała szare jak niebo na wschodzie. - Myliłam się. To ty miałeś rację.

Pocałował ją, zachłannie, choć niespiesznie.

- To dla mnie nic nowego, Ruda.  
- Skoro tak, to ci nie powiem, co naprawdę myślę.  
- Nie wierzę. Zawsze mówisz, co myślisz, bez względu na to, czy chcę to usłyszeć, czy nie.

- Tym razem będziesz chciał. Może nawet będziesz miał powód do dumy.  
- Nie mogę się już doczekać. Cofnęła się, z rękami w kieszeniach.  
- To jest przepiękne.  
- Co? - Cody chwycił ją za rękę. - To chyba brak snu, Wilson. Nie poznaję cię.  
- Ja nie żartuję. - Abra spojrzała mu w twarz. - I nie mówię tego po to, żeby ci poprawić humor. Mówię to, bo uważam, że przyszedł na to czas. Przez ostatnie tygodnie próbowałam zobaczyć to wszystko twoimi oczami. I doszłam do wniosku, że to jest piękne i - bez przesady - majestatyczne. Kiedy to wszystko zostanie ukończone - a na pewno zostanie któregoś dnia - będzie to autentyczne dzieło sztuki.

Popatrzył na nią. Słońce zaczęło wylaniać się zza skał, przynosząc zapowiedź nowego dnia.

- Tak, wiem, że mógłbym odczuwać dumę, ale jakoś nie potrafię.  
- A powinieneś. - Położyła mu ręce na ramionach. - B o ja jestem z tego dumna. I z ciebie.

- Abra... - Poglądził ją po policzkach. - Brak mi słów.  
- Wiedz, że kiedy zaczniesz się odbudowa, chciałabym mieć w tym swój udział. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście pod warunkiem, że uwzględnisz moje uwagi.

Cody przygarnął ją ze śmiechem.

- Chyba nie mam wyjścia.  
- Ale to będą tylko drobne poprawki - ciągnęła. - I sensowne.  
- Oczywiście.  
- Dogadamy się. - Ugryzła go delikatnie w ucho.  
- Jak fachowiec z fachowcem.  
- Jasne, że tak. Ale ja i tak niczego nie zmienię.  
- Cody...  
- Nie powiedziałem ci jeszcze, że zaliczasz się do najlepszych... - zaczął, a kiedy spojrzała na niego ze zdumieniem, dodał - ..mam na myśli inżynierów.  
- Dziękuję. - Cofnęła się. - Zaraz mi lepiej. A jak ty się czujesz?  
- Też znacznie lepiej. - Musnął palcem jej policzek.  
- Dzięki.

- Rozejrzyjmy się teraz trochę. W końcu po to tu przyjechaliśmy.

Ramię w ramię podeszli do głównego budynku.

- To będzie bardzo nieprzyjemne śledztwo - zaczął Cody. Łatwiej było mu teraz o tym porozmawiać. - Cała ta afera może też chwilowo przeszkodzić twoim planom otwarcia własnej firmy.

- Wiem. Wolę o tym nie myśleć. Przynajmniej na razie.

- Będziesz miała za sobą Barlowa. A także Powella i Johnsona.

Otworzyła z uśmiechem drzwi.

- Doceniam to. Nie zapytałam cię nawet, co powiedział Nathan.

- Że przylatuje pierwszym samolotem. - Cody przystanął w drzwiach i rozejrzał się po wnętrzu.

Ściany były już pociągnięte pierwszą warstwą podkładu i wygładzone. Wokół poniewierały się poprzewracane puste wiadra. Niektóre posłużyły za prowizoryczne siedzenia. Windy, które przysporzyły Abrze tyle zgryzoty, odpoczywały na parterze. Zainstalowano już także szkielety kręconych schodów i zabezpieczono okna. W miejscu, gdzie za dnia rozlegał się szczeł narzędzi i warkot silników, panowała cisza.

Kiedy tak stali w progu, Abra czuła to samo co Cody.

Była pewna, że potrafi czytać w jego myślach. Ogarnęło ją przygnębienie. Tyle pracy poszło na marne.

- To bardzo przykre, prawda?

- Tak. - Czuł, że będzie musiał sam się z tym uporać. - Jakoś to przeżyję. Jednak nie chcę być przy tym, kiedy zaczną to rozbierać.

- Ja też nie. - Weszła w głąb budynku i położyła torebkę na skrzyni. Tak, to bardzo przykre. Nawet bolesne. Może powinni wybiec myślą poza najbliższą przyszłość, żeby się choć trochę pocieszyć? - Wiesz co, zawsze chciałam przyjechać jako gość w jedno z takich miejsc. - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Zawrzyjmy umowę, Johnson. Kiedy to będzie ukończone, i ruszą te twoje wodospady, zaproszę cię tu na weekend.

- W Tampa działa już taki ośrodek, który sam zaprojektowałem.

- A są tam wodospady?

- Jest sadzawka. W samym środku foyer.

- To dobrze. Ciemno tu. Niewiele można zobaczyć.

- Mam w samochodzie latarkę - powiedział Cody. - Chciałbym sobie wszystko uważnie obejrzeć, żeby się upewnić, że ten ktoś, kto tu był, nie grzebał tam, gdzie nie powinien.

Dobrze. - Abra ziewnęła. - Jutro się wyśpię.

- Zaraz wracam.

Kiedy zniknął, wróciła do budynku. Co za ogromna strata, pomyślała. Ale nie wszystko poszło na marne.

Gdyby nie ten projekt, gdyby nie te budynki, nigdy by nie poznała Cody'ego. Mówi się wprawdzie, że czego oko nie widzi, tego sercu nie żal, ale Abra była przekonana, że to nieprawda. Bez Cody'ego jej życie byłoby puste. Może nawet nie wiedziałaby dlaczego, niemniej jednak czułaby tę pustkę.

To dzięki tej budowie trafili na siebie. Może teraz powinna oderwać się od deski kreślarskiej i zająć się planowaniem własnego życia? Z Codym przyszłość wydawała się taka prosta. Z nim nie wstydziła się własnych uczuć.

Roześmiała się nerwowo i zaczęła krążyć po budynku. Będzie sobie musiała to wszystko przemyśleć.

Była pewna, że mu na niej zależy. Może nawet tak bardzo, że ucieszyłby się, gdyby mu powiedziała, że gotowa jest przeprowadzić się na Florydę. Mogliby tam ciągnąć dalej to, co tutaj zaczęli. Dopóki... Nie odważyła się wybiec myślami poza to „dopóki”.

Zresztą, to nie ma w tej chwili znaczenia. Pomyśli o tym później, kiedy już tam będzie. Jednego była absolutnie pewna - że nie pozwoli mu odejść.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w górę, na kopułę. Światło, delikatnie zabarwione przez szkło, sączyło się przez sklepienie i tak cudownie rozpraszało się po wnętrzu. Widok ten sprawił jej olbrzymią satysfakcję. Oczyma duszy widziała już wodospady i wygodne fotele, poustawiane wokół basenu.

Przyjadą tu z Codym pewnego dnia, kiedy foyer będzie pełne ludzi i światła. Wtedy przypomną sobie, jak to się wszystko zaczęło. Przypomną sobie jego wizję - i jej wizję.

Podeszła do ściany, wzdłuż której ciągnęły się rury.

To mogłoby nawet być zabawne, pomyślała w rozmarzeniu. Prawdę mówiąc, może wtedy... Spojrzała pod nogi i coś nagle przykuło jej uwagę.

W pierwszej chwili pomyślała, że to malarze zostawili sporą grudę stwardniałej zaprawy. Dlaczego nikt tego nie posprzątał, pomyślała zirytowana. Przykucnęła, żeby się temu bliżej przyjrzeć, wyciągnęła rękę i nagle serce zamarło jej w piersi.

Poderwała się i potykając, popędziła do wyjścia, wzywając w panice Cody'ego.

On tymczasem znalazł latarkę w schowku na desce rozdzielczej i miał właśnie zamiar wrócić do budynku, kiedy przyszło mu do głowy, że to wszystko próżny trud.

Jaki jest sens sprawdzać, czy coś nie zostało zniszczone? Jaki sens ma zrywanie paneli ściennych i oglądanie instalacji? Już sama wymiana kabli byłaby wystarczająco uciążliwa, a jeśli beton i stal także nie spełniają norm, i tak trzeba będzie wszystko rozebrać.

Zapłonął gniewem i już miał wrzucić z powrotem latarkę do samochodu, kiedy przypomniał sobie, że po coś jednak przyjechali. A skoro już tu są, rozejrzą się, a potem wrócą do domu. A za dwa dni wszystko, co uważał za swoje dzieło, zostanie przekazane w obce ręce.

Kiedy wracał do budynku, myśli jego krążyły wokół tych samych problemów, jakimi żyła w tej chwili Abra. Bez względu na malwersacje, jakich dopuścił się Tim, gdyby nie ta budowa, nigdy nie spotkałby Abry. I gdy tylko stosowne władze przejmą kontrolę nad tą sprawą, powie Abrze, czego pragnie. I czego potrzebuje.

Do diabła z tym wszystkim! - pomyślał, przyspieszając kroku. Powie jej to tu i teraz, w miejscu, gdzie to wszystko się zaczęło. Może to nawet pasuje, żeby poprosić ją o rękę w tym na wpół ukończonym budynku, który ich zbliżył do siebie. Na myśl o tym uśmiechnął się. Czy można sobie wymarzyć lepszą scenerię?

Kiedy usłyszał krzyk Abry, serce zamarło mu w piersi, a potem, gdy krzyknęła ponownie, popędził w stronę, skąd dobiegał jej głos. Był już bardzo blisko, kiedy nastąpił wybuch. Ściana gorącego powietrza uderzyła go jak pięść i wyrzuciła w górę, wśród deszczu kamieni, kawałków metalu i szkła.

Upadek zamroczył go na pięć, a może na dziesięć sekund. Kiedy oprzytomniał, poderwał się i popędził dalej. Nawet nie poczuł, jak odłamek ostrej blachy rozciął mu skroń. Nie zdawał też sobie sprawy, że to chwilowe zamroczenie ocaliło mu życie.

Widział tylko płomienie, wypełzające przez okna, które wybuch pozbawił szyb. A kiedy dobiegł do miejsca, gdzie wcześniej znajdowały się drzwi, kolejne eksplozje odbiły się echem od ścian. Kamienie świstały jak kule wokół jego głowy. Miał wrażenie, że znalazł się na polu bitwy.

Zaczął przyzywać Abre, a gardło miał tak ściśnięte, że nie poznawał własnego głosu. Słyszał tylko oszalałe bicie serca.

Uderzyła go fala gorąca, przypiekając mu skórę. Krztusząc się i kaszląc, padł na kolana i wpełzł na czworakach do środka.

Wnętrze przypominało hutniczy piec. Poprzez gęstą zasłonę dymu widział popękane ściany i podziurawiony strop. Brnąc przed siebie słyszał przerażający dźwięk pękającej konstrukcji.

Zaczął macać rękami wokoło. Trysnęła krew, zalewając mu oczy, już i tak załzawione od żaru i dymu.

A potem zobaczył jej rękę - samą tylko rękę, wystającą spod sterty gruzu. Rozpacz dodała mu sił. Zaczął z krzykiem odrzucać na bok kamienie i deski, podczas gdy wokół szalał ogień, siejąc zniszczenie. Nie wiedział już, gdzie jest, nie czuł bólu ani zmęczenia, wiedział tylko jedno, że musi ją uratować.

Kiedy ją wreszcie wydobył spod gruzów, była cała we krwi. Oszalały z rozpacz nie potrafił nawet się pomodlić, żeby żyła. Przygarnął ją do piersi, a jej ciało bezwładnie przelewało mu się przez ręce. Przez chwilę siedział, kołysząc ją w ramionach, a potem zaczął ciągnąć ją do wyjścia.

Za nimi szalało piekło. Nawet jego koszula zaczynała się tlić. Jeszcze tylko kilka minut, a może sekund, i walący się budynek pogrzebie ich oboje. Wlokąc ją po gruzach, modlił się o ratunek, nieskładnie i rozpaczliwie.

Kiedy dotarło do niego, że im się jednak udało, byli już o kilka metrów od budynku. Wszystko wokoło usłane było odłamkami szkła, stali i żarzącego się drewna. Oddech palił mu płuca, mimo to zdołał się podnieść i z Abłą w ramionach przemierzyć jeszcze kilka metrów, zanim osunął się na ziemię.

A potem, jakby z końca długiego tunelu, usłyszał przytłumione wycie syren.

Tyle krwi... Włosy miała całe zlepione krwią, i zakrwawiony rękaw koszuli. Ocierając jej z twarzy sadzę i krew powtarzał schrypniętym głosem jej imię.

Drżącymi palcami dotknął jej szyi, żeby zbadać puls. Nawet nie usłyszał ostatniego potężnego huku, kiedy runęła cała konstrukcja. Jedyne, co słyszał, to słabe, nitkowate tętno Abry.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Pan potrzebuje pomocy, panie Johnson.

- To może zaczekać. - Panika ścisnęła mu wnętrzności. - Co z Abłą? Dokąd ją zabraliście?

- Panna Wilson jest w dobrych rękach. - Lekarz był młody, miał metalowe okulary i kędzierzawą czuprynę. Od tygodnia pełnił nocny dyżur na erce i marzył już tylko o tym, żeby wreszcie porządnie się wyspać. - Jeżeli straci pan jeszcze więcej krwi, zemdleje pan, oszczędzając nam tym samym wielu kłopotów.

Cody uniósł go za poły kitla i przycisnął do ściany.

- Gdzie ona jest?

- Pan Johnson? - zapytał za jego plecami czyjs głos, ale on udął, że go nie słyszy.

- Gadaj, gdzie ona jest, albo skuję ci pysk.

W pierwszej chwili lekarz chciał wezwać ochronę, ale się rozmyślił.

- Będzie miała operację. Nie wiem zbyt wiele na temat jej stanu, ale doktor Bost to nasz najlepszy chirurg.

Cody opuścił go powoli na ziemię, ale nadal trzymał za poły.

- Chcę ją zobaczyć!

- Może mną pan znowu rzucić o ścianę - powiedział lekarz - ale i tak jej pan teraz nie zobaczy. Zaraz ją będą operować. Oboje macie szczęście, że w ogóle żyjecie. A my próbujemy wam tylko pomóc.

- Więc ona żyje? - Strach palił mu gardło bardziej niż oparzenia.

- Żyje. - Lekarz ostrożnie odsunął ręce Cody'ego. - A ja chciałbym się teraz zająć panem, panie Johnson.

Cody spojrzał na swoje dłonie. Przez bandaż, które założyli mu sanitariusze w karetce, sączyła się krew.

- Przepraszam.

- Nie ma o czym mówić. Wiem, co przeżyliście. Mam pan dziurę w głowie, panie Johnson. - Lekarz uśmiechnął się rozbrajająco. - Pozwoli pan, że ją zaceruję?

- Przepraszam na chwilę. - Mężczyzna, który już wcześniej zwrócił się do Cody'ego, podszedł bliżej i błysnął odznaką. - Porucznik Asaro. Chciałbym porozmawiać z panem Johnsonem.



- Teraz? Przecież on się wykrwawi na śmierć. - Lekarz odsłonił kotarę i poprosił go do sali zabiegowej. - Może pan jednak poczeka, aż go pozszywam.

- Można? - zapytał Asaro, siadając na krześle.

- Proszę. - Cody usiadł na stole zabiegowym i zdjął resztki koszuli. Asaro wzdrygnął się mimowolnie na widok jego poparzonego, poranionego ciała.

- Prawdę mówiąc, niewiele brakowało...

Cody nie odpowiedział. Lekarz zaczął mu przemywać ranę na skroni.

- Może mi pan powiedzieć, co robiliście tam z panną Wilson o świecie?

- Rozglądaliśmy się. - Cody syknął boleśnie, bo go zapiekło. - Ona jest inżynierem, a ja architektem. Pracowaliśmy na tej budowie.

- Tyle to ja już wiem - Asaro otworzył notes. - To w tygodniu nie mieliście czasu, żeby sobie wszystko obejrzeć?

- Mieliśmy pewne powody, żeby tam pojechać akurat tej nocy.

- Dam panu zastrzyk uspokajający - odezwał się lekarz. - Żeby pan siedział spokojnie.

Cody z roztargnieniem pokiwał głową. Już i tak był jak odurzony.

- Wcześniej tego wieczoru dowiedzieliśmy się, że na budowie dokonano oszustwa.

Zastosowano substandardowe materiały.

- Rozumiem Ktoś wam o tym powiedział?

- Tak. - Kiedy lekarz zaczął zrećnie zszywać ranę, Cody spróbował skupić się na odpowiedzi. - Nie mogę na razie podać źródeł, ale powiem wszystko, co wiem.

Asaro wyjął długopis.

- Będę bardzo wdzięczny.

I Cody opowiedział mu o wszystkim - o podejrzaniach Abry, o konfrontacji z Timem, o jego spowiedzi. Nie czuł już gniewu, myślał tylko o Abrze. Powiedział o samochodzie, który wyjeżdżał z terenu budowy, o przypuszczeniach, że była to jakaś zakochana para.

- Nadal pan tak uważa? - zapytał Asaro.

- Nie. - Cody poczuł serię lekkich ukłuć. To lekarz zaczął zszywać mu rękę. - Myślę, że ktoś podłożył materiały wybuchowe we wszystkich obiektach na budowie, a potem wysadził je w powietrze. To by znacznie utrudniło późniejsze śledztwo.

- Czy pan kogoś oskarża, panie Johnson?

- Ja tylko stwierdzam fakty, poruczniku Asaro. Thomway wpadł w panikę i kazał zniszczyć to, co już zostało wybudowane. Wiedział, że jeżeli sam do jutra nie wezwie komisji, my to zrobimy z Abrą Ale teraz to już nieważne.

- Dlaczego?

- Jak tylko Abra będzie po operacji, znajdę go i uduszę własnymi rękami. - Spróbował poruszyć palcami zabandażowanej ręki. - Skończone? - zwrócił się do doktora.

- Prawie - odparł bardzo spokojnie lekarz, nie przerywając swojego zajęcia. - Ma pan bardzo dużo odłamków szkła w plecach oraz kilka oparzeń trzeciego stopnia.

- To ciekawa historia, panie Johnson. - Asaro wstał i schował notes do kieszeni. - Muszę to sprawdzić. Mogę panu coś doradzić? Na przyszłość nie rzucalbyś pogroźek w obecności policjanta - dodał, nie czekając na odpowiedź.

- To nie są pogroźki - powiedział Cody. Poczul ukłucie - lekarz wyjmował mu z pleców kolejny odłamek szkła. - W tym szpitalu leży kobieta, która znaczy dla mnie więcej niż ktokolwiek na tym świecie. Nie widział pan, jak wyglądała, kiedy ją tu przywieźli. - Na myśl o tym poczul bolesne ukłucie w sercu. - A wie pan, poruczniku, na czym polegała jej jedyna wina? Na tym, że dała temu sukinsynowi kilka godzin, bo zrobiło jej się go żal.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy Thornway wiedział, że wybieracie się na budowę?

- A co to za różnica?

- Proszę, niech mi pan odpowie.

- Nie. Nie planowaliśmy tego. Po rozmowie z Thornwayem nie mogłem sobie znaleźć miejsca.

W końcu postanowiłem jeszcze raz wszystko obejrzeć, a Abra zdecydowała się mi towarzyszyć.

- Powinien pan teraz odpocząć, panie Johnson. - Asaro spojrzal na lekarza. - Będziemy w kontakcie.

- Musimy pana zatrzymać na dzień czy dwa - zwrócił się lekarz do Cody'ego. Odłożył igłę, wziął latarkę i poświecił mu w oczy. - Powiem pielęgniarce, żeby dała panu jakiś środek przeciwbólowy.

- Nie chcę. Nie położę się do łóżka. Na którym piętrze leży Abra?

- Proszę się położyć, a ja sprawdzę, co z panną Wilson. - Widząc minę Cody'ego lekarz machnął ręką. - Zresztą, niech panu będzie. Jak pan chyba zdążył zauważyć, jest tu więcej osób, którym także jestem potrzebny. Niech pan jedzie na piąte piętro. I proszę wstąpić po drodze do apteki - dodał, wręczając mu receptę.

- Po co się tak męczyc?

- Wielkie dzięki. - Cody wsunął receptę do kieszeni.

- Naprawdę.

- Nie powiem, że będzie pan tu zawsze mile widziany, bo bym skłamał.

Cody nie wykupił recepty. Chociaż cierpiał dotkliwie, bał się otepiających skutków środka przeciwbólowego.

Poczekalnia na piątym piętrze była Cody'emu doskonale znana. To tutaj, zaledwie kilka dni wcześniej, spędzili z Abłą wiele godzin, czekając na wynik operacji Davida Mendeza. A dziś Abra była tutaj operowana. Pamiętał, jaka była wtedy przejęta, jak troskliwie opiekowała się żoną Mendeza. Teraz oprócz niego nie czekał na nią nikt.

Nalał sobie olbrzymi kubek kawy i zaczął krążyć po poczekalni. Gdyby nie to, że bał się zostawić Abłą samą, pojechałby prosto do Thornwaya, wywłóciłby go z jego rezydencji i rozkwaśił mu pysk na miazgę na tym pieczołowicie przystrzyżonym trawniku.

I to wszystko dla pieniędzy, pomyślał, wlewając w poparzone gardło resztkę kawy. To dlatego Abra leżała teraz na stole operacyjnym, walcząc o życie. Zgniół w ręce kubek i cisnął nim przez pokój. Przenikliwy ból ramienia sprawił, że zaklął głośno i bezradnie.

Kiedy to się wydarzyło, wzywała jego pomocy. Na wspomnienie tego krzyku ukrył twarz w dłoniach. Wołała go, ale on nie zdążył na czas.

Dlaczego zostawił ją samą? Czemu nie odesłał jej do samochodu? Czemu po prostu nie odwiózł jej do domu?

Dlaczego? Dziesiątki pytań cisnęły mu się na usta, ale żadna z odpowiedzi nie mogła zmienić faktu, że Abra była ranna a on...

- Cody! - Jessie z rozwianym włosom wpadła do poczekalni. - Na miłość boską, co się stało? Co z Abłą? - Chwyciła go za rękę, nie zważając na bandaż. - Słyszałam, że na budowie zdarzył się wypadek. Ale przecież jest niedziela rano. Co ona robiła na budowie w niedzielę rano? .

- Jessie! - Barlow ujął ją pod rękę i podprowadził do fotela. - Daj mu spokój. Nie widzisz, że chłopak jest ledwo żywy?

Jessie popatrzyła na bandaż i oparzenia, a potem spojrzała na pobladłą twarz Cody'ego. Malowała się na niej rozpacz.

- Co się stało, Cody? Powiedziano mi, że Abra jest na sali operacyjnej.

- Ty też usiądź. - Barlow popchnął Cody'ego na krzesło. - Przyniosę kawę, a wy sobie tymczasem porozmawiajcie.

- Nie wiem, co z Abłą. Nie pozwolili mi jej zobaczyć. - Cody nagle uświadomił sobie, że jest bliski załamania. - Ale ona żyje - powiedział błagalnym tonem. - Kiedy ją stamtąd wyciągnąłem, żyła.

- Skąd ją wyciągnąłeś? - Jessie kurczowo ścisnęła w palcach kubek, który podał jej Barlow.

- Poszedłem do samochodu po latarkę. Właśnie wracałem, kiedy nastąpił wybuch. Abra była wtedy w budynku.

- Jezus Maria! - Kubek wypadł Jessie z rąk. Kawa rozlała się na podłogę.

- Ogień rozprzestrzeniał się tak szybko. - Kiedy to mówił, wszystko raz jeszcze stanęło mu przed oczami.! Niemal czuł żar i piekący dym; słyszał swój głos i krzyki Abry. - Budynek się walił, a ja nie mogłem jej znaleźć. Ale kiedy ją w końcu znalazłem, jeszcze żyła.

Barlow położył żonie rękę na ramieniu.

- Nie spiesz się, Cody. Opowiedz nam wszystko jeszcze raz, od początku.

To był jakiś koszmar, który zaczął się od telefonu Carmen Mendez i trwał aż do chwili, kiedy zabrano mu sprzed oczu nieprzytomną Abreę.

- Sam powinienem był wezwać inspekcję - mruknął Cody. - Ale on był pijany i taki żalony, a my chcieliśmy mu dać ostatnią szansę. To moja wina. Zachciało mi się jechać na budowę. Gdyby nie to, Abra byłaby zdrowa i cała.

- Poszedłeś tam za nią? - Jessie ukryła twarz w dłoniach. - Ryzykowałeś życie, żeby ją ocalić.

- Bez niej moje życie jest nic niewarte.

Jessie wstała i chwyciła go za rękę.

- To cudowne mieć kogoś takiego jak ty. Abrze zawsze było to potrzebne. Ja nie byłam w stanie obdarzyć jej taką miłością. Jestem pewna, że jej nie stracisz. Za bardzo ją kochasz.

- Nie wiem, czy posłuchasz starego człowieka, ale radziłbym ci się położyć na tej kozetce - odezwał się Barlow, a kiedy Cody potrząsnął głową, wstał. - Tak też myślałem. Muszę załatwić kilka telefonów. Wrócę jak najszybciej.

Więc czekali, a Cody patrzył na przesuujące się wolno wskazówki zegara. Kiedy godzinę później do poczekalni wkroczył Barlow, a za nim Nathan i Jackie, był zbyt otępiały, żeby okazać zdumienie.

- Och, kochanie... - Jackie podeszła do niego, przejęta i zatroskana. - Dowiedzieliśmy się o wszystkim, jak tylko samolot wylądował. Co możemy dla was zrobić?

Cody bezradnie potrząsnął głową, jednak obecność przyjaciół wyraźnie dodała mu otuchy.

- Ona jest na sali operacyjnej.

- Wiem. Barlow nam wszystko powiedział. Nie mówmy już o tym. Teraz musimy po prostu poczekać.

Nathan położył mu rękę na ramieniu.

- Żałuję, że nie mogliśmy przyjechać wcześniej. O ile to dla ciebie jakaś pociecha, Thornway został już aresztowany.

Cody podniósł na niego oczy.

- Skąd wiesz?

- Od Barlowa. Kiedy przyjechała policja, żeby go przesłuchać, facet się załamał. Zwłaszcza gdy się dowiedział, że byliście z Abra na budowie, kiedy to się stało.

- To już nie ma znaczenia. - Cody wstał i podszedł do okna. - Było mu wszystko jedno, czy Thomway jest teraz w więzieniu, czy w piekle. Liczyło się tylko to, że Abra miała operację i każda sekunda wlokła się w nieskończoność.

Nathan chciał za nim pójść, ale Jackie go powstrzymała.

- Poczekaj, ja z nim porozmawiam - powiedziała półgłosem. Podeszła do Cody'ego.

- To ta twoja pani inżynier, prawda? - zapytała, kiedy się trochę uspokoił.

- Tak, to ta pani inżynier.

- Nie muszę pytać, czy ją kochasz.

- Nawet jej tego nie powiedziałem. - Cody oparł czoło o szybę, ale tak naprawdę miał ochotę walnąć pięścią w okno. - Jakoś nie było po temu okazji. A kiedy ją wyciągnąłem... - urwał, bo nie był w stanie powiedzieć tego głośno - kiedy ją wyciągnąłem, myślałem, że już nie żyje - dokończył szeptem.

- Ale żyła. I na pewno żyje. - Jackie delikatnie ujęła go za rękę. - Wiem, że jestem niepoprawną optymistką, lecz nie wierzę, że mógłbyś ją stracić. Pobierzcie się, kiedy ona wyzdrowieje?

- Tak, ale ona o tym jeszcze nie wie. Będę ją musiał dopiero namówić.

- Na pewno ci się uda. Masz wielki dar przekonywania. - Jackie dotknęła jego policzka. Cody był blady jak kreda. Oczy miał podkrążone i zaczerwienione od dymu. - Wyglądasz okropnie. Ile ci założyli szwów?

- Nie liczyłem.

Spojrzała na jego rękę i wzdrygnęła się.

- Dali ci coś na ból?

- Jakaś receptę. - Cody bezwiednie dotknął kieszeni.

- Której oczywiście nie wykupiłeś. - Nareszcie mogła coś dla niego zrobić. - Daj mi tę receptę. Musisz zażyć to lekarstwo.

- Aleja nie chcę...

- Nie kłóć się ze mną. - Pocałowała go w policzek i wymaszerowała z poczekalni.

Kiedy wróciła z tabletkami, Cody zażył je dla świętego spokoju, a potem napił się kawy, bo bał się, że zaśnie. Mijały kolejne godziny. Ból stępiał, za to strach narastał.

Wreszcie w drzwiach poczekalni ukazał się długo oczekiwany doktor.

- Pani Barlow? Pani jest matką panny Wilson?

- Tak. - Jessie chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chwyła męża i Cody'ego za rękę. - Proszę mi powiedzieć, co z nią?

- Jest już po operacji. Nie odzyskała jeszcze przytomności. Straciła dużo krwi, ale udało nam się zatrzymać krwotok. Miała połamane żebra, lecz na szczęście płuca nie zostały uszkodzone. Ma też rękę złamaną w dwóch miejscach i pękniętą kość podudzia, tuż pod prawym kolaniem.

Jackie nagle przypomniała sobie, jak całowała podrapane kolana córki.

- Ale to się zagoi?

- Tak. Będziemy jeszcze musieli zrobić rentgen i EEG.

- Czy to znaczy, że ma uszkodzony mózg? - Cody'ego ogarnęło przerażenie.

- Ma bardzo poranioną głowę. To standardowe badania.

- Kiedy będą wyniki? - zapytała Jessie.

- Zrobimy te badania dziś po południu. Wyniki będą za kilka godzin.

- Chcę ją zobaczyć. - Cody wstał i przepaszającym wzrokiem spojrzął na Jessie. - Muszę ją zobaczyć.

- Wiem.

- Ale ona jest jeszcze nieprzytomna - powiedział lekarz. - I niech to będzie krótko.

- Ja chcę ją tylko zobaczyć.

Sam nie wiedział, co było gorsze - te długie godziny niepewności czy widok bladej, nieprzytomnej Abry, przykutej rurkami do kilku urządzeń.

Chwył ją za rękę - była zimna, czuł jednak słaby puls, powtarzany na monitorze przy łóżku.

Nie było mowy o żadnej prywatności. Abrze na pewno by się to nie podobało. Jedyne szklana ściana oddzielała ją od pielęgniarek i techników, pracujących na oddziale intensywnej terapii. Dali jej nocną koszulę, białą w wyblakłe niebieskie kwiatki. Cody'emu wydało się to obrzydliwe, że nosiły ją wcześniej inne pacjentki.

I była tak przeraźliwie blada.

Wciąż do tego wracał, chociaż próbował skupić uwagę na innych, mało znaczących szczegółach. Wypłowiej koszuli, pikaniu monitorów, stukocie drewniaków na kafelkowej podłodze za szklaną ścianą.

Gdzie krąży teraz, gdzie przebywa? - myślał, siedząc przy łóżku Abry i trzymając ją za rękę. Miał nadzieję, że niezbyt daleko. Nie wiedział, co powiedzieć, żeby ją przywołać.

- Nie pozwolą mi tu zostać, Ruda, ale będę w pobliżu, w poczekalni, póki się nie obudzisz. I proszę cię, nie każ mi czekać zbyt długo. - Machinalnie potarł pierś, bo poczuł tępy ból w okolicy mostka. - Wyjdiesz z tego. Muszą ci jeszcze zrobić kilka badań. Masz okropnego guza na głowie, to wszystko.

Proszę cię, Boże, żeby to było wszystko.

Zamilkł i znów zaczął liczyć monotonne pikanie monitora.

- Pomyślałem sobie, że jak już stąd wyjdiesz, moglibyśmy się wybrać na wschód. Popracowałabyś trochę nad swoją opalenizną. - Bezwiednie zacisnął palce wokół jej dłoni. - Abra, na miłość boską, nie zostawiaj mnie!

Przez moment miał wrażenie, że odwzajemniła uścisk - ale może mu się tylko zdawało.

- Musisz trochę odpocząć, Cody.

Od dwudziestu minut wpatrywał się w ten sam akapit gazety. Teraz podniósł wzrok i zobaczył Nathana.

- Co ty tu znowu robisz?

- Przyszedłem, żeby cię zastąpić. - Nathan usiadł na krześle obok niego. - Zostawiłem Jackie w hotelu. Zapowiedziała mi stanowczo, że jeżeli nie uda mi się namówić cię, żebyś sobie zrobił przerwę, sama tu przyjdzie.

- Czuję się znacznie lepiej, niż wyglądam.

- Boję się, że za chwilę możesz zasłabnąć.

- Bądź dobrym kumplem, Nathan. - Cody rozsiadł się wygodniej w fotelu i zamknął oczy. - Nie naciskaj.

Nathan zawahał się. Nie należał do ludzi, którzy lubią się wtrącać w cudze sprawy. Był taki czas, że starał się w ogóle w nic nie angażować. Ale to było, zanim poznał Jackie.

- Pamiętam, jak mówiłem ci to samo, kiedy byłem zgnębiony i pogubiony. A ty mnie wtedy nie chciałeś słuchać.

- Byłeś wtedy zbyt uparty, żeby się przyznać, co czujesz - powiedział Cody. - A ja znam swoje uczucia.

- Pozwól chociaż, żebym ci przyniósł coś do jedzenia.

- Czekam na doktora Bosta. Muszę z nim porozmawiać.

- Może ci wobec tego opowiedzieć o Thornwayu? Cody otworzył oczy.

- Dobrze.

- Złożył wyczerpujące zeznania. - Nathan poczekał, aż Cody zapali papierosa. Popielniczka była pełna niedopałków. - Przyznał się do zamiany materiałów, do dawania łąpówek i przekupstwa. Mówi, że podczas konfrontacji z wami upił się i wpadł w panikę. Wtedy właśnie przyszło mu do głowy, że w śledztwie niczego mu nie udowodnią, jeżeli wysadzi w powietrze wszystkie budynki.

- Co on sobie myślał? - Cody wydmuchał smugę dymu. - Że nie będzie śledztwa? Że będziemy milczeć?

- On w ogóle wtedy nie myślał.

- Masz rację. - Cody był tak zmęczony, że nie był nawet zdolny do gniewu. Spojrzał na drugi koniec poczekalni, gdzie Jessie drzemała na ramieniu Barłowa. - A ponieważ nie myślał, Abra omal nie zginęła. Nawet teraz może się jeszcze okazać... - Nie był w stanie tego wypowiedzieć. Nie mógł nawet o tym myśleć.

- Będzie za to płacił przez długie lata.

- To nie ma znaczenia. Kara zawsze będzie za niska.

- A pan ciągle na nogach, panie Johnson? - Młody lekarz pojawił się w poczekalni. Był wymięty i rozespany. - Jestem doktor Mitchell - zwrócił się do Nathana. - Połatałem trochę pańskiego kolegę - zerknął na zegarek - jakieś osiem godzin temu. - Przeniósł wzrok na Cody'ego. - Jeszcze pana nie przykuli do łóżka?

- Nie.

Mitchell usiadł i rozprostował nogi.

- Ciągnę drugą zmianę, ale nie wyglądam ani w połowie tak źle jak pan.

- Dziękuję.

- To bezpłatna opinia lekarska. Wpadłem na doktora Bosta w laboratorium. - Spojrzał tęsknie na papierosa Cody'ego, ale przypomniał sobie, że jest lekarzem, i nie poprosił, żeby go poczęstować. - Oglądał wyniki badań panny Wilson.

Cody milczał. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Wychylił się do przodu i zgniótł papierosa.

- Są całkiem niezłe, panie Johnson. Cody poczuł, że zaschło mu w ustach.

- Czy to znaczy, że z nią wszystko w porządku?

- Wyciągnęliśmy ją ze stanu krytycznego. Jej stan jest teraz stabilny. Rentgen i EEG nie wykazały uszkodzenia mózgu. To był tylko wstrząs mózgu. Doktor Bost będzie za kilka minut, żeby podać więcej szczegółów. Wstąpiłem tu, bo pomyślałem sobie, że będzie pan chciał jak najprędzej usłyszeć dobre wieści. Pacjentka odzyskała przytomność - ciągnął. - Podała swoje imię, nazwisko i adres, pamiętała, kto jest teraz prezydentem, i pytała o pana.



- Gdzie ona teraz jest?

- Na razie nie może jej pan zobaczyć. Dostała środki nasenne.

- Tam siedzi jej matka. - Cody potarł oczy. - Może jej pan o tym powiedzieć, panie doktorze? Ja muszę się trochę przejść.

- Mam łóżko z pańską kartą - powiedział Mitchell, wstając razem z Codym. - Jeżeli chce pan być blisko swojej pani, zapraszam do naszego hoteliku. Mogę też polecić niespodziankę z kurczaka.

- Będę o tym pamiętał. - Cody wyszedł z poczekalni.

Abra próbowała otworzyć oczy. Słyszała różne dźwięki, ale wszystkie przepływały przez jej umysł jak woda. Nie czuła bólu. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, tuż nad podłogą.

Na szczęście zachowała pamięć. Gdy zmusiła umysł do koncentracji, przypomniały jej się różne rzeczy. Promienie słońca wpadające przez szklaną kopułę, uczucie satysfakcji, poczucie harmonii. A potem przyszedł strach.

Czy go wołała? Chyba tak, ale to było, zanim usłyszała ten potworny huk. Napłynęło jeszcze jedno wspomnienie, zamazane i na wpół senne. Leciała w powietrzu. Jakaś gorąca, niewidzialna ręka wyrzuciła ją w górę. A potem już nic nie było.

Gdzie Cody?

Była prawie pewna, że był tu z nią. Czy mówiła coś do niego, czy to także był sen? Wydawało jej się, że kiedy otworzyła oczy, siedział obok niej. Był zmęczony i blady i miał na rękach bandaż. Rozmawiali ze sobą. A może nie? Rozpaczliwie próbowała sobie przypomnieć, ale umysł miała przytępiony środkami nasennymi i przeciwbólowymi.

Jessie. Jej matka też tam była. Płakała.

Potem pojawiły się obce twarze. Patrzyły na nią z góry, świeciły jej w oczy i zadawały głupie pytania, Czy wie, jak się nazywa? Oczywiście, że wie. Nazywa się Abra Wilson i chciałyby się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

A może umarła?

Straciła rachubę czasu, podobnie jak Cody, który spędzał każdą możliwą chwilę przy jej łóżku. Minęły dwa dni, podczas których odzyskiwała i traciła przytomność, ale środki, jakie jej podawano, sprawiały, że wciąż była oszołomiona.

Trzeciego dnia Cody zobaczył, że próbuje się skoncentrować.

- Ciągłe zasypiam. - Po raz pierwszy usłyszał w jej głosie rozdrażnienie i to go bardzo ucieszyło. Bo dotąd poddawała się wszystkiemu bez szemrania. - Co oni mi podają?

- Coś, żebyś mogła odpocząć.

- Nie będę już więcej tego brała. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego. - Powiedz im, żeby mi już tego nie dawali.

- Musisz odpocząć.

- Muszę pomyśleć. - Zirytowana, próbowała poruszyć się na łóżku. Zobaczyła gips na rękę. Miała złamaną rękę. Powiedzieli jej to. Na nodze także miała gips. Zdezorientowana, próbowała sobie przypomnieć, czy uległa wypadkowi samochodowemu. Przypominanie sobie przychodziło jej coraz łatwiej.

- Budynki. Już ich nie ma.

- Budynki się nie liczą. - Cody przycisnął do ust jej rękę. - Napędziłaś mi stracha, Ruda.

- Wiem. - Powoli zaczynało jej wracać czucie. Kiedy nie spała przez dłuższą chwilę, zaczynała odczuwać ból, który upewniał ją, że żyje. - Byłeś ranny.

- Kilka drobnych zadrapań. Znowu masz bóle? - Cody poderwał się. - Pójdę po pielęgniarkę.

- Nie chcę żadnych lekarstw.

Nachylił się i pocałował ją w posiniaczony policzek.

- Nie mogę patrzeć, jak cierpisz, kotku.

- Pocałuj mnie jeszcze raz. - Dotknęła jego policzka. - Wtedy mnie tak nie boli.

- Przepraszam. - Pielęgniarka wkroczyła do pokoju.

- Zaraz przyjdzie lekarz, żeby panią zbadać. - Spojrzała wymownie na Cody'ego. - Pan zaczeka na zewnątrz.

- Dobrze, siostrze.

- Nie wezmę więcej żadnych lekarstw - usłyszał głos Abry. - Jeżeli siostra ma jakieś igły, niech je siostra lepiej zgubi.

Po raz pierwszy od wielu dni roześmiał się. Abra wyraźnie wracała do zdrowia.

Po tygodniu nie myślała już o niczym poza tym, żeby jak najprędzej opuścić szpital. Pielęgniarka na nocnej zmianie przyłapała ją, jak próbowała wyjść na korytarz. A Cody musiał jej odmówić, kiedy go błagała, żeby przesznuł ją do windy. Lekarz także nie wyraził zgody na kompromisową propozycję przeniesienia jej na oddział otwarty.

Miała wrażenie, że jest w pułapce, unieruchomiona z ręką i nogą w gipsie. Przeszła przez fazy gniewu i użalania się nad sobą. A teraz była po prostu znudzona. Śmiertelnie znudzona.

Kiedy się obudziła, zobaczyła drobną, ciemnowłosą kobietę w zaawansowanej ciąży, która przestawiała kwiaty.

- Cześć!

- Hej! - Jackie odwróciła się z promiennym uśmiechem. - Nareszcie się obudziłaś. Cody będzie wściekły, bo go wygoniłam do bufetu. Biedak, jest chudy jak szczapa. - Podeszła do łóżka i usiadła na fotelu. - Jak się czujesz?

- Nieźle. - Uśmiech przyszedł jej bez trudu. - Kim pani jest?

- Och, przepraszam. Jestem Jackie, żona Nathana. - Rozejrzała się wokół. - Szpital to okropne miejsce. Nawet jeżeli w pokojach są kwiaty. Nudzisz się?

- Jak mops. Miło, że przyszedł.

- Cody jest dla mnie jak rodzina. Czyli ty też. Abra spojrzała na drzwi.

- Jak on się czuje?

- Polepsza mu się, w miarę jak tobie się polepsza. Bardzo się o was martwiliśmy.

Abra popatrzyła na Jackie. W ostatnim tygodniu oglądała mnóstwo ludzkich twarzy. Jackie miała twarz przyjazną i - na szczęście - radosną. Poza tym mówiła o Codym jak, o kimś bliskim.

- Powiesz mi coś? - zaczęła Abra. - Ale szczerze.

- Spróbuję.

- Co się właściwie stało? Za każdym razem, kiedy próbuję porozmawiać o tym z Codym, zmienia temat, próbuje się wykręcić albo zaczyna się złościć. Większość pamiętam, ale mam też luki w głowie.

Jackie także chciała się w pierwszej chwili zrobić unik, ale kiedy spojrzała Abrze w oczy, doszła do wniosku, że zasługuje na prawdę.

- Może mi najpierw powiesz, co ty pamiętasz? Abra odetchnęła z ulgą.

- Pojechaliśmy na budowę i weszliśmy do głównego budynku. Było jeszcze ciemno, więc Cody poszedł do samochodu po latarkę, a ja zostałam w środku, żeby się rozejrzeć. Słyszałaś o tej aferze z materiałami?

- Tak.

- Czekając na Cody'ego, chodziłam po budynku i nagle zobaczyłam zaschniętą grudę jakiejś zaprawy. Okazało się, że to był plastik. Pobiełam do drzwi - spróbowała unieść rękę w gipsie - ale już do nich nie dobiegłam.

Jackie pomyślała, że dobrze oceniła Abregę. W jej oczach nie było strachu, lecz determinacja oraz spora doza frustracji.

- Cody był jeszcze na zewnątrz, kiedy budynek wyleciał w powietrze. Udało mu się wejść do środka i odszukać cię. Nie znam szczegółów, bo on nie chce o tym mówić, ale to

musiało być okropne. W każdym razie, wyciągnął cię stamtąd. Powiedział mi, że był przekonany, że nie żyjesz.

- Tak, to rzeczywiście musiało być okropne - przyznała Abra. - Zwłaszcza dla niego.

- Abra, on obarcza się winą za to, co cię spotkało.

- Co?! - Mimo bólu Abra spróbowała usiąść. - Ale dlaczego?

- Bo mu się wydaje, że gdyby od razu przyskrzypił Thornwaya... gdyby cię wtedy nie zabrał na tę budowę... gdyby cię nie zostawił samej... Gdyby. Gdyby.

- To idiotyczne! - Wcisnęła guzik. Zagłówek łóżka uniósł się lekko.

- Co jest idiotyczne? - odezwał się Cody od drzwi. Jackie podeszła do niego i poklepała go po policzku.

- O, jesteś już, kochanie. Zostawiam was samych. Gdzie Nathan?

- Wstąpił po drodze na oddział położniczy. Jackie poklepała się ze śmiechem po brzuchu.

- Chyba się do niego przyłączę.

- Ona mi się podoba - powiedziała Abra do Cody'ego po wyjściu Jackie.

- Trudno jej nie polubić. - Cody ostrożnie wręczył jej różę. - Masz cały pokój pełen kwiatów, ale pomyślałem sobie, że może chcesz mieć jeden, który można potrzymać w ręku.

- Dzięki.

Cody zmrużył oczy.

- Coś nie tak?

- Owszem.

- Zawołam pielęgniarkę.

- Usiądź. - Niecierpliwie wskazała mu krzesło. - I przestań mnie traktować jak inwalidkę.

- Dobrze. Chcesz sobie pobiegać dookoła szpitala?

- Wariat!

- Może i tak. - Cody nie usiadł, tylko krążył przez chwilę po pokoju, po czym zatrzymał się przy stoliku, na którym stało mnóstwo kwiatów. - Widzę, że przybyły ci nowe kwiaty.

- Od Swaggarta i Rodrigueza. Rozejm między nimi trwał akurat na tyle długo, że zdążyli przynieść mi bukiet goździków. Gdy wychodzili, już się kłócili.

- Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Ale niektóre tak. Dawniej, kiedy do mnie mówiłeś, patrzyłeś mi w oczy. A teraz unikasz mojego wzroku.

Cody odwrócił się.

- Przecież teraz mówię i patrzę na ciebie.

- Gniewasz się na mnie?

- Nie bądź śmieszna!

- Nie jestem śmieszna. - Spróbowała się podnieść, krzywiąc się z bólu. Cody zacisnął wargi. - Przychodzisz tu codziennie. I w nocy też.

- Muszę być wściekły z tego powodu? - Podeszedł do niej, żeby pomóc jej usiąść.

- Przestań. - Odepchnęła z gniewem jego rękę. - Sama mogę to zrobić. Ręka w gipsie to nie jest kalectwo.

- Przepraszam - burknął.

- No właśnie. To jest to. Nie chcesz się nawet ze mną kłócić. - Machnęła gipsem, pokrytym kolorowymi napisami. - Głaszczesz mnie tylko po głowie, skaczesz wokół mnie i pytasz, czego mi trzeba.

- Chcesz rozegrać kilka rund? Dobrze. Zrobimy to, kiedy staniesz na nogi.

- Zrobimy to teraz, słyszysz! Teraz! - Rozgniewana, uderzyła pięścią w łóżko. Nie mogła nawet sama wstać i pokręcić się po pokoju, żeby rozładować frustrację. - Traktujesz mnie jak niedorozwinięte dziecko. Mam już tego dość! Nie chcesz mi nawet powiedzieć, co się stało.

- Czego ty chcesz ode mnie?! - Napięcie ostatnich dni doprowadziło go wreszcie do wybuchu. - Mam ci powiedzieć, co czułem, kiedy budynek wyleciał w powietrze z tobą w środku? Mam opisać, jak to było, kiedy czołgałem się po gruzach, szukając ciebie? A potem cię znalazłem, poparzoną, połamaną i pokrwawioną? - Mówił coraz głośniejszym głosem. Podeszedł do łóżka i chwycił szczeble zbielałymi palcami. - Mam ci powiedzieć, co czułem przez te długie godziny w poczekalni, kiedy nie wiedziałem, co z tobą będzie?

- Jak możemy się z tym uporać, jeżeli sobie tego nie powiemy? - Chciała go wziąć za rękę, ale Cody się wyrwał. - A czy ty nigdy nie pomyślałeś, co ja czuję, patrząc na twoją poranioną twarz i twoje ręce? Przecież wiem, że spotkało cię to dlatego, że po mnie wróciłeś. Muszę o tym z tobą porozmawiać. Nie mogę już dłużej znieść tego leżenia i prób przypomnienia sobie, co się wtedy stało.

- No to przestań o tym myśleć. - Machnął ręką, strącając plastikowy wazonik. - Już po wszystkim. Kiedy stąd wyjdiesz, nie będziemy więcej do tego wracać. Nie życzę sobie już nigdy przechodzić przez coś podobnego z twojego powodu, rozumiesz? - Zbliżył twarz do jej twarzy. - Chcę, żebyś stąd wyszła. Chcę być z tobą. Kocham cię. Nie śpiam po nocach, bo ciągle myślę o tym, co mogło się stać.

- Ale się nie stało! - krzyknęła. - Jestem tu i żyję. Dzięki tobie. To nie twoja wina, idioto! Ocaliłeś mi życie. A ja kocham cię za bardzo, żeby siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak się zadreczasz. To się musi skończyć, Johnson. Mówię serio. Jeżeli nie potrafisz traktować mnie normalnie, możesz tu w ogóle nie przychodzić.

- Przestańcie! - Rozgniewana pielęgniarka wpadła do pokoju. - Słysząc was na całym piętrze..

- Wynocha! - krzyknęli jednogłośnie, a ona wycofała się, trzaskając drzwiami.

- Nie chcesz mnie tu widzieć? Dobrze! - Cody podszedł do łóżka. - Ale najpierw powiem wszystko, co mam ci do powiedzenia. Może i sam się o to obwiniam, ale to moja sprawa. Nie będziesz mi mówiła, co czuję i co mam czuć. Już i tak za długo robiłem wszystko pod twoje dyktando.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Żadnych zobowiązań, żadnych długoterminowych planów. Czy nie tak miało być?

- Przecież uzgodniliśmy...

- Mam już dość uzgadniania czegośkolwiek i mam też dość czekania, aż nadejdzie właściwy czas, miejsce i nastrój. Słyszałaś, co powiedziałem przed chwilą? Że cię kocham.

- Nie powiedziałeś mi tego. - Abra spuściła wzrok. - Ty mi to wykrzyczałeś.

- Niech ci będzie, że wykrzyczałem. A teraz ci to powtarzam i mówię, że za mnie wyjdiesz. Koniec dyskusji!

- Ale...

- Koniec! - huknął, trąc oczy. - Nie próbuj mnie przekonać.

- Cody, ja...

- Zamknij się, dobrze? - Cody opuścił ręce. - Nie tak miało być. Nie chciałem się z tobą kłócić. Wygląda na to, że ilekroć sobie coś zaplanujemy, nic z tego nie wychodzi. Dlatego żadnych planów, Ruda, żadnych spekulacji. Jesteś mi potrzebna. Chcę, żebyś została moją żoną i żebyś pojechała ze mną na wschód.

Abra spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech.

- Dobrze.

Cody parsknął śmiechem i potarł twarz.

- Dobrze? To wszystko?

- Niezupełnie. Chodź tu. - Przyciągnęła go do siebie. Po raz pierwszy od wielu dni Cody przytulił ją z całym przekonaniem. - Chyba słyszałaś, co powiedziałam? Że cię kocham?

- Nie powiedziałaś tego. - Cody uśmiechnął się z ulgą. To cud. Abra żyje i jest z nim. - Ty mi to wykrzyczałaś.

- Ale to prawda. - Wypuściła go z objęć i spojrzała mu w oczy. - Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że tyle przeze mnie przeszedłeś.

- To nie była twoja wina - powiedział Cody.

- Wiem. - Uśmiechnęła się i zagipsowaną ręką dotknęła jego zabandażowanej dłoni. - Twoja też nie. Nie chciałabym już nigdy przechodzić przez coś takiego, ale to cię przynajmniej skłoniło, żeby mnie poprosić o rękę.

- I tak miałem zamiar to zrobić. - Cody z uśmiechem ucałował jej palce. - Chyba.

Abra uniosła brwi. Róża, którą dostała od Cody'ego, leżała pognieciona na łóżku.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała, wygładzając ostrożnie płatki. - Miałam zamiar pojechać za tobą na wschód bez względu na to, czyby ci się to podobało, czy nie.

Cody cofnął się spojrzał jej w twarz.

- Naprawdę?

- Pomyślałam sobie, że jeśli będziesz mnie często oglądał, przyzwyczaisz się do mnie. Mówiłam też sobie, że powinnam pozwolić ci odejść, ale w głębi serca... nie miałam zamiaru dać ci takiej szansy.

Cody nachylił się i pocałował ją.

- I tak bym nigdzie nie odszedł.

## EPILOG

Cody wypełnił formularz meldunkowy. Skalisty stok za oknem obsadzony był kaktusami, które zaczynały właśnie kwitnąć. Światło sączyło się przez szklaną kopułę.

- Miłego pobytu, panie Johason - życzył mu recepcjonista z promiennym uśmiechem.

- Dziękuję, zamierzam dobrze się bawić. - Cody odwrócił się i schował do kieszeni klucze.

Wczasowicze krążyli po foyer. Wielu z mężczyzn było w strojach tenisowych. Niektórzy schodzili z góry po zakręconych schodach, inni wjeżdżali na piętro bezszelestnymi, szklanymi windami. Szklana kopuła przepuszczała słoneczne promienie, które rozszczipiały się tęczowym widmem na kamiennej posadzce. Wodospad z cichym szumem kończył swój bieg w otoczonym skałami basenie. Cody podszedł z uśmiechem do kobiety, która wpatrywała się w strumień spadającej wody.

- Są jakieś zażalenia?

Abra odwróciła się i przechyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć.

- Pamiętam, ile metrów rur trzeba było zainstalować, żeby spełnić twój kaprys.

- To mówi samo za siebie.

- Zawsze tak twierdziłeś. - Pomyślała że później mu powie, jak bardzo jej się tu podoba. - W każdym razie, dzięki mnie to wszystko funkcjonuje. - Oparła mu głowę na ramieniu i odwróciła się, żeby znów podziwiać wodospad.

- Co ci jest?

- Pewnie pomyślisz, że jestem głupia.

- Ruda, przez połowę czasu myślę, że jesteś głupia. - Syknął cicho, kiedy Abra boleśnie uderzyła go łokciem pod żebra. - Ale tak czy owak, mów.

- Tęsknię za dziećmi.

Okręcił ją ze śmiechem, a potem pocałował.

- To wcale nie jest takie głupie. Ale mogę sprawić, że na chwilę o nich zapomnisz, kiedy już się rozgościmy w naszym domku.

- Może. - Uśmiechnęła się wyzywająco. - Jeżeli dobrze nad tym popracujesz.

- Moim zdaniem, drugi miesiąc miodowy powinien być jeszcze lepszy niż pierwszy.

Abra zarzuciła mu rękę na szyję.

- No to zaczynamy!



- Za chwilę. - Cody wziął ją za rękę. - Pięć lat temu, o świcie, staliśmy w tym samym miejscu. Było tu pusto i żadne z nas nie potrafiło powiedzieć, czy budowa zostanie w ogóle ukończona.

- Cody, po co znowu o tym myśleć?

- Bo to coś, czego nigdy nie zapomnę. - Przycisnął do ust jej dłoń. - Ale jest też coś, o czym ci nigdy nie mówiłem. Miałem zamiar poprosić cię wtedy o rękę. Właśnie tamtego ranka.

Była to dla niej miła wiadomość - nawet po pięciu latach małżeństwa i partnerstwa w pracy.

- Teraz już za późno. Jesteś na mnie skazany.

- Za późno, żeby cię na tym miejscu poprosić o rękę, ale nie za późno, by ci powiedzieć, że jesteś tym najlepszym, co mnie w życiu spotkało. I kocham cię jeszcze bardziej niż pięć lat temu. - Nie zważając na otaczających ich ludzi, przygarnął Abreę do piersi. Miał wrażenie że są sami, jak tamtego poranka, przed laty.

- Cody. - Przycisnęła usta do jego warg. Ich smak był równie ponętny jak zawsze. - Jestem taka szczęśliwa, że mam ciebie, że mam rodzinę. Powrót tutaj uświadomił mi, ile spotkało mnie szczęścia. - Poglaskała białą bliznę na jego skroni. - Mogliśmy stracić wszystko, tymczasem wygraliśmy wszystko. - Tuliła się do niego przez chwilę, a potem cofnęła się z uśmiechem. - I muszę ci powiedzieć, że podoba mi się twój wodospad.

- To prawdziwa pochwała w ustach inżyniera. Masz. - Cody wyjął z kieszeni monetę. - Powiedz jakieś życzenie.

- Nie mam żadnych życzeń. - Abra rzuciła monetę przez ramię. - Chcę tylko ciebie. - Moneta opadła powoli na dno sadzawki, a oni odeszli w stronę domku, trzymając się za ręce.